

RYSZARD ĆWIRLEJ ZNALAZŁ WŁASNY, BARDZO
INTERESUJĄCY PATENT NA POWIEŚĆ KRYMINALNĄ (...).
TO JEST STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ. — PIOTR BRATKOWSKI, „NEWSWEEK”



RYSZARD ĆWIRLEJ

OSTRA JAZDA



RYSZARD
ĆWIRLEJ
OSTRA JAZDA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja: *Beata Mes*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Ewa Rudnicka*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© OBprod/Shutterstock

© by Ryszard Ćwirlej

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2019

ISBN 978-83-287-1186-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

tel. 691962519

Wydanie I

Warszawa 2019

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Przypisy

Prolog

Sobota
15 sierpnia 2015
Godzina 23.50

Wojskowy honker toczył się po wyboistej leśnej drodze, podskakując co chwila jak zabawkowe, zdalnie sterowane autko. Tak dokładnie rzecz ujmując, to nawet nie była droga. Był to leśny dukt, którym tylko z rzadka poruszały się jakieś pojazdy. Najczęściej transportery opancerzone, a niekiedy nawet czołgi, bo tędy można było dotrzeć wprost z jednostki wojskowej na ogromny tor szkoleniowy zaszyty w głębi lasu. To tu właśnie młodzi żołnierze ze szkoły wojsk pancernych mieli pierwsze w swoim życiu ćwiczenia w terenie.

Nic więc dziwnego, że drogi prowadzącej w to miejsce nie można było, nawet przy dużej dawce dobrej woli, nazwać równą. Stalowe monstra, które się tędy przetaczały, wygniotły co prawda piękne i szerokie koleiny, ale dla aut osobowych, nawet takich jak ten honker, wojskowych, terenowych, ze wzmocnionym i podniesionym zawieszeniem, był to prawdziwy tor przeszkód.

Starzy żołnierze mówili o niej „droga życia”, bo tak jak

tą słynną, wiodącą do oblężonego Leningradu przez zamrożone jezioro Ładoga, dostarczano zaopatrzenie, tak i tędy do zamkniętej, więc prawie jak oblężonej jednostki nocą dowożono bardzo potrzebne towary, których próżno było szukać w wojskowej kantynie. Wystarczyło tylko przejechać tylną bramką, która znajdowała się za budynkami magazynowymi, potem trzy kilometry przez las, by wydostać się z terenu wojskowego na obszar cywilny. Potem jeszcze jakieś trzysta metrów asfaltówką do najbliższych zabudowań, wśród których znajdował się niewielki sklep spożywczy.

Honker zatrzymał się na podjeździe spożywczaka, a kierowca wyłączył silnik i na wszelki wypadek światła. Drzwi od strony pasażera otworzyły się z rozmachem. Człowiek w polowym mundurze z dystynkcjami sierżanta wyskoczył na zewnątrz i mało nie wywrócił się na chodnik. Na szczęście w ostatniej chwili chwycił się maski wozu i dzięki temu udało mu się utrzymać równowagę. Podeszedł do sklepowych drzwi, oparł się o nie i ręką wymacał dzwonek.

– Wystarczy tego dzwonienia, już nie śpię! – zawołała właścicielka sklepu z okna na górze.

– Już nie dzwonię, pani kochana Winiarska, tylko zejdź pani, bo czasu nie ma w ogóle. Trzeba zaraz wracać, bo jak wiadomo, służba nie drużba i wew związku z tym...

Dalej już nie słuchała. Poznała ten bełkotliwy głos. Sierżant Matejuk miał zawsze po pijaku skłonności do długich opowieści, w których nie liczyła się treść ani wątek, ale sam fakt opowiadania. Otworzyła drzwi i natychmiast poczuła ostrą woń alkoholu. Matejuk miał

już nieźle w czubie.

– Kochana pani kierowniczo, więc będzie tak... Da pani cztery flaszki zero siedem smirnoffa i do tego dwa, nie, co tam dwa, cztery czteropaki poznańskiego piwa, znaczy się leszka.

– A co to, ktoś ma urodziny dzisiaj? – zapytała z czystej ciekawości, zapominając, że z tym Matejukiem za dużo nie można gadać.

– Pani kochana kierowniczo to na jakim świecie żyje, że nic nie wie? Przecież dzisiaj jest najważniejsze święto.

Zmarszczyła czoło, by sobie przypomnieć.

– A już wiem, Matki Boskiej... jakiejś, ale jakiej to nie pamiętam. – Nie była specjalnie wierząca, a z dzieciństwa niewiele kościelnych śladów zostało jej w pamięci.

Matejuk tylko machnął ręką.

– Dziś jest święto wojska. Wojska Polskiego święto, więc od czasu do czasu z okazji święta człowiek musi se wypić, nie? – Wskazał na butelki, które sklepowa pakowała do grubych reklamówek.

– Bitwa pod Lenino – przypomniła sobie ze szkoły.

– Jakie Lenino? – zdziwił się sierżant, któremu ta nazwa niewiele mówiła. – Jakie...

– Sto czterdzieści cztery złote – przerwała mu bezceremonialnie. Sierżant natychmiast sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej kilka wymiętolonych banknotów. – Przyjemnego świętowania – powiedziawszy to, podała klientowi dwie siatki, a on chwycił je tak ostrożnie, jakby przynosił nie wódkę, a niewypały. Flaszki nie były tak

niebezpieczne, ale na pewno znacznie cenniejsze, szczególnie dzisiaj, pod koniec świątecznego dnia.

Żołnierz zabrał obie reklamówki i poszedł chwiejnym krokiem do zaparkowanego przy drodze łazika. Gdy Winiarska gasiła światło w sklepie, po samochodzie i nocnym gościu nie było już śladu.

Po chwili honker zjechał z asfaltówki w leśną drogę, minawszy tabliczkę z napisem „Teren wojskowy, wstęp wzbroniony”. Na nierównościach znów zaczęło trząść niemiłosiernie, mimo że kierowca starał się jechać ostrożnie.

– Zatrzymaj, no, na chwilę tego grata, bo nie wyrobię już – polecił Matejuk, otwierając jednocześnie okno. Rzeńskie nocne powietrze wdarło się do środka kabiny, rozpędzając kłęby tytoniowego dymu.

– A po cholere? Zaraz będziemy na miejscu – próbował przekonać kolegę kierowca, kapral Roman Stępień.

– Stań, kurwa, jak ci gadam, bo zaraz zacznę rzygać.

– No chyba że o rzyganie idzie.

Honker stanął w miejscu. Matejuk natychmiast otworzył drzwi i wybiegł na drogę. Rozejrzał się na boki, jakby chciał znaleźć najlepsze miejsce. Nie znalazł, bo mało co było widać. Zrobił więc kilka kroków do przodu i oparł się o pień drzewa.

Poczuł skurcz w żołądku, który był niezawodnym sygnałem, że zaraz odda dług naturze. Nie minęło dziesięć sekund i wszystko, co zjadł i wypił przez ostatnich kilka godzin, wyleciało na zewnątrz. Natychmiast poczuł ulgę. Otarł twarz wierzchem dłoni, splunął pod nogi i był

gotowy do dalszego świętowania.

- Kurwa, ktoś tu jedzie – zawołał kierowca.
- Gdzie? – Sierżant odwrócił się, ale nic nie dostrzegł.
- No tu, po tej pierdolonej drodze.
- No i chuj. To ktoś od nas.
- Ale to jedzie za nami.
- Pierdolić to...

Za plecami Matejuka zrobiło się jaśniej. Auto na długich światłach zatrzymało się.

– Zgaś te światło, kurwa! – krzyknął oślepiiony ledami kapral Stępień. – To teren wojskowy jest. Tu nie wolno jeździć!

Kierowca nie zareagował.

– Ja ci, kurwa, pokażę, cwaniaczku! – zawołał Matejuk.
– Ja ci... hyk! – przerwał, bo wstrząsnęła nim czkawka, która, jak wiadomo, pojawia się zawsze wtedy, gdy człowiek najmniej się tego spodziewa.

W świetle lamp terenowego wozu dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Chyba musiał go znać, bo uśmiechnął się pod wąsem i ruszył ku niemu.

– Co ty, kurwa, ludzi straszysz... hyk – nie dokończył, bo dostrzegłszy, co tamten trzyma w dłoni, stanął jak wryty. Poczuł, że czkawka przeszła mu na ten widok momentalnie. – Co ty, kurwa... – powiedział jeszcze raz znacznie ciszej niż poprzednio i więcej powiedzieć nie zdążył, bo głowa sierżanta Sławomira Matejuka eksplodowała, przeorana kulą kalibru 7,65 milimetra.

Jego kierowca, widząc, co się dzieje, dał susa w krzaki

na poboczu, a zabójca posłał w jego kierunku raz za razem pięć kul. Posłał na wszelki wypadek, bo tak naprawdę wcale go nie obchodziło, czy kapral Stępień przeżyje, czy nie. Strzelał za nim raczej odruchowo i z przyzwyczajenia, tylko dlatego, że tamten uciekał.

Rozdział I

Sobota
12 września 2015
Godzina 6.30

Na wschodniej połaci nieba pojawiły się pierwsze promienie słońca zwiastujące świt. Brzask powoli zaczął wysuwać się zza sosnowych koron. Poranna mgła przykrywała lekkim, białym woalem nadrzeczne łąki wyłaniające się w prześwitach między drzewami. Nie niepokojone przez ludzi stadko jeleni przeszło spokojnie przez drogę i zniknęło w wilgotnych od rosy zaroślach. Podążało w kierunku przepływającej kilkaset metrów stąd Warty, by tam, nad jej brzegiem, zatrzymać się na popas wśród soczystych jesiennych traw. Tam też, na skraju lasu, w miejscu, gdzie zaczynały się podmokłe łąki, rosły dorodne borowiki, ale one nie interesowały jeleni. Amatorami grzybów byli tylko ludzie i robaki.

A w tym roku grzybów było sporo. Wszystko dlatego, że padały deszcze i jednocześnie było ciepło. Grzybiarze wykorzystywali więc każdą chwilę, by zebrać ich jak najwięcej. A konkurencja była ostra, bo tu, w Puszczy Noteckiej, uwijali się nie tylko miejscowi, ale i sporo przyjezdnych. Dlatego na najobfitsze zbiory mogli liczyć

ci, którzy potrafili wstać wcześniej rano i jak najszybciej dojechać na upatrzone miejsce. Tak, jak to zrobił dzisiaj Czechu Kolasa, bezrobotny od wielu lat mieszkaniec wsi Piotrowo, dla którego jesień była czasem prawdziwych żniw. Każdego dnia, już od połowy sierpnia, wsiadał o świcie na rower i jechał do lasu w miejsca, o których wiedział, że zawsze coś tam znajdzie i nigdy nie wróci do domu z pustymi wiadrami. Tak, wiadrami właśnie, bo Czechu nie był jakimś niedzielnym grzybiarzem, który podgrzybki czy borowiki zbierałby do koszyka. On taszczył ze sobą cztery plastikowe wiadra, takie dziesięciolitrowe hoboki po farbie malarskiej, i za każdym razem przywoził je wyładowane po brzegi. Napełnienie ich zajmowało mu jakieś cztery godziny. Potem wracał do swojej wioski i wychodził na drogę tuż przed domem. Tam miał punkt sprzedaży, czyli stare krzesło plażowe i deskę ułożoną na czterech cegłówkach. Na tej desce stawiał plastikowe, przezroczyste pudełka z posortowanymi według rodzajów grzybami, siadał na krzeselku i czekał, wpatrując się z nadzieją w każdy przejeżdżający samochód. Miał w tej robocie doświadczenie i dobrze wiedział, że po południu wiadra będą puste, a kieszenie pełne pieniędzy.

Na razie jednak, myśląc o tych złotówkach, które jeszcze dziś zarobi, zatrzymał się na skraju drogi prowadzącej do nieodległych Wroniek i schodząc z siodelka starego składaka Sokół, rozejrzał się. Po obu stronach szosy rozciągał się las, a na poboczu nie było ani jednego zaparkowanego samochodu. Mieszczuchy, które próbowały włączyć na jego teren, jeszcze spały, więc na razie nie musiał się obawiać konkurencji.

Wyciągnął z kieszeni swojej wojskowej kurtki moro paczkę marlboro i uśmiechnął się pod wąsem na widok tego luksusowego tytoniu. Pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu nie było go stać na takie dobre papierosy. Palił wtedy mocne albo jakieś chińskie paskudztwa, których nazwy nawet nie pamiętał. A teraz, proszę bardzo, odkąd sklepowa Zośka weszła w układ z ukraińskimi dostawcami, można było kupować u niej spod lady fajki przywożone zza wschodniej granicy za połowę ceny. Te marlborasy kosztowały zaledwie osiem złotych. Ameryka. Palił najlepszy tytoń, zarabiał na grzybach prawie dwieście złotych dziennie i czego jeszcze chcieć od życia? No może tylko tego, żeby się w wyborach spełniły te obietnice, że będą dawać na każde dziecko pięć stów. To by oznaczało, że on dostanie co miesiąc dwa i pół tysiąca za nic. No, lepiej nie mogłoby się poukładać. Dzięki temu nie będzie musiał już szukać żadnej dorywczej roboty. Niech leśniczy radzi sobie sam. Tak to trzeba się było prosić, żeby wziął człowieka na wyrąb, a i to jeszcze nie zawsze chciał dawać zarobić. Ale teraz, jak będą dawać te pięć stów, to pies z kulawą nogą palcem nie kiwnie i nie pójdzie do niego, żeby się męczyć za frajer. Niech sam ścina drzewo albo bierze do roboty Ukraińców. Bo miejscowi będą mieli go w nosie. Oczywiście, pod warunkiem że ci, co obiecali te pieniądze, dotrzymają słowa. Ale już on się o to postara. Namawia każdego, żeby głosował na nich. Dotąd w ogóle nie chodził na wybory, bo w żaden sposób go nie dotyczyły. Ale jak usłyszał o tej kasie, to zrozumiał, że od tego głosowania zależy całe jego życie, więc teraz czekał z niecierpliwością, żeby wreszcie móc spełnić swój obywatelski obowiązek.

Wypalił papierosa do końca, rzucił niedopałek na asfalt i dokładnie rozdeptał. Wiedział, że musi uważać, żeby nie zaproszyć ognia. On, podobnie zresztą jak wszyscy miejscowi, dbał o swój las, bo oprócz tego, że ten dawał mu żyć, to jeszcze zwyczajnie lubił te leśne zakamarki, te zapachy budzącego się wśród drzew dnia, ten ptasi śpiew o poranku. Ale najbardziej na świecie lubił wódkę czystą, po której jego mózg wypełniały tylko czyste myśli. Sięgnął więc do wewnętrznej kieszeni kurtki i wydobył z niej plastikową piersiówkę po whisky Ballantine's, którą znalazł dwa lata temu na leśnym parkingu. Była pusta, ale mimo to zabrał ją ze sobą. To dlatego, że nieraz widział na polowaniu, bo wynajmował się niekiedy do nagonki, jak myśliwi popijają z takich płaskich buteleczek. Wprawdzie te ich były metalowe i ozdabiane jakimiś myśliwskimi obrazkami. Widział je na własne oczy, bo kilka razy dali mu się z takiej flaszki napić, nalewając wódkę do małego jak napałek kieliszka. No więc wymyślił sobie, że skoro i on chodzi często do lasu, przydałaby się taka poręczna flaszka.

Ta znaleziona okazała się idealna. Wypłukał ją od środka, umył na zewnątrz i nalał pół litra wódki Lodowej. Zmieściła się w całości. Tak przygotowany mógł iść zbierać grzyby. Wtedy nie poszedł, bo była akurat zima. No ale od tego momentu minęło sporo czasu i już nieraz przekonywał się, jak bardzo ta flaszka była przydatna. Ot, choćby i dziś.

Odkręcił korek i pociągnął solidny łyk. Ciepła wódka rozlała mu się po przełyku i spłynęła do żołądka. Od razu się ożywił. Tak pobudzony mógł przystąpić do pracy.

Jak zwykle przywiązał rower do drzewa długim krowim łańcuchem i spiął go kłódką. Rower wprowadzie stary i nikt nie powinien się na niego połasić, ale wiadomo, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Niby zbytek ostrożności, ale lepiej nie drałować później na piechotę, w dodatku obładowany grzybami.

Zostawił rower i dwa wiadra, a z dwoma poszedł w las. Znał to miejsce jak własną kieszeń. Zawsze tu zaczynał, bo teren obniżał się tutaj w stosunku do szosy. Trzeba było zejść ostrożnie dość stromą skarpą porośniętą wysoką i ostrą trawą. Niżej zbocze łagodniało, tworząc koliste otoczenie niecki wypełnionej błotem porośniętym trzcina. Kiedyś musiał być tu staw, ale chyba bardzo dawno, bo Czechu mimo swoich pięćdziesięciu czterech lat tego nie pamiętał. Owszem, podczas szczególnie deszczowych wiosen pewnie spływała woda z drogi i kto wie, może i robiło się niewielkie bajorko. Ale tego już nie mógł wiedzieć na pewno, bo przecież wiosną tu nie chodził. Po co miałby tutaj zaglądać, skoro nie było grzybów?

O, choćby takich jak ten. Spojrzał pod nogi. Pierwszego niemal rozdeptał, ale na szczęście był spostrzegawczy i zatrzymał się w porę.

Pochylił się i wyciągnawszy z kieszeni aluminiowy nożyk, taki jak to kiedyś dawali w stołówkach do obiadu, z tym że ten ostrze miał węższe i zdecydowanie ostrzejsze, bo szlifowane było na osetce przez całe lata, złapał ostrożnie dorodnego prawdziwka pod kapeluszem i ściał równo ze ściółką. Obejrzał zaraz nóżkę w miejscu cięcia. Nie było śladów robactwa, więc ostrożnie włożył borowika do wiaderka. Nie podniósł się jednak. Miał

swoją wypracowaną przez lata metodę. W miejscu, w którym znajdował grzyba, zaczynał dokładne poszukiwania wokół. To zawsze przynosiło efekt. Niemal od razu dostrzegł jeszcze dwa brązowe kapelusze jakieś półtora metra dalej. Odwrócił głowę. Za sobą też dojrzał piękny okaz. Uśmiechnął się pod nosem. Lubiły cholery to miejsce w trawie i koło tego bajora, pomyślał zadowolony. Podniósł się, by ruszyć najpierw po te rosnące na prawo, zrobił dwa kroki i stanął jak wryty. W tym błocie coś leżało. Nie od razu dotarło do niego, co też to może być. Po chwili jednak poczuł mrowienie na karku. W chwili, gdy sobie uświadomił, że to czerwone wystające z wody to może być kurtka...

Ostrożnie podszedł bliżej. Teraz dostrzegł już więcej szczegółów, zarys głowy, ramion i odsłoniętych białych pośladków. Było je widać, bo majtki były ściągnięte i zaczepione na kolanach. Niewątpliwie kolanach kobiecych.

Rozejrzał się. Na prawo dostrzegł kilka wyschniętych gałęzi. Podbiegł tam i wyrwał jedną, która wydawała mu się szczególnie solidna. Zabrawszy ją, wrócił tam, gdzie leżała kobieta. Gałąź wsunął pod ciało i spróbował je przesunąć na skraj błotnego bajorka. Częściowo mu się to udało. Teraz był już na tyle blisko, że mógł złapać za tę czerwoną kurtkę. Chwycił ją i z całej siły pociągnął ku sobie. Nadspodziewanie łatwo mu poszło. Szarpnął i zaraz poleciał na plecy, a bezwładne ciało z płaskim znów wpadło do błota, ale teraz odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni. Spojrzał na nie i natychmiast poczuł, że robi mu się niedobrze. Dziewczyna o blond włosach miała tylko pół

twarży. Reszty nie było, tak jakby oderwała ją jakaś nadludzka siła.

– Kurwa! Kurwa, jebana mać! – zawołał przestraszony i zerwał się na równe nogi. Natychmiast, niewiele się zastanawiając, zaczął wspinać się po stromiznie leśnej niecki. Po chwili był już na górze. Nie obejrzawszy się nawet za siebie, pobiegł w kierunku szosy. Gdy stanął na jej skraju, zobaczył światła auta zbliżającego się od strony Wronek. Zaczął więc rozpaczliwie machać obiema rękami. Kierowca musiał go dojrzeć, bo zwolnił nieco, ale gdy był już blisko, zjechał na lewy pas i wcisnął gaz do dechy. Czechu dostrzegł jeszcze przestraszoną minę faceta w czapce i tyle go widział. Silnik skody jęknął i pociągnął małe auto do przodu. Na szczęście zza zakrętu wyłaniał się następny samochód. Tym razem Czechu postanowił zmienić taktykę zatrzymywania. Stanął na środku drogi i zaczął podnosić i opuszczać obie ręce. To najwyraźniej poskutkowało. Kierowca lanosa zatrzymał się tuż przed nim. Szyba się opuściła i na zewnątrz ukazała się ogolona na łyso głowa dwudziestoparolatka.

– Co jest, kurwa, gościu, wyjechać ci czy jak?

– Zabicie jest!

– Łe tej, co pierdolisz, wuja?

– Tam w lesie – wskazał za siebie – jest zabita dziewczyna. Trzeba zawezwać pogotowie!

– Jak zabita, to na chuj pogotowie?

– Nie wiem, trzeba wezwać.

– No to czemu nie wzywasz? – zainteresował się łyso.

– Nie mam telefonu.

– Gościu, ja nie mam czasu na pierdolenie się z jakimiś pizdami.

Łysy zjechał jednak na pobocze i wyszedł z auta, włączywszy uprzednio awaryjne światła. W ręce miał komórkę.

– Jaki jest numer na policję?

Czechu wzruszył ramionami. Nigdy nie dzwonił na policję, więc skąd mógł wiedzieć.

– Chyba 999 – przypomniał sobie.

– Głupi jesteś, wuja. O, jest tu w książce telefonicznej.

– Zadowolony łysol wcisnął zieloną słuchawkę nokii, a grzybiarz przez chwilę patrzył na niego, zastanawiając się, gdzie on ma tę książkę.

– Halo, policja? Tu mówi taki jeden gościu, że ktoś jest zabity. Jak ja się nazywam? A po chuj wam ja, on tu wzywa policję. Ja się nazywam Patryk Kuliś. Z Wroniek, ale co, kurwa, o mnie się pytasz, tu jest ten, co wzywa, ja tylko dzwonię!

Skinął głową na Czecha.

– Masz tu i melduj psom, o co idzie i żeby się ode mnie odpierdolili.

No i Czechu powiedział wszystko, co widział, potem oddał telefon łysemu Patrykowi, który, klnąc pod nosem, wsiadł do swojego starego lanosa i odjechał. A on został sam, bo tak mu kazał policjant. Powiedział, że ma stać i się nie ruszać, bo zaraz przyjedzie radiowóz. Więc tkwił na tej drodze, patrząc to w prawo, to w lewo za każdym razem, gdy usłyszał dźwięk silnika nadjeżdżającego auta. Na szczęście miał przy sobie fajki, no i swoją ulubioną

plastikową piersiówkę po łyskaczu. Nim na miejsce dotarł policyjny volkswagen, flaszka była już całkowicie pusta, a po obu stronach drogi stało z dziesięć aut grzybiarzy, którzy zjeżdżali tu z okolicznych miast. Na szczęście wiedział, że gdyby któryś zbliżył się w okolice błotnego bajorka, mógł go spokojnie przegnać, bo tak polecił policjant, z którym rozmawiał. Więc jak będzie trzeba, to przegoni każdego nawet siłą, skoro dostał od policji taką władzę. Bo przecież nie pozwoli, żeby ktoś szwendał się tam, gdzie zostały te piękne, niezebrane jeszcze przez niego prawdziwki.

Godzina 8.05

Była już na wysokości Baranowa, kilka kilometrów od granicy Poznania, gdy nagle poczuła, że coś się dzieje z silnikiem jej motocykla. Tak jakby paliwo nie dochodziło. Może ta benzyna na stacji w Dusznikach była jakaś niezbyt czysta, może te gnoje znowu zaczęli ją rozrzedzać? Przypomniała sobie listę nieuczciwych stacji po kontrolach przeprowadzonych w całym kraju, kiedy okazało się, że na tych mniejszych, niesieciowych, chrzcą paliwo na potęgę. Na liście oszustów była też stacja, na której tankowała. Przez jakiś czas tam nie jeździła, ale ostatnio jakoś tak wyszło, że się przełamala. Pomyślała, że po tym, jak znaleźli się na czarnej liście, właściciele przemyśleli sobie wszystko. Zatankowała tam wczoraj. No i może źle zrobiła. Motocykl zaczął zwalniać. Postanowiła przyjrzeć się silnikowi i sprawdzić, czy wszystko

w porządku.

Aneta Nowak wstała dziś za późno i ledwie zdążyła zjeść kawałek suchego chleba, zagryzając go kawałkiem kiełbasy i popijając mlekiem z kartonika wydobytym z lodówki. Nawet nie miała czasu nalać go do szklanki i włożyć do mikrofalni. Zimne też dawało się wypić. Nie było czasu na jedzenie. Również o dziewiątej miała konsultacje na uczelni i to takie, na których powinna być. Profesor zaprosił na nie zaledwie kilkoro studentów, którym chciał zaoferować u siebie pisanie pracy magisterskiej. Niby do rozpoczęcia roku akademickiego zostało jeszcze trochę czasu, ale na jej Wydziale Prawa i Administracji ruch zaczynał się wcześniej. Dzisiejszą sobotę miała w całości poświęcić na kwestie naukowe i w zasadzie nawet jej to odpowiadało. Przez wakacje nie widziała się z ludźmi z roku, więc z przyjemnością pogadała sobie z dziewczynami. Z facetami raczej nie, bo w grupie nie było żadnego, który mógłby ją zainteresować. Niekiedy nawet miała wrażenie, że jej najbliższe męskie studenckie otoczenie składa się z samych bufonów, megalomanów i zwyczajnych idiotów. Przynajmniej laski były normalne. Szczególnie cieszyła się na spotkanie z Magdą, która pracowała jako sekretarka w pewnej znanej poznańskiej kancelarii adwokackiej. Przez te trzy lata studiów zdążyły się zaprzyjaźnić. Nie widziały się od miesiąca, bo Magda wyjechała na wakacje. Aneta nie miała tyle szczęścia. W tym roku nie wzięła jeszcze ani jednego dnia urlopu, bo miała tyle roboty u siebie w firmie. Normalnie dziś też powinna być w pracy, ale studia sprawiały, że mogła na chwilę oderwać się od codziennego kieratu. Na naukę przysługiwały jej wolne

dni i nikt nie mógł się doczepić, że niekiedy nie można jej wpisywać w grafik dyżurów.

Harmonogram uczelnianych spotkań wręczyła swojemu szefowi w ubiegłym tygodniu, zaraz gdy dostała maila z uczelni. Położyła go na biurku bez słowa. Przełożony sięgnął po kartkę i dostrzegłszy najbliższy weekend, zaklął cicho pod nosem.

– Jakbym była potrzebna, to jestem u siebie – powiedziała i już chciała wyjść, ale on wtedy się odezwał:

– Czy ty chcesz, żebym ja tu dostał zawału czy jak?

– Czy jak?

– No przecież to jest, jakbyś mi wsadziła nóż prosto w serce – mówiąc to, położył prawą dłoń na klatkę piersiową. – To jest sobota, dwunasty września.

– A co ja mam powiedzieć? Jestem w robocie przez całe wakacje. Od czerwca nie miałam ani jednego wolnego weekendu. A nawet jak dostanę wolne w firmie, to i tak będę zapieprzać w szkole...

– Skąd ja mam wziąć ludzi?

– O ile wiem, mamy wolne etaty. Trzeba by kogoś przyjąć.

– Nie bądź śmieszna, Aneta. Powiedz to staremu – mówiąc to, wskazał ręką sufit. Dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Etaty niby były, ale stanowiska pozostawały nieobsadzone. Nie przyjmowali nowych, bo brakowało dla nich forsy na wypłaty. A poza wszystkim stary nie chciał zatrudniać byle kogo. Mówił, że ich wydział jest elitą i trafiają tu najlepsi. Tylko że najlepszych nie było pod ręką. Więc dyżury brali ci, którzy pracowali w wydziale.

Tyle że teraz sporo ludzi pobrało urlopy, bo musieli raz w roku wyjechać z rodzinami. Wiadomo, że we wrześniu było taniej, więc przedłużali dzieciom wakacje i jechali na all inclusive do Bułgarii. Aneta natomiast wraz z trzema młodymi kolegami, którzy jak ona nie dorobili się jeszcze rodziny, byli najlepszymi zapchajdziurami. I właśnie jedna zapychaczka wakatów szła sobie na urlop szkolny.

Spojrzał na nią, pokręcił głową, a potem wskazał palcem drzwi. Miał świadomość, że niewiele może zrobić. Starszy sierżant Aneta Nowak znała przepisy i dobrze wiedziała, że jej bezpośredni szef, zastępca naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu, Mariusz Blaszkowski, w tej sprawie pokiwać może co najwyżej sobie palcem w bucie.

Miała więc dziś czas dla siebie, to znaczy dla szkoły, ale na razie zatrzymała się na parkingu w Baranowie, przed dużym sklepem z męskimi garniturami.

Podniosła szczękę kasku do góry i przez chwilę przyglądała się swojej maszynie. Jej biały motocykl Suzuki GSX-R750K8 wyglądał bardzo okazale. Ale co z tego, że ładnie się prezentował, jeśli coś tam się działo w środku, co się dziać nie powinno. Zdjęła kask i położyła go delikatnie na fotelu. Do dziewiątej, czyli do chwili rozpoczęcia seminarium, miała jeszcze trochę czasu. Jak się postara, to na alei Niepodległości, tam gdzie mieści się jej uczelnia, będzie w dziesięć, góra piętnaście minut. Ale najpierw musi sprawdzić, dlaczego silnik chodził nierówno.

Aneta była córką mechanika samochodowego i właściwie wychowała się w warsztacie. Pojazdy i ich silniki nie miały dla niej żadnych tajemnic. Często pomagała ojcu w rozkładaniu na czynniki pierwsze samochodowych mechanizmów. Bardzo to lubiła, a poza tym czuła, że jej staruszek potrzebuje tego wspólnego dłubania, którego ostatnimi czasy było coraz mniej. Szczególnie od trzech lat, odkąd z rodzinnych Dusznik przenieśli się do Poznania.

Wtedy to, krótko przed rozgrywanymi w Polsce mistrzostwami Europy w piłce nożnej, udało jej się wnieść dość poważny wkład w rozwiązanie zagadki porwania syna pewnego biznesmena z Szamotuł i niemal jednocześnie dzięki jej zaangażowaniu zdołano dopaść mordercę młodych kobiet, który wyszukiwał je na portalach społecznościach. Te dwa sukcesy nikomu wcześniej nieznaney młodej policjantki musiały zwrócić uwagę. Dostrzegł ją podinspektor Mariusz Blaszkowski, który namówił swojego przełożonego, szefa dochodzeniówki, inspektora Alfreda Marcinkowskiego, by wziął dziewczynę pod swoje skrzydła. Marcinkowski wierzył w intuicję Blaszkowskiego¹. Ci dwaj znali się niemal od zawsze. To Marcinkowski przyjmował go do pracy w ówczesnej Komendzie Wojewódzkiej MO w trakcie słynnego śledztwa w sprawie o kryptonimie „Łowca głów”².

Blacha, bo tak koledzy i podwładni mówili na Blaszkowskiego, wezwał dziewczynę do Poznania przed oblicze szefa. Marcinkowski, wysoki, przystojny blondyn

o skroniach przyprószonych siwizną, zadziwił ją już na samym początku spotkania. Gdy poproszono ją do gabinetu, podeszła bliżej, by się zameldować, a on zamiast siedzieć za biurkiem jak każdy z wyższych oficerów, których miała dotąd okazję poznać, wstał, podszedł do niej i uściśnął jej rękę. Tak się zdziwiła, że zapomniała się zameldować. Uśmiechając się, wskazał jej miejsce przy niskiej ławie. Na jednym z czterech skórzanych foteli siedział już Blaszkowski. Gospodarz usiadł naprzeciwko niej. Poczowała, jak jego spojrzenie niemal przewierca ją na wyłot. Tak jak i ona miała niebieskie oczy.

– Mariusz, znaczy podinspektor Blaszkowski, dużo mówił mi o pani.

Pochyliła głowę i nic nie odpowiedziała. Nigdy nie należała do śmiałych osób, a rozmowa z człowiekiem, którego w poznańskiej policji znali wszyscy, bo był chodzącą legendą, kompletnie ją onieśmiała.

– Zresztą wiem wszystko z raportów. I o porwaniu, i o tym bydlaku, który działał w internecie.

– To ona sama go wytropiła – dorzucił Blaszkowski.

– Miras Brodziak już mi wszystko powiedział. – Marcinkowski pokiwał głową. – Muszę przyznać, że akcja była brawurowa i dość ryzykowna.

– Nie mieliśmy czasu na kalkulowanie.

Rzeczywiście nie było chwili do stracenia i kto wie, czy nie była to jedyna okazja, żeby pochwycić zwyrodnialca. Dlatego Blaszkowski zgodził się, żeby Aneta została żywą przynętą. Teoretycznie wszystko miało się udać, ale jak to bywa w życiu, misterny plan wziął w łeb i gdyby nie

Mirek Brodziak, najbliższy przyjaciel Marcinkowskiego, który już od kilku lat był poza służbą, sprawy mogły przyjąć niezbyt przyjemny obrót.

– Rozumiem. – Szef skinął głową. – Tak czasami w tej robocie bywa, że musimy podejmować błyskawiczne decyzje i dobrze, żeby były trafne. Do tego potrzeba odrobiny szczęścia, a tego, zdaje się, pani sierżant nie brakuje.

– No raczej – rzuciła i zaraz pożałowała głupiej odzywki. – Tak mi się zdaje, panie inspektorze – dodała pośpiesznie.

– Podinspektor Blaszkowski mówił, że może nam się pani tu przydać.

– Chciałam iść na studia – wypaliła ni stąd, ni zowąd.

– Tak, a na jakie?

– Mam zaliczony pierwszy rok prawa, ale musiałam przerwać. Nie dało się pogodzić grafiku w Dusznikach ze zjazdami w weekendy.

– Bzdura – odezwał się Blaszkowski. – Założę się, że szef nie ma studiów.

Przypomniała sobie swojego byłego komendanta Jurasia, który robił wszystko, by uprzykrzyć jej życie, gdy dowiedział się, że zaczęła studiować zaocznie. Nie miała jednak zamiaru się skarżyć. Jak by to wyglądało, gdyby tym dwóm oficerom zaczęła teraz opowiadać, że jej szef był zwykłym palantem i do tego jeszcze kretynek o wielkim ego.

– Nie musi pani nic mówić. – Marcinkowski natychmiast wyczuł jej skrępowanie. – W każdym razie

u nas nikt nie będzie pani wpisywał na siłę na dyżur weekendowy, kiedy odbywają się zajęcia na uczelni.

I rzeczywiście dotrzykali słowa. Marcinkowski dbał o swoich ludzi i dzięki temu w tej chwili zaczynała już piąty rok studiów.

Pogrzebała trochę przy gaźniku i spuściła nieco paliwa z przewodu. Silnik zaskoczył. Przez chwilę słuchała, jak chodzi. Grał równo i dźwięcznie jak świetny pianista na dobrym instrumencie. Spojrzała na swoje uwalane smarem dłonie i zaraz wydobyła z kieszeni wilgotną chusteczkę. Udało jej się zetrzeć większość brudu, ale wokół paznokci i tak pojawiły się brązowe otoczki. Wczoraj zrobiła sobie hybrydę, bo ona najlepiej maskowała ten brud przy paznokciach, którego nie dawało się tak łatwo usunąć. Faceci mechanicy mieli zdecydowanie łatwiej. Im nikt na paznokcie nie patrzył. Gdyby szła do pracy, machnęłaby na to ręką, ale wczoraj, przygotowując się do zajęć, postanowiła, że będzie wyglądać jak modelka. No i pewnie by się jej udało, bo czerwona hybryda prezentowała się całkiem nieźle, ale do czasu. Gdyby nie to dzisiejsze grzebanie w silniku... Może po przyjeździe do szkoły uda jej się jeszcze domycić dłonie w łazience. Na wszelki wypadek zawsze wozila ze sobą plastikową szczoteczkę.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz – BLACHA. Dzwonił Blaszkowski.

– Czego on, do licha, może chceć o tej porze? – powiedziała do siebie, zastanawiając się przez chwilę, czy w ogóle odebrać to cholerne połączenie. Przecież dobrze wiedział, że ma dzisiaj szkołę.

– Halo – powiedziała do słuchawki.

– Anetka, Mariusz mówi.

– Widzę, wyświetlasz mi się.

– Nie będę za dużo gadał. – Blaszkowski jak zwykle był konkretny. – Mamy prawdopodobnie morderstwo na drodze z Szamotuł do Wronek. Okolice miejscowości Piotrowo. Dziewczyna, chyba prostytutka, zastrzelona strzałem w tył głowy. Egzekucja, rozumiesz? Wygląda jak egzekucja. Teren Wronek, ale wzięli to chłopaki z Szamotuł, bo Wronki nie miały kogo wysłać. Te cholerne urlupy. A tam pojechał teraz twój dobry znajomy Biernat. A my powinniśmy na wszelki wypadek mu dać kogoś od siebie.

– Kiedy? – zapytała niepewnie.

– Co kiedy?

– Kiedy mam tam jechać?

– Dziewczynę znaleźli koło szóstej rano, więc wszyscy są na miejscu. Jak się pośpieszysz, to jeszcze zdążysz. Masz motor?

– Motor to jest w kosiarce do trawy. Ja mam motocykl.

– Ale ja się pytam...

– Wiem, o co pytasz. Żeby cię... – Nie dokończyła, zagryzając wargi. – Będę tam za pół godziny – rzuciła do słuchawki i przerwała połączenie.

Pogładziła biały bak motocykla. Pół godziny? – pomyślała. – Najwyżej dwadzieścia minut.

Godzina 8.30

Podkomisarz Kacper Piechowiak jak każdy normalny człowiek nie lubił przychodzić w sobotę do pracy. Wiadomo przecież, że weekendy powinno się spędzać z rodziną i znajomymi. Tym bardziej że dziś było całkiem ciepło i przyjemnie, więc dałoby się urządzić grilla. Kto wie, czy nie ostatniego w tym roku? Ale żeby pogrillować, trzeba by zrobić zakupy w Biedronce, nabyć kiełbasę, piwo i jakąś butelczynę łyśkacza, no i oczywiście dojechać z tymi zakupami jak najszybciej do domu. Problem w tym, że nic nie wskazywało na to, że wróci do siebie na tyle wcześnie, by tego grilla jeszcze przygotować. Skończy się pewnie na tym, że wypije piwo przed telewizorem i zje kiełbasę podpieczoną na patelni, po czym zaśnie na kanapie. Nie ma co, będzie zajebiście, pomyślał, spoglądając z obrzydzeniem na opasłe teczki z aktami sprawy „Leśna wycieczka”, jak ją sam nazwał w przyпыłwie dobrego, twórczego humoru niecały miesiąc temu. Wtedy gdy przejmował sprawę, wydawała się prosta do rozwiązania. Ktoś nocą w Święto Wojska zastrzelił niejakiego sierżanta Sławomira Matejuka. Ten Matejuk miał dyżur w swojej jednostce, ale w związku z tym, że było święto, postanowił zrobić zakupy w sklepie oddalonym od jednostki o jakieś trzy kilometry. Wybrał się tam z kapralem Romanem Stępiem. W drodze powrotnej, jak twierdzi Stępień, zatrzymali się, bo Matejukowi zrobiło się niedobrze, i wówczas pojawił się na ich drodze jakiś terenowy samochód. Wysiadł z niego mężczyzna, który nagle zaczął strzelać. Zabił Matejuka,

a Stępnia zranił w prawe ramię. Obu nad ranem znaleźli ich koledzy.

No i tu zaczynają się problemy, których nie doświadczył nigdy dotąd, od chwili kiedy został oficerem śledczym. Śledztwo przejęła natychmiast żandarmeria wojskowa, która skutecznie zatarła wszystkie ślady na miejscu. Zanim wezwano policję, nie dało się już w żaden sposób zidentyfikować śladów opon auta, którym przyjechał morderca. Co więcej, żadnych śladów nie dało się zidentyfikować, bo żołnierze przeszukali wszystko dookoła, deptając, co tylko się da. Najgorsze jednak, że ciało swojego kolegi zapakowali na nosze i zawieźli do jednostki, rannego natomiast odstawili do szpitala, a honkera przetransportowali na wojskowy parking. Gdy Piechowiak przyjechał na miejsce zbrodni, chciało mu się płakać. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś poboczne leśnej drogi przeorał kołami traktora. Niczego nie dało się tam znaleźć. Natomiast honker prezentował się świetnie na wojskowym parkingu. Mógł go sobie oglądać, ile chciał, bez obawy, że się pobrudzi. Auto wysprzątało i starannie umyło, a po wódce, którą kupił Matejuk, nie było śladu. Zresztą specjalnie jej nie szukał. Wiedział, że wojskowi ją ukryli, żeby nie było kompromitujących dowodów na chłanie podczas służby. Od sprzedawczyni dowiedział się, co sierżant kupił. Ta dała mu jeszcze paragon, którego nie zabrał jej ostatni tamtej nocy klient.

O tym, co się wydarzyło w lesie, opowiedział natomiast ranny kapral. Ale nie jemu, bo leżał wówczas nieprzytomny na sali pooperacyjnej. Relacje z drugiej ręki przedstawił mu kapitan Podlewski z żandarmerii. Ten

zdążył porozmawiać z żołnierzem, zanim przewieziono go do szpitala.

– Zatrzymali się tutaj, żeby się wysikać. – Wskazał na drzewa po prawej. – Sierżant poszedł w krzaki, a kapral czekał, bo mu się nie chciało. I wtedy podjechał jakiś terenowy wóz i wysiadł z niego jakiś człowiek, ale kapral nie wie, kto to był, bo wóz był na długich światłach i dlatego widział tylko zarys postaci i samochodu. Więc jak sierżant wyszedł na drogę, jak już się wysikał, to facet zaczął strzelać i pierwszym strzałem zastrzelił Matejuka.

– Ma oko. Może to też był żołnierz?

– Mógł trafić przypadkowo – stwierdził oficer.

– A ten drugi? Kierowca, tak?

– Kapral, jak usłyszał strzały, od razu skoczył w zarośla, a ten zaczął za nim strzelać i na szczęście trafił tylko raz.

– Miał farta.

– Tak jest. Dobrze, że się schował, bo nie miał ze sobą broni i nie było jak walczyć z napastnikiem. Czasem najlepiej jest się wycofać na z góry upatrzone pozycje.

– I co było dalej?

– Dalej to on stracił przytomność i przeleżał w tych krzakach do rana.

– A kto go odnalazł, znaczy się, ich kto znalazł?

– Około szóstej rano nasi ludzie z patrolu odnaleźli honkera i zawiadomili dowództwo.

– A wyście przyjechali zrobić tu porządek?

– Zgodnie z regulaminem – potwierdził oficer. –

Działamy w takich sytuacjach rutynowo.

Policjant pokiwał głową. Miał ochotę powiedzieć mu parę słów na temat tej rutyny, ale powstrzymał się, żeby nie zepsuć sobie od razu stosunków z wojskiem. Wiedział, że jeśli chce znaleźć mordercę, niezbędna mu jest pomoc żołnierzy.

– A co oni w ogóle robili tu w nocy?

– Wykonywali rutynowe działania zabezpieczające obszar jednostki.

No więc podkomisarz Piechowiak wiedział niemal od razu, co się wydarzyło, ale nie miał pojęcia dlaczego. Rutynowe działania oznaczały w tym wypadku chłanie na służbie i kto wie, może porachunki. Ktoś musiał mieć jakieś niedokończone sprawy z Matejukiem i załatwił je tamtej nocy, korzystając z tego, że sierżant był pijany i praktycznie bezbronny. A kto mógł wiedzieć, że ci dwaj akurat tej nocy pojedą po wódkę do pobliskiego sklepu? Taką wiedzę mógł mieć tylko ktoś z najbliższego otoczenia sierżanta, czyli ktoś, kto z nim wtedy pił albo wiedział, że ten będzie pić. Podkomisarz był przekonany, że wojsko zgodzi się z jego argumentami. Rozmawiał jeszcze tam w lesie z prokuratorem wojskowym majorem Gomółką i ten zapewnił go, że ma całkowicie wolną rękę w śledztwie, ale żeby mu ułatwić sprawy w wojsku, przydziela mu do pomocy żandarma kapitana Podlewskiego. Więc Piechowiak przegadał z nim wszystkie kwestie i podzielili się robotą. Policja miała zająć się poszukiwaniem samochodu i oczywiście świadków, którzy widzieli tu jakieś auto około północy z piętnastego na szesnastego sierpnia, a żandarm miał

sporządzić listę wszystkich podoficerów i oficerów, którzy tej nocy pełnili służbę w jednostce, i najlepiej, żeby udało mu się ustalić, kto ostatni widział żywego Matejuka.

Wynik poszukiwań policyjnych można było z góry przewidzieć. Trudno było znaleźć auto, jeśli nie miało się numerów rejestracyjnych. Na monitoringu od strony wjazdu do Poznania nie znalazł niczego interesującego. Natomiast kapitan Tomasz Podlewski stanął na wysokości zadania. Następnego dnia przed południem był już w komendzie miejskiej w pokoju podkomisarza Piechowiaka z obszerną teczką. Teczka zawierała kserokopie danych personalnych pięciu podoficerów, którzy mieli służbę ubiegłej nocy. Niestety żaden z nich nie widział Matejuka. Nie mieli też pojęcia o tym, że sierżant był tej nocy w jednostce i że w ogóle wyjeżdżał z niej honkerem.

– Przecież dla kogoś wiozł tę wódkę. – Piechowiak pokręcił głową, zapoznawszy się ze wszystkimi zaprotokołowanymi zeznaniami.

– Jaką wódkę? – zdziwił się kapitan.

– No niechże pan nie będzie dzieckiem. Przecież ci dwaj jechali do sklepu po wódkę.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową Podlewski. – Na służbie nie wolno pić alkoholu. To już nie te czasy, co w latach osiemdziesiątych, no, nawet jeszcze dziewięćdziesiątych. Wtedy owszem, w jednostkach piło się dość często, ale teraz to co innego – wyjaśnił z pełnym przekonaniem.

Piechowiak uśmiechnął się pod nosem. Takie głodne

kawałki mógł nawijać cioci na imieninach. Tak jakby myślał, że policjant jest harcerzem, który tylko przypadkowo rozmawia z nim o wojsku. Zresztą co tam wojsko, w policji podobno też przecież się nie piło. Starsi koledzy mówili, że za czasów PRL-u w Milicji Obywatelskiej chlało się przed pracą, w trakcie i po, byle nie kosztem pracy. W latach dziewięćdziesiątych przed pracą już nie było wolno, a teraz można tylko w trakcie dyżuru, bo policjant jest na służbie całą dobę. I dlatego wiedział dobrze, że i wojsko, i policja pod tym względem niewiele się różniły.

– Trzeba było ich wszystkich wziąć na alkomat – stwierdził podkomisarz.

– Oczywiście tak zrobiłem. – Podlewski wyciągnął z teczki plastikową koszulkę, w której znajdowały się małe białe papierki przypominające wyglądem paragony z kasy sklepowej. Wysypał je na biurko. Na zadrukowanej stronie urządzenie zapisało efekt pomiaru. Wszystkie były identyczne i wskazywały na 0.00. Po drugiej stronie każdej z karteczek zapisano ręcznie, ale starannie drukowanymi literami stopień i nazwisko sprawdzanej osoby.

Piechowiak znał dobrze ten numer. W razie kontroli wysyłało się na badanie podejrzanych o spożycie policjantów, ale na miejsce, czyli do pokoju, gdzie stał alkomat, docierały już zupełnie inne osoby, które podawały nie swoje dane. Podmianki zawsze organizowano szybko i skutecznie. W wojsku nie mogło być inaczej.

– Podmienione, na sto procent.

– Co pan opowiada?

– Był pan przy dmuchaniu?

– Nie, no po co?

– Poszli wszyscy razem?

– Skąd. Każdy był wysyłany na biuro przepustek z podoficerem służbowym zaraz po przesłuchaniu.

Piechowiak uśmiechnął się, spoglądając na żandarma. Ten nie wyglądał na naiwnego, ale jednak dał się ograć jak małe dziecko. No cóż, chłopak nie miał zapewne zbyt wielkiego doświadczenia. Wyglądał najwyżej na trzydzieści lat, dlatego starzy wyjadacze bez trudu zrobili go w trąbę. On miał już czterdzieści dwa lata, więc znał życie trochę lepiej niż ten młodzieniec. Wiedział dobrze, że teraz było już za późno, by udowodnić im, że pili razem z nieboszczykiem. Spojrzał na leżące na blacie biurka wydruki alkometru. Być może cała ta piątka piła razem z Matejukiem? A może jeden tylko udawał picie? Gdy sierżanta wysłali po wódkę, on wsiadł w swoje auto i pojechał za nim.

– Który z nich ma samochód terenowy? – zapytał żandarma.

Kapitan obiecał to sprawdzić. Oddzwonił za dwa dni. Okazało się, że terenówkami jeździło trzech spośród pięciu podoficerów. Podkomisarz wezwał ich wszystkich na przesłuchanie do komendy miejskiej. Nic z tego jednak nie wynikło. Byli trzeźwi tej nocy, nikt nie imprezował i nikt nie widział ani Matejuka, ani Stępnia. Udało mu się też w końcu przesłuchać tego ostatniego, gdy już doszedł do siebie. Jego zeznania były podobne do tego, co powiedział mu na samym początku kapitan Podlewski. Byli w nocy na

rutynowym patrolu. Takie patrole robi się od czasu do czasu, dlatego są rutynowe. Gdy wracali, musieli się zatrzymać za potrzebą. Wtedy podjechała terenówka na długich światłach, z której ktoś wyszedł i zaczął do nich strzelać. Nie widział jego twarzy ani nie miał pewności, co to było za auto. Nic nie widział, a potem stracił przytomność. Oczywiście żadnej wódki nie wieźli, a sprzedawczyni coś się pomieszało w głowie.

Wszyscy kłamali jak z nut. Tego Piechowiak był pewny. Tylko jak im udowodnić, że łąą? I kogo, do cholery, kryją? Kluczem do rozwiązania tej zagadki mógł być terenowy samochód, który trzeba było odnaleźć. Ale to już nie jego działka. On zrobił wszystko, co mógł. Teraz musiał tylko doprowadzić akta do porządku, pouzupełniać notatki tam, gdzie czegoś zabrakło, pospinać dokumenty, żeby w teczkach nie było burdelu, a gdy to wszystko już zrobi, będzie mógł wrócić do domu. Może uda mu się za jakieś cztery godziny, jak dobrze pójdzie, a jeśli nie, to żegnaj grillu. A tym pierdolonym wojskiem od poniedziałku zajmie się dochodzeniówka z wojewódzkiej. To oni przejmowali śledztwo „Leśna wycieczka”. Choć tak naprawdę kryptonim powinien być inny, pomyślał, patrząc na tytułową stronę teczki. Powinien brzmieć – „Leśne gównu”.

Godzina 8.35

Już z daleka dostrzegła policyjną blokadę. Chłopaki z drogówki zatarasowali lewy pas ruchu, więc na drodze od skrzyżowania w Piotrowie utworzył się ogromny korek. Teraz ten pas był pusty, ale wiedziała, że za chwilę mogą puścić wahadłowo ruch z naprzeciwka, więc wskoczyła w wolną przestrzeń, by przejechać jak najdalej. Zdążyła w ostatnim momencie. Gdy podjechała do blokującego drogę policyjnego volkswagena transportera, sierżant machnął lizakiem na pierwszy samochód jadący od strony Wronek, wskazując pusty pas. Auto wjechało na niego akurat w chwili, gdy motor Anety zatrzymał się przed blokadą. Sierżant, dostrzegłszy motocyklistę, zadał w gwizdek i pomachał lizakiem. Na ten sygnał natychmiast zza radiowozu wynurzył się kolejny policjant, tak jak jego kolega z krokiewkami sierżanta na pagonach.

– No i co? Tak się śpieszymy, że zaraz zainkasujemy mandacik. Kierujący nie wie, że nie wolno omijać aut stojących w korku lewym pasem, bo można doprowadzić do kolizji z samochodami jadącymi z naprzeciwka.

– Patryk, nie pierdziel mi tu głupot, bo nie mam czasu – rzuciła i jednocześnie podniosła szczękę swojego kasku. Sierżant drogówki otworzył usta ze zdumienia. Przez chwilę patrzył na piegowaty nos motocyklistki i naraz uśmiechnął się zadowolony.

– Anetka, jak pragnę zdrowia! A niech cię diabli. Skąd żeś się tu wzięła?

– Przyleciałam na miotle.

– No wiadomo, że takie rude diablice jak ty to tylko na miotłach. Ale gdzie masz kota?

– Kota? Nie mam kota. Mam psa, który jest wyjątkowy. Wiesz dlaczego? Bo ma trzy nogi.

– Powaga? I jak łązi na tych trzech girach?

– Normalnie. Pewnie szybciej od ciebie.

– A jak się nazywa ten pies?

– Pies.

– No pies. O niego się pytam.

– Pies.

Znali się od trzech lat, to jest od chwili, gdy Aneta została przeniesiona ze swojego posterunku w Dusznikach do wydziału dochodzeniowo-śledczego w Szamotułach. Nie zagrzała tu jednak zbyt długo miejsca. Miesiąc później była już w Poznaniu. Patryka Wtorka, wówczas starszego posterunkowego, nikt nie miał zamiaru nigdzie przemieścić. Siedział na miejscu i w ciągu trzech lat dosłużył się awansu, i został sierżantem. Młodsza od niego Aneta awansowała znacznie szybciej i wszystko wskazywało na to, że jeszcze w tym roku do swoich pagonów będzie mogła dołożyć trzecią krokiewkę, gdy zostanie sierżantem sztabowym. A gdy skończy studia, otworzy się przed nią świat gwiazdek nadziewanych na patyk.

– Biernat jest gdzieś tutaj? – zapytała chłopaka. Ten odwrócił się i wskazał na pobocze. Zobaczyła kilka cywilnych i policyjnych samochodów. Widać kryminalni robili już swoją robotę. A skoro tak, komisarz Biernat, jej dawny szef, musiał też tu być. On zawsze chciał sam dokładnie zbadać miejsce, w którym doszło do przestępstwa. Mówiło się o nim, że jest jak pies, który musi obwąchać wszystkie obsikane drzewa w okolicy.

– Idź tam. – Wskazał dłonią porośniętą drzewami i krzakami, schodzącą poniżej drogi, skarpe. – Zaraz go zobaczysz.

– Motocykl mogę tu zostawić? – zapytała, wskazując na swoją maszynę.

– Pewnie, nic się nie przejmuj. Ja ci go przypilnuję.

Uśmiechnęła się, po czym zdjęła kask i położyła go na siedzeniu. Od razu też spięła gumką włosy w koński ogon, żeby jej nie przeszkadzały podczas skakania po leśnych nierównościach, i założyła na głowę policyjną bejsbolówkę, którą na wszelki wypadek zawsze woziła w zasobniku na narzędzia.

Kilkunastu ludzi uwijało się w kotlinie jakieś dziesięć metrów poniżej drogi. Sprawdzali dokładnie każdy centymetr terenu wokół niewielkiego błotnistego bajorka. Charakterystyczną sylwetkę swojego byłego dowódcy dostrzegła niemal natychmiast. Biernat był niewysokim, mierzącym nieco ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, czterdziestokilkulatkiem z pokaźnym brzuchem, okrągłą twarzą przyozdobioną dodatkowym podbródkiem i solidną łysiną biegnącą od czoła w kierunku potylicy. Nie był jednak całkowicie łysy. Na skroniach zostało mu jeszcze nieco włosów, których długość zapewne miała rekompensować braki na czubku głowy. Na nosie miał okulary o grubych szklach. Ubrany jak zwykle w brązowy, nieco pomięty garnitur, który był już niemodny w latach dziewięćdziesiątych i teraz wreszcie miał szansę dogonić najnowsze trendy, bo, jak wiadomo, moda powtarza się, a wąskie nogawki spodni powoli wracają do łask. Biernat nie wyglądał na policjanta, ale raczej na urzędnika

magistratu zajmującego się gospodarką odpadami. Jednak pod tą nieco niechlujną powłoką zapuszczonego safandudy krył się bystry facet, który potrafił precyzyjnie łączyć fakty i wyciągać z nich właściwe wnioski.

Właśnie stał na skraju bajorka i czyścił nos papierową chusteczką. Był alergikiem uczulonym chyba na wszystkie pyłki świata, więc każda wyprawa do lasu kończyła się dla niego niezbyt przyjemnie. Dostrzegłszy komisarza, pomachała do niego, ale jej nie zauważył. Zabrał się właśnie za wycieranie załzawionych oczu.

– Proszę stąd odejść. Tu nie wolno chodzić – odezwał się do niej groźnym tonem jakiś szczupły młodzieniec w mundurze policjanta. Ten mundur wyglądał tak, jakby go dostał od starszego brata. Na niektórych chuderlakach wszystko wisi jak na strachu na wróble. Wiedziała coś o tym, bo mniej więcej do dwudziestego roku życia też była takim szkieletem. Dopiero niedawno zaczęły się jej zaokrąglać niektóre miejsca, a i tak uważała, że za mało, i w związku z tym była jedną wielką zbitką kompleksów. Jej najlepsza przyjaciółka, Martyna Urbanek, nieraz jej powtarzała, że małymi cyckami wcale się nie trzeba przejmować, bo urosną akurat wtedy, kiedy będą potrzebne, i że w związku z tym ma sobie znaleźć faceta, który lubi małe, a nie wielkie. Łatwo było jej mówić, skoro sama miała pięć razy większe od Anety, a tyłek taki, że oglądali się za nią wszyscy faceci.

– Widzisz tę czapeczkę, kolego. – Wskazała na daszek swojej bejsbolówki. Chłopak spojrział również i wzruszył ramionami.

– Każdy se może taką czapkę założyć – stwierdził,

nieufnie przyglądając się jej obcisłemu, skórzanemu kombinezonowi motocyklowemu.

Aneta pokręciła głową z niedowierzaniem. Widać orzełek nad daszkiem nie zrobił na nim większego wrażenia. Chłopak nic nie kuma, pomyślała. Musi dopiero zaczynać robotę w policji i nie ma o niczym pojęcia, więc trzeba mu będzie trochę pomóc.

– Dobra, nie mam czasu z tobą gadać. – Wyciągnęła z kieszeni policyjną blachę i machnęła mu nią przed nosem. – A to kupiłam na Allegro, co?

– No bo...

– Starszy sierżant Aneta Nowak, KW Poznań. A jak widzisz orzełka na czapce, to znaczy, że masz do czynienia z funkcjonariuszem. Rozumiesz?

– Melduję, że rozumiem. Posterunkowy Alan Nogaś z Szamo...

– Anetka, jak Boga kocham! – zawołał z dołu Biernat, dostrzegłszy wreszcie jej drobną postać.

– Trzymaj się, Alan, buźka. – Uśmiechnęła się do chłopaka, a on natychmiast zrobił się czerwony na twarzy. Minęła go i zbiegła do Biernata. Ten chwycił ją mocno w objęcia, a potem wycałował w oba policzki.

– Ej, dziewczyno, z nieba nam spadasz? – Położył jej ręce na ramiona i odsunął nieco od siebie, przyglądając się badawczo. – Dobrze wyglądasz. Buźka się trochę zaokrągliła, ale to ta sama nasza Anetka! Dobrze cię widzieć, kochana.

– Pana też fajnie zobaczyć – powiedziała naprawdę zadowolona ze spotkania.

Aneta ceniła Biernata przede wszystkim za jego fachowość. To był facet, który marnował się na prowincji. Mówiło się, że powinien pracować przynajmniej w Poznaniu, jeśli nawet nie w Warszawie. Podobno już kilkakrotnie dostał propozycję awansu i przeniesienia. Za każdym razem odmawiał i nikt nie wiedział dlaczego. On sam mówił, że dobrze mu na starych śmieciach i nie ma zamiaru urządzać się gdzie indziej. Aneta знаła przyczynę. Biernat miał żonę, która po wypadku samochodowym była sparaliżowana od pasa w dół. To ze względu na nią odrzucał wszystkie oferty. Oboje czuli się dobrze w swoich Szamotułach.

Popatrzyli na siebie i naraz oboje zorientowali się, jak niezręczne są te wybuchy radości w tym miejscu. Ale nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Biernat chrząknął, sięgnął po chusteczkę i wysmarkał nos.

– Ta alergia mnie kiedyś wykończy.

– Niech pan pójdzie na odczulanie.

– Jeszcze tego brakowało. Czytałem o tym w internecie. Odczulanie to zastrzyki. Myślisz, że dałbym się pokłuć, nie mając żadnej gwarancji, że to klucie przyniesie efekt. A poza tym, tak między nami... – Przysunął się do niej i pochyliwszy się, powiedział cicho: – A poza tym cholernie się boję zastrzyków.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– No dobra, my tu o pierdołach, a tam... – Wskazał palcem zwłoki w błotnistej mazi. Fotograf skończył właśnie robić zdjęcia miejsca i ciała w zastanym

położeniu, więc można było dziewczynę wydobyć z bagna. Na brzegu technicy rozkładali już plastikowe prześcieradło, by na nim położyć zwłoki. Dwaj policjanci w waderach na nogach zakładali rękawice. Całą operacją dyrygował aspirant Szymon Turek, szczupły facet w kurtce dżinsowej i kowbojskich butach, który sprawiał wrażenie, jakby przez przypadek zapomniał założyć kapelusz z szerokim podwiniętym rondem.

– No dalej, panowie, do roboty. Macie urlop czy jak? Bierzcie ją i tutaj układać.

Dwaj młodzi policjanci weszli do bajora. Ten, który miał chwycić dziewczynę pod ramiona, musiał wejść dwa kroki dalej niż jego kolega. Zrobił pierwszy krok i natychmiast zapadł się po kolana w grząskim błocie.

– Ostrożnie, Jaworski – zawołał Turek. – Bo zaraz będziemy wyciągać jeszcze topielca. Nie leż tam za szybko, bo cię ta glajda wciągnie.

Jaworski zrobił jeszcze jeden mały krok, ale nie zapadł się głębiej. Pochylił się więc nad ciałem i pewnie chwycił pod ramionami. Jego kolega uniósł nogi i obaj wolno ruszyli ku brzegowi. Po chwili ciało kobiety leżało na przygotowanej czarnej folii. Fotograf, przykucnąwszy, natychmiast zaczął robić zbliżenia twarzy.

Biernat i Aneta podeszli bliżej. Policjantka przyklęknęła na jedno kolano tuż przy nogach dziewczyny i zaczęła uważnie wpatrywać się w zwłoki, szukając czegoś, co byłoby nieoczywiste.

Oficer wydobył z kieszeni swój wysłużony dyktafon. Włączył go, a potem przyłożywszy mikrofon urządzenia

do ust, zaczął mówić monotonnym, wypranym z emocji głosem:

– Kobieta, lat około dwadzieścia, dwadzieścia pięć, włosy blond, farbowane, widoczne odrosty, kolor naturalny czarny. Ubrana w czerwoną pikowaną, krótką kurtkę, pod nią fioletowy obcisły sweter, spódniczka mini, czarna. Na nogach rajstopy, tak zwane kabaretki, czarne, zdjęte do połowy razem z czarnymi majtkami. Na stopach brak obuwia. Kobieta zginęła od strzału w skroń głowy. Otwór wlotowy w części prawej skroniowej, wylot w okolicy lewego oczodołu i lewej strony nasady nosa. Zmasakrowane miejsce świadczy o użyciu przez sprawcę broni o dużym kalibrze, być może dziewięć milimetrów. Opuszczone do kolan rajstopy i majtki mogą świadczyć o tym, że kobieta była przez śmiercią wykorzystana seksualnie...

Aneta rozejrzała się. Tuż obok na ziemi leżał jakiś patyk. Wzięła go do ręki i za jego pomocą uniosła skraj spódnicy. Przez chwilę patrzyła w skupieniu. W końcu odrzuciła kij i przesunęła się nieco w lewo. Pochyliła się jeszcze bardziej. Zabita miała prawą dłoń zaciśniętą w pięść.

– Co tam, Anetka, widzisz? – zapytał Biernat, który właśnie skończył sporządzanie notatki dźwiękowej. Dyktafon ułatwiał mu życie, bo dzięki temu nie musiał niczego spisywać na miejscu i mógł skupić się tylko na oglądaniu wszystkiego.

– Ma coś w dłoni.

– Co to jest?

– Wygląda jak papier. Biały papier. Ale jest przemoczony, więc niewiele widać. Trzeba to ostrożnie wyciągnąć i wysuszyć.

– To pewnie chusteczka higieniczna. Może dziewczyna miała katar. Wiesz, jak to jest w lesie, te cholerne pyłki. A ona wygląda na taką, co w lesie pracowała przez cały dzień, no to mogła mieć katar.

– Jak się tak stoi przez cały dzień – wtrącił się Turek – to się bynajmniej można przeziębic.

Naraz Aneta poderwała się na równe nogi, a stanąwszy, zaczęła lustrować dokładnie całe zbocze niewielkiej kotliny. Aspirant, spojrzawszy na nią, chciał coś rzucić żartem, ale Biernat powstrzymał go, wyciągając dłoń. Policjantka tymczasem wolno, krok za krokiem, zaczęła wspinać się ku górze. Mniej więcej na wysokości dwóch trzecich skarpy, przy niewielkiej kępie krzaków, gdzie stromizna przechodziła w niemal poziomy odcinek, coś w rodzaju naturalnej półki, przystanęła i pochyliła się, opierając dłonie na kolanach.

– Jest! – zawołała. Biernat natychmiast ruszył do góry, choć szło mu to z wyraźnym trudem. Gdy w połowie drogi zachwiał się, Turek chwycił go pod ramię, ale stary gliniarz wyrwał mu rękę i burknął coś pod nosem. Gdy dotarł do Anety, ta nadal stała wpatrzona w jeden punkt.

– Co tam masz, Anetka?

Spojrzała na niego, a potem wskazała palcem coś brązowego leżącego w trawie.

– Tu – powiedziała i pokiwała głową.

– Co to jest? – Biernat pochylił się nieco, by dobrze

zobaczyć, co tam leży.

– Gównno, ha, ha, ha, zwyczajne gównno! – Turek był najwyraźniej ubawiony znaleziskiem dziewczyny. Już widział oczyma wyobraźni, jak opowiada o tym kolegom na komendzie i jak wszyscy śmieją się głośno z tego nieprawdopodobnego odkrycia. Wiadomo przecież nie od dziś, że dziewczyny nie nadają się na policjantki. Owszem, do siedzenia w biurze, no ewentualnie kierowania ruchem, ale do śledztwa to dziewczyn się nie powinno brać, bo zawsze wyjdzie z tego... gównno!

– Kurwa! – wyrwało się Biernatowi, który raczej rzadko używał przekleństw.

– He, he, he, dowód w postaci kupy... – Turek pewnie by jeszcze coś inteligentnego powiedział, ale szef spojrział na niego tak, że uśmiech zamarł mu na ustach, przechodząc w krzywy grymas niepewności.

– To znaczy, że ona... – Biernat zaczął wolno układać sobie w głowie obraz sytuacji – że zastrzelił ją, jak ona...

– Jest tu sporo krwi razem z kałem – powiedziała zdecydowanym głosem Aneta.

– Ale o co tak bynajmniej się rozchodzi? – Turek jeszcze niczego nie pojął i najwyraźniej daleki był od zrozumienia.

– Dziewczyna przyszła tu w krzaki, żeby się załatwić – powiedział Biernat.

– Musiała być chora albo może pobita, bo ta krew... no i wtedy ktoś do niej strzelił z bliska.

– He, he! Piękna śmierć podczas srania...

– Zamknij się, idioto! – warknął Biernat, a Turek poczuł, jakby mu ktoś przyłożył w pysk. A Aneta mówiła dalej, nie zwracając wcale uwagi na Turkowe idiotyzmy.

– ...dlatego ma w tej zaciśniętej dłoni papier. To nie jest chusteczka higieniczna, ale papier toaletowy. O, a tutaj leży jej but. – Wskazała miejsce obok. – Drugi musi być gdzieś niżej. Zabił ją, a potem pociągnął w dół i wrzucił do błota. Jak będziemy mieć szczęście, to gdzieś tu znajdziemy jeszcze łuskę. Wychodzimy stąd, niech przeszukają każdy centymetr...

Biernat spojrział na Turka, marszcząc groźnie brwi, a ten natychmiast ruszył w dół, by wydać polecenie policjantom. Ci stali zbici w grupkę, czekając, by ktoś zarządził zakończenie akcji. Turek rozwiął ich nadzieje. Chcąc nie chcąc, musieli wziąć się znów do roboty, przeklinając w myślach swój los. Z pewną dozą współczucia, ale również z lekką satysfakcją patrzyli na nich z góry młodzi policjanci, którzy zabezpieczali teren. Ich robota była znacznie prostsza, bo mieli stać i nikogo nie dopuszczać do miejsca zbrodni. Tylko posterunkowy Alan Nogaś przesunął się lekko w lewo, by widzieć, co robi Aneta. Przez cały czas wpatrywał się w jej drobną sylwetkę. Patrzył na nią i na tego starego grubego policjanta pełen podziwu, zastanawiając się, jakimi ci dwoje muszą być rutyniarzami i specami. Ile oni muszą mieć policyjnego doświadczenia, by w ten obojętny sposób zachowywać się w obliczu majestatu śmierci. Choć musiał przyznać, że z tym majestatem, o którym mówił kiedyś w szkole jego ksiądz na lekcji religii, to jest pewna przesada, bo tutaj śmierć wyglądała żałośnie, a ta zabita

dziewczyna przypominała szmacianą lalkę, którą kapryśna i złośliwa dziewczynka potarłła i cisnęła w błoto.

Godzina 9.35

- Nie mam pojęcia, panie prokuratorze.
- A kto niby ma mieć pojęcie? Ja się was pytam.
- Nie mam pojęcia.
- Co wy mi tu pierdolicie, Stasiak? Jak wy nie macie, to kto ma mieć?
- To nie jest tak, jak pan myśli.
- A jak jest, Stasiak?
- Niby tak, że z każdej sztuki się trzeba wyliczyć i od tego są protokoły, do których się wszystko wpisuje.
- A co wy sobie myślicie, że ja nie wiem takich rzeczy, że są protokoły? Od tego, kurwa, są protokoły, żeby w nich pisać prawdę, nie? No to piszecie, że z magazynu wyjechało na Morasko czterdzieści skrzyń trotylu minerskiego, prawda?
- Tak jest, panie prokuratorze.
- A ile skrzynek pustych wróciło do magazynu?
- W raporcie jest, że trzydzieści.
- A gdzie jest dziesięć?
- A cholera wie, panie prokuratorze – jęknął Bogu ducha winny plutonowy Olaf Stasiak, który był jednym z podoficerów odpowiedzialnych za transport

i dystrybuowanie ładunków wybuchowych niezbędnych do prac minerskich podczas wiosennych manewrów połączonych z ostrym strzelaniem na poligonie w podpoznańskim Biedrusku. Przynajmniej dwa razy w roku żołnierze z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu ćwiczyli tam swoje umiejętności w warunkach polowych. A do tego niezbędne było zaopatrzenie w minerski trotyl, który przydawał się do różnych celów, jak choćby prac ziemnych. To już nie były te czasy, kiedy na poligon zwożono całe setki chłopaków z zasadniczej służby wojskowej, którzy stanowili tanią siłę roboczą. Gdy trzeba było okopać czołg, przygotowując dla niego stanowisko obronne, dwudziestu chłopca ryło łopatami dziurę w ziemi przez cały dzień. Teraz, gdy o ludzkie zasoby w armii było trudniej i nie było już pod ręką rekrutów z poboru, czołgiści sami przygotowywali sobie stanowiska za pomocą kilku kostek trotylu i oczywiście pod fachowym nadzorem saperów. Jeden, dwa wybuchy i jama gotowa. No więc podczas przygotowań do ćwiczeń trotyl był potrzebny, dlatego wydawało się go niemal na każde żądanie. Niby było dokładnie zapisane, kto i ile pobrał. Ale jak to na poligonie, takie rozpiski nie zawsze odpowiadały prawdzie. Kartki gubiły się, mokły i rozpadały od wilgoci, więc wiadomo, że uzupełniało się dane w jednostce. No i tym razem też tak było, tylko nie wiedzieć czemu jednej kartki w specyfikacji brakowało. Nie było informacji o tym, co stało się z dziesięcioma skrzyniami. Co gorsza nie było też tych cholernych skrzynek, o których losie plutonowy Stasiak nie miał zielonego pojęcia.

Normalnie nikt by się tym nie przejmował. Były

zabrane, więc pojechały na poligon. A że nie wróciły, to znaczy, że ci, którzy je wzięli, mieli to w nosie, myślał gorączkowo plutonowy. Wykorzystali trotyl, a potem opakowania wypieprzyli gdzieś w krzaki, bo kto by sobie tam nimi głowę zawracał. Zawsze tak było, że gdy wieźli ładunki wybuchowe na poligon, to nie wszystkie skrzynie wracały. Ludzie zostawiali je gdzie bądź, a potem szukaj wiatru w polu. Gdyby Stasiak wiedział, że zrobi się taka afera, to już dawno wzięłby wóz terenowy i pojechał na Biedrusko, i tak długo by jeździł po tych wszystkich miejscach, gdzie odbywało się strzelanie, aż by znalazł te skrzynie. I pewnie nie tylko te, ale i jeszcze sporo innych. Na poligonie walało się dużo różnego szajsu, który zostawał po ćwiczeniach. I nikt sobie tym głowy nie zaprzętał.

– Pieprzyć je! – Machnął na to ręką sierżant Matejuk, gdy wrócili do koszar, a Stasiak meldował mu braki. – A kogo obchodzą jakieś jebane skrzynie? – pytał sierżant. – Obchodzą cię? Chcesz se w nich pyry na zimę chować?

– No nie, po cholere mi – odpowiedział zgodnie z prawdą plutonowy. Nie potrzebował skrzynek i w zasadzie nikt ich nie potrzebował, ale zapytał Matejuka tylko dla porządku, żeby potem nie było na niego. Więc sierżant odpowiedział, żeby się nie martwił, bo on to bierze na siebie. No i wzięł rzeczywiście, tyle że teraz nie mógł tego potwierdzić, bo nieboszczycy z przestrzeloną głową raczej są mało rozmowni. Za to ten cholerny prokurator gadał jak najęty.

– Więc tak to widzę, Stasiak – zaczął podsumowywać swoje przemyślenia prokurator, major Brunon Gomółka. – Wyście na Biedrusko zabrali trotyl. Wzięliście na stara czterdzieści skrzyń trotylu, a do koszar wróciło trzydzieści pustych. To znaczy, że wam dziesięć gdzieś wyparowało. No i też dla mnie najważniejsze jest jedno, czy wyparowały wam pełne czy puste. Dobrze się zastanówcie, zanim odpowiecie.

Stasiak zaczął się zastanawiać, ale wcale nie nad pytaniem prokuratora wojskowego. Ten wstał zza biurka, odwrócił się do podoficera plecami i założywszy ręce z tyłu, podszedł do okna. Stojąc tak, wpatrywał się w to, co działo się na zewnątrz. Ale tam niewiele mogło się dziać. Przed budynkiem prokuratury był parking, a za nim przy ulicy Nowowiejskiego stał stary budynek, w którym mieściła się jakaś szkoła i centrum doradztwa zawodowego. Plutonowy wiedział, że jest tam to doradztwo, bo kiedyś, zanim zdecydował się na szkołę średnią, wybrał się tam na rozmowę ze specjalistą, który zasugerował mu, żeby poszedł do rolniczej, skoro lubi kontakt z przyrodą. Posłuchał doradcy i to była najlepsza decyzja, jaką podjął w życiu. Bo niemal naprzeciw „rolnika” na Gołęczynie była szkoła wojsk lądowych. Zmierzając do swojego technikum, codziennie mijał ogrodzenie koszar wojskowych i coraz bardziej upewniał się w tym, że w przyszłości chce być takim facetem w mundurze jak ci, którzy chodzili za płotem. Po skończeniu szkoły rolniczej udało mu się tam dostać i po czterech latach służby dochrapał się czterech belek plutonowego. Miał widoki na kolejny awans i wszystko wskazywało na to, że w armii doczeka szczęśliwie

emerytury. Ale teraz po tym, co zdarzyło się z jego bezpośrednim przełożonym Matejukiem i ze skrzyniami po trotylu, możliwe było, że niedługo będzie musiał znów skorzystać z czyjejś porady na temat wyboru zawodu. Bo wojsko może go wykopać w tempie ekspresowym, a do tego jeszcze postawić przed sądem za zaniedbanie obowiązków służbowych.

Wszystko zaczęło się od zastrzelenia Matejuka. Stasiak miał tego wieczoru dyżur, podobnie jak jeszcze kilku innych podoficerów. Jak to bywa na nocnych dyżurach, szczególnie w dni świąteczne, wszyscy przygotowali się na wieczorną imprezę. Spotkali się w jednym z nieużywanych od jakiegoś czasu pomieszczeń biurowych. Wybrali salę, w której kiedyś spali żołnierze służby zasadniczej, bo stał tam duży stół i kilkanaście krzesel. Nic innego nie było im potrzebne. Impreza była składkowa i każdy przyniósł jakąś butelkę oraz zagryzkę. Wkrótce okazało się jednak, że wódka się skończyła. Wtedy Matejuk zaoferował się, że pojedzie do sklepu. Na wszelki wypadek jednak uradzili, że auto poprowadzi całkowicie trzeźwy i niepijący tego wieczoru kapral Stępień.

Gdy obaj podoficerowie pojechali po zaopatrzenie, pozostali biesiadnicy rozeszli się, bo każdy miał jakieś swoje sprawy. Tylko Stasiak został w tym imprezowym pokoju. Jego biuro przy magazynie z materiałami wybuchowymi było za daleko, więc postanowił zdrzemnąć się trochę przy biesiadnym stole. To właśnie przez tę drzemkę stracił najważniejszą i najbardziej ekscytującą część tego wieczoru, gdy jego koledzy, zaniepokojeni

przedłużającą się nieobecnością dostawców alkoholu, postanowili wyjechać im naprzeciw. Wrócili dwoma samochodami z zabitym Matejukiem i rannym Stępnem. Wtedy właśnie plutonowy Stasiak się obudził.

– Śpicie, Stasiak? – odezwał się prokurator, który przestał już podziwiać widoki za oknem. – No, dalej! Zastanowiliście się czy nie, bo nie mam zamiaru siedzieć tu całego dnia.

– Melduję, że wszystkie skrzynie musiały być puste.

– Musiały czy były?

Plutonowy, przemyślawszy sprawę, uznał, że nie ma co dawać szansy prokuratorowi na oskarżenie go o zaniechanie. Zagubienie dziesięciu pakunków z trotylem to było już przestępstwo. Natomiast zgubienie pustych skrzyń to tylko i wyłącznie zaniechanie, za które mógł co najwyżej dostać naganę. Za to nie wywalali z roboty, więc choć nie miał pojęcia, co się stało ze skrzyniami pełnymi czy pustymi, postanowił kłamać, ile się da, i iść w zaparte.

– Już sobie wszystko przypomniałem. Sierżant Matejuk jak zwykle robił specyfikację towaru. A ja wydawałem zgodnie z zapotrzebowaniem zgłaszanym przez drużyny czy plutony. No więc wydawaliśmy trotyl w pierwszym dniu, tak jak być powinno, po kilka kostek i w obecności sapera.

Prokurator pewnie miał jakąś wiedzę na temat obyczajów panujących na poligonie, bo słuchając, podniósł brwi ze zdziwienia. Chyba musiał wiedzieć, że każdy brał, ile potrzebował, a oni tylko wpisywali

nazwisko i ilość pobranego materiału do zwykłego szkolnego zeszytu. Potem z tego zeszytu przepisywali wszystko do specyfikacji i było po robocie.

– W związku z tym cały przydział materiałów wybuchowych został rozdysponowany w ciągu kilku godzin od rana i nic już się nie zostało w skrzyniach.

– Czterdzieści skrzynek w kilka godzin? – zapytał major z niedowierzaniem.

– W pierwszy dzień mają najwięcej roboty. Saperzy uwijają się, jakby im kto pieprzu do dupy nasypał. Bo chcą jak najszybciej swoją robotę wykonać i mieć wszystko z czapy. No więc wiara bierze towar, a potem jadą na swoje stanowiska...

– I wydaliście wszystko już pierwszego dnia?

– Melduję, że tak jest. Pierwszego dnia wszystko poszło.

– A co ze skrzyniami?

Plutonowy wzruszył ramionami.

– No dziesięć musieli zabrać do budowy tego, no, polowego punktu dowodzenia.

– Jak to? Musieli czy zabrali?

– Zabrali. Pamiętam dokładnie, ale kto zabrał, to ja już nie wiem, bo nie widziałem akuratnie. Sierżant Matejuk razem z sierżantem Witusiem wydawali. Na punkt dowodzenia się bierze najwięcej, bo tam muszą zrobić nie tylko ziemianki, ale jeszcze transeje i rowy łącznikowe... Masę kopania, zasadniczo.

Major Gomółka siadł za swoim biurkiem, chwycił

długopis i zaczął coś zapisywać na czystej kartce. Po chwili przesunął ją wraz z długopisem w kierunku podoficera.

– No to teraz napiszcie mi tu wszystko po kolei, jak było. Tylko bez żadnego kręcenia, tak jak żeście mi tu powiedzieli przed chwilą. Dokładnie z tymi dziesięcioma skrzyniami do przygotowania punktu dowodzenia.

Stasiak wziął długopis do ręki i zaczął powoli przelewać swoje myśli na papier. Powoli, bo nigdy nie był w pisaniu specjalnie dobry. Ale na szczęście pamiętał to, co opowiedział o tych skrzyniach przed chwilą, więc teraz pisał niejako z pamięci i musiał przyznać, że całkiem dobrze mu szło. Dwadzieścia minut później zadowolony z siebie uniósł głowę, a długopis odłożył na kartkę.

– Już upisane – poinformował majora, który przez ten czas siedział w telefonie. Był zajęty strzelaniem z jakiejś armatki do potworów, które trafione rozpryskiwały się po całym wyświetlaczu.

– Podpisać! – powiedział prokurator, dostrzegłszy, że na dole nie ma imienia i nazwiska zeznającego, a bez tego przecież zeznanie byłoby nieważne. Plutonowy szybko złożył podpis i spojrzał pytająco na oficera.

– No dobra, to możecie już iść.

– Tak jest, panie majorze! – Stasiak poderwał się z krzesła.

– A tak w ogóle, między nami, Stasiak, mogę wam prywatnie powiedzieć, że dobrze by było, żeby te wasze dziesięć skrzynek się znalazło. Rozumiecie?

– Tak jest!

– No to w porządku! – Gomółka pokiwał głową i wskazał podoficerowi drzwi. Ten pośpiesznie opuścił pokój, zadowolony, że udało mu się przekonać prokuratora do wersji, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Na wszelki wypadek postanowił jednak, że jutro, korzystając z wolnego dnia, pojedzie honkerem na poligon i przeszuka go wzdłuż i wszerz, żeby wrócić do koszar z jakimikolwiek skrzyniami. Prokurator miał rację, że stan musi się zgadzać.

Major Gomółka wpiął zeznanie do teczki jeszcze bardziej zadowolony. Bo jego śledztwo, które musiał prowadzić po zamordowaniu sierżanta Matejuka, wykazało, że nie ma ono nic wspólnego z domniemanym zaginięciem materiałów wybuchowych podczas ćwiczeń na poligonie w Biedrusku, bo takiego zaginięcia w ogóle nie było. Teraz niech problemem zastrzelonego żołnierza zajmuje się policja, bo wojsko zrobiło już wszystko, co w tej sprawie się dało zrobić.

Godzina 10.30

Naczelnik dochodzeniówki, inspektor Marcinkowski, miał dziś wolny dzień. Ale i tak przyszedł do pracy, bo w domu nie miał nic ciekawego do roboty. Chciał w spokoju, bo w soboty zazwyczaj nikt mu nie przeszkadzał, przejrzeć teczkę ze wszystkimi zaległymi sprawami, na które nie miał czasu w ciągu tygodnia. Jego tydzień składał się bowiem z narad, spotkań, operatywek

i ważnych uroczystości, na które wysyłał go komendant wojewódzki. Oznaczało to, że w zasadzie nie był już prawdziwym szkiełem, ale facetem, który godnie reprezentuje policję na zewnątrz. Brakowało mu tej codziennej roboty w terenie, ale nic na to nie mógł poradzić. Taka była praca szefa wydziału, a on się na tę robotę zgodził, kiedy jego szef, pułkownik Żyto, odchodził na emeryturę. Jeszcze trochę i sam będzie musiał pomyśleć o zasłużonym odpoczynku.

Wtedy w dziewięćdziesiątym, obejmując tę funkcję, wiedział mniej więcej, na czym ona polega, bo przecież obserwował swojego szefa na co dzień. Ten jednak podczas przekazywania mu obowiązków powiedział coś, co Fred zapamiętał na zawsze.

– Kierowanie nie polega, proszę ja ciebie, tylko na organizowaniu roboty. Najważniejsze, żeby tym organizowaniem nie przeszkadzać swoim ludziom. Bo, proszę ja ciebie, to ludzie są najważniejsi. Pamiętaj, dobieraj sobie takich, którzy są lepsi i mądrzejsi od ciebie. Jeśli otoczysz się takimi, robota będzie iść sama. Ale jeśli będziesz wyszukiwał głupszych, proszę ja ciebie, a takich znajdziesz sporo, to wtedy będziesz mógł im organizować dzień tak, jak chcesz, a oni będą robili zawsze tyle, ile im każesz. Albo nawet mniej. I teraz musisz sobie wybrać, proszę ja ciebie.

Dla Marcinkowskiego sprawa była prosta. Wybierał najlepszych, takich jak Blaszkowski czy całkiem niedawno Aneta. Dlatego przez lata udało mu się stworzyć całkiem sprawnie działający zespół.

Ktoś zapukał do drzwi. Trochę się zdziwił, bo przecież nie powinno być go w pracy. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł ubrany po cywilnemu, w dżinsy i dżinsową koszulę, Mariusz Blaszkowski. On zawsze potrafił wyczuć, kiedy Marcinkowski jest w pobliżu. Od dziesięciu lat był zastępcą Freda i to na nim spoczywała większość codziennych obowiązków, które szef musiał na kogoś scedować, gdy sam przesiadywał na nudnych naradach.

– Skąd wiedziałeś, że mnie nie ma? – zapytał naczelnik, uśmiechając się na widok Mariusza.

– Tak tylko wpadłem, przechodząc.

– Przypadkiem z tragarzami.

– Tak przypadkiem z tragarzami zawsze przechodzę – stwierdził, wskazując na teczki, które miał pod pachą. – To rzeczy, które mogą jeszcze trochę poczekać. Dopóki nie znajdziemy odpowiedzi na pewne pytania, a poszukiwanie już się zaczęło. Zresztą zobaczysz w poniedziałek. Ale ta z wierzchu jest ważna.

– Siadaj. – Fred wskazał Blaszkowskiemu stół konferencyjny, który stał w tym pokoju już wtedy, gdy urzędował tu jeszcze pułkownik Żyto. Blaszkowski wybierał zawsze krzesło pośrodku stołu, dokładnie to, które kiedyś zajmował Fred.

– Co to jest?

– W poniedziałek dostaniemy teczkę z prokuratury wojskowej i z komendy miejskiej. Mój kolega Piechowiak to prowadzi, ale umówiłem się z nim, że weźmiemy sprawę. On nie daje rady się przebić przez szklany sufit. Wojsko ma go w głębokim poważaniu i jak może, utrudnia

śledztwo. A chodzi o zastrzelonego podoficera, który zginął w lesie na Gołęczynie. Wojsko skutecznie zatarło wszystkie ślady. Coś tam musi cholernie śmierdzieć, więc postanowiłem się temu bliżej przyjrzeć.

Marcinkowski pokiwał głową. Wierzył w intuicję swojego kolegi. Nie raz już przekonał się, że ta poprowadziła śledztwo w odpowiednim kierunku.

– Dobra, przejrzę to i w poniedziałek powiem ci, co o tym sądzę. A te dwie pozostałe teczki?

Blazkowski machnął ręką.

– Nic nadzwyczajnego. To może jeszcze poczekać, bo są sprawy poważne, ale zadałem w tej kwestii kilka pytań tu i ówdzie i czekam na odpowiedzi. Na razie chciałbym tylko, żebyś wiedział, że miałem to u siebie i nie wywaliłem do kosza ze śmieciami. Więc najpierw donos o tajemniczych paczkach w hurtowni na Górczynie. To już przekazałem do miejskiej, żeby się rozejrzeli. No i jeszcze jedna kwestia, kilka zgłoszeń od strony ukraińskiej o tajemniczych zniknięciach ich obywaterek, które wybierały się jakiś czas temu do Polski, właśnie do Poznania. Jechały tu z jakimś biurem podróży z Kijowa i nigdy nie dotarły. Rodziny nie mają z nimi kontaktu.

– No dobrze, w takim razie poczekam na efekty tych działań i jakby co dawaj mi znać na bieżąco.

Spojrzał na Mariusza, ale ten chyba nie miał zamiaru kończyć rozmowy.

– No, mów – ponaglił go.

– Anetę wysłałem na drogę między Szamotułami a Wronkami. Tam znaleziono dziś rano zwłoki młodej

dziewczyny. Być może to osoba trudniąca się najstarszym zawodem świata.

– No rozumiem, dobrze zrobiłeś, bo Aneta ma smykałkę do takich spraw kryminalno-obyczajowych. Jak się w coś wgrzyzie, to jak buldog. Za cholerę nie odpuści.

– No właśnie dlatego padło na nią. Ale posłałem ją tam, dlatego że mam niestety przeczucie, że to morderstwo może się w jakiś sposób wiązać z tymi zaginionymi kobietami.

Marcinkowski przesunął się nieco na obrotowym fotelu z pilotem w ręce i skierował go ku telewizorowi wiszącemu na ścianie. Kiedyś w tym miejscu był portret Dzierżyńskiego. Od czasu, gdy Żyto odszedł na emeryturę, trochę się tu zmieniło, choć nie rewolucyjnie. Obszerne biurko z sosny z dość mocno pokancerowanym blatem zostało na swoim miejscu, ale zamiast wysłużonego krzesła pojawił się fotel z Ikei. Stojące kiedyś na parapecie radio tranzystorowe zastąpiła doniczka z jakimś kwiatkiem, którego nikt nie potrafił nazwać. Do biurka dostawiony był stół konferencyjny z sześcioma krzesłami. Ten sam stół i te same krzesła, które stały tu, gdy wprowadzano stan wojenny. Wtedy przy nim siadywali milicjanci z dochodzeniówki podczas codziennych odpraw. Wysłużony blat przykryto teraz obrusem, a krzesła oddano dziesięć lat temu do tapicera, by zastąpił bordową, powycieraną tkaninę nowoczesnym obiciem bez wzorków, za to w modnym błękitnym kolorze. Na ścianie, na której kiedyś wisiał portret Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, patrona radzieckich czekistów, pojawił się najpierw portret Piłsudskiego. Tak Żyto powitał nowe

czasy i przejście z milicji do policji. Ale gdy gabinet po szefie objął Fred, marszałek powędrował do szafy. Ten wnuk powstańca wielkopolskiego i późniejszego komisarza poznańskiej Policji Państwowej nie darzył specjalną estymą Naczelnika. Gdyby mógł, powiesiłby na jego miejscu któregoś z generałów i powstańczych dowódców – Dowbora-Muśnickiego albo Taczaka, ale ich portretów próżno było szukać w sklepach z wielkopolskimi czy poznańskimi pamiątkami.

Uruchomił pilotem telewizor. To urządzenie dawało mu znacznie więcej satysfakcji niż przyglądanie się zmarszczonym brwiom i zatroskanej minie Piłsudskiego. Od razu przełączył na TVN24. Na pasku nie było żadnej informacji o morderstwie pod Wronkami.

– Powiedz w takim razie o wszystkim Martynie, żeby zebrała potrzebne informacje od Anety. – Martyna Urbanek, zajmująca się u nich kontaktami z mediami, przyszła do wydziału z komendy w Szamotułach. Była bliską przyjaciółką Anety. Nie musieli się więc obawiać o przepływ informacji. A Aneta zazwyczaj w takich sytuacjach wiedziała, ile może przekazać koleżance do publikacji. – To co, mogę zniknąć do swojej samotni?

Mariusz rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że na wybory swojego szefa nie ma wpływu, ale nie ze wszystkimi się zgadza. Tak jak nie zgadzał się z tym, że wędkarstwo może być pasjonującym sposobem spędzania wolnego czasu.

Marcinkowski od kilku lat uważał inaczej. Jakiś czas temu kupił zrujnowane gospodarstwo w Puszczy Noteckiej, żeby po wyremontowaniu mieć oazę, w której mógł-

by spędzać wakacje i weekendy, no i przede wszystkim po to, żeby móc zabierać tam wnuki. Wtedy jeszcze nie wiedział, że jego syn wyjedzie na stypendium do Anglii i zabierze ze sobą rodzinę. Dlatego Marcinkowski jeździł tam sam. Dom stał w odległości pięćdziesięciu metrów od jeziora, no i nad tym jeziorem odkrył ze zdziwieniem, że jest miłośnikiem wędkowania. Twierdził, że go to uspokaja. Ale nie bardzo potrafił przekonać Mariusza, który uważał, że już samo nadziewanie na haczyk robaków jest czymś obrzydliwym.

– No to do zobaczenia w poniedziałek. – Blaszkowski wstał od stołu i podszedł do Freda uścisnąć mu dłoń. Pożegnali się, ale żaden z nich nie mógł nawet przypuszczać, że jeszcze dziś będą musieli znów się spotkać. Wszystko za sprawą młodszej aspirant Martyny Urbanek.

Rozdział II

Godzina 10.40

Mercedes ze znacznikiem pogotowia ratunkowego zjechał ze szpitalnego podjazdu i ruszył niewielką uliczką prowadzącą do rynku. Kierowca Wacek Ambroziak nie śpieszył się, bo nie jechał do wezwania. Wraz z ratownikiem Wojtkiem Grabowskim wyjechali ze szpitala w bardzo pilnej sprawie, jednak nie miało to nic wspólnego z medycznymi kwestiami. Sanitarka minęła narożną aptekę i zjechała w ulicę Braci Czeskich, w kierunku na Obrzycko.

– Ciekawe, co to są za bracia? – mruknął Grabowski, przeczytawszy mimochodem tabliczkę z nazwą ulicy.

– Jacy, kurwa, bracia? – Ambroziak nie zrozumiał, o co chodzi.

– No ci czescy – wyjaśnił ratownik.

– A, ci. – Kierowca kiwnął głową, bo już skojarzył, że chodzi o tych od tabliczki, która informowała, jaka to ulica. – Musieli tu jacyś bracia z Czech mieszkać – dodał, robiąc jednocześnie minę znawcy wielu zawiłych kwestii. – Przyjechali z Czechosłowacji, zamieszkali na tej ulicy i jak już tak mieszkali, to pewnie tu wszyscy mówili, że to jest ulica tych braci czeskich i tak zostało.

– No – potwierdził sanitariusz, kiwając głową. – Jakby nie mieszkali, toby im nie zrobili ulicy. Tyle że musieli mieć jakieś zasługi. Znaczy się, że coś zrobili, że się zasłużyli. Albo ich Niemcy zabili. Jak kogo zabiją, to już jest zasługa. Nawet jak zginą, tak jak ci w katastrofie samolotowej, to są zasłużeni i już się im pomniki stawia jak żołnierzom jakimś. A gadają, że tych pomników będzie jeszcze więcej. W każdym mieście ma być pomnik tego samolotu.

Kierowca zatrzymał karetkę, bo zrobił się jakiś zator. Samochód zjeżdżał z chodnika i próbował włączyć się do ruchu, a jakiś uprzejmy kierowca postanowił go przepuścić.

– Bez zasług ulic nikomu nie dają – stwierdził Ambroziak. – Ja mieszkam na Wojska Polskiego, nie? Kiedyś było Ludowego Wojska Polskiego. A przecież ludowe czy nieludowe, to Wojsko Polskie zasłużyło się bardzo, znaczy się, jako zasłużone miało swoją ulicę. I nie tylko w Szamotułach miało, w Poznaniu też, a nawet w Pile. Jak jechałem do szpitala w Pile, to też przez Wojska Polskiego. A z Wojska Polskiego to najwięcej jest zabitych na wojnie. To musieli im porobić wszędzie ulice. A ulicy Braci Czeskich nigdzie indziej nie widziałem. Jak się ma duże zasługi, to się ma dużo ulic. A ci zasańcy z Szamotuł, jacyś bracia, co tu przyjechali z Czechosłowacji, to musieli mieć mniejsze zasługi od wojska, to i taką małą uliczkę im dali. Widać się kiepsko zasłużyli, że taki mały fyrtel dostali.

– Jaki mały? – zdziwił się Grabowski. – Od rynku aż prawie do baszty dochodzi – powiedziawszy to, wskazał

na widoczną z daleka wieżę Zamku Górków.

– A w dupie mam tych Czechów z ich braćmi – zdenerwował się kierowca. – Naszym trzeba dawać ulice, a nie Czechom, bo Polska jest dla Polaków, a nie dla jakichś emigrantów! I co, przyjadą sobie tacy, dadzą się zabić Niemcom, a potem dostaną jeszcze ulice? A żołnierze przekłęci to co? Nie ma w Szamotułach żołnierzy przeklętych.

– No, to prawda, że nie ma, a się należy. I Janosika też nie ma ulicy.

– Jakiego Janosika?

– Jak jakiego? Nie widział żeś filmu o Janosiku, co tam byli Pyzdra i Kwiczół? To oni też przecież się zasłużyli, a nie ma ich ulicy. I czterech pancernych, i kapitana Klossa...

– O pierdołach mi tu gadasz, a my musimy poważne sprawy załatwiać. Ty lepiej pomyśl, czy się da w bramę wjechać, żeby nie było poruty, jak będziemy to wnosić.

Korek w końcu się rozładował, więc auto wolno ruszyło do przodu. Zaraz jednak kierowca zatrzymał samochód, by wypuścić poloneza wyjeżdżającego z Garncarskiej. Gdy ten w końcu zniknął, Ambroziak wrzucił jedynkę i karetka ruszyła prosto przed siebie, by po chwili przeciąć Wroniecką i wjechać w niewielką Kapłańską. Ta prowadziła wprost do szamotulskiej kolegiaty. Jednak nie świątynia była ich celem, a oni nie byli wcale pobożnymi pielgrzymami. Minęli bramę i zostawili za sobą ogromną bryłę gotyckiego kościoła z czerwonej cegły, potem plebanię i szkołę podstawową, by w końcu zatrzymać się

niemalże na wprost ogrodzenia szkolnego boiska, pod bramą prowadzącą na podwórko jednej z kamienic, której frontowa ściana wychodziła na rynek.

– I co z tą bramą? – spytał kierowca, odwracając się w stronę ratownika.

– Poczekaj, skoczę i zobaczę, co się da zrobić – powiedział uspokajającym tonem Grabowski, starając się ukryć niepewność pod szerokim uśmiechem. Żeby uniknąć dalszych tłumaczeń, szybko uchylił drzwi i wyskoczył z szoferki. Po chwili już otwierał furtkę w solidnej drewnianej bramie. Śpieszył się, bo sprawa, którą załatwiali, nie miała wiele wspólnego z działalnością pogotowia ratunkowego. Godzinę temu byli w leżącym niedaleko Szamotuł Pamiątkowie. Tam od pewnego znajomego odebrali cztery skrzynki czeskiej wódki, która kosztowała o połowę mniej niż wódka w sklepie. Grabowski zapłacił gospodarzowi, zapakowali alkohol do karetki i pojechali do Szamotuł. Wstąpili jeszcze na chwilę do dyspozytora, żeby powiedzieć, że muszą tylko po coś skoczyć do domu. Dyspozytor nie miał nic przeciwko, bo wiedział, że Grabowski mieszka po drugiej stronie rynku, więc w razie czego karetka była osiągalna w ciągu dwóch minut. Oni tymczasem pojechali zawieźć towar do mieszkania sanitariusza. Nie był on ani handlarzem wódką, ani nawet specjalnie rozmiłowanym w czeskiej gorzale pijakiem. Był za to ojcem przyszłego pana młodego, który za tydzień brał ślub. I w związku z tym zgodnie z tradycją do niego właśnie należało zadbanie o alkohol podczas imprezy. No to zadbał skutecznie, kupując cztery skrzynki za pół ceny. Teraz musiał otworzyć bramę, żeby karetka

mogła wjechać na podwórze i żeby nikt postronny nie widział, że przewozili nią coś, czego przewozić nie powinni. Nie minęły dwie minuty, gdy wrócił z niewyraźną miną. Ambroziak otworzył szybę i wyjrzał na zewnątrz. Do środka wlała się fala ciepłego powietrza, niosąca ze sobą smród gnijących resztek i kocich szczyń ze śmietnika za bramą.

– I co będzie? – zapytał kierowca.

– Gównno będzie. – Machnął ręką Grabowski. – Stara Matusiakowa, co ma klucze od bramy, gdzieś polazła. Jej sąsiadka gada, że na cmentarz grób grabić poszła, cholera jedna, bo widziała, że zabrała siatkę z haczką. Pukałem, ale nikogo tam u niej nie ma. Chata zakluczona. Trzeba przerzucić to szybko do środka i już. Jak się uwiniemy raz-dwa, to nikt nie zobaczy.

Ambroziak zaklął pod nosem, a potem już bez słowa wyskoczył z samochodu. Podszedł do tylnych drzwi karetki, przystanął przed nimi i obejrzał się za siebie, lustrując uważnie ulicę. Z prawej strony kilka zaparkowanych samochodów, ale żadnego przechodnia. Tylko obok czarnego jeepa, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, mężczyzna odwrócony do nich tyłem z telefonem komórkowym przy uchu. Widać, że całkowicie pochłaniała go rozmowa, bo nawet nie spojrzął w kierunku karetki.

– Dobra, jest spokój – ocenił, a sanitariusz potwierdził to spostrzeżenie uśmiechem. – Każdy bierze po dwie i szybko na górę – zarządził, jednocześnie otwierając drzwi. – Boże, ale to pięknie wygląda – jęknął zauroczony widokiem baterii alkoholu.

– Pewnie, że pięknie. – Sanitariusz pokiwał głową, zgadzając się całkowicie z opinią kolegi. – Teraz tej trefnej wody za pół ceny wystarczy nam na całe wesele. Dla rodziny synowej będzie. A dla moich gości wyborowej dwie skrzynki się zakupi.

– A jak się skapną, że piją czeską, to będzie kwas.

– Jak się skapną? Co ty se myślisz, że ja jakiś ćwok jestem? Na stole wódeczka będzie kurtularnie podana w szklanych karafkach – objaśniwszy koledze szczegóły swojego chytrego planu, klepnął go w ramię. Obaj mężczyźni błyskawicznie chwycili towar i już bez zbędnych słów, obładowani ciężarem, zniknęli za bramą. Wybiegł z niej przestraszony czarny kot i jednym susem wskoczył pod samochód. Nie posiedział tam długo. Wypłoszył go zaraz trzask zamykanych tylnych drzwiczek. Ktoś obszedł karetkę dookoła, a kot spod karetki uważnie obserwował nogi w męskich butach za kostkę. Naraz nogi zniknęły, znów trzasnęły drzwi, tym razem te od strony zamkniętej bramy. Silnik mercedesa sprintera zaskoczył i zagrał rozgrzаныmi tłokami rytmiczną, basową melodię, która zachwyciłaby swą prostotą niejednego twórcę hip-hopowych przebojów, za to niezbyt przypadła do gustu kotu, bo ten natychmiast czmychnął z powrotem w uchyloną furtkę i zniknął na podwórku.

Karetką pogotowia ruszyła z piskiem opon, błyskawicznie dojechała do końca ulicy i po chwili zniknęła za zakrętem, odprowadzana zaciekawionymi spojrzeniami kilku ubranych na czarno starszych osób, które wolno podążały w stronę kolegiaty na pierwszą z zaplanowanych na dzisiaj czterech uroczystości

pogrzebowych. Gdy ten mały kondukt funeralnych celebrytów zbliżył się do szkolnego ogrodzenia, z bramy po drugiej stronie ulicy wyszło dwóch mężczyzn w jaskrawopomarańczowych kombinezonach. Obaj stanęli na chodniku jak wryci.

– Kurwa, gdzie jest karetka? – krzyknął ten wyższy.

– Ożeż ja pierdołę! – zawołał niższy.

– Kto to zrobił?

– Co zrobił?

– No jak, kurwa, nie widzisz, że ktoś nam podpierdolił auto?

– Może kluczyki żeś zostawił w stacyjce?

– O kurwa... – Kierowca zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie. Na próżno. Niczego nie znalazł, poza telefonem komórkowym i paczką papierosów. – Zostawiłem te jebane kluczyki w samochodzie.

– Jakby nie było kluczyków, toby tak łatwo nie ukradli – stwierdził sanitariusz.

– Ja pierdołę! Moja karetka! – Kierowca ruszył biegiem w głąb ulicy. Nie musiał się zastanawiać, dokąd ma pobiec, bo ulica była jednokierunkowa. Sanitariusz ruszył za nim, ale wolniej i bez przekonania. Wiedział, że z karetką ani on, ani kierowca nie mają szans.

– No patrz się pani – powiedziała emerytowana pracownica olejarni Józwiakowa do swojej sąsiadki Szulcowej, z którą pod rękę szły do kościoła. – Jaka ta młodzież niewychowana. Zamiast kulturalnie poczekać, aż karetka pogotowia przyjedzie do niego, drze mordę na całą

ulicę. Oni tam w tym pogotowiu to mają tyle roboty, że ledwo zdążą dojechać. Marciniakowa czekała w zeszłym tygodniu dwie godziny i się nie doczekała. Jak przyjechali, to już było po niej. I nic nie krzyczała, ino tak charczała, tak o, hrry, hrry, hrry! A potem już nie charczała, ino się cichutko przekręciła i było po niej. A ci młodzi to mają więcej siły od takiej kobiety, a drą mordę jak opętani i jeszcze brzydkie wyrazy gadają.

– A co pani chce? – odpowiedziała Szulcowa, obrzucając niechętnym spojrzeniem obu niekulturalnych facetów, którzy dobiegali właśnie do narożnika domu, za którym zniknęła sanitarka. – Wiara teraz tak schamiała jest, że szkoda gadać. Będzie w zeszły czwartek, jak w radiu powiadali, sam ojciec dyrektor gadał, że to wszystko przez tę Unię Brukselską, wszystko, co złe, do nas zez stamtąd przylazło.

– Łe pani, święta prawda, święta prawda. Dawniej to był ale porządek. A teraz co? Ta Unia to nas wszystkich do grobu wpędzi, jak tego biednego Frąckowiaka, co go zaraz będą chować.

– Ale teraz to pani gada pierdoły. Przecież on nie przez unię, ino przez samochód jest zabity. Na pasach go, nieboraka jednego, nachlany kierowca trzepnął, że ani było co zbierać. Zresztą Frąckowiak też był nachlany, ale na girach się jeszcze trzymał i do chaty by zaszedł, jakby nie ten cholerny pijak w samochodzie.

– Wszystko przez te auto, pani kochana. Kierowca może i był napity, ale jakim autem jechał.

– No jak jakim? Osobowym!

– Osobowym, ale nie polskim fiatem albo tym, no, od tańcowania, znaczy się, no, tym... polonezem. Niemieckim autem jechał ten pijak.

– No i co z tego, że niemieckim? – zdziwiła się Szulcowa, która jeszcze nie pochwyciła zawilego toku rozumowania swojej znajomej.

– A Niemcy to w tej Unii są już od dawna, nie?

– Prawda – potwierdziła kobieta, której nagle wyostrzył się i wyklarował obraz zagranicznego, niemieckobrukselskiego spisku.

– A po co nam sprzedają te samochody z Unii? Powiem pani, po co. Żeby nas wszystkich zabić!

– Łe jery. Samochody są od jeżdżenia, a nie od zabijania. Co innego czołgi. Nie może być, żeby samochody...!

– Może, może, pani Szulcowa. Jak u nas jeździły ino nyski i fiaty, to tyle ludzi nie ginęło.

– Prawda!

– A widzi pani? A w telewizji powiadali, że czołgi też od Niemców żeśmy dostali, te ich geopardy czy tygrysy. Albo jakoś tak. Sama widziałam, jak je do nas przywieźli. A po co czołgi? Żeby nas wystrzelać. Niemcy wiedzą, co robią.

– We wojnę czołgami do nas strzelali – zgodziła się z nią coraz bardziej przekonana sąsiadka.

– A widzi pani! Ta Unia Brukselska chce nas wszystkich wykończyć. Niemieckimi rękami na dodatek.

– Samochodami.

– Co?

– Samochodami, a nie rękami. Rękami by nie dali rady.

Godzina 11.40

Aneta przyjechała do Poznania, ale było już zbyt późno, by pójść na uczelnię. Zrezygnowana, nie chcąc tracić czasu na bzdury, postanowiła zajrzeć na komendę. Gdy otworzyła drzwi swojego pokoju, przystanęła zdziwiona. Za jej biurkiem, na prawo od drzwi, siedział Mariusz Blaszkowski. Ale to jeszcze dałoby się wytłumaczyć, bo Blaszkowski przychodził tu od czasu do czasu, żeby załatwić jakieś sprawy na szybko. To, że przy drugim biurku, tym, które stało przy oknie, siedziała jej przyjaciółka Martyna Urbanek, też nie było czymś niezwykłym, bo koleżanka często tu zachodziła. Ale inspektora Marcinkowskiego, naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego, widziała w tym pokoju po raz pierwszy. Usiadł na fotelu, jednym z dwóch, które stały pod ścianą, oddzielone od siebie ławą o niezbyt szerokim blacie, na którym leżała chroniąca go przed zniszczeniem szklana, niemiłosiernie porysowana przez lata użytkowania tafla.

Aneta tkwiła w drzwiach, bo nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Wejść i się zameldować czy wyjść i poczekać, aż przełożeni zakończą tę dziwną naradę.

Blaszkowski uśmiechnął się na jej widok i skinął dłonią.

– Wchodź, nie krępuj się – powiedział zachęcająco. W tym pokoju przeznaczonym dla trzech pracowników urzędowały tylko dwie osoby, ona i świeżo upieczony szaszłyk, czyli młodszy aspirant Górkiewicz, który jak każdy normalny człowiek miał dzisiaj wolną sobotę. – Siadaj, bo my tu mamy małą naradę – wyjaśnił Mariusz, wskazując jedyne wolne teraz biurko, należące do jej współpracownika. Panował tam niemiłosierny bałagan. Co innego u niej. To jej, przy którym rozsiadł się Blaszkowski, było niemalże idealnie wysprzątane, a wszystkie papiery i teczki leżały poskładane na równych stertach. Aneta lubiła porządek i nie wyobrażała sobie, że może pracować w takim syfie jak ten jej nowy kolega. Ale Górkiewicz, który trafił do wydziału z komendy miejskiej, najwidoczniej miał na sprawy porządku zupełnie inny pogląd. Twierdził, że prawdziwy artysta potrafi odnaleźć się tylko w twórczym nieładzie.

Podeszła do biurka i usiadła na niezbyt czystym krześle swojego kolegi. Na blacie położyła czarny kask motocyklowy i rękawice. W tym bałaganie pozostał jeszcze skrawek miejsca, na którym można by było oprzeć łokcie, ale dostrzegła, że powierzchnia jest czymś upaprana, pewnie resztkami piątkowego śniadania młodszego aspiranta, więc z niesmakiem odsunęła się od niegościnniej połaci.

– Tutaj kiedyś urzędował Brodziak. – Inspektor Marcinkowski wskazał na miejsce, które zajęła Aneta. – To było moje – pokazał biurko, które wybrała Martyna – a Teoś Olkiewicz zajmował tamto najbliżej drzwi.

– To ja odziedziczyłem je po tobie – przypomniał sobie

Błaszkowski, który do wydziału został przyjęty w osiemdziesiątym piątym roku. Przyjęty dość niespodziewanie dla samego siebie, bo w tym czasie był milicjantem służącym w ZOMO. Któregoś dnia kilka drużyn z koszar przy Taborowej skierowano do zabezpieczania brzegu Warty, gdzie wędkarze znaleźli w wodzie bezgłowe ciało kobiety³. To tam właśnie, wśród tej zomowskiej grupy, wypatrzył go Fred Marcinkowski, a Mirek Brodziak zaraz przydzielił mu zadanie. I tak dzięki przypadkowi zomowiec Błaszkowski zamiast do tłumienia ulicznych demonstracji został odkomenderowany do dochodzeniówki w ówczesnej Komendzie Wojewódzkiej MO. – A Teoś Olkiewicz miał zawsze idealnie wysprzątane biurko. – Błaszkowski pogładził dłonią świetnie wypolerowany blat biurka Anety. – Tyle że on nie miał na nim żadnych papierów.

– Bo się brzydził całą papierologią – stwierdził z uśmiechem Marcinkowski. – Jak w wydziale pojawił się starszy szeregowy Błaszkowski, to w naszych aktach od razu zapanował porządek, a Teoś mógł wreszcie odetchnąć z ulgą, bo urzędniczą robotę zrzucił na młodego.

– To znaczy, że to policyjna tradycja, żeby wysługiwać się młodymi pracownikami – zauważyła Martyna, dochodząca do trzydziestki, blondynka z włosami przyciętymi modnie ma pazia, z nieco mocniej wygolonym tyłem, ładna dziewczyna o nieco rubensowskich kształtach. Jak dotąd tylko słuchała tego, co starsi oficerowie mieli do powiedzenia. Czekwała na konkrety, bo po to poprosiła o zwołanie tego trochę tajnego spotkania. Powiedziała im o czymś, co sama uznała za dość ważne,

a tym dwóm zebrało się na wspominki. – Czyli mobbing to wcale nie jest współczesny wynalazek?

Marcinkowski spojrział na swojego podwładnego.

– Czułeś się mobbingowany?

– Wtedy nie wiedziałem, co to słowo w ogóle znaczy. Ale tak było w tamtych czasach, że młodzi uczyli się od starszych i zaczynali od parzenia kawy tym z większym doświadczeniem.

– Albo od latania po flaszkę do sklepu – uściślił Fred.

– Ja nie biegałem po wódkę. Olkiewicz mnie oszczędził, bo nie piłem wtedy alkoholu, a zresztą on zawsze sobie do pracy sam wódeczkę przynosił.

– Wódeczkę do pracy? – zdziwiła się Martyna.

– Ano takie czasy, pani Martyno. – Marcinkowski uśmiechnął się na to wspomnienie. – Teofil Olkiewicz pił codziennie i jakoś mu to w robocie nie przeszkadzało.

– A ten Olkiewicz, jak tak pił, to pewnie zapił się na śmierć? – domyśliła się Aneta. Miała już w swoim zawodowym życiu do czynienia z niejednym pijakiem, który od nadmiaru alkoholu skomplikował życie sobie i innym. Jak choćby ten Matyja z Dusznik, który zachlał się na śmierć, a ona zaopiekowała się jego kulawym psem. Teraz zwierzak mieszkał w domu jej rodziców i wyglądał jak dwa psy pijaka Matyi. No ale też przez ostatnie lata jadł lepiej niż przez całe swoje dotychczasowe życie.

– Teoś? No skąd. Ma się całkiem dobrze. Prowadzi na Półwiejskiej knajpę, która nazywa się Świat wódek czy coś takiego. Co prawda nie może już pić, ale i tak emeryturę załatwił sobie w prawdziwym rajku dla pijaków.

– Lepiej nie mógł się urządzić – stwierdził Blaszkowski. Zawsze z dużą sympatią wspominał tego milicjanta pijaka, który był chyba największym obibokiem w ich zespole, ale obdarzony nieprawdopodobną intuicją przyprawioną na dodatek sporą dawką szczęścia potrafił wyjść cało z każdej trudnej sytuacji. Mariusz Blaszkowski tak naprawdę był kimś w rodzaju wychowanka Olkiewicza, bo ten wielu rzeczy go nauczył. Ot, choćby kombinowania i załatwiania spraw pozornie nie do załatwienia.

– Rozumiem, że ten Olkiewicz może się jakoś łączyć z tym, co panom powiedziałam? – Martyna najwyraźniej już miała dosyć wysłuchiwania wspomnień starych pierdzieli, dlatego swoim pytaniem próbowała naprowadzić oficerów na właściwą ścieżkę.

– Ano teoretycznie tak. – Marcinkowski przypomniał sobie o temacie rozmowy, który gdzieś się zagubił w chwili, gdy do pokoju weszła Aneta. Spojrzał więc na nią i uśmiechnąwszy się, wyjaśnił:

– Pani Martyna dowiedziała się od swojej koleżanki czy znajomej...

– Znajomej – dorzuciła Martyna.

– No więc od swojej znajomej, że pewna redakcja gazetowa szykuje artykuł o tym, że ktoś z naszego wydziału donosił na kolegów do SB. Taka sensacja na sezon ogórkowy, mam wrażenie.

Aneta wzruszyła ramionami.

– A kogo to dzisiaj obchodzi?

– A w zasadzie nikogo – odpowiedział Blaszkowski. –

Ale tych, co to piszą, zapewne tak. No a poza tym są przecież ci wszyscy patriotyczni wariaci, którzy karmią się takimi pomyjami. Dla nich to jak świeże paliwo...

– Zobaczymy, jak świeże. – Marcinkowski pokiwał głową. – Bo na mój rozum to są odgrzewane kotlety, które w żaden sposób nie powinny wpłynąć na naszą robotę. Artykuł sobie napiszą, ludzie go przeczytają i tyle. A Teoś Olkiewicz może mieć to głęboko w nosie.

– A, to znaczy, że ten Teoś właśnie był tą wtyką SB? – domyśliła się Martyna. Fred Marcinkowski tylko machnął ręką. Natychmiast stanął mu przed oczami chorąży Teofil Olkiewicz, ubrany w opiętą na pokaźnym brzuchu popielatą marynarkę, z łysiną na czole przykrytą zaczeską na pożyczkę i nieustającym uśmiechem na ustach. To wtedy, na samym początku ich wspólnej pracy, przyznał się Fredowi do wszystkiego. Trafił do wydziału w nocy z dwunastego na trzynastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Bo Teofil Olkiewicz był pracownikiem SB, ale tak jakoś się złożyło, że w noc wprowadzenia stanu wojennego odkomenderowano go do dochodzeniówki. Kilka tygodni później, po zakończeniu ich śledztwa w sprawie zaginionych pieniędzy Solidarności i zamordowanych działaczy zdelegalizowanego związku, Olkiewicz został na stałe przydzielony do zespołu Marcinkowskiego. To wtedy właśnie przyszedł do niego, żeby się rozmówić.

Porucznik Marcinkowski siedział przy swoim zawalonym papierami biurku. Gdy rozległo się pukanie, podniósł głowę, ale nie zdążył zaprosić gościa do środka.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył zadowolony Olkiewicz ze swoją brązową teczką pod pachą.

– Obywatel porucznik pozwoli, że wstąpię na moment, bo ja w ważnej sprawie, że się tak wyrażę.

– Wchodź pan. – Fred wskazał mu krzesło stojące koło biurka, ale Teoś tylko machnął ręką. – Ja tu nie na przesłuchanie, ino na pogadanie, bo jak powiadam, ważne sprawy mam do obgadania, a jak ważne, to bez flaszki się nie obejdzie – powiedziawszy to, usiadł na jednym z dwóch foteli oddzielonych od siebie ławą.

Rozpiął teczkę, wy dobył z niej butelkę wódki i słoik z ogórkami w occie.

– Ale szklanek to ja nie mam – stwierdził, rozglądając się dookoła. Zdziwiony Fred tymczasem spojrział na zegarek. Dochodziło dopiero południe. Owszem, pijał wódkę, ale raczej wieczorami i to z okazji jakichś okazji, ale żeby tak w pracy?

– To widzę, że u was w resorcie dziwne obyczaje, że wódkę od rana można...

– Nie od rana – przerwał mu Olkiewicz, wstając z fotela, bo dostrzegł na oknie kilka musztardówek. Podszedł tam, wybrał dwie w miarę czyste i do obu nalał wody z porcelanowego czajnika elektrycznego. Wypłukał szklanki, wylał wodę do zasuszonego kwiatka i wrócił do stolika. – Od rana to ja co najwyżej piwko jakieś mogę wypić, ale w południe to już czas na coś dla dorosłych, a nie dla dzieci. Ale że okazja jest, to wypić trzeba musowo. To co, panie poruczniku, zapraszam na degustancję. Prawdziwa wyborowa ze srebrną nalepką

prosto zez peweksu.

Marcinkowski wzruszył ramionami. Co miał robić? Sytuacja była wyjątkowa, ale odmówić byłoby jakoś głupio, tym bardziej że z Olkiewiczem już zdążyli się nawet trochę polubić podczas ich ostatniej sprawy. Przysiadł się więc do stolika, wziął do ręki szklanę napelnioną do połowy i uniósł w górę.

– To za co pijemy? – zapytał.

– Za współpracę – wyjaśnił Teoś. – Bo ja do pana porucznika tak po koleżeńsku chciałem się niby wkupić z tą wódeczką, ale tak naprawdę to muszę coś powiedzieć, żeby nie było potem, że żeśmy czegoś nie dopowiedzieli na samym początku. No ale jak ja się tu już przeniosłem z SB, to znaczy się mam formalne przeniesienie, to jednakowoż resort dał mi ultim... ultim...

– Ultimatum – poprawił go Fred, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bo Teoś i tak wiedział, jak mówić. – No właśnie to multi matum to jest takie, że major Bielecki powiedział, że mnie puszcza, ale mam być łącznikiem między waszym wydziałem a SB. A to łącznikowanie to się rozchodzi o to, że ja niby mam pisać raporty, co się tu u was dzieje. No to jak już dostałem takie multimentum, no to ja jemu powiadam, że i owszem, czemu nie. Bo pan nie wie, że ja chciałem do normalnej milicji się wrócić, bo ja z milicji jestem, ale resort mnie wyciągnął kilka lat temu do siebie, że niby ludzi znam na mieście, a oni takich potrzebują. No to mnie sprzedali moi szefowie z miejskiej jak świniaka na zarznięcie. Ale jak się już nadarzyła okazja, to uciekłem i jestem.

– No to dość ciekawe – przyznał Fred.

– Tyle że muszę im pisać raporty.

– A co pan będzie w tych raportach pisał?

– Ja to zasadniczo pisać nie lubię, ale jak co napiszę, to mogę to z panem porucznikiem skosu... skonsumować.

– Skonsultować. – Znów go poprawił, ale Teofil nawet tego nie zauważył. – Chyba lepiej, że mamy u siebie człowieka, który z nami konsultuje raporty niż kogoś, kto pisze coś za naszymi plecami i my o tym nie wiemy.

– I o to się rozchodzi, panie poruczniku, bo ja to zasadniczo lubię, jak sprawy są jasne i proste, a nie jak ktoś komuś makaron na uszy nawija. Bo ja tak naprawdę to jestem zwykły szkieł, a nie żaden esbek – powiedziawszy to, Teofil Olkiewicz mrugnął znacząco do swojego nowego przełożonego, a potem rozlał wódkę do dwóch szklanek. – I jeszcze na wkupne to muszę powiedzieć, że ten Bielecki niby taki grzeczniutki, ale to jest niezła świnia. I on do pana porucznika to ma dużą złość, żeś pan nie dał mu tych bejmów solidarnościowych odnaleźć i powiada, że to pan je zgarnął dla siebie i jeszcze za to kiedyś się wywdzięczy, znaczy podziękuje.

Fred musiał przyznać, że od tamtych czasów dużo się zmieniło. W ich dawnym pokoju zrobiło się jakby trochę przyjemniej, choć meble w większości były te same, a na podłodze leżała stara, szara, wydeptana wykładzina. Na oknie, tam, gdzie kiedyś stało radio, teraz ustawiono kilka kwiatków. Dawniej też mieli tu kwiatek w doniczce, ale roślinka nie wytrzymała gaszenia petów w ziemi i ciągłego podlewania jej fusami z kawy. No i już nie śmierdziało jak

dawniej papierosami i wódką. Nikt tu od dawna nie palił, nie mówiąc już o picciu. Czasy się zmieniają i ludzie też, pomyślał, spoglądając na dwie dziewczyny policjantki. No i ten Bielecki z SB był już całkowicie niegroźny.

– Teofil Olkiewicz, pani Martyno, był wtyką, ale nie SB. On był naszym agentem w ich szeregach, który przez lata prowadził działalność dezinformacyjną.

– I dlatego teoretycznie mogą sobie pisać o nim, co chcą – zgodził się z nim Mariusz Blaszkowski – ale my swojego starego kumpla skrzywdzić nie damy.

Godzina 12.05

Wiera obudziła się w jakimś zarośniętym krzakami wykrocie. Ocknęła się, bo bolała ją noga w kostce. Usiadła ostrożnie, dotknęła nabrzmiąłego miejsca i natychmiast cofnęła rękę. Ostry ból przeszył całą nogę i uderzył aż w podbrzusze. Kiedyś, gdy była mała, w całkiem innym życiu, też ją tak bolała noga. Skręciła wtedy kostkę na lodowisku. Tata, który był z nią, żeby dostać się do bolącego miejsca, rozciął jej piękny, śnieżnobiały but od łyżew figurowych. Pamięta, że płakała jak bóbr, ale nie miała pewności, czy to łyzy z powodu bolącej nogi, czy dlatego, że ten piękny bucik został tak bezlitośnie zniszczony.

– Nic się nie martw, słoneczko – mówił tata. – Co tam but? Noga ważniejsza. A łyżwy kupi się nowe. To przecież nie majątek.

Nogę udało się wyswobodzić z uścisku buta, a niedługo potem na pogotowiu założyli jej ciężki i gruby gips, w którym musiała nauczyć się chodzić, pomagając sobie dwoma ciężkimi kulami.

Teraz też ją bolała prawa noga. Być może zwichnęła ją sobie w tym samym miejscu. Może trzeba będzie znów nałożyć gips? Ale tu w Polsce podobno gipsów już nie nakładali. Widziała nieraz ludzi z założonymi na nogi czy ręce specjalnymi usztywniaczami, które nazywano ortezami. No ale skąd ona weźmie taką ortezę? Niestety nie ma na nią pieniędzy. Jeśli pójdzie do szpitala, to pewnie jakoś jej tę nogę usztywnią, ale co dalej? Będą chcieli, żeby pokazała dokument tożsamości, a ona przecież nie ma swojego paszportu. Zabrali jej zaraz po tym, jak przejechała polską granicę. Dała go temu wysokiemu facetowi, który je przewoził w busie. Powiedział, że musi zabrać dokumenty do rejestracji w nowej pracy. Ale rejestracji żadnej nie było, a praca okazała się całkiem inna niż ta, którą zaoferowano jej w Doniecku. Miała być kelnerką w restauracji, a okazało się, że trafiła w zupełnie inne miejsce.

Najpierw zawieźli je do jakiegoś baraku. W dużym pokoju było sześć piętrowych łóżek, akurat dla nich wszystkich, dwunastu dziewczyn z Donbasu, Powoźna i Mołdawii. Zdziwiła się, że w oknie są kraty, ale ten, co je przywiózł, wytłumaczył, że to dla ich bezpieczeństwa.

Po dwudniowej podróży wszystkie były tak zmęczone, że umyły się tylko pod prysznicem i zaraz poszły spać. Wiera miała wrażenie, że ledwie zdążyła zasnąć, gdy naraz obudziły ją jakieś krzyki. Wyskoczyła z łóżka, inne

dziewczyny też się obudziły. Ktoś zapalił światło. Przy pierwszym łóżku, tym koło drzwi, stało trzech facetów. Dwaj inni na korytarzu pili wódkę z butelki. Wszyscy wyglądali, jakby urodzili się na siłowni, bo łyse łby wychodziły im bezpośrednio z tułowia, a uszy ginęły gdzieś pośród wzgórz rozrośniętych monstrualnie ramion. Stali przy łóżku i zadowoleni patrzyli na swojego kompana, który usiadł na leżącej tam dziewczynie, trzymając ją wielką łapą za szczupłe przeguby rąk.

– Puszczaj, ty gnoju jeden! Złaż ze mnie, bydlaku!

– Pierdolnij jej, Wasyl! – podpowiedział łysy w czarnej futbolce z napisem Adidas.

– No dalej, wypierdol jej, bo się będzie darła kurwa jedna! – ponaglił go krótko obcięty grubas trzymający piwo w ręce.

– Zamknij ryj, szmato! – ryknął ten, który siedział na dziewczynie, i uderzył ją pięścią w twarz. Krzyknęła głośno i zaraz umilkła, gdy zobaczyła, że pięść znów się unosi.

– Zostawcie ją! – Wiera zeskoczyła z łóżka i ruszyła śmiało w stronę napastników. Dwie inne dziewczyny też zdobyły się na odwagę i poszły za nią. Reszta z przerażeniem obserwowała ze swoich łóżek, co się dzieje. Mężczyźni, najwyraźniej zdziwieni tym, że któraś próbuje im się przeciwstawić, spojrzeli na Wierę z niedowierzaniem. Ten gruby z piwem w dłoni uśmiechnął się oblesnie.

– Ot, zadziorna suka. Takie kurwy lubię. – Ruszył w jej kierunku.

– Spróbuj tylko mnie tknąć, świnió!

– A co mi zrobisz, kurwo jedna?

– Na milicję cię podam.

Przystanął na moment, a potem zaczął się śmiać. Zaraz dołączyli do niego, śmiejąc się w głos, dwaj kompani. Trzeci, ten z łóżka, nie dołączył, bo właśnie zajęty był zmuszaniem dziewczyny, by rozchyliła nogi. Gdy mu się to w końcu udało, wbił się w nią z całej siły. Wrzasnęła, ale kolejny silny cios w twarz uciszył ją skutecznie. Za to inne dziewczyny podniosły rozpaczliwy krzyk. Gwałcona, zalana krwią kobieta jęczała cicho, podczas gdy gwałciciel napierał na nią brutalnie.

Gruby tymczasem podszedł do Wiery, uderzył ją tak od niechcienia pięścią w brzuch. Poczowała, że brakuje jej powietrza. Zgięła się wpół, a wtedy on kopnął ją w kolano. Przewróciła się natychmiast. Chwycił dziewczynę za włosy i szarpiąc, pociągnął w kierunku łóżka.

Próbowała się chwycić nogi od stołu, który stał na środku pokoju. Grubas kopnął zaciśniętą dłoń, więc palce się rozwarły.

– Nie opieraj się, kurwo, bo będzie jeszcze gorzej. Obiję ci ryj i będziesz wyglądać jak kotlet. Po cholerę ci to?! Teraz twój nowy ukochany Fiedia wyrucha cię tak, że już nigdy nie będziesz chciała innego faceta, ale będziesz marzyła o tym, żeby Fiedia zechciał cię przelecieć. –

Wykręcił jej rękę, szarpnął w górę i rzucił na łóżko. Potem rozpiął pasek od spodni, spuścił je do kolan razem z majtkami, ułożył ją na brzuchu i przygniótł całym ciężarem swojego ciała. Po chwili poczuła, jak napiera na

nią i atakuje, wbijając się do środka. Okropny ból zaczął rozrywać jej podbrzusze. Zawyla jak ranne zwierzę. – Wyj, szmato, wyj, jak ci dobrze robi twój Fiedia!

– I cicho ma tu być, głupie pizdy, bo jak któraś jeszcze krzyknie, to odstrzelę łeb! – zawołał ten łysy w czarnej koszulce. Dla podkreślenia groźby wyciągnął zza paska pistolet, przeładował go, a potem nie mierząc specjalnie, strzelił w sufit. Krzyki dziewczyn naraz się urwały. Zapadła kompletna cisza, przerywana tylko jękami gwałconych dziewczyn. Łysol tymczasem podał pistolet chudemu dryblasowi.

– Masz, Wasyl, spluwę, pilnuj kurw, żeby nie rozrabiały. Jak która będzie krzyczała za głośno, to strzelaj. Zabijemy jedną szmatę, to wszystkie się uspokoją. Słyszaliście, suki? Jak która będzie się drzeć, to Wasyl łeb odstrzeli – mówił głośno, tak żeby do wszystkich dotarło. – Ja się nazywam Wienia i ja tu dowodzę. Teraz jesteście naszymi kurwami. Wszystkie jesteście nasze i będziemy robić z wami, co chcemy. A jak się którejś nie podoba, to zaraz niech powie. Od razu dostanie kulkę w łeb i do piachu. A te, które będą grzeczne, dostaną jedzenie i picie i prócz tego jeszcze będą ruchane przez swoich panów. Zrozumiały kurwy?

Stojąc na środku pokoju, obrzucał przerażone dziewczyny gniewnym spojrzeniem. Żadna z nich nie odważyła się odezwać. Podeszedł więc do blondynki leżącej na górnym materacu piętrowego łóżka.

– Słyszałaś, szmato, co mówiłem?

– Słyszałam – odpowiedziała cicho, ocierając łzy spływające po policzkach.

- Głośniej, kurwo!
- Słyszałam.
- Jak ci na imię?
- Olga.
- Pięknie, Olga. Kto jest twoim właścicielem, kurwo?
- Ty...
- Moim właścicielem jest Wienia. Powtórz, szmato!
- Moim właścicielem jest Wienia!
- Bardzo ładnie.
- A kto jest twoim właścicielem? – zapytał, pochylając się nad brunetką, która leżała skulona na łóżku niżej.
- Wienia.
- Całym zdaniem, pizdo.
- Moim właścicielem jest Wienia!
- Bardzo pięknie. Jak masz na imię, kurwo?
- Larysa.
- Teraz patrzcie, szmaty. Larysa, która już zrozumiała, kto jest tutaj najważniejszy, w nagrodę będzie mogła possać kutasa Wienera. No, Laryska, chodź tu.

Rozpiął rozporek i chwycił ją za włosy, przyciągając do siebie jej głowę.

– Tylko ostrożnie, Larysa, żeby mnie nic nie zabolalo – ostrzegł ją, a ona zrozumiała natychmiast, że z tym facetem nie ma żartów.

Do rana wszystkie dwanaście dziewczyn zostało zgwałconych. Niektóre po kilka razy. Ale koszmar nie

skończył się tej nocy. W ciągu tygodnia tych pięciu facetów gwałciło Wierę kilkadziesiąt razy. W końcu każdego kolejnego przyjmowała całkowicie obojętnie, starając się tylko, by jak najmniej bolało. I musiała przyznać, że po kilku dniach zaczęło się jej to udawać. Nawet nie pamięta, czy coś jadła przez ten czas. Pragnęła tylko, by wreszcie ten koszmar się skończył, ale nie potrafiła zrobić niczego, co mogłoby w tym pomóc.

Któregoś wieczoru Wienia wszedł do pokoju z butelką wódki w ręce. Rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy wszystkie widzą go i słyszą.

– Słuchajcie mnie teraz uważnie, panienki. Odtąd wszystkie wasze nieszczęścia się kończą. Myślę, że już jesteście gotowe do pracy. Od jutra idziecie między ludzi. Będziecie stać przy drogach i obsługiwać facetów za kasę. Już wiecie, jak się to robi, więc dacie sobie radę. Wszystkie macie talent, bo sam to sprawdziłem. Wiem, co mówię. Im więcej gości obsłużycie, tym lepiej dla was, bo więcej zarobicie. Tak, dobrze słyszałyście. Będziecie zarabiać dla siebie i dla nas. Dzielimy się sprawiedliwie, dziesięć procent dla was, a reszta dla mnie i chłopaków za ochronę, jedzenie i transport. Chyba uczciwy podział, co nie, Laryska?

– Tak, Wienia.

– No to cieszę się, że się ze mną zgadzasz, mała. A wy się też zgadzacie?

Pokiwały głowami. Zadowolony Wienia uśmiechnął się szeroko, a potem pociągnął łyk wódki prosto z butelki.

– No to się cieszę, że żeśmy doszli do porozumienia.

Możecie się dziś wyspać, bo jutro macie być piękne jak boginie. Idziecie do pracy. A ty, Laryska, chodź ze mną. Pobawimy się trochę. Masz ochotę?

– Mam, Wienia.

– A kochasz mnie.

– Kocham.

– Kłamiesz, kurwo, ale pięknie to robisz. Idziemy.

Gdzieś w górze, w koronach drzew, rozległo się stukanie. Przez chwilę wpatrywała się w zieloną połąć i naraz dostrzegła czerwoną główkę czarnego ptaka. Dziecioł metodycznie ostukiwał pień sosny, szukając miejsca, w którym pod korą mogły ukrywać się robaki. Uśmiechnęła się na myśl o pracowitym stworze. Ona też powinna wziąć się do roboty. Przecież nie będzie tutaj tak siedzieć. Nie miała pojęcia, co w ogóle powinna teraz zrobić ze sobą. Jedno było pewne, musiała się jakoś wydostać z tej dziury, a potem gdzieś pójść. Ale nie na tę drogę, bo tam mogą ją odnaleźć te skurwysyny od Wiener. Pewnie gdzieś tu krążyli. Trzeba by więc iść w głąb tego lasu. Tylko czy da radę? A jeśli tak, to dokąd powinna się kierować? Nie miała pojęcia. Jedno było pewne. Jak najdalej od drogi. Ta była chyba całkiem niedaleko, bo gdzieś tam za jej plecami słyhać było całkiem wyraźnie odgłosy przejeżdżających aut.

Rozejrzała się. W górze widać było kawałek błękitnego nieba, które przedzierało się przez rozłożyste, zielone parasole wielkich sosen. Dziecioł pracował nadal, zapamiętałe ostukując pień drzewa.

Podniosła się z ziemi i przesunęła w lewo, trzymając się z boczka wykrotu. Noga bolała okropnie, więc starała się jak najmniej narażać ją na obciążenie. Ruszyła w górę na czworaka. Po chwili wydostała się z tej zarośniętej dziury i niemal natychmiast wpadł jej w ręce solidny kij. Nie był zbyt mocno wyschnięty, więc nie było obawy, że się od razu połamie. Nadawał się idealnie na prowizoryczną podpórkę. Bardzo ostrożnie zaczęła posuwać się do przodu, zostawiając za sobą drogę. Kilka minut później udało jej się odnaleźć przesiekę. Miejsce było wyjeżdżone i ubite przez szerokie koła ciężkich pojazdów. Zapewne leśnicy przewozili tym leśnym duktem ścięte drzewa. Tutaj już znacznie łatwiej było się poruszać, choć i tak co chwilę musiała robić przystanki, aby odpocząć.

Naraz usłyszała szczekanie psa. Albo ktoś był z psem na spacerze w lesie, albo to pies, który pilnuje jakiegoś domu, pomyślała, zastanawiając się, co może być dla niej korzystniejsze. Zatrzymała się, aby spróbować dokładnie oznaczyć kierunek, z którego dobiegało to psie wołanie. Gdzieś na prawo od duktu, którym się przemieszczała. Ruszyła więc znów przed siebie, by po chwili stwierdzić, że droga krzyżuje się z inną. Ta druga, odchodząca w lewo, również była wyjeżdżona, ale nie wielkimi kołami, lecz znacznie mniejszymi oponami. Tu ktoś jeździł motorem albo jakimś motorowerem. Mniej więcej dwieście metrów przed nią widać było jaśniejszą przestrzeń.

Kilka minut później znalazła się na niewielkiej polanie, na której stał murowany dom z dachem przykrytym niegdyś czerwoną, a dziś mocno omszałą i pozieleniałą

dachówką. Obok był jeszcze jeden budynek wzniesiony z drewnianych desek, a w głębi kolejny, również ze spadzistym dachem, ale nie mieszkalny, raczej gospodarczy. Zagroda otoczona była drewnianym płotem z prostych sztachet. Psa nie było widać, za to słycać doskonale. Musiał wyczuć, że ktoś obcy zbliża się do bramy, bo zaczął ujadać jak oszalały.

Zatrzymała się przed furtką osadzoną w dużej bramie, przez którą nie dało się dostrzec niczego, co jest po drugiej stronie. Pociągnęła za klamkę, ale furtka nie ustąpiła. Uderzyła więc swoją prowizoryczną laską w deski...

Ledwie zapukała, a wejście otworzyło się. W przejściu pokazała się głowa może trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Jego twarz była starannie ogolona, a jasne włosy krótko przycięte. Na sobie miał kraciatą, czerwono-czarną koszulę, a na nogach zwyczajne, mocno powycierane przez czas, zużyte dżinsy. Zwróciła od razu uwagę, że nie miał butów, ale jakieś tandetne plastikowe klapki założone na bosa stopy.

– O co chodzi? – zapytał niezbyt uprzejmie.

– *Мне нужна помощь. Я убежала...*⁴ – zdołała powiedzieć, ale zaraz poczuła, że coś jej zatyka gardło. Po policzkach popłynęły łzy i zrobiło się jej słabo. Pewnie byłaby upadła, gdyby mężczyzna nie chwycił jej mocno pod ramię. A potem pochylił się nieco, złapał dziewczynę pod nogi i uniósł w górę z niesłychaną łatwością, tak jakby podnosił piórko.

– *Не бойся, всё хорошо. Всё будет хорошо*⁵. – Nie zwróciła uwagi, że mężczyzna odezwał się do niej po

rosyjsku. Przylgnęła do niego ufnie, tak jak kiedyś do taty, który nosił ją w ten sposób do łóżka, gdy zasypiała na tapczanie w dużym pokoju podczas oglądania wieczornego filmu. Przez moment nawet wydało jej się, że znów jest w domu, słyszała szczekanie psa, jakieś kroki wystukujące rytm na drewnianej podłodze, odgłos skrzypiących drzwi i w końcu coś miękkiego pod głową... a potem zapadła się w ciemność. Śnił się jej Fiedia.

Godzina 13.15

– O tej porze w latach osiemdziesiątych to chyba się właśnie zaczynało sprzedawać wódkę – powiedział dziennikarz, rozglądając się po knajpie. W pijalni było zaledwie kilkanaście osób. Sami młodzi ubrani w rurkowate dzinsy podwinięte powyżej kostki, w t-shirtach, na które narzucali lekkie kurtki czy sportowe bluzy. Dziewczyny w zwiewnych kolorowych sukienkach i minispódniczkach z tatuażami na ramionach, udach czy odsłoniętych plecach. O tej porze w sobotę melanz dopiero się rozpoczynał albo, jak kto woli, kończył się piątkowy, by wejść mocnym akcentem w sobotni wieczór. Na większości twarzy młodych ludzi widać było zmęczenie i przepracowanie po całonocnym wysiłku. Ale wiadomo, że młodemu organizmowi wystarczy tylko odrobina regeneracji wspartej drinkiem z napojem energetyzującym i już staje na nogach w pełni sił potrzebnych do nowych wyzwań.

– Kiedyś to tatuaże nosili tylko przestępcy. – Teofil Olkiewicz, właściciel pijalni Świat wódek przy ulicy Półwiejskiej, z niesmakiem spojrzał na gołe plecy blondynki, która siedziała przy barze. Pokażną połąć jej skóry zajmował zwinięty w kłębek smok ziejący ogniem podczas konsumowania własnego ogona. – Babę, jakby wyszła na ulicę z czymś takim, to zaraz by milicja zgarnęła. Po tatuażu się rozpoznawało, że gość jest z okolicy przestępczej albo środowiska. Dziary robili se pod okiem tacy, co to grypsowali, żeby od razu, jak taki jeden zez drugim wejdzie pod celę, żeby jemu tałatajstwo niegrypsujące nie podskakiwało, jak gość jest charakterny. To były czasy, panie, że jak człowiek takiego szuszwola przyskrzypił, za niewinność ma się rozumieć, to wiadomo było, że jak coś się chciało od takiego, to najsampierw trzeba onemu było manto spuścić, bo inaczej to gość wcale nie chciał gadać. No to się lało takich gnoi pałą po dupie, że aż miło, a potem już na stojąco gość opowiadał o całym swoim życiu i życiu kolegów, ma się rozumieć.

– Biliście zatrzymanych? – Nie mógł uwierzyć zdziwiony reporter.

– No a jak? Inaczej to mało który kryminalista by coś powiedział. Takiemu to najpierw trzeba przylać, żeby poczuł respekt przed władzą, a dopiero potem można z nim pogadać od serca.

– Dziewczyny też biliście? – Teraz to Olkiewicz się zdziwił. Nie bardzo rozumiał, o co w końcu temu młodemu chłopakowi chodziło. Dziennikarz nagrywał tę rozmowę na dyktafon, który leżał przed nim na stole. Teofil przyglądał się urządzeniu, ale nie bardzo wierzył, że

to wszystko się rejestruje, bo przecież nie było tam żadnej magnetofonowej kasety, nawet takiej małej. A jak nie było kasety, to na co miało się nagrać? Był może człowiekiem starej daty, ale na urządzeniach do nagrywania trochę się znał, bo nieraz widział, na jakim nowoczesnym, japońskim sprzęcie pracowali jego koledzy z techniki. Taśma w SB była podstawą wszelkich nagrań.

Prócz dyktafonu na blacie była jeszcze butelka coli, którą popijał dziennikarz, i szklanka pełna bezbarwnego płynu. Jeszcze kilka lat temu właściciel pijalni kazałby sobie nalać czystej wódki, ale teraz lekarz polecił mu się oszczędzać i pić zdecydowanie mniej albo nawet wcale. Ale na radykalne odstawienie wyborowej Teoś nie umiał się zdecydować. Lubił jej smak, a i jego organizm chyba już przyzwyczał się do codziennych dawek, wprawdzie zmniejszonych, ale regularnych. Dlatego pił wódkę z wodą. Do szklanki wody barman nalewał mu pięćdziesiątkę wódki i dzięki temu właściciel knajpy mógł rozkładać sobie przyjemność picia na znacznie dłużej, niż pozwalała na to pięćdziesiątka wypita w sposób tradycyjny, czyli przez jednorazowe chlapnięcie. W ogóle to ostatnimi laty zaczął dbać o swoje zdrowie i nawet rzucił palenie. To znaczy, nie do końca i całkowicie, ale rzucenie polegało na ograniczeniu i zamianie. Zamiast dwóch paczek palił jedną dziennie, a swoje ulubione ekstra mocne już dawno zamienił na mniej szkodliwe camele bez filtra.

– No co pan? Dziewczyny to nawet kwiatkiem się nie bije. Nawet takich wytatuowanych jak ta tutaj to żaden milicjant by nie uderzył. Ale za te tatuaże to by się ją

zatrzymało. Tak na wszelki wypadek, dla pouczenia, żeby się nad sobą zastanowiła.

– Pan by ją zgarnął? – zapytał młody człowiek.

– Ja? A co mnie do tego. Ja byłem od całkowicie innych spraw.

– Od jakich?

– Od kryminalnych – powiedział to z pewną, dość łatwą do zauważenia, nutką dumy w głosie.

– No tak, pan był w tym wydziale dochodzeniowo-śledczym, w którym szefem był inspektor Marcinkowski.

Olkiewicz pokręcił głową. Pokręcił tak gwałtownie, że odruchowo chciał poprawić zaczeskę, która przez lata przykrywała mu czoło. Jednak palce trafiły w próżnię. Zauważył to i zaraz spuścił dłoń na stolik.

– Szefem u nas to był pułkownik Żyto. Dobry fachowiec. Taki prawdziwy milicjant zez krwi i kości. Dzięki niemu można było jakoś normalnie w wydziale pracować, bo jakby nie on, toby się nam do każdego śledztwa wtrącali ci z KW.

– Z komendy wojewódzkiej? – domyślił się dziennikarz.

– Ady gdzie tam. – Teoś machnął ręką. – Z komendy wojewódzkiej to my byli. A z KW to znaczy się z Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Pan wie, co to PZPR?

– Polski Związek Radziecki... Rad?

Stary milicjant spojrział w sufit, jakby chciał ponad płytami kartonowo-gipsowymi znaleźć pomoc opatrności albo jakiegokolwiek innej siły, która zlitowałaby się nad

głupotą młodzieńca i oświeciła jego ciemny umysł. Ale żadna ingerencja nadprzyrodzonej siły nie nastąpiła, więc sam wziął się do roboty.

– Czego was uczą w tych szkołach? A o przewodniej sile narodu pan słyszał? Kto w Polsce rządził za komuny?

– Gierek! – przypomniał sobie młody dziennikarz.

– No Gierek. A po nim kto?

– Gorbaczow, ten od pieriestrojki.

– To w ZSRR.

– Związku Sowieckim. – Tym razem reporter popisał się poważną wiedzą historyczną.

– A w Polsce w tym czasie rządził Jaruzelski i PZPR, czyli Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

– Znaczy się komuna...

– No właśnie. – Olkiewicz upił solidny łyk swojego wodno-wódczanego koktajlu. Już mu się znudziły te pogaduchy z niedouczonego dziennikarzem miejscowej gazety. Co mnie w ogóle podkusiło, żeby się zgodzić na tę rozmowę? – ganił w myślach sam siebie. Jak ten gryziopiórek zadzwonił i powiedział, że robi materiał o dawnej milicji, ale nie o żadnych przestępstwach, ale o tej ludzkiej stronie działalności i o sukcesach największych śledztw w latach osiemdziesiątych, to Teofil się nawet ucieszył. Przecież to on właśnie brał udział w tych wszystkich najważniejszych śledztwach, a przy niektórych nawet wydatnie pomógł, jak chociażby w sprawie skradzionego srebra z sarkofagu świętego Wojciecha w Gnieźnie⁶. Tak się przyczynił do sukcesu, że

do dzisiaj jeszcze na ścianie w jego sypialni wisi oprawiony w specjalną ramkę kawałek srebrnego nosa świętego, który zupełnie przypadkiem trafił do Teofilowej kieszeni. W końcu i tak było tam tyle przetopionego przez złodziei srebra, że ten jeden nos mógł się jakoś zagubić. I zagubiony trafił szczęśliwie do rąk żony Olkiewicza, Jadwigi, która przez wiele lat żarliwie się do niego modliła.

No więc był przekonany, że będzie mógł przybliżyć dziennikarzowi kilka szczegółów z tamtych czasów, bo rzeczywiście milicja miała się czym pochwalić. Tym bardziej że przez ostatnie lata wszyscy, jak tylko mogli, wieszali psy na funkcjonariuszach, nie mając pojęcia o tym, że milicja robiła swoją zwyczajną robotę, a całe zło w organach to było to cholerne SB, przez które Teofil też przez przypadek się prześlizgnął i na szczęście w porę z tego cholernego resortu wyszedł.

Miał więc przygotowanych sporo opowieści dotyczących najciekawszych śledztw, ale ten niedokształcony młodzieniec o nic takiego nie pytał. Widać było, że nie ma zielonego pojęcia nie tylko o milicji, ale nawet o tamtych czasach. Trzeba więc szybko zakończyć rozmowę, bo prowadziła donikąd, zdecydował gospodarz. Dopił swojego wodnistego drinka i zdecydowanym ruchem odstawił szklanekę na blat.

– Ale my tu se pogaduchy urządzamy, a robota czeka.

– Jaka robota? – zdziwił się chłopak.

– No robota w knajpie. – Teoś wskazał na bufet. – Nie mam już czasu.

– A nasza rozmowa?

– Pan się niech nauczy coś o tamtych czasach i przyjdzie, to se wtedy pogadamy.

– Że niby czego mam się nauczyć? Jak ja wszystko, co trzeba, sobie wygoogluję. Nawet o tym SB, znaczy się Służbie Bezpieczeństwa, co żeście musieli jej donosić na kolegów.

Teofil aż otworzył usta ze zdumienia. Dobrze, że przełknął już wódkę z wodą, bo niewątpliwie wypłynęłaby na wierzch i ściekła po brodzie. Na wszelki wypadek otarł ją wierzchem dłoni.

– A co ty możesz o tym wiedzieć, kto na kogo donosił?
– zirytowany Olkiewicz już nie widział przed sobą redaktora z gazety, ale gówniarza, który nie ma pojęcia o niczym, a jeszcze się wymądrza.

– Wiem, bo czytam o różnych rzeczach. I wiem, że w milicji wszyscy musieli donosić na kolegów, żeby w ogóle przeżyć i dostać kartki na wędliny i wódkę. A Służba Bezpieczeństwa robiła z tego raporty, zakładała teczki i później mogła takich ludzi, co na nich były donosy, szantażować, że jakby co, to ich wywalą z roboty. I w ten sposób mieli coraz więcej agentów w całym resorcie.

– Nie w resorcie.

– Nie? A czemu nie?

– Bo resort to właśnie SB. Po co mieli mieć agentów w SB, jak oni wszyscy byli agentami.

– To gdzie mieli mieć tych agentów?

– Jak już to w firmie.

– W jakiej firmie?

– W mojej.

– To pan jako pracownik milicji miał już tę swoją pijalnię wódki? Ciekawe, jak taka firma mogła pracować w czasach, kiedy wódkę sprzedawało się od trzynastej. Bo ludzie dziś przychodzą na drinka już od rana, a wtedy też chcieli się pewnie napić...

Zirytowany Teofil naraz przypomniał sobie to miejsce w osiemdziesiątym pierwszym roku. Była tu piwiarnia, którą prowadził agent, jego stary dobry kumpel, Władziu Kajzerek. To w tej piwiarni, w której jak zwykle nie było piwa, Olkiewicz wpadł na pomysł, jak obchodzić zakaz sprzedaży alkoholu od rana. Zaproponował Kajzerekowi, by ten sprzedawał wódkę w butelkach od oranżady, mieszaną pół na pół z czerwonym napojem z bąbelkami. Na pierwszy rzut oka taki drink wyglądał w szklance dokładnie tak jak oranżada, ale efekt wypicia był znacznie bardziej przyjemny. Teofil wymyślił sposób obejścia nowych przepisów o prohibicji, Kajzerek wprowadził je w życie, a opłaciło się im obu. Bo agent piwiarni dzielił się ze swoim kolegą milicjantem zyskami z tego niezwykle intratnego przedsięwzięcia. Dzięki temu prostemu zabiegowi u Kajzerka już od rana gromadziły się tłumy ludzi spragnionych oranżady, którzy na butelkę słodkiego napoju podawanego już o ósmej rano gotowi byli wydać nawet ostatni grosz.

Kilka lat później Olkiewicz został oficjalnym

wspólnikiem ajenta, a po śmierci Kajzerka Teofil, który akurat przechodził na emeryturę, przejął cały interes i piwiarnia stała się pijalnią o wdzięcznej nazwie Świat wódek.

– To kto u was w wydziale donosił na kolegów? Bo ludzie mówią, że są na to papiery...

– Co? – Na ziemię sprowadził go napastliwy ton pytania zadanego przez dziennikarskiego idiotę.

– Kto donosił na kolegów?

– Jak kto, no przecież to wiadomo dobrze, że... – przerwał naraz, by zastanowić się nad sensem tych pytań. Dla Teofila sprawa była jasna i prosta. Nie wiadomo tylko, po co w tym wszystkim grzebać. Tyle już lat minęło i nikt z tych, na których pisane były raporty, nigdy nie miał z tego powodu jakichś problemów. Tym bardziej że Teofil pisał te raporty na odczepnego, w żaden sposób nie stawiając opisywanych w złym świetle. Wręcz przeciwnie. Wychwalał wszystkich, a po jakimś czasie, gdy zorientował się, że nikt w SB tych jego wypocin nie czyta, opracował kilka szablonów pism, w których zmieniał tylko nazwiska kolegów. Ci oczywiście wiedzieli o całym procederze i nikt nigdy nie miał o to pisanie pretensji do Olkiewicza. – A zresztą, co ja tu będę gadał. Jak ludzie mówią, to pan już wiesz. – Wstał i już chciał odejść od stolika, gdy usłyszał jeszcze jedno pytanie, które sprawiło, że zamarł jak żona Lota.

– A inspektor Marcinkowski to na kogo donosił do SB?

– Że co?

– Marcinkowski Alfred. – Chłopak zajrzał na wszelki wypadek do swoich notatek. – Kapitan Alfred Marcinkowski, co był zastępcą kierownika wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu. To on na takim stanowisku musiał donosić na kolegów, bo inaczej by takiego stanowiska nie miał, co nie?

Olkiewicz oparł dwie dłonie na stoliku, pochylił się w kierunku reportera. Przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, a gdy ten zdążył się już najpierw zdziwić, a potem przestraszyć, były milicjant powiedział niezbyt głośno:

– Wypierdalaj z mojego lokalu! A jak jeszcze raz cię tu zobaczę, skurwysynu, to nogi z dupy powyrywam, oderwę jeszcze twój cholerny łeb i nasram do środka. Won, gnoju jeden, bo nie dam rady wystać dłużej wew spokoju i zaraz ci tak wymaluję w papę, że się girami nakryjesz.

Dziennikarzowi nie trzeba było dwa razy mówić. Schował dyktafon do torby, dopił colę co końca, bo niby czemu miałyby się zmarnować, i zadowolony z siebie wyszedł na ulicę. Cieszył się, bo z początkowo nijakiej rozmowy wyrwał kawał krwistego mięsa. Będzie z tego niezłe uzupełnienie artykułu, który miał się w gazecie ukazać już w najbliższy poniedziałek i który przygotowywał jego starszy kolega, redaktor Jarosław Kociak.

Godzina 14.30

– A co mnie obchodzi jakaś karetka? Ja już skończyłem robotę i idę do chaty.

– Nie mówię, że masz zostawać po godzinach.

– No to o co ci chodzi?

– O to, żebyś dał znać do chłopaków z Wronek i Opalenicy i gdzie tam jeszcze chcesz, żeby wiedzieli, że my tu szukamy karetki pogotowia.

– No przecież już wrzuciłem informację do internetu.

– Interneta sreta! – Zaśmiał się aspirant Maciej Antkowiak, klepiąc kolegę w ramię. Dyżurny Mrowiński doskonale wiedział, w czym rzecz, ale nie miał ochoty siedzieć w robocie ani minuty dłużej, niż to było konieczne. Często powtarzał, że tyle pracy, ile pieniędzy, i ani sekundy więcej. A że pieniędzy nie było za dużo, to nie odczuwał potrzeby robienia czegokolwiek ponad wymagania służbowe. No i gdyby przyszedł do niego z poleceniem jakiś oficer, który akurat zajmowałby się tą sprawą, to od razu wysłałby go na drzewo i demonstracyjnie wstał zza biurka. Po prostu wyszedłby, trzaskając drzwiami i pokazując, gdzie ma polecenia służbowe minutę po zakończeniu służby. Pech jednak chciał, że zwrócił się do niego z prośbą jego stary kumpel Antkowiak, z którym w policji przepracował ponad piętnaście lat. – Wiesz dobrze, Mrówa, że może se tam wisieć takie info nawet miesiąc i nikt nie zwróci na to uwagi, ale jak zadzwonisz do tych swoich znajomych, to wiesz, jak...

Wiedział bardzo dobrze, jak działał ten system. Jeśli na czymś ci zależy, załatw to sobie sam ze swoimi

znajomymi. Podziękujesz im wtedy, gdy oni będą czegoś potrzebowali i za jakiś czas sami do ciebie zadzwonią. No i wszystko się w ten sposób kręci. A informacje w necie, na policyjnych stronach, giną w natłoku innych. Widać jego kumpłowi naprawdę zależało na tej karetkce.

– A tak w ogóle, to co cię obchodzi jakaś zasrana karetka? – Spojrzał na Antkowiaka, który właśnie podszedł do okna i z zaciekawieniem przyglądał się czemuś, co działo się na parkingu przed komendą. Aspirant Mrowiński też spojrział w okno, ale niczego interesującego nie dostrzegł. Jak zwykle pełno samochodów i ani jednego wolnego miejsca dla interesantów.

– Karetka jest bardzo ważna dla miasta, bo jeździ do wszystkich wypadków drogowych. Czasem od kilku minut zależy ludzkie życie, a jak nie ma...

– Co ty pierdolisz, stary? Komu takie głodne kawałki zasuwasz? Gadaj, o co chodzi i jak mam ci pomóc.

Antkowiak uśmiechnął się pod nosem. Podszedł do biurka, podsunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko kolegi.

– Wiesz, jak jest. Ta pierdolona karetka, co zginęła, to dobrze by było, żeby się znalazła.

– No wiadomo. Najlepiej, żeby w nienaruszonym stanie i z całym sprzętem w środku.

– Widzę, że łapiesz, w czym rzecz.

– Jeszcze nie do końca.

– Idzie o to, że mój szwagier pracuje w pogotowiu. Wiesz, brachol mojej Mariolki.

– No kumam. Chce pomóc kumplowi, znaczy temu, co mu tę karetkę podpierdolili, i zadzwonił do ciebie, żebyś pomógł – domyślił się Mrowiński.

Antkowiak znów się uśmiechnął, ale tym razem jakoś tak niewyraźnie, i zaraz pokręcił głową.

– Nie do końca.

– Że niby co nie do końca?

– Nie do końca żeś się domyślił. Bo ten, co jemu karetkę rąbnęli, to właśnie jest mój szwagrowski. Teraz już czaisz? Wacek Ambroziak to jest brachol mojej Mariolki. Więc trzeba chłopakowi pomóc, bo jak nic z roboty go wypierdola, tym bardziej że kluczyki też zginęły.

Dyżurny Mrowiński teraz już pojął cały tragizm sytuacji. Szwagier miał rzeczywiście poważny kłopot. Największym problemem były te kluczyki.

– Zostawił je w stacyjce i poszedł się wylać albo co...

Antkowiak potwierdził skinieniem głowy. Nie było co dalej wyjaśniać.

– Jak ukradziona z kluczykami, to ma przejebane.

– No.

– Dobra, zobaczę, co się da zrobić.

Przysunął do siebie plastikowe korytko z papierami i po chwili ze sterty wydobył zgłoszenie kradzieży z opisem pojazdu. To zgłoszenie przyjął kilka godzin temu któryś z policjantów na dyżurze, wpisał wszystkie dane i zrobił odbitkę ksero, którą zaniósł na dyżurkę. Dyżurny wrzucił dane do internetu i tym samym sprawa skradzionej karetki umarłaby śmiercią naturalną w natłoku innych

przybywających w kolejnych godzinach informacji. Bo kto by się tam zajmował poszukiwaniem zaginionego samochodu? Policja miała przecież ważniejsze sprawy na głowie, a aut w kraju codziennie ginęło sporo, tylko nieliczne się odnajdywały i to najczęściej przypadkowo. A ukradziona karetka najprawdopodobniej już pojechała w stronę granicy z Rosją albo Białorusią i teraz szuka wiatru w polu. No ale czego się nie robi dla kolegi? Mrowiński musiał więc podjąć działania operacyjne.

Podniósł słuchawkę telefonu służbowego, wykręcił numer na starym kółku z czarnymi cyferkami, którego obsługa przekraczała możliwości przeciętnego nastolatka obeznanego tylko z klawiaturami dotykowymi. Sygnał połączenia z trudem przebił się przez brzęczącą i pierdzącą metalicznie melodię *Wiosny* Vivaldiego, ale aspirant Mrowiński nie był muzycznym koneserem, by docenić skrzypcowe trele, które zrodziły się w głowie weneckiego geniusza. On cenił tylko te melodie, które dobrze znał. A dotąd wpadły mu w ucho *Majteczki w kropeczki*, bo takie nosiła jego żona, *Oczy zielone*, przez które oszalał piosenkarz, i jeszcze kilka innych hitów z repertuaru zespołów grających na weselach. Bo tylko na weselach słuchał muzyki. Gdyby miał w samochodzie radio, może i słuchałby też w drodze do i z pracy. Ale gdy kupował swojego matiza, wybrał wersję striptiz, czyli najtańszą, bez żadnego dodatkowego wyposażenia, a więc bez radiodbiornika. Sprzedawca nawet zażartował, że w tej wersji ma w gratisie RPS-y. Jak gratis, to wziął, skoro się należały. Nie zapytał od razu, o co chodzi z tymi RPS-ami, żeby nie wyjść na durnia. Pochwalił się za to kolegom w pracy, że ma je w wyposażeniu, gdy pytali o nowy wóz.

– To tak jak mały fiat – stwierdził z miną znawcy Biernat, który był raczej samochodowym laikiem.

– No coś ty. Wtedy jeszcze auta nie miały RPS-ów.

Biernat pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A jak się opuszczało i podnosiło szyby w maluchu czy dużym fiacie?

– No jak? Normalnie, korbką.

– A jak w twoim matizie?

– Tak samo, też korbką, bo nie wziąłem...

I wtedy zrozumiał, co to są te cholerne RPS-y. Ale Biernat na wszelki wypadek rozszyfrował mu ten skrót.

– RPS-y, czyli ręcznie podnoszone szyby masz w cenie.

Przez kilka dni śmiała się z niego cała komenda. W końcu był jednym z nielicznych posiadaczy fabrycznie nowych RPS-ów.

Koncert Vivaldiego urwał się i zaraz rozległ się w słuchawce sygnał połączenia.

– Halo, aspirant Mrowiński mówi z Szamotuł! – powiedział głośno, żeby jego kolega Antkowiak dobrze wszystko słyszał. Na wszelki wypadek na konsoli, do której podpięty był ten stary telefon, włączył czarny przycisk i z niewielkiego głośniczka popłynął głos dyżurnego z Wronek.

– Czołem, Mrówa, Karol Wawrzyniak mówi. Czego tam potrzebujesz, bo jeśli chcesz pożyczyć kasę, to zapomnij. Nic nie mam na zbyciu.

– No cześć, Karol. Kasy nie, my tu tak dobrze w Szamotułach zarabiamy, że niepotrzebne są nam

pożyczki.

– Ale po wyborach, jak przyjdą nowi, to będziemy jeszcze raz tyle zarabiać. Tak gadał tu ten łysy poseł, co był na spotkaniu u nas we Wronkach. Mówił, że jak oni wygrają, to będzie tak dobrze jak nigdy w policji, bo oni cenią sobie naszą ciężką robotę.

– No to jak będzie tak dobrze, może w ogóle do roboty nie będziemy musieli chodzić? – stwierdził Mrowiński.

– Ty będziesz musiał robić, ale te wszystkie patole nie będą już wcale pracować, jak się im da te pięć stów na każde dziecko, tak jak to ta baba gadała.

– Jaka baba?

– No ta, jak jej tam... Straszycie czy jakoś tak... – Dyżurny z Wronek nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

– A, ta. No to bardzo dobrze mówiła. Bo ja mam trójkę dzieciaków, to będę do przodu tysiąc pięćset.

– Ja mam tylko dwóch chłopaków. – W głosie Wawrzyniaka słyhać było pewną nutę rozgoryczenia. – Tylko tyśiaka dostanę, jak wygrają.

– Jak dotrzymają słowa – dorzucił jeszcze swoje wątpliwości Mrowiński. – No ale ja tu nie o podwyżkach i rozdawaniu forsy, ale sprawę mam.

– Jaką?

– Dziś podpieprzyli u nas karetkę. W centrum miasta, w biały dzień, niedaleko rynku. Wszystkie dane wozu są już w Internecie, ale jakby co, to ci je mogę jeszcze faksem popchnąć.

– Dawaj faks, papier to papier. Zrobię ksero i dam

chłopakom. Jak jest gdzieś u nas ta karetka, to ci ją znajdą. Zresztą zaraz dam znać do patroli.

Mrowiński uśmiechnął się do przysłuchującego się całej rozmowie Antkowiaka. Ten okazał mu wyciągnięty w górę kciuk i zadowolony pokiwał głową.

– No to ja zaraz ci to wszystko przefaksuję. Dzięki i trzym się, do zobaczenia!

– Nie ma za co. Jak trzeba, to się karetka znajdzie – zapewnił kolegę dyżurny z Wroniek i przerwał rozmowę.

– No widzisz, tak się sprawy załatwia. – Mrowiński odłożył słuchawkę na widełki. – Jeszcze dam znać do Czarnkowa, Obornik i Kaźmierza, a oni popchną to dalej. Karetki tak łatwo się nie ukryje.

– Jaka karetka, chłopaki? – zapytał komisarz Biernat, który stanął w drzwiach do dyżurki. Obaj aspiranci odwrócili głowy. Biernat skinął im na powitanie ręką. – Karetka już zabrała dziewczynę do kostnicy.

– Nie, my o innej – wyjaśnił Mrowiński. – Dzisiaj w okolicy rynku ktoś podpierdolił karetkę, no więc my szukamy...

– To przerwijcie te poszukiwania. Szukamy jasnego, być może białego passata. Nie mam rejestracji, rocznika i żadnych znaków szczególnych.

– A co ten passat zrobił? – Dyżurny spróbował zebrać choć trochę danych, bo opis, który dostał od Biernata, niewiele mu mówił.

– Stał w lesie koło Piotrowa, niedaleko miejsca, gdzie żeśmy znaleźli ciało zamordowanej dziewczyny – wyjaśnił komisarz.

– No to już coś – mruknął Mrowiński, sięgając po słuchawkę telefonu. Był już po dyżurze i powinien pójść do domu, ale gdyby to przyszedł ktoś inny niż Biernat, toby go olał. Biernatowi się jednak nie odmawiało.

Aspirant Antkowiak spojrział z wyrzutem na komisarza, który pojawił się w najmniej odpowiednim momencie. Gdyby przylazł dziesięć minut później, poszukiwania karetki zaczęłyby się już w całej okolicy, a tak zanim w ogóle się zaczęły, szlag je jasny trafił. Teraz wszyscy będą zajmować się poszukiwaniem jakiegoś cholernego passata. A jego szwagier w zasadzie to mógł już zacząć szukać nowej roboty, bo na cud nie miał co liczyć. No ale trudno, myślał Antkowiak. Trzeba było bardziej uważać, no i przede wszystkim nie zostawiać kluczyków w stacyjce. Bo tylko idiota w taki sposób ułatwia robotę złodziejowi. I taka była prawda, jego szwagier był niestety idiotą.

Godzina 15.20

Komputer zapiszczał, informując, że kończy na dziś swoją robotę, i po sekundzie ekran monitora wypełniła czerń. Aneta spojrzała za okno. Tam też robiło się ciemno. Nabrzmiałe, szare chmury płynęły od zachodu w kierunku miasta, niosąc w swoich grubych brzuchach zapowiedź ulewy. Na myśl o zbliżającym się deszczu dziewczyna mruknęła coś pod nosem, ale nieartykułowane jęknięcie nie przerodziło się w bluźniercze słowo. Raczej nie

przeklinała. No chyba że coś ją mocno zirytowało. Zła pogoda, mimo że nie zapewniała najciekawszych doznań motocyklistce, nie była jeszcze sama w sobie powodem, żeby się denerwować. Co innego zepsuło jej humor. Była zła na siebie, bo wszystko, co sobie zaplanowała wczoraj, szlag jasny trafił. Miała być na uczelni, ale zamiast nauką zajęła się robotą. I po naradzie, którą w jej pokoju urządzili sobie szefowie, została tylko na chwilkę, żeby coś sprawdzić. Uruchomiła ten stary, służbowy komputer, który z internetem łączył się przez kilka minut. A gdy wreszcie mu się udało, zaczęła szybko wystukiwać na klawiaturze polecenia w wyszukiwarce.

Nie miała pojęcia, czy to, nad czym się zastanawiała, to właściwy trop, ale na razie nie miała żadnego innego. Dlatego jeszcze tam na miejscu, w tym lesie, powiedziała Biernatowi o swoich przemyśleniach.

– To musi być prostytutka, co stała tutaj przy drodze – stwierdziła, patrząc na zwłoki dziewczyny.

– No też mi się tak zdaje – mruknął Biernat, sprawdzając coś w swoim telefonie. – Tyle że tu od dawna nie stały żadne panienki. Trzeba to sprawdzić u chłopaków z Wroniek, czy mieli jakieś zgłoszenia, i tak w ogóle.

– Stały – włączył się w tę wymianę zdań aspirant Turek. – W zeszłym tygodniu jechałem do Wroniek, to widziałem. Dwie stały mniej więcej tutaj. – Wskazał palcem drogę biegnącą powyżej leśnego bajorka.

– To znaczy, że Wronki już coś o nich mogą wiedzieć. Może je chociaż spisali? – Aneta znów pochyliła się nad

zabitą dziewczyną i zaczęła dokładnie się jej przyglądać.

– Ja bym nie był taki pewny. – Turek sięgnął do kieszeni swojej dżinsowej kurtki i wydobył z niej paczkę marlboro. Palił tylko takie papierosy, bo wydawało mu się, że tylko one pasują do jego stylu. W końcu na reklamach zawsze widać było jakiegoś kowboja, a on nosił się trochę z kowbojska. Nie wiedział tylko, że ten Amerykanin z reklam papierosów dawno już zmarł na raka płuc, i kto wie, czy i kowboj Turek nie pójdzie kiedyś w jego ślady, bo kopcąc dwie paczki dziennie, był na najlepszej drodze do powtórzenia efektownie zakończonej ścieżki palacza wyznaczonej przez twórcę reklam. – Oni mają takie laski w dupie. Stoją se dziewczynki i zarabiają na chlebek, to po co się mają wtrącać, nie? Niech se robią, co chcą.

– Myśli pan, że one tego chcą? – Wyprostowała się i spojrzała na niego tak, że Turek poczuł się trochę nieswojo. Tylko nie rozumiał dlaczego, bo przecież nic takiego nie powiedział. Przy niej zawsze trochę hamował się ze swoimi dowcipami, bo wiedział, że na żartach, szczególnie tych pieprznych, to w ogóle się nie zna.

– No jakby nie chciały, to po co by stały, nie? – Aspirant spojrzał na Biernata, szukając u niego poparcia, ale komisarz udał, że grzebanie w komórce pochłonęło go całkowicie.

– To są najczęściej dziewczyny, które przyjeżdżają do nas ze Wschodu. Przyjeżdżają do pracy, bo chcą wyrwać się z biedy. Chcą pracować w knajpach czy sklepach, ale trafiają w łapy zwyrodnialców, którzy zabierają im paszporty, maltretują, gwałcą, a potem zmuszają do pracy przy drodze. Mijał je pan, siedząc w swoim aucie, i myślał

sobie o nich, że się dobrze bawią? Nie wiedział pan o tym, że to są ofiary przestępstw, którym trzeba pomagać, a nie bezmyślne idiotki, które zarabiają na chlebek! Jak pan nie wie takich rzeczy, to co z pana za policjant?

Pokręciła głową, obrzucając aspiranta niechętnym spojrzeniem i zaraz przyklękła tuż obok głowy martwej dziewczyny. Coś najwyraźniej zwróciło jej uwagę, bo natychmiast straciła zainteresowanie Turkiem.

Ten tymczasem spuścił wzrok, wpatrując się w czubki swoich kowbojskich butów, bo nie bardzo wiedział, co miałby jej odpowiedzieć. Młody policjant Alan Nogaś aż otworzył usta zdumiony, bo pierwszy raz widział, żeby taka niepozorna dziewczyna przejechała się po aspirancie jak po łysej kobyle. A Biernat wpatrzony w ekran swojego nowego telefonu uśmiechnął się pod nosem, bo kto jak kto, ale on dobrze wiedział, że z tym małym rudzielcem lepiej nie zaczynać, a już broń Boże nie warto przy niej rzucać jakichś głupich uwag na temat kobiet. Aneta była cichą i spokojną dziewczyną, która nawet wydawała się osobą zbyt nieśmiałą jak na policjantkę. Ale niekiedy potrafiła tak dołożyć przeciwnikowi, że aż przykro się robiło na widok rozjechanego na miazgę nierozważnego rozmówcy. Turek już kilka razy starł się z Anetą i nigdy nie wyszło mu to na dobre. Ale dzisiaj Biernat musiał przyznać, że zachował się całkiem ostrożnie. Zamilkł, nie wdając się w dalszą dyskusję, bo po tej reprimendzie, której udzieliła mu Aneta, dalsze brnięcie w temat mogło go tylko pogрузić i wciągnąć w lepka otchłań, tak jak to śmierdzące bajorko, w którym na powierzchni utrzymywały się tylko plastikowe flaszki i worki foliowe,

a wszystko cięższe, tak jak kaliber dowcipu Turka, tonęło natychmiast w lepkiem błocie.

– To jest dziewczyna ze Wschodu. Miałam rację. – Biernat spojrział na Anetę, która pochylała się nad twarzą zabitej dziewczyny. – Rosjanka, może Ukrainka?

– Skąd wiesz? – zapytał, podchodząc do niej bliżej. – Znalazłaś coś ciekawego przy niej?

– Sprawdziłam zęby. Ma dwie koronki ze srebra. U nas się już takich nie robi od lat. O, niech pan popatrzy.

Bez zbędnych ceregieli chwyciła za podbródek i wepchnęła w martwe usta ołówek, rozchylając je nieco. Biernat wyciągnął z kieszeni niewielką latarkę, nie większą od długopisu, i skierował strumień światła w ciemną przestrzeń.

– No masz rację.

– To jeszcze żaden dowód. – Turek przegrał z kretesem pierwszą wymianę zdań z Anetą, ale jako prawdziwy mężczyzna i na dodatek kowboj nie mógł oddać tak łatwo pola.

– Ja też mam taką koronę, o tu, he, he, he.

– Jakby pan częściej chodził do dentysty, toby już ją panu zdjęli jakieś dziesięć lat temu – wypaliła, niewiele zastanawiając się nad tym, że jej przeciwnik znów dostał cios między oczy, a może w zęby. Aspirant Turek bezwiednie chwycił się za szczękę, ale gdy się zorientował, co zrobił, natychmiast schował dłoń do kieszeni. Namacał tam obły kształt zapalniczki Zippo – takiej kowbojskiej zapalniczki jak z amerykańskich filmów. Wyjął więc ją i znów zapalił papierosa. Trzeba by

tej młodej dać nauczkę. Na razie jeszcze nie wiadomo jaką, ale coś się wymyśli, żeby gówniara się tak nie szarogęsiła, myślał, przyglądając się jej spode łba. Ona tymczasem gadała o czymś z Biernatem, który nie wiedzieć czemu przy tej młodej zachowywał się jak dupa wołowa i, co gorsza, zawsze brał jej stronę. Nawet jak nic nie mówił, Turek miał wrażenie, że był za nią.

Biernat rozpiął swoją brązową marynarkę opinając wielki brzuch. Wydobył z wewnętrznej kieszeni staromodną kraciatą chusteczkę i otarł nią spocone czoło, a potem zdjęwszy okulary z nosa, zaczął nią przecierać szkła. Widać było, że łażenie po tych leśnych ostępach dawało mu się we znaki, jednak ci, co go znali, wiedzieli, że za nic w świecie nie odpuściłby sobie takiej okazji. Tutaj był w swoim żywiole.

Sięgnął po staromodny dyktafon, przyłożył go do ust i wdusił przycisk nagrywania.

– Aneta znalazła jeszcze jeden szczegół. Dwie koronki srebrne na zębach. U nas takich nie używa się już od... – Tu spojrzął na dziewczynę, jakby ta była specjalistką od stomatologii. Wzruszyła ramionami. – Nie robi się takich przynajmniej z dziesięć lat, ale trzeba zapytać jeszcze o to jakiegoś dentystę, żeby to sprawdzić. Jeśli to prawda, to mamy powody przypuszczać, że zamordowana przyjechała z któregoś z krajów byłego Związku Radzieckiego. Być może, jak sugeruje Aneta, jest ofiarą jakiejś zorganizowanej grupy zajmującej się handlem żywym towarem, mogła być zmuszana do prostytucji przy drodze. Trzeba zapytać we Wronkach, czy tamtejsza komenda miała jakieś informacje odnośnie prostytutek przy tej

szosie. Może ta zamordowana dziewczyna była przez któryś z patroli legitymowana albo chociaż policjanci przeprowadzili z nią jakąś rozmowę. Należy to wszystko sprawdzić.

Pewnie, że trzeba to sprawdzić, przypomniała sobie ostatnie słowa Biernata przed wyłączeniem dyktafonu. No i właśnie ona wszystko sprawdzała. Usiadła do tego przedpotopowego komputera, który chodził wolniej niż walec drogowy, i zaczęła zbierać informacje z ostatniego czasu na temat handlu żywym towarem i grup przestępczych zajmujących się tym procederem, które dostępne były na policyjnych stronach. Musiała przyznać, że niewiele tego było. Kilka meldunków o udaremnionych próbach przewozu ludzi w ciężarówkach czy furgonetkach zatrzymanych przez policjantów do kontroli w różnych miejscach kraju. Byli to najczęściej Azjaci przerzucani z Ukrainy, którym przewoźnicy za odpowiednią opłatą obiecywali transport do Niemiec. Zatrzymani w Polsce trafiali do specjalnych punktów deportacyjnych dla obcokrajowców, gdzie mieli czekać na swój los, czyli najczęściej zesłanie na Wschód. Dla nich sen o wielkim świecie kończył się definitywnie, no chyba że mieli pieniądze na opłacenie ponownego transportu, bez jakiegokolwiek gwarancji na sukces, którym było dotarcie na wymarzony Zachód. Dla nich Polska wcale nie była atrakcyjna. Podobnie jak dla tych uchodźców, którzy w tej chwili szli z południa Europy, z Turcji przez dawną Jugosławię czy Węgry w kierunku zachodniej Europy. U nas żadnych uchodźców jak dotąd nie było, a ci łapani

na drogach, stłoczeni w ciężarówkach, nie mieli z tymi pokazywanymi od jakiegoś czasu w codziennych programach informacyjnych nic wspólnego.

Otworzyła okienko ogólnodostępnej wyszukiwarki i od niechcenia wpisała „handel żywym towarem”.

Natychmiast pokazała się strona pełna tytułów z internetowych portali i artykułów gazetowych. Zaczęła je przeglądać, ale większość z nich podawała przestarzałe informacje. W końcu trafiła na ciekawy nagłówek któregoś z ogólnopolskich periodyków: *Handel żywym towarem w XXI wieku. „Sekswięzienia są wszędzie”*.

„Prom «Caledonia» z Odessy przypływa do portu Karakoy w Stambule w środy o 8 rano. To tradycyjny dzień dostawy nowego «towaru» do tureckich i bliskowschodnich burdeli. Na nabrzeże i do sąsiedniej dzielnicy Aksaray zjeżdżają właściciele domów publicznych ze Stambułu, Trabzonu, Ankary, Antalyi i innych miast. Każdy z nich przywozi po kilka tysięcy dolarów – wystarczy na 3–4 młode kobiety z Ukrainy lub Mołdawii. Targu dobija się szybko, niemal na oczach dziewcząt. Zmęczone trwającą 38 godzin morską podróżą do ostatniej chwili wierzą, że czeka je obiecana przez pośrednika praca w barze, sklepie lub nocnym klubie. Ale pośrednik zniknął – zainkasował swoje 1000 dolarów i wkrótce wróci do kraju, gdzie znów rozpocznie polowanie na młode kobiety. Przywiezione przez niego dziewczyny są teraz w rękach hurtowniczkii. Ta prowadzi je do portowego baru, gdzie umówieni wcześniej klienci mogą obejrzeć i wycenić «towar». Jeśli obawiają się, że któraś z kobiet zaczyna rozumieć, co się dzieje,

hurtowniczka dyskretnie wsypie jej do szklanki z napojem środek usypiający lub narkotyk. Sprzedane w knajpach na nabrzeżu dziewczyny są pakowane do samochodów. Wkrótce rozpoczną podróż do koszmaru, jakiego nie spodziewały się w najgorszych snach. Pozostałe, w towarzystwie innych hurtowników, docierają taksówkami do dzielnicy Aksaray – największego targu niewolników w Europie”⁷.

W trakcie czytania artykułu trzy razy zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz. To dzwonił Turek. Ciekawe, co może mieć do powiedzenia ten seksista? – przeszło jej przez głowę, ale zaraz wyleciało.

Drzwi do jej pokoju otworzyły się bez pukania. Do środka weszła Martyna Urbanek. To znaczy najpierw do pokoju wpłynęły duże piersi opakowane w dobrze dopasowaną bluzę mundurową, a za nimi cała reszta niezwykle urodziwej blondynki. Martyna dobrze wiedziała, że sama jej obecność sprawia, iż mężczyźni z trudem powstrzymują spojrzenia, by nie wydać się zbyt nachalnymi, ale rzadko któremu się to udaje. I dlatego starała się, by jej mundurowe wdzianka prezentowały się jak najlepiej na tych wszystkich okrągłościach, bo co tu dużo mówić, lubiła robić dobre wrażenie na facetach. Tym bardziej że nie mijało ono w chwili, gdy zaczynała mówić. Bo Martyna była i ładna, i inteligentna, stanowiła więc żywe zaprzeczenie tych wszystkich idiotycznych dowcipów o blondynkach.

– Zobaczyłam twój motor na parkingu.

– Motor to masz w swojej pralce – rzuciła Aneta, uśmiechając się do przyjaciółki. – A ta moja maszyna to

jest motocykl.

– Łe, no co za różnica. W każdym razie jak go zobaczyłam, to sobie pomyślałam, że jeszcze nie pojechałaś i że jak nie pojechałaś, to cię zabiorę do siebie i pojedziemy razem na zakupy do Starego Browaru, a potem na jakieś piwko skoczmy na rynek. W końcu dziś sobota.

– No nie wiem. – Aneta pokręciła głową. – Mam jeszcze robotę. A potem chciałam pojechać do domu.

– Pojedziesz jutro. Prześpisz się u mnie i rano, proszę bardzo, możesz sobie jechać. A dziś się zabawimy trochę.

– No wiesz, ale nie mam nic do przebrania. – Wskazała na swoje obcisłe skórzane spodnie i skórzaną kurtkę, która leżała w nieładzie na podłodze.

– Nie ma o czym gadać. Ciuchy jakieś dla ciebie znajdę w swojej szafie. Numer buta masz taki jak ja, więc nie będzie z tym problemu. No to się nie ociągaj. Idziemy!

Aneta spojrzała na ekran komputera, jakby mógł wybawić ją z kłopotu. Ten jednak zaczął mrugać coraz mocniej. Widać był już wyjątkowo przemęczony pracą.

– No niech ci będzie. – Wyłączyła urządzenie i podniosła kurtkę z podłogi. – Niewolnice seksualne mogą poczekać.

– Co mówisz? – zainteresowała się Martyna.

– A nic, szukam informacji o dziewczynach ze Wschodu zmuszanych u nas do prostytucji. Muszę wiedzieć wszystko. Wiesz, kto je tu przywozi i jak trafiają na drogi... Chodzi o tę zabitą dziewczynę koło Wronek.

– Tirówki?

– No, o takie, co stoją przy drogach.

– No to nie szukaj więcej. W poniedziałek będziesz mogła sobie z jedną pogadać. Dziewczyna uciekła z prawdziwego piekła. Przed chwilą dostałam w tej sprawie informację z Szamotuł. Przywiózł ją tu jakiś miejscowy policjant.

Aneta zastygła z jedną ręką ubraną w skórzany rękaw.

– Co ty gadasz? Gdzie ona jest? Ja zaraz z nią...

– Nic z tego. Dziewczyna jest w szpitalu. Jest w ciężkim stanie psychicznym. Może za dzień czy za dwa będzie można z nią pogadać, ale nie wiem...

– W szpitalu w Poznaniu?

– Tak. Jak tylko się lepiej poczuje...

– To może bym zostawiła swój numer telefonu w tym szpitalu? – Aneta próbowała jeszcze walczyć, ale Martyna była nieugięta.

– Dzisiaj zakupy i piwo, jutro wolne, a robota w poniedziałek.

Chwyła bezwładnie zwisający drugi rękaw kurtki i wsunęła weń rękę Anety. Ta posłusznie dała się ubrać do końca, a potem wypchnąć na korytarz. Wiedziała, że niekiedy dyskusja z przyjaciółką jest kompletnie bezcelowa. Jak Martyna się na coś uprze, to koniec. Nic się nie da zrobić.

No trudno, przeżyje jakoś te zakupy, to piwo, choć i tak będzie cały czas myśleć o tych biednych dziewczynach.

Rozdział III

**Niedziela
13 września 2015
Godzina 9.20**

Na podwórku gdakały kury. Tak jak te kurczaki w małych domkach na obrzeżu miasta, które oglądała z wysokości okna swojego mieszkania na trzecim piętrze. Domki wydawały jej się takie małe i kruche w porównaniu z solidnym blokiem, w którym mieszkała. To tam od rana piałły koguty i gdakały kury. Tak samo gdakały jak baby na targowisku, pomyślała i uśmiechnęła się do wspomnień o kobietach, które na straganach handlowały ziemniakami, cebulą, kapustą i marchwią. O tych przekupkach, wiejskich babach w chustkach na głowie, które wyklócały się o każdą hrywnę. Chodziła z mamą na targowisko po zakupy w każdą sobotę. Kupowały warzywa na cały tydzień, a ona pomagała nosić te ciężary do domu. Na szczęście nie miały daleko. Tylko kilka przecznic. Nawet nie było czasu się zmęczyć dźwiganiem tych kilogramów. Pięć minut spacerkiem i już u siebie. Mama zawsze powtarzała, że mają szczęście z tym mieszkaniem na trzecim piętrze, bo człowiek nie musi się nawnosić na górę. Raz-dwa i już w domu. Nie tak jak ci, którzy

mieszkali w wieżowcach, bo tam na górę jeździ się windą. A windy, jak wiadomo, ciągle się psują, więc ludzie muszą chodzić nieraz po kilka razy na swoje siódme czy ósme piętro. A one, proszę bardzo, tylko parę schodków. Ona jednak zazdrościła dzieciom mieszkającym w wieżowcach, które codziennie mogły jeździć w górę i w dół. A nawet zazdrościła im wówczas, gdy nie było prądu i windy nie jeździły, bo można było przecież biegać po tych schodach tam i z powrotem bez końca.

Gdy zaczął się ostrzał miasta, najpierw skończyły się zakupy na targu. Baby w chustkach zniknęły i nic nie można już było dostać. Później przestała zazdrościć koleżankom z wieżowców. To te wysokie jak wieże bloki przyjmowały w swoje ściany z wielkiej płyty najwięcej zagubionych pocisków wystrzeliwanych z armat. No i w końcu zaczęła zazdrościć wszystkim, którzy mieszkali w tych małych domkach razem z gdaczącymi kurami, piejącymi kogutami i szczekającymi psami. Tam nikt nie strzelał, a pociski przemykały tylko nad ich dachami, by polecieć w kierunku bloków.

Teraz gdy dotarło do niej to gdakanie kur, a potem szczekanie psa, pomyślała, że wróciła do siebie, do Doniecka, i jest w którymś z tych domków, ukryta przed wojną w ciepłym łóżku i okryta kołdrą po sam czubek nosa. Kołdra była ciepła i miła w dotyku, a w powietrzu pachniało przyjemnie jakimiś ziołami, chyba mieszanką mięty i szaławii z lekkim dodatkiem lawendy.

Po raz pierwszy od wielu, wielu dni poczuła się naprawdę bezpieczna, choć nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest. Na pewno nie była już w tym

paskudnym baraku i nie musiała od rana stać przy drodze, obsługując śmierdzących napaleńców. Miała przeczucie, że tutaj już nic jej nie grozi i że wreszcie ten jej koszmar definitywnie się skończył. Choć zakończenie było naprawdę dramatyczne i tylko przypadek sprawił, że udało się jej ujść z tego wszystkiego cało.

A jeszcze niedawno nic nie zapowiadało zmiany. Każdy następujący po sobie dzień był taki sam. Wstawały rano, myły się, jadły chleb i popijały herbatą, a potem przebierały się w te paskudne robocze ciuchy i w końcu rozwożono je do roboty w różne punkty na przechodzących przez las drogach. Każde takie miejsce było na odludziu, więc nawet gdyby którejś przyszło do głowy uciekać, i tak nie byłoby dokąd. Zresztą jak tu uciekać bez paszportu i pieniędzy. Wienia mówił, że niedługo i tak skończy się ich robota, a na ich miejsce przyjdą nowe dziewczyny. One miały tylko odpracować swój dług. Rachunek był prosty. Musiały spłacić ubrania, miejsce hotelowe i jedzenie, zapłacić za transport i ochronę, po czym miały zacząć zarabiać na siebie. Wyliczył im nawet, że spłata długu zajmie około trzech miesięcy, a potem każda z nich zarobi przynajmniej dwa tysiące euro i wówczas bogate wrócą do domu.

Wszystko zaczęło się od Larysy, tej drobnej brunetki, którą upatrzył sobie Wienia. Do czasu, kiedy miały zarabiać już na własny rachunek, zostały zaledwie dwa tygodnie. Wszystkie liczyły każdy dzień, który zbliżał je do wyczekiwanej wolności. Jakoś żadna nie wpadła na to, że z tą wolnością to może być zwykłe kłamstwo. Nie wiadomo dlaczego uwierzyły temu wiecznie pijanemu

bydlakowi. Chciały mu wierzyć, a on tę ich wiarę wykorzystywał. Aż do tej nocy.

Zapłakana Larysa, która jak zwykle czas spędzała w pokoju u Wieni, wbiegła do ich wspólnej sypialni. Z płaczem rzuciła się na swoją pryczę.

– Zamknij się, kretynko! – spróbowała ją uspokoić Nadia, która miała łóżko naprzeciwko. Nie była specjalnie miła. A bo i dlaczego miałyby być. Dziewczyny nie przepadały za Larysą pewnie dlatego, że cieszyła się specjalnymi względami Wieni. Każda z nich chciałaby mieć trochę lepiej niż inne. Larysa nigdy z nimi nie jadła, więc pewnie obżerała się tam z tym jej fagasem kawiozem i popijała szampanem, podczas gdy one były skazane tylko na suchy chleb. Więc teraz, gdy przybiegła zapłakana, chyba żadna jej nie współczuła. Chciały spać, a ona im przeszkadzała.

– Albo będziesz cicho, albo wypierdalaj do tego swojego Wieni! – zawołała Kalina, która wyjechała z Doniecka, żeby zarobić na mieszkanie. Nienawidziła jej tak samo jak tych wszystkich karkogłowych facetów, którzy na samym początku zgwałcili ją we czterech, podczas gdy piąty wszystko to filmował. Następnego dnia Wienia pokazał jej ten film na swoim telefonie i powiedział, że jeśli będzie się opierać, zaraz to dzieło sztuki zostanie wysłane do jej męża.

– To już nie jest mój Wienia! – zawołała Larysa.

– Co, wygnał cię? – W głosie Kaliny słychać było nieskrywaną satysfakcję.

– Nie, do cholery! Nie wygnał. Nie ma już Wieni!

Rozumiecie? Nie ma już tego bydlaka. Zabiłam go. Roztrzaskałam mu łeb butelką. Już po nim. Zdechł skurwysyn tak, jak żył. Jak rozdeptany robak.

Któraś z dziewczyn zapaliła światło. Wszystkie głowy uniosły się znad posłań. Oczy każdej z przerażeniem patrzyły na Larysę, tę drobną, potulną dziewczynę, która była na każde skinienie swojego prześladowcy. Tak zwyczajnie go zabiła?

– Jak to się stało? – Kalina zeskoczyła z łóżka i przykucnęła przy posłaniu Larysy. Ta odwróciła się do niej i uniosła nieco, opierając się na łokciu. Przez chwilę milczała, zbierając myśli, w końcu zaczęła mówić, co chwilę przerywając, by przełknąć napływające jej do gardła łzy.

– Powiedział, że mnie nikomu nie odda. Że się we mnie zakochał. No to ja myślałam, że on sobie żartuje, że tylko tak gada po pijaku. Ale on mówił, że nie odda mnie, bo jestem jego pierwszą w życiu dziewczyną. Że on się ze mną ożeni i takie tam. No to ja mu powiedziałam, że nie może się ze mną ożenić, bo ja w Kijowie mam swojego narzeczonego, i w ogóle. No to on się zezłościł jak nigdy i powiedział, że ja Kijowa i mojego narzeczonego już nigdy nie zobaczę. No to ja mu mówię, że już niedługo, jak się nasza umowa skończy, to nawet nie będę czekać, żeby się jeszcze dorobić, tylko od razu stąd jadę. A on się zaczął śmiać i mówi, że ani ja, ani żadna z nas nie odejdzie ani za miesiąc, ani za pół roku. Wcale nie odejdziemy, bo jesteśmy jego własnością i dlatego, że kiepsko pracujemy i mało zarabiamy, to nie spłacimy długu. A jak nie spłacimy, to on nas wszystkie sprzeda do burdeli

w Poznaniu czy gdzieś tam jeszcze. I nigdy z Polski nie wyjedziemy, bo z burdelu się nie da uciec. A mnie to za karę wywiezie do jakiegoś burdelu w Turcji, gdzie zdechnę na syfa w pół roku.

– A to skurwysyn jeden. – Kalina rozejrzała się wokół, patrząc na dziewczyny, które ze strachem, ale w skupieniu słuchały opowieści Larysy. – I co zrobiłaś?

– Złapałam butelkę i przywaliłam mu w łeb.

– Tylko raz? – zapytała Wiera.

– Nie, nie raz, chyba ze trzy razy, aż się flaszka potłukła, a on się zalał krwią.

– I co z nim? – Kalina próbowała ustalić fakty.

– Nie żyje.

– A skąd wiesz?

– Bo nie oddycha, skurwysyn. Zabiłam go butelką z wódką. Cały ryj ma we krwi. Zalany krwią i nie oddycha. To chyba znaczy, że nie żyje, nie?

– A sprawdziłaś tętno? – Nie dawała za wygraną Kalina.

– Ja pierdołę, zabiłam bydlaka. Widziałam.

Kalina dotąd pochylona nad łóżkiem wyprostowała się i odwróciła za siebie, tam gdzie stały pozostałe dziewczyny.

– Słuchajcie, musimy coś zrobić. Jeśli on rzeczywiście nie żyje, to mamy niewiele czasu.

– Co chcesz zrobić? – zapytała szczupła, ruda dziewczyna z Kaliningradu.

– Musimy uciekać. Bo jak ci jego gnoje zobaczą, że on nie żyje...

– A wiesz, dokąd mamy iść? Wiesz w ogóle, gdzie my jesteśmy? – zapytała ją jasnowłosa Olga.

– O tym się przekonamy, jak już się stąd wydostaniemy. Musimy wyjść na korytarz i jakoś dotrzeć do pokoju, w którym leży ten bydlak. On ma klucze. Weźmiemy je i uciekamy.

– Dokąd chcecie uciekać? – W szeroko otwartych drzwiach jak zombie z horroru stanął Wienia. Lewą skroń i pół twarzy miał zalane krwią. W jednej dłoni trzymał butelkę wódki, wcale nie rozbitą, w drugiej miał pistolet. Dziewczyny stojące na środku pokoju jak na komendę rozbiegły się po kątach. Tylko Kalina została na swoim miejscu. Stała tak, patrząc na ledwie trzymającego się na nogach bandytę, i chyba nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Za to on wiedział doskonale. Postąpił dwa kroki w kierunku Kaliny, chwiejąc się w przód i w tył. Uśmiechnął się oblesnie, a potem obrzucił mglistym spojrzeniem wszystkie kobiety.

– A teraz, kurwy, mnie słuchajcie. Wszystkie mnie słuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Koniec cackania się z wami, szmaty. Za to, że żeście się niezbyt starały w pracy, nakładam na was wszystkie karę w wysokości dwa tysiące euro na głowę. Dopiero jak te pieniądze odpracujecie, wasze kontrakty się skończą. Rozumiecie, kurwy?

W pokoju zrobiło się kompletnie cicho. Żadna dziewczyna nie śmiała się odezwać. Wienia pociągnął łyk wódki z butelki, a potem zaczął się przyglądać

przestraszonym twarzą. Naraz ciszę przerwał zdecydowany głos Kaliny.

– Nie możesz tego zrobić, skurwysynu.

Wienia popatrzył na nią zdumiony.

– Coś ty powiedziała?

– Że nie możesz tego zrobić. Miałyśmy pracować jeszcze tylko dwa tygodnie na was, a potem już na siebie.

– Ja nie mogę? Słyszałyście dziewczynki, co mówi ta szmata? Ja nie mogę? Ja mogę wszystko, bo ja jestem waszym panem, a wy jesteście tylko zwykłymi dziwkami. Prawda, Laryska? No gdzie jesteś, Laryska. Pokaż swoją piękną główkę?

– Tu jestem, Wienia.

Larysa usiadła na łóżku, spoglądając na swojego oprawcę załzawionymi oczami.

– O, Laryska moja, nie płacz. Powiedz tylko tym wszystkim głupim szmatom. Powiedz im, że Wienia może wszystko.

– Wienia może wszystko.

– No właśnie, głupie suki, Wienia może wszystko! – Uśmiechnął się zadowolony, a potem szybko wycelował pistolet w głowę Larysy i nim którakolwiek zdążyła zareagować, pociągnął za spust. Wielka plama krwi rozbryzgała się na białej ścianie za łóżkiem, a ciało dziewczyny opadło na plecy, rzucone siłą wystrzału jak szmaciana lalka.

Żadna z dziewczyn nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku. Wszystkie milczały, bojąc się zwrócić na siebie

uwagę mordercy. A ten dmuchnął w lufę pistoletu jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu, a potem zmarszczywszy brwi, spojrzał na Kalinę.

– A ty jak masz na imię, suko, bo zapomniałem.

– Kalina.

– Jesteś teraz moją suką, Kalinko?

– Tak, Wienia.

– Powtórz, bo nie usłyszałem.

– Jestem twoją suką, Wienia.

– No i bardzo ładnie. No to chodź ze mną, Kalinko, a wy, kochanieńkie, spać. Dostyc gadania po nocy, bo jutro musicie w pracy być piękne.

Gdy wyszli z pokoju, gasząc światło, Wiera podjęła decyzję. Nie będzie czekać ani chwili dłużej. Musi uciekać.

Kury za oknem gdakały, ale pies przestał szczekać, więc zrobiło się znacznie ciszej. Było ciepło i przyjemnie pachniały zioła. Drzwi do pokoju otworzyły się powoli, pchnięte delikatnie z drugiej stron. Nie zauważyłaby tego, gdyby nie lekkie skrzypnięcie zawiasów.

W wejściu stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w wojskowym, zielonym t-shircie i spodniach bojówkach. Uśmiechnął się do niej, gdy ich spojrzenia się spotkały.

– *Я приглашаю вас на завтрак*⁸ – powiedział, a ona znów nie zwróciła uwagi na to, że mówił do niej po rosyjsku.

Godzina 9.50

– A pani to z jakiej dzielnicy Poznania niby jest?

– Ja? Z Wildy.

– Aha, z Wildy.

– Wie pan, gdzie jest Wilda?

– No pewnie, że wiem. Za dworcem PKS-u.

– No, za dworcem na prawo, jak się jedzie od stacji PKP. Ja całe życie na Wildzie mieszkam. Tam jest najlepiej w Poznaniu. Bym się nigdzie nie przeniosła w życiu – stwierdziła pewnym głosem pielęgniarka Agata Łuczak, która miała dziś dyżur od siódmej rano i jak zwykle o tej porze niemiłosiernie się nudziła. Wiadomo, że sobotnio-niedzielne dyżury są najnudniejsze, bo nic się nie dzieje. Na całym oddziale jest tylko jeden lekarz, który w ramach oszczędności zagląda jeszcze dodatkowo do izby przyjęć. Pozostałe pielęgniarki tylko udają robotę. Piją kawę i wyczekują czternastej, żeby wreszcie móc pójść do domu. Choć dziś dodatkową atrakcją dyżuru był młody policjant, którego przysłali tu nie wiadomo po co. To znaczy wiadomo, co miał robić, tylko nikt nie potrafił zrozumieć, o co tyle zamieszania. O jakąś jedną Ruską z obitą głową, której właściwie nic nie było. Lekarz, który ją badał, stwierdził, że raczej nie ma obrażeń wewnętrznych i już można by ją wypisać. Tyle że w niedzielę nie było wypisów, więc musiała czekać do poniedziałku.

– A pan skąd? – zapytała chłopaka, który usiadł grzecznie na wskazanym mu przez oddziałową fotelu i czekał na kubek kawy, który za chwilę miał dostać od siostry przygotowującej właśnie poczęstunek dla wszystkich dyżurujących kobiet. Zawołały go do siebie, bo żal im się zrobiło chłopaka, który sterczał na korytarzu i nudził się jak mops. W zasadzie to Agata go zawołała, a oddziałowa nie miała nic przeciwko temu, więc teraz to na dziewczynie spoczywał obowiązek zabawiania gościa.

– Ja nie... z Poznania. Ja jestem z Trzcianki.

– A to wiem gdzie. Ja tam niedaleko Nowego Tomyśla mam ciocię, znaczy siostrę mojej mamy...

– Nie, nie koło Nowego Tomyśla. Ta Trzcianka to jest taka mała wieś, a ja jestem z tej dużej z powiatu czarnkowsko-trzcianieckiego. – Ten powiat zaakcentował szczególnie mocno, jak każdy mieszkaniec Trzcianki, którego miasto ludzie nieświadomi jego znaczenia i wielkomiejskości mylili z jakąś mizerną wioską.

– A nie, to ja nie znam. – Pokręciła głową Agata.

– Miasto powiatowe – podkreślił z dumą chłopak. – A tutaj to ja na szkółce jestem. A potem to pewnie, jak już będę miał podoficera, to na służbę do siebie wrócę. Ale na razie to muszę takie rzeczy robić, jak pilnować tej Ruskiej, nie wiadomo po co.

– Pewnie, że nie wiadomo – wtrąciła się zastępczyni oddziałowej, Woźniakowa, która rozsiadłszy się wygodnie na leżance, zamierzała właśnie zabrać się do czytania kolorowego pisma, które zostało po jakiejś pacjentce. – Dla naszych Polaków miejsc nie ma, a tu jakąś Ruską

przyjmują i obchodzą się z nią jak z jajkiem. – Pismo z kolorowymi obrazkami okazało się jednak mniej atrakcyjne od gorącego, narodowego tematu. – Ale to się wszystko zmieni, już całkiem niedługo – mówiła z pełnym przekonaniem, bo w końcu jako prawie oddziałowa na wszystkim tu znała się najlepiej. – Teraz jak władza się zmieni, to się weźnie ostro za tych wszystkich uchodźców, co naszym robotę odbierają. I wreszcie będzie porządek. A taką Ruską, co to se leży w naszym szpitalu, to powinni dać jej jaki zastrzyk na pasożyty, a potem do pociągu i niech se jedzie do swoich. Tam są dla nich szpitale. A nasze szpitale to są dla naszych, znaczy dla Polaków.

– Prawda, pani Woźniakowa – poparła ją salowa Chojnacka, która w szpitalu MSW pracowała już prawie trzydzieści lat. – Święta prawda, że przyjeżdżają tu i najlepszą robotę zabierają. W szpitalu na Przybyszewskiego to wszystkie, co tam są, znaczy się salowe, to z Ukrainy przyjechały. I robią za te marne grosze, i naszym odbierają chleb.

– Robią, bo nikt by za te grosze nie chciał robić – wtrąciła się pielęgniarka Nowaczykowa, farbowana blondynka z wyraźnymi odrostami na czubku głowy i z ustami pomalowanymi na karminowo, która akurat zajęta była zalewaniem kawy wrzątkiem z elektrycznego czajnika.

– Jak nie chcą? – zdenerwowała się Chojnacka. – A ja nie robię? Haruję nawet za takie gówniane pieniądze. Bo co niby mam robić? Kraść? Od kradzenia to są inni. Ale za tych, co kradną, to już się niedługo nowa władza weźnie. Zobaczycie, że im się do dupy dobiorą i do więzienia

wszystkich aferzystów wsadzą, a dla nas od razu pieniądze się znajdują.

– Pani zapieprza, bo jak się to robi przez całe życie, to nic innego już się nie wymyśli. – Zaczęła tłumaczyć Nowaczykowa. – Ale młode mają w dupie taką robotę i wszystkie idą na studia. Teraz to każdy studiuje, nie to co dawniej. Kiedyś wystarczyło tylko policealną skończyć i już się szło do pracy, a teraz każda gówniara chce być licencjantką. To co się dziwić, że nie ma komu robić i za salowe przyjmują Ukrainki, bo taka, co ma tę licencję, to się za szmatę nie chwyci.

– Nowa władza po wyborach zrobi z tym porządek. Wszystko się zlikwiduje. Te licencjaty i Ukraińców, bezrobocie się też zlikwiduje i będzie wreszcie Polska dla Polaków – stwierdziła głosem pełnym przekonania Woźniakowa, która najbardziej na świecie chciałaby zlikwidować swoją bezpośrednią przełożoną, oddziałową Stasiakową, która nie dość, że była młoda, to do tego jeszcze ładna, tak że wszyscy lekarze się za nią oglądali. I zamiast potulnie się uczyć od bardziej doświadczonych, została nie wiedzieć czemu oddziałową, podczas gdy ta funkcja należała się Woźniakowej od dawna.

– A kto będzie robił za salowe? – zapytała Chojnacka trochę przestraszona perspektywą likwidacji wszystkiego.

– Jak kto? To pani nie słyszała, że nowa władza chce do Polski sprowadzić tych wszystkich, co se wyjechali na Zachód do Niemiec i do Anglii?

– Już widzę, jak wracają. – Nowaczykowa uśmiechnęła się pod nosem. – Za te gówniane pieniądze mieliby tu pracować, jak tam kilka tysięcy funtów biorą na rękę.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się Woźniakowa. – Trzeba słuchać mądrych polityków. Oni wiedzą, jak to zrobić. Ci z tej Anglii sami wrócą, jak wyjdziemy z Unii. Jeszcze się będą prosić, żeby ich wpuścić.

– Nikt się nie musi prosić, żeby go wpuścić, jak ma obywatelstwo – wtrącił się nieśmiało policjant, któremu młoda pielęgniarzka podała właśnie kubek z kawą. – Myśmy to mieli na kursach. Jak kto wyjechał do Anglii na ten przykład, to se może wracać do Polski nawet codziennie i nikt mu żadnych dokumentów nie musi sprawdzać.

– No kto to widział, żeby taki bajzel był, że nie sprawdzają dokumentów. To trzeba będzie zmienić! – zdenerwowała się Woźniakowa. Kiedyś była na wycieczce w Czechosłowacji i pamiętała, jak jej sprawdzali papiery i torby z bagażami w poszukiwaniu kontrabandy. Nic nie znaleźli, bo niczego nie przewoziła. Za to tym wszystkim, którzy wwozili do kraju alkohol, słodczyce i jakieś wędliny, czescy celnicy zabrali wszystko. Ależ wtedy miała satysfakcję, patrząc na zbolące miny przemytników, którzy ocierali łzy rozpacz, gdy ona mogła chodzić z dumnie uniesioną głową. Wtedy był dopiero porządek. Nie to, co teraz.

– To ja już pójde – powiedział policjant, wstając ostrożnie z fotela, tak by nie wylać kawy na spodnie. Agata uśmiechnęła się do niego.

– To ja też pójde zobaczyć, co tam u tej pacjentki.

Zastępczyni oddziałowej wzruszyła ramionami. Co ją to mogło obchodzić? Jak gówniara chciała iść, to niech idzie. Jej nikt za dodatkowe chodzenie nie płacił, więc siedziała

i odpoczywała. No chyba że jakaś namolna pacjentka będzie się dopominała czegoś, to pójdzie ją opierzyć. Od tego w końcu była tu władzą na tym niedzielnym dyżurze.

Agata przytrzymała drzwi i policjant wyszedł z kubkiem w dłoni na korytarz.

– A pan jak ma na imię? – zapytała, gdy ruszyli razem w głąb korytarza.

– Olgierd, znaczy się posterunkowy Olgierd Wieczorek.

– A ja jestem Agata Łuczak.

– Fajne.

– Co fajne?

– No imię Agatka.

– Nie Agatka, tylko Aga.

– Aga też fajnie. A na mnie koledzy mówią Olo.

– Też fajnie. A będziesz tu długo pilnował tej dziewczyny? – powiedziawszy to, wskazała na drzwi izolatki oddalone od nich o jeszcze jakieś pięć metrów.

– Dzisiaj do czternastej, a potem to nie wiem. Bo o czternastej mam mieć zmianę.

– O, to tak jak ja – ucieszyła się Agata, ale zaraz uśmiech zniknął z jej twarzy. – Halo, proszę pana, tam się nie wchodzi – zawołała na widok mężczyzny, który złapał za klamkę i pociągnął drzwi do siebie. Nie zwrócił jednak najmniejszej uwagi na wołanie pielęgniarki. Olgierd zdziwiony spojrzął w tamtym kierunku, ale dostrzegł tylko znikającą nogę mężczyzny.

– Chyba się gość pomylił – rzucił z uśmiechem, ale na wszelki wypadek odstawił kubek z kawą na parapet

okienny i ruszył szybko przed siebie. Był przekonany, że zbłąkany odwiedzający właśnie musiał uzmysłowić sobie swój błąd i pewnie zaraz wyjdzie z izolatki. Nie wyszedł, stał w drzwiach z pistoletem w dłoni.

Na widok pistoletu w ręce policjant stanął jak wryty. Obok niego zatrzymała się Agata, która nawet nie zdążyła się zdziwić, gdy Olgierd rzucił się na nią całym ciężarem swojego siedemdziesięciokilogramowego ciała i powalił na wyłożoną zielonym linoleum podłogę. Jej głowa uderzyła nieszczęśliwie w ścianę, więc dziewczyna poczuła, jak ból wypełnia jej mózg, który począł rejestrować obraz docierający do oczu jakby w zwolnionym tempie. Więc najpierw dostrzegła, że policjant Olgierd, leżąc na podłodze, obraca się wokół własnej osi jak wąż i jednocześnie w górę unosi się jego ręka, w której nie wiadomo skąd pojawia się czarny pistolet. Na widok broni Agata chciała krzyknąć, ale przez tę bolącą głowę nie mogła wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Mogła tylko patrzeć na wolno przesuwające się przed jej oczami sceny. A kolejna była już całkowicie nieprawdopodobna. Z drzwi izolatki wysunął się łysy łeb napakowanego mężczyzny, ubranego w czarną skórzaną kurtkę. Lufa jego pistoletu powoli znalazła odpowiedni kierunek, mierząc tuż obok niej, tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Olo. Ale on już nie leżał, a klęczał przy przeciwległej ścianie korytarza, mierząc ze swojej broni w kierunku tego łysego. Dostrzegła wyraz skupienia na twarzy chłopaka, zmrużone lewe oko i naraz przestrzeń wokół niej wypełnił głośny huk. Potem jeszcze dwa grzmoty mało nie rozsadziły jej bębenków w uszach i w końcu zapadła kompletna cisza.

– Kurwa, ja pierdolę – powiedział Olo, podnosząc się w górę. – Aga, co z tobą? – zapytał z wyraźną troską w głosie.

– Głowa mnie boli.

– Jesteś ranna?

– Nie, uderzyłam się, jak na mnie skoczyłeś.

Dopiero teraz powoli zaczęło do niej docierać, co właściwie się tu wydarzyło. Jakiś łysy facet z pistoletem w ręce chciał ich zabić. Ją, jego i pewnie tę Rosjankę w izolatce...

Gdy sobie o niej przypomniała, natychmiast poderwała się z podłogi i ruszyła do sali. Po drodze przeskoczyła nad ciałem łysego faceta, które leżało w przejściu w kałuży krwi. Rosjanka siedziała na łóżku i z przerażeniem wpatrywała się w leżące na podłodze zwłoki.

– Nic ci nie jest? – zawołała Aga.

– *Это Николка*⁹. – Wskazała głową leżącego, jednocześnie ocierając łzy ręką.

– Co z tobą?

– *Всё хорошо со мной. А что с ним?*¹⁰

– Pierdolić go! – Aga wzruszyła ramionami, podeszła do dziewczyny i wzięła ją w objęcia. Ta przywarła do niej mocno i zaczęła płakać cicho jak skrzywdzone i przestraszone dziecko.

Godzina 10.20

Mariusz Blaszkowski szedł Półwiejską w kierunku pijalni wódek, mimo że wcale nie miał ochoty na porannego drinka. Zresztą przez wiele lat był zdeklarowanym abstynentem, którego prawdziwą pijacką pasją była herbata posłodzona przynajmniej pięcioma łyżeczkami cukru. W czasach kryzysu, jeszcze gdy pracował w milicji, nie mógł w pełni oddawać się swojej słodkiej namiętności, bo cukier był na kartki i zawsze go brakowało. Owszem, przynosił do pracy cały swój kartkowy przydział, ale w ich wspólnym pokoju wszystko było wspólne i nikt z kolegów nie pytał się nawet, czy może sobie posłodzić. Brodziak pił herbatę z trzema łyżeczkami, więc gdy Mariusz obserwował, jak jego przełożony wsypuje sobie deficytową słodycz do szklanki, serce mu krwawiło. Na szczęście do kawy dodawał tylko dwie. Nie było za to problemu z Olkiewiczem. Teoś w zasadzie nie pił herbaty, o kawie już nie wspominając. Nienawidził jej szczerze, herbatę zaś, jeśli już w ogóle pił, to letnią i gorzką.

– Herbata tak jak wódka musi być niesłodka, bo inaczej nie da się wyczuć prawdziwego smaku – powtarzał za każdym razem, gdy przyszło mu nią popijać wyborową. A zdarzało się to nader często, ponieważ Teoś pił w pracy codziennie, choć trzeba przyznać, że w nowych czasach już jakby z nieco mniejszym zapałem oddawał się swojej pijackiej namiętności. Mimo że możliwości ku temu były znacznie większe niż kiedyś, bo czas wódki sprzedawanej na kartki dawno już minął, a alkohol można było kupować niemal wszędzie i był w ciągłej sprzedaży. Olkiewicz,

który w dziewięćdziesiątym piątym roku przeszedł na emeryturę, postanowił wykorzystać tę dobrą koniunkturę i zająć się realizowaniem swojej największej pasji życiowej, czyli pojeniem ludzi, którzy podobnie jak on sam z nabożną czcią podchodzili do konsumpcji alkoholu. Długie lata współpracował z Władziem Kajzerkiem, agentem piwiarni na Półwiejskiej, organizując różne lewe wódczane interesy. Znał się więc na tym biznesie i dlatego postanowił wykorzystać swoje doświadczenie. Tym bardziej że nadarzyła się okazja.

Kajzerek któregoś ranka nie przyszedł do swojego baru. Pracownik knajpy i bufetowy w jednej osobie, pan Gienas, zadzwonił więc do Olkiewicza, żeby ten sprawdził, co się stało, bo Kajzerek nigdy się nie spóźniał. Teofil sprawdził. Okazało się, że agent spóźnił się rzeczywiście tylko jeden raz, pierwszy i ostatni. Zmarł bowiem nocą we własnym łóżku.

Co było robić? Ktoś interes przecież musiał prowadzić. A tak się złożyło, że Teofil właśnie przeszedł na emeryturę. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że będzie siedzieć w domu i wyglądać przez okno, jak te wszystkie stare baby z jego kamienicy. Jako człowiek czynu szybko podjął decyzję. Wziął klucze do knajpy od pogrążonej w rozpaczey Kajzerkowej.

– Niech się pani nie martwi, pani Kajzerkowa. Ja się zabiorę za interesy, bom przecie z Władziem prowadził tę knajpę od lat.

Wdowa spojrzała na niego zdziwiona, ale nic nie odpowiedziała. Bo i co miałyby mówić? Że więcej w knajpie wypił przez te całe lata, niż dla niej zarobił? Ale

przynajmniej teraz mógł się przydać, bo ona sama by interesu nie pociągnęła, tym bardziej że na picciu i na pijakach nie znała się wcale.

– Ja się ino tam rozglądnę wew środku, Gienasowi dam robotę, a sam we flepy szpyncę i zobaczy się, co i jak. A pani to będzie swoją działkę dostawać. Już ja potrafię zadbać o żonę kolegi. Będzie się pani miała jak pączek w maśle, bez poruszania palcem nawet – zapewnił kobietę i poszedł organizować swój pierwszy w życiu biznes.

Zanim piwiarnia wyszła pod jego rządami na prostą, minęło trochę czasu, a Teofil musiał dwa razy brać kredyt. Na szczęście w bankowości miał dobre układy. Mirek Brodziak, dawny kolega z milicji, był teraz dyrektorem prywatnego banku, którego właścicielem był Ryszard Grubiński, kiedyś szef poznańskich cinkciarzy, a obecnie znany i szanowany poznański finansista. Pierwszą pożyczkę dostał od ręki, bo pieniądze były mu potrzebne na bieżące utrzymanie piwiarni, opłacenie rachunków i dwóch pracowników, a także na zakup towaru. Kolejny kredyt też dostał bez żadnego kłopotu na remont i nowe otwarcie. I tak w miejscu, gdzie przez lata funkcjonowała narodowa w formie, a socjalistyczna w treści, byle jaka piwiarnia, powstała ekskluzywna pijalnia Świat wódek z porządnymi fotelami ogrodowymi z plastiku i solidnymi stołami z płyty wiórowej. A Teofil Olkiewicz spłacił wdowę jednorazowo, bo ta wołała gotówkę od ręki zamiast uczciwych udziałów co miesiąc.

– To co, szefie, robimy? – zapytała Eliza, stojąca za nowoczesnym bufetem, który lśnił połyskliwą bielą jak

ściany w rzeźni. Barmanka, blondynka o solidnej posturze, była osobą, z którą musiał się liczyć każdy niezbyt trzeźwy i namolny klient. Ten, który się nie liczył, mógł spodziewać się, że Eliza zaprosi go na przyspieszony kurs karate. Dziewczyna była bowiem instruktorką i jednocześnie posiadaczką czarnego pasa. A oprócz tego studiowała zaocznie prawo, więc każdemu awanturnikowi mogła od razu udzielić darmowej informacji prawnej na temat zagadnień dotyczących odpowiedzialności za naruszenie nietykalności cielesnej oraz gróźb karalnych.

– Znaczy się w jakim aspekcie? – spytał Teofil Olkiewicz, podnosząc spojrzenie znad ekranu komputera. Kupił sobie niedawno ten cud techniki, choć bardzo długo się opierał. Uległ tylko dlatego, że Mirek pokazał mu, jakie taki komputer ma możliwości. Można nie tylko czytać w nim o różnych historiach, które dzieją się na świecie, ale też oglądać filmy z gołymi panienkami. Ten argument przeważył. Teoś kupił sprzęt i wsiąkł zupełnie. Siedział na zapleczu i każdą wolną chwilę wykorzystywał na serfowanie po sieci, chociaż nawet nie wiedział, że to tak się nazywa. Owszem, oglądał goliznę, ale prócz tego czytał wiadomości, a właściwie tylko to, co było zapisane grubszym drukiem, bo na mniejsze literki szkoda mu było oczu. No ale zdjęcia ze świata oglądał namiętnie. Teraz na przykład przypatrywał się fotografiom przedstawiającym małe kotki. Nigdy nie przepadał za tymi zwierzętami, bo wiadomo, że to czarci pomiot, który może sprowadzić na człowieka nieszczęście, ale w Internecie kotki, szczególnie te małe, wyglądały wyjątkowo pięknie.

– W aspekcie zamówionego towaru. Mamy dziesięć

skrzynek czeskiej wódki, ale ja bym jej nie podawała na sałę, bo to nigdy nie wiadomo, co w takiej wódce jest.

– A co ma być? – zdziwił się Olkiewicz, spoglądając na swoją pracowniczkę, jakby ta właśnie postradała rozum.

– No bo przecież wiadomo, że od takiej wódki ludzie ślepną.

– Od tej naszej? – zdziwił się Teoś, bo, owszem, słyszał o wypadkach oślepienia od alkoholu, ale nie od zwyczajnej wódki, tylko od jakiegoś spirytusu niepewnego pochodzenia.

– Oślepnąć to idzie od alkoholu mentolowego – stwierdził, robiąc przy tym minę znawcy. W końcu kto jak kto, ale on się znał na rzeczy.

– Metylowego CH_3OH .

– Ty mi tu nie ohaj, bo wódka dobra i tania, znaczy się do drinków jak najbardziej w sam raz.

– Podejrzana ta wódka, bo za dychę od flaszki to znaczy się...

– To znaczy się, że jak sprzedasz dziesięć kielonków po pięć złotych, to masz na czysto cztery dychy. Złoty interes. A wszystko bez podatku i prosto do kieszeni. A jak kto ma kłopot ze wzrokiem, to niech nie pije – stwierdził i zaraz poprawił okulary na nosie, dając Elizie do zrozumienia, że dalsza rozmowa nie ma sensu, bo on zamierza się oddać poznawaniu świata. Ale tym razem nie dane mu było poszerzyć horyzontów. W miejscu, w którym jeszcze niedawno stała barmanka, pojawił się ktoś zupełnie inny.

– Jak pragnę zdrowia, czy mnie moje stare ślepia nie

mylą? Czy to nie aby sam pan major Blaszkowski?

– Nie major, ale podinspektor. Major to za twoich czasów, jak żeś jeszcze pracował w policji.

– Ja tam się na tych nowych stopniach nie wyznaję. Jak kto ma dwie belki i gwiazdkę, to dla mnie zawsze będzie majorem, i tyle. No ale włącz do środka, majorze! –

Olkiewicz podniósł się z krzesła przy biurku i wskazał gościowi fotel. Blaszkowski usiadł, uśmiechając się od ucha do ucha. Nie widzieli się w końcu już kilka ładnych miesięcy, choć mieli do siebie niedaleko. Tyle że jak to bywa w życiu, nie zawsze jest czas na ważne sprawy, gdy dni wypełniają człowiekowi zupełnie nieistotne obowiązki, o których ludzie myślą, że są ważne, choć tak naprawdę nie mają żadnego znaczenia.

– Ani belek, ani gwiazdek to ja nie noszę. – Blaszkowski poklepał się po ramieniu. Nie zakładał na co dzień munduru. Ubierał się na luzie, w dzinsy i dzinsowe kurtki. Ten styl przejął od Brodziaka jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy to razem kręcili się w cinkciarskim świątku. Blaszkowski do dziś pozostał wierny temu sposobowi ubierania, ale Mirek Brodziak musiał wskoczyć w garnitury, bo w banku nie można było inaczej. Tam obowiązywały zupełnie inne standardy niż w policji.

– A co tam teraz nosisz? – zapytał Teofil, sięgając pod niewielki stolik. Zaraz postawił na nim dwie szklanki i butelkę.

– W mundurze to ja tylko w święta. A ty ciągle pijesz wyborową, Teoś?

– Przyzwyczaiał się człowiek przez lata. Co zrobić? Ale ty w ogóle pijesz?

– Piję. – Mariusz uśmiechnął się. – Jak jest okazja. Tyle że z jakąś colą albo czymś tam – stwierdził były abstynent Blaszkowski.

– Może być cola. – Teoś wydobył puszkę spod stolika i przesunął ją w kierunku kolegi, po czym nalał wódki do szklanek.

– Ja już tak nie mogę jak dawniej, ale takiego malucha rozcieńczonego to i owszem – mówiąc to, dolał sobie nieco wody. – A okazja to niby jaka jest? – Teofil przypomniał sobie o tym, co powiedział przed chwilą Blaszkowski. – To, żeś tu przyszedł, to już jest okazja ważna, ale ja się pytam, z czym żeś przyszedł?

Mariusz uniósł swoją szklanę, stuknął nią w brzeg szklanki Olkiewicza, po czym upił niewielki łyk.

– Ile my się znamy, Teofil? – zaczął ostrożnie.

– No jak ile? Będzie od osiemdziesiątego piątego, jak żeś do nas przyszedł, jak była ta sprawa gościa, co to obciął łeb tej babce. Pamiętasz?

– Co mam nie pamiętać „Łowcy głów”¹¹. Pierwsza sprawa, przy której pracowałem, i od razu żeś mnie wykorzystał do pisania na maszynie raportów.

– No wiesz, jak kto ma talent do pisania, to szkoda, żeby się zmarnował, nie?

– Nie narzekam. Dużo się nauczyłem.

– Czego żeś się nauczył?

– Pewnie tego, że niektórych kumpli ma się na całej

życie i wcale nie trzeba ich odwiedzać codziennie, żeby wiedzieć, że zawsze można na nich liczyć.

Olkiewicz chrząknął, bo poczuł, że rośnie mu coś w gardle, więc niewiele się zastanawiając, popił natychmiast, by spłukać tę oznakę słabości. Ale i tak nie dał rady ukryć wszystkiego, bo oczy mu się nagle lekko załzawiły.

Uczuciowy z niego chłop, pomyślał Mariusz. Jak to ludzie zmieniają się na starość. Kiedyś Teofil był twardy jak prawdziwy czekista, jak Pawka Korczagin, ten od hartującej się stali¹², a dzisiaj, proszę bardzo, jaki z niego „twardziel” na emeryturze.

– No tak, jak człowiek więcej się nawycierał kurzów z wami niż ze swoją starą... No właśnie, a jak tam ta twoja... – Teofil ugryzł się w język, bo przypomniał sobie, że Blaszkowski już lata temu rozstał się ze swoją narzeczoną, a o nowych miłościach kumpla nic nie wiedział. Blaszkowski machnął ręką. Nie było o czym mówić. Jego Ewa, dziewczyna, z którą chodził od czasów ogólniaka, już dawno stała się wyblakłą fotografią na dnie szuflady, a kilka kolejnych związków pozostawiło po sobie tylko niezbyt miłe wspomnienia. Jakoś mu się nie układały te męsko-damskie kwestie.

– Ja do ciebie ze sprawą, Teoś, przychodzę, taką, co to się tyczy dawnych czasów. Wiesz, idzie o to, że...

Olkiewicz uśmiechnął się zadowolony, prezentując piękne nowe zęby, z których był szczególnie dumny, bo nie była to jakaś latająca i kłapiąca ohydnie sztuczna szczeka, ale najprawdziwsze i drogie jak cholera implanty.

– A jak ja bym ci powiedział, że już wiem, z czym ty do mnie przychodzisz?

– Niby skąd? – Mariusz pokręcił głową. Teofil przecież nie mógł nic wiedzieć o artykule przygotowywanym przez gazetę... No chyba że...

– Ty chcesz mi powiedzieć, że w gazecie szykują artykuł, że w naszym wydziale ktoś donosił do SB. – Widząc zdumioną minę Blaszkowskiego, Teoś z radości swoim zwyczajem klepnął się w udo. – No co, trafiłem? Ha, ha.

– Trafiłeś, jak cholera – potwierdził coraz bardziej zaniepokojony policjant. – Ale skąd wiesz, że...

– Bo był tu u mnie taki jeden gówniarz, co to myśli, że jest redaktorem, i pytał mnie o różne rzeczy, ale ja...

– Co ty, Teoś?

– Ja pogałem go w cholere! – stwierdził Olkiewicz niezwykle z siebie zadowolony.

– Uff, to mi ulżyło. – Mariusz rzeczywiście odetchnął. Przyszedł do Teofila, żeby go przestrzec przed kontaktami z prasą. Teofil znany był wśród kolegów z tego, że często plótł, co mu ślina na język przyniosła. Obaj z Fredem Marcinkowskim ustalili więc, że trzeba chłopca ostrzec, żeby z nikim, broń Boże, nie rozmawiał, bo nigdy nie wiadomo, co z takiej rozmowy wyjdzie. No ale jeśli Teoś wyrzucił tego pismaka, to znaczy, że zachował się lepiej, niżby ktokolwiek mógł się spodziewać.

– No widzisz, Olkiewicz może już trochę stary, ale ma jeszcze ten łeb nie od parady. – Poklepał się w skroń i odruchowo chciał poprawić zaczeskę, ale zaczeski już nie

było. Rzadkich włosów nie dało się zaczesać na łyse czoło.

Godzina 10.30

Otworzyła oczy i przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Niby okno było z prawej strony miejsca, w którym leżała, tak jak w jej pokoju, ale zasłony były całkiem inne. No i w ogóle rama okienna też nie była taka sama. Szybko odwróciła głowę w bok. Nikt przy niej nie leżał. Odetchnęła z ulgą i dopiero w tym momencie myśli zaczęły układać się w jakiś harmonijny ciąg, który pozwalał odtworzyć następujące po sobie fakty. Niezbyt długi ciąg, bo tak naprawdę niewiele się wydarzyło, choć musiała przyznać, że koniec był dość wybuchowy.

Najpierw pojechały się przebrać do Martynty na Rataje. Jej przyjaciółka kupiła sobie w zeszłym roku dwupokojowe mieszkanie w czteropiętrowym, starym, bo pochodzącym z sześćdziesiątych lat, bloku na osiedlu Lecha. Remontowała je przez trzy miesiące i teraz wreszcie miała się czym pochwalić.

– Wszystko musiałam tu rozpieprzyć, tynki trzeba było kłaść na nowo, a pod tynkami instalację elektryczną, nowe gniazdka i tak dalej. Mówię ci, syf był taki, że w ogóle nie miałam ochoty wracać do domu, ale gdzieś musiałam spać po tej przeprowadzce z Szamotuł.

Martyna trafiła do komendy wojewódzkiej niemal w tym samym momencie co Aneta. W Szamotułach miała samodzielne stanowisko i zajmowała się kontaktami

z mediami, czyli była kimś w rodzaju rzeczniczki tamtejszej komendy. W Poznaniu w dochodzeniówce robiła dokładnie to samo, czyli w razie jakiegoś zamieszania to ona wystawiała swoją twarz na pierwszy ogień.

Na początku myślała, że uda jej się dojeżdżać codziennie do pracy z Szamotuł, bo tam miała swoje mieszkanie. Robiło tak sporo ludzi z jej miasteczka. Ale szybko okazało się, że to nie takie proste, zwłaszcza że często musiała zostawać w firmie po godzinach. No i w końcu podjęła decyzję, że sprzedaje swoje trzy pokoje i kupuje coś podobnego w Poznaniu. Pieniądzy z trudem wystarczyło na dwa pokoje, a remont musiała już zrobić na kredyt. Uparła się i postawiła na swoim, choć jej chłopak, komisarz Rudnicki, który tak naprawdę był siłą sprawczą i ściągnął Martynę do Poznania, chciał, żeby zamieszkała u niego.

– Przecież możesz sobie powoli remontować, a mieszkać możemy u mnie – tłumaczył, ale ona wiedziała swoje. Jeśli się przeprowadzi do niego, to już tam zostanie, a jeszcze nie była gotowa na związek, który kończy się wspólną sypialnią, wspólnymi garnkami i w końcu wspólnym dzieckiem. Na razie chciała być niezależna. A do tego potrzebny jej był własny kąt.

– W kuchni też był syf na kołach. – Oprowadzała Anetę jak po muzeum. – Wszystkie stare meble, co tu były, wypieprzyłam, choć były robione kilka lat temu na wymiar. Ale takie ohydne, brązowe, jak w zakrystii w kościele. No i zamówiłam nowe. – Przejechała dłonią po jasnym, świecącym się jak kafle w sali operacyjnej,

froncie kuchennej szafy.

– No ładne – pochwaliła koleżankę Aneta, która na to wymuskane, choć nie do końca urządzone mieszkanie patrzyła z pewną zazdrością. Sama też chciałaby mieć takie swoje miejsce, ale na razie mieszkała w Dusznikach w domu rodziców. Do Poznania dojeżdżała codziennie na motorze, a w dni, kiedy pogoda na to nie pozwalała, pożycziała auto od ojca. To dojeżdżanie było kłopotliwe i męczące, ale na razie nie było jej stać na własny kąt. Może po studiach się uda, pocieszała się, licząc na wyższe zarobki, gdy dosłuży się oficerskiego stopnia.

W szafie Martyny znalazło się trochę pasujących na nią ciuchów, więc po zmianie ubrań mogły spokojnie pójść na zakupy. Tyle że niewiele z tego wyszło. Martyna kupiła sobie jakąś bluzkę, sukienkę i jeszcze kilka par majtek, a Aneta kolorowe skarpetki. Jakoś nie mogły trafić na nic sensownego. Sezon letnich wyprzedaży zbliżał się do końca i wszystko, co tańsze i lepsze, było już przebrane. Martyna próbowała usprawiedliwić ich zakupową porażkę, choć Aneta wcale nie była z tego powodu zła. Raczej udawała niezadowolenie, żeby wpisać się w nastrój koleżanki. Wcale nie chciała wydawać pieniędzy na głupoty. Tak naprawdę niczego nie potrzebowała, a dała się namówić tylko dlatego, żeby sprawić Martynie przyjemność.

Wieczorem poszły na piwo do Brovarii na Starym Rynku. Piwo było dobre, ale czas wcale nie najlepszy na picie. Zamówiły dwa pszeniczne i może nawet spróbowałyby jeszcze po jednym, gdyby nie to, że zaczęli je zaczepiać dwaj podchmieleni faceci. Jeden, wysoki

i szczupły blondyn w okularach, był szczególnie nachalny, a do tego chamski.

– No nie bądźcie takie świętojeblliwe panienki – mówił, opierając się o ich stolik. – Przysiadzimy się do was, pogadamy, a potem się zabawimy, co nie, młody? – powiedziawszy to, wskazał na swojego kumpla siedzącego przy stoliku obok. Obaj wyglądali na jakichś marnych biznesmenów średniego szczebla albo gości z korporacji, którzy do Poznania przyjechali na targi, by w końcu po całym dniu pilnowania stoiska z towarami swojej firmy wieczorem ruszyć w miasto na chłanie i podryw. Młody uśmiechnął się głupio i pokiwał głową na znak aprobaty. Ale one nie miały najmniejszej ochoty poznawać jakichś dupków.

– Chcecie nam sprzedać sztuczne szczęki? – wypaliła Aneta, która naraz przypomniała sobie wielki baner przy moście Dworcowym, informujący o trwających właśnie w mieście targach dentystycznych i wystawie sprzętu stomatologicznego.

– O, laseczki z branży? – ucieszył się okularnik. – Też jesteście na targach. Czym się zajmujecie? Stomatologia, protetyka czy może... – Odsunął sobie krzesło i usiadł przy ich stoliku. Wtedy Martyna nie wytrzymała.

– Zmiataj stąd, gościu, póki masz jeszcze wszystkie całe zęby.

– He, he, he! Ale bojowa z ciebie dupeczka. Takie laseczki lubię najbardziej. A młody lubi takie rudzielce jak ta mała. Młody, no chodź tu, nie krępuj się. Ta ruda jest twoja. Możesz ją wrywać, bo ja bzyknę tę blondynę. Dziewczyny już mnie lubią, widzisz? I zaraz...

– Nie będzie żadnego zaraz – powiedziała Aneta, uśmiechając się zniewalająco. Chudy otworzył aż usta ze zdumienia, widząc uśmiech dziewczyny, która cały czas miała obojętną minę. I o to właśnie chodziło. Wiedziała, jak ten uśmiech działa na facetów. Martyna też już nieraz się o tym przekonała.

– Aneta, nie rób mu krzywdy! – poprosiła, ale widząc błysk w jej oczach, zdała sobie sprawę, że nie ma co się wtrącać. A chudy zupełnie nie mógł pojąć, o co chodzi. Zrozumiał za późno. Aneta pochyliła się nad stołem, a pod blatem chwyciła za koniec jego krawata i nim facet zdążył się zorientować, co się dzieje, jego głowa szarpnięta w dół pochyliła się nisko i z impetem wyrznięta w kant. Na szczęście dla niego w tym miejscu na blacie nie było żadnych naczyń.

– O ja pierdołę! – zawył facet. – Zajebię cię, kurwo! – krzyknął, a gwar w wielkiej sali piwnej knajpy przycichł momentalnie.

– Ratunku! – Martyna poderwała się od stolika. Aneta też nie zamierzała czekać. – Zabierzcie tego wariata! – Wskazała ręką na rozbity i zakrwawiony nos podrywacza. Dwaj kelnerzy natychmiast rzucili się z pomocą. Ale nie tylko oni. Od stolika obok poderwało się kilku mężczyzn. Jak zwykle, gdy nadarzała się ku temu okazja, prawdziwi Polacy byli gotowi poświęcić życie i zdrowie w obronie pokrzywdzonych kobiet. Chudzielec błyskawicznie został obezwładniony i powalony na ziemię, przy okazji inkasując jeszcze kilka ciosów. Jego kumpel, ten nazywany młodym, gdyby siedział za stolikiem, mógłby wyjść z opresji obronną ręką, ale na swoją zgubę podniósł

się z krzesła, widząc, jak kolega pada na podłogę. Kilka sekund później sam leżał z obitą głową. Dziewczyny tymczasem, korzystając z zamieszania, uciekły do bufetu. Martyna szybko zapłaciła za piwa i obie wybiegły z restauracji.

– Ciebie to nie można zabrać nigdzie między ludzi, bo zaraz jest gemela – powiedziała niby z wyrzutem, ale potem wybuchnęła śmiechem, widząc nadąsaną minę koleżanki.

– A co miałam gnojcewemu pozwolić, żeby sobie nami głowę wycierał? Jak ja nie lubię takich zarozumiałych ćwoków.

– Mogłaś mu złamać nos.

– Łe tam, tylko lekko pociągnęłam go za ten krawat.

Miały pójść prosto na tramwaj, ale mniej więcej w połowie Półwiejskiej Aneta przystanęła. Po prawej była znana jej z opowieści pijalnia Świat wódek.

– Wiesz, że to jest ta knajpa Olkiewicza?

– Tego, co donosił na chłopaków, jak byli w milicji? – przypomniała sobie Martyna.

– Przecież mówili ci, że nie donosił. Że w ten sposób mieli wpływ na to, co esbecja wie na ich temat...

Martyna ruszyła przodem.

– Ej, gdzie leziesz, do cholery?

– Trzeba to wyjaśnić! – rzuciła za siebie, więc Aneta nie miała wyjścia. Musiała pójść za koleżanką.

Knajpa była wypełniona po brzegi młodymi ludźmi. Przed wejściem na chodniku też był tłok, bo towarzystwo

z drinkami w dłoniach wychodziło na zewnątrz, żeby zapalić. Weszły do środka i z trudem przycisnęły się do baru przez rozochoczone i gwarne tłumy. Miały szczęście, bo dwa stołki akurat w chwili, kiedy dochodziły do tego miejsca, zwolniły się. Wskoczyły na skórzane siedzenia, a Martyna skinęła na barmana. Młody, może dwudziestoletni chłopak nie wyglądał na Olkiewicza.

– Co ma być, laseczki? – zapytał, ale tym razem żadna z nich nie poczuła się obrażona. Raczej obie doceniły to, że chłopak potraktował je jak swoje rówieśniczki.

– Daj dwa szoty czystej i właściciela.

– Możesz dostać, ale tylko ty. A młoda – tu wskazał na Anetę – niech przyjdzie z tatą albo pokaże dowód. Dziewczyna wzruszyła ramionami i zaraz wydobyła z portfela dokument. Chłopak porównał zdjęcie z oryginałem, a potem uśmiechnął się przepaszająco.

– Wiecie, jak jest, dziewczyny. Małolaty się kręcą, a niech wpadną tu szkieły, jakbym sprzedawał jakiejś młodej, to już po knajpie. A szef to by mi jaja odciął tępy nożem. U nas w pijalni musi być wszystko w najlepszym porządku.

– Wiadomo, jak to u byłego gliniarza – stwierdziła Martyna.

– Jakiego gliniarza? – zdziwił się barman.

– To ty nic nie wiesz? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Pracujesz w knajpie u Olkiewicza i nie wiesz, że on był przez lata szkiełem.

Chłopak wzruszył ramionami.

– A co mnie to może obchodzić? Grunt, że nieźle płaci

i zawsze w terminie, a do tego dba, żeby był porządek. No to co dla was?

– Dwa wściekłe psy – zaordynowała Martyna.

Po chwili pojawiły się przed nimi dwie szklaneczki z wódką z czerwonym sokiem.

– To jest szef czy nie? – zapytała Aneta, gdy stawiał przed nimi drinki.

Pokręcił głową.

– O tej porze już pewnie dawno w piżamce leży w domu – stwierdził i odszedł obsługiwać innych gości. No to wypily te swoje wściekłe psy, a potem jeszcze po jednym i... Aneta obudziła się w mieszkaniu Martyny. Tak, teraz wiedziała, że to jej mieszkanie, kiedy w końcu przyjrzała się wszystkiemu dokładnie. W pomalowanym na biało pokoju nie miała na czym zawiesić oka, bo jedynym sprzętem był materac leżący na podłodze. Mebli żadnych nie było, bo wszystkie, na jakie było stać właścicielkę, znajdowały się w dużym pokoju. Tu panował absolutny ascetyzm.

Uniosła się na łokciu, żeby sprawdzić, która godzina. Ale nie mogła znaleźć swojej komórki. Pewnie zostawiła ją w łazience. Musiała się tam też chyba rozebrać, bo leżała pod kołdrą zupełnie naga.

Wstała ostrożnie, żeby nie zbudzić Martyny, podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Nic, najdrobniejszego dźwięku. Można więc było bezpiecznie pójść do toalety. Pamiętała, że na wprost był duży pokój, na lewo kuchnia, obok kibełek i łazienka... Trzeba tylko przeciąć korytarz i zrobić dosłownie dwa kroki.

Otworzyła drzwi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. W łazience nie paliło się światło, więc nie była zajęta. Zadowolona wyszła z sypialni i zaraz stanęła jak wryta.

– Co ty, kurwa, pierdolisz? – zawołała Martyna. Aneta gwałtownie się odwróciła. Jej przyjaciółka siedziała równie jak ona naga na taborecie w kuchni z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha. – Spokojnie powiedz jeszcze raz, co się stało?

Przez chwilę słuchała, ale widać było po jej minie, że za chwilę wybuchnie.

– Jak, do cholery, zabity. Przecież tam w szpitalu miał być jakiś gówniarz do pilnowania, a nie pierdolony Rambo. Dobra, już się zbieram. A co z dziewczyną? Okej, już podsyłacie mi radiowóz. Za kwadrans będę gotowa.

Położyła telefon na blacie stołu i wtedy dopiero dostrzegła stojącą na korytarzu Anetę. Ale nie zwróciła najmniejszej uwagi, że jej koleżanka jest goła jak święty turecki. Uśmiechnęła się do niej lekko, a potem wskazując na komórkę, powiedziała raczej zupełnie niepotrzebnie:

– Miałam telefon z komendy. Ta dziewczyna, o której ci mówiłam wczoraj, co leży w szpitalu... mało brakowało, a by zginęła. Ktoś chciał ją zastrzelić.

– Jasna cholera. Jest ranna?

– Nie. – Martyna pokręciła głową. – Ten, co ją chciał zabić, sam został zabity.

– Jak sam? Zastrzelił się sam?

– Nie. Zabił go jakiś młody policjant, który miał tam dyżur. Rozumiesz? Chłopak tak jej pilnował, że zabił na miejscu jakiegoś gnoja, który chciał ją ukatrupić.

– Fajny kolo – stwierdziła Aneta i poszła do łazienki. Musiała się szybko wykąpać, bo wczoraj chyba raczej nie miała na to siły.

Godzina 13.50

Strażnik z firmy ochroniarskiej Huzar, emerytowany pracownik Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu, Władysław Nowaczyk nawet specjalnie się nie zdziwił, kiedy zobaczył, że pod bramę podjeżdża czarne bmw. Tę charakterystyczną sylwetkę bmw X7 znał doskonale i dlatego wiedział, kto porusza się tym autem. Prezes Bielecki lubił pojawiać się w swojej firmie w dość niespodziewanych porach, dlatego Nowaczyk już na samym początku pracy dla Huzara został ostrzeżony przez swojego nowego szefa, Galasia.

– Z panem Bieleckim to nie ma żartów. Może zjawić się zawsze i w każdej chwili, czy to w dzień, czy w nocy, bo prowadzi bardzo szerokie interesy z różnymi ludźmi. Rozumie pan, panie Nowaczyk?

Co miał nie rozumieć? Przecież wiadomo, jak to jest z tymi prezesami firm, tym bardziej że Bielecki nie był takim zwyczajnym prezesem. Owszem, był największym akcjonariuszem Wielkopolskiego SKOT-a, czyli Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Transferowej, niewielkiego, ale dobrze prosperującego banku, choć nie był wcale bankowcem zawodowym czy też człowiekiem, który w tym kierunku się kształcił. Jak sam podkreślał

w żartobliwych rozmowach z pracownikami, na bankowości zna się, bo ma doświadczenie, ale z wykształcenia jest filozofem, a znajomość filozofii, według niego, bardzo się przydaje w tej branży. Jednak Nowaczyk i kilku innych strażników zatrudnionych przy ulicy Nowina w Poznaniu dobrze wiedziało, że filozofia to tylko część zawodowej prawdy o Bieleckim. Wszyscy jego ochroniarze pracowali do początku lat dziewięćdziesiątych w zupełnie innej firmie. Mówili o niej między sobą „resort”, ale inni znali ją pod nazwą SB. Służba Bezpieczeństwa oficjalnie była częścią składową Milicji Obywatelskiej, jednak w rzeczywistości, mimo że obie podlegały Ministrowi Spraw Wewnętrznych i urzędowały w tych samych budynkach, to jakby powiedział filozof Bielecki, stanowiły całkowicie inne byty w tym samym uniwersum. SB zajmowało się utrzymaniem socjalistycznej harmonii w świecie polityki, a milicja ścigała tych, którzy harmonię świata starali się popsuć metodami empirycznymi. A jednym z głównych szefów poznańskiej SB był w latach osiemdziesiątych pułkownik Stanisław Bielecki.

W odpowiednim czasie wyczuł, że świat bezpieki kończy się bezpowrotnie, a funkcjonariusze resortu albo wymrą jak dinozaury, albo odkryją dla siebie nową przestrzeń życiową. Już w osiemdziesiątym dziewiątym roku stał się cichym współnikiem niejakiego Grubego Rycha, czyli szefa poznańskich cinkciarzy, ale ich współpraca trwała bardzo krótko, bo Grubiński jak nikt inny znał się na handlu walutą, a Bielecki orientował się tylko w intrygach, zakulisowych rozgrywkach i trochę w filozofii. Gdy ich ścieżki się rozeszły, były esbek

otworzył własny parabank, który po kilku latach przekształcił się w SKOT.

Dowódca nie zapomniał o swoich ludziach. Jego zaufany podwładny, kapitan Galaś, założył firmę ochroniarską, która zatrudniała byłych esbeków i teraz zapewniała bezpieczeństwo wielu poznańskim instytucjom, w tym bankowi Bieleckiego.

No więc Nowaczyk, dawniej sierżant SB, doskonale rozumiał specyfikę swojej ochroniarskiej pracy i wiedział, że jego dawny szef może pracować o każdej porze dnia i nocy. Dlatego na służbie, bo pracę w ochronie traktował jak służbę, musiał być zawsze czujny i pilnować porządku. Gdy dziś, w niedzielne popołudnie, zobaczył na ekranie monitoringu, że pod bramę podjeżdża znajoma beemka, natychmiast wcisnął przycisk na pulpicie i wrota się otworzyły. Prezes Bielecki nie czekał więc ani sekundy na wjazd do firmy.

Na drugim monitorze zobaczył, jak auto parkuje na stanowisku przeznaczonym dla zarządu, a potem ze środka wychodzi szczupły sześćdziesięciokilkulatek w dżinsach i sportowej marynarce. Bielecki na co dzień chodził do pracy w doskonale odszytych garniturach, ale w niedzielę mógł sobie pozwolić na nieco luzu. Tym bardziej że w banku nie było żadnych pracowników, nie licząc oczywiście ochroniarza.

Ten wyszedł ze swojego niewielkiego kantorka, poprawił mundurową czarną bluzę olimpijkę, którą spiął wojskowym pasem, i założywszy na głowę czarną bejsbolówkę, podszedł do bocznych drzwi wychodzących na parking. Otworzył je akurat w momencie, gdy zbliżył

się do nich prezes.

– Dzień dobry, panie Władku. – Bielecki wysunął dłoń w kierunku ochroniarza. Ten uściśnął ją mocno i po męsku, tak jak powinni to robić prawdziwi weterani, których połączyły jedyne w swoim rodzaju więzi rodzące się podczas wspólnej walki. Bielecki odwzajemnił uścisk.

– Pan prezes to nie ma wolnego dnia?

– Interesy nie znają weekendów. A pan czujny jak zwykle. Nawet nie zdążyłem pomyśleć pod bramą, a pan już otwierał.

– Służba przede wszystkim! – stwierdził zadowolony z pochwały Nowaczyk.

Były pułkownik wskazał na bramę za plecami.

– Niech pan nie zamyka. Za dziesięć minut przyjedzie tu poseł Chwaliszewski. Dopiero wtedy pan zamknie. Zna pan Chwaliszewskiego?

– Tak, mały, łysy, co to się zawsze z biskupami w telewizji pokazuje.

– Ten sam. Niech go pan wpuści i każe siedzieć na kanapie. Potem proszę do mnie zadzwonić i ja zejdę. Ale nie od razu. Niech sobie nie myśli, że jest najważniejszy na świecie.

Ochroniarz uśmiechnął się zadowolony. Nie przepadał za tymi politykami, którzy obnosili się ze swoją wiarą. Tym bardziej że przez lata pracował w „czwórce”, czyli czwartym wydziale, zajmującym się ochroną operacyjną kościołów i związków wyznaniowych, a w zasadzie rozpracowywaniem księży i ludzi związanych z Kościołem. Znał więc księży i dzisiejszych biskupów,

a także tych opozycjonistów, którzy z nimi za czasów PRL-u współpracowali. Poła Chwaliszewskiego wówczas wśród nich nie było. Pojawił się wtedy, kiedy ta współpraca przestała być już w jakikolwiek sposób niebezpieczna.

– Sprawa oczywista, że się rozumie. – Nowaczyk skinął głową i jednocześnie porozumiewawczo mrugnął do Bieleckiego, który klepnął go w ramię i ruszył schodami do góry, zostawiając za sobą intensywny zapach wody po goleniu.

Ochroniarz wyszedł na zewnątrz, żeby na poła poczekać na parkingu. Przy okazji zamierzał obejść teren, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i zapalić sobie papierosa na wolnym powietrzu, bo palenie wewnątrz budynku było surowo zabronione, odkąd prezes dwa lata temu rozstał się z nałogiem.

Wydobył z kieszeni marynarki paczkę kentów i włożył jednego do ust. Zdążył zaledwie zaciągnąć się kilka razy, gdy na podjazd wjechało srebrne audi S8. Musiał więc szybko zgasić papierosa. Rzucił go na brukowy podjazd, przydepnął butem, zapamiętując dokładnie miejsce, w którym leżał. Prezes nie tolerował śmieci i walających się petów, więc postanowił za chwilę po niedopałek wrócić. Na razie jednak musiał zająć się gościem.

Samochód zaparkował pod betonowym płotem, silnik zgasł i ze środka wyszedł niewysoki, łysy facet w ciemnym garniturze. Wygląda tak, jakby przed chwilą służył do mszy, pomyślał Nowaczyk, obrzucając go niechętnym spojrzeniem. Zaraz jednak na jego twarzy pojawiła się służbowa maska obojętności. Podeszedł do

drzwi akurat w chwili, gdy zbliżał się do nich poseł z wielką teczką w dłoni.

– Ja do pana prezesa – rzucił bez słowa powitania. Widać dla niego prosty cieć nie był osobą godną zwykłego „dzień dobry”. Nowaczyk uśmiechnął się zadowolony. Od razu zrozumiał, że ten łysol to zwykła łachudra ubrana w drogi garnitur. Takich facetów bardzo lubił, bo wiedział, że gdy takiemu machnie się pistoletem przed ryjem, zaraz puszcza mu zwieracze. Ale na razie nie mógł machać niczym. Ale kto wie, co będzie później? Pułkownik Bielecki prowadził szerokie interesy i swoim ludziom dawał różne zlecenia. Zawsze więc była szansa na to, że kiedyś będzie mógł mu podziękować za to, jak go potraktował. Ale na razie to Bielecki pokaże mu, gdzie jest jego miejsce.

– Siednij se, pan, na fotelu. – Wskazał na niewielki hol, w którym stała kanapa i dwa fotele dla interesantów.

– Co? Ja nie mam czasu na siedzenie. Proszę przekazać panu prezesowi, że pan poseł Chwaliszewski przybył właśnie...

– Pan se siednie i poczeka. Pan prezes będzie prosić. – Stanowczym gestem wskazał fotele, a potem od niechcienia sięgnął po słuchawkę telefonu. Poseł podreptał na wskazane miejsce, a Nowaczyk odczekał jeszcze jakiś czas, nim wybrał numer do sekretariatu. Po chwili uzyskał połączenie.

– Co tam, panie Władku?

– Panie prezesie – zaczął mówić głośno i wyraźnie, tak by łysy poseł mógł usłyszeć każde słowo. – Melduję, panie

prezecie, że jest tu taki gość, co się podaje za posła. I mówi, że się nazywa... – Przerwał na chwilę, a potem wychylił głowę ze swojej kanciapy. – Panie, jak się pan nazywasz?

– Chwaliszewski, poseł Chwaliszewski! – mówiąc to, łysy poderwał się z fotela.

– Mówi, że Waliszewski!

– Nie Waliszewski, ale Chwaliszewski...

– Dobra, już mu mówię, tak jest, panie prezesie. Oczywiście, panie prezesie.

Ochroniarz odłożył słuchawkę na widełki i wyszedł na zewnątrz. Wspiął się po kilku stopniach w górę, zbliżył się do stojącego z torbą w ręce posła i wskazał na dystrybutor z wodą.

– Tu jest woda, jakby panu w gębie wyschło. A pan prezes kazał czekać, bo ma ważny międzynarodowy telefon i zaraz skończy, jak se już pogada.

– Ale ja...

– A co pan byś chciał, żeby prezes skończył od razu, bo ktoś przyjeżdża se do niego? Pan prezes mówi, że zaraz skończy, a pan se możesz w międzyczasie gazetę poczytać, co to leży na stoliku.

Chwaliszewski zrezygnowany usiadł na fotelu i z wyraźną odrazą odsunął od siebie leżącą na blacie stolika „Gazetę Wyborczą”. Zaraz zaczął poklepywać się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Po chwili wydobyl z kieszeni marynarki paczkę marlboro. Nowaczyk na ten widok uśmiechnął się zadowolony, dostrzegając kolejną szansę na uprzykrzenie życia posłowi.

– Gdzie jest popielniczka? – zapytał gość.

– Najbliższa na zewnątrz przed budynkiem, w miejscu wyznaczonym do palenia.

– To przynieś pan.

– Co?

– Popielniczkę.

– Popielniczka jest z betonu i przenieść się nie da. A tu palić nie wolno. Jak pan chcesz palić, to idź pan na zewnątrz, bo tu surowo wzbronione palenie ćmików. –

Nadzwyczaj zadowolony strażnik złożył ręce z tyłu i stanął w lekkim rozkroku, jakby oczekiwał na atak ze strony gościa. Ten jednak nie nastąpił. Chwaliszewski zmełł przekleństwo w ustach i schował paczkę. Widać Nowaczyk dobrze go ocenił. Był to zwykły cham, silny tylko wobec słabszych, a w chwili, kiedy napotykał zdecydowany odpór, natychmiast się wycofywał. Strażnik postać jeszcze chwilę, bacznie się przyglądając gościowi, tak jakby chciał sprawdzić, czy ten rzeczywiście nie zapali w niedozwolonym miejscu, a potem wrócił do siebie. Dokładnie dziesięć minut później usłyszał kroki na korytarzu.

– O, drogi panie pośle, przepraszam, że musiał pan czekać, ale sam pan rozumie...

– Czekam nie dla siebie, ale dla naszej sprawy.

– To zrozumiałe, ale wie pan, ja musiałem porozmawiać jeszcze z Warszawą.

– Czyli, że z kim?

– No tak, przecież chyba pan nie myśli, że bez

akceptacji w ogóle coś się może zdarzyć.

– Bo ja myślałem...

– Drogi panie, tam myślą pięć ruchów do przodu. Zresztą co ja będę panu tłumaczył, pan sam wie najlepiej. W każdym razie mogę panu powiedzieć, że jest pełna akceptacja co do dalszych kroków.

– A gazety?

– Och, o prasę niech pan się nie martwi. Niech pan sobie jutro rano kupi gazetę, to pan zobaczy. No ale nie będziemy przecież stali tak w foyer. Zapraszam pana do gabinetu. Napijemy się kawy i pogadamy o szczegółach. No, drogi panie pośle, zapraszam do siebie.

Nowaczyk uśmiechnął się pod nosem. Ten Bielecki to jednak kawał cwaniaka. Najpierw kazał faceta wdeptać w ziemię i pokazać mu, jak niewiele znaczy, potem na samym początku rozmowy podkreślił, że gość nie ma nic do gadania, bo wszystkie kwestie są już postanowione, no a na koniec wziął go do siebie, żeby go trochę dowartościować, choć i tak facet już wiedział, gdzie jest jego miejsce. Gość był nikim i Bielecki właśnie mu to uświadomił.

Zadowolony ochroniarz rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, wziął do ręki pilota i jeden z monitorów przełączył z podglądu na telewizję. W dwójce zaczynała się właśnie „Familiada”, więc za nic w świecie nie mógł sobie odpuścić ulubionego teleturnieju.

Godzina 14.00

– Mogłem strzelić gdziekolwiek.

– Jak to gdziekolwiek?

– No nie wiem, w sufit jakbym strzelił, to on może by się przestraszył.

– Chyba zwariowałeś. Widziałeś tego napakowanego faceta?

– No widziałem. Niestety.

– To nie był gość, który by się kogokolwiek przestraszył. Jakbyś nie strzelił, to sprzątnąłby nas i jeszcze tę Rosjankę.

– No nie wiem...

– Ale ja wiem. Widziałam jego ryj. Ten facet by się nie zawahał ani minuty. – Pielęgniarka Agata sprawiała wrażenie, że ani przez chwilę od momentu, w którym doszło do tej strzelaniny, nie straciła zimnej krwi. Za to posterunkowy Olgierd Wieczorek siedział roztrzęsiony na tapczanie w pokoju lekarskim i najwyraźniej przeżywał właśnie osobistą tragedię, z którą nie potrafił sobie poradzić. Na szczęście doktor Tomasz Ciesielczyk, trzydziestopięcioletni brunet o krótko przystrzyżonych włosach, z okularami na nosie, który po tym nieszczęśliwym zdarzeniu przyszedł na oddział, wezwany z izby przyjęć, wziął sprawy w swoje ręce. Po zawiadomieniu policji kazał dziewczynie zabrać policjanta do dyżurki i za nic w świecie go z tego pokoju nie wypuszczać. Ciesielczyk nie był psychologiem, ale na tyle znał się na przypadkach szoku, w który wpadali pacjenci po drastycznych przeżyciach, że wystarczyła mu zaledwie

chwila, by właściwie ocenić stan posterunkowego. Najpierw kazał mu oddać broń. Chłopak zrobił to bez słowa protestu, choć przecież jako funkcjonariusz nie powinien dać się rozbroić cywilowi. W wypadku oporu lekarz i tak by sobie poradził. Był starszy stopniem i mógł mu wydać rozkaz. Jak wielu lekarzy z tego szpitala był oficerem i jednocześnie zawodowym żołnierzem, który brał udział w dwóch turach misji w Afganistanie. Umiał więc obchodzić się z młodymi żołnierzami, którzy wyszli spod nieprzyjacielskiego ostrzału. Nic dziwnego, że jego stanowczość zrobiła odpowiednie wrażenie na Wieczorku.

Policjanci przyjechali do szpitala już w dziesięć minut od wezwania. Dyżurny z komendy miejskiej wysłał radiowóz, który akurat był pod ręką. Funkcjonariusze dostali tylko dwa ważne zadania. Mieli potwierdzić, czy rzeczywiście na miejscu jest trup, a potem zabezpieczyć wszystko tak, by nikt nie zdeptał żadnych śladów do czasu przyjazdu ekipy technicznej.

Starszy sierżant Okoński rzucił okiem na trupa, a potem spojrzał na lekarza, który przyprowadził go na miejsce.

– Co to za jeden? – zapytał, wskazując palcem ciało.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – Doktor Ciesielczyk wzruszył ramionami i zaraz wziął się za czyszczenie szkieł okularów, które nie wyglądały wcale na zabrudzone.

– A kto go zastrzelił? – pytał dalej policjant.

– Jak to, to pan nic nie wie? – zdziwił się lekarz, który dotąd był przekonany, że policja podchodzi profesjonalnie do swoich działań.

– A niby co mam wiedzieć? – zapytał zdziwiony

sierżant. – Kazali mi zabezpieczyć miejsce i sprawdzić, czy trup nie żyje. To mi się widzi, że nie. Co, nie żyje, doktorze? – Spojrzał na lekarza, czekając na potwierdzenie swoich domysłów.

– Tak, zabity na amen. Zimny trup można by nawet powiedzieć, choć temperatura ciała raczej jeszcze nie opadła zbyt mocno.

– A kto go zabił?

– Myślałem, że tyle przynajmniej wam powiedzieli.

– Coś mi tam gadali przez radiotelefon, ale jakies trzaski słyszałem tylko. Wie pan, jak to jest ze sprzętem. Zawsze się psuje, jak jest potrzebny.

Wiedział. Nieraz słyszał te rwące się rozmowy żołnierzy krzyczących do radiotelefonu, próbujących przekrzyczeć zgiełk walki. Ale żeby w samochodzie policyjnym sprzęt psuł się podczas zwykłego łączenia z centralą?

– Powinniście do siebie dzwonić na komórki.

– A co pan myśli, że nie dzwoniemy? Gdyby nie nasze prywatne telefony, to szkoda gadać. No ale co z tym, co strzelał? Gdzie on jest? Bo tyle usłyszałem, że macie go tutaj. To pan go złapał?

Lekarz pokręcił głową

– Nie musiałem go łapać. To funkcjonariusz na służbie, który bardzo poważnie podszedł do swoich obowiązków i nie dopuścił do zabicia dziewczyny.

Sierżant spojrział zdumiony na lekarza.

– Jakiej dziewczyny? Gdzie ona jest?

– Przenieśliśmy ją do innej sali. Dostała środki uspokajające. A chłopak, ten co strzelał, jest w dyżurce. Pielęgniarka się nim opiekuje, bo zdaje się, że przechodzi załamanie nerwowe.

– Załamanie? A czemu?

– Istnieje możliwość, że to może być spowodowane albo zawodem miłosnym, albo tym, że dotąd niezbyt często zdarzało mu się zabijać uzbrojonych bandytów.

– Zawód miłosny odpada – stwierdził policjant. – To przez to zabicie. Musi się martwić, że teraz będzie miał kłopoty.

– Skoro tak pan mówi.

Sierżant pokiwał głową, bo doskonale wiedział, jak jest. Ten, który zastrzelił tego łysola, musiał mieć poważny problem. Teraz dobiorą mu się do dupy ci z prokuratury. Co innego, gdyby to jego zastrzelili. Miałby teraz spokój. Wiadomo przecież, że to najczęściej bandyci strzelają do policjantów, a nie odwrotnie. No ale stało się i chłopak miał przegwizdane. Sam zabił bandziora, to znaczy, że przez najbliższe pięć lat będzie się włóczył po sądach i na koniec na pewno go skazą na więzienie. Dostanie ze trzy lata w zawiasach, a jak się okaże, że nie ostrzegł bandziora, zanim użył broni, no to ma kompletnie przechłapane. W każdym razie jest całkowicie udupiony i o robocie w policji w zasadzie może już zapomnieć. A jeśli do tego miał na przykład samochód i dom na kredyt? I dlatego właśnie starszy sierżant Marek Okoński doskonale rozumiał, z jakiego powodu jego kolega się załamał i dlaczego opiekowała się nim pielęgniarka.

Podziękował lekarzowi i poszedł rzucić okiem na tego nieszczęśnika, który przegrał dziś właśnie całe swoje policyjne życie. Przedtem jednak przy drzwiach prowadzących do izolatki, w miejscu, gdzie leżał nieżywy facet, kazał stanąć swojemu kierowcy, starszemu posterunkowemu, który dotąd szwendał się po korytarzu i czekał na polecenia szefa patrolu.

– Pilnuj, żeby tu nikt nie wlaźł i niczego nie dotykał. I ty sam też niczego nie dotykaj. Bo to wszystko muszą zabezpieczyć technicy. Wiesz, jak jest. Każdy szczegół ma znaczenie.

Starszy posterunkowy Malinowski wiedział, jak jest. W końcu w swoim życiu obejrzał już sporo filmów kryminalnych, a na każdym z nich zasady postępowania funkcjonariuszy policji na miejscu zdarzenia były bardzo dokładnie wyjaśnione. Dziecko by wiedziało, że nie można nikogo dopuścić, żeby nie zatrzeć śladów. Tylko że tutaj nie było przecież co zacierać. Gdy szef patrolu rozmawiał z lekarzem, on w tym czasie pogadał sobie z pacjentkami w sali, do której przetransportowano dziewczynę. Tę, którą ten łysol, co teraz leżał na zielonym linoleum, chciał zabić. No i od tych pacjentek dowiedział się wszystkiego po kolei, czyli że policjant nie pilnował dziewczyny, choć miał pilnować, bo była jakimś ważnym świadkiem z ruskiej mafii. On nie miał czasu, bo podrywał właśnie młodą pielęgniarzkę i jak zaczął się z tą pielęgniarzką migdalić w jakimś kącie, to akuratnie wpadł ten łysy gość, co to pewnie był narzeczonym tej pielęgniarzki, co się całowała z tym młodym, i tak się wkurzył, że chciał ich na miejscu zabić, ale mu się nie udało, bo ta Ruska zaczęła

krzyczeć, a policjant to wykorzystał i go zastrzelił. Czyli, że łysy zginął wprawdzie z policyjnej ręki, ale przez zazdrość, a ruska mafia wcale nie jest taka zła, bo nie chciała dopuścić do morderstwa.

Tak dokładnie wytłumaczyły Malinowskiemu wszystkie zawiłe elementy tej sprawy dwie pacjentki. Nawet chciały na potwierdzenie swoich słów zbudzić Rosjankę, która niestety spała jak kamień, więc ciągnięcie za rękę i potrząsanie ramieniem nic nie dało. I może by się nawet obudziła, gdyby tam jeszcze dłużej stał, bo te dwie kobiety chciały koniecznie z nią pogadać, ale odwołał go sierżant. No trudno, tam było ciekawie, a tu nic istotnego się nie zdarzy. No chyba że ktoś będzie się chciał wdrzeć siłą, co było mało prawdopodobne. Zresztą tak jak to, że ta mała w kombinezonie motocyklowym nie ucieknie na widok trupa. Dziewczyna podeszła jednak bliżej, przystanąła, a potem zamiast wiać jak najdalej stąd albo choćby zwymiotować na miejscu, jak to się ludziom nieobytym zdarza, ona wpatrzona w poszarzałą twarz ukucnęła, a potem uklęknęła na podłodze.

Starszy posterunkowy najpierw zaniemówił z wrażenia, ale zaraz się opanował i chrząknął znacząco, a gdy dziewczyna nie zareagowała i co gorsza wydobyla z kieszeni aparat telefoniczny, pewnie, żeby sobie strzelić selfika, postanowił zareagować.

– Proszę nie robić tu...

– Odsuń się – powiedziała, nawet nie spojrzawszy na niego.

– Co gadasz?

– Odsuń się, bo mi światło zasłaniasz.

– Ja ci się zaraz...

– Żebyś nie powiedział za dużo, starszy posterunkowy, bo możesz potem żałować.

– Ożeż ty, kurwa mać...

– Powiedziałeś za dużo. Spadaj stąd. Idź do drzwi oddziału i pilnuj, żeby nikt tu nie wchodził.

– Ale...

– Rób, co mówi – odezwała się zza jego pleców kolejna dziewczyna. Spojrzał na nią i już wiedział, że powinien się zamknąć. Znał tę twarz. To była ta babka, która występowała przed kamerami telewizyjnymi, jak coś się wydarzyło, i mówiła w imieniu komendy. Ubrana była w mundur policyjny, więc od razu ją poznał. Błyskawicznie wycofał się do drzwi gotowy własną pierśią zatrzymać każdego intruza. Te dwie tymczasem zaczęły zaglądać kolejno do wszystkich pomieszczeń. Wreszcie policjantka w mundurze zniknęła za drzwiami dyżurki lekarskiej, a motocyklowa weszła do pokoju obok.

Sierżant Okoński właśnie spokojnie i rzeczowo wyjaśniał młodszemu koledze, co go może czekać w najbliższej przyszłości. I dokonał rzeczy niebywałej. W ciągu zaledwie pięciu minut udało mu się doprowadzić posterunkowego, który dzięki fachowej opiece pielęgniarki doszedł do siebie, do stanu, w jakim ten był bezpośrednio po zastrzeleniu bandyty. Chłopakowi znów zaczęły trząść się ręce, a w oczach pojawiły się łzy. Wcześniej siostra Agata zrobiła wszystko, żeby rozwiązać jego lęki i doprowadzić go do jako takiej równowagi psychicznej,

głaszcząc po głowie i opowiadając o swoich ostatnich wakacjach nad jeziorem koło Pniew. Już był tam z nią myślami, ale czujny sierżant sprowadził go na ziemię.

– Najważniejsze to mieć dobrego adwokata. Bo jak będzie kiepski, to przywalą ci trzy lata jak nic. Ale dobry papuga to potrafi sprawę tak odwlec, że i dziesięć lat potrwa, i nie będzie żadnego rozstrzygnięcia. Szukaj se adwokata, to może wcale nie pójdziesz siedzieć. Ale i tak masz szczęście, żeś jest młody, jeszcze nie masz rodziny, domu i samochodu na kredyt. Masz farta, chłopie. A pani tu co? Tu nie można teraz wchodzić – rzucił ostrym tonem w kierunku drzwi, w których stanęła dziewczyna w motocyklowym kombinezonie.

Aneta spojrzała na policjanta i uśmiechnęła się lekko. Nie miała ochoty na dalsze nieporozumienia. Wyciągnęła z kieszeni policyjną bejsbolówkę z orzełkiem i założyła ją na głowę.

– Starsza sierżant, Aneta Nowak, z wojewódzkiej. Pan sierżant od zabezpieczenia, jak się domyślam?

Okoński spojrzał na nią zdziwiony. Taka gówniara i jaka bezczelna. On jest już dobrze po trzydziestce i ma taki sam stopień jak ona. W tej wojewódzkiej to sobie potrafią wydeptać awanse, a niektóre to chyba wyleżeć nawet.

– No, zasadniczo.

– Dziękuję sierżancie. Może pan nas zostawić samych?

– Ja, znaczy się...

– Dziękuję. Za minutę będą tu technicy. Proszę im pomóc, skoro zna pan już teren i całe miejsce.

Sierżant zacisnął wargi i wyszedł na zewnątrz, nie zapominając o stanowczym zatrzaśnięciu drzwi. Ale Aneta nie zwróciła na to uwagi. Podeszła do chłopaka, który cały czas siedział tuż obok pielęgniarki. Policjantka natychmiast dostrzegła, że chłopak trzyma dziewczynę za rękę.

– To ty załatwiłeś tego łysego? – rzuciła nonszalancko, jakby pytała o pozostawioną na podwórku hulajnogę.

– No ja...

– Dobra robota. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Gdyby nie ty, ta dziewczyna pewnie już by nie żyła.

– Ale sierżant powiedział..., znaczy się, że... teraz śledztwo i że mnie wsadzą za użycie broni bez...

– Bez wyraźnej konieczności – podpowiedziała pielęgniarka.

– Nie słuchajcie idiotów. Śledztwo będzie, jak zawsze przy użyciu broni, ale za to, co zrobiłeś, jeszcze medal ci powinni dać.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Pewnie. Trochę się na tym znam. A teraz powiedz mi dokładnie, jak to wszystko wyglądało. Chodzi mi o każdy szczegół, żeby później nie było jakiegoś kręcenia.

Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy, włączyła funkcję dyktafonu i dotknęła czerwoną ikonkę nagrywania. Uśmiechnęła się na myśl o starym sprzęcie Biernata, który nagrywał dźwięk na kasety. Ale komisarz posługiwał się nim od zawsze i nie zamieniłby go na żaden inny, a gdyby mu powiedziała, że ma dyktafon w komórce, pewnie by nie uwierzył.

– No to wyszliśmy z Agą, znaczy się z panią Agatą, na korytarz i poszliśmy do izolatki, gdzie leżała ta dziewczyna, którą miałem pilnować, i wtedy...

Rozdział IV

Poniedziałek

14 września 2015

Godzina 7.20

Coś dziwnego działo się w tym domu. Jeszcze nie wiedziała, o co chodzi, ale na pewno nie było to normalne. Przede wszystkim ten mężczyzna. Powiedział, że ma na imię Andrzej. Jest Polakiem, ale świetnie mówił po rosyjsku. W zasadzie mówił tak, jakby się urodził w Moskwie, bez żadnych szeleszczących głosek charakterystycznych dla Polaków, którzy uczyli się rosyjskiego i dobrze posługiwali tym językiem. On miał nawet idealną rosyjską melodię. Poza tym młody człowiek mieszkający na odludziu i wokół żywego ducha. Czyżby się tu ukrywał przed kimś? Nie zapytała o to, bo się go trochę bała, mimo że nie dał jej ku temu żadnego powodu. Wyczuwała przez skórę, że jest w nim coś niebezpiecznego. Może to przez te oczy, niby niebieskie, ale tak bardzo jasny był ten błękit, że chwilami miała wrażenie, że zamienia się w czystą biel. Choć przecież to niemożliwe, bo nikt nie ma białych oczu. To pewnie ona miała jakieś omamy po tych wszystkich dramatycznych

przeżyciach.

Opowiedziała mu o nich od razu, w czasie pierwszego wspólnego posiłku. Pomógł jej podejść do stołu i delikatnie przytrzymał, gdy siadała na krześle. Na blacie przykrytym ceratowym obrusem w biało-czerwoną kratkę postawił kubek gorącej herbaty, a po chwili talerz jajeczniczy na kiełbasie. Rzuciła się na to jedzenie jak głodny wilk. W kilka minut talerz był pusty i czysty, bo resztki zebrała skórką chleba.

– Widzę, że ci smakuje – powiedział, uśmiechając się. Usiadł naprzeciwko i postawił przed sobą kubek z kawą.

– Dawno nie jadłam takiej dobrej...

– Może dlatego, że to jajka od normalnych kur, co chodzą po podwórku, a nie siedzą w klatkach.

Pomyślała o sobie i dziewczynach, które były uwięzione w tym cholernym baraku i przez ostatnie tygodnie były jak hodowlane kury, które dostawały tylko tyle jedzenia, żeby przeżyć. Otarła wierzchem dłoni policzek, po którym popłynęła łza.

– Dlaczego płaczesz, co się stało?

– Muszę się dostać jak najszybciej do jakiegoś miasta. Muszę iść na milicję.

– Tu w Polsce jest policja, a nie milicja.

– Wszystko mi jedno. I do lekarza muszę. Z tą nogą. – Poniosła nieco w górę stopę. Noga w kostce była fachowo zabezpieczona ortezą. Nim poszła spać, dał jej przeciwbólowe lekarstwa i założył to zabezpieczenie. Mimo to cały czas czuła pulsujący ból.

– Lekarz nic więcej by nie zrobił ponad to. – Wskazał na opatrunek na jej nodze. – Myślę, że nie ma zwknięcia, tylko lekkie naciągnięcie więzadeł. Da się z tym żyć i niedługo ci przejdzie, ale o podróżowaniu raczej nie ma mowy.

– Mówisz, jakbyś sam był lekarzem.

– Nie jestem lekarzem. Ale w wojsku musiałem się wszystkiego nauczyć o opatrunkach, zwknięciach czy złamaniach.

– Byłeś w wojsku?

– Tak, w Afganistanie.

– A teraz już nie jesteś żołnierzem?

– Nie, teraz jestem człowiekiem lasu.

– Czym?

– No kimś, kto żyje w lesie. Zapomniałem, jak to jest po rosyjsku.

– Leśniczy?

– No nie do końca. Jestem, o, już wiem, drwalem jestem.

– A, rozumiem. Czyli wycinasz drzewa?

– Coś w tym rodzaju. A teraz powiedz mi, co tu robisz? Skąd się wzięłaś w tym miejscu, na tym odludziu.

Przez chwilę siedziała w ciszy, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zbierała myśli, ale też zbierała się na odwagę. W końcu i tak trzeba będzie to wyrzucić z siebie, pomyślała, patrząc w te jego jasnoniebieskie, a może nawet białe oczy.

– Przyjechałam z Doniecka – zaczęła cicho, spoglądając przez okno na ciemnozieloną ścianę drzew. – Chciałam do pracy przyjechać, bo u nas bieda straszna. Myślałam, że zarobię i jakoś się tu urządzę, a pieniądze będę mogła wysyłać do domu...

Opowiedziała mu wszystko od początku do końca o tym, jak była gwałcona i jak później musiała pracować przy drodze. I w końcu o tym, co wydarzyło się tej nocy, zanim uciekła.

Poczuła szarpnięcie za ramię i natychmiast otworzyła oczy. Było już jasno, więc od razu dostrzegła pochyloną nad sobą twarz Nadii.

– Co jest?

– Coś się chyba stało.

– Ale co się...

– Nie wiem, ale jakieś krzyki tam... – Dziewczyna wskazała palcem drzwi prowadzące na korytarz, którym można było dostać się do kilku mniejszych pomieszczeń, gdzie spali bandyci. Znały te małe pokoje, bo tam oprawcy zaciągali je po kolei i gwałcili tak długo, aż wszystkie stały się uległe i posłuszne. Tak się im przynajmniej wydawało. Ale w niektórych z nich nie zdołali stłumić normalnych ludzkich odruchów i tego najważniejszego, czyli chęci walki o przetrwanie. Na pewno nie udało im się tego zrobić z Kaliną. Przekonały się o tym kilka sekund później.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich wielki grubas o imieniu Giena, którego kumple nazywali

Matrosem. Wszedł do środka, zbliżył się do okna i otworzył je na oścież.

– Która spała wczoraj z Wienią? – zapytał, ale żadna z dziewczyn nie odpowiedziała, więc wskazał tę najbliższą, szczupłą, jasnowłosą Olgę. – Słyszałaś, o co pytałem, kurwo?

– Słyszałam. – Szybko pokiwała głową. – On po tym, jak zastrzelił Laryskę, to...

– Jak, kurwa, zastrzelił? – zdziwił się Matros.

– No zobacz na łóżku. – Wskazała dolną pryczę, na której leżały zwłoki dziewczyny przykryte kołdrą. Matros podszedł tam, pochylił się i zdarł nakrycie z twarzy. Natychmiast wyprostował się i odskoczył jak oparzony.

– Kurwa, pierdolona kurwa! Fiodor, chodź no tu szybko! Fiedia, chodź tutaj!

Po chwili Fiedia pojawił się w pokoju. Spojrzał najpierw na Matrosa, ale zaraz dostrzegł zalaną krwią głowę Larysy i plamę krwi na ścianie.

– Kurwa jebana! Kto to zrobił?

– One gadają, że to Wienia.

– To chuj pierdolony. Niech go chuj jasny strzeli.

– Już go strzelił – rzucił Matros.

– Co?

– Chuj z nim.

– A, no prawda. A która jego zajebała?

– No gadać po dobroci, która spała z Wienią i go zajebała? – Matros rozejrzył się wokół, uważnie

przypatrując się twarzom dziewczyn.

– My nic nie wiemy. A co się w ogóle stało? – Wiera zdobyła się na odwagę.

– Jakaś kurwa poderznęła mu gardło jego własnym nożem. I ja się teraz pytam, która z was to zrobiła? No dalej, która?

Nadia spojrzała na puste łóżko Kaliny. To ją wczorajszego wieczoru po zabiciu Larysy zabrał ze sobą Wienia. I to ona musiała bydlakowi poderznąć gardło. Nie było jej z nim w pokoju, to znaczy, że uciekła po tym, co zrobiła. Nie ma co, zuch-dziewczyzna.

– A tu kto spał? – zapytał Fiodor, wskazując na puste łóżko.

– To jest łóżko Kaliny – odpowiedziała Wiera. Niech sobie jej teraz szukają, ale ona już na pewno jest daleko i jeśli dotrze do jakiegoś cywilizowanego miejsca, na pewno powiadomi policję. W końcu dzięki niej ich męczarnie się skończą. A te psy niech sobie jej szukają, ile chcą.

– A gdzie ona? – zapytał Fiodor.

– Wienia ją wczoraj zabrał do siebie – rzuciła Nadia. – Możecie sobie jej szukać, ile chcecie. Za głupi jesteście, żeby ją znaleźć, wy gnoje!

Fiodor dopadł do niej jednym susem i z całej siły uderzył w żołądek. Dziewczyzna zgięła się i upadła na podłogę jak złamana gałązka. Wiedział, jak bić. Najlepiej po brzuchu, bo takie bicie nie zostawia śladów. Na bicie po twarzy szkoda było ręki. W dodatku kto by chciał się potem bzykać z laską, która ma pokiereszowaną gębę?

Wiera podeszła do Nadii, pomogła jej wstać i położyć się na łóżku. Fiodor tymczasem nachylił się nad zwłokami Larysy, zawinął je w kołdrę i z lekkością, jak piórko, wrzucił sobie na ramię. Tak obciążony wyszedł z pokoju.

– A wy, szmaty, zbierać się – polecił stojący na środku pokoju Matros Giena. – Dość wylegiwania się. To nie wakacje w Soczi, ale przedsięwzięcie kapitalistyczne. Jedzcie śniadanie i myjcie się dokładniej, bo śmierdzi tu jak z kurwiej pizdy! Ha, ha, ha! – Roześmiany i zadowolony ze swojego żartu wyszedł na korytarz, zatrzasnął drzwi.

Dwie godziny później rozwieźli je busem do miejsc, w których pracowały przez cały dzień. Do wieczora Nadia obsłużyła zaledwie sześciu kierowców, więc spodziewała się, że jej nadzorcy nie będą zbyt zadowoleni. Gdy zaczęło robić się szaro, jak zwykle powinna była przyjść do Wiery. Stały na drodze w odległości mniej więcej kilometra od siebie. Gdy dzień zbliżał się ku końcowi, dziewczyny zbierały się w jednym miejscu i tam czekały na transport do baraku. Ale tym razem Nadia się nie pojawiła. Zniecierpliwiona Wiera zaczęła jej szukać.

Dziewczyna siedziała w krzakach na poboczu. Oparta o drzewo trzymała się za brzuch.

– Co ci jest, Nadia?

– Coś mi się stało. Boli mnie cały czas od tego momentu, jak ten bydlak mnie uderzył.

– Może tam ci coś uszkodził w środku?

– Nie wiem. Boli mnie.

– Trzeba, żeby lekarz cię zbadał.

– Nie, pewnie przejdzie do jutra, tylko muszę poleżeć w łóżku. Jak leżę, to mniej boli. Leżałam tu na trawie i było lepiej.

Na poboczu zatrzymał się kremowy passat. Łysy osiłek wysiadł z samochodu i zaczął się rozglądać. Wiera kiwnęła w jego kierunku. Dostrzegł ją i zaraz ruszył skrajem drogi.

– Co to, kurwa, wczasy, czy jak? Na cholere tu siedzicie?

– Bo ją brzuch boli, gnoju. To przez ciebie, bo żeś ją uderzył rano.

– Zamknij się, bo zaraz i ty dostaniesz. No co z tobą? Wstawaj, nie mam czasu na sterczenie tutaj!

Nadia powoli zaczęła się podnosić. Wiera chwyciła ją pod ramię.

– No dalej idziemy...

– Zamknij się, świnió. Nie widzisz, że ją boli?

– Jeszcze słowo, suko, i ciebie będzie wszystko boleć!

– Auu! – Nadia zgięła się wpół. – Muszę iść w krzaki. Oj, boli mnie. Muszę iść...

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Mam ci się zesrać w samochodzie? – krzyknęła i ruszyła przed siebie, tam, gdzie były gęstsze zarośla. Wiera chciała jej pomóc, ale dziewczyna odepchnęła ją i poszła sama. Nie nalegała. Wiedziała dobrze, że niekiedy nie można się ludziom naprzykrzać z nadmierną opieką.

– Ja jej pomogę, a ty lepiej dzwoń do jakiegoś lekarza. Musi ją zbadać, bo jeszcze dziewczyna umrze.

– Chyba cię pojebało? Jakiego lekarza? Położy się do łóżka, dostanie aspirynę i jej przejdzie.

– Widziałeś, jak wygląda. Ledwie się trzyma na nogach. Walnąłeś ją w brzuch i musiałeś jej coś uszkodzić w środku. Jeśli nie pójdzie do szpitala, to już po niej.

– Nie pierdol!

– Nie pomożesz jej?

– W dupie mam ją i ciebie.

– Tak, no to ja zawołam pomoc. Zaraz zatrzymam kogoś na drodze...

Zaczęła biec w kierunku szosy. Fiodor przez chwilę stał niezdecydowany, bo nie wiedział, co ma robić. Każda z dziewczyn oddalała się w innym kierunku. Ale Wiera była bliżej. Dopadł ją kilkoma susami, szarpnął za rękę, a gdy się odwróciła, uderzył pięścią w skroń. Padła jak rażona gromem. Po chwili jednak odzyskała świadomość. Zobaczyła, jak bandzior biegnie za Nadią. Poderwała się więc, bo czuła, że dzieje się coś niedobrego. Ten facet to kompletny idiota i dlatego był bardzo niebezpieczny. Nie wiadomo przecież, co mogło się uroić w tym jego ptasim mózgu.

Zobaczyła, że dziewczyna kuca, przytrzymując się lewą ręką pnia drzewa. Prawą złapała się za brzuch. Fiodor stał za nią i coś do niej krzyczał. Nadia próbowała się podnieść, ale bezskutecznie. Wyła z bólu. Fiodor wyciągnął zza paska pistolet i niemal nie mierząc, pociągnął za spust. Głowa Nadii eksplodowała...

– A ta, co zabiła tego Wienię? – zainteresował się

Andrzej. – Dopadli ją?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, ale do czasu, jak ja uciekłam, to nie. Wiem, że jej szukali, ale nie znaleźli.

– A tobie na szczęście się udało.

– Mnie tak, ale Nadia tam została...

Godzina 8.40

Mirosław Brodziak spacerowym krokiem przemierzał Stary Rynek. Szedł chodnikiem wzdłuż wiekowych kamienic, przyglądając się pustym o tej porze, ale powoli przygotowującym się na przyjęcie gości restauracyjnym ogródkom. Musiał przystanąć na moment, bo z pubu po prawej jakiś facet ubrany w czarny fartuch wytaczał aluminiową beczkę z piwem. Za chwilę miał ją podłączyć do dystrybutora przystrojonego krzykliwymi hasłami reklamującymi produkt miejscowego browaru.

Życie jest jednak niesprawiedliwe, pomyślał Brodziak, mijając ogródek. Czemu, jak byłem młody, nie mogło być tak pięknie jak teraz? Wtedy, żeby napić się, trzeba było się nieźle nakombinować, pochodzić po knajpach i poszukać tej, w której akurat sprzedawało się piwo. Gdy się już w końcu je dostało, to i tak smakowało jak końskie szczyny. A teraz piwo jest wszędzie, można wybierać z kilkudziesięciu gatunków, do tego jeszcze podają je w odpowiedniej temperaturze, ale ja, cholera, już nie mogę

pić tyle co kiedyś.

Minął Wagę Miejską, w której mieścił się Pałac Ślubów, i już chciał pójść jak zwykle prosto w Zamkową, jednak rozmyślił się, bo przypomniał sobie nagle, że nie zabrał z domu papierosów. Odbił więc nieco w lewo, w kierunku saloniku prasowego.

Przemierzał tę trasę codziennie od pięciu lat, to jest od chwili, kiedy kupił sobie mieszkanie przy Żydowskiej, niewielkiej uliczce odchodzącej od rynku. Do pracy nie miał daleko. Z jego domu na plac Wolności było jakieś dziesięć minut. Dlatego zazwyczaj chodził pieszo, a samochód zostawiał pod domem. No chyba że była brzydka pogoda, wtedy wsiadał do auta i jechał do banku, ale dojazd trwał dłużej niż piesza przechadzka. Z tym mieszkaniem to był zupełny przypadek. Wcale nie zamierzał go kupować. To, w którym mieszkał dotąd, zajmujące całe piętro przedwojennej willi na Sołacz, całkowicie mu wystarczało. Miał w nim do dyspozycji pięć pokoi, wielką kuchnię i łazienkę z wanną na środku, wokół której spokojnie można było jeździć na rowerze. Kupił je w czasach, gdy nagle z biednego policjanta stał się bogatym biznesmenem. Zarabiał wówczas tak dużo, że pieniądze trzeba było gdzieś ulokować. Postanowił zainwestować w mieszkanie w ekskluzywnej dzielnicy, prawdziwy majątek władował w remont i wyposażenie, a potem się wprowadził do jednego pokoju. Pozostałe, choć pięknie umeblowane, nie były mu do niczego potrzebne. Gabinet z przedwojennym dębowym biurkiem, sypialnia z nowoczesnym kompletem z sosnowego drewna, pokój dziecięcy wyklejony kolorowymi tapetami,

na których smerfy goniły Smerfetkę, stały puste, jakby w oczekiwaniu na decyzję, której gospodarz nie potrafił albo nie mógł podjąć. Bo tak naprawdę nie kupował tego mieszkania dla siebie. Miała w nim zamieszkać Marzena z Jankiem, ich synem. Nie zamieszkała. Została w swojej dwupokojowej klitce.

Nie mógł zrozumieć tej decyzji. Ale czy w ogóle kobiety można zrozumieć? Przeżyli ze sobą kupę czasu, lata lepsze i gorsze, ale ciągle razem. W końcu w osiemdziesiątym dziewiątym urodził się Janek. Kilka miesięcy później on odszedł z milicji do biznesu. Wtedy wydawało mu się, że nie może już być lepiej. Ale Marzena widziała to zupełnie inaczej. Podczas jednej z kłótni powiedziała mu, że wolała go jako uczciwego milicjanta, a nie bandytę w garniturze. On bandytą? Zdziwił się, bo nie uważał się za bandziora. To, że załatwiał interesy, niekiedy używając argumentów, o których wiele dałoby się powiedzieć, ale na pewno nie, że są delikatne, nie czyniło z niego przecież jeszcze przestępcy. W milicji zresztą postępował dokładnie tak samo. Nieraz dla skłonienia do współpracy i szybszego złożenia zeznań łał zatrzymanych i nic wielkiego się nie działo. Tak przecież robili wszyscy. No, prawie wszyscy.

Marcinkowski tak nie robił. Zdarzało się nawet, że opieprzał Mirasa za stosowanie siły podczas śledztwa. Sam wolał bardziej wyrafinowane, powiedzieć by można, inteligenckie sposoby. Trzeba mu przyznać, że był w tym skuteczny. Jego przesłuchania były metodyczne i drobiazgowo, a dzięki temu prędzej czy później dochodził do prawdy, wyłapując nawet najdrobniejsze

nieściskości. Ale Brodziak też był skuteczny. Nie miał w sobie za grosz tej cierpliwości i tego opanowania, które cechowały jego przyjaciela. Porywczy z natury, wolał najpierw wytrzasnąć po pysku bandziora, a potem dopiero poprosić grzecznie o wyjaśnienia. Tak było zawsze. Już od czasów dzieciństwa wychowany na Starym Mieście Brodziak wiedział, jaki użytek robi się z pięści. Podobnie jak jego najbliższy przyjaciel z podwórka, cinkciarz Rychu Grubiński. Obaj urodzili się i wychowali w tej samej kamienicy na ulicy Woźnej. Od najmłodszych lat byli nierozłączni. Zaczynali swoją karierę podobnie jak wielu chłopaków z okolicy od okradania ogródków z jabłek, później piwnic z kompotów i wszystkiego, co wpadło tam im w ręce, by przejść w końcu na wyższy poziom wtajemniczenia i zabrać się za obrabianie kiosków „Ruchu”. Dokładnie rzecz biorąc, obrobili razem tylko jeden kiosk na placu Wiosny Ludów. Tę akcję wymyślili po to, by zaimponować starszym kolegom. Czekali przeszło godzinę na sprzyjający moment. Kiedy na placu nie było nikogo, podbiegli do budki. Rychu kamieniem stłukł okienko, przez które do środka wcisnął się Mirek. Natychmiast zaczął podawać koledze wszystko, co mu wpadło w ręce. Rychu trzymał siatkę, którą w dwie minuty wypchali po brzegi wszelkim dobrem, a potem, nie niepokojeni przez nikogo, wrócili do domu. Dla Mirka był to ostatni skok w jego przestępczym życiu, a dla Rycha pierwszy z wielu późniejszych skoków i przekrętów. Rozdzieliła ich szkoła. Brodziak wylądował w ogólniaku, zmuszony przez starszą siostrę. Rycha nikt do niczego nie zmuszał, więc poszedł do zawodowej samochodówki. Każdy znalazł się w innym towarzystwie i wkrótce ich

drogi się rozeszły. Mirek po ogólniaku poszedł do milicji i w końcu do oficerskiej szkoły w Szczytnie, a jego stary druh, zamiast praktykować w jakimś samochodowym warsztacie, zaczął uczyć się zawodu w cinkciarskim światku pod peweksem.

W latach osiemdziesiątych znów los ich połączył. Od chwili, kiedy handel walutą w Polsce stał się legalnym procederem, Rychu rozpoczął karierę w bankowości, a Mirek wkrótce do niego dołączył.

Wszedł do kiosku „Ruchu”, by kupić papierosy. Palił, od kiedy był nastolatkiem, mimo że większość ludzi w jego otoczeniu rzuciła palenie. Stało się ono wręcz niemodne i nawet prezes Grubiński przebąkiwał, że czas chyba rozstać się z ćmikami. Na razie zakazał palić we wszystkich pomieszczeniach banku i sam został ofiarą swojego rozporządzenia. I on, i Mirek w trakcie pracy musieli na papierosa wychodzić na balkon. O ile więc Rychu myślał o szkodliwości tytoniu, o tyle Brodziakowi było to całkowicie obojętne. Lubił palić i nie zamierzał niczego z tym robić. Tym bardziej odkąd znacznie ograniczył alkohol, bo kiedyś tak jak Olkiewicz pił całymi dniami. Szklanka whisky z papierosem każdego wieczoru były jego największymi przyjemnościami i namiętnościami.

– Dzień dobry, pani Wioletko. Pani da paczkę żółtych cameli – powiedział, wskazując zupełnie niepotrzebnie na półkę.

– Te z płucami czy z przełykiem? – zapytała sprzedawczyni, brunetka o ciemnych oczach

podkreślonych wyraźnymi kreskami przedwczesnych zmarszczek, uśmiechając się porozumiewawczo. Mirek przychodził tu niemal codziennie i często zostawał chwilę, żeby pogadać. Ot tak, dla samej przyjemności gadania o wszystkim. Temat związany z papierosami był ich ulubionym. Ona też kopciła i podobnie jak Brodziak nie zamierzała za nic w świecie pozbawiać się radości, jaką dawał jej każdy wypalony szlug.

– Niech będą te z płucami. Ta krtań wygląda jak jakiś paskudny robal, a ja obrzydliwy jestem i robali nie lubię.

Sięgnęła po paczkę, sprawdziła jeszcze, czy rzeczywiście na opakowaniu są płuca wycięte palaczowi ku przestrodze innych nałogowców, i położyła pudełko na blacie.

– A pan to tylko te camele? Nic innego pan nie spróbuje? – Najwyraźniej znowu chciała sobie pogadać, tym bardziej że ten rudy klient nigdy specjalnie się nie śpieszył. Ona też urodziła się na Starym Mieście i znała Brodziaka niemal od dziecka. Wiedziała dobrze, że jest dawnym milicjantem, który teraz pracuje w banku.

– Pani Wioletko, ja już się innych marek napaliłem tyle, że nawet się nie da ich wymienić. Zaczynałem od sportów, później były ekstra mocne bez filtra, a w ogólniaku to jarałem klubowe. Potem na studiach znów przydziałowe popularne, a jak zacząłem robotę w milicji, to był akurat stan wojenny i wtedy paliło się wszystko, co było dostępne, i człowiek nie wybrzydzał, jak dostał jugosłowiańskie ds-y albo ruskie kosmosy. A jak tylko skołowało się parę dolców, to się szło do peweksu i kupowało camele. No i tak zostało. A teraz to już

z różnymi markami nie będę eksperymentował. Żółte camele wygrały ten długodystansowy tytoniowy maraton.

– No właśnie, panie Mirku, bo pan robił w milicji, to pan pewnie wszystko wie o tej aferze, co to od rana piszą w gazetach?

– Że niby co? – Spojrzał na stojak z prasą i naraz poczuł, że robi mu się zimno, a po karku przebiegają ciarki z prędkością, której nie powstydzilby się Usain Bolt.

– Bo oni tam piszą, że w milicji to wszyscy na wszystkich donosili. I u nas w Poznaniu też kablowali jeden na drugiego, a najwięcej to donosił, no, ten, no...

– Wziął do ręki „Gazetę Poznańską” i na głos odczytał nagłówek z pierwszej strony: „Inspektor Alfred Marcinkowski donosił na kolegów i współpracowników. Czy legenda poznańskiej policji, słynny «Fred» był agentem Służby Bezpieczeństwa?”.

– O kurwa! – jęknął wpatrzony w gazetowy tekst.

– No właśnie, też tak myślę, bo to wiadomo, że na kolegów się nie donosi. Znał go pan?

– Znałem? Nie, ja go znam. Bardzo dobrze go znam...
– powiedziawszy to, położył na blacie banknot pięćdziesięciozłotowy i z gazetą w dłoni wybiegł z kiosku. Zapomniał o paczce papierosów ozdobionych płucami palacza. Sprzedawczyni schowała pięćdziesiątkę do szuflady kasy, wyjęła resztę i wraz z zostawionymi papierosami wsypała wszystko do foliowej torebki. U niej nic nie ginęło, a Brodziak na pewno jutro przyjdzie po papierosy, to wtedy mu odda to, co zapomniał.

Godzina 8.55

Aneta siedziała w swoim pokoju już od siódmej rano. Powinna być w pracy o ósmej, jednak obudziła się wcześniej i już nie dała rady zasnąć. Nie pojechała wczoraj do domu. Po tym, co zdarzyło się w szpitalu, nie miała czasu na jeżdżenie w tę i z powrotem. Znowu została na noc u Martynty, ale wcześniej pojechała jeszcze do sklepu kupić sobie bieliznę na zmianę. Przed chwilą ubrała się po cichu i chciała wyjść, nie budząc przyjaciółki. Ta jednak była czujna jak kot. Gdy Aneta wyszła z łazienki, w kuchni czekała już na nią gorąca kawa z mlekiem i dwie kanapki z serem.

– Myślałam, że jeszcze śpisz. – Uśmiechnęła się do Martynty, siadając przy stole. – Niepotrzebnie tyle zamieszania. Zjadłabym coś w mieście.

– Nic byś nie zjadła. – Martyna pokiwała głową. Dobrze wiedziała, jak wygląda sposób odżywiania Anety. Śniadanie w biegu albo wcale, później jakiś jogurt, jeśli miała czas pójść do sklepu, albo kompletnie nic do chwili, gdy nie wpadła w przelocie na jakąś budkę z hot dogami albo stację benzynową. Hot doga zapija colą, bo dają w zestawie, i do tego jeszcze zje batonika. To nie było jedzenie, ale dostarczanie organizmowi paszy.

– Jak tak dalej pójdzie, to dostaniesz anemii. Popatrz na siebie, jesteś chuda jak sztacheta w płocie. Śniadanie to podstawa. Z tego twój organizm czerpie siłę. A z czego ma czerpać? Z kefiru, który sobie kupisz, jeśli oczywiście nie

zapomnisz?

Aneta wiedziała, że Martyna ma całkowitą rację. Ale co miała zrobić? Taka już była. Przede wszystkim robota, a jedzenie jak przyjdzie czas, przy okazji. Gdy już się zabierała za jakąś sprawę, poświęcała się jej całkowicie. Dlatego nie miała ochoty tracić czasu na poranne kawki. Ale wiedziała, że z przyjaciółką nie wygra, bo jeśli nie zje śniadania, ta jej nie wypuści z domu. Sięgnęła więc po kanapkę i odgryzła wielki kawał.

– Nie tak szybko. Powoli jedz. Do mózgu musi dotrzeć, że jesz, a jak będziesz wciągać jak odkurzacz, to twoja mózgowica wcale się nie zorientuje, że dostała pokarm.

– Jak się nie zorientuje? Co ja nieświadomie jem?

– Świadomie, ale za szybko.

Zwolniła. Popiła kawą i tak jak kazała koleżanka, zaczęła odgryzać mniejsze kęsy. Ale gdy Martyna wstała i podeszła do okna, by włączyć stojące na parapecie radyjko, natychmiast pochłonęła kanapkę do końca. Popiła ją szybko kawą akurat w chwili, w której Piotr Bukartyk zaśpiewał piosenkę o kupowaniu psa. Przypomniała sobie natychmiast o swoim psie kalece bez jednej nogi, który przypałętał się do niej trzy lata temu. Wszystko przez jedzenie. Karmiła go kanapkami, których nie zjadła w pracy, żeby ukryć to przed mamą. Teraz zwierzak pewnie też siedział i czekał. Ale na pewno nie był głodny. Tata codziennie rano sypał mu do miski suchą karmę.

– To ja już będę leciała. – Podniosła się z krzesła.

– Co chcesz dziś zrobić?

Wzruszyła ramionami.

– Najpierw przepiszę zeznania tego chłopaka, no, tego młodego policjanta. Trzeba mu pomóc, bo go rozszarpia.

– Masz rację. Trzeba tym wewnętrznym dać argumenty na tacy, bo inaczej będzie z nim kiepsko. Ale trzeba przyznać, że zachował się wzorowo. Szkoda tylko, że zabił tego drania.

– Pewnie, że szkoda, ale ja na jego miejscu też bym się nie zastanawiała. W takiej sytuacji nie ma czasu na myślenie.

Martyna pokiwała głową. Tu Aneta miała całkowitą rację. Sama była trzy lata temu w Szamotułach w sytuacji, w której nie można było się zastanawiać, tylko trzeba było działać. Wówczas obie – i ona, i Aneta – podjęły właściwą i jak się okazało, jedynie słuszną decyzję.

– No i ten... mam nadzieję pogadać z tą dziewczyną w szpitalu.

Martyna uśmiechnęła się. Aneta chciała pojechać do szpitala i było to całkiem zrozumiałe. Dziewczyna wczoraj była na prochach uspokajających, ale lekarz powiedział, że dziś będzie już zdolna do gadania. Może się więc okazać, że jej zeznanie pomoże w śledztwie, które współprowadziła Aneta. Ale był jeszcze pewien powód, dla którego chciała tam pojechać. Gdyby ją o to zapytać, pewnie od razu by zaprzeczyła i być może nawet wyparłaby go ze swojej świadomości, dlatego Martyna nie zamierzała poruszać tej kwestii. Ale wczoraj dostrzegła pewien niecodzienny błysk w oczach koleżanki. Wtedy, kiedy obie rozmawiały z tym lekarzem.

– To jest broń tego młodego. – Wydobył z szuflady swojego biurka pas z kaburą, w której tkwił pistolet P-64. – Myślałem, że czaki to już obiekty muzealne, a tu proszę, jeszcze służą w policji. – Podał pas Martynie, ale ta pokręciła głową, wskazując na Anetę. Z nich dwóch to właśnie ona była specjalistką od broni. Martyna raczej nie brała do ręki takich rzeczy. Aneta natomiast bardzo lubiła te metalowe cacka. Od razu wydobyła pistolet z kabury i niemal mechanicznie odciągnęła zamek do tyłu, by sprawdzić, czy w komorze nie znajduje się nabój. Była pusta.

– Już to zrobiłem – powiedział lekarz, który dopiero teraz uważniej spojrzął na Anetę.

– U nas już mało kto nosi czaka. Dali młodemu, bo nie umiał się postawić. Starsi mają P-83, P-99 albo glocki. Ja mam glocka, bo jest niezawodny, a poza tym samoczynnie samopowtarzalny... – Przerwała, widząc zdumienie na twarzy lekarza. Teraz ona mu się dokładnie przyjrzała. Dość sympatyczna twarz, krótkie włosy i dobrze zbudowana sylwetka. Pewnie dużo ćwiczy, pomyślała, ale zaraz złapawszy się na tym, że wpatruje się w niego nieco zbyt natarczywie, spuściła wzrok. – Podobno Amerykanie bardzo sobie cenią czaki – dodała, bo nic sensownego nie przyszło jej do głowy.

– Jakie „czaki”, do cholery! Co ty, Aneta, bredzisz?

– CZAK to popularna nazwa P-64 – wyjaśnił doktor Ciesielczyk. – Pani koleżanka doskonale zna się na broni – stwierdził z uznaniem.

– Ona potrafi rozłożyć motor na części, a co dopiero jakiś pistolecik.

– Daj spokój, Martyna. – Spojrzała na koleżankę z wyrzutem. Ta znała to spojrzenie, więc natychmiast zamilkła. Ale lekarz brnął dalej.

– Ja to nawet mam problem z naprawieniem gniazdka. Kompletnie atechniczny jestem. Ale jeśli kobieta zna się na kwestiach mechanicznych, to naprawę godne podziwu.

– Sądzi pan, że kobiety nie mają zdolności technicznych? – zapytała podchwytliwie Aneta, a jej przyjaciółka już wiedziała, co się święci.

– Nie wszystkie są zainteresowane techniką – rzuciła Martyna, próbując uratować sytuację. Bezskutecznie.

– Kobiety często mają zupełnie inne zainteresowania. Technika to domena mężczyzn.

– Tak pan sądzi? – zapytała Aneta jadowicie.

– Takie są stereotypy. Ale w tej sytuacji to ja, jako osobnik całkowicie pozbawiony technicznych umiejętności, powinienem być kobietą, a pani obdarzona zmysłem technicznym mężczyzną. Stereotypy więc, moim zdaniem, zakłamują rzeczywistość.

No i Aneta, która chciała jeszcze parę sekund temu przekłuć tego gościa szpilką i zawiesić na ścianie jako kolejne trofeum zdobyte w walce z seksistowskimi samcami, sama została rozłożona na łopatki.

– Widzę, że zgadza się pani ze mną, pani Aneto.

Pokiwała głową, bo nie wiedziała, co ma teraz powiedzieć. Facet jej się wymknął i było jej trochę głupio.

– Ale na broni pan się zna – zauważyła Martyna.

– Jestem żołnierzem. – Lekarz uśmiechnął się, cały czas

patrzając na Anetę. – Powinienem od razu się przedstawić.
Kapitan Tomasz Ciesielczyk.

– Starszy sierżant Aneta Nowak i młodszy aspirant Martyna Urbanek – przedstawiła je Martyna, bo Aneta nie wiedzieć dlaczego podczas tej prezentacji naraz wstała i podeszła do okna. Oboje spojrzeli na nią z zaciekawieniem. A ona przez chwilę spoglądała w dół, a potem, odwróciwszy się do lekarza, zapytała:

– Macie tu monitoring?

– Oczywiście, że mamy. W całym szpitalu jest...

– Na parkingu. – Wskazała okno.

Ciesielczyk wzruszył ramionami.

– Pewnie jest. Ale czy na sto procent, to pani nie powiem.

– Gdzie jest centrala?

– Na parterze.

– Idę zobaczyć – rzuciła w kierunku Martyny. – Ten gość musiał przecież czymś tu przyjechać.

– Idź, ja zostanę, bo muszę napisać jakąś notatkę dla mediów – rzuciła Martyna, która nie miała najmniejszego zamiaru łązić po szpitalu. Od wycierania kątów była tu Aneta. – Trzeba będzie wydać jakiś komunikat w sprawie tej strzelaniny, kiedy technicy już zakończą robotę.

Jej koleżanka machnęła ręką, jakby chciała dać do zrozumienia, że niewiele ją to interesuje, i ruszyła w kierunku wyjścia.

– To ja panią zaprowadzę – zaoferował swoją pomoc lekarz. – Bo tutaj, w tych korytarzach, łatwo się zgubić –

dodał, otwierając przed nią drzwi.

Szybko okazało się, że miała rację. Na nagraniu wyraźnie widać było auto, którym przyjechał zabójca. Był to kremowy passat. Mężczyzna przyjechał nim sam, wysiadł z samochodu i od razu poszedł do budynku. Wszystko to kazała ochroniarzowi, który opiekował się monitoringiem, nagrać na jej pendrive'a.

Auto stało na parkingu w miejscu, w którym zostawił je bandyta. Technicy znaleźli w kieszeni zabitego mężczyzny kluczyki. Aneta skorzystała z okazji i natychmiast poszła obejrzeć samochód od środka. Niczego interesującego w nim nie znalazła, poza kilkoma płytami z muzyką. Najciekawsze jednak były okładki płyt. Na wszystkich nazwy zespołów i tytuły piosenek wypisane były cyrylicą. Widząc to, uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Bez trudu odczytała napisy. Po raz kolejny przekonała się, że jej zmora z podstawówki okazała się całkiem przydatna. W szkole podstawowej bowiem miała język rosyjski z dość wymagającą nauczycielką.

Teraz, siedząc w swoim służbowym pokoju, odtwarzała chyba po raz dziesiąty fragment nagrania, na którym z passata wysiada rosły mężczyzna i idzie do szpitala. Ciągle miała wrażenie, że coś przeoczyła.

Wstała z krzesła i podeszła do starej szafy na akta, gdzie na jednej z półek stało starsze od niej radio Amator Stereo. Włączyła je przyciskiem i tablica z zakresami fal podświetliła się na zielono. Chciała złapać jakąś stację dającą muzykę, żeby trochę zastanowić się przy miłych dźwiękach, i już chwyciła pokrętko, ale zamarła w bezruchu, gdy do jej uszu dotarł sens tego, co mówiła

serwisantka czytająca wiadomości:

...inspektor Alfred Marcinkowski donosił na swoich kolegów z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Do takich informacji dotarli dziennikarze „Gazety Poznańskiej”. Według nich w poznańskim IPN odnalazła się teczka SB, w której znajdują się odręcznie pisane przez Marcinkowskiego donosy na kolegów i podwładnych, służących razem...

– Służących razem... O ja pierdołę! – powiedziała do siebie Aneta i nawet się zdziwiła, bo w zasadzie nigdy nie przeklinała. Naraz po tym, jak radio podało te rewelacje o jej szefie, zrozumiała, co widać było wyraźnie na filmie, a czego ona nie dostrzegła wcześniej. Mężczyzna poruszał się sprężystym, wojskowym krokiem z lekko pochyloną głową. Facet był żołnierzem w cywilu. Ruskim żołnierzem.

Godzina 9.00

Inspektor Alfred Marcinkowski wszedł po kilku schodach wiodących do komendy wojewódzkiej policji i dopiero teraz ze zdziwieniem zauważył, że na chodniku na statywie stoi kamera telewizyjna, za nią operator, a przed nią dziennikarz z mikrofonem w dłoni.

Pewnie ma wejście na żywo do jakiegoś dziennika, pomyślał Fred. Obiektyw kamery zjechał z sylwetki dziennikarza i skierował się na wejście do budynku. Marcinkowski uśmiechnął się do operatora, którego znał,

bo nieraz już miejscowa telewizja nagrywała z nim „setkę”, po czym otworzył drzwi i zniknął w środku.

– Co tam się dzieje? – zapytał młodego policjanta, który pilnował wejścia do odnowionego niedawno holu komendy, przypominającego teraz wejście do szpitala. Policjant wzruszył ramionami. Nie wyglądał jak wulkan intelektu, a odpowiedź ostatecznie przekonała inspektora, że młodzieniec nie zrobi oszałamiającej kariery w policji.

– Chyba telewizja.

– Aha, dobrze wiedzieć.

– Coś kręcą.

– No niby racja – stwierdził i poszedł w kierunku schodów. Pracował na pierwszym piętrze w pokoju z niewielkim sekretariatem, który należał kiedyś do jego dawnego dowódcy i mentora pułkownika Żyty. To on właśnie przyjmował go do pracy milicji w 1977 roku zaraz po tym, jak Fred ukończył szkołę oficerską w Szczytnie. Miał jedną z najwyższych lokat na roku i dzięki temu mógł wybrać sobie miejsce pracy. Nie musiał się długo zastanawiać. Wybrał Poznań i komendę wojewódzką, bo wydawało mu się, że ta daje większe możliwości działania niż komenda miejska. Odrzucił wtedy dwie propozycje. Jedną z Komendy Głównej MO w Warszawie, gdzie proponowano mu stanowisko w zespole dochodzeniowo-śledczym, który był w tym czasie najważniejszą tego rodzaju komórką w kraju. Ale Fredowi wcale nie marzyła się kariera porucznika Borewicza. Wolał swoje miasto. I tu dostał tę drugą ofertę. Zgłosił się do niego młody porucznik SB Stanisław Bielecki, który zaproponował mu przejście do resortu. Warunki finansowe są zdecydowanie

lepsze, a praca ciekawsza, przekonywał Bielecki. Jednak Marcinkowski odmówił. SB, następczyni powojennego Urzędu Bezpieczeństwa, już samą swoją nazwą wywoływała w młodym milicjancie zbyt dużo negatywnych emocji. UB bowiem był instytucją, która koszmarnie zapisała się w pamięci jego rodziny. Śledczy z bezpieki torturowali i omal nie doprowadzili do śmierci jego dziadka, przedwojennego komisarza policji, Antoniego Fischera, któremu zarzucali zdradę narodu polskiego i współpracę z okupantem. Tego dziadka, powstańca wielkopolskiego i weterana wojny polsko-bolszewickiej, musiał ukryć w swoim życiorysie, bo inaczej nigdy nie przyjęto by go do szkoły oficerskiej i w ogóle do milicji. W rubryce: zawód wpisał dziadkowi, zresztą całkowicie zgodnie z prawdą, prawnik. I dzięki temu zabiegowi udało mu się przejść weryfikację kandydatów do milicji prowadzoną przez funkcjonariuszy SB. Współczesna Służba Bezpieczeństwa, kultywująca niechlubne tradycje UB, nie mogła więc w żaden sposób wydać się atrakcyjna dla młodego Marcinkowskiego. Wtedy pomyślał nawet, że w tle tej rozmowy z porucznikiem Bieleckim słychać chichot historii, która dławi się ze śmiechu na myśl, że esbek proponuje pracę w tej instytucji wnukowi swojej własnej ofiary.

Otworzył drzwi do sekretariatu. Pani Zosia, sekretarka, która pracowała w tym pokoju od ponad dwudziestu lat, na jego widok poderwała się z krzesła. Ze zdziwieniem spojrział na nią, bo jeszcze nigdy nie zdarzyła się taka sytuacja, żeby witała go na stojąco.

– Co jest, pani Zosiu kochana...? – zaczął i naraz

osłupiał. Zosia miała czerwone, zaszklone oczy, jakby przed chwilą płakała. – Co się stało? Ktoś pani coś zrobił? Kto...?

Szybko pokręciła głową i wskazała palcem na leżącą na biurku gazetę.

– Co to za skurwysyństwo! Co to za skurwysyny...

Podszedł do biurka i wziął do ręki „Poznańską”. Od razu, zanim zdążył przeczytać nagłówek, dostrzegł na pierwszej stronie swoją fotografię. Uderzył go pewien szczegół, który wydał mu się ważniejszy od tego, co mogło się znaleźć w artykule. Chodziło o jego zdjęcie. Nie było współczesne. Zrobił je u fotografa na placu Młodej Gwardii w latach osiemdziesiątych. Zdjęcie legitymacyjne przedstawiało go w mundurze kapitana milicji. Jedno oddał do kadr, żeby mu wyrobili nową legitymację służbową, a dwie odbitki zostały wpięte do akt. Od tego czasu nie widział tych fotografii, a to znaczyło, że fotkę, którą opublikowano w gazecie, musiał przekazać dziennikarzom ktoś, kto miał dostęp do milicyjnych dokumentów personalnych. Gdy uświadomił sobie ten fakt, wcale nie zdziwił go tytuł artykułu. Nawet nie musiał czytać dalej. Już wiedział, że jest to ordynarna prowokacja. Tylko dlaczego ktoś chciał go zrobić we współpracę z SB?

– Pani Zosiu, jakby pani była uprzejma, to poproszę o kawę i niech do mnie przyjdzie Blacha.

Usiadł za biurkiem i rozłożył „Poznańską” przed sobą. Szybko przeleciał wzrokiem tekst zawierający wysrane z palca rewelacje na jego temat i właściwie nie bardzo się nimi przejął. Nikt normalny przecież nie może uwierzyć

w takie bzdury. On miałby na kogoś donosić? A w jakim celu? Przecież SB nie potrzebowała żadnego donosiciela w jego wydziale, bo miała w nim swojego człowieka. Teofil Olkiewicz, oddelegowany do nich z bezpieki, miał właśnie informować swoich przełożonych o tym, co się u nich dzieje. Tyle że Teoś był porządnym człowiekiem i od razu powiedział Fredowi o swojej podwójnej roli. Pisał więc raporty, sprawozdania i charakterystyki, a z każdym takim pismem przychodził do Freda. On je poprawiał, wykreślał niepotrzebne zdania, dopisywał nowe i dzięki temu SB dowiadywała się tylko o tym, o czym sam Marcinkowski chciał im powiedzieć. Oznaczało to, że wspólnie z autentycznym współpracownikiem SB przez całe lata osiemdziesiąte dezinformowali, a nie informowali. Ale o tym szczególnie raportów Olkiewicza nikt nie wiedział. Nawet Brodziak i Blaszkowski, którzy wprawdzie zdawali sobie sprawę z roli Teofila, ale Marcinkowski nie wtajemniczał ich w detale, bo i po co. Tak czy inaczej nic, co istotne, nie miało prawa wypłynąć z ich wydziału. Olkiewicz i Marcinkowski zapewnili więc wszystkim swoim kolegom bezpieczne przebrnięcie przez najtrudniejszy okres stanu wojennego i schyłek rozkładającego się systemu.

Fred nie miał czego się wstydzić, gdy spojrzął za siebie, na te wszystkie lata swojej pracy w milicji, bo nigdy nikomu nie zrobił żadnego świństwa. I nagle teraz okazywało się, że ktoś chce mu dorobić etykietkę donosiciela. Komu mogło zależeć na obsmarowaniu go? Na obsmarowaniu właśnie. Przecież nikt nie uwierzy, że on mógłby...

Podparłszy brodę dłońmi, spojrział w prawo na ścianę, na której wisiał telewizor. Przez chwilę walczył z myślami, czy go nie włączyć. Skoro kamera stała na dole przed komendą, to niewykluczone, że mówili o nim. Tylko co mu da oglądanie i słuchanie bredni na własny temat? Nie włączył. Ktoś zapukał do gabinetu. Sekretarka nie uprzedziła go telefonicznie o gościu, więc musiał to być Blaszkowski. Zaraz też drzwi otworzyły się i Mariusz wkroczył do środka.

– Już czytałeś – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Jedno wielkie gówno. – Fred uśmiechnął się, ale był to raczej zwarzony grymas.

– Wszyscy wiemy, że to jedno wielkie gówno. Tyle że jakaś kanalia wrzuciła je do wentylatora i niestety opryska nas wszystkich, a ciebie szczególnie.

– Ludzie nie uwierzą w te bzdury – stwierdził Marcinkowski, ale jakoś bez specjalnego przekonania.

– Ludzie wierzą we wszystko, co napiszą w gazetach. Oczywiście potem to odkręcimy, przedstawimy fakty, ale i tak trochę tego szajsu się przylepi i smród też pozostanie.

– Kurwa, masz rację.

– Niestety mam. Tak to działa. Nie po to się rzuca oskarżenia wyssane z palca, żeby coś udowodnić, ale żeby kogoś pobrudzić. W tym wypadku ciebie, a co za tym idzie – cały nasz dawny wydział. Myślę, że powinniśmy napisać jakieś sprostowanie czy coś takiego. No wiesz, że nie wierzymy w te brednie i w ogóle.

– I powinniśmy poprosić Bieleckiego z SB o wystawienie świadectwa moralności. Nie wygłupiaj się,

Blacha. Nikt w to nie uwierzy. Później usłyszysz, że kolesie chcą ratować komunistycznego donosiciela. Nic nie zrobimy. Gównno, jak sam powiedziałaś, już mnie opryskało.

– To co teraz?

– Nic, trzeba mieć to w dupie. Przecież w tym artykule nie podają żadnych szczegółów tej mojej niby współpracy. To są wszystko twierdzenia typu... – Spojrzał na rozłożoną gazetę, przez chwilę wpatrywał się w kolumny liter, pomagając sobie palcem, aż wreszcie znalazł właściwy akapit. – O, to jest to: „twierdzą byli współpracownicy Marcinkowskiego, którzy chcą zachować anonimowość”. A tu jest najlepsze: „Wszyscy przez lata wiedzieli, że Marcinkowski donosi na nas. Nie można było jednak nic z tym zrobić, bo on był szefem. Nie było więc do kogo się poskarżyć, bo w milicji obowiązywała droga służbowa. Gdybyśmy chcieli się poskarżyć, to nasze skargi trafiłyby na biurko Marcinkowskiego – twierdzi jego były podwładny, który bojąc się o własne życie, nie chce ujawnić swojej tożsamości”. Widzisz to, Blacha? Przecież to jest taka bzdura, że ludzie muszą pękać ze śmiechu, jak to widzą. Skargi na mnie trafiłyby na moje biurko? A ile skarg na mnie wysmarował ten dupek, no jak mu tam...

– Kowalski. – Blaszkowski podrzucił nazwisko karierowicza i kanalii, człowieka, który spędził w wydziale tylko pół roku, ale zdążył wszystkim napsuć krwi, zanim dostał kopa w górę i udało się go wysłać do Warszawy.

– No właśnie, Kowalski. Przecież ten gnojek pisał na mnie, na Brodziaka, na Olkiewicza i na ciebie pewnie też.

I co? Któreś z tych pism trafiało do mnie? Żadne. Wszystko szło nawet ponad sekretariatem pułkownika Żyty, bo ten szczur wiedział, że gdyby te donosy wpadły Żyt niemu w ręce, to ten wsadziłby mu je w dupę i podpalił.

Błaszowski wstał z krzesła i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Jak zwykle, gdy myślał nad czymś ważnym, musiał przez chwilę pochodzić. Koledzy doskonale znali ten jego sposób i nikt nie próbował mu w tym łażeniu przeszkadzać. Tym bardziej Fred, który wiedział, że w kryzysowych sytuacjach Blacha jest nieoceniony.

– I co myślisz? – zapytał w końcu Marcinkowski, gdy Mariusz usiadł znów za stołem.

– Musimy przeprowadzić kontratak.

– W jaki sposób?

– Najpierw konferencja prasowa, na której zdementujemy te brednie. Trzeba ludziom powiedzieć prawdę. A później odpowiemy skurwysynom we właściwy sposób.

– W jaki?

– W taki, w jaki potrafimy najlepiej.

– Czyli?

– Znajdziemy tych wszystkich, którzy stoją za tym atakiem na ciebie. To znaczy nie na ciebie, na nas wszystkich. Znajdziemy gnoi i powiesimy za jaja na zamkowej wieży, tak żeby wszyscy widzieli i słyszeli ich jęk.

– To jest jakieś rozwiązanie. – Marcinkowski wyprostował się w fotelu, uśmiechając się z zadowolenia. Blaszkowski swoim zdecydowaniem wtoczył weń sporą dawkę optymizmu, a poza tym dał mu to, co w trudnych sytuacjach potrzebne jest prawdziwym wojownikom. Wyznaczył mu jasny i prosty cel – zniszczyć wroga za wszelką cenę.

Wydobył z kieszeni telefon komórkowy i szybko odnalazł właściwą osobę w książce kontaktowej. Przycisnął zieloną słuchawkę i połączył się po pierwszym sygnale. Widać Martyna czekała na ten telefon.

– Możesz tu do mnie zajść? – zapytał.

– Już idę – odpowiedziała i w tym momencie drzwi do pokoju się otworzyły. – Ja już byłam tu w sekretariacie, ale pani Zosia nie kazała wchodzić.

Marcinkowski machnął ręką.

– Siadaj, bo wymyśliliśmy z Blachą, że...

– Ja właśnie w tej sprawie.

– Co jest? – zapytał Blaszkowski.

– Przed chwilą byłam u komendanta i on powiedział mi, że nie mam na razie żadnych konferencji urzędzać ani żadnych oświadczeń. Kompletna cisza na łączach.

– Pójdę do niego. – Fred podniósł się z fotela.

– Teraz jest u niego ten poseł, taki mały, łysy, no, Chwaliszewski. Jak wychodziłam, to tam się wtaczał, i wtedy komendant powiedział, że nie ma go dla nikogo, ale jeszcze zdążyłam usłyszeć.

– Co takiego?

– Ten łysy gnojek, wchodząc, mówił, że chyba komendant nie będzie trzymał u siebie donosiciela, który hańbi mundur...

– Niech go jasna cholera weźmie! – jęknął Blaszkowski, a Fred opadł znów na fotel. Zrozumiał, że jeśli komendant przyjmie argumenty tego faceta, to w zasadzie już po nim, bo tego paskudztwa, które go teraz zaleje, nie będzie mógł zmyć już nigdy. Bo poseł był z opozycji. Tej samej, która wkrótce mogła przejąć władzę w kraju, a przejęcie władzy oznaczało zmiany. Także w policji.

Godzina 10.30

Aneta położyła na stoliku swoją komórkę i włączyła nagrywanie.

– Jak masz na imię?

– Kalina – odpowiedziała leżąc na szpitalnym łóżku blondynka o wielkich zielonych oczach.

– A skąd jesteś?

– Z Doniecka. Właściwie to ze wsi pod Donieckiem.

– A to duże miasto?

– Wielkie.

Aneta przez chwilę próbowała wyobrazić sobie mapę Europy, ale za nic nie potrafiła odnaleźć tego Doniecka. Nawet nie zapytała o to, żeby nie wyjść na kompletną ignorantkę. Zresztą jaka to w tej chwili różnica? Naj-

istotniejsze jest, że dziewczyna dostała się tutaj ze Wschodu i... No i właśnie, co dalej?

– A skąd się wzięłaś w szpitalu?

Kalina spojrzała w lewo w kierunku okna. Na niebie pojawiało się coraz więcej nabrzmiąłych deszczem, ciemnych chmur. W każdej chwili mogło zacząć padać. Po tych ostatnich ciepłych dniach nadchodziła w końcu prawdziwa jesień. Ale dziewczyna nie zastanawiała się nad pogodą. Zagryzłszy wargi, zbierała myśli, by po chwili rozpocząć opowieść:

– Uciekłam z baraku.

– Jakiego baraku?

– Nie wiem, co to za barak ani gdzie jest. Jest gdzieś w lesie.

– Ktoś w tym baraku cię zamknął, znaczy uwięził?

– Tak. To byli ludzie, którzy nas przywieźli do Polski. Nas, znaczy mnie i inne dziewczyny...

Kalina znów przerwała. Łzy napłynęły jej do oczu. Policjantka podała jej paczkę chusteczek.

– Wyjazd do Polski do pracy załatwiłam przez biuro podróży z Kijowa – powróciła do opowieści, gdy wytarła już oczy i wysmarkała nos. – Miała być praca kelnerki w restauracji. Dobrze płatna praca, a dla osób, które znają angielski, jeszcze miała być większa pensja. Ja znam angielski i jak sobie przeliczyłam, ile zarobię, to wyszło mi, że w pół roku zapracuję na mieszkanie i jeszcze sporo zostanie. No to zgłosiłam się do biura, a tam dowiedziałam się, że muszę zapłacić pięćset euro za transport i wszystkie formalności. Co miałam robić? Pożyczyliśmy pieniądze od

całej rodziny, żeby zainwestować, i udało się, bo niedługo załatwili paszport i wizę. No to pojechałam do Polski bussem razem z kilkoma innymi dziewczynami. Miałyśmy jechać do rajy, a przywieźli nas prosto do piekła.

Najpierw przez kilka dni w tym baraku gwałcili nas wszyscy ci, którzy nas pilnowali. Gwałcili ciągle. Pili i gwałcili, dwóch trzech naraz, i znowu. Wchodzili do naszego pokoju, gdzie spałyśmy, zabierali dziewczyny, gwałcili je i potem przychodzili po następne i tak w koło...

– Przerwała na chwilę. Aneta nie poganiała jej. Wyczuła, że dziewczyna chce wyrzucić z siebie cały ten brud. –

Widziałaś kiedyś film porno? – zapytała w końcu policjantkę.

Aneta pokiwała głową. Każdy kiedyś widział.

– Trzech facetów bierze jedną dziewczynę. Każdy z innej strony. Czwarty wszystko filmuje. A dziewczyna musi udawać, że jest jej przyjemnie. Bo jeśli nie będzie udawać, to ją zaraz pobiją...

– To film, a te dziewczyny to aktorki...

– Ta dziewczyna to ja. Ta dziewczyna to Larysa albo Lena. Wszystkie byłyśmy takimi panienkami z pornosów. Codziennie grałyśmy w tych filmach, które oni nagrywali. A potem kazali nam je oglądać i straszili, że jak któraś będzie chciała uciec...

– Co ci gnoje...

– Powiedzieli, że filmy wrzucą na nasze konta w necie.

– Jak to na wasze konta?

– Musiałyśmy im dać wszystkie hasła do naszych kont, skrzynek pocztowych i telefonów. Każda z nas co dwa,

trzy dni musiała przy nich wysyłać maila albo esemesa do rodziny, że wszystko jest w porządku, że pracujemy i tak dalej. Porobili nam też zdjęcia przy drodze, jak stoimy w tych kurewskich ciuchach.

– Na tej drodze do Wroniek?

– No tam też pracowałyśmy. Po tym początkowym czasie, jak nas gwałcili, potem nagle przestali. Nic się nie działo przez kilka dni, aż doszliśmy do siebie, a później wyjaśnili, w czym rzecz.

– Chodziło o obsługiwane kierowców?

– Tak.

– Ile godzin musiałyście tam stać?

– Mniej więcej od dziesiątej rano do wieczora, aż się zrobiło ciemno.

Bydlaki, pomyślała Aneta, patrząc na podkrążone i przemęczone oczy dziewczyny.

– Mężczyzna, który cię przywiózł na komisariat w Szamotułach, powiedział policjantowi dyżurnemu, że zatrzymałaś jego samochód na drodze w okolicach miejscowości Klempicz. Czy to się zgadza?

Kalina wzruszyła ramionami.

– Nazwy miejscowości nie znam. Widziałam z daleka tylko domy z czerwonej cegły. Wybiegłam na drogę i zatrzymałam pierwszy samochód, który nadjeżdżał, i powiedziałam kierowcy, żeby mnie wiozł na policję.

– Jeślibyśmy zawieźli cię w to miejsce, w którym wsiadałaś do tego auta, to czy umiałabyś pokazać mniej więcej, gdzie jest ten barak, w którym was

przetrzymywano?

– Mniej więcej kierunek chyba bym pokazała. Ten nasz barak to taka buda w środku lasu. I tam jeszcze jakieś szopy stały, a wokół tylko drzewa. Jak uciekłam, to wiedziałam, że muszę iść na południe, że tam dokądś dojdę, znaczy do ludzi, bo jak nas wozili na drogę, to zawsze patrzyłam, w jakim kierunku nas wiozą, na słońce patrzyłam, i zawsze to było południe.

– To już coś. – Aneta uśmiechnęła się pod nosem. Przynajmniej jest miejsce i mniej więcej kierunek poszukiwań. Dobrze, że ta Kalina jest taka bystra. Gdyby poszła na północ, to weszłaby w kompleks lasów Puszczy Noteckiej i mogłoby się zdarzyć, że i przez tydzień nie natrafiłaby na ludzi. Jednym słowem, udało jej się znaleźć odpowiednią drogę ucieczki.

– Jak ci się udało uciec?

Dziewczyna znów spojrzała w okno. Deszcz właśnie zaczął padać, a pierwsze krople uderzały w szybę, by rozpocząć swój wyścig w dół. Zrobiło się szaro, jakby to było już popołudnie.

– Zabiłam go – powiedziała pełnym energii, zdecydowanym głosem. Pierwszy raz podczas tej rozmowy mówiła z taką mocą i przekonaniem.

– Kogo zabiłaś?

– Tego bydlaka, Wienię.

– Kto to jest Wienia?

– Powinnaś zapytać, kto to był Wienia. Wienia to był nikt. To był nędzny robał, którego powinno się rozdeptać. Nie zasłużył na to, żeby żyć, no i ja to zrobiłam.

Poderżnęłam mu gardło od ucha do ucha jego własnym nożem, a potem uciekłam. I wiesz, ja wcale tego nie żałuję. Jakby było trzeba, to zabiłabym go drugi raz i trzeci, i dziesiąty.

– Co on robił?

– To był szef tych bandziorów, którzy nas więzili. To on razem z Fiodorem kierowali tą całą bandą specnazowców i to on każdą dziewczynę zgwałcił pierwszy. Mnie też.

– Specnaz? – powtórzyła nazwę, którą posłużyła się Kalina, żeby nie było żadnych wątpliwości.

– No tak. Oni często mówili, że wszyscy są ze specnazu. Prócz Matrosa, bo on był z morskiej piechoty.

Aneta skinęła głową. To potwierdziło jej przypuszczenia.

– Musiałaś przeżyć prawdziwe piekło. – Zasugerowała odpowiedź, choć wiedziała, że nie powinna. Kalina powinna mówić sama, ale Aneta nie potrafiła się zdystansować.

– To było coś potwornego. Jak obóz koncentracyjny.

– Nie mogłaś już tego wytrzymać – próbowała podpowiedzieć, ale Kalina pokręciła głową, a potem, patrząc policjantce prosto w oczy, powiedziała, wolno wymawiając każdy wyraz:

– Człowiek, którego dręczą, może wiele wytrzymać, ale w pewnej chwili myśli już tylko o jednym. Kiedy przekraczasz granice cierpienia, to przestajesz myśleć o ucieczce czy o samobójstwie. Najważniejsze staje się jedno. Najważniejsza jest zemsta.

– Chciałaś się zemścić za to, co wam zrobił ten Wienia?

– Nie, chciałam się zemścić za to, co zrobił mnie. I się zemściłam...

– Chyba na dzisiaj już wystarczy. – Aneta odwróciła się. W drzwiach stał ten sam lekarz, którego poznała wczoraj. Uśmiechał się zadowolony, jakby właśnie polska reprezentacja strzeliła gola Niemcom.

– Skoro pan tak mówi. – Podniosła się z krzesła, a komórkę włożyła do kieszeni swojej kurtki.

– Przyjdę jutro – powiedziała, chwytając rękę pacjentki. Ta odwzajemniła uścisk i uśmiechnęła się lekko, po czym przymknęła oczy. Widać, że rozmowa ją zmęczyła i niedawne przeżycia dawały o sobie znać.

Policjantka wyszła na korytarz, a doktor Ciesielczyk zamknął drzwi od izolatki.

– Prawie nie poznałem pani w tym mundurze – stwierdził, taksując ją wzrokiem. Aneta też mogłaby się nie poznać, bo mundur to nie był jej styl. Ale dziś rano nie miała innego wyjścia. Gdy tylko przyszła do pracy, otworzyła szafę w swoim pokoju i wydobyla z niej wiszący na wszelki wypadek komplet mundurowy, czyli spodnie, koszulę, bluzę i jeszcze buty za kostkę. W tych szerokich spodniach bojówkach czuła się, jakby ktoś ubrał ją w worek po ziemniakach, ale w spódniczce mundurowej czuła się jeszcze gorzej. Ona należała do tego typu dziewczyn, dla których podstawą wszystkich kreacji były dzinsy i t-shirt. A mundur zakładała tylko na specjalne okazje. Dzisiaj nie było wyjścia, bo nie miała nic innego do ubrania, a chodzenie trzeci dzień w motocyklowych

ciuchach wydawało się lekką przesadą.

Gdy tylko założyła mundur, do pokoju wpadł Blaszkowski.

– Słyszałaś już o aferze z Fredem?

– Słyszałam, ale to jakieś bzdury. Przecież Marcinkowski to najporządniejszy facet na świecie.

– I właśnie dlatego mu dowalili. Ja idę teraz do niego, a ty...

– Chciałam jechać do szpitala.

– Do szpitala? A coś ci się stało?

– Nie, nic tylko w szpitalu MSW jest jedna dziewczyna. Przywieźli ją z Szamotuł. Może to tirówka, co uciekła...

Blacha machnął ręką.

– Dobra, jedź i rób swoje. Tu się do niczego nie przydasz. Nie potrzebujemy chóru płaczek z greckiej tragedii.

– *Jakich płaczek? Że niby kobiety to tylko umieją ryczeć, jak coś się złego dzieje...* – *Nie dokończyła, bo Blaszkowski widząc, co się święci, machnął ręką i szybko zamknął drzwi.*

Pojechała więc do szpitala w tym mundurze i oczywiście Ciesielczyk musiał to natychmiast zauważyć.

Niemal machinalnie wygładziła sobie fałdy, kompletnie zresztą niewidoczne na mundurowej bluzie, ale tylko z prawej strony. Z lewej nie mogła, bo trzymała w niej

kurtkę. Pomyślała przez chwilę, że w zasadzie to przecież może przełożyć kurtkę z ręki do ręki...

Co za idiotka ze mnie, uświadomiła sobie, że zachowuje się kompletnie irracjonalnie. Wszystko przez tego lekarza, który jakoś tak dziwnie się uśmiechał. Trzeba stąd spadać, jak najszybciej, bo tam w komendzie dzieją się ważne rzeczy. A właściwie to Blacha miał rację. Oni tam sobie doskonale poradzą. Powinna pojechać do Biernata i z nim pogadać o tym obozie dla niewolnic, bo być może te dziewczyny są tam cały czas jeszcze przetrzymywane...

– To straszne, jak ludzie mogą traktować innych – przywołał ją do rzeczywistości głos lekarza. – Wydawałoby się, że niewolnictwo w dwudziestym pierwszym wieku to już historia, a tu niewolnica leży w naszym szpitalu. W Afganistanie sprzedawanie córek, jeszcze dziewczynek, starszym, bogatym mężczyznom to powszechna praktyka.

Spojrzała na niego zdumiona. Skąd mógł wiedzieć, o czym właśnie myślała?

– Kobiety wykorzystywane są przez bezwzględnych mężczyzn...

– Kobiety wykorzystywane są przez bezwzględnych ludzi. Płeć nie ma tu żadnego znaczenia. Kobiety potrafią być równie brutalne i bezwzględne jak mężczyźni. Okrucieństwo nie ma płci, szanowna pani. A właściwie, pani sierżant Aneto...?

– Aneta wystarczy.

– Miło mi, Aneto...

– Tam gdzieś trzymają ich więcej – weszła mu w słowo, bo naraz jej myśli poszybowały w kierunku skraju Puszczy Noteckiej. Znała doskonale to miejsce, w którym Kalina zatrzymała przypadkowe auto. Jeździła tam od czasu do czasu z ojcem na grzyby. Wyobraziła sobie więc, że stoi na skraju lasu i się rozgląda wokół. Droga w tym miejscu jest szersza od tej normalnej, wiodącej dalej do Czarnkowa. Od Piotrowa do Klempicza zbudowano jeszcze w latach siedemdziesiątych poszerzoną szosę i wycięto kilkadziesiąt hektarów lasu sosnowego, bo miała tu powstać elektrownia atomowa. Ale elektrownia nigdy nie powstała, pozostała tylko droga, szeroka droga...

– Co? Kogo trzymają?

– Te dziewczyny. – Nagle odwróciła się do lekarza i spojrzała mu w oczy. – Ma pan dostęp do jakiegoś porządnego komputera z porządnym internetem?

Popatrzył na nią zdumiony, ale gdy dostrzegł dziwne błyski w jej niebieskich oczach, zrozumiał, że sprawa jest poważna.

– Idziemy do Karola.

– Kogo?

– Karol to nasz informatyk, który się tu marnuje na własne życzenie.

Ruszył szybko w głąb korytarza, a ona posłusznie pobiegła za nim.

Godzina 11.10

– W tej sytuacji, w imieniu środowisk patriotycznych i dawnych kombatantów, którzy przelewali swoją krew w walce o wolność, oczekujemy od pana komendanta zdecydowanych działań.

– Czyli jakich? – zapytał komendant wojewódzki, nadinspektor Henryk Walkowiak, patrząc z nieukrywaną niechęcią na reprezentanta kół patriotycznych, sześćdziesięcioletniego mężczyznę o okrągłej twarzy, przyozdobionej wąsem à la Piłsudski, który dla podkreślenia swoich ścisłych związków z marszałkiem założył na głowę szarą czapkę maciejówkę z legionowym orzełkiem. Ten gość, jeśli gdzieś krew przelewał, to zapewne w punkcie poboru krwi w jego przychodni rodzinnej, bo na żołnierza na pewno nie wyglądał, pomyślał policjant, który znalazł się w dość niezręcznej sytuacji. Lubił Marcinkowskiego i szanował go nawet, ale przyparty do muru cóż mógł zrobić? Musiał podjąć jakieś działania.

– Nas interesuje również jeszcze jedna kwestia, panie komendancie – mówił dalej przedstawiciel przelewających krew kombatantów, Eligiusz Maćkowski. – Jak to się mianowicie stało, że ów człowiek o tak haniebnej przeszłości nie został w porę zweryfikowany przez IPN i przez tyle lat mógł tu działać bezkarnie. No przecież nie wiadomo, ile ktoś taki mógł narobić szkód?

– I ilu ludzi mógł wydać bezpiecie! – poparła go bardzo represjonowana politycznie była działaczka Związku Zawodowego Solidarność, gruba jak beczka śledzi Sandra Król, która, co prawda, nie była internowana w czasach

pierwszej Solidarności, bo wówczas jeszcze jako małaletnia do związku nie mogła należeć, ale w osiemdziesiątym dziewiątym po wyborach czerwcowych natychmiast się zapisała i nawet współorganizowała strajk w Modenie, który był tak skuteczny, że doprowadził do upadku zakładu i dzięki któremu wszystkie strajkujące pracownice straciły pracę, poza działaczką. Ta już na swoje szczęście była wtedy na etacie związkowym w zarządzie regionu związku. – Ile porządnych rodzin straciło swoich bliskich zamęczonych w ubeckich katowniach? Przez takich ludzi jak ten... kapuś – tu pomachała gazetą, na której widoczne było zdjęcie Freda Marcinkowskiego – przez takich ludzi jesteśmy dziś tu, gdzie jesteśmy, ale to się niedługo zmieni. Tacy niktzemnicy wreszcie znajdą się na śmietniku historii.

– Ale jakich działań państwo oczekujecie? – zapytał komendant nieco zniecierpliwiony tą gadaniną. Był zły, że w ogóle musiał z tymi ludźmi rozmawiać. Zły na swoją sekretarkę, że nie dość dzielnie broniła dostępu do jego gabinetu i zamiast natychmiast odesłać ich do któregoś z podwładnych odpowiedzialnych za kontakty z prasą, pozwoliła czekać w sekretariacie. Pół biedy, gdyby sobie tam czekali choćby i cały dzień, ale do tego jeszcze przylazł ten łyсы dupek, poseł Chwaliszewski. Gdy wychodził ze spotkania z komendantem, dostrzegł siedzących na krzesłach niepodległościowych działaczy, którzy w dalszym ciągu walczyli o niepodległość niepodległej, i otworzywszy szeroko drzwi od gabinetu, zaprosił ich do środka.

– O, proszę, panie komendancie! – powiedział, wskazując na delegatów zatroskanych losem policji przesiąkniętej bolszewicką agenturą. – Przedstawiciele środowisk patriotycznych także są zaniepokojeni. –

Wskazał na wchodzącego przodem księdza Sebastiana Wilgę, znanego tropiciela agentów i członków ich rodzin, który co niedziela wygłaszał z ambony żarliwe kazania piętnujące wszystkich, którzy jeszcze nie tak bardzo kochali ojczyznę, jak ci, którzy ją naprawdę kochali i jednocześnie słuchali jedynie słusznej katolickiej rozgłośni. – Im również tak jak mnie powie pan, że w chwili obecnej niewiele da się zrobić?

– Żądamy podjęcia natychmiastowych działań! – zawołał ksiądz Wilga, siadając przy stole. Pozostali delegaci również zajęli miejsca, a komendant nie miał innego wyjścia, jak poprosić sekretarkę o kawę i ciastka.

Dziesięć minut później patrioci wyczerpali już cały arsenał bogoojczyźnianych argumentów, a Sandra Król wepchała do pomalowanych czerwoną szminką ust ostatnie ciastko z pełnego jeszcze kilka minut temu talerza i popiła je resztą kawy.

– Oczekujemy, że ten wrzód zostanie natychmiast wycięty – stwierdził zadowolony i najedzony patriota Eligiusz Maćkowski.

– Czyli jak, mam go kazać rozstrzelać?

– To by było najprostsze rozwiązanie – stwierdził ksiądz. – Ale taki człowiek nie może się wymknąć tak łatwo sprawiedliwości. Musi stanąć przed sądem i zostać w majestacie prawa skazany.

– Ale wiadomo, że z sądami jest różnie. – Legionista Maćkowski ze smutkiem pokiwał głową, spoglądając na księdza. – Jeszcze nie wszyscy sędziowie rozumieją, że dobro narodu musi być ponad prawem.

– Wola suwerena jest najwyższym prawem – zgodził się z nim duchowny. – I w związku z tym żądamy, żeby ten człowiek przestał pełnić swoją funkcję i w trybie dyscyplinarnym został usunięty z szeregów policji i przestał swoimi brudnymi łapami hańbić czysty mundur polskiego policjanta.

Komendant postanowił zaatakować. Miał już dość tych bredni i tych oszołomionych nienawiścią „prawdziwych” patriotów, dlatego musiał przejść do ofensywy. Podniósł się ze swojego fotela i podszedł do siedzącego najbliżej księdza. Uścisnął mu prawicę i zdecydowanie nią potrząsnął.

– Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję za ten jakże ważny głos przedstawicieli środowisk szczerze zatroskanych losem kraju, ludzi, dla których nasza kochana ojczyzna jest najważniejsza. Zgadzam się, że razem musimy raz na zawsze oczyścić tę stajnię z tego Augiasza, co się jeszcze ukrywa w szeregach. Ale my sobie poradzimy, jeśli będziemy czuli za naszymi plecami oddech tych, którym leży na sercu dobro naszej kochanej... – tu chciał dodać słowo ludowej, które dość mocno wryło mu się w pamięć w czasach młodości i służby w szeregach MO, ale na szczęście w porę ugryzł się w język... naszej kochanej, narodowej ojczyzny. – Podszedł do drzwi, otworzył je i wskazał delegatom wyjście. – Wdzięczny będę za wskazówki, bo w tej ciężkiej policyjnej pracy nie zawsze

człowiek potrafi utrzymać właściwy kurs...

Delegaci wyszli zadowoleni, że ich misja udała się tak znakomicie, a komendant, dostrzegłszy za ich plecami sylwetkę inspektora Seweryna Barszczaka, mierzącego nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów łysiejącego blondyna o czerwonej twarzy, ozdobionej dwoma dodatkowymi podbródkami, i z wielkim brzuchem, potrafiącym naraz pomieścić przynajmniej dziesięć piw, machnął dłonią w jego kierunku. Ten z godną podziwu gracją szybko przecisnął się między działaczami zakładającymi kurtki i wszedł do gabinetu komendanta.

– Co to za cyrk? – spytał, uśmiechając się lekko. Komendant wzruszył ramionami.

– Chcą, żebyśmy ukrzyżowali Marcinkowskiego.

– Banda idiotów.

– Może i idiotów, ale coś trzeba będzie z tym zrobić. – Komendant wrócił za swoje biurko i sięgnął do szuflady. Wydobył z niej paczkę marlboro i niewielką metalową popielniczkę. W całym budynku, tak jak w każdym urzędzie, obowiązywał zakaz palenia papierosów, ale nie mógł dotyczyć komendanta, bo kto niby miał mu zabronić.

– Zapalisz? – zapytał, wyciągając papierosy w kierunku podwładnego. Ten pokręcił głową.

– Przed chwilą byłem na papierosie na podwórku.

– I co? – zapytał komendant, bo doskonale wiedział, że przy popielniczce na dziedzińcu ludzie rozmawiają o różnych sprawach i tam właśnie można dowiedzieć się, co myślą naprawdę.

– Nikt nie wierzy w winę Marcinkowskiego. – W głosie

Barszczaka dało się słyszeć pewną nutkę zawodu. Inspektor nigdy nie przepadał za Fredem i komendant dobrze wiedział, że po cichu marzył, żeby zająć jego miejsce. Nie miał na to najmniejszych szans, bo jego dotychczasowe osiągnięcia nie były oszałamiające. Miał jednak pewną ważną cechę. Był kolegą komendanta jeszcze z czasów szkoły oficerskiej i obaj pochodzili z Lublina. Walkowiak, gdy został komendantem wojewódzkim, zabrał ze sobą do Poznania kilku swoich najbliższych współpracowników, między innymi właśnie Barszczaka. Ten liczył, że zostanie naczelnikiem dochodzeniówki, ale szybko okazało się, że Marcinkowski jest nie do ruszenia. Miał na koncie zbyt wiele sukcesów śledczych, żeby odwoływać go bez wyraźnych powodów. No ale teraz sytuacja zmieniła się diametralnie.

– No bo Marcinkowski nie jest winny. – Komendant pokiwał głową. – Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. To przyzwoity facet. – Barszczak wiedział, ale jakie to miało znaczenie.

– Ale gadają też, że Marcinkowski poleci, bo góra się boi i każe go poświęcić.

Komendant spojrział na telefon. Jak dotąd nikt do niego nie zadzwonił w tej sprawie, ale dobrze wiedział, że to tylko kwestia czasu. Komendant główny nie będzie się długo zastanawiał. Teraz jest czas przedwyborczy, rozkręca się kampania i nikt nie potrzebuje jakiegoś skandalu w policji. Najrozsądniej byłoby więc uprzedzić cios, który wprowadzi góra.

– Najlepiej by było, jakby Warszawa dostała już na tacy rozwiązanie problemu – powiedział do siebie komendant,

a Barszczak natychmiast wyczuł swoją szansę.

– Główny może się tylko ucieszyć, jak się dowie, że u nas już jest posprzątane.

– No właśnie, trzeba sprzątnąć ten bałagan, a potem można powiedzieć coś do kamery.

– Sam chcesz wystąpić? – zdziwił się inspektor. Znał doskonale swojego szefa i wiedział, że ten nie zawsze potrafi składnie mówić do ludzi, a co dopiero do kamery. Za bardzo w takich sytuacjach się stresował i czasami wychodziło to naprawdę żałośnie.

– Zwariowałeś? Niech gada ta, no, jak jej tam...

– Urbanek, Martyna Urbanek – przypomniał jej nazwisko Barszczak i mimowolnie oblizał spierzchnięte wargi. Przez głowę przeleciała mu natychmiast myśl, że jeśli zastąpi Marcinkowskiego, to Martyna zostanie jego podwładną, a to może otworzyć przed nim niesłychane możliwości.

– Pani poprosi inspektora Marcinkowskiego – rzucił do słuchawki komendant, a jego lubelski kolega wrócił do rzeczywistości, aczkolwiek niechętnie, bo właśnie w myślach rozkładał Martynę na biurku, chwilowo jeszcze należącym do Marcinkowskiego.

Właściciel biurka i obecny przełożony młodszej aspirant Martyny Urbanek wszedł do pokoju i bąknąwszy coś pod nosem, podszedł do konferencyjnego stołu, odsunął krzesło i usiadł, oparłszy dłonie o blat. Spojrzał przed siebie na ścianę naprzeciwko, na której wisiał obraz w grubej złotoczonej ramie, przedstawiający zamyślonego marszałka Piłsudskiego. Przez chwilę miał wrażenie, że

sędziwy marszałek uśmiecha się pod wąsem. A może się z niego śmieje? Kiedyś w tym miejscu wisiał portret Lenina, ale wódz rewolucji, który przegrał wojnę z Piłsudskim, także tu na ścianie w gabinecie komendanta policji przegrał rozgrywkę o miejsce.

– Ja wiem, że sprawa jest szyta grubymi nićmi i nikt z nas nie wierzy w te gazetowe brednie – stwierdził Walkowiak, spoglądając na leżącą na blacie biurka gazetę.
– Co nie, Seweryn?

– Oczywiście – potwierdził zaraz Barszczak. – Takich skurwysynów, co piszą takie bzdury, trzeba by od razu wsadzać do więzienia.

– No właśnie, ale póki co na razie się nie da, a ty wiesz, Fred, że my musimy jakoś zareagować. Znaczą się konferencję zrobić czy jak. No, coś powiedzieć tym pierdolonym pismakom.

– Trzeba im powiedzieć, że to wszystko jest nieprawda – stwierdził Fred, ale bez większego przekonania. Przemysłał już wszystko dokładnie i wiedział, co zrobi komendant. On zawsze odkładał sprawy na bok, żeby się jakoś same załatwiły, więc nie spodziewał się, żeby stanął za nim murem ani żeby przyznał rację oszczercom. Zawsze istniało prostsze rozwiązanie.

– Ja tak sobie myślę, Fred, że zanim sprawa nie przycichnie, a wiesz, teraz mamy wybory i w ogóle zamieszanie w polityce, to może najlepiej, żebyś ty poszedł na urlop. Posiedzisz, odpoczniesz, może gdzieś wyjedziesz do Egiptu czy gdzieś na olinkluziwa jakiegoś, wódeczki się napijesz, pogrzejesz na słończku, a tu wszystko się uspokoi... No, Fred, co ty na to?

Sprawdziłem, że za zeszły rok masz jeszcze czternaście dni. Bierz więc ten urlop i odpoczywaj, a my tu tymczasem zrobimy porządek. I sam rozumiesz, że my z tobą na dobre i na złe, tylko niech ten hałas przycichnie.

– Kto mnie zastąpi?

– A jak ci się wydaje?

– Najwięcej doświadczenia ma Blaszkowski – stwierdził Marcinkowski, ale już wyczuł, że nie da rady przeforsować Mariusza na swoje miejsce. Komendant uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Blaszkowski, owszem, dobry gliniarz, ale za młody. Seweryn pokieruje wydziałem pod twoją nieobecność. Seweryn sobie poradzi jako p.o. A ty później wrócisz i... no wiesz...

Seweryn uśmiechnął się zadowolony, ale zaraz zorientował się, że uśmiech w tej sytuacji jest nie na miejscu i znów przybrał zatroskany wyraz twarzy.

– No to jadę do mojej puszczy na ryby – rzucił Marcinkowski. Wstał z krzesła i przypadkowo spojrzał na marszałka. Przez sekundkę wydało mu się, że naczelnik jednak się uśmiecha. Drwiąco.

Rozdział V

Godzina 11.30

Martyna włożyła pod pachę deskę reporterską z kartką przyklejoną metalowym spinaczem. Otworzyła drzwi prowadzące z budynku komendy na ulicę. Nie wyszła jednak na zewnątrz, bo deszcz, który padał od jakiegoś czasu, przemienił się w prawdziwą ulewę. Po drugiej stronie ulicy stał wóz telewizji publicznej. Nieco dalej podobny, jednak już na pierwszy rzut oka bardziej nowoczesny, należący do TVN-u. Gdyby nie pogoda, kamery telewizyjne stałyby rozstawione na chodniku przed wejściem do policyjnego budynku, jednak teraz ekipy wołały siedzieć w ciepłych wnętrzach wozów i czekać na sygnał z komendy. A wieści jak zwykle w takich sytuacjach nie nadchodziły w odpowiednim czasie, ale spóźniały się, nie mając najmniejszego szacunku dla zaplanowanych w ramówkach godzin emisji programów informacyjnych.

Stojąc w przejściu, pomachała w kierunku najbliższego auta, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Nie chce im się ruszyć z miejsca w taki deszcz – odezwał się za jej plecami jakiś głos. Odwróciła się. Stał za nią starszy posterunkowy o rumianej twarzy

i sympatycznym uśmiechu. Wartownik złapał za drzwi i przytrzymał je, by mogła wejść do środka. – Mam iść i ich zawołać, pani aspirant? – zaoferował swoją pomoc.

Spojrzała na niego. Ubrany był w zwykłą bluzę olimpijkę, a na głowie miał czapkę bejsbolówkę.

– Daj spokój, zaraz się cały przemoczysz i wylądujesz z gripą w łóżku.

– Przydałoby się kilka dni poleżeć i odpocząć.

– Odpoczniesz na emeryturze. A za pomoc dziękuję. Mamy dwudziesty pierwszy wiek i nie musimy wysyłać gońca z informacjami. – Sięgnęła do kieszeni po telefon, szybko znalazła pierwsze z brzegu z jakichś trzydziestu nieodebranych połączeń i przycisnęła słuchawkę. Od godziny nie odebrała ani jednego połączenia, bo czas ten spędziła na redagowaniu oświadczenia dla mediów. Musiała wszystko dobrze przemyśleć, żeby komunikat wypadł jak najlepiej. Tym bardziej że komendant dał jej odpowiednie wytyczne.

– No wiesz, ma być tak, żeby wiedzieli, że stoimy murem za Marcinkowskim, ale też, żeby wiedzieli, że nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności za jakieś dawne sprawy, które nas nie dotyczą, bo my przecież dawno nie jesteśmy Milicją Obywatelską. To znaczy się, nigdy nie byliśmy. Jesteśmy policja, a nie milicja. Rozumiesz, w czym rzecz? – zapytał jeszcze na koniec, żeby się upewnić, że wiedziała, co ma powiedzieć mediom. Wiedziała aż za dobrze. Stary chciał w razie czego spuścić Marcinkowskiego w kiblu. Faceta, który tyle dobrego

zrobił w policji, a wcześniej w milicji, człowieka, który przez całe życie kierował się zasadami etyki i był dla wielu wzorem moralności, teraz chciano utopić bez zmrżenia oka, tylko dlatego że jakieś świnię wysmażyły o nim paskudny artykuł zawierający informacje wyssane z palca.

Zanim zaczęła pisać to cholerne oświadczenie, weszła jeszcze do Marcinkowskiego. W sekretariacie siedziała zapłakana pani Zosia i smarkała w chusteczkę. Drzwi do pokoju inspektora były szeroko otwarte. Na widok Martyny uśmiechnęła się lekko, a potem skinęła głową, gdy dziewczyna wskazała otwarty gabinet.

Weszła do pokoju i zaraz się zatrzymała. Spodziewała się zobaczyć Marcinkowskiego, a tymczasem przy jego stole siedział Blaszkowski, a naprzeciwko jej chłopak, komisarz Rudnicki. Obaj, milcząc, wpatrywali się w szefa, który pakował do kartonu po papierze do drukarki swoje rzeczy. Atmosfera w pokoju była gęsta jak powietrze w szatni piłkarskiej Lecha po przegranym meczu.

– O, Martyna, wpadłaś na pogrzeb? – Fred uśmiechnął się radośnie na jej widok. – Chodź, siadaj. – Wskazał krzesła przy stole.

– Chciałam zapytać... – Odwróciła się i wskazała palcem na otwarte drzwi. Marcinkowski wzruszył ramionami.

– Tu sami swoi, możesz śmiało mówić.

Podeszła bliżej biurka i przystanąła obok, jak uczennica wyrwana do odpowiedzi przez nauczyciela.

– No więc kazali mi przygotować komunikat dla prasy.

– Wiadomo, jak to w kryzysowej sytuacji. – To nie była informacja, która mogłaby kogokolwiek w tym pokoju zdziwić.

– Ale chodzi o to, że oni chcą umyć ręce. To znaczy mam takie wrażenie, że chcą pana poświęcić dla własnego spokoju.

– Oni? – zapytał Fred i zaraz się domyślił. – Komendant i ten jego przydupas Barszczak. Ha, ha! No przecież to całkowicie rozumiałe. Chronią swoje tyłki.

– To skurwysyństwo. Firma powinna stanąć murem za panem – odezwał się Rudnicki, a Martyna uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że rozumie dobrze jej rozterki i, co ważniejsze, myśli podobnie jak ona.

– Dobrze powiedziałaś, Rysiu. – Fred odwrócił się do niego. – Firma powiedziałaś, a to znaczy, że dla nich firma jest najważniejsza, a nie jakiś pojedynczy gliniarz. Oni chcą zadbać o dobro instytucji i to przede wszystkim dla nich się liczy. To znaczy dla komendanta, bo dla Barszczaka ważne jest zupełnie co innego.

– Ten Barszczak to kawał ćwoka – odezwał się Blaszkowski.

– Ćwok czy nie, od jutra jest tu szefem i macie robić, co wam każe.

– A co będzie z panem? – Do Martyny cały czas jeszcze nie mogło dotrzeć, że być może widzi swojego szefa, faceta, który przyjmował ją do pracy w Poznaniu, siedząc właśnie za tym biurkiem, po raz ostatni w tym pokoju. Jutro będzie tu płaszczyl dupę obleśny, śliniący się na jej widok Barszczak, który nosił pseudonim Jabba, bo

przypominał tego paskudnego i odrażającego potwora z *Gwiezdných wojen*.

– Najpierw jadę do domu odpocząć i poleżeć przed telewizorem, a potem się zobaczy. Może pojedę do Egiptu napić się egipskiej wódki? Zobaczą, jeszcze nie zdecydowałem. Zawsze jest czas na last minute.

– Egipska wódka smakuje tak samo jak egipska whisky, a egipska whisky jak dzin, a dzin jak wódka – przypomniał sobie Blaszkowski. – Próbowałem wszystkiego, jak byłem w zeszłym roku w Hurgadzie. Jednym słowem, ohyda. Jak chcesz napić się dobrych alkoholi, to polecam Grecję...

Fred machnął ręką i uśmiechnął się zadowolony, że grobowa atmosfera wreszcie zamieniła się w zdecydowanie bardziej przyjazną dla otoczenia.

Zadzwoił telefon w kieszeni Martyny. Wyjęła go i wyciszyła sygnał.

– Dziennikarze się niecierpliwią. Muszę im coś powiedzieć.

– Nic się nie przejmuj, wszystko będzie dobrze.

Inspektor wstał z fotela, podszedł do niej i zamiast zwyczajnie podać rękę na pożegnanie, przygarnął ją do siebie. Przez chwilę trwali w tym uścisku, w końcu Marcinkowski puścił ją, a dziewczyna natychmiast otarła policzki wierzchem dłoni, bo chusteczki zostawiła w torebce na swoim biurku.

– Możecie się żegnać, ale nie na zawsze – odezwał się ktoś, kto stanął w drzwiach do pokoju. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku.

Mężczyzna, szpakowaty brunet, wyglądał na mniej

więcej sześćdziesiąt lat, nie miał jednak tych wszystkich atrybutów charakterystycznych dla większości mężczyzn w tym wieku, czyli podwójnego podbródka, wielkiego tyłka czy sterczącego brzucha. Lata widać było na jego poznaczonej zmarszczkami twarzy, ale sylwetki mógłby mu pozazdrościć niejeden czterdziestolatek. Generał Kazimierz Markowski z ABW wszedł do pokoju, zbliżył się do Freda i klepnąwszy go w ramię, chwycił prawą dłoń w zdecydowany uścisk.

– Widzę, że bez pomocy kawalerii się nie obędzie – powiedział zadowolony.

– Już wszystko wiesz? – Marcinkowski zrobił zatroskaną minę.

– Co tam ja, wszyscy wiedzą. Ale nikt nie wie, jaka jest prawda. W tej sytuacji muszę wystawić ci świadectwo moralności.

Fred spojrzał na swoich podwładnych.

– Chłopaki, zostawcie nas na chwilę. Przepraszam, pani aspirant...

– Oczywiście. – Blaszkowski poderwał się z krzesła, podał rękę Markowskiemu, którego znał doskonale od wielu lat, ale nie był z nim w takiej zażyłości, żeby móc zostać świadkiem tej rozmowy. Starzy znajomi musieli pogadać w cztery oczy. Gdy wychodzili, Marcinkowski dał jeszcze Blaszkowskiemu jakąś teczkę. Ten wsadził ją sobie pod pachę, potwierdzając skinieniem głowy, że wie, w czym rzecz. Fred obiecał mu w sobotę, że do poniedziałku ją przejrzy i nawet w tym całym bałaganie nie zapomniał o ważnym śledztwie.

Cała trójka wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Powoli ruszyli w kierunku klatki schodowej. Gdy tam dotarli, przystanęli na chwilę. Poczekali, aż minie ich młody aspirant, a gdy już było pewne, że niczego nie może usłyszeć, Rysiu zapytał:

– Co to jest za gość?

Mariusz uśmiechnął się, robiąc dość tajemniczą minę.

– Nie znasz Markowskiego?

– Kogo?

– Szefa poznańskiej Abwehry?

– Pierwszy raz widzę gościa – przyznał komisarz. – O ja pierdzielę. – Natychmiast się zreflektował. – To znaczy słyszałem o nim, ma się rozumieć. Kurde, to znaczy, że w to wszystko teraz zaangażuje się ABW. Widać sprawa jest poważna.

– Ten Markowski raczej nie wyglądał na wroga Marcinkowskiego – zauważyła Martyna.

– Masz rację – zgodził się z dziewczyną Blaszkowski. – To starzy kumple – zaczął wyjaśniać. – Markowski przyszedł do nas do wydziału w osiemdziesiątym dziewiątym z Solidarności. Był w milicji, zanim jeszcze dogadali się przy okrągłym stole. Skończył kursy oficerskie w Legionowie, w tym ośrodku szkolącym oficerów SB, i na praktyki przyszedł do nas, ale był tu tylko przez kilka miesięcy. Nauczył się roboty, a potem poszedł do tworzącego się na bazie SB Urzędu Ochrony Państwa. A poznali się jeszcze w osiemdziesiątym pierwszym roku, gdy wprowadzano stan wojenny. Dokładnie nie wiem, jak to było, ale zdaje się, że

Marcinkowski uratował wtedy Markowskiego, którego ścigała esbecja¹³. Faceci mają co wspominać.

– To pewnie gość z Abwehry mu pomoże? – Martyna miała nadzieję, że Blacha nie zaprzeczy. Uśmiechnął się.

– Zobaczymy.

– Cześć, chłopaki, lecę napisać komunikat dla prasy! – Ruszyła schodami w dół, zostawiając dwóch oficerów.

W kącie korytarza komendy wojewódzkiej było jasno jak w dzień, ale nie dlatego, że światła w policyjnym holu były jakieś szczególnie wyjątkowe. Świeciły tak jak zawsze, czyli byle jak. Jasno zrobiło się dzięki ekipom telewizyjnym. Dziennikarze z mikrofonami w dłoniach, operatorzy przyklejeni do swoich kamer, oświetleniowcy odpalający lampy na statywach, a w samym środku tego medialnego zamieszania Martyna z nieodłączną deską, do której przypięta była kartka z oświadczeniem dla prasy.

– Jeśli państwo pozwolą, odczytam teraz oświadczenie o stanowisku Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu w sprawie prasowych doniesień dotyczących inspektora policji Alfreda Marcinkowskiego.

Mikrofony wysunęły się w jej kierunku. Poczekała chwilę, aż wszyscy się odpowiednio ustawią, a potem zaczęła czytać powoli i wyraźnie:

– W związku z doniesieniami prasowymi dotyczącymi inspektora Alfreda Marcinkowskiego Komenda Wojewódzka Policji w Poznaniu zamierza dołożyć wszelkich starań, by wyjaśnić zarzuty, które sformułowano w prasowym artykule. Z przykrością jednak należy stwierdzić, że artykuł ten jest przykładem

nieprawdopodobnego wręcz dyletanctwa zawodowego, podpartego złą wolą autora, który zarzuca funkcjonariuszowi policji o nienagannym przebiegu służby działania niegodne i nieuczciwe. W artykule tym jego autor nie przytacza słów żadnego świadka podanego z imienia i nazwiska. Można więc domniemywać, że oszczercze opinie cytowane w artykule są wymyślone od początku do końca przez jego autora. W tej sytuacji poznańska policja odrzuca w całości oskarżenia w nim zawarte, uznając je za kłamliwe i szkalujące dobre imię funkcjonariusza. Jeśli jednak pan redaktor Kociak, autor tego artykułu, ma jakiegokolwiek twarde dowody na współpracę inspektora Marcinkowskiego z byłą Służbą Bezpieczeństwa, niech opublikuje te dowody. Do pomówień i insynuacji policja poznańska więcej odnosić się nie będzie. Jednak do czasu wyjaśnienia sytuacji i oczyszczenia z zarzutów inspektor Marcinkowski postanowił, że pójdzie na urlop wypoczynkowy.

Zapadła cisza. Dziennikarze czekali na ciąg dalszy oświadczenia, ale dalszego ciągu nie było. Martyna skończyła czytać, opuściła deskę z tekstem, a potem spojrzawszy w oko najbliższej kamery, powiedziała:

– Inspektor Marcinkowski to legenda poznańskiej policji. To jeden z najlepszych policjantów w naszym kraju, fachowiec, który cały swój czas i energię poświęca walce z przestępczością i robi to już ponad czterdzieści lat. Wychował całe rzesze młodych funkcjonariuszy, którzy z poświęceniem pracują w komendach i komisariatach całej Wielkopolski. Dla nich wszystkich popularny Fred jest prawdziwym wzorem do naśladowania. Nie wiem,

komu i dlaczego zależy na zniszczeniu dobrego imienia tego świętego policjanta, ale od siebie i od wielu moich kolegów i koleżanek, którzy na co dzień noszą policyjne mundury, mogę powiedzieć jedno: Stoimy murem za Marcinkowskim!

Komendant wojewódzki policji w Poznaniu przetarł chusteczką spocone czoło, a potem sięgnął po szklanke wody i wypił ją duszkiem.

– No to jesteśmy w głębokiej dupie. Ja ją chyba zajebię jak burą sukę – wycedził, patrząc w ekran telewizora, na którym widać było cały czas twarz młodszej aspirant Martyny Urbanek i zadających jej pytania dziennikarzy.

Ty jesteś w dupie, pomyślał inspektor Seweryn Barszczak, od godziny pełniący obowiązki naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego. On nie przewidywał w najbliższym czasie żadnych osobistych i służbowych kłopotów. A że stary nie potrafi dopilnować gówniarzy, którzy mu grają na nosie, to mamy właśnie takie efekty jak samowolka tej Urbankowej. Swoją drogą trzeba będzie się teraz za nią ostro zabrać... Znów oblizał wargi na myśl o Martynie. I wtedy na biurku komendanta zadzwonił telefon.

Nadinspektor Walkowiak ostrożnie ujął słuchawkę w dłoń i jeszcze ostrożniej przyłożył ją do ucha. Przez chwilę słuchał tego, co ma do powiedzenia rozmówca, a potem skłoniwszy głowę, powiedział: – Tak jest, panie komendancie – i przerwał połączenie. Znów otarł czoło, a potem spojrzął na swojego kolegę i podwładnego Barszczaka.

– I co powiedział? – zapytał Barszczak z nadzieją w głosie.

– Powiedział, że nie spodziewał się tego po mnie, ale nie ma innego wyjścia jak tylko... pogratulować mi doskonałej postawy i świetnego wystąpienia rzeczniczki. I dodał jeszcze na koniec, że nie przypuszczał, że mam takie wielkie jaja – mówiąc to, spojrzął nawet w dół na swój rozporek, ale żadnej zmiany nie zauważył.

– Jasna dupa – jęknął Barszczak pod nosem, bo jemu jeszcze nikt nigdy nie powiedział takiego komplementu. W sumie nikt nie powiedział jeszcze o nim niczego dobrego, ale był mocno przekonany, że to się wreszcie zmieni.

Godzina 11.50

Prezes Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Transferowej Stanisław Bielecki włączył telewizor i zadowolony spojrzął na ekran. Dziennikarka z mikrofonem w dłoni robiła właśnie live'a. Belka z napisami u dołu ekranu informowała, że transmisja prowadzona jest z Poznania, a podpis brzmiał: „Czy naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego w Poznaniu był współpracownikiem SB?”.

Bielecki przez chwilę wpatrywał się w ekran, ale w końcu nie wytrzymał i włączył dźwięk.

– ...Ale na razie są to tylko prasowe spekulacje. Jedynym dowodem mającym jakoby potwierdzać

współpracę Marcinkowskiego z SB jest raport z kwietnia osiemdziesiątego trzeciego roku opatrzony podpisem „Teo”. Tyle że tego raportu gazeta na razie nie publikuje. Gazeta nie powołuje się też na żadnych konkretnych świadków. Owszem, przywołuje kilku byłych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, którzy jakoby byli podwładnymi Marcinkowskiego, jednak żaden z nich nie jest wymieniony z imienia i nazwiska. Wszyscy podobno boją się zemsty i dlatego wolą zachować anonimowość. Można by więc pokusić się o stwierdzenie, że cała ta afera jest szyta grubymi nićmi...

– Ty głupia pizdo! – Prezes wyłączył telewizor i popatrzył zza biurka na siedzącego w fotelu mężczyznę. Fabian Galaś, szczupły sześćdziesięciolatek z lekkimi zakolami na czole, poprzez szkła okularów w cienkich drucianych oprawkach wpatrywał się w dotykowy ekran swojego smartfona. Przekleństwa prezesa nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Na Galasiu mało co robiło wrażenie. Był znany z tego, że sam robił wrażenie na innych. Szczególnie swoim chłodnym i beznamiętnym podejściem do rzeczywistości.

– Widziałeś tę kurwę, co tam gadała przed chwilą w telewizorze? – zapytał Bielecki.

– Nie.

– Głupia pizda.

– Mam ją zabić?

– Ha, ha, ha! Ty to masz pomysły, Fabian. Po co nam nieżywa dziennikarka. Dziennikarze są przydatni tylko żywi. No chyba że za dużo chcą wiedzieć, to co innego.

Już jeden tu w Poznaniu zginął w dziewięćdziesiątym trzecim. Zaraz, jak on się nazywał?

– Ziętara. A poza tym nie w dziewięćdziesiątym trzecim, ale w drugim.

– No widzisz, niby to niedawno było, a człowiekowi się pewne rzeczy w głowie pieprzą. Ale na starość się nic nie poradzi. Na tego zabitego też nic się nie poradzi. Ale wnioski trzeba wyciągać. Widzisz, tego Ziętarę sprzątnęli, a smród ciągnie się do dziś. A jakby go normalnie na ulicy przejechał samochód, to co by było? Nic by nie było, jakby kierowca go na trzeźwo rozjechał. Żadnej afery, rozumiesz? Takie gnidy trzeba normalnie, po ludzku traktować. Trach autem i gościa nie ma. A tak...

– Proces poszlakowy co najwyżej. Nie mają żadnych dowodów.

– Mnie nie o dowody się rozchodzi, Fabian, ale o to, że niepotrzebnie nie trzeba nikogo zabijać. Bo zabijanie ludzi do niczego dobrego nie prowadzi, a tylko przysparza kłopotów, jak jest nieprzemyślane i sfuszerowane.

– I kto mówi takie rzeczy? – Galaś uśmiechnął się pod nosem. Jako prawa ręka pułkownika Bieleckiego miał na sumieniu niejedno ludzkie życie. Szczególnie na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy obaj stawiali pierwsze kroki w sektorze bankowym, wiele spraw załatwiało się za pomocą pistoletu. Ale i wcześniej, gdy obaj pracowali w SB, trzeba było niektórym sprawom dosłownie ukręcać łeb. I Galaś idealnie się do tego nadawał. On był do roboty, a od organizacji i logistyki był Bielecki. I tak zostało do dziś. Dawny dowódca z bezpieczeństwa nadal dowodził, a jego podkomendny wykonywał polecenia.

Choć musiał przyznać, że tych związanych z mokrą robotą było zdecydowanie mniej niż dawniej. Galaś, miłośnik poezji i muzyki klasycznej, nie przepadał za likwidowaniem kogokolwiek, więc cenił sobie to, że w dzisiejszych czasach większość spraw załatwia się najczęściej przy biznesowym stole, a nie w ciemnym zaułku.

– Dobrze wiesz, że po takie rozwiązania sięga się tylko w ostateczności, kiedy nie ma już innego wyjścia.

– Wiem. – Galaś skinął głową, cały czas wpatrzony w ekran telefonu.

– A co tam tak czytasz w tej komórce?

– Patrzę na sondaże wyborcze.

– I co?

– Wszystko wskazuje na to, że idą łeb w łeb. Ale to się jeszcze wszystko może zmienić.

– No właśnie, Fabian. Wszystko może się zmienić, bo naród jest głupi. Naród to ciemna masa złożona w większości z niedouczonej debili, którym się wydaje, że mają jakieś poglądy na rzeczywistość, a tak naprawdę kierują się tylko emocjami. Naród to bezwolny tłum.

– Thorstein Veblen napisał nawet *Psychologię tłumy*. – Fabian przypomniał sobie lekturę, którą przerabiał na pierwszym roku socjologii. Nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia.

– Veblen napisał *Teorię klasy próżniaczej*, czyli pisał o nas. A o psychologii tłumy to Le Bon – poprawił go Bielecki, który studiował dziesięć lat przed Galasiem filozofię, ale socjologia również nie była mu obca.

– Miałem na studiach jednego i drugiego. I Le Bona, i Veblena. Już mi się obaj mylą, bo to było dość dawno. No ale ten Le Bon miał rację, nadając tłumowi ludzkie cechy?

– Poszedł za daleko. W tłumie nie ma żadnego racjonalnego jądra, jest tylko jakiś bodziec wywołujący reakcję. Pierwiastek racjonalności w ludzkim szambie to zbyt daleko posunięta eksplikacja przyczyn pewnych reakcji. A te reakcje są bardzo proste, akcja rodzi reakcję, strach wywołuje panikę, która w końcu może przerodzić się we wściekłość. Jeśli w ten sposób spojrzysz na ten nasz tłum, ciemną masę złożoną z bezwolnych kretynów, wtedy można podać im odpowiedni środek, który sprawi, że zrobią dokładnie to, co chcemy. Jeśli ich wystraszysz i dobrze ten strach zaprogramujesz, zaczną uciekać dokładnie w tym kierunku, w którym będziesz chciał. Wystarczy wtedy postawić tabliczkę ze strzałką i napisać: „Jedynie wyjście” i oni wszyscy tam pójda.

– No właśnie – zgodził się Galaś. – Tyle że każda reakcja potrzebuje katalizatora.

– Już ma, panie kolego, już ma! – zadowolony Bielecki poklepał blat mahoniowego biurka w stylu kolonialnym. – Byle się tylko nasz człowiek sprawdził.

– O Ciepelę nie musi się pan martwić.

– Nie o niego mi idzie, ale o tego jego człowieka.

– To prawdziwy desperat. Chce, żeby było o nim głośno. Zrobi, co do niego należy.

– Żeby tylko nie zrobił za dużo, he, he.

– To w końcu specjalista. Wie, jak ma działać. Cztery

koszki trotylu podłożone w czterech punktach miasta. Cztery wybuchy, które nikomu nie zrobią krzywdy, ale spowodują tyle zamieszania, że będzie nieprawdopodobny burdel. Po pięciu dniach jeszcze cztery kontrolowane wybuchy i wtedy jest już po wyborach.

– Ludzie będą chcieli mieć szeryfa, który zrobi porządek. No właśnie, à propos porządków w policji. Ten się chyba już naczekał, nie? – Prezes wskazał drzwi.

Galaś jak zwykle wzruszył ramionami. To Bielecki ustalał zasady, a on jako jego podwładny, nawet tu w banku, w którym brał pensję za sprawowanie funkcji dyrektora do spraw operacyjnych, sam nie podejmował żadnych decyzji. Robił jak zawsze tylko to, co kazał mu szef, i dlatego pryncypał tak bardzo go cenił. W końcu były pułkownik SB nie potrzebował wokół siebie doradców, ale jedynie podwładnych, którym mógłby wydawać rozkazy. A w ich wykonywaniu Galaś sprawdzał się doskonale.

Prezes podniósł słuchawkę stacjonarnego telefonu.

– Jest tam ten facet, co czeka od godziny? No dobra, to za dwie minuty może go pani wpuścić do mnie. I jeszcze jedno, pani Blanko, żadnych herbatek i kawek. To nie jest żaden partner handlowy, tylko zwykły zleceniobiorca. Przychodzi po odbiór poleceń, które ma zrealizować, i tyle.

Odłożył słuchawkę i zadowolony spojrzał na wiszący przed nim duży obraz w bogatych, złoconych ramach, przedstawiający generała Chłopickiego siedzącego na koniu w otoczeniu jego oficerów sztabu. Generał przyjeżdża właśnie na pole bitwy pod Wawrem albo

Grochowem. Obraz namalował Wojciech Kossak w tysiąc dziewięćset czternastym roku, do wojny był w zbiorach prywatnych, a w czasie wojny zniknął. Okazuje się jednak, że w przyrodzie nic nie ginie, szczególnie piękne obrazy. Ten w cudowny sposób odnalazł się na ścianie gabinetu Bieleckiego jakieś pół roku temu, gdy jego bank w ramach spłaty długów przejął majątek ruchomy i nieruchomy pewnej podpoznańskiej firmy. Teraz zaginione dzieło mogło cieszyć oczy konesera sztuki Bieleckiego, który bardzo lubił malarstwo batalistyczne. Galaś za to lubił mniejsze obrazy, które mieściły się na ekranie telefonu komórkowego i ukazywały piękne kobiety bez ubrania. Gdy nie miał nic do roboty, oglądał takie zdjęcia namiętnie i teraz też by sobie obejrzał, ale niestety musiał przez chwilę popracować. Wyłączył więc telefon, zablokował go i włożył do kieszeni marynarki. Poprawiwszy krawat, wstał z fotela i podszedł do okrągłego dębowego stołu, odsunął sobie krzesło i zaraz usiadł, opierając lewe ramię na blacie. Miał dobrze przećwiczoną tę pozycję. W ten sposób był idealnie widoczny dla osoby, która siadała na krześle na wprost biurka prezesa. Wystarczyło tylko, żeby interesant lekko odwrócił głowę w jego stronę. To zawsze przynosiło pożądane efekty.

Bielecki obrzucił go szybkim spojrzeniem, a stwierdziwszy, że przedstawienie jak zwykle zostało przygotowane perfekcyjnie, wcisnął przycisk pod biurkiem. Przycisk ten połączony był z biurkiem pani Blanki, która natychmiast mogła dostrzec pod swoim blatem niewielką lampkę, która zapalała się na czerwono. Był to sygnał, że wszystko jest już gotowe i można wpuszczać delikwenta na audiencję.

Dziesięć sekund później drzwi otworzyły się i do środka wszedł niezbyt rostry, chudy, długowłosy i brodaty pięćdziesięciolatek, ubrany w długi granatowy sweter, brązowe dżinsy i buty za kostkę. Twarz miał bladą, a oczy podkrążone. Wyglądał, jakby się dzisiaj nie wyspał, ale Bielecki miał spore doświadczenie z takimi typami. Facet najwyraźniej ćpał, więc cerę miał nieświeżą. Do tego jeszcze niechlujny ubiór sprawiał wrażenie, jakby go właśnie wyciągnięto z szuflady, którą ktoś zamknął na klucz w roku osiemdziesiątym piątym. Jednym słowem, hipis tuż przed emeryturą, ocenił go bankier, który po raz pierwszy w życiu miał okazję spotkać autora artykułu o Marcinkowskim.

– Niech pan siada, panie Kociak. – Bielecki wskazał mu krzesło, które stało w pewnej odległości od biurka. Na wszelki wypadek gospodarz wolał zachować dystans, bo nigdy nie wiadomo, czy taki lump nie wnosi ze sobą smrodu swojej nory.

Dziennikarz spojrział na krzesło, potem na Bieleckiego i zaraz usiadł tam, gdzie mu kazano. Zamierzał podejść i uścisnąć mu prawicę, ale stanowcza prośba gospodarza zatrzymała go w miejscu.

– I jak się panu prezesowi podobał artykuł? – zaczął Kociak, ale Bielecki nie odpowiedział. Pokręcił tylko powoli głową, jakby z lekkim niedowierzaniem, i zaczął przeglądać jakiś dokument wydobyty z pomarańczowej teczki. Gdy cisza stała się już naprawdę głośna, uniósł lekko głowę i spojrział na gościa.

– Jedno na początek ustalmy, panie Kociak. Nie spotykamy się tu w celach towarzyskich dla wymiany

uprzejmości. Został pan wynajęty do wykonania określonej pracy i właśnie pan ją wykonał, czego dowodem jest artykuł, który pan napisał i który ukazał się dziś w gazecie.

– Bez pana pomocy niczego bym nie napisał, bo...

Bielecki uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Proszę się nie silić na komplementowanie mnie. Ja nie mam uczuciowego stosunku do tej sprawy. Dla mnie to jest czysty biznes.

Na potwierdzenie swoich słów otworzył szufladę i wyjął plik banknotów. Przeliczył je szybko i przesunął na skraj blatu biurka.

– Proszę, tak jak się umawialiśmy, tysiąc trzysta złotych za artykuł i drugie tyle za kolejny. Pięćset zaliczki już pan wziął.

– Kolejny? – zdziwił się dziennikarz. Bielecki też zrobił zdziwioną minę.

– A co pan sobie wyobraża, że poprzestaniemy na jednym? Że rzucimy insynuacje i nie podeprzemy ich żadnymi dowodami? Tutaj ma pan dwa oryginalne donosy.

Wydobył z teczki dwie pożółkłe kartki i przesunął je w ślad za pieniędzmi.

– Ale umawialiśmy się tylko na jeden artykuł... – Reporter chciał stawić opór, jednak niezbyt przekonująco. Bielecki nie miał zamiaru pozwolić, by ktoś taki podejmował jakąkolwiek próbę dyskusji.

– Panie Kociak, ja nie mam ochoty z panem polemizować. Szkoda mi czasu. Ja płacę, pan pisze

i koniec rozmowy.

– No tak, panie prezesie, ale w dziennikarstwie obowiązują pewne standardy. Zanim się coś napisze, trzeba to sprawdzić w przynajmniej dwóch źródłach i wtedy dopiero można takie informacje publikować. To kwestia dziennikarskiej etyki i jeszcze dodatkowo zaufania społecznego...

– Co mi pan tu pierdoli, Kociak? Bierz pan dokumenty, forszę i pisz. I nie pieprz mi tu o etyce, bo gdybyś pan wiedział, co to słowo znaczy, tobyś pan nie wziął kasy za napisanie pierwszego artykułu. Ale żeś się pan sprzedał jak kurwa, to teraz bierz forszę i pisz dalej. A jak będziemy potrzebować następnego artykułu, to znów dostaniesz pan kolejne papiery!

Kociak poderwał się z krzesła.

– To oburzające. Jeszcze nigdy nikt tak mnie nie potraktował.

Bielecki uśmiechnął się do Kociaka, a potem odwrócił się do Galasia.

– No i co powiesz, Fabian? Redaktor się zdenerwował. Wyjaśnij mu, że to szkodzi zdrowiu.

Galaś spojrział na Kociaka tak, jak się patrzy na ślimaka, który przypadkiem wpełzł na ścieżkę, przecinając drogę.

– Niech się pan nie denerwuje – powiedział i przeciągnął się, tak jakby się właśnie w tej chwili obudził. Kociak natychmiast dostrzegł pod jego ramieniem kaburę z pistoletem. – I siadaj pan!

Kociak posłusznie wrócił na krzesło.

– O czym to mówiliśmy? – Bielecki odezwał się miłym tonem, wracając do przerwanej wątku konwersacji. – No więc ustalone, że podsyłamy panu dane, a pan pisze. Oczywiście w miarę potrzeby podsyłamy, a pan pisze od razu, tak żebyśmy mieli pewność, że artykuł ukaże się następnego dnia. No więc, proszę bardzo, niech pan weźmie pieniążki, bo zasłużył pan na nie. Tylko proszę tu, o, podpisać pokwitowanie. Tu, gdzie ptaszek. O właśnie tutaj. He, he, w banku wszystkie wypłaty należy kwitować.

Dziennikarz włożył pieniądze do kieszeni i zaraz wziął do ręki kartki z raportami tajnego współpracownika.

– To rzeczywiście pisał Marcinkowski? – zapytał, patrząc na Bieleckiego.

– Panie Kociak, niech sobie pan głowy nie zawraca takimi pierdołami. Raporty są jak najbardziej oryginalne, a co do autora, no cóż, kto by się przejmował takimi drobiazgami po latach. Najważniejsze, że możesz pan sprawdzić autentyczność tych papierów w dwóch źródłach.

– Gdzie?

– Jak gdzie? U mnie i dyrektora Galasia. Co, dyrektorze, potwierdza pan autentyczność dokumentów. Bo ja potwierdzam.

– No – powiedział Galaś i kolejny raz się przeciągnął.

Zupełnie niepotrzebnie, bo redaktor Kociak wcale nie miał zamiaru znowu oglądać jego pistoletu. Nim były esbek opuścił ręce, po dziennikarzu nie było już śladu.

Godzina 12.00

– Wiem, gdzie mogą być dziewczyny – rzuciła, wchodząc do pokoju Biernata. Ten podniósł wzrok znad sterty papierów.

– Jakie dziewczyny?

– Te, co je przetrzymują w lesie. Powiedziała mi o nich Kalina.

– Jaka Kalina?

– Dziewczyna, która leży w szpitalu w Poznaniu, to jedna z nich. No więc chyba wiem, gdzie to jest...

– Co jest? – Biernat chwycił papierową chusteczkę i wydmuchał nos. Wcale się nie zdziwił, widząc w otwartych drzwiach Anetę. Musiała właśnie przyjechać z Poznania, bo była ubrana w strój motocyklowy. Kombinezon był uwalany drobinkami błota. Widać padał deszcz. Biernat nawet tego nie zauważył, siedząc w swoich zapiskach i analizując wszystkie dane śledztwa, które dopiero się zaczynało. A ona przyszła tu, jak gdyby nigdy stąd nie wychodziła, jakby cały czas pracowała na drugim piętrze w tym szamotulskim komisariacie, jakby przechodziła korytarzem i naraz się zatrzymała, bo zobaczyła, że drzwi są otwarte.

Spojrzał za okno. Rzeczywiście lało jak z cebra. Wstał z krzesła, podszedł do szafy i wydobył z niej zielony ręcznik.

– Weź, no, się powycieraj. Spodnie masz ubłocone.

– Pada.

– No widzę.

Usiadła przy drugim, pustym biurku. Kiedyś w pokoju z Biernatem pracował jego stary kumpel, z którym zaczęli pracę jeszcze w milicji. Ale podkomisarz Wieczorek dwa lata temu zmarł na zawał. Biernat mówił, że stało się to przy tym biurku i na tym krześle. Podobno złapał się za serce, jęknął głośno i opadł głową na blat. I to ten blat ponoć go dobił. Serce nie wytrzymało zderzenia i pękło na pół. Ile było w tym prawdy, tego nie wiedział nikt prócz Biernata. Ludzie mówili, że specjalnie opowiada tę historię, obciążając za zabicie kolegi biurko, żeby nikt nie chciał wprowadzić się do jego pokoju, bo kto by chciał siedzieć przy morderczym meblu, w dodatku na starym krześle obciążonym czarnym skajem?

Aneta nie miała z tym problemu. Siedząc na krześle po nieboszczyku, powoli zaczęła ścierać brudną wilgoć z nogawek, rękawów i piersi.

– To o czym mi chciałaś powiedzieć? – zapytał, patrząc na ręcznik, który z każdą chwilą stawał się coraz ciemniejszy. Trzeba będzie go zabrać do domu do prania, pomyślał.

– Wypiorę go. – Czyżby czytała w jego myślach? Machnął ręką, jakby się oganiał od natrętnej muchy.

– Daj spokój. Poradzę sobie.

– Ale jest cały uślomprany.

– Zawieś na kaloryfer, niech trochę obeschnie – powiedział, a potem zdjął nieco zaparowane okulary i zaczął je wycierać papierową chusteczką. Ona tymczasem rozwiesiła ręcznik na starych, pomalowanych

przynajmniej dziesięcioma warstwami farby olejnej, żeliwnych żebrach.

– Myślę, że wiem, gdzie jest barak – zmieniła temat, siadając z powrotem na krześle po nieboszczyku.

– Jaki barak?

– W środku lasu jest.

Popatrzył na nią, jakby naraz zaczęła mu opowiadać treść filmu o Kubusiu Puchatku.

– Stumilowego lasu? – Wolał się upewnić.

Potrząsnęła głową i odgarnęła włosy, które spadły jej na czoło.

– O tym lesie i baraku powiedziała mi ta dziewczyna, którą mamy w szpitalu w Poznaniu. To jedna z dziewczyn zmuszonych do prostytucji przez gang handlarzy żywym towarem. Uciekła od nich i zgłosiła się tutaj na policję, znaczy się w Szamotułach na policję. A policjant, który ją odwiózł potem do szpitala MSW, załatwił jej ochronę.

– Zaraz, już coś kojarzę. – Biernat sięgnął po słuchawkę telefonu i szybko wystukał trzy cyfry numeru wewnętrznego.

– Cześć, to ty żeś odwiózł jakąś dziewczynę do szpitala w Poznaniu? No to żeś bardzo dobrze zrobił. Chodź tu na chwilę. – Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Anety. – To Turek się nią zaopiekował – wyjaśnił.

– Turek? To on jest zdolny do jakichś ludzkich odruchów?

– Nie doceniasz go, moja droga.

Turek wszedł do pokoju z rękoma włożonymi do

kieszoni i papierosem w ustach. Odkąd w komendzie wprowadzono zakaz palenia, chodził ze zgaszonym ćmikiem, żeby w ten sposób okazać swój sprzeciw wobec zarządzenia, które według niego w jaskrawy sposób dyskryminowało przynajmniej połowę pracowników komendy, zresztą i tak popalających po kątach.

– Jak się rozchodzi o tę Kalinkę, to ja nic nie wiem – uprzedził od razu, żeby go nie zamęczali niepotrzebnymi pytaniami. – Zawiozłem ją do Poznania i jeszcze z moim kumplem podkomisarzem Piechowiakiem z komendy miejskiej załatwiłem, żeby dali jej ochronę, bo dziewczyna była przerażona. Uciekła od jakichś gnoi, co ją przetrzymywali, zmuszali do prostytucji i bili, no to trzeba było jej pomóc.

– A czemu żeś wcześniej nic nie powiedział? – zapytał Biernat.

– A co miałem mówić?

– No że mamy kolejną tirówkę. To chyba jakoś się musi łączyć, jak jedną mamy zabitą, a druga ucieka od gangsterów.

– No niby tak – przyznał Turek. – Bo ja właśnie chciałem dzisiaj zameldować, tylko trzeba by sprawdzić, jak ona się czuje. Zresztą jak ją zawiozłem, to zadzwoniłem. – Wskazał głową Anetę. – Ale nie odbierała telefonu.

– Przepraszam. Miałam oddzwonić.

Machnął ręką.

– Trzeba by sprawdzić, jak się czuje dziewczyna.

– Teraz już całkiem dobrze, ale mało brakowało, a by

już nie żyła. Chcieli ją zastrzelić w tym szpitalu – wyjaśniła Aneta.

– Niemożliwe... – Turek otworzył szeroko usta, a zgaszony papieros wypadł mu na podłogę. Nawet tego nie zauważył.

– I co?

– Na szczęście pomyślał pan, żeby załatwić jej ochronę.

Zrobił zdziwioną minę. Pierwszy raz słyszał, żeby ta ruda pyskata dziewczyna mówiła o nim w taki sposób. Najczęściej sprzeczali się o każdą pierdołę, a tu, proszę, pochwała dla jego profesjonalizmu.

– No i ta Kalina powiedziała mi, że uciekła od tych gnoi, co ją trzymali w baraku i jeszcze kilkanaście innych dziewczyn. Pokazałam jej zdjęcie tej naszej zabitej z bagien, bo na wszelki wypadek zrobiłam portret moim telefonem. Oczywiście rozpoznała ją. Mówi, że to jedna z tych przetrzymywanych razem z nią w obozie.

– A powiedziałaś, że chyba wiesz, gdzie je trzymają – przypomniał sobie Biernat.

Pokiwała głową.

– Dziewczyna, która leży w szpitalu, nie wie oczywiście, gdzie dokładnie to jest. Mówiła, że gdy uciekła z baraku, szła cały czas na południe i zajęło jej to jakieś dwie godziny, nim dotarła do drogi. Kierowca, który ją zabrał do auta, powiedział, że to było na tym odcinku między Klempiczem a Piotrowem.

– Bliżej Klempicza – poprawił ją Turek. – On mówił, że jak wyskoczyła na drogę, to wyszła z prawej strony, niedaleko tego miejsca, gdzie mieli budować elektrownię

atomową. Tam jest jeszcze wycięta cała połać lasów, kilkanaście hektarów. Podobno jak szła, to tę pustkę widziała z lewej strony.

– No to mnie też to powiedziała. Więc zaczęłam sprawdzać ten obszar.

– W jaki sposób? Masz mapę puszczy? – zainteresował się komisarz. – Bo tam się zaczyna już Puszcza Notecka.

– Każdy teraz ma mapę wszystkiego.

– Jak?

– W telefonie, w komputerze. Mapy satelitarne są ogólnie dostępne.

Biernat zrobił zdziwioną minę.

– Jak to?

– Jeśli się wie, gdzie szukać, to można wejść na amerykańskiego satelitę wojskowego i wszystko widać jak na dłoni. Bo są jeszcze mapy google, ale one nie są tak wyraźne jak te szpiegowskie...

– Zaraz, zaraz, chcesz powiedzieć, że korzystałaś z map szpiegowskich?

Zrobiła niewinną minę.

– Jakoś musiałam to wszystko sprawdzić.

– Ale jak?

– Pewnie się włamała – stwierdził zadowolony Turek. Wreszcie to on mógł ją na czymś złapać. – Włamywanie się do serwisów amerykańskiej armii to niezbyt mądry pomysł.

– No właściwie to są mapy pogodowe wykorzystywane

przez armię. A poza tym to się nie włamałam, tylko mój znajomy haker złamał zabezpieczenia, które zresztą były proste do obejścia. I dzięki niemu wiem, czego szukać.

Wyciągnęła z kieszeni swój telefon i weszła w archiwum zdjęć. Te najnowsze, dodane dzisiaj, przedstawiały wyraźne fotografie leśnego kompleksu poprzecinanego drogami pożarowymi. Las rzeczywiście robił wrażenie swoją wielkością.

– Mówiłem, że to stumilowy las. – Biernat uśmiechnął się na myśl o niedźwiadku z dobranocek. – Szkoda tylko, że nie mieszkają w nim sympatyczne misie, ale potwory.

– A tutaj jest to. – Wskazała palcem podłużny obiekt, jakieś dwa mniejsze i puste miejsce po kilku innych, które albo w ogóle nie powstały, albo już zostały zburzone. Widać było jednak wyraźne ślady fundamentów.

– Po co ktoś stawiał baraki w środku lasu? – Turek uważnie wpatrywał się w powiększone zdjęcie.

– Teren musiał być ogrodzony, bo są tu jeszcze słupy betonowe. To znaczy, że był tu obóz. Albo miał być. Jak budowali elektrownię, mogli zatrudnić do prac budowlanych więźniów z Wroniek. No to żeby nie wozić ich codziennie do roboty, zaczęli budować taki obóz pracy. – Biernat podzielił się swoimi przypuszczeniami.

– Ten barak jest jakieś cztery kilometry od drogi.

– A tu co jest? – Turek wskazał palcem na czerwoną plamę oddaloną od baraku o jakieś pięć kilometrów i ukrytą w leśnej gęstwinie.

– Wygląda jak jakaś leśniczówka. – Aneta powiększyła zdjęcie.

– No pewnie, strażnicy musieli gdzieś mieszkać w ludzkich warunkach. Przecież nie mogli razem z więźniami. – Biernat był starym gliniarzem i dlatego doskonale znał specyfikę służby więziennej. Szczególnie strażników z pobliskich Wroniek, z którymi miewał częste kontakty. – No dobra, jeśli masz rację i to jest to miejsce, to jak mądrze zadziałamy, szybko możemy ich wszystkich zgarnąć, a dziewczyny uratować. Ile ich tam jest?

– Kalina mówiła, że było ich dwanaście. I jest jeszcze coś. Tam, w tym baraku, doszło do morderstwa...

– No to zabili tę w czerwonej kurtce w baraku i wywieźli na drogę? To bez sensu. – Turkowi fakty nie chciały się w żaden sposób złożyć w całość. – To znaczy się, że ta kupa, co tam była w lesie, to jednak błąd, a nie dowód, he, he, he...

– A czy ja powiedziałam, że chodzi o tę zabitą przy drodze? Kalina ją rozpoznała. Ale w nocy, zanim uciekła stamtąd, jeden z bandziorów, taki, który nimi dowodził, zastrzelił na oczach wszystkich dziewczyn jedną z nich. Zabił ją z zimną krwią, żeby wszystkie inne skłonić do posłuszeństwa, i wtedy...

– Co wtedy? – ponaglił ją Biernat, bo zobaczył, że szuka odpowiednich słów. Nie miał zamiaru czekać na ładną opowieść.

– Kalina się zemściła.

– No to znaczy, zabiła gnoja i uciekła – domyślił się Turek.

– Zastrzeliła go czy jak? – dopytywał komisarz.

– Poderżnęła mu gardło jego własnym nożem, gdy

zabrał ją do siebie, żeby zgwałcić... To było w samoobronie, bo gdyby nie wzięła jego noża, to ten drań...

– Nie musisz jej usprawiedliwiać. – Biernat wszedł jej w słowo, jednocześnie podnosząc się z krzesła. – Jeśli jest tak, jak mówi, to znaczy, że to dzielna dziewczyna. A ty – spojrzał na swojego podwładnego – też żeś się wykazał.

– Bo ona nic nie mówiła, że kogoś tam dziabnęła...

– Ja mówię, że dobrze zrobiłeś, że zawiozłeś ją do Poznania. Bardzo dobrze, bo u nas w Szamotułach już by było po niej. Nikt by jej nie dał ochrony. – Wymownie spojrzał na sufit, czyli na granicę, która oddzielała jego pokój od przestrzeni piętra należącego do zwierzchniej władzy. – Co, mam rację, Anetka?

– Pewnie, że tak!

– No dobra, to jedziemy do Wroniek. Pogadamy z moim znajomym z nadleśnictwa.

– A może najpierw do lasu, żeby zobaczyć chociaż z daleka, jak to tam wygląda? – próbowała przekonać do swojego planu, ale Biernata nie tak łatwo było namówić na zmianę koncepcji, jeśli ta już zakiełkowała mu w głowie.

– A ja co mam robić? – zapytał Turek z pewną nutą nadziei w głosie, która sugerowała przełożonemu, że najlepiej, jeśli nic by nie musiał robić. Biernat uśmiechnął się pod nosem.

– No jak to co? Jedziesz z nami. Przyda nam się tam na tym ranczo prawdziwy kowboj. Nie, Anetka?

– Pewnie, że się przyda – potwierdziła cały czas wpatrzona w zdjęcie mapy.

Godzina 12.30

Brodziak chciał pogadać z prezesem Grubińskim, ale ten od rana był nieobecny. Zadzwoił do niego na komórkę, lecz telefon milczał. Od czasu do czasu zdarzały się takie sytuacje, że jego stary kumpel i przełożony nie przychodził do pracy. Pozwalał sobie na to tylko w takie dni, kiedy wiedział, że nie ma od rana ważnych spotkań i nie czeka go w banku podejmowanie jakichś strategicznych decyzji. Z reguły jednak był z nim kontakt. Dzisiaj nie odbierał komórki, a głos informował, że abonent jest czasowo poza zasięgiem.

– Odbierz ten pieprzony telefon, bo sprawa jest poważna i wcale nie chodzi o nasz pierdolony bank, tylko o kumpla! – Zdenerwowany Mirek rzucił do słuchawki i odłożył komórkę na biurko. Spojrzał na aparat stacjonarny. Ale ten milczał jak zaklęty. Gdy przyszedł rano do pracy, natychmiast polecił sekretarce Rycha, by ta od razu zadzwoniła do niego, gdyby szef się zjawił. Ale jak dotąd nie było odzewu.

– A żeby cię cholera jasna wzięła – mruknął pod nosem, wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz niewiele się działo. Po lewej rozciągał się widok na dużą część placu Wolności, a na wprost stał budynek Arkadii, w której była księgarnia Empiku. Rzadko wchodził do księgarni. Nie mieli tam już jego ulubionych historyjek komiksowych o kapitanie Żbiku. Nie było na nie zapotrzebowania

i popularny peerelowski komiks umarł śmiercią naturalną. Ale nie dla Mirka. Wreszcie spełnił swoje marzenie z dzieciństwa i kupił komplet zeszytów kapitana Żbika. Na internetowych aukcjach udało mu się znaleźć kolekcję, która była jeszcze zafoliowana, jak spod igły. Wydał na to kilka tysięcy złotych, ale dzięki temu miał teraz wszystkie Żbiki i to te najcenniejsze, bo pierwsze wydania. Nawet kazał wykonać dla nich specjalną gablotę, w której wszystkie rozłożył jak prawdziwy kolekcjoner, no i tyle miał przyjemności z posiadania. Tak się bał, że uszkodzi któryś egzemplarz, że nie otwierał nawet kart, tylko zamknął za szybą i patrzył na okładki. A do czytania kupił sobie jeszcze jeden zestaw, również pełny, ale w znacznie gorszym stanie.

Spojrzał na dół, na boczną ścianę Arkadii, gdzie tuż obok kiosku „Ruchu”, jednego z nielicznych, który uchował się jeszcze w centrum miasta, były drzwi do miejskich toalet. Patrząc na nie, pomyślał, że w tym szalecie bywał częściej niż w Empiku.

Naraz drzwi toalet otworzyły się i na chodnik wyszedł, zapinając rozporek, prezes Grubiński. Rychu ruszył na wprost w kierunku wejścia do banku. Mirek z daleka poznał, że jest trafiony. Musiał wczoraj nieźle pochłać i dzisiaj nie wyglądał najkorzystniej, bo płaszcz na ramionach miał nieco wymięty, a i krawat wyglądał tak, jakby założył go tylko przez przypadek i zapomniał zaciągnąć supeł.

Podszedł szybko do telefonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer biura przepustek. Strażnik natychmiast odebrał połączenie.

– Brodziak mówi, z kim rozmawiam?

– Melduję, że ze mną, panie kapitanie – odpowiedział były sierżant milicji, a obecnie szef zmiany, Józef Pacuła. Brodziak poznał jego lekko zachrypnięty głos.

– Panie Józku, wyjdź pan na schody, bo prezes Grubiński idzie, i weź go pan do siebie na dwie minuty. Jak się będzie opierał, to go pan zastrzel.

– Tak jest! Jak zastrzelić?

– Pan już wiesz jak.

Przerwał połączenie. Wiedział, że Pacuła sobie poradzi. Nie tacy jak Gruby Rychu zgadzali się w końcu z jego argumentami, nawet jeśli na początku wydawały się nie do przyjęcia.

Mirek tymczasem założył płaszcz, wsunął na głowę swój kaszkiet, który chronił lekko łysiejące czoło przed niepotrzebnym wyziębieniem, i szybko poszedł do windy. Dwie minuty później był już w portierni. Okazało się, że Grubińskiego wcale nie trzeba było wciągać tu siłą. Zadowolony rozsiadł się za biurkiem i właśnie sięgał po papierosa.

– W banku się nie pali, panie prezesie.

– W jakim banku?

– W naszym banku – rzucił Mirek, który stanął w drzwiach do dyżurki.

– Aha, no to rozumiem. A widzi pan, panie Pacuła, u nas z dyrektorem do spraw ochrony nawet sam prezes nie może dyskutować.

Pacuła pokiwał głową, bo co miał powiedzieć. W końcu

to nie jego sprawa. On był tylko od wykonywania poleceń i starał się robić to jak najlepiej, bo bardzo mu się to opłacało. Dość powiedzieć, że w tym miejscu zarabiał znacznie lepiej niż kiedyś w milicji. Jedyne, czego żałował, to tego, że już nie uczestniczył w tych wszystkich akcjach, jak choćby rozbijania melin alkoholowych.

– My teraz pójdziemy, panie Pacuła, a pan da znać do Miecicia, że ma podjechać, bo pan prezes wyjeżdża.

– Gdzie wyjeżdża? – zdziwił się Rychu. – Ja nie mam czasu na jakieś wyjazdy, bo pilne sprawy na mnie czekają. Ma pan ognia, panie Pacuła?

– Nie mam, panie prezesie.

– Dzwon pan, panie Józku, a my idziemy.

– Dokąd idziemy?

– Powiem ci po drodze.

– Aha, no tak, tajemnica bankowa. – Przyłożył palec do ust i mrugnął do ochroniarza, który właśnie łączył się z kierowcą służbowego wozu. – Tajemnica bankowa. Ciii.

Brodziak wziął go pod rękę i sprowadził po kilku schodkach w dół. Gdy wyszli na zewnątrz, Rychu natychmiast włożył papierosa do ust.

– Musiałeś się akurat dzisiaj zaprawić?

– Każda chwila jest dobra, jeśli człowiek musi się odprężyć – stwierdziwszy to, zaczął oklepywać się po kieszeniach, ale zapalniczka gdzieś wyparowała. – Masz ognia, Miruś?

Brodziak podsunął mu płomień z własnej zapalniczki.

– No proszę, moja zapalniczka.

– Nie twoja, tylko moja.

– Jak nie moja? Przecież poznaję. Złota zipo. Przecież to ta sama.

– Taka sama, ćwoku. Kupiłeś dla mnie i dla siebie takie same.

– A to pardonsik. Coś sobie przypominam. A gdzie moja?

– Nie mam pojęcia. A to twój samochód.

Przy krawężniku zatrzymało się audi Q7. Mirek otworzył tylne drzwi i pomógł wsiąść przyjacielowi. Sam obszedł auto i wsiadł z drugiej strony.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – przywitał się kierowca, pan Mieciu, jak większość pracowników ochrony i zaplecza technicznego, były milicjant. To Brodziak zajmował się dobozem kadr odpowiadających za bezpieczeństwo banku i oczywiście jako dawny milicjant wiedział, że nigdzie nie znajdzie lepiej przeszkolonych i przywykłych do poleceń ludzi jak w szeregach byłych funkcjonariuszy. Nic go nie obchodziło, że na milicji politycy wieszali psy. On sam był w końcu milicjantem z krwi i kości, więc tak jak mógł, pomagał swoim dawnym ludziom, dając im pracę i przy tym jeszcze poczucie przydatności. Teraz wszyscy oni chwalili sobie robotę w banku, a Mirek mógł liczyć na ich całkowitą lojalność.

– Czołem, panie Mieciu. Gdzie to się prezes tak zaprawił? – spytał, wskazując na przyjaciela, który właśnie próbował otworzyć okno, ale bezskutecznie, bo nie mógł sobie poradzić ze znalezieniem korbki do opuszczania szyb.

Kierowca odwrócił się do Brodziaka i wyszczerzył krzywe zęby w uśmiechu.

– Chyba w chacie, bo w nocy nie było jeżdżenia.

– Co to za okazja była? – zapytał Mirek.

– Jaka okazja? – zdziwił się Rychu.

– Okazja do picia.

– A, okazja... Jaka okazja? O, przepraszam, bo muszę odebrać telefon. – Wyciągnął aparat z kieszeni marynarki.

– Niestety nie działa.

Mirek wyjął mu go z ręki, wcisnął włącznik, a potem chwycił wskazujący palec Grubińskiego i przyłożył go do okrągłego przycisku. Telefon włączył się po kilku sekundach i zaraz pojawiły się krótkie piknięcia nadchodzących powiadomień. Zdziwiony Rychu spojrzął na wyświetlacz, a potem przesunąwszy jakąś ikonę, przyłożył telefon do ucha.

– Miras dzwoni i mówi, że sprawa jest poważna – wyjaśnił, odwracając się do Brodziaka. – A o jakiego kumpla chodzi?

– O Freda.

– Zaraz, to ty do mnie dzwonicz czy ze mną tu gadasz?

– Rychu, cholera, ocknij się wreszcie!

– Dokąd jedziemy, panie kapitanie? – zapytał kierowca.

– Jedź pan na Sołacz.

– A dokładnie, w które miejsce?

– Nie pamiętam ulicy, ale jak będziemy dojeżdżać, to pokażę, gdzie jechać.

– Mazowiecka – podpowiedział Rychu, a Brodziak spojrział na niego zdumiony.

– Skąd wiesz?

– No przecież żeś gadał, że rozchodzi się o Freda.

Samochód ruszył, a pan Mieciu, dawny chorąży sztabowy i kierowca w wydziale do spraw przestępstw gospodarczych, którego śledczy przez lata próbowali znaleźć coś na ówczesnego nieformalnego szefa cinkciarzy, Grubego Rycha, sprawną ręką poprowadził wóz, który zaraz skręcił w ulicę Ratajczaka. Przejechali plac Cyryła, a gdy auto zjechało w Libelta, Brodziak kazał kierowcy zatrzymać się na chwilę. Rychu został w aucie, a dwaj jego ludzie poszli na zakupy. Po chwili samochód znów ruszył.

– Co tam kupowaliście? – spytał Rychu.

– Masz tu energicznego drinka, żebyś wydobrzył. – Brodziak podał mu niewielką puszkę zimnego napoju. Ten z uznaniem pokiwał głową.

– Tego mi było trzeba. – Otworzył pojemnik i wypił trzema łykami.

– To gadaj, co się dzieje z Fredem?

Mirek chciał mu podać gazetę, którą miał w kieszeni, ale stwierdził, że opowieść będzie szybsza, a poza tym Grubiński i tak nie miał pewnie przy sobie okularów. Bez nich nie potrafił już czytać żadnych tekstów, które nie byłyby wielkości co najmniej samochodowej tablicy rejestracyjnej.

– Gazety napisały, że współpracował z SB i donosił na kolegów, znaczy się na nas.

– A współpracował?

– No skąd?

– To po cholere tak piszą?

– No pomyśl trochę.

Długo nie musiał myśleć.

– Chcą go załatwić.

– Brawo, Rysiu.

– Ale po cholere?

– Nad tym się właśnie zastanawiam.

– Przed wyborami czyszczą – odezwał się pan Mieciu.

– Co pan mówi? – Brodziak spojrzał uważnie na swojego kierowcę.

– Że przed wyborami. Marcinkowskiego nie dałoby się tak odstrzelić jak zwykłego psa, bo za duży kaliber. No to trzeba mu dowalić, robiąc z niego esbeka. No i po gościu, bo nikt za niego głowy nie będzie nadstawiał. Znaczy się, gównu zawsze śmierdzi, nawet jeśli przyklei się przypadkiem.

– Ale co z wyborami? – Rychu powoli dochodził do siebie.

– Panie prezesie, jak zwykle po wyborach w komendach będą czystki. Przyjdą nowi komendanci i ich zastępcy, i zastępcy zastępców, no to, żeby im było łatwiej, zaczynają już teraz.

Brodziak położył rękę na ramieniu kierowcy.

– Nieźle pan kombinuje, panie Mieciu. Tak może być. Ktoś chce po swojemu posprzątać w burdelu.

– Tylko po cholere? – Rychu dopił ostatnie krople energetyka. – Komu zależy, żeby przed samymi wyborami w dochodzeniówce wojewódzkiej był burdel?

Brodziak klepnął kolegę w kolano.

– Tego trzeba się właśnie dowiedzieć – odparł zadowolony Mirek, który naraz poczuł, że po długim czasie kompletnego zastoju znów zaczyna robić to, co lubi. Znowu zaczyna brać sprawy w swoje ręce.

Godzina 12.50

Nie było go w domu od rana. Powiedział, że musi coś załatwić. Ciekawe, jak można coś załatwić, jak się nie ma ani samochodu, ani nawet motocykla, a jedynie rower? Co dziwne, nie miał też telefonu. W dwudziestym pierwszym wieku wszyscy mają telefony i każdy jeździ samochodem, a ten Andrzej mówił, że on tego wszystkiego nie potrzebuje.

– Jak nie potrzebujesz? Przecież bez tego nie da się żyć.

– Ja mogę. Zaszyłem się tutaj, żeby uciec od cywilizacji, od tego całego cholernego świata.

– A co ci zrobił takiego ten świat? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Wtedy dostrzegła w nich jakiś błysk, coś złowrogiego, czego powinna się bać, ale wydało jej się, że to żar, który pojawił się pod wpływem wspomnień.

– Mój świat mnie wykorzystał, wyszkolił na żołnierza,

maszynę do zabijania, a gdy zrobiłem, co do mnie należy, postanowił ukarać i wyrzucił na śmietnik.

– Jak to?

– Byłem w Afganistanie, na wojnie. Jechaliśmy dwoma wozami na patrol. Wiesz, jak to jest, na pewno widziałas w filmach kilku chłopaków uzbrojonych po zęby w wozach bojowych. A wszędzie dookoła mogą się kryć talibowie. Żaden z nich nie pyta się, czy czasami nie mamy ochoty wpaść do nich na herbatę. Najpierw strzelają, a potem gadają, jeśli jeszcze jest z kim gadać.

– Wiem, słyszałam o tym. Mój wujek był w Afganistanie. Ale na szczęście przeżył. Opowiadał, że ci talibowie to dzikusy. A jak ktoś wpadł w ich łapy, to już było po nim. Naszym żołnierzom to wycinali oczy i języki...

– Najgorzej, że nigdy nie było wiadomo, czy masz do czynienia z wrogiem czy przyjacielem. Zresztą oni wszyscy, ci miejscowi, choć mówili, że są z nami, gdy tylko mogli, przechodzili na stronę talibów. A wszystkie wioski, nawet te, do których dowoziliśmy jedzenie, wodę czy zabawki dla dzieciaków, za chwilę mogły okazać się wrogiem. Tak jak ta, w której byliśmy na ostatnim patrolu.

– Zaczęli do was strzelać? – domyśliła się, ale on w ogóle nie zwrócił uwagi na jej pytanie. Opowiadał dalej, jakby znów znalazł się tam, na linii ognia.

– Najpierw pojechały nasze dwa transportery. I od nich dostaliśmy sygnał, że w pobliżu jakiejś zasranej wioski oba wpadły na miny pułapki. Takie, które musieli ci gnoje talibscy zainstalować w nocy, bo dzień wcześniej teren był

czysty. No więc nasi wezwali pomoc, bo stali tam jak na świeczniku i każdy mógł do nich otworzyć ogień. To wysłali nasze dwa rosomaki, żebyśmy ich ściągnęli do bazy. A jak już byliśmy blisko, to dostaliśmy informację przez radio od chłopaków, co siedzieli w tych uszkodzonych wozach, że coś się dzieje w wiosce na prawo od nas, że widać tam jakiś ruch. Nie było czasu na sprawdzanie, kto tam biega. Mieliśmy przed sobą kolegów w transporterach, które wjechały na minę, i jakichś brudasów latających koło drogi. I tu decyzja dowódcy patrolu mogła być jedna. Kazał się zatrzymać i wygarnąć w te chaty kilkoma seriami z karabinu maszynowego, i do tego jeszcze walnąć tam kilka razy z moździerza. Wszystko trwało kilkadziesiąt sekund. Spuściliśmy im łomot taki, że gdyby któryś z tych talibskich skurwieli miał jeszcze ochotę na strzelanie do nas, to po tym, co się stało, na pewno mu przeszło. I rzeczywiście zrobiło się cicho jak na pustyni. Tyle że potem okazało się, że w tej wiosce zginęli też cywile. Skąd mogliśmy wiedzieć, że tam są cywile? Myśmy zrobili, co trzeba było zrobić. Jeśli masz podejrzenie, że w domu kryje się wróg, najpierw strzelaj, a potem się pytaj, czy to prawda. No to zrobiliśmy to, co nam zawsze kazano robić. Zachowaliśmy się tak, jak powinni zachować się żołnierze i...

– Co się potem stało?

– Postawili nas wszystkich przed sądem. Potraktowali nas jak zbrodniarzy wojennych. Rozumiesz, nas żołnierzy jak zwykłych bandytów. I najgorsze jest to, że nikt się o nas nie upomniał, a w gazetach, w radiu i telewizji wszyscy robili z nas morderców...

– Dlatego nie masz telewizora? – domyśliła się.

– Nie jestem ciekawy, co mają w telewizji do powiedzenia.

– To znaczy, że uciekłeś od ludzi?

– Uciekłem od tych wszystkich, którzy tak łatwo wydają wyroki i osądzają innych. Od tych cholernych polityków, którzy nie wystawili nosa za sejm, ale wiedzą lepiej od nas, jak wygląda prawdziwa wojna, od tych wszystkich świń, które chodzą w białych koszulach i krawatach i zawsze na wszystkim się znają. Ciekawe, ile taki skurwysyn wytrzymałby pod ostrzałem wroga? Od razu zesrałby się ze strachu. Już nieraz widziałem takich cwaniaczków, którzy padali na ziemię, gdy tylko usłyszeli jakiś strzał...

– Rozumiem, że czujesz się skrzywdzony, to znaczy niesprawiedliwie potraktowany...

– Czuję, że ci, którzy powinni zapewnić nam bezpieczeństwo i ochronę, zwyczajnie nas wydymali. Ci, którzy u nas rządzą, wyrzucili nas do śmietnika. Mój kraj mnie wydymał, a ja przecież za ten kraj byłem gotowy oddać życie...

Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju dookoła stołu jak zwykle na boso, nawet bez skarpetek. Ciekawe, że nie marzną mu stopy, bo przecież w tym domu wcale nie jest ciepło, przeleciało jej przez głowę.

– Mnie też wszyscy zostawili. Byłam całkowicie sama i nikt nie wiedział, co się ze mną dzieje. Ty mówisz, że cię wydymał twój kraj, a mnie dymali przez kilka tygodni moi rodacy, ludzie, którym zapłaciłam za to, żeby bezpiecznie

dowieźli mnie do Polski...

– To nie to samo. – Zatrzymał się na wprost niej. W jego spojrzeniu była jakaś determinacja, tak jakby właśnie podjął decyzję. Teraz się poczuła trochę nieswojo.

– Czy pomożesz mi się dostać do miasta?

– Jeszcze nie dasz rady iść.

– A nikt tu nie ma samochodu?

– Leśnicy mają, ale oni są daleko. Z pół dnia pieszo.

– A ty?

– Ja? – Zrobił zdziwioną minę. – Ja nie mam czasu. Mam swoje sprawy. Ale nie martw się, możesz tu zostać, aż noga wydobrzeje. Potem pójdziesz, gdzie będziesz chciała. Pokażę ci drogę i pójdziesz. Ale na razie lepiej nie.

– Zamierzasz mnie tu więzić?

– Więzić? No coś ty. Jeśli chcesz, to idź. Nikt cię tu siłą nie trzyma. Ale na twoim miejscu bym tu jeszcze trochę został. Widziałem w lesie jakichś facetów, którzy wyglądali na uzbrojonych.

– Jakich facetów? Nic nie mówiłeś.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Przecież oni tu mogą przyjść. Na pewno mnie szukają! – Wstała, by szybko podejść do okna, zapomniawszy o bolącej nodze. Gdyby nie stół, upadłaby na podłogę. Złapała się blatu. Zobaczył, co się dzieje, przyskoczył do niej i chwycił pod ramię. Drugą ręką objął ją w talii i ostrożnie, można powiedzieć, że nawet bardzo delikatnie, poprowadził ku oknu. Stała pewnie,

chwyając się parapetu. Na zewnątrz nie dostrzegła jednak niczego, co mogłoby ją zaniepokoić.

– Tu nikt nie przyjdzie – stwierdził uspokajającym tonem. – Tu w ogóle ludzie nie przychodzą. Od czasu do czasu tylko grzybiarze.

– Dlaczego?

– Za daleko, a poza tym nie ma tu żadnej drogi. Ta, która była kiedyś, już dawno zarosła, bo nikt jej nie używał. To kompletne odludzie – powiedział, patrząc jej w oczy. Znów poczuła się nieswojo.

– A jeśli mnie tu znajdą?

Uśmiechnął się, a potem delikatnie zdjął jej dłonie z parapetu i jedną po drugiej oparł na swoich ramionach. Patrzyła na to zdziwiona, nie wiedząc, o co mu chodzi, jednak bała się przeciwstawić. Tym bardziej że Andrzej przez cały czas się uśmiechał. W końcu dotknął parapetu gdzieś pod krawędzią i naraz stara deska uniosła się w górę, jakby wypchnęła ją sprężyna. Pod deską ział czernią jakiś otwór. Nie mogła powstrzymać ciekawości i od razu przysunęła się bliżej, by zajrzeć do środka. Wewnątrz były jakieś papiery i coś ciemniejszego od samej skrytki. Włożył tam dłoń i po chwili wysunął. W ręce trzymał sporych rozmiarów pistolet. Nie znała się na broni, ale musiała przyznać, że ten okaz wyglądał naprawdę groźnie.

– To jest gwarancja mojego bezpieczeństwa. I twojego też. Nazywa się magnum. Nikt ci tu nic nie zrobi.

Popatrzyła na niego, potem na rewolwer.

– A ty mi niczego nie zrobisz?

– Jakbym chciał ci coś zrobić, możesz mnie zastrzelić.

Schował broń do skrytki, a potem podniósł dziewczynę i zaniósł do łóżka, by ostrożnie położyć na pościeli.

Rano zbudził ją i powiedział, że musi wyjść i wróci za kilka godzin.

– Lepiej nie wychodź z domu. Nie trzeba kusić losu – rzucił i naraz ni z tego, ni z owego pocałował ją w czoło. Jednak zrobił to tak delikatnie i z taką lekkością, że nawet nie pomyślała, żeby zareagować.

Czy ten pocałunek coś znaczy? – zastanawiała się przez pół dnia. Może niepotrzebnie przywiązywała do tego gestu zbyt wielką wagę. Może zrobił to odruchowo? Ty lepiej pomyśl, powiedziała do siebie, jak stąd się wydostać.

Pies pobiegł do bramy, szczekając głośno. Ktoś kręcił się w pobliżu. Na pewno to Andrzej wreszcie wrócił po załatwieniu tych swoich spraw. Swoją drogą ciekawe, co on ma za sprawy do załatwienia w środku lasu?

Ostrożnie i bardzo powoli pokuśtykała do kuchni. Stamtąd okna wychodziły na teren przed domem, tam, gdzie kiedyś do bramy dochodziła droga, a teraz wszystko było zarośnięte. Jednak musiała być tam jakaś ścieżka, skoro właśnie tamtędy Andrzej wychodził do lasu czy gdzie go tam oczy niosły. Poszła więc sprawdzić, czy to on. Ale gdyby wrócił gospodarz, pies czekałby przyjaźniej, popiskując z radości. A ten darł się jak oszalały.

Może jacyś grzybiarze tu przechodzą? Andrzej mówił, że o tej porze sporo ich się tu kręci. Zresztą widywała ich przy drodze, tam gdzie stała. Ci grzybiarze odstraszały jej

klientów, a ona przecież miała do wykonania dzienną normę. Jeśli zarobiła mniej, w baraku czekała ją awantura. Na szczęście to wszystko to już przeszłość. Tu chyba mogła czuć się bezpiecznie.

Podeszła do okna i ostrożnie odsunęła firankę. Zaraz jednak zasłoniła ją i aż się przestraszyła, że zrobiła to za szybko, bo tamten, co stał przy bramie, mógł to zobaczyć. Jednak najwyraźniej niczego nie dostrzegł, bo patrzył cały czas na ujadającego psa. To był Matros, jeden z jej oprawców. Palił papierosa i obserwował teren, spluwając pod nogi. W końcu nie wytrzymał i zawołał, starając się przekrzyczeć szczekanie:

– Zamknij ryj, jebańcu, bo zaraz dostaniesz takiego kopa, że polecisz w górę i zdechniesz z głodu w kosmosie jak pies Łajka! – Zadowolony ze swojego żartu natychmiast głośno się roześmiał. Pies być może przestraszył się okrutnego losu pierwszego radzieckiego kosmonauty, bo naraz zamilkł, szczerząc wielkie kły.

– No i tak ma być. Trzeba słuchać pana.

– Jakiego pana trzeba słuchać? – odezwał się ktoś za plecami Matrosa, a na dźwięk tego głosu serce zabiło jej mocniej. To Andrzej wynurzył się z zarośli porastających dawną drogę i podszedł do nieproszonego gościa.

– Ja nie do ciebie, ale do psa – stwierdził Matros.

– Urządzasz sobie pogaduszki z moim psem, gdy nie ma nikogo w domu?

– Nie wiedziałem, że nikogo nie ma. Chciałem tylko zapytać...

– O co zapytać?

– O taką jedną dziewczynę, co się tutaj w lesie zgubiła.

– Zgubiła? To trzeba dać znać na policję.

– Nie. – Matros machnął wielką łapą. – To bładź jedna, uciekła mojemu szefowi. Jego narzeczona, a on chce, żeby do domu wróciła.

– Tu nikogo nie ma i nie było.

– Ale jakby była, to może pan zadzwonić? O, tu mam numer telefonu do szefa.

– Nie mam...

– Szef będzie wdzięczny i nawet jeszcze zapłaci.

– Nie mam telefonu.

– Co? Jak nie masz telefonu?

– Normalnie, nie zapłaciłem, to nie mam.

– A, no to rozumiem. Jak się nie zapłaciło, to się nie dzwoni – pojął tę mądrą myśl. On w końcu też nieraz już nie opłacił rachunku i odłączali mu numer.

– Na pewno jej tu nie ma? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek, wskazując jednocześnie okno. Akurat to, za którym stała Wiera. Odsunęła się więc gwałtownie i mało brakowało, a by się przewróciła.

– Nie ma – powiedział Andrzej i przypadkowo odchylił poję swojej jeansowej kurtki. Specjalista od broni, Matros, natychmiast poznał specyficzny kształt rewolweru Magnum. I od razu zrozumiał, że naleganie na wypuszczenie do domu jest całkowicie pozbawione sensu. Jego walther nie mógł się w żaden sposób równać z tą amerykańską armatą.

Godzina 13.00

Emerytowany major Wojska Polskiego, Feliks Niedbała, lubił dalekie spacery. Niestety mieszkał w mieście, więc o te prawdziwe, takie dla zdrowia, podczas których można się było nawdychać świeżego powietrza, było zdecydowanie trudno. Dlatego starał się, jeśli było to możliwe, wsiadać do samochodu i wyjeżdżać gdzieś dalej. Nie jeździł sam. Miejsce obok niego, na przednim siedzeniu, zajmował zawsze jego pies rasy mieszanej, rudy i gładkowłosy Reks. Pies również uwielbiał te ich wspólne wyprawy. Zawsze pierwszy wskakiwał do auta, siadał na swoim fotelu i czekał, by móc przez okno podziwiać widoki. Podziwiał zwykle tak intensywnie, że trzeba było niezależnie od pogody opuszczać szybę od jego strony, bo w przeciwnym wypadku była całkowicie zaśliniona.

Do ich ulubionego miejsca spacerowego na Gołęczynie nie było daleko. Ledwie pięć minut jazdy. Niedbała mieszkał w wojskowych blokach, tuż za swoją dawną jednostką, czyli szkołą pancerną, i w sumie do lasu mógłby chodzić pieszo, ale wolał unikać zbyt dużej ilości spalin, które musiałby wdychać, idąc wzdłuż ruchliwej drogi. Dlatego samochód był najlepszym rozwiązaniem. Wsiadało się pod blokiem, potem jazda przez ulicę Wojska Polskiego, przejazd kolejowy i za chwilę zaczynały się tereny leśne dochodzące do niewielkiego jeziora o wdzięcznej nazwie Ruszałka.

Niedbała wjechał w zatoczkę, tuż przy ścianie lasu,

wyłączył silnik swojego czerwonego daewoo matiza i założył na głowę czapkę z daszkiem. Pies zaczął popisukiwać, bo jak zwykle nie mógł się już doczekać wyjścia. Szczeknął dwa razy, a jego pan pogłaskał go za uchem.

– No już, mordo ty moja. Już idziemy.

Otworzył drzwi i nim sam zdołał wygramolić się na zewnątrz, Reks już wpakował się mu na kolana i zaraz wyskoczył na ziemię. Jego pan zabrał jeszcze z tylnego siedzenia smycz, tak na wszelki wypadek, bo zazwyczaj pies biegał luzem, i obaj ruszyli wydeptaną ścieżką w głąb zarośli. Do jeziora nie mieli daleko. Ledwie dziesięć minut spokojnego marszu, podczas którego były oficer przemierzał drogę równym, sprężystym krokiem, jednostajnym wojskowym tempem marsza legii cudzoziemskiej, a jego pies biegał dookoła siebie tylko znanymi ścieżkami, które wyznaczały mu najprzeróżniejsze zapachy, jakich pełno w każdym lesie.

Dotarłszy do alejki biegnącej wzdłuż jeziora, Niedbała przystanął i począł rozglądać się dyskretnie wokół. Dyskretnie, by nikt nie dostrzegł, że to robi. Ale nikt nie mógł zauważyć ciekawskiego emeryta, bo nikogo nie było w pobliżu. Tylko tacy wytrwali i zaprawieni w długich marszobiegach weterani jak on nie bali się kapryśnej aury. Stary wiarus cenił sobie nade wszystko kontakt z przyrodą, więc z powodu byle deszczyku nie zamierzał rezygnować z przyjemności. Prócz tego cenił sobie jeszcze kontakt z pewną bardzo przyjemnie wyglądającą panią, która tak jak on chodziła tu o tej samej porze na spacerze ze swoim psem. Lubił jej wyprostowaną postawę, głowę osadzoną na długiej szyi i dźwięczny głos, którym przywoływała

suczkę, spanielkę o wdzięcznym imieniu Daisy. Może i ceniłby znacznie więcej w owej damie, gdyby lepiej ją poznał. Niestety ich wzajemne kontakty ograniczały się jedynie do wymiany uśmiechu i zdawkowego „dzień dobry” w chwili, kiedy mijali się, nadchodząc z dwóch różnych stron. Ona podążała dalej z tą swoją dumnie wzniesioną głową, od czasu do czasu wołając na suczkę, a on spoglądając co chwila za siebie, chował się w gąszczu krzaków, by ukryć w ten sposób własną bezradność i kompletną nieśmiałość wobec kobiet.

Każdego dnia obiecywał sobie, że na pewno już dzisiaj, zaraz po powitaniu, powie coś o pogodzie albo o psach, które wesoło machały na siebie ogonami, obwąchiwały się, a potem odchodziły za swoimi właścicielami, bo ci nigdy nie przystawali, by spotkanie dwóch psów mogło zostać zwieńczone wzajemnym lizaniem po pyskach. Każdego dnia były oficer, który potrafił obsobaczyć niejednego podoficera, nie mówiąc już o szeregowcach, tracił całkowicie głowę na widok kobiety, o której marzył od dwóch lat. I każdego dnia układał sobie pierwsze zdanie, które wypowie, gdy będą się mijać. A kiedy nadchodził już ten moment, gdy słowa ustawiały mu się na języku w równym wojskowym szeregu, naraz następowało opamiętanie i po plecach ściekał zimny pot. A ona odchodziła i niknęła za zakrętem, on zaś włąził w krzaki, sikał pod najbliższym drzewem, a potem ruszał z powrotem ku miejscu, gdzie stał jego samochód.

Gdy dziś ją dostrzegł, spóźnioną dwie minuty, poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej. Szła jak zwykle krokiem pewnym i pełnym gracji. On oczywiście patrzył pod nogi,

żeby z podniesionym spojrzeniem nie wydać się jej zbyt impertynenckim, i tylko od czasu do czasu zerkał ukradkiem, czy już jest wystarczająco blisko, by się przywitać i zacząć mówić o wyjątkowo brzydkiej pogodzie...

– Auu! – Usłyszał naraz skowyt swojego psa. – Auu! –

Pies zawył znowu, ale tym razem znacznie dłużej. Mężczyzna zatrzymał się i spojrzął w prawo, tam skąd dobiegały psie skargi. Kobieta też stanęła. Jej suczka próbowała nadstawić uszu, ale dla spaniela to zadanie niemal niewykonalne. I pewnie dlatego, nie namyślając się długo, wskoczyła w krzaki i pobiegła za znajomym głosem.

– Auu! – Psi jęk wzbił się w górę i poleciał ponad konarami drzew. Były oficer nie miał zamiaru dłużej czekać. Ruszył biegiem w leśne ostępy.

– Daisy! – zwołała kobieta i też potruchtała za swoją ulubienicą.

Reks siedział pod wysoką sosną i z nadzieją spoglądał w kierunku jeziora. Gdy usłyszał ciężkie kroki i jeszcze cięższe sapanie, uniósł się i zamerdał ogonem. Ale zanim pojawił się jego pan, pierwsza na miejsce przybiegła Daisy. Uradowany pies zaszczekał głośno, a suczka odpowiedziała zalotnie. Tym razem nie było jednak codziennego rytuału powitania i wzajemnego obwąchiwania. Reks odskoczył w bok i zaraz przystanął, jakby chciał jej coś pokazać. Podeszła ufnie i stanęła obok niego, wpatrując się ciekawie w znalezisko. Musiało być rzeczywiście interesujące, bo suczka zapiszczała radośnie i przysiadła obok swojego kolegi. Ten zaś szczechnął

znowu, widząc, że nadchodzi jego pan.

Początkowo były oficer nie zrozumiał, co się dzieje. Dwa psy siedzące obok siebie i wpatrujące się w coś, co leżało w niewielkim zagłębieniu. Pewnie znalazł jakieś lisie ścierwo czy coś w tym rodzaju.

– Daisy, gdzie jesteś? – zawołała kobieta.

– Tu są oba! – odpowiedział jej i pomachał.

– Co im się dzisiaj stało? Zawsze są takie grzeczne.

– To wina Reksa, proszę pani. Coś tam znalazł i chyba chciał się pochwalić.

– Och, te nieznośne psiaki. Co też one wyprawiają. O, widzę moją Daisy. Co tam robisz, kochanie?

– To może być padły lis albo jenot.

– Jenot? A co to takiego ten jenot? To jakiś ptak?

– Nie, jenot to...

Całe szczęście, że zaniemówił z wrażenia, bo nie bardzo wiedział, co to jest ten jenot. Coś jak borsuk i lis razem, ale to nie byłaby najlepsza definicja. Za to to, co leżało w zagłębieniu, dawało się zdefiniować bardzo prosto.

– Mój Boże, co to! – zawołała kobieta, podchodząc bliżej.

– To jest, proszę pani, czołgista.

– Skąd pan wie?

– Bo, proszę pani, czołgiści mają specyficzne kombinezony czołgowe. Widzi pani, cały jest czarny – mówiąc to, wskazywał palcem na leżącego

w nienaturalnej pozycji z szeroko rozłożonymi rękoma i z twarzą wciśniętą w stertę zwiędłych liści człowieka.

– Ale jemu coś jest? Może zasłabł?

Były major pokręcił głową i zaraz zacisnął usta, przybierając minę człowieka pewnego swoich słów.

– Absolutnie nie. Nie zasłabł. On, proszę pani, nie żyje.

– Skąd pan wie? Może trzeba mu pomóc wstać, to się ocknie. Albo mu dać wody? Ma pan wodę? Albo niech go pan podniesie. Może trzeba go o coś zapytać? Halo, proszę pana, jak pan się czuje? Proszę pana!

– Nic z tego. Nie odpowie. Ludzie z takimi dziurami w karku raczej nie wstają.

– A skąd pan to niby wie?

– Bo ja, droga pani, jestem emerytowanym oficerem Wojska Polskiego i na ranach postrzałowych się znam bardzo dobrze. Pani pozwoli, major Feliks Niedbała – przedstawivszy się, skłonił sprężyście, jak na oficera przystało.

– Elwira Kolasa, nauczycielka na emeryturze, od niedawna na emeryturze.

– A pani się nie boi trupa? – zapytał z uznaniem, skonstatowawszy, że kobieta nie mdleje ani nawet nie płacze.

– Ja, proszę pana, uczyłam biologii i w swoim życiu przeprowadziłam niejedną wiwisekcję żaby.

– A ma pani telefon? Bo ja chyba swój zostawiłem w samochodzie.

– Oczywiście. – Sięgnęła do kieszeni kurtki i wydobyła

z niej starą nokię.

– Na policję czy pogotowie zadzwonić? – zapytała, patrząc na niego z podziwem, jak na prawdziwego eksperta.

On tymczasem pokiwał głową i uśmiechnął się pod równo przyciętym siwym wąsem.

– Pogotowie już tu nic nie ma do roboty. Znam się na tym, bo już w swoim życiu niejednego zabitego widziałem. Za pani pozwoleniem, zadzwonimy prosto na policję – powiedziawszy to, wyjął z dłoni emerytowanej nauczycielki telefon, wystukał numer alarmowy i przyłożywszy komórkę do ucha, spojrzął z wdzięcznością na swojego psa. Gdyby nie on, pewnie nigdy nie odważyłby się na rozmowę z tą panią Elwirą. To Reks zaaranżował mu pierwszą randkę. I to jaką? Taką w iście wojskowym, a można by powiedzieć nawet frontowym stylu, która przypomniała pierwsze leśne spotkanie w okopach Janka Kosa i Marusi Ogoniok. Szkoda tylko tego młodego czołgisty, który poległ, by złączyć dwie pokrewne dusze i dwa psy, które być może odtąd będą mogły do woli obwąchiwać się nawzajem.

Rozdział VI

Godzina 16.10

Volkswagen transporter wjechał wolno na zabudowane z czterech stron podwórko hurtowni materiałów budowlanych. Mimo że dzień był handlowy, na podjeździe i w budynkach magazynowych nie widać było żadnego ruchu. Hurtownia sprawiała wrażenie całkowicie wymarłej. Gdyby nie ten dostawczak, w promieniu kilkudziesięciu metrów nie poruszałyby się zupełnie nic.

Na pokrytym starą papą dachu przysiadło stadko gołębi, które musiały zapewne przylecieć z pobliskich działek. Tutaj na Górczynie były cztery ogródki działkowe, a nieco dalej na Łazarzu jeszcze dwa takie zielone kompleksy. Wielu działkowców hodowało więc gołębie, które zamiast trzymać się ogródków, latały i srały, gdzie popadnie.

Te na dachu magazynu z zainteresowaniem przyglądały się pustemu kwadratowi podwórka, którego jedyną ozdobą był dostawczy volkswagen. Zapewne sprawdzały, czy nie znajdzie się na dole nic do zjedzenia, a gdyby było tam coś interesującego, to trzeba jeszcze dokładnie zlustrować cały obszar, bo przecież każdy porządny gołąb wiedział, że w takich miejscach może się czaić jakiś kot, który tylko czeka na okazję. Koty były śmiertelnym zagrożeniem, ale

nie ludzie. Ten, który leżał zaledwie jakieś pięć metrów na lewo, rozłożony płasko na dachu magazynu, nie wzbudzał żadnego zainteresowania ptaków.

Mężczyzna ubrany w czarną kurtkę kroju wojskowego i w czarnej wełnianej czapce na głowie był nawet zadowolony z towarzystwa. Dzięki temu nikt, kto by patrzył z dołu, nie dostrzeże go, bo spojrzenia ciekawskich przyciągną gołębie. On tymczasem pozostanie w ukryciu.

Leżał za niewielkim ceglany kominem i zza jego krawędzi patrzył przez małą lornetkę na podwórko. Jedynym punktem, w którym mogło się coś wydarzyć, był środek dziedzińca, tam gdzie stał dostawczak. Jednak kierowca samochodu nie zamierzał się ruszyć, najwyraźniej na coś albo na kogoś czekał.

– Jedyńka, co tam widzisz, melduj. – Obserwator usłyszał głos w słuchawce, którą miał wciśniętą w ucho. Na cienkim druciku zamocowany był do niej mikrofon. Dotknął go lewą dłonią i zbliżył do ust.

– Wjechał ten szary transporter i stoi.

– Kto w nim siedzi?

– Jest tylko kierowca. Nikogo innego nie widzę.

– A w budynkach?

– Mówię, kurwa, że nikogo nie widzę... Nie, zaraz, coś się dzieje.

– Melduj, co widzisz!

– Otworzyły się od środka drzwi magazynu i wychodzi jakiś facet, kurwa, z kałachem w ręce...

Krótko, po wojskowemu obcięty mężczyzna w kurtce

moro, z karabinem opartym na ramieniu, stanął na rampie wyładowniczej i rozejrzał się wokół. Niczego interesującego nie dostrzegł poza stadkiem białych gołębi na dachu bocznego pawilonu hurtowni. Splunął pod nogi, a potem machnął ręką na kierowcę. Ten odpalił silnik. Furgonetka na tylnym biegu wykonała półobrót, a potem jeszcze jeden i ustawivszy się tyłem do rampy, powoli podjechała do miejsca, w którym stał ten z kałachem. Silnik znów zamilkł, a kierowca wyskoczył z szoferki. Podszedł do rampy, wspiął się na nią z łatwością i podszedł do tego uzbrojonego. Podali sobie ręce i po chwili obaj zniknęli wewnątrz magazynu.

– Jedynka, melduj, co się dzieje.

– Teraz cisza i spokój. Weszli do magazynu. Znaczący ten, co przyjechał furgonetką, i ten z kałachem.

– Da się zobaczyć, co jest tam w środku?

– Gównem się da zobaczyć. Trzeba było mu kamerę zaczepić na tę furę.

– Bardzo śmieszne.

– Pamiętaj, że jak będzie tam to, o czym myślę, to stawiacie dużą wódkę.

– Nie gadaj, tylko patrz.

– Wychodzą. Jest, kurwa, bingo. Lećcie po flaszkę – powiedziawszy to, natychmiast sięgnął po swój telefon komórkowy. Włączył tryb seryjny i zaczął robić zdjęcia.

Skrzynki nie były duże, ale solidnie zbudowane z desek i dodatkowo jeszcze obite drewnianymi listwami. Kierowca transportera dźwigał dwie, a ten od kałasznikowa chwycił trzy. Postawili swoje skrzynie na

brzegu rampy, tuż przy tylnych drzwiach volkswagena. Gdy odwrócili się, by pójść po następne, ze środka wyszedł jeszcze jeden człowiek. Był niższy niż ci dwaj, szczuplejszy i zdecydowanie starszy. Kierowca i ten ubrany po wojskowemu facet byli jeszcze przed trzydziestką, a on mógł mieć czterdzieści albo i więcej. Nic więc dziwnego, że nie zamierzał obciążać za bardzo swoich mięśni. Przyniósł tylko jeden pakunek. Położył go ostrożnie na innych skrzyniach i wrócił do magazynu.

– Mamy trzech gości w sumie. Ładują skrzynki.

– Ile ich jest?

– Cholera wie. Na razie widzę sześć. Ale jeszcze noszą. No w sumie dziesięć. Kierowca zeskoczył z rampy i idzie do auta. Ci dwaj stoją i czekają.

– Może pójdziesz im pomóc ładować.

– Co pierdolisz?

– Będzie szybciej.

– Pierdol się. Bez odbioru.

Kierowca zamknął tylne drzwi furgonetki i poszedł w kierunku szoferki. Ten ubrany po wojskowemu wszedł do magazynu, by po chwili pojawić się znowu z kałasznikowem w ręce. Tymczasem najstarszy poczekał, aż jego kolega wyjdzie na zewnątrz, a gdy już stanął na rampie, złapał za solidny uchwyt i szarpnął drzwi bramy, które przesunęły się i zatrzasnęły z hukiem. Zaraz założył na nie kłódkę, a klucz schował do kieszeni.

Przez jakąś chwilę obaj mężczyźni rozmawiali ze sobą. Ten starszy wymachiwał przy tym rękoma, jakby starał się coś wytłumaczyć szczególnie opornemu rozmówcy.

W końcu facet od kałasznikowa skinął głową, klepnął starego w ramię i zeskoczył z rampy. Po chwili siedział już w szoferce. Silnik zaskoczył. Tymczasem ten, który został, przemierzył całe podwórko hurtowni i stanął przy bramie. Obejrzał się za siebie, a potem wyjrzał na drogę. Badał teren z prawej i lewej strony, ale nic nie wzbudziło jego niepokoju. Na prawo od hurtowni stały zaparkowane trzy auta, na lewo nie było widać nic. Kompletna pustka, czyli typowa ulica zabudowana płotami ogradzającymi posesje, na których się handluje, produkuje lub naprawia. Zadowolony odwrócił się i spojrzawszy w głąb podwórza, machnął ręką kilka razy. Volkswagen ruszył wolno, by przed wyjazdem na ulicę przystanąć.

Kierowca wrzucił lewy kierunkowskaz i dostawczak wytoczył się na ulicę pokrytą asfaltem, który czasy swojej świetności przeżywał w okresie propagandy sukcesu, a teraz niezbitcie dowodził swoim beznadziejnym stanem, że każdy sukces kiedyś przeminie.

Pozostawiony sam sobie mężczyzna patrzył jeszcze przez chwilę w ślad za odjeżdżającym wozem, po czym pociągnął ku sobie oba skrzydła bramy, by zaraz spiąć je grubym łańcuchem. Gdy to zrobił, wydobył z kieszeni paczkę papierosów, wetknął jednego w usta i zapalił. Potem spokojnym krokiem podszedł do schodków prowadzących na niewielki podest. Na nim osadzona była metalowa furtka, przez którą można było przedostać się na zewnętrzny plac hurtowni, wychodzący na sąsiednią ulicę. Otworzył furtkę i wyszedł.

– Furgonetka pojechała w waszą stronę. W środku kierowca i gość z kałachem.

– Dobra, widzimy ją, zaraz będzie przy nas.

– Uważajcie na tego z giwerą.

– Spoko, damy sobie radę. To ty uważaj na tego swojego.

– O mnie się nie martw.

– Jakby co, to go zagadaj, a my za parę minut, jak tu zrobimy porządek, wpadniemy ci pomóc.

– Pierdol się. Idę po niego.

– Zaraz u ciebie będziemy.

Mężczyzna w czarnej kurtce i czarnej czapce uniósł się, opierając o komin, a potem w kilku susach dopadł krawędzi dachu. Facet, który zamykał przed chwilą hurtownię, stał przy zaparkowanym przed głównym budynkiem pomarańczowym oplem kadetem. Wyglądał, jakby szykował się do drogi, ale przed jazdą chciał jeszcze dopalić papierosa, by nie smrodzić sobie w aucie. W każdej chwili mógł jednak rzucić niedopałek i wsiąść do samochodu. Na to ten z dachu nie mógł pozwolić. Szybko ocenił wysokość, która dzieliła go od ziemi. Na oko jakieś pięć metrów. Przykucnął więc przy krawędzi dachu, chwycił się rynny i powoli spuścił w dół. Miętko opadł na trawnik przed hurtownią, mimo to uderzenie o ziemię było na tyle silne, że stojący przy samochodzie odwrócił się za siebie. Dostrzegłszy intruza, aż otworzył usta ze zdumienia, a papieros wypadł mu na chodnik. Był tak zaskoczony, że nawet nie pomyślał o jakiegokolwiek formie obrony. I całe jego szczęście, bo gdyby spróbował się bronić, zapewne na jego twarz spadłaby cała seria mocnych ciosów. A tak wystarczył jeden, by odesłać go

w czarną przepaść.

– Jak tam, chłopaki, wpadniecie do mnie, bo mój kumpel czeka na transport.

– Cicho, kurwa!

– Czekam tu z drugiej strony i...

– Zajedź mu drogę!

– Bierzemy skurwysynów.

– Uwaga na tego z lewej. Jacol, trzymaj go cały czas na muszce!

Z bramy hurtowni wyjechała powoli popielata furgonetka. Przez chwilę nic się nie działo. Ulica była kompletnie pusta. Kierowca dostawczaka wrzucił trójkę i auto zaczęło się rozpędzać. Naraz z prawej strony na ulicę wyjechało białe audi i zatrzymało się na jezdni, blokując drogę volkswagenowi. Jego kierowca gwałtownie zahamował. Z samochodu osobowego wyskoczyło trzech mężczyzn po cywilnemu uzbrojonych w pistolety. Dwaj z bronią wycelowaną w siedzących w szoferce stanęli na wprost maski samochodu dostawczego. Trzeci wyposażony w krótki automat Uzi podbiegł do drzwi pasażera, mierząc w siedzącego tam człowieka w wojskowej kurtce. Ten uśmiechnął się do uzbrojonego. Coś do niego powiedział...

– Wyłaź, kurwa, tylko powoli i łapy w górze! – krzyknął cywil do pasażera, jednocześnie robiąc krok do przodu. I to był błąd. Kopnięte drzwi otworzyły się, z impetem uderzając w dłonie trzymające pistolet. Ten wypalił, ale kula z hukiem wbiła się gdzieś w karoserię. Ze

środką wyskoczył na asfaltową jezdnię facet z kałasznikowem w rękach. Jednak jego przeciwnik nie wypuścił z dłoni pistoletu. Nacisnął spust, wypuszczając serię, ale żadna z kul nie dosięgnęła tego z transportera. Ten przeładował kałasznikowa i nie mierząc, strzelił z biodra. Seria przecięła w pół przeciwnika. Lufa odwróciła się w lewo i skierowała w stronę pozostałych dwóch mężczyzn. Ci najwyraźniej zostali kompletnie zaskoczeni rozwojem wydarzeń, bo żaden z nich dotąd nie wystrzelił. Kolejna seria i drugi z mężczyzn padł na asfalt. Wtedy ten trzeci w końcu obudził się z letargu. Strzelił, posyłając jedną, za to doskonale wymierzoną kulę ze swojego glocka. Ta wbiła się w nasadę nosa człowieka w wojskowej kurtce. Karabin upadł na asfalt, a zaraz za nim jego właściciel. Teraz ten z glockiem odwrócił się w prawo, by sprawdzić, co dzieje się z kierowcą. Ale nie dostrzegł go już w szoferce. Podszedł więc bliżej, uważnie się rozglądając. Człowiek, który siedział jeszcze przed chwilą za kierownicą, teraz skulony kucał przy kole auta. Wyglądał tak, jakby się tu schronił przestraszony strzelaniną.

– Wstawaj, już po wszystkim. Wstawaj i oprzyj dłonie na masce – rzucił ostro ten z glockiem. Przyczajony facet podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. A potem rozległ się strzał i glock wypadł z bezwładnej dłoni. Mężczyzna osunął się na kolana, jednak cały czas był świadomy tego, co się dzieje. Kierowca uśmiechnął się i strzelił ponownie, a posłana przez niego kula trafiła tego drugiego w pierś. Mężczyzna przewrócił się na bok. Kierowca przeszedł koło niego, wskoczył do volkswagena i wrzucił wsteczny bieg. Furgonetka odbiła od blokującego

drogę audi i ruszyła do przodu z piskiem opon, mijając pobojuwisko. Na ulicy został samochód i czterech postrzelonych ludzi.

Naraz radio zainstalowane w audi ożyło. Z głośnika wydobył się przestraszony głos:

– Chłopaki, kurwa, co się dzieje? Meldujcie. Jacy, macie ich? Kurwa, chłopaki, ja pierdolę, jak to ma być żart, to głupi w chuj. Odzywać się, gnoje!

Godzina 16.30

– W zasadzie to powiem wam, że mam to głęboko w dupie. – Fred Marcinkowski podszedł do wielkiej lodówki i otworzył drzwi. Rudy kot, który spał w jakimś odległym kącie mieszkania, natychmiast zareagował. W kilka sekund był już koło swojego pana, mrużąc i ocierając się o nogi kocim, żebraczym zwyczajem. Jego pan, który chciał sięgnąć do zamrażalnika po kostki lodu, spojrzał na zwierzaka i się uśmiechnął. Wiadomo, że koty zawsze mają pierwszeństwo.

Chwycił butelkę mleka i pochylił się nad pustą miską. Nalał trochę, a łakome zwierzę mało nie wsadziło głowy pod mleczny strumień. Już nieraz dał się oblać, ale łapczywość likwidowała wszelkie hamulce.

– Kotom nie powinno się dawać mleka – odezwał się znawca kocich upodobań Brodziak, który nigdy nie miał własnego kota. – Czytałem w internecie, że mleko im szkodzi – pochwalił się swoją fachową wiedzą, a Fred

pokiwał głową.

– Spróbuj to wytłumaczyć mojemu.

– Jak się nazywa? – zapytał Grubiński, który właśnie rozsiadał się przy kuchennym stole.

– Kicia – wyjaśnił gospodarz.

– Oryginalnie.

– Powinien chyba mieć jakiś numer? – Mirek Brodziak przypomniał sobie, że u Marcinkowskich zawsze był jakiś kot. I zawsze to była Kicia.

– Nie pamiętam, może piąta albo szósta – mówiąc to, Fred spojrzął na zdjęcie wiszące na ścianie, tuż przy oknie wychodzącym na podwórze. Na fotografii była jego żona Grażyna z kotem na rękach. Tak, ten czarny, którego trzymała, to była Kicia cztery, przypomniał sobie. Ona by to najlepiej wiedziała. Zdjęcie sprzed dwóch lat, kot już w wieku podeszłym, a Grażyna jeszcze w doskonałej formie. Najpierw zgasła Kicia Cztery, a dwa miesiące po niej Grażyna.

– Dobrze, że ona tego nie widzi. – Fred wskazał na gazetę rozłożoną na stole z jego całkiem udaną fotografią w mundurze milicjanta.

Brodziak schylił się i z kartonu, który przed chwilą wniósł do mieszkania i postawił pod kuchennym stołem, wydobyl butelkę Johnniego Walkera. Nie wiedział, co odpowiedzieć przyjacielowi. Zawsze był kiepski w pocieszaniu. Właściwie to w ogóle nie potrafił tego robić. A teraz w tej idiotycznej sytuacji, w której najbliższy kumpel został fałszywie oskarżony, zupełnie nie potrafił się zachować. Zrobił więc to, co potrafił robić

najlepiej. Zabrał drugiego kumpla i kupił karton alkoholu. Dobrze wiedział bowiem, że w takich trudnych momentach kolega nie powinien być sam.

Nie żeby bał się o niego. Wiedział, że Marcinkowski to typ silnego faceta, który nie zrobi sobie niczego złego ani też nie wymyśli żadnej głupoty. Tyle że nie chciał go zostawić samego. Tym bardziej że jego jedyny syn Filip z żoną i dwójką dzieci od roku mieszkał w Anglii. Od tego czasu Marcinkowski mógł w swoim własnym domu pogadać co najwyżej z Kicią Pięć.

– Ona by powiedziała to samo. – Mirek zdjął nakrętkę i rozlał alkohol do trzech szklanek.

– Co by powiedziała? – Fred postawił metalowy pojemnik z lodem na stół.

– Powiedziałyby, że możesz mieć to głęboko w dupie.

– Może trochę inaczej by to ujęła – zgodził się z kolegą gospodarz. – Grażyna nigdy nie przeklinała.

– Jak to jest, powiedzcie mi, chłopaki. – Rychu chwycił swoją szklankę. – Jak to jest, do cholery, że tacy dobrzy ludzie jak twoja żona odchodzą, a największe kreatury łązą po świecie zadowolone z życia.

– A kto powiedział, że ma być sprawiedliwie? – Brodziak zrobił zadumaną minę, a potem pociągnął łyk szkockiej.

– I dlatego musimy tej sprawie się dokładniej przyjrzeć – stwierdził Rychu. Fred spojrział na niego zdziwiony.

– Czemu niby chcesz się przyglądać? – zapytał.

– No jak czemu? – Grubiński wzruszył ramionami. –

Tak mi się widzi, że kumpli ma się między innymi po to, żeby można było na nich liczyć. No więc jak ktoś naszemu kumplowi robi coś złego, to trzeba temu komuś powiedzieć, że się nieładnie bawi.

– Łe, daj spokój, Rychu. – Marcinkowski machnął ręką.
– Na razie nie ma z kim gadać, bo nie wiemy, kto za tym stoi.

– Coś już wiemy. – Brodziak stuknął palcem w zdjęcie z pierwszej strony gazety. – Wiemy, że ktoś, kto to wszystko rozpuścił, ma dostęp do milicyjnych papierów.

– Dziennikarz mógł przecież coś znaleźć... – Fred powiedział to w taki sposób, że od razu można się było domyślić, że sam w to nie wierzy.

– No pewnie. Znalazł, jebaniec, na swojej wycieraczcze spreparowane papiery esbeckie? Nie wierzę w garbate aniołki, Fred. Ten skurwiel, który to napisał, dostał cynk od jakiegoś kutasa z dawnego resortu. Tylko teraz jest pytanie, co ten ktoś chce osiągnąć. Czy to są jakieś stare porachunki, czy może chodzi o coś zupełnie innego, coś świeżego. Pomyśl o sprawach, które miałeś na tapecie, czy czasami komuś nie nadepnałeś ostatnio na odcisk, komuś, kto by się chciał odegrać.

Gospodarz wstał od stołu i ze szklanką w dłoni podszedł do kredensu, gdzie zainstalowane było kuchenne radio. Zaczął przeszukiwać zapisane fale, aż wreszcie trafił na muzykę, która odpowiadałaby także gościom. Pink Floyd to była grupa ich młodości. Ustawił pokrętko potencjometru nieco ciszej niż w chwilach, w których był w domu sam. Przestrzeń wielkiej kuchni przedwojennego mieszkania wypełniły takty wystukiwane przez urządzenie

do sortowania pieniędzy.

– Ciągłe komuś nadeptuję na odcisk. Przecież dobrze wiesz, Miras. Taka to robota, że człowiek z każdym rokiem ma coraz więcej wrogów.

– A ktoś ci groził?

– Nie dalej jak wczoraj jeden gość, który pójdzie siedzieć za kilka gwałtów i próbę zabójstwa, powiedział mi, że jak wyjdzie, to wsadzi mi trzonek od łopaty w dupę. Ale on nie wyglądał na faceta, który dałby radę oskarżyć mnie o donoszenie na kumpli.

– Teoś Olkiewicz powinien zrobić konferencję prasową. – Rychu dopił resztę zawartości swojej szklanki i chwycił butelkę, by zrobić dolewkę.

– Pomysł świetny. – Brodziak pokiwał głową. – Tyle że jest pewien problem. Teofil śmiertelnie boi się kamer telewizyjnych. Pamiętasz, jak w osiemdziesiątym szóstym musiał opowiedzieć o efektach śledztwa, jak byliśmy wtedy w Gnieźnie?

Fred uśmiechnął się pod wąsem. Wtedy ta pierwsza i jedyna w tamtych czasach konferencja prasowa zorganizowana przez poznańską milicję zakończyłaby się kompletną klapą, gdyby Brodziak nie uratował sytuacji i sam nie zaczął mówić do kamery. Ich śledztwo obserwowała w napięciu cała Polska, bo musieli odszukać ludzi, którzy zniszczyli i, jak się później okazało, przetopili srebrną figurę przedstawiającą świętego Wojciecha. Udało się znaleźć sprawców dość szybko, bo byli kiepskimi fachowcami, a o rezultatach śledztwa miał w „Dzienniku Telewizyjnym” powiedzieć człowiek, który

natrafił na sporych rozmiarów fragment rzeźby porzucony przez złodziei. Zadanie jednak przerosło Teofila Olkiewicza, który był tak stremowany, że nie potrafił sklecić dwóch zdań, a do tego wszystkiego jeszcze spadł z niewielkiego taboretu, na którym kazali mu stać dziennikarze telewizyjni, aby wyrównać niedostatki jego postury¹⁴.

– Stary Olkiewicz może jeszcze dostać zawału, występując w telewizji – stwierdził Marcinkowski. – Nie możemy chłopca wystawiać na taką próbę. Nie chcę mieć go na sumieniu.

– No to niech udzieli jakiegoś wywiadu dla gazety albo coś – nie dawał za wygraną Grubiński. Dla niego sprawa była prosta. Najpierw Olkiewicz, który pisał raporty, bo nie miał innego wyjścia, powinien ogłosić światu, że to właśnie on był tym, który współpracował z SB. No a potem trzeba się zająć dziennikarzem. – Olkiewicz niech się przyzna – ciągnął dalej. – Dziennikarz napisze, że to pomyłka z oskarżeniami Freda, a potem się go kulturalnie zapyta, kto mu zlecił napisanie tego artykułu, znaczy się, kto mu zapłacił. No i wtedy będziemy w domu.

– To są bandyckie metody – stwierdził policjant.

Gruby Ruchu rozłożył ręce i zrobił przy tym minę całkowicie niewinnego człowieka.

– Zaraz tam bandyckie. Po co takie wielkie słowa do takiej małej sprawy. My sobie z Mirkiem przyuważymy tego gościa, co to napisał... – Przysunął gazetę bliżej siebie i zaczął powoli odczytywać nazwisko. Nie szło mu za dobrze, bo nie miał na nosie okularów. Stuknął więc

palcem w artykuł i skinął na Brodziaka. – Weź, no, popatrz na nazwisko tej szmaty, bo ja coś kiepsko przy tym świetle widzę.

– Jarosław Kociak.

– No proszę, jakie ładne nazwisko – ucieszył się Rychu.
– Prawie jak twoja Kicia. Kicia Numer Sześć, można by w zasadzie powiedzieć. No to my go kulturalnie zaprosimy na kawę i z nim pogadamy. Co nie, Mirek?

– Pewnie, że tak. – Brodziak poparł kumpla. – W tym jesteśmy całkiem skuteczni. – Zadowolony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Marcinkowski wiedział, jak zabójczo skuteczna potrafi być ta para. Mirek nieraz udowodnił tę swoją efektywność podczas przesłuchań, które prowadził w ich komendzie. Robił to na początku z uprzejmym uśmiechem na ustach i można by nawet powiedzieć, że niekiedy z przesadną grzecznością, do czasu aż przesłuchiwany swoim upartym milczeniem nie doprowadzał go do utraty cierpliwości. No i wtedy Mirek Brodziak, dawny wywijas ze Starego Rynku, przechodził do konkretów, czyli do sposobów, których nauczył się w młodszych latach na ulicy. I te jego przesłuchania zazwyczaj przynosiły odpowiedni skutek, bo przestępca otwierał się przed milicjantem jak wiosenny kwiatek po porannej mżawce.

Natomiast jego kumpel, przez wiele lat szef poznańskich cinkciarzy, nie bawił się w żadne uprzejmości. Jego metody były proste, ale niesłychanie efektywne. Ludzie Grubińskiego natychmiast przechodzili do argumentów siłowych, by w razie sytuacji bardziej skomplikowanej korzystać z wytworów świątłych ludzkich

umysłów, takich jak obcęgi, akumulator czy wiertarka.

Oczyma wyobraźni zobaczył rozebranego do naga cherlawego pewnie redaktora, którego Brodziak właśnie przywiązuje do krzesła taśmą klejącą, a Rychu pochyła się nad nim z włączoną wiertarką w dłoni...

– Nic z tego! Nie zgadzam się na przesłuchania!

Mirek i Rychu spojrzeli na siebie, jeden się uśmiechnął, drugi skinął głową, a Fred zrozumiał, że zabranianie im czegokolwiek nie ma sensu. I tak zrobią swoje i wyciągną wszystkie informacje z dziennikarza, więc nie ma takiej siły, która by im tego mogła zabronić. Te dwa podstarzałe przyki znów chciały poczuć się, jakby mieli po trzydzieści lat i dziennikarz sam im się podłożył. Zdaje się, że był na tyle głupi i nieobeznany ze stosunkami panującymi w Poznaniu, że nie wiedział, jakie dziwne znajomości ma Fred.

– Dobra – rzucił pewnym głosem, a oni spojrzeli zaraz na niego nieco zdziwieni. Byli przekonani, że Fred będzie stawiał opór i nie pozwoli, żeby mieszcili się w jego sprawy ze swoimi sposobami rozwiązywania węzłów gordyjskich. A tu tymczasem zgoda? Brodziak zrozumiał, że musi się za tym kryć jakiś podstęp.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?

– Dowiecie się wszystkiego, ale zgodę musi wydać ktoś, kto jest wyżej ode mnie.

– Kto? Ten twój dupowaty komendant? – spytał Mirek wpatrzony w twarz kolegi. Ten uśmiechnął się zadowolony, a potem sięgnął po leżący na stole telefon. Szybko odnalazł właściwe nazwisko i wcisnął klawisz

połączenia. Po trzecim sygnale usłyszał męski głos z drugiej strony.

– Czołem.

– Jak zdrowie?

– Bywało lepiej.

– Napij się wódki. To ci dobrze zrobi.

– Właśnie piję.

– W dobrym towarzystwie?

– Bardzo dobrym. I właśnie dlatego dzwonię do ciebie.

– Mów.

– Miras Brodziak i Rychu Grubiński wpadli do mnie. Chcą pogadać z dziennikarzem. No wiesz...

– Wiem.

– I co o tym myślisz?

– Hmm... Myślę, że to doskonały pomysł.

– Skoro tak mówisz...

– Pozdrów ich ode mnie.

– Pozdrowię.

Zakończył rozmowę, a telefon położył na blacie. Spojrzał na starych kumpli, a potem z lekkim uśmiechem na ustach powiedział.

– Generał kazał was pozdrowić.

Obaj z uznaniem skinęli głowami. Bo i co więcej mieli mówić? Sprawa była załatwiona. Najdalej jutro będą wiedzieli, kto stał za zleceniem na Marcinkowskiego. Jutro, bo dzisiaj musieli się jeszcze napić łyśkacza.

Godzina 16.40

– No i się, kurwa, doigrali. Przemądrzałe fiuty!

– O kim mówisz?

– O tych jebańcach w wojskowych mundurach. Myślą, że wszystko im wolno i teraz jest efekt.

– Zaraz, zaraz, spokojnie, chłopie. – Blaszkowski klepnął w ramię młodszego kolegę.

– Rozchodzi się o tych aroganckich skurwysynów. –

Ten wskazał głową na grupę techników policyjnych uwijających się przy zwłokach mężczyzny w mundurze wojskowym. Ale to nie o nich mu chodziło. Kilka metrów za nimi stało trzech oficerów w zielonych połowych mundurach. Stali i patrzyli na policjantów, ale żaden z nich nie próbował podejść bliżej. Chcieli to zrobić jakieś dziesięć minut temu, ale wtedy skończyło się potężną awanturą, którą wywołał podkomisarz Kacper Piechowiak z komendy miejskiej policji. Wysiadali właśnie z Blaszkowskim ze służbowego auta, gdy naraz obok nich zatrzymał się mikrobus żandarmerii wojskowej. Żandarmi natychmiast ruszyli w kierunku miejsca, gdzie pracowali technicy policyjni. Tak szybko, jak ruszyli, tak szybko zostali zatrzymani przez policjantów zabezpieczających miejsce, w którym pracowała ekipa techniczna... Wtedy szef grupy żandarmów, kapitan Podlewski, dostrzegłszy Piechowiaka, machnął do niego ręką. Ten spojrzał na Blaszkowskiego i ani drgnął. Gdy wojskowy machnął

drugi raz, było już pewne, że podkomisarz ma go w nosie. Chcąc nie chcąc, sam podszedł do policjantów.

– Dobrze, że pana widzę, panie podkomisarzu. Musimy przyrzeć się wszystkiemu z bliska. Rozumie pan...

– To jest podinspektor Blaszkowski z komendy wojewódzkiej – przedstawił starszego stopniem Piechowiak.

– O, to znaczy, że pan tu dowodzi? To się cieszę bardzo w takim razie. W związku z tym chciałbym pana poinformować, że pan prokurator major Gomółka z prokuratury wojskowej chciałby zapoznać się z miejscem zbrodni i w ogóle się rozejrzeć. A tam stoją ci policjanci i mówią, że nie ma przejścia.

– Wydaje mi się, panie kapitanie...

– Pan podinspektor chciał powiedzieć – Piechowiak bezceremonialnie wszedł w słowo Blaszkowskiemu, bo przestraszył się, że ten pozwoli zielonym na zbyt wiele – chciał powiedzieć, że możecie panowie sobie poczekać, aż policjanci skończą czynności służbowe. Technicy nie lubią, jak im się ktoś kręci pod nogami. Sami też czekamy, aż nas przywołają. Więc na razie nie widzę szans, żeby pan prokurator Gomółka mógł podejść bliżej.

– Niech pan przekaze prokuratorowi – Blaszkowski od razu zrozumiał, że Piechowiak prowadzi tu jakąś swoją grę. Znał go od dawna na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że w takich sytuacjach trzeba poprzeć kolegę – że dopuścimy pana prokuratora na miejsce zaraz, jak skończymy swoje czynności. A na razie, sam pan rozumie, że podczas zbierania materiału dowodowego nikt niemający niczego

wspólnego ze sprawą, żadna postronna osoba nie może się tu kręcić.

– Ale przecież prokurator Gomółka...

– Prokurator Gomółka jest dla nas w tej sprawie osobą postronną – rzucił szybko Piechowiak.

– Jak postronną? – Nie mógł uwierzyć własnym uszom kapitan Podlewski. – Przecież to prokurator wojskowy.

– No i co z tego? – Podkomisarz czerpał wyraźną satysfakcję z irytowania żandarma. – Ale prokurator wojskowy nadzoruje śledztwa dotyczące armii. Tak mi się bynajmniej wydaje.

– A to jakie jest śledztwo? Chyba wojskowe?

Błaszkowski rozejrzał się wokół, a potem uśmiechnął się do kapitana.

– Czy mi się wydaje, czy nie dostrzegam tu nigdzie żadnych tablic informujących, że jesteśmy na terenie wojskowym. Czy coś przeoczyliśmy, podjeżdżając tutaj, panie podkomisarzu?

– Nie widziałem żadnej tablicy. Znaczy się teren cywilny.

– No właśnie, panie kapitanie. – Podinspektor rozłożył bezradnie ręce. – Nic panu nie poradzę w tej kwestii. Panowie możecie skorzystać z naszej uprzejmości, jeśli prowadzący śledztwo dojdzie do wniosku, że panów pomoc może być potrzebna.

– Że co? Panie, tam leżą zwłoki żołnierza. – Podlewski wskazał wyciągniętym palcem miejsce, w którym rzeczywiście leżał jakiś trup, ale jaki, tego ani

Błaszkowski, ani Piechowiak nie wiedzieli, bo jeszcze go nawet nie zdążyli zobaczyć. Tymczasem żandarm już wiedział swoje.

– To ciekawe, panie kapitanie, że pan już wie, kto tam leży. Może powinniśmy spisać pańskie zeznanie. Czy major Gomółka też wie, co się tu zdarzyło? Jeśli tak, to zaraz poproszę panów na przesłuchanie. – Piechowiak mówił cichym i monotonnym głosem, w którym nie dało się dostrzec śladu jakiegokolwiek emocji. Ale w sercu czuł radość, że wreszcie może pokazać tym zakutym w stalowe hełmy łbom, gdzie jest ich miejsce. Miał wielką satysfakcję, że może wreszcie się odegrać po tym, jak oni potraktowali jego, gdy przyjechał na tę drogę, na której zabito podoficera Matejuka. Jeszcze dziś, kilka godzin temu, był przekonany, że ta sprawa całkowicie się dla niego zakończyła. Zrobił, co się dało, ale głową sufitu wojskowej niekompetencji nie był w stanie sam przebić i dlatego akta poszły do wojewódzkiej. Myślał, że zginą tam w grzęzawisku innych trudnych spraw i jeśli w ogóle ktokolwiek się zajmie sprawą, to jeszcze wiele wody w Warcie upłynie. Tymczasem dwie godziny temu odebrał telefon od kogoś z wojewódzkiej, kto prosił, by stawił się jak najszybciej u podinspektora Błaszковского.

Znał Blachę od co najmniej dziesięciu lat, czyli od czasu, kiedy zaczął swoją służbę w policji, i doskonale wiedział, że jest to jeden z najlepszych śledczych, który uczył się fachu od samego Freda Marcinkowskiego. Miał okazję obserwować go przy dwóch śledztwach i na własne oczy widział, jak pracuje prawdziwy specjalista od policyjnej roboty. A skoro teraz Błaszkowski wzywał go

do siebie, to oznaczało, że sprawa nie pójdzie na półkę, tylko ruszy z kopyta. I nie mylił się. Nie przypuszczał tylko, że nabierze tak nieprawdopodobnego tempa.

Gdy przyszedł do Blaszkowskiego, ten powitał go jak dobrego starego kumpla, choć przecież w hierarchii służbowej dzieliła ich przepaść. Ale o Blaszkowskim wiedzieli wszyscy, że to facet, który nie lubi dystansować się od ludzi, a młodszych od siebie oficerów, z którymi przychodzi mu pracować, traktuje po partnersku.

– I co tam, żołnierze się zabarykadowali i ostrzeliwiają się na swoich pozycjach? – zaczął na powitanie.

– Są jak faceci ubrani w zbroje, którzy nie mają pojęcia, co dzieje się na zewnątrz – przyznał Piechowiak.

– Nie wolno im oddać inicjatywy, a ty, zdaje się, dałeś sobie zagrać na nosie. Wszystko spieprzyli już na samym początku i za cholerę nie dojdzie się, jaka była prawda, jeśli któryś z nich sam się nie przyzna.

– Chyba że na torturach. – Podkomisarz uśmiechnął się, a potem zachęcony przez Blaszkowskiego zrelacjonował mu krok po kroku swoją drogę przez mękę.

– Musimy się w takim razie do nich wybrać – stwierdził Mariusz po wysłuchaniu relacji oficera.

– My? – zdziwił się Piechowiak.

– Prowadzisz śledztwo, jak tylko będę ci asystował.

– Ale ja już... – Nie dokończył, bo po raz kolejny zabrzączał mu telefon. Wyłączył co prawda dźwięk, ale nie umiał zablokować wibracji. Blaszkowski uśmiechnął się i skinął głową.

– Nie dadzą pogadać. Odbierz i powiedz, żeby poczekali.

Wyciągnął swoją nokię i spojrział na wyświetlacz. Dzwonił dyżurny z komendy miejskiej.

– Piechowiak, halo. – Przez chwilę słuchał, a z każdą sekundą jego oczy robiły się coraz większe. – Czarne mundury noszą czołgiści – powiedział na koniec i przerwał połączenie.

– Co, zakwalifikowałeś się do teleturnieju „Jeden z dziesięciu”?

Oficer pokręcił głową.

– Na Gołęczynie, w lesie, znaleziono zwłoki żołnierza w czarnym mundurze. I ten tam na dyżurce myślał, że to jest jakiś kolejarz, tylko się dziwił, że tamten miał czarny beret z orzełkiem, bo był przekonany, że kolejarze noszą rogatki, no to mu powiedziałem...

W ten oto sposób Blaszkowski wraz z prowadzącym śledztwo Piechowiakiem znaleźli się w lasku na Gołęczynie. Gdy w końcu obaj policjanci podeszli do zwłok żołnierza czołgisty, Piechowiak najpierw poblądł, a po chwili jego twarz zrobiła się czerwona ze złości.

Blaszkowskiemu z trudem udało się go uspokoić.

– Co się dzieje?

– O to się rozchodzi, że to jest jeden z tych facetów.

– Jeden z tych, którzy wtedy byli w jednostce, gdy doszło do morderstwa na drodze? – Mariusz przypomniał sobie raport Piechowiaka w tej sprawie, wpięty do teczki

z aktami. Wszyscy ci ludzie nic nie wiedzieli o morderstwie i żaden z nich nie pił alkoholu z zamordowanym kolegą. Oczywiście następnego dnia każdy miał w wydechym powietrzu kompletne zero. Czyści jak łąza. Jeden czysty nie miał teraz oka i połowy nosa, bo wyrwała mu je kula, którą ktoś posłał mu w kark.

– Sierżant Borys Wituś, podobno najbliższy kumpel zabitego Matejuka. Nic nie wiedział i nic w ogóle nie przychodziło mu na myśl w sprawie zastrzelonego kolegi. I teraz się doczekał, kretyn, że dali mu szansę dołączyć do kumpla. Obaj siedzą już w Walhalli i piją piwo z bogami.

– Jakimi bogami?

– No, Odysem i Thorem...

Błaszowski zrobił wielkie oczy, a Piechowiak uśmiechnął się pod nosem. Gdy pomyślał o tym, co powiedział, od razu zrobiło mu się lepiej. Wszystko dzięki temu serialowi o wikingach, który oglądał w telewizji. Dobrze zapamiętał, że wojownicy zabici w walce idą do krainy wiecznego szczęścia na niekończącą się ucztę, ale Błaszowski widać nie oglądał tego filmu.

Ci durnie, którzy teraz szli właśnie w ich kierunku, też nie wyglądali na miłośników wikińskich sag. Oni w ogóle na nic nie wyglądali.

– Nie wiem, czy to pana zainteresuje, panie podinspektorze, ale zamierzam poinformować pańskich przełożonych o tym incydencie – rzucił na powitanie opryskliwym tonem prokurator Gomółka. – To jest skandal, żebyśmy musieli czekać tyle czasu. Zostanie pan niewątpliwie pociągnięty do odpowiedzialności

dyscyplinarnej. Już ja tego dopilnuję. Policja powinna współdziałać z nami. Powinniśmy od razu być dopuszczeni na miejsce. Ale niestety, widać w policji pracują sami niekompetentni ludzie. Doprawdy nie wiem, co pan sobie w ogóle wyobraża? Pan się nazywa Blachowski, o ile się nie mylę.

– Myli się pan. – Blacha wydał policzki i parsknął śmiechem jak koń. Nie żeby chciał okazać lekceważenie, ale ten mały grubas autentycznie go rozbawił. – We wszystkim się pan myli, ale ja nie jestem od tego, by te pomyłki panu wskazywać. Niech sobie ich pan sam poszuka, jeśli potrafi. Choć sądzę, że ktoś tak pewny siebie nie umie nawet odlać się tak, żeby nie nasikać na deskę w kiblu.

– Ja... ja zaraz... ja... – Gomółka nie mógł znaleźć słów, które wyraziłyby jego święte oburzenie. Nic dziwnego, w końcu po raz pierwszy w jego prokuratorskiej karierze trafił mu się ktoś, kto zamiast uśmiechać się, potakiwać i giąć w ukłonach przywalił prosto w pysk.

– I jeszcze jedno powiem. Gdyby nie wasza skrajna niekompetencja i wiara we własne, nader skromne możliwości intelektualne, ten człowiek mógłby żyć. Więc to, że nie żyje, w dużej mierze zawdzięcza wam. A teraz zostawimy już panów, życząc miłego popołudnia.

– Tylko uważajcie, żeby się nie zabić o własne sznurowadła – dorzucił jeszcze całkowicie usatysfakcjonowany słodką zemstą Piechowiak. Gdy podeszli do auta, Blaszkowski naraz przystanął. Szybko wydobył z kieszeni płaszcz swój telefon.

– No co jest? – rzucił do słuchawki bez żadnej formy

grzecznościowej. Widać to jakiś bliski znajomy dzwoni, pomyślał podkomisarz, otwierając drzwi służbowego passata.

– Gdzie? – zapytał znacznie bardziej zdecydowanym tonem. – Ja pierdołę! Już jedziemy – dodał i przerwał połączenie. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz komórki, jakby chciał się upewnić, czy to, co słyszał, jest rzeczywiście prawdą. W końcu odwrócił się do stojącego z drugiej strony wozu podkomisarza.

– W ile dojedziesz w okolice centrum handlowego Panorama na Górczynie?

– Byle się tylko dostać do Przybyszewskiego, a potem na sygnale to przelecimy w piętnaście minut. A bynajmniej co się stało?

– Trzech naszych chłopaków ostrzelanych. Dwóch nie żyje, trzeci w stanie ciężkim...

Piechowiakowi nie trzeba było dwa razy mówić. Wskoczył do samochodu i natychmiast odpalił silnik. Mariusz nie zdążył jeszcze dobrze zamknąć drzwi, gdy auto już ruszało. Przejazd z Golęcina na Górczyn zabrał im dokładnie kwadrans.

Godzina 17.20

Deszcz już dawno przestał padać i niebo znowu zrobiło się bezchmurne. Las kipiał zapachami, a w górę wznosiły się delikatne woale mglistej wilgoci. Jednak widoczność

dzięki promieniom popołudniowego, chylącego się ku zachodowi słońca była idealna. Zadovolone ptaki wystawiały ku ciepłym promieniom przemoczone pióra i oznajmiały najgłośniej jak to możliwe swoją radość, jazgocząc i ćwierkając wesoło. Zajęte sobą i wieczorną toaletą nie zwracały najmniejszej uwagi na czworo ludzi, którzy wyszli z terenowego wozu i stanęli pośród drzew.

– Na moje oko to tam od dawna nikt nie urzędował – stwierdził leśniczy Bernard Gołąbek, przyciskając lornetkę do oczu. – Ten barak jest jakby pusty.

– Pokaż. – Biernat zabrał mu lornetkę i sam zaczął patrzeć, ale jako człowiek noszący na nosie okulary miał problem z ustawieniem ostrości.

– A co tu w ogóle było? – zapytała Aneta.

– Dawniej więzienie, znaczy taki niby obóz dla tych, co byli na końcówce wyroku. – Gołąbek przymknął oczy, jakby chciał dokładniej przypomnieć sobie dawne czasy. –

Ja wtedy to jeszcze nie pracowałem, jak tę elektrownię atomową chcieli tu budować. Za młody byłem, bo chodziłem jeszcze do podstawówki we Wronkach. Ale wszyscy u nas gadali, że będzie elektrownia. To było za Gierka w siedemdziesiątych latach. Zaczęli robić drogi dojazdowe z Wronek, znaczy się, pobocze poszerzyli i przez Piotrowo mieli z tyłu za szkołą poprowadzić trasę, żeby była prosta jak strzała, ale nie poprowadzili. Tylko lasu nacięli tyle, że do dziś aż przykro patrzeć. A ten obóz to postawili dla tych, co to siedzieli we Wronkach i chcieli przed zakończeniem wyroku se popracować, żeby w celi nie zostawać. Taki prawie wolnościowy.

– Pamiętam, jak byłem mały i przyjeżdżałem do ciotki

do Wronek – Biernatowi też zebrało się na wspomnienia – to całe miasto było pięknie wysprzątane, bo ci wolnościowi od rana po mieście latali z miotłami i pucowali chodniki. Pamiętam ich w tych ciuchach, taki kolor jak kawa z mlekiem, i czapki niebieskie.

– No nie, kolor tych strojów był taki więcej sraczkowaty. – Gołąbek jako rodowity mieszkaniec Wronek nie mógł się zgodzić, aby jakiś element przyjezdny mówił mu, jak było. – Sraczkowate jak nic. Pamiętam dobrze.

Biernat wzruszył ramionami, bo nie miał zamiaru kłócić się o nieistotne kwestie. Podał lornetkę Anecie.

– Na moje oko tam jest pusto i cicho jak w rodzinnym grobowcu.

– Jeśli tam ktoś urzęduje, to raczej nocą – odezwał się Turek wpatrzony w odległe zabudowania. – Przecież jeśli tam je trzymają...

– Kogo trzymają? – Natychmiast zainteresował się Gołąbek, któremu Biernat nie miał zamiaru wyjaśniać wszystkich szczegółów.

– Towar trzymają – podrzuciła rozwiązanie Aneta.

– Jaki towar? – Leśniczy był z natury wścibskim człowiekiem, a udział w obserwacyjnej akcji policji jeszcze potęgował tę ciekawość, bo dodawał nieco emocji. – Jakiś nielegalny alkohol czy jak? – zapytał z nadzieją.

– Na razie nie wiemy co. – Biernat spróbował uciąć te dywagacje. – Coś tu mogli przywozić i tyle wiemy na razie.

– Jak Rusczy, to pewnie alkohol. – Gołąbek wiedział

swoje. W końcu niejedną flaszkę stolicznej kupił od gości zza wschodniej granicy.

– A ty skąd wiesz, że to Ruscy? – Biernat spojrział na niego uważnie.

– No tak gadali ludzie, że Rosjanie tu się kręcą, to myślałem, że alkohol albo nawet kawior... – Na myśl o kawiorze oblizał się ze smakiem.

– Mnie się wydaje, że pusto jest. Można by podejść bliżej – odezwała się Aneta, cały czas lustrując uważnie budynek i teren wokół niego. Stali na skraju sosnowego lasu ukryci w krzakach, ale ta ostrożność rzeczywiście wydawała się zbyt daleko idąca. Miejsce wyglądało jak wymarłe. Był to zwykły barak postawiony z drewna na cementowej podmurówce i zwieńczony lekko pochyłym dachem przykrytym papą. Obok stał jeszcze jeden niewielki budynek wyglądający jak mała stodoła, w której można by ukryć samochód, i drugi mniejszy, taka szopa gospodarska. Drzwi do stodołki były otwarte na oścież i przez lornetkę można było dostrzec, że niczego tam w środku nie ma. Cały teren otoczony był betonowymi słupami, które podtrzymywać musiały dawniej drut kolczasty. Na lewo od miejsca, w którym stali, szła skrajem lasu droga. Taka zwyczajna, leśna, po której poruszały się traktory i wozy terenowe leśników, a jesienią pokonywały ją samochody grzybiarzy, choć za nadzieję obfitych zbiorów ryzykowali mandat wlepiony przez straż leśną.

– Później, to jak już zostałem leśnikiem, to była tu jakaś firma polonijna – przypomniał sobie leśniczy Gołąbek. To on przyprowadził policjantów w to miejsce. W zasadzie

nie powinni tu w ogóle być. Jeśli było podejrzenie, że może tu funkcjonować coś w rodzaju nielegalnego więzienia dla kobiet zmuszanych do prostytucji, to Biernat powinien tę sprawę zgłosić wyżej, tak by na miejscu mogli się pojawić ludzie z poznańskiego PAP-u¹⁵. Ale Aneta przekonała go, że nie ma co robić zamieszania, póki nie wiedzą na sto procent, jaka jest sytuacja, bo w razie pomyłki, jeśli zaprzęgą do roboty „chłopaków w czerni”, a buda okaże się pusta, narażą się tylko na głupie docinki kolegów.

Znajomy Biernata, Gołąbek, który kiedyś był leśniczym w niedalekim Nowym Krakowie, znał tu wszystkie ścieżki. Po przyjechaniu do nadleśnictwa przesiedli się do terenowego honkera, za którego kierownicą zasiadł ich przewodnik.

– Ale na wszelki wypadek trzeba by z dwóch stron. – Na twarzy Biernata widać było wahanie. Walczył sam ze sobą, ale Aneta dostrzegła, że ciekawość bierze górę. Wystarczyło go tylko jeszcze minimalnie popchnąć we właściwym kierunku. Doskonale wiedziała, jak to zrobić.

– Całkowita racja. Znaczy się, ma pan rację, że ostrożności nigdy za wiele, nawet jeśli z daleka wszystko wygląda na puste.

– Oczywiście – zgodził się z nią Biernat. – Zrobimy to tak. Ty, Anetka, podjedziesz jakby nigdy nic pod bramę samochodem pana leśniczego. Jeśli ktoś tam jest, to będzie myślał, że to straż leśna czy coś w tym rodzaju, tylko ściągnij bejsbolówkę. Ty daj jej swoją zieloną czapkę – polecił Gołąbkowi.

– Jak to? – Leśniczy spojrzał zdumiony na komisarza.

Ten jednak niezrażony ciągnął dalej:

– Ja z Turkiem obejdę to dookoła – mówiąc to, wskazał ścianę lasu z lewej – i wyjdziemy na tyły tej zagrody. Powinno nam to zająć najwyżej jakieś piętnaście minut. Co myślisz? – Popatrzył na Turka. Ten pokiwał głową.

– Sam bym w dziesięć minut przeleciał.

– Nie chwal się. Zaraz zobaczymy, czy nie dam rady – mówiąc to, Biernat poklepał się po brzuchu. – Jak podjedziesz tam pod bramę, Anetka...

– Chyba podjedziemy – znów wtrącił się Gołąbek, ale Biernat nie zwrócił na niego uwagi.

– No więc jak tam będziesz na miejscu, nie wysiadaj z auta. Siedź i patrz, co się dzieje. Jeśli tam w środku ktoś jest, to na pewno wyjdzie do ciebie. Silnik niech będzie włączony i w razie czego zaraz wsteczny i uciekać. A my z Turkiem wejdziemy do środka i zrobimy porządek...

– Myślę, że tam jest kompletnie pusto – stwierdziła na wszelki wypadek, gdyby komisarz wpadł nagle na pomysł, że ryzyko jest zbyt duże.

– Też tak myślę i dlatego idziemy sprawdzić, jak to wygląda...

– Wszyscy idziemy. Ja tu nie zostanę!

– Benek, no przecież wiesz, że nie mogę narażać cywila. – Biernat położył mu rękę na ramieniu.

– Jaki ja cywil? Leśniczy jestem. A terenówka jest moja. Ja nie mogę oddawać kluczyków w niepowołane ręce.

– Nie ma problemu. – Turek wyszczerzył żółte zęby w uśmiechu. – Możemy je panu zarekwirować. Znaczą się auto zarekwirować i kluczyki też.

– No ale przecież tak będzie wiarygodnie, nie? Leśny wóz i podjeżdża nim leśniczy z panią, no wiecie, jakby co, taka historia, nie? – powiedziawszy to, mrugnął do swojego kolegi. Biernat pokręcił głową. Wiedział, jak zareaguje na to Aneta. Tym razem się jednak pomylił.

– Świetny pomysł i doskonała przykrywka – pochwaliła leśniczego. – Tak jakbyśmy tu wyskoczyli na szybki seks. Sekretarka z dyrektorem.

Gołąbek natychmiast zrobił się czerwony na twarzy. Jego pomysł najwyraźniej nabierał rumieńców.

– Sekretarka w mundurze policyjnym. – Turek otaksował ją krytycznym spojrzeniem.

– Dam pani Anecie kurtkę i czapkę moro. Mam w aucie – stwierdził Gołąbek, który najwyraźniej już się zapalił do tego planu.

Dokładnie kwadrans później wysłużony honker, czyli ulepszona wersja tarpana, jednak podobnie jak i on zawodna, zatrzymał się przed bramą prowadzącą na podwórko za barakiem. Brama była nowa i zamknięta. Jej konstrukcja wykonana została ze stalowych kątowników, na które naciągnięto stalową siatkę. Powyżej, nad ramą obu skrzydeł, zainstalowano zwoje drutu kolczastego. Taki sam drut i siatka rozciągały się pomiędzy starymi betonowymi słupami.

– Wygląda jak obóz koncentracyjny – stwierdził zdziwiony leśniczy, przypatrując się nowemu ogrodzeniu.

– Tego nie wzięliśmy pod uwagę. – Aneta najwyraźniej była zła na siebie. Popełnili błąd w rachunkach. Może i nie było tu nikogo, ale na pewno w razie czego nikt nie przyjdzie im z odsieczą. Biernat i Turek nie mają szansy przedostać się przez to ogrodzenie z drutu i siatki, bo jeśli ono tak wygląda z przodu, to znaczy, że z tyłu jest podobnie.

– Tak jakby tu rzeczywiście ktoś coś kombinował. Ogrodzenie jest nowe, a jak jest drut kolczasty, to znaczy się, że ci, co go zakładali, nie chcą, żeby im przeszkadzać.

– I o to właśnie chodzi – zgodziła się z nim policjantka. Wydobyła z kieszeni telefon komórkowy i odszukała numer Biernata. Wybrała go szybko i przyłożyła aparat do ucha. – Żeby to cholera jasna!

– Co, zasięgu nie ma? Tu puszcza się zaczyna. W puszczy, póki co, masztów komórkowych nie stawiają.

– Musimy stąd spadać. Już nie ma sensu tu stać. Raczej nie wejdziemy do środka, bo to wygląda jak forteca. No chyba że...

Otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Barak i ściana lasu za nim były doskonale widoczne w ostrych promieniach słońca, podążającego ku zachodniej połaci nieba.

– Niech pan na nich zatrąbi!

– Jak to?

– No normalnie, niech pan trąbi. Muszą tu przyjść...

Spojrzała pod nogi. Ktoś tu wjeżdżał i wyjeżdżał. Przykucnęła i dotknęła rękoma wilgotnych kolein. Wyglądały na całkiem świeże. Może nie sprzed godziny,

ale kilka godzin temu ktoś tędy jechał.

– No niech pan trąbi, do cholery!

– Zaraz, ino włączę silnik.

– Po co? Tarpany trąbią na wyłączonym.

– Tak? – zdziwił się leśnik. Auta i ich specyfika raczej nie były jego mocną stroną. W odróżnieniu od Anety, która pomagała ojcu przy niejednym remoncie poloneza czy tarpana. Przycisnął wreszcie klakson i ku jego zdziwieniu rozległ się piskliwy dźwięk.

– Działa – stwierdził zadowolony, spoglądając tam, gdzie jeszcze przed sekundą stała policjantka. Dziewczyna tymczasem już była obok bramy i majstrowała przy łańcuchu spinającym kłódkę.

– Niech pani wraca do auta. Pan Biernat kazał, żeby pani...

– Zaraz idę! Niech pan włączy silnik i trąbi cały czas!

Znów rozległ się pierdzący dźwięk klaksonu. Była przekonana, że Turek i Biernat musieli go usłyszeć. W końcu byli całkiem niedaleko. Ledwie jakieś sto metrów stąd w prostej linii. Ale żeby tu się dostać, musieli przejść wzdłuż ogrodzenia przynajmniej drugie tyle. Miała więc jakieś dwie minuty. Nie mogła nie spróbować. Jak tu przyjdą, będzie już po robocie. Od najmłodszych lat rozbierała na części wszystkie mechanizmy, zasuwki i kłódki. Ta, na którą zamknięto bramę, to była prościzna. Dziewczyna miała przy sobie swój składany nożyk o kilku ostrzach i wsuwki, które były niezbędne do układania włosów pod kaskiem motocyklowym. Wyjęła jedną, odgięła jej końcówkę żabką ze scyzorykowego zestawu

małego włamywacza i po chwili otworzyła kłódkę. Łańcuch spadł na ziemię z łoskotem. Niewiele się namyślając, weszła na podwórko. Szybko przebiegła wzdłuż szczytowej ściany baraku. Leśniczy trąbił, jak oszalały. Zupełnie niepotrzebnie. Przecież już usłyszeli. Jeszcze pomyślała, że coś się stało, i połamiała po drodze nogi w biegu. Uśmiechnęła się na myśl o przewracającym się Biernacie.

Z lewej zobaczyła otwartą bramę stodoły. Z prawej drzwi do baraku. Stodoła czy barak? Wybrała barak. Nacisnęła na klamkę. Drzwi ustąpiły. W środku długi korytarz. Po prawej drzwi z białej dykty. Uchylone. Pchnęła je. Natychmiast poczuła charakterystyczny duszący smród. W powietrzu roiło się od much.

– Po co ten Gołąbek tak trąbi?

Łóżko, a właściwie barłóg. Obok nocny stolik i szafa na ubrania. Na podłodze wszędzie walające się butelki po wódce. Pościel skołtuniona i zwinięta w świetle popołudniowego słońca wygląda upiornie, jakby pod nią ktoś leżał. Chwyciła brzeg kołdry i szarpnęła.

Człowiek z poderżniętym gardłem patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Koszulka na ramiączkach, poduszka i kawał prześcieradła, wszystko to zalane było zaschniętą krwią.

To ten pieprzony Wienia, pomyślała, przypomniawszy sobie to, co mówiła Kalina... I naraz dotarło do niej, że leśniczy już nie trąbi. Słyszać za to bardzo wyraźnie dźwięk samochodowego silnika. Znała się na silnikach. Tak na pewno nie grał motor honkera.

Godzina 17.40

Na tej ulicy nigdy nie było zbyt wielu przechodniów. Ot, taka byle jaka ulica, którą częściej się jeździło, niż chodziło. Kilka zakładów i hurtowni po obu stronach. Niektóre zamknięte na głucho, tak jak ten skład budowlany. Dla takich firm nie było to najlepsze miejsce. Owszem, jeszcze kilka lat temu, gdy na nieodległym Świerczewie można było dostać pustą działkę i coś na niej pobudować, ktoś mógł tu przyjeżdżać na zakupy. Ale teraz na Świerczewie i nawet tu, na Górczynie, już też niewiele się budowało. Nic dziwnego. W końcu obie te dzielnice największy bum budowlany przeżywały w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. A teraz te niegdyś peryferyjne obszary miasta wtopiły się w jego tkanę i stały się integralną częścią aglomeracji, która rozrastała się wszcz, pochłaniając powoli okoliczne miejscowości, takie jak Luboń czy Komorniki. Tam budowało się w najlepsze, tam powstawały hurtownie i sklepy budowlane, a tu nikomu nie było po drodze. To właśnie dlatego jakiś czas temu właściciel hurtowni postanowił sprzedać podupadającą firmę i wynieść się gdzieś pod Poznań, by tam rozpocząć nową działalność. Miał sporo szczęścia. Kupiec znalazł się niemal natychmiast, choć właściciel nie miał nawet okazji go poznać. Całą transakcję załatwił za niego prawnik wyposażony we wszelkie pełnomocnictwa. Wy tłumaczył, że kupujący ma rozliczne interesy i nie jest w stanie przyjechać, żeby

osobiście potwierdzić swoim podpisem taką drobną umowę. Dla sprzedającego hurtownię Roberta Ludwiczaka była to jednak transakcja życia i jak się okazało, interes lepszy niż jakikolwiek spośród tych, które zrobił wcześniej. Wystawiając nieruchomość na portalu ogłoszeniowym, wycenił działkę, budynki wraz z całym towarem na dwa i pół miliona. Oczywiście cena była znacznie zawyżona, ale wiadomo, że wistuje się więcej po to, żeby dostać tyle, ile się chce, i dać satysfakcję kupującemu z utargowania paru złotych. Ludwiczak byłby zadowolony, gdyby za wszystko zgarnął półtora miliona. Wziąłby te pieniądze z pocałowaniem ręki. Tymczasem prawnik, który zgłosił się do niego i przedstawił jako pełnomocnik niejakiego Iwana Jakowlewa z Nowosybirsk, stwierdził, że jego mocodawcy zależy na czasie i na hurtowni, dlatego zgadza się na cenę, byleby transakcja mogła być sfinalizowana od razu. Ludwiczak nie miał zamiaru wypuścić z ręki takiego klienta. Jeszcze tego samego dnia byli u notariusza. Podpisał akt sprzedaży, prawnik przelał pieniądze na jego konto, a na koniec zapytał, ile były właściciel potrzebuje czasu na opróżnienie budynków z towarów. I to był właśnie interes życia Roberta Ludwiczaka, który od kilku lat sypiał niespokojnie, zastanawiając się, kiedy dach hurtowni spadnie mu na głowę, bo nieremontowany od lat w każdej chwili mógł się zawalić. A tu nie dość, że pozbył się problemu dachu, to jeszcze zarobił na ruinie i towarze, bo w ciągu tygodnia sprzedał wszystko po okazyjnych cenach znajomym hurtownikom. Więc gdy godzinę temu odebrał telefon z policji w sprawie hurtowni, mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że nie ma już nic wspólnego z tą

rudera. Owszem, miał jeszcze klucze i mógłby policji pomóc, ale to już całkiem nie jego sprawa.

– Ja to wszystko sprzedałem w cholerę, panie kapitanie, dwa tygodnie temu. To już nie moje zmartwienie. O, proszę, mam tu akt sprzedaży. – Wydobył z żółtej teczki urzędowy papier z pieczęcią.

– A właściciel to gdzie jest? – zapytał wysoki chudzielec z czterema gwiazdkami na pagonach policyjnej kurtki. Hurtownik był człowiekiem mocno osadzonym mentalnie w dawnych czasach, bo nie zauważył, że policja przeszła już dawno reformę stopni, a kapitanowie stali się nadkomisarzami. Tymczasem Witold Zalewski zaczynał swoją służbę jeszcze w milicji, więc nie przeszkadzało mu wcale, że ktoś tytułuje go kapitanem. Był człowiekiem sentymentalnym, więc lubił wracać do przeszłości, choć wcale nie chciałby powrotu do dawnej instytucji.

– W jakimś Sybirsku czy jakoś tak. Z Syberią mi się kojarzy. Wie pan, tam, gdzie białe niedźwiedzie. Ruski znaczy się.

– Nowosybirsk.

– O, o właśnie. Pan, widzę, się zna na tej Syberii. Ale ja nigdy nie byłem...

– A te klucze to pan ma? – Zalewski nie zamierzał tracić czasu na czcze pogaduszki. Były właściciel zrobił obrażoną minę. Nie lubił facetów, którzy mu przerywali. Tym bardziej młodszych od niego, co nic nie wiedzieli o życiu, a się wymądrzali.

– Mam, ale zgody na wydanie nie mam. Bom już nie właściciel.

– To dawaj pan.

– Jak to?

– A tak, że jak pan widzisz, doszło do strzelaniny. Dwóch policjantów nie żyje, a sprawcy byli w tej pierdolonej hurtowni. Więc ja nie mam zamiaru czekać, aż dostanę zgodę na wejście z Nowosybirsk, tylko wchodzę tam od razu z pana kluczami czy bez. Ale jeśli bez, to możesz być pan pewien, że oskarżę pana o utrudnianie śledztwa.

Ludwiczak zrobił wielkie oczy, a potem szybko wy dobył z kieszeni kurtki pęk kluczy.

– Ten jest od kłódki, co tam jest na tym łańcuchu. – Wskazał zamkniętą bramę.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc. – Nadkomisarz uśmiechnął się. Natychmiast skinął na sierżanta, który stał dwa metry dalej i przyglądał się z pewnej odległości, jak technicy policyjni wykonują swoją robotę koło zwłok policjantów. Leżał tam jeszcze jeden facet, ale on na razie nikogo nie obchodził. Nie był szkiełem, a bandziorem, w związku z tym ci, którzy zabezpieczali miejsce i zwłoki, zostawili go na koniec. Najpierw trzeba było zrobić wszystko dla kolegów, a ten tam mógł sobie poczekać.

Wezwany przez nadkomisarza sierżant Wacław Pytel splunął pod nogi i podszedł do oficera. Bez słowa odebrał klucze i ruszył w kierunku bramy. Za nim poszło pięciu innych, uzbrojonych policjantów. Mieli w dłoniach pistolety, choć nikt nie spodziewał się oporu. Ta broń w dłoniach to było działanie rutynowe, ale też trochę na pokaz, bo w pewnej odległości stąd, za taśmą

zabezpieczającą miejsce strzelaniny, stał już tłum gapiów i dziennikarzy z kamerami śledzącymi każdy szczegół tego, co dzieje się przed hurtownią. Dlatego Zalewski zarządził takie efektowne wejście w kamizelkach i ze spluwami, żeby choć trochę zneutralizować efekt, jaki wywoła medialna informacja o śmierci dwóch funkcjonariuszy i ciężkiej ranie trzeciego. Dobrze, że chociaż jednego z tych gnoi udało im się odstrzelić, pomyślał, spoglądając na zwłoki mężczyzny, które okryto folią podwiewaną co chwila przez lekki wiatr.

Przez policyjną blokadę ulicy przejechał srebrny passat. Zalewski założył ręce z tyłu i spoglądając na nadjeżdżające auto, czekał.

Ciekawe, kogo mi tu diabli przynieśli? – przeszło mu przez myśl, ale zaraz jego obawy się rozwiały. Od razu też rozwiało się niechętnie nastawienie do przybyszów. Jak zwykle w takich sytuacjach spodziewał się wizyty kogoś z góry z komendy miejskiej albo wojewódzkiej. Tymczasem przyjechali jego dwaj dobrzy znajomi, podkomisarz Kacper Piechowiak, który był jego podwładnym, i podinspektor Mariusz Blaszkowski. Tego drugiego znał od dawna, można by powiedzieć, nawet od zawsze, bo razem uczyli się w szkole, jeszcze wtedy szkole milicji w Szczytnie, a potem obaj przyszli do Poznania. Przez jakiś czas pracowali w wojewódzkiej, a po osiemdziesiątym dziewiątym Zalewski został przeniesiony do miejskiej. Mimo że nie widywali się zbyt często, dalej się przyjaźnili.

– Co tu się, do cholery, wyrabia? – Blaszkowski od razu zwrócił się do Zalewskiego. Ten, wzruszywszy ramionami,

wskazał za siebie.

– Jak widzisz. Wszystko spierdolone w niemal każdym szczególe.

– Czyli?

– Dokładnie to, co widzisz. Dwóch naszych chłopaków zabitych na miejscu, jeden bardzo poważnie ranny i jeden w kiepskim stanie psychicznym. Siedzi teraz tam, w tym wozie. – Wyciągnął dłoń, pokazując zaparkowany pod ścianą hurtowni policyjny mikrobus mercedesa. – Ale nie da się z nim na razie pogadać. Powiedział tylko, co zaszło, i wrócił do auta.

– A co zaszło? – pytał Blaszkowski.

– Według mnie zła ocena sytuacji.

– Czyli?

– Czyli spierdolili sprawę. Mieli zatrzymać auto, dostawczaka, volkswagena transportera, który wyjeżdżał z dziedzińca tej nieczynnej hurtowni. Wszystko było przemyślane i dograne. Obserwator na dachu, o tam, na tym bocznym magazynie, lustrował podwórko i nadawał chłopakom, którzy siedzieli w tym audi... – Piechowiak i Blaszkowski natychmiast spojrzeli na osobówkę z otwartymi drzwiami stojącą na środku ulicy, jak uczestnicy wycieczki na ciekawostkę wskazaną przez przewodnika. Zalewski relacjonował dalej, wymachując przy tym rękoma. – Jak transporter wyjechał na zewnątrz, mieli mu zajechać drogę i zgarnąć kierowcę. Ale był jeszcze jeden w środku i miał kałacha. Więc gdy ich zatrzymali, zaczęła się jatka.

– Nie wiedzieli o kałachu – domyślił się Blaszkowski.

– Właśnie, że, kurwa, wiedzieli. Ten z dachu dał im cynk o tej giwerze, a oni mimo to wyskoczyli na ulicę jak kowboje i ruszyli do ataku.

– Ja pierdołę – jęknął Piechowiak. – Zachowali się jak harcerze.

– No właśnie. Wszystko, co można było tu spieprzyć, spieprzyli...

– To ta hurtownia, o której żeśmy gadali? – Blaszkowski przestał zastanawiać się nad efektami nieudolnej akcji. Interesowała go przyczyna, która sprawiła, że wszystko poszło tak źle. – Wiadomo, co mieli w hurtowni?

– Chłopaki dostali cynk o prochach. Ktoś zawiadomił komendę, że w hurtowni jest jakiś podejrzany towar – wyjaśnił Zalewski.

Blaszkowski pokiwał głową. Znał to doniesienie. W sobotę pokazywał teczkę z tą sprawą Marcinkowskiemu, a potem odesłał ją do miejskiej. Nie przypuszczał jednak, że chłopaki od razu zabiorą się do roboty. Powinni najpierw trochę się rozejrzeć.

– Pozwoliłeś im na akcję?

– Mieli pozwolenie na obserwację, a nie na akcję.

– Ale chcieli się wykazać. – Piechowiak wiedział, jak działa mechanizm. Ludzie idą na obserwację i wiedzą, gdzie jest granica, ale jeśli widzą, że nadarza się okazja, że sukces sam pcha się im w łapy, zaczynają działać i wszystko jest w porządku, jeśli osiągną sukces. Wtedy są pochwały, a towar odebrany bandziорom trafia na policyjny stół wraz z pieniędzmi, paszportami, telefonami

komórkowymi i bronią. Potem się dzwoni do dziennikarzy z lokalnej telewizji, oni robią materiał o sukcesie miejscowej policji. Taki felieton kupuje Teleexpress i news idzie na całą Polskę. A potem komendant miejski czy wojewódzki odbiera telefon z Pałacu Mostowskich z gratulacjami. I wszyscy są zadowoleni, a chłopaki, którzy poszli po bandzie, dostają od swojego szefa premie. Ci, którzy podjęli dzisiaj złą decyzję, dostali premie w postaci ołowianej kulki.

– No to się wykazali – skomentował Blaszkowski, spoglądając w głąb podwórka hurtowni. – A tam coś znaleźliście?

– Chłopaki dopiero weszli. Jeszcze o niczym nie meldowali, zresztą chyba wszystko stąd wywieźli, bo z tego, co wiem, znaczy, co zdołał mi powiedzieć ten, co był na dachu, to do transportera załadowali dziesięć skrzyń...

Mariusz spojrzął uważnie na swojego starego kumpla. Wyczuł, że ten chowa coś jeszcze w zanadrzu, coś, co wcale mu się nie spodoba.

– Gadaj, Wiciu, do cholery, w czym rzecz?

– Myśleli, że to będzie jakiś transport, taki wiesz, jak to wygląda, jakieś kartony czy pudła, takie jak z bananami, gdzie do środka wkłada się ofoliowane paczki z prochami. Tyle że okazało się, że to były skrzynie.

– Jakie skrzynie?

– Zielone skrzynie.

– Mów jaśniej... – Naraz podinspektor Mariusz Blaszkowski zrozumiał, skąd się wzięły obawy

Zalewskiego. Ten sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej telefon. Przez chwilę sprawdzał w zdjęciach, by w końcu natrafić na kilka tych, których szukał.

– Masz, zobacz sam. Przesłał mi je nasz obserwator, który siedział na dachu. – Mariusz wziął do ręki komórkę kolegi. Na fotografii widać było wyraźnie dziedziniec, na którym stała furgonetka, i kilka skrzyń na rampie wyładowniczej. Takie skrzynie znali wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z ładunkami wybuchowymi.

– Kurwa! – zaklął pod nosem.

– Ja pierdołę! – Piechowiak zajrzał mu przez ramię w wyświetlacz komórki.

Mariusz oddał telefon Zalewskiemu.

– Prześlij mi te fotki. Muszę pokazać to u siebie, bo zdaje się, że mamy poważny problem.

Zalewski zacisnął usta. Ci, którzy na problem natrafili, leżeli w czarnych foliowych workach pięć metrów od niego na dziurawej, zniszczonej i przez lata niełatanej asfaltowej ulicy. Bandyty nikt jeszcze do worka nie zapakował. Mógł poczekać. Swoi byli ważniejsi. Wszystko z daleka filmowały telewizyjne kamery. A sierżant Pytel, ten, który niedawno otwierał kłódkę wiszącą na bramie hurtowni, wyszedł na ulicę i ruszył do swojego radiowozu, w którym od dłuższego czasu siedział jego kolega. Wsiadł do środka na miejsce kierowcy. Odpalił silnik, a potem odwrócił się do tyłu. Na kanapie siedział ubrany w czarną kurtkę i czarną, wełnianą czapkę jego przyjaciel, sierżant Robert Jaworski, ten sam, który obserwował hurtownię

z dachu. But oparł na twarzy leżącego na podłodze, skutego kajdankami mężczyzny, któremu na wszelki wypadek zaklejono taśmą samoprzylepną usta. Mierzył do faceta z pistoletu i uśmiechał się złowieszczo.

– Co tak tu wali? – Pytel wyczuł jakąś dziwną woń.

– Złał się, skurwiel, ze strachu.

– I ma, pierdolony, rację. Nie chciałbym być na miejscu tego gnoja. – Kierowca wrzucił jedynkę i samochód wolno potoczył się w kierunku blokady akurat w chwili, gdy policjanci z grupy szturmowej wyszli bramą na ulicę. Jeden z nich ruszył w kierunku Zalewskiego, by powiadomić dowódcę, że wejście do hurtowni wypełnionej po brzegi różnymi towarami jest całkowicie bezpieczne.

Godzina 18.50

Przysunęła się bliżej okna. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Przed honkerem, którym tu przyjechali, w odległości jakichś dziesięciu metrów zatrzymał się szary mercedes vito. Kierowca nie wyłączył świateł. Drzwi z przodu od strony pasażera otworzyły się i na zewnątrz wyskoczył barczysty, ogolony na łyso facet w cienkiej kurteczce i spodniach bojówkach wciśniętych w cholewki butów. Kierowca został w środku. Ten barczysty tymczasem ruszył wolnym krokiem w kierunku auta leśniczego. Gołąbek musiał go dostrzec. Widząc nadjeżdżający samochód, zachował się całkiem rozsądnie. Postanowił zagrać samego siebie, by dać policjantom czas

na dotarcie do nich. Wiedział też, że Aneta jest obok, więc czuł się w miarę bezpiecznie. Na wszelki wypadek, gdyby nie zauważyła przyjazdu obcego samochodu, postanowił mówić wyjątkowo głośno:

– Dzień dobry. Jestem ze straży leśnej.

– I co z tego? – odpowiedział pytaniem przybysz. Mówił z wyraźnym wschodnim akcentem.

– To z tego, że tu nie wolno wjeżdżać – zawołał groźnie Gołąbek.

– A pan wjechał.

– Ja jestem straż leśna, to ja mogę.

– To jak mam, kurwa, dojechać tutaj do baraku?

– A to jest pana barak?

– Mój. A panu co do tego?

– To trzeba było tak od razu. Jak pan ma nieruchomość, to musi pan wystąpić do nadleśnictwa o zgodę na wjazd tą drogą. Jak pan jutro takie podanie złoży, to raz-dwa, w jakieś trzy tygodnie, dostanie pan czasowe pozwolenie. Najczęściej takie pozwolenie dają na pół roku, ale w przypadkach uzasadnionych...

– Co ty pierdolisz, starik?

– Ja stary? Jaki stary, do cholery?

– Chuj z tobą. Wypierdalaj stąd i już! – Facet zrobił dwa kroki w przód i zatrzymał się jakieś półtora metra od leśniczego. Ten mimowolnie nieco się cofnął.

– Niech pan nie pogarsza sprawy – ostrzegł go Gołąbek.
– Zapłaci pan mandat i będzie po sprawie. A jutro w nadleśnictwie może pan złożyć podanie...

– Nic mi tu nie pierdol, starik, bo... – przerwał, gdyż jego spojrzenie zatrzymało się na uchylonej bramie. Od razu dostrzegł też leżący na trawie łańcuch.

– A wy co robili u nas? Was kto prosił w gości?

– Ja nie... Nie wchodziłem tam. – Leśniczy zauważył, na co patrzył łusy. – To było już otwarte i leśników nic nie obchodzi, co dzieje się w prywatnych zagrodach. To co, przyjmuje pan mandat? – Włożył dłoń do wewnętrznej kieszeni, tam, gdzie zazwyczaj nosił bloczek z mandatami, gdy naraz z przerażeniem zobaczył, że facet też sięga pod kurtę. Sekundę później w jego dłoni pojawił się pistolet. Łusy uśmiechnął się i wycelował wprost w leśniczego.

– *Ну, подними руки вверх, ты старый ублюдок!*¹⁶ – krzyknął.

Leśniczy Gołąbek powoli podniósł obie ręce w górę. W prawej miał bloczek mandatowy. I w tej chwili leśną ciszę rozdarł odgłos wystrzału. Zdezorientowany łusol spojrział w lewo, w kierunku najbliższych drzew, za którymi, tak mu się przynajmniej zdawało, krył się strzelec, by zaraz jak dobrze wyćwiczony żołnierz paść na ziemię. Przez cały czas wpatrywał się w miejsce, w którym mogło czaić się niebezpieczeństwo. Na leśniczego przestał zwracać uwagę, przekonany zapewne, że z jego strony nic mu nie może grozić, bo z bloczka mandatowego raczej nie da się strzelać. Gołąbek tymczasem, widząc, że bandzior pada na ziemię odwrócony w przeciwnym kierunku, skoczył w bok i przemierzywszy czterema susami przestrzeń dzielącą go od posesji, dopadł do bramy, by po sekundzie zniknąć za węglem baraku. Tam stanął zdezorientowany, nie mając pojęcia, co robić dalej. Liczył

na to, że może skryła się tam ta ruda policjantka, ale nie było po niej śladu. Ruszył więc wzdłuż drewnianej ściany, mając nadzieję, że za chwilę się na nią natknie.

Aneta, usłyszawszy rozmawiającego z napakowanym facetem Gołąbka, szybko przeanalizowała sytuację. Biernat i Turek powinni dotrzeć tutaj w ciągu dwóch, trzech minut. Tyle pewnie jest w stanie zainteresować gościa rozmową leśniczy. Przed nią więc otwierała się szansa, żeby odciąć przybyszom drogę ucieczki. Bo od chwili, gdy znalazła trupa i potwierdziły się w ten sposób zeznania Kaliny, stało się całkowicie jasne, że ci, którzy tu podjechali, musieli być bandziorami z jej opowieści. Jeden stał przy honkerze i rozmawiał z Gołąbką, drugi siedział za kierownicą mercedesa. Czy ktoś jeszcze był w środku? Musiała to sprawdzić.

Ruszyła wzdłuż ciemniejącego z każdą chwilą korytarza. Na szczęście kilka pomieszczeń miało otwarte na oścież drzwi, więc poświata samochodowych reflektorów wpadała do środka, oświetlając jej drogę. Przed każdym wejściem zatrzymywała się na wszelki wypadek, by po chwili spenetrować wnętrze, sprawdzając wszystko lufą swojego glocka. Wiedziała, że musi dotrzeć na sam koniec baraku. Tam zatrzymał się dostawczak bandytów. Jeśli więc uda jej się niepostrzeżenie wyskoczyć z tego okna, pod którym rosły krzaki, miała szansę podejść do auta od tyłu. Miała też dobre pole obserwacyjne, by postarać się wypatrzeć, co dzieje się wewnątrz samochodu.

Gdy dotarła do przedostatnich drzwi, przywitał ją ten

sam trupi odór. Pod ścianą na korytarzu leżało coś podłużnego, zawiniętego w prześcieradło. W półmroku widać było zarys sylwetki dziewczyny przykrytej szczelnie materiałem. Nie musiała podchodzić bliżej, by być pewną, że to Larysa.

Weszła do pokoju. Był znacznie większy od pozostałych. Duża sala, w której stało kilka piętrowych łóżek. Wewnątrz panował niemiłosierny bałagan. Wszędzie wały się jakieś ciuchy i papiery, a stojący na środku stół zavalony był resztkami jedzenia. Można było odnieść wrażenie, że lokatorki zostały zabrane stąd w pośpiechu. Obrzuciła pokój jeszcze raz uważnym spojrzeniem. Nie miała jednak czasu na głębsze analizy. Trzeba było przejść do działania. Dopiero wychodząc, dostrzegła, że dwa okna w tym pomieszczeniu były zakratowane. Urządzili tu prawdziwe więzienie, prawie obóz koncentracyjny, pomyślała, znalazłszy się w ciemnej przestrzeni korytarza.

Zostały jeszcze jedne drzwi. Te były zamknięte na klucz. Ze zwykłym zamkiem patentowym poradziła sobie jednak w minutę. Ostrożnie weszła do środka. Tu też śmierdziało, ale nie tak jak na korytarzu. Ten pokój przesiąknięty był stęchlizną i wilgocią. Najpierw na wprost zobaczyła okno. Nie miało kraty. Dopiero potem dostrzegła coś, co sprawiło, że w jednej chwili na karku poczuła chłód, który błyskawicznie spłynął w dół po plecach. Na lewo od drzwi piętrzył się stos rzuconych na siebie, pootwieranych i rozbebeszonych walizek, toreb i reklamówek. Zawartość ich otwartych brzuchów wylewała się na zewnątrz, tworząc skłębioną masę

kobiecych ubrań. Przez moment stała oszołomiona, ale nie dała się ponieść emocjom. Musiała działać. Nie było czasu na ludzkie odczucia.

Ruszyła do okna, rozgarniając butami elementy garderoby. Niektóre przyłgnęły jej do spodni, owinęły się wokół kostek. Strząsnęła je z nóg z prawdziwą ulgą, jakby wydostała się z grzędawiska. Uwolniona z bawełnianych objęć stanęła przy ścianie. Ostrożnie wyjrzała. Bus był jakieś trzy metry od niej. Niemal na wprost okna, przy którym stała, znalazło się tylne okienko samochodu. Szybko uporowała się z klamką, która nie była zablokowana, jednak dawno nieużywana stawiała opór. Otworzyła ją i pociągnęła skrzydło okna do siebie. Naraz zamarła, bo zdało się jej, że coś dostrzegła za szybą samochodu. Przez chwilę stała w bezruchu, wpatrując się, ale nie mogła rozróżnić żadnego kształtu po tamtej stronie. I naraz w tym samochodowym okienku rozbłysło ostre światło. Zapalił się płomień zapalniczki, potem zobaczyła żar odpalanego papierosa, a w tym ogniowym blasku dostrzegła wyraźnie kobiecą twarz. Twarz wpatrzoną w jej okno. Oczy wlepione w nią i, jak jej się wydawało, lekki uśmiech.

Nagle powietrze przeszył ostry dźwięk wystrzału. Wskoczyła na parapet i zaraz opadła na miękką trawę. Błyskawicznie poderwała się na kolana i doczołgała do burty auta. Nikt jej nie zauważył. Dalej na czworakach przesunęła się na tył samochodu i zatrzymała przy zderzaku, tak by nie mógł jej dostrzec w bocznym lusterku facet siedzący za kierownicą. Wtedy drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z auta wyskoczył rosy mężczyzna o atletycznej sylwetce. Natychmiast rozpoznała

przedmiot, który trzymał w prawej dłoni. Był tak charakterystyczny, że nie można było go pomylić z niczym innym. Mężczyzna uniósł nieco w górę i przeładował karabinek AK-47. Zdecydowała w mgnieniu oka. Podniosła się i szybkim skokiem dopadła faceta. Nim ten zorientował się, co się dzieje, usłyszał za swoimi plecami zdecydowany kobiecy głos:

– To, co czujesz przy głowie, to lufa mojego glocka.

– Zwariowali czy jak? – zdziwił się Turek. – Po cholere trąbią?

– Jak trąbią, to znaczy, że coś się stało – wyjaśnił Biernat, sapiąc głośno. Szli wzdłuż ogrodzenia z siatki i drutu kolczastego, bezskutecznie szukając miejsca, w którym dałoby się dostać do tej ogrodzonej zony. Ale nie mieli na to najmniejszych szans. Gdyby zabrali ze sobą z samochodu leśniczego zwykłe nożyce do drutu, które mieściły się bez problemów w kieszeni, już dawno byliby w środku, bo sforsowanie takiej drucianej przeszkody zajęłoby im najwyżej pięć minut. No ale żaden z nich o tym nie pomyślał i teraz wracali pokonani przez ostre żelastwo.

– Drut kolczasty pokonał w Stanach Zjednoczonych wielkie stada bydła – podsumował ich oczywistą porażkę znawca Dzikiego Zachodu, Turek. – To drut kolczasty właśnie, a nie co innego zakończył epokę kowboi.

– A dziś kończy epokę kretynów w szamotulskiej policji – dorzucił kwaśnym tonem sapiący komisarz. – Nigdy więcej nie dam się wciągnąć w takie

pro wizoryczne akcje. Wszystko trzeba robić w sposób przemyślany i metodyczny, a nie ulegać młodej i zapalczywej dziewczynie, choćby była najbardziej z nas bystra.

– Kto jest taki bystry? – Idący przodem Turek, zatrzymał się i spojrzał pytająco na swojego szefa.

– Jak kto? Oczywiście, że Aneta. Sprzedałaby ciebie i mnie razem z workiem pyrów na dokładkę. A wygląda jak niewiniątka, za które nie dałbyś pięciu złotych. Ma głowę, jak mała kto.

– I co ta jej ruda głowa mówi teraz? Trąbi klaksonem, bo coś się stało? Może zobaczyła zająca, który przebiegł drogę, i uciekła do samochodu. Ciemno się zrobiło i dziecko chce do mamusi. Ja znam takie niewiniątka i...

– Cicho bądź!

– Co, jak się Anetkę atakuje, to zaraz pan komisarz Biernat robi się drażliwy...

– Zamknij się, do cholery, i słuchaj.

– Co? Już nikt nie klaksonuje.

– Słuchaj, to Gołębek z kimś gada.

– Pewnie z Anetką, he, he...

Obaj przystanęli i zaczęli nasłuchiwać.

– A wy co robili u nas? Was kto prosił w gości? – Usłyszeli pytanie zadane ze wschodnim akcentem.

– Ja nie... Nie wchodziłem tam – odpowiedział Gołębek.

Coś tam się działo. Biernat sięgnął do kieszeni po pistolet. Turek zrobił to samo. Natychmiast ruszyli

ostrożnie w kierunku, z którego dochodziły głosy. Po chwili dostrzegli charakterystyczną sylwetkę honkera i stojącego za nim człowieka o posturze zapaśnika. Gołąbka nie było widać. Musiało go zasłaniać auto. A ten stojący twarzą do niego facet właśnie wyciągał pistolet.

Widząc, co się święci, Turek, który był bliżej skraju drzew, niewiele się namyślając, wystrzelił z biodra jak kowboj. Niemierzony strzał nikomu nie mógł wyrządzić krzywdy. Przyniósł jednak efekt. Bandzior przewrócił się na ziemię i skrył za kołem terenowego wozu. I w tym momencie w zasadzie można było powiedzieć, że sytuacja zrobiła się kompletnie patowa, bo ani ten ukryty za autem nie mógł dosięgnąć ogniem dwóch policjantów, ani oni nie mieli najmniejszej szansy, by go trafić. Mogli więc spędzić na swoich stanowiskach kilka godzin, dopóki nie przyjedzie wsparcie dla jednej czy drugiej strony. Tyle że o wsparcie trzeba by poprosić, ale tu w puszczy uzyskanie połączenia telefonicznego graniczyło niemal z cudem. I wtedy zdarzył się cud. Z prawej strony, drogą, w blasku reflektorów samochodowych szedł w ich kierunku podobny do tego leżącego za autem wielkolud z ogoloną głową. Naraz zatrzymał się i krzyknął w stronę swojego kumpla:

– No, Wasia, poddajemy się.

– A ty co, zdurniał zupełnie, Matros?

– Nie zdurniał. Z pistoletem przy łbie nikt nie jest mądry. Poddawaj się, Wasia.

– A pierdol się, idioto! – krzyknął Wasia i posłał w kierunku swojego kompana raz za razem trzy kule. Wszystkie trafiły w pierś. Matros opadł na kolana, ze

zdumieniem wpatrując się w swojego kolegę. Jednak nie mniej zdumiony był Wasia, gdy zobaczył, jak wygląda przyczyna jego dzisiejszych niepowodzeń. Za plecami Matrosa stała niewielka dziewczyna w policyjnym mundurze z kałasznikowem w rękach. Najpierw uśmiechnął się na jej widok, bo pomyślał, że to jakiś żart. Przecież takie chuchro nie mogło rozbroić tego wielkiego goryla i doprowadzić go do niego na odległość trzech metrów... I wtedy zrozumiał, ale było już za późno, że na takie małe cholery trzeba jednak uważać. Tyle że ta refleksja nie była mu już do niczego potrzebna. Rozmyła się w eksplozji bólu wywołanego serią z karabinka AK-47, która rozpruła go niemal na pół.

Rozdział VII

**Wtorek
15 września 2015
Godzina 7.30**

Deszcz padał w Poznaniu całą noc, ale jakieś pół godziny temu ulewa tak, jak nagle przyszła wczoraj wieczorem, tak raptem się urwała. Jakby na specjalne zamówienie uczniów, którzy śpieszyli się do szkoły na pierwszą lekcję. Tu, na Wichrowym Wzgórzu, były dwie szkoły. Jedna podstawówka to społeczna dwójka. Do niej uczniowie docierali w komfortowych warunkach przywożeni przez rodziców samochodami z całego Poznania. Położona całkiem niedaleko jedenastka była typową szkołą osiedlową, więc dzieciaki ze wszystkich okolicznych bloków chodziły tu na piechotę. Dwaj chłopcy z torbami na kółkach najwyraźniej nie mieli ochoty na nową porcję wiedzy. Stali na parkingu, rozglądając się, tak jakby chcieli sprawdzić, czy nie widzi ich któryś z sąsiadów albo, nie daj Boże, rodziców. W ich głowach bowiem właśnie w tym momencie rodził się odwieczny dylemat wszystkich wagarowiczów – co zrobić z tak ładnie zapowiadającym się dniem? Przecież skoro już się spotkali w drodze do szkoły, to nie po to, żeby

zmarnować w niej czas. Gdyby deszcz padał, to co innego. Trzeba byłoby pójść i zanudzić się na śmierć w ciągu najbliższych sześciu godzin. Ale skoro przestało lać, to trzeba było to wykorzystać.

– Ty, Borys, w ogóle to masz kaskę jakąś? – zapytał Adrian, niższy od swojego kolegi blondyn w zielonej kurtce i niebieskich dżinsach.

– Pięć zyla i trochę drobniaków – odpowiedział wyższy i znacznie cięższy chłopak, poprawiając czarny kaptur swojej bluzy kangurki. – A ty masz coś?

– Ja mam dwie dychy, ale to mama mi dała na komitet rodzicielski.

– No to powiesz, że zgubiłeś. Wiesz, ile za dwadzieścia pięć złotych kupimy chipsów i coli i jeszcze jakieś cukierki... – Borys kusił, roztaczając przez kolegą piękną wizję obżarstwa połączonego z przestępstwem. Adrian był jednak twardy.

– Co ty gadasz? Jak ja bym zgubił dwie dychy, toby mnie tata chyba zabił. Dostałeś kiedyś pasem na dupę?

Borys zrobił przerażoną minę. Słyszał o tym, że dawno temu rodzice bili dzieci pasem, ale sam tego nie doświadczył. Nikt z kolegów nie był bity, a ten tu opowiadał o takiej średniowiecznej karze.

– Biję cię pasem?

Adrian pokręcił głową.

– No nie, ale mówi zawsze, że jak coś zbroję, to się doigram i dostanę pasem na gołą dupę.

– Wiesz, że to jest przemoc domowa? To, o czym pani

mówiła na wychowawczej. Możesz to zgłosić.

– No coś ty. Co mam zgłaszać?

– Normalnie, jak chce ktoś cię bić, to dzwonicz na policję i już, a oni przyjeżdżają i wsadzają twojego starego... – Borys nagle zamilkł wpatrzony w jakiś punkt. Adrian spojrział w tym samym kierunku, ale niczego nie dostrzegł. To znaczy dostrzegł rząd samochodów stojących na parkingu, a za nimi osiedlowy sklep blaszak.

– O ja pierdziele, ale numer – wyrzucił z siebie zachwycony chłopak. Adrian spojrział na niego jak na wariata.

– Co się stało? – zapytał lekko zaniepokojony.

– Jak, nie widzisz tego woldzwagena? – wskazał palcem szarą furgonetkę, która stała jakieś pięć metrów od nich.

– No widzę, i co?

– Nie widzisz, jakie ma zajebiste naklejki?

– Jakie naklejki? Przecież tam nic nie ma na tym samochodzie. Żadnych napisów.

– Nie napisów, ćwoku. O te naklejki chodzi, takie, jak widziałem w internecie, że się przykleja i wygląda tak, jakby samochód był postrzelany. No widzisz?

– Te czarne dziurki?

– No. Chodź, zobacz bliżej. To jest czarna folia samoprzylepna...

Podeszli do bocznej burty furgonetki i uśmiechnięty od ucha do ucha Borys wskazał pierwszą z naklejek... Dotknął ją palcem i naraz mina mu zrzędła. Palec zagłębił

się w otworze, który okazał się być zwyczajną przestrzeliną.

– O ja pierdołę. – Chłopak szybko cofnął palec. Zaraz dotknął następnej dziurki, żeby się upewnić. – Ktoś strzelał do tego samochodu.

– Spieprzamy stąd – zdecydował Adrian i już się odwrócił, żeby uciec, ale Borys złapał go za rękaw.

– Ty chyba głupi jesteś!

– Co?

– No, nie kumasz bazy?

– Że niby jak?

– Że jest okazja na usprawiedliwienie.

– Co ty gadasz?

– Postrzelane auto to znaczy, że trzeba zadzwonić na policję. Przyjadą tu i nas przesłuchają. Nie musimy iść do budy. Teraz czaisz? I jeszcze w telewizji o nas mogą powiedzieć, że niby dwóch uczniów zawiadomiło policję o przestępstwie.

– A wy co tu robicie? – zapytał naraz starszy, siwy mężczyzna w nieprzemakalnej kurtce i dresowych spodniach. Chłopcy spojrzeli na niego ze strachem, ale dostrzegłszy, z kim mają do czynienia, przybrali obojętne miny. Sąsiad z ósmego piętra Chudecki na pewno nie był bandytą i nie strzelał do samochodu.

– A co, nie możemy stać? – postawił się natychmiast Borys.

– No – poparł go Adrian. – Stoimy se.

– Stać można, ale nie tu. Cały parking jest wolny.

Wszędzie można sobie postać. A najlepiej w szkole o tej porze.

– A my chcemy tutaj. – Borys nie dawał za wygraną.

– Jak se tam chcecie, ale tu zaraz przyjedzie milicja.

– He, he, he, chyba policja – poprawił go Adrian. Emeryt machnął ręką.

– Jak se tam chcecie, ale żebyście potem nie mówili, że was nie ostrzegałem.

Nadkomisarz Witold Zalewski, gdy tylko odebrał telefon od dyżurnego w sprawie postrzelanej furgonetki, czym prędzej połączył się z Blaszkowskim. Tym razem wolał natychmiast się zabezpieczyć, meldując „górze”, czyli w tym wypadku swojemu staremu kumplowi Mariuszowi, o następnych efektach śledztwa. A efekt był taki, że godzinę temu oficer dyżurny odebrał telefon w sprawie popielatego volkswagena transportera. Tego auta od wczoraj szukała cała poznańska policja. Okazało się jednak, że to nie policjanci znaleźli wóz. Dzwonił jakiś emeryt, który twierdził, że na osiedlu Wichrowe Wzgórze, na parkingu przed jego blokiem, stoi dokładnie takie auto, jakiego szukali, i co ważniejsze, ma w karoserii kilka przestrzelin.

– A skąd pan wie, że to są przestrzeliny? – Na wszelki wypadek wolał uściślić tę informację dyżurny.

– Bo ja, panie, jestem policjantem.

– Jak to policjantem? Na służbie?

– No nie na służbie. Znaczy się po służbie. To znaczy, że jestem policjantem emerytowanym. Kapitan Albin Chudecki mówi. Przed przejściem na emeryturę kierownik posterunku na Dworcu Głównym w Poznaniu.

– A, no to trzeba było tak od razu, panie kapitanie, znaczy się nadkomisarzu.

– Hmm – mruknął zadowolony Chudecki, który odszedł z Milicji Obywatelskiej zaraz, jak tylko stała się ona policją, i nigdy nikt nie zdążył nazwać go nadkomisarzem. Teraz niedoszły nadkomisarz był emerytowanym funkcjonariuszem dorabiającym sobie jako nocny stróż. I z zawodowego przyzwyczajenia lustrował badawczym spojrzeniem wszystkie zaparkowane na niestrzeżonym, osiedlowym parkingu samochody, szukając jakiejś osobliwości, auta na numerach warszawskich albo bez tablic rejestracyjnych czy wręcz samochodu z wybitą szybą. Cały czas czuł się stróżem prawa, mimo że w stanie spoczynku, i gdy tylko zauważał jakąś nieprawidłowość, natychmiast dzwonił po straż miejską. Wolałby na policję z zawodowego przyzwyczajenia, ale tam zazwyczaj w wypadku samochodu bez rejestracji odpowiedź była jedna: „Proszę zadzwonić na straż miejską”. No ale dziś, kiedy natrafił na auto z wyraźnymi śladami przestrzelin, postanowił nie dać się zbyć byle czym. Sprawa była zbyt poważna.

– Ten emeryt powiedział, że samochód ma ślady po kulach. – Zalewski chciał w ten sposób powiedzieć Blaszkowskiemu, że to chyba ich auto.

– A skąd on niby to wie? – powątpiewał Mariusz.

– Bo to jest ten pierdolony Albin Chudecki, który

pracował z nami w wydziale i którego Marcinkowski wypieprzył z hukiem za donoszenie na kolegów...

– Jadę z tobą na miejsce. – Blaszkowski podjął decyzję. Mógł nie lubić Chudeckiego, bo był wyjątkową kanalią i krętaczem, o którym Teoś Olkiewicz mówił, że to wrzód na dupie całego wydziału. Ale to były milicjant, który, czy to się komuś podobało, czy nie, posiadał fachową wiedzę.

Policyjny mikrobus wjechał w osiedlową uliczkę, mijając po lewej stronie pawilon handlowy. Buda mogłaby z powodzeniem zagrać jako dekoracja w filmie z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, gdyby nie narożna część fasady, którą zagospodarowała znana sieć restauracji specjalizujących się w podawaniu pizzy. Auto minęło pizzerię i skręciło w prawo na wielki międzyblokowy parking.

– Tam stoi. – Zalewski wskazał na szczupłego faceta w dresie i ortalionowej kurtce, który wyszedł na środek uliczki, wymachując obiema rękami.

– Nic się, skurwiel, nie zmienił – mruknął pod nosem Blaszkowski, który szczerze nie cierpiał tego typu. Zresztą, gdy obaj zaczęli pracę w komendzie wojewódzkiej, nikt go nie lubił. No ale też nie było za co. Chudecki był przemądrzały i niesympatyczny, a do tego jeszcze każdą pojawiającą się w grupie nieprawidłowość chciał wypalać rozgrzanym do czerwoności raportem do przełożonych. Na szczęście te donosy trafiały na biurko ich dowódcy, pułkownika Żyty, który nie zamierzał nadawać im biegu służbowego. Nic dziwnego, że już sam widok tego faceta budził w obu policjantach niezbyt przyjemne

wspomnienia.

Prowadzący radiowóz sierżant podjechał do zaparkowanego w rzędzie samochodów dostawczaka i na wszelki wypadek zatrzymał swój wóz tak, by tamten nie miał szansy wyjechać. Była to zbędna ostrożność, bo w aucie nie było nikogo. Policjant jednak najwyraźniej zadziałał rutynowo. Nim zdążył wyłączyć silnik, Błaskowski i Zalewski wyskoczyli z auta.

– To myśmy go znaleźli, w sensie tego woldzwagena z dziurami, ja i mój kolega Adrian – poinformował obu policjantów Borys, podbiegając do nich.

– Borys i ja, jak żeśmy szli do szkoły. – Adrian od razu przeszedł do konkretów. – I dlatego nie mogliśmy pójść do szkoły, bo musieliśmy tu pilnować, ale przyszedł ten dziadyga i kazał nam uciekać. Może to on strzelał do samochodu...

– Bardzo dobrze zrobiliście – pochwalił chłopaków Mariusz. – Idźcie do radiowozu i powiedzcie o wszystkim sierżantowi, co tam został w środku. A jak już wszystko mu powiecie, niech was podrzuci do szkoły.

Obaj wagarowicze aż pokraśnili z radości. Przyjazd do budy radiowozem to będzie sensacja na najbliższe kilka dni. Byleby tylko tak wycyrklować z tym przyjazdem, aby była przerwa, żeby jak najwięcej kolegów mogło ich zobaczyć.

Już po chwili obaj siedzieli w radiowozie. Tymczasem kapitan Chudecki podszedł do auta, chcąc przedstawić swoją wersję wydarzeń, i stanął jak wryty. Rozpoznał obu oficerów, więc na ich widok stracił nieco pewności siebie.

Zaraz jednak wciągnął na twarz swoją ulubioną maskę złożoną z pychy i arogancji. Chwycił się pod boki i spoglądając na policjantów, rzucił niby obojętnym tonem:

– I co, stary Chudecki jeszcze całkiem nie zardzewiał? A wy dwaj jak zwykle, zawsze po moich śladach.

– Dobrym śledczym jest się przez całe życie – stwierdził Blaszkowski i już chciał odwrócić się od starego znajomego, ale ten miał coś jeszcze do powiedzenia.

– A nie szukacie przypadkiem jakichś skrzyń wojskowych? Bo jakby co, mogę wam podrzucić kilka zdjęć z mojego aparatu w telefonie komórkowym.

– Zrobił pan zdjęcia? – z niedowierzaniem spytał Zalewski.

– Zrobiłem wczoraj, jak szedłem na służbę, bo coś mi nie pasowało. O, tam za tym drzewem se stanąłem, a facet spokojnie przeładował cały towar z tego volkswagena do terenowego auta. Na markach aut to ja się nie znam, ale se na zdjęciach zobaczycie i jego, i to auto. Ale że byłem daleko, to nie widziałem tych przestrzelin. No i dzisiaj, jak wracałem z roboty, to podszedłem bliżej z ciekawości i wtedy zobaczyłem te dziury. – Ciszę, jaka nastąpiła po tej opowieści, skwapliwie wykorzystał były milicjant. –

Wszystko to ode mnie dostaniecie, ale pod jednym warunkiem. W raporcie ma być powiedziane, że materiały zostały pozyskane dzięki działaniom nadkomisarza Albina Chudeckiego.

Nie mieli wyjścia. Musieli się zgodzić.

Godzina 8.00

Redaktor Kociak wysiadł z tramwaju na skrzyżowaniu Grunwaldzkiej i Matejki. Był zadowolony, bo kolejny raz mu się udało. Przejechał całą trasę z Rataj do centrum na gapę. Nie kupował biletów programowo, bo uważał, że miasto powinno swoim mieszkańcom zapewniać darmową komunikację, skoro oni płacą podatki. I wcale nie było istotne, że sam nie płacił, bo nie był zameldowany w Poznaniu. Uważał, że tak być powinno i koniec. A gdy się już zdarzało, że go łapano na jeździe bez biletu, twierdził, że jest bezdomny i nie ma dowodu osobistego. Jego niedbały wygląd bardzo takie tłumaczenia uwiarygodniał, więc najczęściej kontrolerzy po prostu wyrzucali go z tramwaju. A on grzecznie wysiadał i pakował się do następnego. Teraz wyskoczył z zielonego wozu i po przejściu świateł tuż przy miejskiej komendzie policji skierował się do redakcji swojej gazety. Nie śpieszył się jak kiedyś. Nie czuł tej dawnej satysfakcji, jaką dawał mu każdy dzień reporterskiej pracy. Szedł wolno, wlokąc się noga za nogą, tak jakby chciał odsunąć moment, w którym wejdzie do newsroomu, gdzie, tak mu się przynajmniej zdawało, nie czeka go nic przyjemnego. Już wczoraj wyczuł chłodny dystans, jakiego nabrali do niego redakcyjni koledzy. Zdaje się, że mało komu podobał się ten jego artykuł o Marcinkowskim. Wszyscy dookoła wiedzieli, a nawet i on miał takie poczucie, że to nie była żadna robota dziennikarska, a zwyczajny

paskudny i niczym niepoparty paszkwil. Ludzie zachodzili w głowę, jak to w ogóle możliwe, że szefostwo gazety zgodziło się taki cuchnący z daleka artykuł opublikować. No ale nie takim prostym dziennikarzom decydować o linii, jaką wyznacza właściciel gazety. Redakcja teoretycznie może rozstrzygać o wszystkim, co ukaże się następnego dnia w dzienniku, ale jeśli nawet kolegium redakcyjne podejmie decyzję, że o czymś trzeba pisać, to każdy artykuł może zatrzymać redaktor naczelny reprezentujący interesy właściciela. Działa to także w drugą stronę, czyli jeśli właściciel będzie chciał, by redakcja o czymś napisała, to może to się nie podobać dziennikarzom, a i tak artykuł się ukaże.

W przypadku poniedziałkowego tekstu dotyczącego Marcinkowskiego sytuacja wyglądała nieco inaczej. Jakies dwa tygodnie temu Kociak poinformował naczelnego, że zamierza zająć się tematem policjanta donosiciela, ale nie wdawał się wówczas w żadne szczegóły i oczywiście nie podał nazwiska policjanta. Mimo to szef zgodził się na podjęcie dziennikarskiego śledztwa. A jego efekt okazał się porażający. Za pomocą insynuacji, niedomówień i zeznań osób istniejących tylko w jego wyobraźni Kociak stworzył artykuł oczerniający funkcjonariusza. Nie miał żadnej podbudowy w postaci konkretnych dowodów. Dostał je dopiero wczoraj. Kluczowy okazał się dokument otrzymany od bankiera Bieleckiego, który miał ponoć jakieś kontakty z dawnymi esbekami.

Trudność była tylko jedna, ale dla Kociaka całkowicie drugorzędna. Dokument, który był koronnym dowodem na współpracę Marcinkowskiego z SB, nie miał podpisu

Marcinkowskiego. Fakt, że pod raportem dla bezpieczeństwa był podpisany jakiś agent o pseudonimie Teoś, nie miał dla redaktora żadnego znaczenia. W końcu Marcinkowski mógł mieć właśnie taki pseudonim. Najważniejsze, że był to autentyczny dokument sporządzony dla SB i opatrzony esbeckimi pieczęciami z podpisem oficera przyjmującego i datownikiem. Do takiego oryginału nikt się nie mógł przyczepić. To był prawdziwy dowód na poparcie Kociakowej tezy o współpracy Marcinkowskiego z resortem. Teraz to Marcinkowski musiał udowodnić, że nie jest wielbłądem, a redaktor był całkowicie czysty i kryty.

Jeszcze wczoraj, gdy przyszedł do naczelnego z dwoma raportami tajnego współpracownika SB, miał pewne wątpliwości, czy szef zgodzi się puścić kolejny artykuł. Redaktor Wojciech Miśkiewicz, przeczytawszy raporty, uderzył dłonią w blat biurka, a potem pociągnął ze szklanki spory łyk herbaty. Zawsze zanim cokolwiek powiedział, musiał się napić, bo był nałogowym palaczem i dlatego ciągle miał sucho w ustach.

– Miałem wątpliwości z tym pierwszym tekstem, który mi przyniosłeś. Ci świadkowie opowiadający o tym, jak Marcinkowski donosił...

– Wszyscy potwierdzili – wszedł mu w słowo redaktor.

– Co ty mi tu pierdolisz? Potwierdzili w twojej głowie. Ja znam Marcinkowskiego od trzydziestu lat i wiem, że to nie on donosił. Nawet wiem, kto to robił u niego w wydziale, więc jak mi to przyniosłeś, to od razu chciałem te wypociny wyrzucić do kibla razem z tobą... –

Znów popił, a potem sięgnął po papierosa. Zapaliwszy,

spojrzał z wyraźną niechęcią na Kociaka. – Ale nie wyrzuciłem, ponieważ umiem kombinować tak jak i ty. I dlatego pomyślałem sobie, dlaczego w przeddzień wyborów przynosisz mi taki kibel z rzygami? I od razu odpowiedziałem sobie na to pytanie: przynosisz, bo ktoś ci za to zapłacił!

– Ależ to oburzające! – Dziennikarz poderwał się z miejsca. – Ja się nie dam traktować jak...

– Jak szmatę? – Miśkiewicz uśmiechnął się niezrażony wybuchem podwładnego. – Przecież ty jesteś szmatą do wycierania rzygowin. Moralnym zerem, które bierze pieniądze od ludzi za pisanie artykułów robiących im laskę. Siadaj i nie oburzaj mi się tutaj, tylko słuchaj, co mam do powiedzenia. A jak nie chcesz siadać i wolisz pajacować, to powiedz od razu i wypierdalaj. Tylko jak już stąd wyjdiesz, zajdź od razu do kadr po zwolnienie dyscyplinarne za... powiedzmy, zachowanie niegodne dziennikarza.

– Że jak?

– Za to żeś wziął pięćset złotych i flaszkę wódki od firmy Meblokompleks z Trzcianki za artykuł o meblach z ekologicznej tarcicy... Prezes tej firmy powiedział mi o tym na gali targowej w zeszłym miesiącu. Powiedział, że takie są stawki w mojej gazecie, rozumiesz?

– Co... ja...

– Siadaj, Kociak, i słuchaj.

Kociak usiadł.

– No więc wtedy zadałem sobie pytanie, dlaczego przed wyborami ktoś chce utopić Marcinkowskiego. No

i odpowiedź była całkiem prosta. Ci, którzy idą do władzy i pewnie niedługo wygrają, chcą pokazać, że w policji jest burdel, a poza tym chcą po przejęciu tej władzy w spektakularny sposób posprzątać. Więc zamieszanie z Marcinkowskim, niby byłym współpracownikiem SB, jest obecnej opozycji, a wkrótce może rządzącym, jak najbardziej na rękę. Dlatego właśnie zdecydowałem się puścić ten twój szajs, mimo że nie przedstawiłeś mi żadnych konkretnych dowodów na współpracę tego szkieła z esbecją. Zdecydowałem to puścić, bo to może być na rękę przyszłej, nowej władzy. A my, jak wiesz, z władzą zawsze lubimy dobrze żyć. I to możesz przekazać ode mnie tym, co ci dali zlecenie na ten artykuł. I co ważniejsze, dali dziś też dowody, które w razie czego będziemy mogli pokazać w sądzie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Bo te dwa raporty TW Teosia to dowody właśnie, choć nie napisał ich Marcinkowski.

– A kto je napisał? – zapytał zdziwiony Kociak.

– No jak kto? Nie widzisz, kto tu się podpisał? Przecież to jasne jak słońce, że tajnym współpracownikiem był właśnie Teoś.

– Jaki Teoś?

Naczelnym z niedowierzaniem pokręcił głową.

– I ty piszesz o poznańskiej milicji, o wydziale dochodzeniowo-śledczym, w którym przez lata pracował Marcinkowski, i nawet nie wiesz, kto to taki Teoś? Teoś, czyli Teofil Olkiewicz.

Kociak wzruszył ramionami. No przypomniał sobie tego Olkiewicza, który miał knajpę na Półwiejskiej

i z którym rozmawiał ten jego młody praktykant. Niby skąd miał o tym wszystkim pamiętać? Przecież nie pracował w milicji. Wtedy w drugiej połowie lat osiemdziesiątych studiował, a jak przyszedł rok osiemdziesiąty dziewiąty, pechowo zapisał się do ZSP, licząc na pomoc w przyśpieszeniu zawodowej dziennikarskiej kariery. Ale socjalistyczna organizacja studencka akurat zaczęła się rozpadać, a Kociak niestety nie wyczuł koniunktury. Gdyby zapisał się wtedy, na wiosnę, do odradzającego się NZS, to może dziś byłby naczelnym gazety albo nawet szefem lokalnego radia. A tak, jako były członek komunistycznej organizacji, miał przyklejoną w środowisku łatkę komucha. Tymczasem nigdy nie był żadnym lewicowcem czy prawicowcem. Był nikim. Chciał tylko robić karierę i zarabiać pieniądze. Kariery nie zrobił, przez te długie lata był zwyczajnym reporterem od wszystkiego. Nie miał nawet szans stać się wyspecjalizowanym redaktorem od sportu czy motoryzacji albo choć od służby zdrowia. Nie, on był od wszystkiego, bo na niczym nie znał się i nigdy nie miał chęci poszerzać swojej wiedzy. Interesował się tylko forszą i wódą.

– Panie Kociak, chodź no pan tutaj! – Z zamyślenia wyrwał go czyjś głos dobiegający od strony auta, które zatrzymało się zaraz za przejściem dla pieszych. Nie znał się na samochodach, ale musiał przyznać, że to wyglądało całkiem okazale. Przystanął więc zdziwiony. Nie mógł to być żaden z jego znajomych, bo ci, z którymi się zadawał, najczęściej w ogóle nie mieli aut, a jeśli już, to zazwyczaj były to stare, zdezelowane graty. Ten wyglądał tak, jakby

przed chwilą wyjechał z salonu motoryzacyjnego.

– Ja? – Postanowił się upewnić.

– Pan się nazywasz Kociak?

– No ja.

– No to chodź pan tu, bo zaraz zapłacimy mandat za stanie w niedozwolonym miejscu.

Podszedł bliżej, wietrząc w tym przywoływaniu jakiś podstęp, ale ujrawszy uśmiechniętą twarz mężczyzny siedzącego z tyłu, wyzbył się wszelkich obaw. Ten facet, który go wołał, nazywał się Ryszard Grubiński i był właścicielem Banku Ziemskiego przy placu Wolności. Kociak znał Grubińskiego, bo był jakiś czas temu na bankiecie z okazji dwudziestolecia tego banku. Zaproszenie znalazł w redakcji w koszu. Któryś z kolegów dostał je, ale zapewne doszedł do wniosku, że nie powinno się korzystać z zaproszeń bankowców, bo to nieetyczne. Kociakowi było wszystko jedno. Poszedł, żeby się najeść i napić za darmo, po cichu licząc jeszcze na jakiś prezent. Nie pomylił się. Zaproszeni dziennikarze dostali notesy i piękne zestawy do pisania złożone ze skórzanego etui z długopisem i piórem w środku. To etui i pióro zgubił dość szybko, ale długopis służył mu do dziś. Natomiast samą imprezę zapamiętał niezbyt dobrze, bo po godzinie wyrzucono go z niej po tym, jak pijany naubliżał jakiemuś grubemu bankowcowi od kapitalistycznych pijawek. Na szczęście nie był to sam właściciel banku Grubiński, bo ten był na imprezie tylko przez chwilę i po wygłoszeniu krótkiej mowy okolicznościowej opuścił gości. A nim zajął się taki rudy i piegowaty facet w garniturze, który, dostrzegłszy, że Kociak łąpie za krawat tego gościa,

wykręcił mu rękę i wyprowadził na ulicę, na wszelki wypadek dając mu jeszcze na pożegnanie solidnego kopniaka.

– No dalej, wsiadaj pan! – Grubiński poklepał miękkie skórzane siedzenie obok siebie. Kociak wyrobionym szczerzym nosem natychmiast bezbłędnie wyczuł nadciągający dobry interes. Wskoczył więc do auta i zamknął za sobą drzwi. Kierowca wrzucił jedynekę i limuzyna włączyła się do ruchu. – Nazywam się Grubiński, Ryszard Grubiński, i jestem...

– Ja wiem, kim pan jest.

– A to bardzo dobrze, bo to ułatwi nam sprawę. A to jest pan Brodziak Mirosław, który jest moim wspólnikiem, a w banku zajmuje się sprawami ochrony – powiedziawszy to, wskazał na siedzącego z przodu pasażera. Ten odwrócił się, szczerząc zęby w uśmiechu, a Kociak natychmiast rozpoznał w nim faceta, który kopnął go w dupę. Nie dał jednak po sobie niczego poznać.

– Panie Kociak, zaprosiłem pana na krótką przejażdżkę i rozmowę, żeby poprosić o pewną informację. A ja jako człowiek interesu oczywiście za tę informację panu zapłacę. Rozumie pan?

– Niby rozumiem, ale nie wiem, jaka to informacja.

– I tu przechodzimy do sedna, panie Kociak. Więc niech pan słucha. Chcemy wiedzieć, kto panu dał zlecenie na Marcinkowskiego, czyli kto zapłacił panu za napisanie artykułu...

– No wie pan co, to jest oburzające... – wszedł mu

w słowo dziennikarz, udając święte oburzenie.

– Daj pan spokój i słuchaj dalej, bo ja nie mam czasu na pierdoły. Za odpowiedź na to pytanie dostaniesz pan – tu Rychu klepnął Brodziaka w ramię, a ten natychmiast podał mu żółtą kopertę – dostaniesz pan pięć tysięcy euro, czyli to, co jest w środku. – Otworzył kopertę i rozchylił, a potem podsunął dziennikarzowi pod oczy. – Czyli euro w gotówce, ale tylko za prawdziwą informację. Jeśli nam pan nie będziesz chciał powiedzieć, kto stoi za tą sprawą, to i tak nam pan powiesz, tyle że już bez pieniędzy, a mój przyjaciel, pan Mirek, z którego nogą już zdążyła się zapoznać pańska dziennikarska dupa, skopie ją tak, że będziesz się pan modlić, żebyśmy zechcieli posłuchać tego, co pan będziesz miał do powiedzenia.

Kociak spojrzał na kopertę, a potem na Grubińskiego.

– Ale te groźby są niepotrzebne, panie prezesie – rzucił, próbując przełknąć ślinę w wyschniętym nagle gardle.

– Potrzebne, niepotrzebne. – Bankier klepnął się w udo.
– W wolnym kraju człowiek zawsze musi mieć wybór.

– No to mój wybór nazywa się Stanisław Bielecki, który jest z pana branży, bo ma taki bank, co się nazywa SKOT czy jakoś tak.

Auto należące do Grubińskiego zatrzymało się przy skrzyżowaniu z ulicą Grochowską. Kociak wysiadł z samochodu i włożywszy kopertę do kieszeni, pomaszerował w kierunku świateł. Chciał dostać się na drugą stronę ulicy, żeby dojść na przystanek tramwajowy, z którego mógłby wrócić do redakcji gazety. Musiał przyznać, że ma dziś całkiem dobry dzień. Zarobił lekką

ręką nieprawdopodobną kupę pieniędzy. I to za co? Jak najlepszy dziennikarz dostał pieniądze za gorącą informację. Teraz niech ci bankierzy między sobą biją się po pyskach, jemu nic do tego. Zarobił i lepiej już być nie może. I jeszcze miał do tego satysfakcję, bo zemścił się na tej świni Bieleckim, który tak nieładnie go potraktował. Teraz przynajmniej gość zrozumie, że z nim, z redaktorem Kociakiem, trzeba grzeczniej i z szacunkiem.

Zielone światło się zapaliło i piesi weszli na pasy. On też poszedł, sprawdzając cały czas, czy w kieszeni jest koperta z euro. Spojrzał w lewo. Limuzyna z Grubińskim i tym wrednym rudzielcem pojechała prosto w kierunku stadionu Lecha, a on patrzył na nią, śmiejąc się z głupoty tych wszystkich finansistów, polityków i policjantów, którzy gotowi są pozabijać się za jakieś idiotyczne, nic niewarte sprawy.

Gdyby nie patrzył za bankierem, może dostrzegłby, że kolejny samochód, ten sunący za autem Grubińskiego, nie jedzie prosto, ale skręca w kierunku pasów, po których on właśnie przechodził. Kierowca powinien się zatrzymać, ale zrobił dokładnie coś odwrotnego. Zamiast przepuścić pieszego, ruszył gwałtownie do przodu. Kociak stanął, żeby przepuścić pirata drogowego... Wtem prowadzący wykonał gwałtowny ruch kierownicą i auto z impetem uderzyło w nic nierozumiejącego dziennikarza, któremu los już nigdy więcej nie dał szansy na zrozumienie czegokolwiek.

Za to uśmiechnął się w tej samej chwili do bezdomnego Romana Gałuszki, który szedł przez pasy tuż za Kociakiem, ciągnąc swój dwukołowy wózek ze

znalezionymi skarbami. Gdy auto przejechało po tym długowłosym facecie, z jego kieszeni wypadła żółta koperta i poleciała wprost pod nogi Romana. Ten, niewiele się zastanawiając, pochylił się, chwycił ją i szybko schował. Nikt tego nie dostrzegł, bo spojrzenia wszystkich przechodniów skierowały się gdzie indziej. A Roman Gałuszka natychmiast się wycofał na chodnik, a potem wolnym krokiem poszedł w kierunku przejścia między blokami. Jeszcze nie wiedział, co znalazł, ale przez swoją brudną, niemytą od wielu dni skórę czuł, że to coś niezwykłego.

Godzina 8.15

– Najpierw trzeba jeszcze sprawdzić, kto dał im cynk? – stwierdziła Aneta.

– Że niby jak? – Turek był bystrym facetem, ale niekiedy służyło na niego coś w rodzaju zaćmienia umysłu i musiała minąć chwila, zanim wszystkie informacje zaczynały mu się łączyć w logiczną całość.

– Ona mówi, hmm..., że ktoś poinformował naszych pięknych chłopców, hmm..., że dziewczyna, którą zawiozłeś do Poznania, jest w Poznaniu – wyjaśnił Biernat, zagryzając kanapkę z szynką i popijając ją kawą z duraleksowej szklanki.

– Czyli że kto? – pogrążał się coraz bardziej.

– Czyli że ktoś wysłał tego goryla do szpitala w Poznaniu, żeby zlikwidował dziewczynę. Ale żeby

wysłać, musieli wiedzieć dokąd. – Aneta wytłumaczyła wszystko spokojnym tonem, a w miarę tych tłumaczeń na twarzy Turka pojawiało się zrozumienie.

– Głowa mnie boli. Muszę wziąć zaraz jakąś tabletkę – stwierdził i wstał z krzesła, a potem szybko wyszedł z pokoju.

Siedzieli przy długim, przeznaczonym dla kilkunastu osób stole w gabinecie, w którym od czasu do czasu odbywały się narady zespołów czy wydziałów. Biernat jednak lubił tu przychodzić, gdyż, jak mówił, ten pokój dawał mu komfort wyciszenia. I rzeczywiście mało kto tu zaglądał, więc nikt im nie przeszkadzał.

Oboje spojrzeli za wychodzącym Turkiem. Biernat uśmiechnął się pod nosem.

– Co z nim? – zapytała nieco zdziwiona Aneta.

– Nie widzisz? – Komisarz dotknął dłonią szyi. – Ciężko myślący i ciężko kojarzący gość, a do tego jeszcze dochodzi bolący łeb, to może oznaczać tylko jedno. Nasz kolega wczoraj postanowił uczcić nasz sukces albo zalać stres. Powód możesz sobie wybrać, ale efekt jest ten sam. Turek, wracając do domu wieczorem, musiał kupić sobie flaszkę i ją wychlać. No i dzisiaj masz efekt w postaci niepełnosprawnego funkcjonariusza.

– Powinien się przespać czy jak?

– Spokojnie, dwie, trzy kawy i dojdzie do siebie. Za godzinę będzie na chodzie. Ale na razie nie możemy go zbyt obciążać trudnymi sprawami.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył Turek, który zmienił się nie do poznania. Dosłownie tryskał energią.

Przyczynę odmiany postawił przed sobą na stole. Półlitrowa puszka z jakimś płynem energetycznym sprawiła w ciągu paru minut, że aspirant dostał skrzydeł.

– Ja już wiem, w czym rzecz. Znaczy, skąd oni mogli wiedzieć. Nikt o tym nie pomyślał, ale sprawa jest prosta – stwierdził i pociągnął spory łyk napoju.

– No mów, chłopie – ponaglił go Biernat.

– Jak stąd jechałem, to powiedziałem o tym dyżurnemu, bo tak se sam jechać nie mogłem. No to on się zgodził i nie było problemu. Marczak Tadek był wtedy na dyżurze, to go możecie spytać, jak było. Ale dalej ja jemu powiedziałem, żeby pogadał z Wronkami, znaczy się z chłopakami stamtąd, czy któryś z nich coś wie na temat dziewczyn, co stały na drodze przed Wronkami, bo jedną wieziemy do szpitala w Poznaniu. I Marczak mówił, że odezwał się jeden od nich, co się pytał, po co szpital i tak dalej w ogóle... Trzeba by z Marczakiem pogadać. Bo to jedyne miejsce, gdzie info o tym, że dziewczyna jest w Poznaniu, poszło od nas.

– No to jest logiczne wytłumaczenie. Bo przecież nie mogli szukać jej we wszystkich szpitalach w Poznaniu. Zresztą jak oglądałam to nagranie ze szpitalnego monitoringu, to facet szedł na pewniaka. Musiał wiedzieć, że ona tam jest.

– Więc prawdopodobnie – Biernat jak zwykle zaczął zbieranie wszystkich informacji do jednego worka – nasza banda miała w policji swojego człowieka...

– Ma w policji swojego człowieka – poprawiła go Aneta.

– No o tym mówię – mruknął komisarz, niezadowolony, że mu się przerywa. – Mieli swoją bazę, a w zasadzie obóz koncentracyjny, w którym trzymali dziewczyny. Wszystko pięknie się im układało, dziewczyny były codziennie rozwożone na okoliczne drogi i zarabiały na naszych chłopaków. Żadna z nich nie próbowała nawet uciekać, bo na każdą mieli filmik porno...

Aneta przypomniała sobie, co znaleźli w telefonie komórkowym tego faceta, którego wczoraj zastrzeliła. Na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze. Na filmie dziewczynę, która musiała być pod wpływem jakiegoś narkotyku, gwałciło trzech zwyrodnialców. Było tam jeszcze więcej nagrań o podobnej tematyce, ale to jedno wystarczyło jej za wszystkie inne. Obejrzała tylko początek i poczuła mdłości.

Biernat zabrał ten telefon i wrzucił do foliowego worka. Podobnie postąpił z aparatem należącym do drugiego z zabitych osiłków. Zostawili to paskudne miejsce chwilę po tym, jak przyjechała z Szamotuł ekipa techniczna. Wezwali jeszcze chłopaków z Wroniek, bo roboty było tu dla sporej grupy policjantów. Musieli przeszukać cały teren tego obozu, sprawdzić każdy kąt baraku i zabezpieczyć wszystkie ślady. Jednak obraz, który wyłaniał się z tej pobieżnej obserwacji, dokonanej zaraz po strzelaniu, był przygnębiający.

– *Как долго вы были здесь в этом лагере?* ¹⁷ – zapytała po rosyjsku, z twardym polskim akcentem, drobną blondynkę, tę samą, która zapaliła papierosa,

siedząc na tylnym siedzeniu mikrobusu, gdy ona szykowała się do wyjścia z baraku. To dzięki niej dostrzegła wewnątrz wozu jeszcze dwie osoby, drugą dziewczynę i kierowcę.

– *Я видела, как ты стояла в окне...*¹⁸ – Nie odpowiedziała na pytanie. To, co wydarzyło się kilka minut wcześniej, było dla niej istotniejsze. – Gdy tam stałaś, myślałam najpierw, że to któraś z naszych dziewczyn. Było ciemno, ale potem, jak się ruszyłaś, zobaczyłam mundur i wtedy zrozumiałam, że jesteś z policji. Patrzyłaś i nic nie widziałaś... to dlatego zapaliłam.

– Dziękuję...

– Mam na imię Olga.

– Dzięki, Olga. Bardzo mi pomogłaś. Wszystkim nam pomogłaś.

– No coś ty. To ty nas uratowałaś. My ci dziękujemy, nie, Swietłana?

Brunetka, która siedziała na schodku w otwartych drzwiach busa, paląc papierosa, pokiwała głową.

– Jutro by nas tu już nie było.

– A gdzie byście były?

– W ziemi. – Wskazała palcem w dół.

– Jak to? – Aneta nie mogła zrozumieć.

– Normalnie. – Przejechała krawędzią dłoni po gardle. – My nie były im już potrzebne. Nie mieli czasu bydlaki po tym, co się zdarzyło, jak Kalina zabiła tego gnoja Wienię.

– Dlaczego by mieli was zabijać?

– Bo zacierali ślady – stwierdziła Olga. – Tylko my zostałyśmy. Byłyśmy świadkami, a świadków się eliminuje.

– A co z resztą dziewczyn?

– Wszystkie sprzedane.

– Co? O czym ty mówisz? – Aneta cały czas miała wrażenie, że to, co słyszy, to wymysł chorej wyobraźni. Ale żadna z nich nie miała najmniejszego powodu, by ubarwiać swoją historię. Ona była dostatecznie nieprawdopodobna i straszna, by jeszcze trzeba było coś wymyślać.

– Wczoraj rano wsadzili nas wszystkie do busa – zaczęła opowieść Olga – i zawieźli do jakiegoś hotelu, takiego starego domu. Trzymali nas cały dzień w jakimś dużym pokoju, gdzie były porządne fotele, krzesła i kanapy. Nawet nam przynieśli zupę do jedzenia i wodę do picia, ile tylko chciałyśmy. Była tam porządna łazienka z wanną, a ci, co nas pilnowali, kazali wszystkim się umyć porządnie, ubrać białe szlafroki, bo w łazience dla nas wszystkich były szlafroki...

– Ile was tam było? – przerwała jej na moment Aneta.

– My dwie i jeszcze sześć dziewczyn. Wszystkie stąd. – Pokazała na barak za nimi. – A potem wieczorem zaczęli nas pojedynczo wyprowadzać do pokoju obok. Tam siedziało może dziesięciu facetów w garniturach. Oglądali każdą z nas ze wszystkich stron, sprawdzali zęby, piersi, nogi, wszędzie wkładali te swoje spocone łapy, a potem wyprowadzali i wprowadzali następną. I tak przez kilka godzin, aż w końcu każda musiała iść z którymś do

pokoju, tam zrobić mu dobrze, a potem przychodził inny i tak do rana. Obsłużyliśmy wszystkich tych bydlaków.

– To byli Polacy czy...

– Sami Polacy. Nasi nas tylko przywieźli...

– A dalej, co było dalej?

– Następnego dnia – opowiadała dziewczyna – okazało się, że zostałyśmy tylko my dwie, ja i Swietłana. Pozostałe sześć sprzedali.

– Czyli to był targ niewolnic? – domyśliła się policjantka.

– Powiedzieli nam o tym ci dwaj. – Dziewczyna spojrzała na miejsce koło honkera, w którym zwinięty jak pluszowy miś leżał zastrzelony serią z kałasznikowa Matros. – Śmiali się, że nas nikt nie chciał, bo jesteśmy za brzydkie, że tamte sobie poradziły, a nas to trzeba będzie z kamieniem u szyi do jeziora wrzucić, bo nic z nami nie zrobią. Oni interes zwijają i koniec.

– Mówiliśmy im, żeby nas wypuścili, że nic nie powiemy – wtrąciła się czarnowłosa Swietłana. – Ale Matros tylko się śmiał z nas, bydlak jeden. A teraz to my się możemy z niego śmiać – powiedziawszy to, ukryła twarz w dłoniach, a jej ramionami targnął gwałtowny spazm.

Aneta nie potrafiła nigdy nikogo pocieszać, ale w tym momencie nawet się nie zastanawiała przez sekundę. Zrobiła krok w stronę Swietłany i przygarnęła ją do siebie. Zaraz poczuła też, jak i Olga, ta twarda dziewczyna, która bez żadnych emocji w głosie opowiedziała całą historię, bierze je obie w objęcia...

– Już dobrze dziewczynki, już dobrze. Nikt wam już nie zrobi krzywdy – powiedziała Aneta, ale obie trzymały ją mocno, tak jakby się bały, że gdy ją puszcza, koszmar wróci.

– Sytuacja jest więc taka. – Biernat dopił reszkę kawy, spojrzał na Turka, który siedział na wprost niego, po przeciwnej stronie stołu, a potem na Anetę, która zajmowała fotel obok, i zaczął wyliczać, posługując się swoimi notatkami z czarnego zeszytu. – Obóz został zlikwidowany. Z dwunastu przetrzymywanych tam dziewczyn dwie odbiliśmy, jedna leży w szpitalu w Poznaniu, a sześć sprzedano na jakimś cholernym współczesnym targu niewolników i nie mam pojęcia, jak mielibyśmy je odnaleźć. Dwie dziewczyny nie żyją, jedna zastrzelona przy drodze, a ciało drugiej znaleźliśmy w obozie zawinięte w prześcieradło. Jeśli chodzi o bandytów, to bilans jest następujący: Wienia, szef grupy, został zabity przez Kalinę, czyli tę, która leży w szpitalu. Próbował ją tam zastrzelić niejaki Nikołka, ale poległ na polu chwały, zastrzelony przez młodego policjanta. Wczoraj niejakiego Matrosa Anetka wykorzystała jak żywą tarczę. Załatwił go gość, który ostrzeliwał się przy honkerze, ale nie miał szczęścia, bo na drodze stanęła mu Aneta z kałasznikowem. I tak się skończyła historia gangstera o imieniu Wasia, zdrobnienie od Wasyla. Wygląda więc na to, że brakuje nam jednego gościa, który zagubił się w czasoprzestrzeni. To facet o imieniu Fiodor. Musimy ustalić jego portret pamięciowy i zacząć poszukiwania w okolicy, w Poznaniu, w całej Polsce.

– A co z dziewczynami? – zapytała Aneta.

– Obie musimy umieścić w jakimś bezpiecznym schronieniu. Najlepiej jakbyś w tej sprawie pogadała z twoimi kumplami z Poznania. Oni mają jakieś kryjówki czy coś takiego. Nie możemy ich zostawić samych. Są naszymi świadkami. Jak dopadniemy tego Fiodora, to dzięki ich zeznaniom posadzimy gnoja.

– No nie wiem, z kim tam bym miała teraz rozmawiać. Po tym, jak Marcinkowski poszedł na przymusowy urlop...

– Ano właśnie. – Biernat przypomniał sobie ostatnie wiadomości na temat Marcinkowskiego. Te rzeczywiście nie były najlepsze, więc można się było spodziewać, że w wydziale, w którym pracuje Aneta, panował teraz niezły bałagan.

– Masz rację. Tam pewnie nikt nie ma głowy do takich spraw. Musimy wymyślić coś sami, może, tylko gdzie by tu...

– Trzeba zapytać starego. – Turek wskazał palcem sufit.

– Nie, tam nie. – Biernat pokręcił głową. – Im mniej ludzi wie o nich, tym lepiej.

– Dobra, nie ma o czym mówić. Ja je zabieram – zdecydowała nagle Aneta, w ogóle się nie zastanawiając.

– A co chcesz z nimi zrobić? – Biernat spojrzał na nią zdziwiony.

– Im mniej ludzi wie, tym lepiej – powtórzyła jego własne słowa. – Aha, i jeszcze jedno. Dziewczyn było dwanaście. W pana rachunkach brakuje jeszcze jednej. Bo tam przy drodze, gdzie znaleźliśmy zwłoki Nadii, była

jeszcze jedna dziewczyna. Na imię ma Wiera.

Godzina 8.30

Obudził ją szczekający pies. Wstała z łóżka i założyła na siebie bluzę dresową z kapturem, którą pożyczył jej gospodarz. Na nogi wciągnęła za duże spodnie, ale dzięki temu, że były takie obszerne, mogła, podwinąwszy nieco nogawki, włożyć je bez obawy urażenia stopy. Noga bolała ją cały czas, ale od kilku godzin jakby trochę mniej. Może to dlatego, że nie forsowała już jej tak bardzo, odkąd dostała dwie kule do chodzenia. Były to porządne kule z podłokietnikami i teleskopowymi nóżkami, które można było ustawić do odpowiedniej wysokości. Andrzej wyregulował je i dopasował do jej wzrostu. Więc teraz, chodząc po domu, nie musiała już podskakiwać na jednej nodze i opierać się na ścianach i meblach.

– Skąd masz takie kule? – zapytała zdziwiona. Przecież mówił, że nie jeździ do miasta. Zresztą według jego słów nie miał czym dojechać. Uśmiechnął się.

– Tu niedaleko, w lesie, jest jeszcze inna zagroda. Mieszka tam jeden sąsiad. On mi pożyczył te kule. Na razie ich nie potrzebuje, ale kto wie. W lesie nietrudno o wypadek.

– Ma telefon? – zapytała z nadzieją. Pokręcił głową.

– To taki odludek jak ja. Artysta. Maluje obrazy. Nie kontaktuje się ze światem, ale ze mną od czasu do czasu sobie pogada.

- Człowiek czasami musi sobie z kimś pogadać.
- Jak ciebie tu nie było, to nie odzywałem się do ludzi.
- Trzeba żyć z ludźmi.
- Po co mi ludzie? Po co tobie ludzie?
- Nie wiem, potrzebni i już. Poza tym muszę się dostać do ludzi, zawiadomić policję.
- O czym chcesz zawiadamiać?
- O tym, co nam zrobili ci bandyci, ci zwyrodnialcy. Trzeba pomóc dziewczynom.

Pokręcił głową.

- Zostaw je w spokoju. Im nie pomożesz.
- Może ja nie, ale policja? Od czego jest policja? Przecież oni muszą pomóc.
- Nic nie wiesz, Wieroczka.

Spojrzała na niego, bo naraz znów uświadomiła sobie, że jego rosyjski jest nienaganny. Żaden Polak nie wypowiedziałby jej imienia z taką czystą melodią. A poza tym zwrócił się do niej nie Wiera, ale Wieroczka, jak do małej dziewczynki. Tak jak mówił do niej tata...

- Skąd tak dobrze znasz rosyjski?

Wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się, patrząc w jej brązowe oczy.

- Uczyłem się.
- Tego się nie da nauczyć. Ty czujesz język rosyjski, ty masz tę melodię, której nie można się nauczyć.
- Zdaje ci się – spróbował powiedzieć to twardo, ale mu nie wyszło. Słysząc było w jego głosie tę nieuchwytną

nutę, którą usłyszeć mogli tylko ci, którzy tą mową posługiwali się od dziecka.

- Mnie nie oszukasz.
- Wcale nie mam zamiaru.
- Ale nie mówisz prawdy.
- Mówię, ale wszystkiego nie da się powiedzieć.

Dziś nie było go od rana. Mówił wczoraj, że ma sprawy do załatwienia i wróci po południu. Jakie on też ma sprawy w tym lesie? – zastanawiała się, idąc do kuchni, wsparta na kulach.

Pies znów zaczął szczekać. Podeszła do okna. Stał przy budzie, ale nie miał na szyi łańcucha. Andrzej spuszczał go z uwięzi, kiedy nie było go w domu, żeby zwierzak mógł biegać po całej zagrodzie. Był wielki i kudłaty, więc robił odpowiednie wrażenie na każdym, kto chciałby tu wejść bez pozwolenia.

– Gryzie? – zapytała, gdy go pierwszy raz zobaczyła właśnie z tego kuchennego okna.

- Mnie jeszcze nie ugryzł, ale czasami się go boję.
- Nie wygląda groźnie.
- Musiałabyś zobaczyć jego zęby. Wtedy byś zmieniła zdanie.
- Nie boję się psów. Są lepsze od ludzi.
- Lepiej nie próbuj sprawdzać, czy Szarik jest lepszy. Nie wychodź na podwórko, jak mnie tu nie będzie.

Dotąd nie wychodziła. Nawet nie próbowała, bo nie

dałaby rady przejść samodzielnie trzech metrów bez jakiegoś punktu podparcia. No ale teraz miała kule i z nimi radziła sobie coraz lepiej.

Szarik wpatrzony w bramę przestał szczekać. Przez moment jeszcze szczyrzył zęby, ale po chwili chyba doszedł do wniosku, że zagrożenie już minęło, bo zamilkł wpatrzony w jakiś punkt w oddali, a w końcu usiadł, by zaraz położyć się, układając łeb psim zwyczajem na przednich łapach.

Spojrzała w niebo. Było zaciągnięte nabrzmiałymi chmurami, ale nie na tyle ciężkimi, by miało w ciągu kilku minut zacząć padać. Nie chciała zmoknąć, bo nie miałyby się w co przebrać. Miała tylko ten dres, a z bielizny jedną parę majtek, które prała przed spaniem.

Pies obrócił wielki łeb. Musiał chyba dostrzec ją przez okno, bo zaczął machać ogonem. To zdecydowało. Nałożyła kaptur na głowę i powoli ruszyła w kierunku sieni.

Drzwi prowadzące na zewnątrz były zamknięte na klucz, jednak zamek można było otworzyć od środka, przekręcając uchwyt. Udało jej się bez trudu. Pociągnęła drzwi do siebie i w tym momencie stanęła oko w oko z wielkim włochatym stworzeniem. Szarik przyglądał się jej uważnie, machając przy tym lekko ogonem. Nie szczekał ani nie szczyrzył kłów. Stał spokojnie, patrzył i czekał na to, co się wydarzy.

– Szarik, cześć, Szarik, jestem Wiera.

Pomachał mocniej ogonem. Wyciągnęła ku niemu dłoń. Nie cofnął się, nie uciekł, ale pomachał znów ogonem,

a potem przybliżył do ręki swój wilgotny czarny nos. Obwąchawszy ją dokładnie, spojrział w górę. Nie musiał szczególnie mocno zadzierać głowy, bo przy jej stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu, stojąc, sięgał jej niemal do pasa.

– No co, Szarik, mogę wyjść na podwórko? Oprowadzisz mnie po swoim świecie?

Znów zamachał ogonem, tym razem zdecydowanie energiczniej.

– Co, Andrzej mówi do ciebie po rosyjsku?

Nie zareagował, więc domyśliła się, że mówić po rosyjsku go jeszcze nie nauczono, i naraz roześmiała się głośno, gdy uświadomiła sobie, co za głupoty przychodzą jej do głowy. Pies przechylił łeb i spojrział na nią.

– Ty wszystko rozumiesz. Jesteś mądrym psem.

Położyła mu rękę na głowie i pogłaskała. Szarik sprawiał wrażenie zadowolonego, bo ogon latał mu jak nakręcony. Ona tymczasem chwyciła kule i powoli ruszyła do przodu. Pies zbiegł z ceglanego ganku w dół, jednym susem pokonując pięć schodków. Jej zajęło to prawie minutę, ale po chwili była już na dole. Zrobiła jeszcze kilka kroków w głąb podwórza i wtedy przystanęła, by się rozejrzeć.

Gospodarstwo nie wyglądało najlepiej. A i tak w porównaniu z tymi domkami, jakie znała ze swoich stron, wydawało się wielkie i solidnie zbudowane. Dom z czerwonej cegły, na której, nie wiedzieć czemu, pewnie z oszczędności, nie położono żadnego tynku. Dach przykryto równymi i solidnymi dachówkami, które ze

starości zaszły w niektórych miejscach mchem, wyłapującym i zatrzymującym przy sobie obeschnięte brzożowe listki. Murowany ganek przykryty niewielkim, trójkątnym daszkiem, wspartym na dwóch drewnianych belkach, wychodził na gospodarski dziedziniec. Cały był porośnięty kępami trawy, choć gdzieś pod żółknącej zieleni wystawały łyse łby kamieni. Znać, że kiedyś podwórko musiało być bardziej zadbane niż dzisiaj.

Dokładnie naprzeciw domu mieszkalnego stał podłużny, murowany budynek gospodarczy, pokryty spadzistym dachem, jednak zamiast dachówki miał drewniany gont. Można się było dostać do niego drzwiami osadzonymi w solidnej drewnianej bramie, przez którą z łatwością do środka wjechałaby ciężarówka. Do tego budynku boczną ścianą przylegała wielka drewniana stodoła. Nie wyglądała najlepiej i na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie, że niedługo, gdy zawieje mocniejszy wiatr, cała może złożyć się jak domek z kart. Brama od stodoły była szeroko otwarta, jednak nie było tam nic, co mogłoby ją zaciekawić. W zasadzie to nie wiedziała, czy w ogóle znajdzie tu coś interesującego. Wyszła z domu chyba raczej po to, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i popróbować, jak chodzi się o kulach na otwartej przestrzeni, a nie tylko przeciskając się między domowymi meblami. No i poza tym ten pies, który aż się prosił, żeby z nim pospacerować. Widać ten groźny zwierz potwornie się nudził, bo jej towarzystwo przyjął z prawdziwą radością. Teraz, gdy przesuwiała się o kulach do przodu, kuśtykając powoli, on biegał z jednego końca podwórka na drugie, mijał ją, obiegał dookoła, zawracał i jak szalony pędził gdzieś za stodołę, jakby chciał zaprosić ją do

wyścigów. Przystanął na chwilę przy podłużnym korycie, stojącym pod ceglana ścianą gospodarczego budynku. Przez chwilę głośno chleptał wodę, a gdy ugasił pragnienie, podniósł łeb, by sprawdzić, czy jego towarzyszka gdzieś nie zniknęła.

Była tuż, tuż. Zmęczona przystanęła na chwilę. Na lewo od koryta stała drewniana ławeczka, taka prosta, złożona z dwóch pionowych kołków, do których przybito od góry szeroką deskę. Podeszła tam i usiadła, żeby odpocząć. Bolały ją ręce, które nie były przyzwyczajone do dźwigania pięćdziesięciu pięciu kilogramów jej ciała. Pies podbiegł do ławki i usiadł przy jej nogach. Bezwiednie zaczęła drapać go za uszami. Jęknął zadowolony.

Gdy wychodziła z domu, przeleciała jej przez głowę myśl, że właściwie, gdy ma te kule, mogłaby pójść, dokąd tylko by zechciała. Nawet może by doszła do drogi i zatrzymała jakieś auto, które podwoziłoby ją do najbliższej miejscowości. Teraz jednak zrozumiała, że taka wyprawa skończyłaby się niechybnym upadkiem w jakichś leśnych ostępach. Nie doszłaby nigdzie, skoro już tu, po przejściu tak niewielkiego dystansu, była wykończona. Nie miała wyjścia, musiała czekać na to, co zrobi Andrzej. A jak na razie nie robił nic. Prawda, pomagał jej, był miły i delikatny, ale każdą wzmiankę o przetransportowaniu jej do zewnętrznego świata ucinął, zasłaniając się jej dobrem. Była jak w złotej klatce, niczego jej nie brakowało, miała całkowitą swobodę ruchu, ale nie mogła się wydostać na zewnątrz jak kaczki w parku z podciętymi skrzydłami.

– A ty co, Szarik, tak się kręcisz? – zapytała, patrząc na psa, który naraz poderwał się na cztery łapy i ruszył

w kierunku bramy. Podeszedł do niej, obwąchał, a potem zawrócił i podbiegł do dużych drzwi budynku, pod którym Wiera siedziała na ławeczce. Spojrzała na niego, a potem na to wejście. To właściwie nie drzwi, ale szeroka, dwuskrzydłowa brama garażowa, pomyślała. Kiedyś musiały być tam stajnie dla koni, a w dzisiejszych czasach wykorzystuje się zapewne takie miejsca do przechowywania... Tu nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Może by zajrzeć tam do środka. Andrzej mówił, że nie ma samochodu. Na pewno mówił prawdę, jednak jakby miał, to trzymałby go właśnie w tym miejscu.

Nie, to bzdura, przekonywała samą siebie. Po co miałyby mówić, że nie ma auta i ukrywać je wewnątrz tej budy? – zastanawiała się, a im więcej o tym myślała, tym większa budziła się w niej ciekawość.

Szarik stał pod tą garażowo-stajenną bramą z wywieszonym jęzorem i zadowolony machał ogonem, tak jakby chciał ją namówić do zabawy. No dalej, nie bój się, chodź wejdziemy tam razem. Też bym chciał zobaczyć, co tam jest w środku, tylko nie potrafię otworzyć tych cholernych drzwi.

Wstała i powoli podeszła do psa. Miała wrażenie, że się do niej uśmiecha. Poczochnęła go po łbie, spoglądając na kawał drutu zamykający dwa skrzydła. Zwykły skobel. Nie było żadnej kłódki, żadnego zamka, tylko najzwyczajniejszy skobel przytrzymujący kawał stalowej, solidnej sztaby, która wchodziła w pierścień. Wystarczyło ten skobel wyjąć...

– Przecież nic złego nie robię – powiedziała do siebie i chwyciwszy okrągłą główkę zabezpieczenia, pociągnęła

do góry. Teraz sztabę trzeba było pociągnąć ku sobie...

Prawe skrzydło drzwi otworzyło się i do ciemnego wnętrza wsunęła się smuga dziennego światła. Zaraz za światłem do środka wskoczył Szarik. Ona nie musiała wchodzić. Wystarczył rzut oka, by się przekonać, że niepotrzebnie te drzwi otwierała. Gdyby ich nie otworzyła, gdyby nie wyszła na zewnątrz, gdyby siedziała w domu, nie zobaczyłaby...

– Tak, masz rację, to jest karetka – powiedział Andrzej, który, nie wiedząc skąd, znalazł się za jej plecami.

Poczuła, że robi się jej słabo i że za chwilę się przewróci. Zobaczył, co się dzieje i zareagował błyskawicznie. Chwycił ją w ramiona, uniósł lekko i podtrzymując nogi, poniósł do domu.

Godzina 11.30

– No i co, jebańcu, już żeś się namyślił? – zapytał sierżant Pytel. Policjant był dziś ubrany po cywilnemu, w dzinsy i kurtkę z takiego samego materiału. Był więc umundurowany, ale nie służbowo. Jego kolega, sierżant Jaworski, też był dziś na niebiesko, ale jego cywilne odzienie było strojem roboczym. Miał na sobie ochronną kurtkę i spodnie ogrodniczki, takie, jakie na budowach czy podczas domowych remontów noszą fachowcy. Na głowie miał jeszcze czapkę z daszkiem, a w ręce montera walizeczkę. Mógł więc uchodzić za majstra od elektryczności, tym bardziej że jego bejsbolówka

ozdobiona byłe emblematem firmy zajmującej się produkcją akumulatorów.

– Nie ma pośpiechu. – Jaworski uśmiechnął się krzywo tylko jedną połówką twarzy. – Bez napinki. Pogadamy sobie jak starzy kumple. A on i tak nam wszystko powie.

Człowiek przywiązany do krzesła taśmą klejącą patrzył na obu mężczyzn przerażony. Może nawet i miałby coś od razu do powiedzenia, ale żaden z tej dwójki chwilowo nie miał zamiaru z nim rozmawiać. On zaś nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku oprócz gardłowego jęczenia, bo usta miał szczelnie zaklejone srebrną taśmą.

Policjant monter postawił przed nim na podłodze swoją walizkę fachowca i powoli, z namaszczeniem otworzył ją. Wewnątrz starannie poukładane i poprzipinane do ścianek zasobnika narzędzia sprawiały wrażenie niezwyklej harmonii i porządku. Ich właściciel był najwyraźniej osobą bardzo dbającą o ład w swoich zabawkach.

– Jakież wiadomości o Tomku? – zapytał swojego kolegę i zabrał się do sprawdzania narzędzi, szukając odpowiedniego.

– Rano, jak dzwoniłem na komendę, to mi Władek mówił, że bez zmian. Jest w stanie bardzo ciężkim, żeby nie powiedzieć krytycznym. Dostał trzy kule z kałacha.

– Kurwa! – mruknął pod nosem Jaworski. Wczoraj z dachu obserwował tego faceta z kałasznikowem w dłoni, ale nic nie mógł zrobić. – Jak ja bym miał na tym dachu snajperkę, tobym temu gnojowi odstrzelił łeb i by było po sprawie. A tak dwóch chłopaków nie żyje, a jeden walczy o życie i może nic z niego nie będzie. A my, zamiast pić

sobie spokojnie piwko, siedzimy tutaj z jakimś złamanym chujem i cackamy się z nim.

Uniósł głowę i spojrzał w przerażone oczy mężczyzny, którego wczoraj schwytał pod hurtownią. Facet był kimś w rodzaju stróża całej posesji. Tak przynajmniej powiedział Jaworskiemu, gdy ten zaczął wstępne przesłuchanie. Gdyby wtedy, tam pod hurtownią, powiedział mu wszystko, to zaoszczędziłby sobie niepotrzebnych problemów. Ale Jaworskiemu nie udało się z niego nic wyciągnąć, a dodatkowo jeszcze wyczuł, że cieć jest hardy i liczy na szybką pomoc kogoś, kto wyciągnie go z opresji. Musiał więc mieć pewność, że gdy tylko wsadzą go do aresztu, za chwilę na miejsce przyjedzie jakiś wygadany adwokat i go wypuszczą. I to przesądziło sprawę. Areszt mógł poczekać. Najpierw trzeba się było dowiedzieć wszystkiego, co gość wie, a potem mógł sobie iść siedzieć w komfortowych warunkach, ile mu się podoba. Sierżant związał go jak baleron za pomocą taśmy klejącej, którą znalazł w jego aucie, zamknął go w tym samochodzie i spokojnie czekał na transport. Jego najbliższy kumpel, sierżant Pytel, podjechał swoim radiowozem dziesięć minut później. Był na miejscu niemal równocześnie z grupą zabezpieczającą teren. Tyle że tamci sprawdzali miejsce strzelaniny, a Pytel podjechał od frontowej części hurtowni. Szybko przeładowali faceta do radiowozu i rzucili go na podłogę koło tylnego siedzenia.

Gdy pojawił się na miejscu Zalewski, sierżant Jaworski zrelacjonował mu wszystkie wydarzenia widziane

z perspektywy zaplecza akcji. Potem zaś, powołując się na fatalny stan psychiczny, poprosił o pozwolenie odejścia. Nie chciał, by zbadał go lekarz, co proponował nadkomisarz. Tłumaczył, że woli jechać do domu napić się wódki.

Jednak zanim Jaworski kupił sobie flaszkę, miał do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę, o której pojęcia nie miał jego przełożony.

– Co zrobimy z tym zasrańcem? – zapytał Pytel, gdy auto przejechało policyjną blokadę.

– Jedziemy do Cerekwicy – rzucił Jaworski.

– Gdzie?

– No do mnie, na budowę.

– A, no to już rozumiem. – Kierowca uśmiechnął się zadowolony. To rzeczywiście był dobry pomysł. W tej podpoznańskiej miejscowości Jaworski budował sobie dom jednorodzinny. Budynek był w stanie surowym zamkniętym, co oznaczało, że można było z niego korzystać, zamykając za sobą drzwi i nie narażając się na wścibskie spojrzenia sąsiadów. Co więcej, można było do niego podjechać radiowozem, nie budząc specjalnej sensacji, bo już nieraz się zdarzało, że właściciel wpadał tam podczas dyżuru służbowym wozem podrzucić jakieś worki z cementem czy coś równie ciężkiego, co niepotrzebnie obciążałoby jego prywatne auto.

Wjechali na podwórko nieukończonego domu i zawlekli swojego więźnia do niewielkiego pomieszczenia, w którym miała powstać kotłownia. Był już nawet piec węglowy podłączony do komina, ale

jeszcze niepodłączony do sytemu grzewczego. Pracujący tu fachowcy palili w nim wszystkie śmieci, takie jak folie, styropian czy plastikowe opakowania. Właściciel domu jednak nie miał zamiaru rozpalać w piecu, żeby umilić pobyt więźniowi. Rozebrali go do samych gaci, posadzili na starym krześle, przywiązując do niego. Dodatkowo jeszcze zakleili mu gębę, żeby nie mógł wzywać pomocy, i zostawili samego na noc, by zastanowił się nad swoim nędznym życiem. Teraz wrócili, by sobie z nim trochę porozmawiać.

Jaworski, przejrzawszy wszystkie narzędzia, stwierdził zadowolony, że niczego nie brakuje, gotowy jest więc do przeprowadzenia fachowego przesłuchania. Podniósł się z kolan i podszedł do pieca. Ten jak zwykle wypchany był po brzegi śmieciami. Wystarczyło tylko przyłożyć zapalną i natychmiast w palenisku buchnął ogień trawiący foliowo-papierowe worki po zaprawie murarskiej. W pomieszczeniu momentalnie zrobiło się ciepło.

– Niezły piec – zauważył Pytel.

– No, można w nim palić wszystko, i zwykły węgiel, i ekogroszek, i co się tam jeszcze chce. A poza tym daje dużo ciepła – pochwalił się gospodarz. – Ma duże palenisko, więc w zasadzie to wystarczy, że tego gnoja porąbiemy na kilka kawałków i wszystko ładnie się sfajczy. Żalu nie będzie... A popiół się zakopie w lesie. Mówię ci, bracie, czysta robota.

– I taką właśnie lubię. Żadnych śladów. Pamiętasz, jak żeśmy tego gościa, co się nie chciał przyznać, wsadzili pod lód? Wypłynął dopiero na wiosnę.

– No pamiętam. Ale wtedy jeszcze nie miałem takiego pieca. Okaże się, czy jest przydatny, czy nie. No dobra – popatrzyl na gołego faceta na krześle – to chyba trochę teraz pogadamy, co?

– Pewnie już sobie wszystko przypomniał – zgodził się z kolegą Pytel. – W każdym razie ja na jego miejscu przypomniałbym sobie nawet, jaki numer stanika nosi moja stara, bo nigdy tego nie mogę jakoś zapamiętać.

– Jak nie możesz? Przecież to jest podstawa. Musisz wiedzieć, jaki ma rozmiar, bo inaczej jak jej kupujesz staniki?

– Ja nie kupuję, bo nie pamiętam, jaki ma numer.

Jaworski podszedł do mężczyzny i jednym szarpnięciem zdarł mu taśmę z ust.

– Auu! – zawył przestępca.

– Chyba nie bolało? – Pytel udał zdziwienie.

– Kurwa!

– Patrz, jaki rozmowny. Chcesz nam coś powiedzieć? – zapytał sierżant Jaworski.

– Mogę wam powiedzieć..., że to jest CDD.

– Co? – Policjanci spojrzeli na faceta jak na wariata. – Co ty pierdolisz?

– No chciałeś wiedzieć, jaki numer stanika nosi twoja stara. Jak mi ostatnio dawała dupy, to nosiła CDD.

– Co to za numer? – zapytał Jaworski.

– CDD, czyli cyce, dwie donice – wytłumaczył mu więzień.

– Żartowniś pierdolony – warknął Pytel, a potem podszedł do mężczyzny i od niechcienia uderzył go na odlew pięścią. – Moja żona ma zgrabne cycki. Donice ma twoja matka, zasrańcu.

– Lepiej sobie nie rób jaj z jego żony, bo to się może dla ciebie źle skończyć – stwierdził Jaworski, przyglądając się szybko rosnącej opuchliznie pod okiem mężczyzny.

– Odpierdol się ode mnie, psie!

– Zdaje się, że nasz kolega się jeszcze nie zastanowił. – Pytel najwyraźniej był zdziwiony. Noc w zimnym pomieszczeniu powinna była dać mu do myślenia, tymczasem ten się stawiał, zamiast pokornie zacząć współpracować.

– Nie chcesz z nami gadać? – zdziwił się policjant.

– A z kim mam gadać? Z wami? A kto wy jesteście, żałosne kutasy. Zastrane krawężniki jesteście. Zwykłe osikane psy. I tak mnie będziecie musieli wypuścić. A jak wypuścicie, to co myślicie, że ja zrobię? Zaraz was oskarżę o stosowanie przemocy. O porwanie was oskarżę i o przetrzymywanie bezprawne was oskarżę. Nie wyjdziecie, skurwysyny, z pierdła przez najbliższe dziesięć lat. Myślicie, że dam się nabrać na te głodne kawałki z piecem? Naoglądaliście się chyba amerykańskich filmów i coś wam się w tych pojebanych łbach poprzewracało. Ruszcie mnie tylko, skurwysyny pierdalone, a już po was. Jak mi coś zrobicie, to koniec z wami, chuje jedne!

– Koniec z nami? – Jaworski pokręcił głową z niedowierzaniem. – No to zobaczymy za chwilę. Żeby

nie było, że nie ostrzegałem.

– Pierdol się, psie. Pierdolicie się wy dwaj. Mój adwokat was załatwi. Jeszcze odszkodowanie będziecie płacić. Zaraz, ty, co ty robisz?

Jaworski spokojnie wyciągnął ze skrzynki narzędziowej kombinerki, podszedł z nimi do mężczyzny, chwycił go mocno za przegub dłoni, a potem złapał za krawędź paznokcia szczypcami.

– I co, dalej chcesz pyskować?

– Pierdol się, kutasie!

– Jak chcesz.

– Auu! Ja pierdołę, chyba cię pojebało. Kurwa, zdarłeś mi paznokieć. Ja pierdołę, jak boli. Auu!

– Teraz rozmawiamy, czy mam załatwić następny?

– No coś ty! Kurwa, odpierdol się!

– Zobacz, jaki uparty kretyn.

– No nie, zostaw to... Auu! Jezus Maria. Auu...

– Chłopie, nie daj się prosić. – Pytel oparty o ścianę spokojnie palił papierosa. – Przecież jeśli nie powiesz, to mój kolega cię zajebie.

– Auu! Jesteście popierdoleni!

– Jeszcze nie wiesz, co cię czeka. Za chwilę się przekonasz. – Policjant podszedł do pieca, otworzył drzwiczki paleniska i wrzucił tam swój niedopałek. – Już się dobrze pali – powiedział, odwracając się do kolegi.

Zdezorientowany mężczyzna zaczął nerwowo się rozglądać. Patrzył to na piec, to na jednego i na drugiego

policjanta. Wiedział, że za wszelką cenę chcą go skłonić do mówienia, ale przecież on nie mógł nic powiedzieć. Gdyby zdradził cokolwiek, już by było po nim. Jego zleceniodawcy nie wybacжали zdrady.

Podeszli do niego i złapali za krzesło z dwóch stron. Przenieśli go wraz z tym krzesłem pod sam piec. Uderzyła go fala gorąca. Natychmiast poczuł, jak po skroniach spływają mu strużki potu.

– No to zacznijmy od początku. Powiedz nam, jak się nazywasz? – spróbował znowu Jaworski.

– Pierdol się, chuju!

– Twój wybór – stwierdził Pytel i chwycił go za krwawiącą rękę. Nim bandzior zrozumiał, co się dzieje, policjant wepchnął mu dłoń w ogień.

Zwierzęcy ryk wypełnił niewielkie pomieszczenie. Był intensywny, ale krótki. Mężczyzna zemdlał. Gdy po chwili się ocknął, Jaworski wydobył z kieszeni swój telefon komórkowy i włączył dyktafon.

– Imię, nazwisko, miejsce i rok urodzenia.

– Jerzy Bogucki, auu... urodzony we Wrześni w... o Jezu... w siedemdziesiątym czwartym roku.

– Zatrudniony?

– Emeryt, auu!

– A przed emeryturą?

– Wojewódzki, kurwa, Urząd Spraw, kurwa, Wewnętrznych w Poznaniu. Ja pierdołę!

– Milicja?

– Nie, Służba Bezpieczeństwa!

– A ci dwaj faceci, którzy byli z tobą? – pytał dalej Jaworski.

– Ten z kałachem to żołnierz. Pracował dla nas. Nazywa się Ciepela. Dorabiał u nas na ochronie.

– A ten drugi, co przyjechał transporterem?

– To jego znajomy z wojska. Nazwiska nie znam, a na imię to ma Andrzej. Miał odebrać towar i tyle. Ale miał zabrać tylko jedną skrzynkę, a kazał załadować wszystkie dziesięć.

– Co w nich było?

– Nie wiem. Chyba jakieś materiały wybuchowe.

– A na co mu te materiały?

– Nie wiem, kurwa!

Pytel chwycił go mocno za rękę i pociągnął w kierunku pieca.

– Nie! Powiem wam wszystko, co chcecie!

– Do kogo należy ta hurtownia? – zapytał Jaworski.

– Do prezesa.

– Jakiego, kurwa, prezesa?

– Do prezesa banku.

Godzina 17.30

Prezes Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Transferowej Stanisław Bielecki od czasu do czasu musiał

jadać w ekskluzywnych restauracjach. Jednak wcale za tym nie przepadał. Nie żeby był jakoś specjalnie oszczędny. Mógł na kolację z dobrym alkoholem wydać lekką ręką nawet dwa tysiące złotych. Pieniądze w tej kwestii w ogóle się nie liczyły. Jemu chodziło raczej o doznania smakowe. Owszem, w drogiej knajpie podawano różne dania, zestawiając ze sobą przeróżne smaki, tyle że to eksperymentowanie wcale go nie interesowało.

– Popatrz na to. – Galaś siedzący naprzeciwko przerwał jedzenie i popatrzył na talerz swojego szefa. Nic nadzwyczajnego nie dostrzegł. Kawałek mięsa, jakiś szary glut z czegoś obok i do tego pokrojona gotowana marchewka, przystrojona jakimś liściem, a wszystko to obryzgane kropelkami czegoś brązowego. – Widzisz?

– Widzę – odpowiedział zgodnie z prawdą Galaś.

– I to ma być wykwintne danie? Przecież to wygląda, jakby mi ktoś nasrał na talerz.

Galaś uśmiechnął się. Nigdy w ten sposób nie pomyślał o jedzeniu. Zwłaszcza o takim, którego porcja kosztowała sto pięćdziesiąt złotych.

– Te dwie brązowe kupy to policzki wołowe. Niby dobrze przyrządzone, ale daleko im do sztuki mięsa w sosie chrzanowym. Jaką u nas w stołówce na Kochanowskiego podawali sztukę mięsa! Pamiętasz?

Galaś pokiwał głową, choć nie pamiętał, aby kiedykolwiek zamawiał jakąś sztukę mięsa. Zawsze mu było szkoda pieniędzy, mimo że obiady w milicyjnej stołówce były bardzo tanie. Dlatego jako człowiek

oszczędny najczęściej kupował sobie tylko zupe, którą zapychał chlebem. Bo chleb stał na stolikach w wiklinowych koszykach i był za darmo, więc mógł go zjeść, ile tylko miał ochoty.

– A do tego tłuczone ziemniaczki z koperkiem i buraczki. Takich buraczków jak u nas na komendzie to nie jadłem już później nigdzie. Nasze kucharki to potrafiły te buraczki doprawić tak, że człowiekowi rozpływały się w ustach. Teraz takich nie dostaniesz za cholere. A tu co dają? Policzki wołowe. Czy kiedyś człowiek w ogóle pomyślał, że można zjeść krowi policzek? A teraz proszę, wszystko da się zjeść. Niedługo będą podawać krowie wymiona faszerowane kapustą...

– Wymiona to w hamburgerach – przypomniał sobie Galaś.

– Że co?

– No mielone na hamburgery to mięso z odpadków, których się nie da wykorzystać nigdzie indziej, no to Amerykanie zaczęli z tego syfu robić hamburgery.

– No proszę. Tacy przedsiębiorczy ci Amerykanie. Mówisz, że z krowich wymion? To ja już tego szajsu do ust nie wezmę.

– Nie, no teraz to się robi z dobrej wołowiny, ale te pierwsze jeszcze przed wojną robiono z tych śmieci...

– À propos, co tam z naszym przyjacielem dziennikarzem... Jak on się nazywa, bo mi jakoś to nazwisko...

– Kociak się nazywał. Redaktor Kociak miał wypadek. Przechodząc przez ulicę, wpadł pod rozpędzone auto.

Niestety nie przeżył.

– Szkoda, taki był z niego utalentowany dziennikarz.

– Ale rano ukazał się w gazecie jeszcze jeden jego artykuł opowiadający o szkodliwej działalności inspektora Marcinkowskiego w czasach Milicji Obywatelskiej. Są tam cytowane fragmenty autentycznych raportów tego byłego milicjanta z donosami na jego podwładnych. Wyjątkowo odrażająca sprawa.

– No popatrz! A mówią, że ta Milicja Obywatelska była taka porządna. Oni wszyscy tacy fajni jak porucznik Borewicz, a tu okazuje się, że i w ich szeregach zdarzały się czarne owce.

– Trzeba by zadzwonić, albo nie, lepiej pójść. Pójdiesz do redaktora naczelnego gazety i przekażesz, że łączymy się w bólu po tak wielkiej stracie. I powiesz też, że gratulujemy mu niezłomnej postawy i osobistej odwagi w walce o prawdę z dawnym komunistycznym układem, który jeszcze mocno się trzyma w różnych instytucjach, ale już niedługo trzeba będzie wszystko oczyścić z tych złogów. Zresztą sam wiesz, co masz mu powiedzieć. Ważne, żeby zrozumiał: po pierwsze, że jeszcze gazeta nam się przyda, a po drugie, że warto pomyśleć, czy ten wypadek to może wcale nie był zwykły wypadek, ale odpowiedź sił, które nie są zainteresowane ujawnianiem skrywanych przez nie tajemnic.

Galaś pokiwał głową. Doskonale wiedział, co jego szef ma na myśli. Ostrzał wrogich pozycji już został wykonany. Teraz nadchodził czas na przejście do ofensywy. Jeśli ich atak się powiedzie, już niedługo wszystko dookoła się zmieni, a oni będą żyć w nowej, lepszej Polsce. Bielecki

dokładnie mu to wytłumaczył jakiś czas temu, a on zawsze się zgadzał ze swoim szefem.

– Bo Polska, mój drogi, jest jak dziwka, którą wszyscy mogą sobie pieprzyć do woli. A nam chodzi o to, żebyśmy tylko my mogli to robić, z nikim się nie dzieląc. A gdy już zaczniemy samodzielnie, będziemy wszystkim wmawiać, że robimy to dla nich, poświęcając się. A im dłużej będziemy to powtarzać, tym głębiej będzie to wnikać w te tępe pały, które w końcu zaczną nam klaskać zadowolone, że my się dla nich poświęcamy i do tego robimy to jeszcze w imię pięknych patriotycznych ideałów z hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna” na ustach i piórkiem w dupie.

Bielecki spojrział na drzwi prowadzące na zewnątrz. Restauracja, w której jedli kolację, położona była w łączniku pomiędzy starą a nowszą częścią Starego Browaru. Przechodzący mijali ją, jednak rzadko zdarzało się, by wchodził tu ktoś, kto nie był wcześniej umówiony. Dla takich były knajpy z fast foodami, choćby takimi jak hamburgery. W tej restauracji spotykali się ludzie interesu, którzy przychodzili pogadać o ważnych sprawach, albo tacy, jak ci młodzi siedzący kilka stolików dalej. Chłopak z grzywką spadającą na czoło i jego dziewczyna, blondynka o długich kręconych włosach, musieli chyba coś świętować, bo kelner właśnie stawiał na ich stoliku butelkę szampana i talerz jakichś specjałów, być może owoców morza na sałatach i pomidorach. Na ten widok blondynka zaśmiała się radośnie, a chłopak wstał, odszedł od stolika trzy kroki i całkiem niezłym aparatem fotograficznym zrobił jej kilka zdjęć. Nie zapomniał o osobnym skadrowaniu szampana i talerza z jedzeniem.

Takie fotografie musiały przecież trafić na fejsa, żeby pochwalić się przed znajomymi.

Chłopak odszedł jeszcze trochę dalej, rozejrzał się, a gdy dostrzegł Bieleckiego i Galasia, natychmiast się do nich zwrócił.

– Bardzo przepraszam, ale mam do panów prośbę. Czy mógłbym poprosić o zrobienie nam zdjęcia? – Wskazał dłońią na stolik, przy którym siedziała jego towarzyszka.

– A co to za okazja? – zapytał Bielecki, który zawsze uważał się za przyjaciela młodzieży.

– Pierwsza rocznica.

– Rocznicą? A gdzie obrączka?

– He, he, he, to nie. Obrączki to jeszcze nie mamy. Na razie ślubu to nie planujemy. Najpierw praca, mieszkanie i coś tam jeszcze, a ślub potem. A rocznica to jest, jak żeśmy się poznali. W zeszłym roku na fejsie zaczęliśmy gadać.

Bielecki pokiwał głową ze zrozumieniem. Takie to czasy, że młodzi poznają się na jakimś „fejsie”, a nie w szkole, a ludzie już normalnie nie rozmawiają ze sobą jak dawniej, tylko piszą te esemesy. On wolał tradycyjne sposoby porozumiewania.

– Zrób im to zdjęcie – powiedział, zwracając się do Galasia. Ten natychmiast się podniósł i poszedł z chłopakiem do jego stolika. Bankier przez chwilę przyglądał się, jak młodzi, przytulając się do siebie, pozują do fotografii, ale zaraz przestał się nimi interesować, gdy dostrzegł stojącego w drzwiach mężczyznę w szarym garniturze. Nowo przybyły na głowie miał czapkę

z daszkiem, a na nosie ciemne okulary. Jeśliby je zdjął, pewnie szybciej dostrzegłby Bieleckiego. Wolał jednak zachować pozory anonimowości.

Gdyby Galaś siedział obok, Bielecki na pewno rzuciłby jakąś żartobliwą uwagę na temat głupców, którzy naoglądali się zagranicznych filmów i teraz wydaje im się, że wystarczy założyć ciemne okulary, czapkę i zaraz całkowicie zmienia się ich wygląd. Ten cymbał właśnie tak myślał. Nie chciał, żeby go widziano z Bieleckim, więc swój codzienny mundur policyjny zastąpił cywilnym ubraniem. Widać było już na pierwszy rzut oka, że inspektor Seweryn Barszczak rzadko chodzi w garniturze. Marynarka ledwo obejmowała jego ogromny brzuch, mimo to zapiął ją na dwa guziki, jakby obawiał się, że bez zapięcia coś może wydostać się samowolnie na zewnątrz.

Galaś jeszcze zajmował się rocznicową fotografią. Chłopak właśnie robił mu zdjęcie, tłumacząc mu przy tym jakieś kwestie dotyczące aparatu. Policjant, dostrzegłszy w końcu Bieleckiego, pomachał w jego kierunku pulchną dłonią i ruszył przed siebie. Podszedł do stolika akurat w chwili, gdy wrócił Galaś.

– O, miło pana widzieć – ucieszył się nieszczercze Bielecki, wstając z krzesła. Otarł białą serwetą usta i ręce, by móc kulturalnie uścisnąć prawicę nowego uczestnika spotkania. – Niech pan siada. A my właśnie z dyrektorem omówiliśmy już służbowe sprawy i możemy teraz trochę poucztować, drogi panie inspe...

– Bez tytułów poproszę. Wolałbym zachować anonimowość.

– He, he, he – ucieszył się Bielecki. – Z pana to jest ale

żartowniś. Anonimowość z taką słuszną budową ciała. Przecież pan jest widoczny w tłumie jak latarnia z Faros.

– Że co? – Barszczak nie zrozumiał, o co chodzi Bieleckiemu, bo starożytność nie była jego mocną stroną. Zresztą inspektor był człowiekiem raczej pozbawionym mocnych stron. Miał jednak pewien atut. To jego długoletnia przyjaźń z nadinspektorem Walkowiakiem, który szczęśliwie dla niego był komendantem wojewódzkim. Jednak Barszczak był na tyle sprytny, by wiedzieć, że ta idylla z parasolem ochronnym nad jego głową nie będzie trwać wiecznie. Nadchodziły wybory, a nowa władza ma to do siebie, że zmienia komendantów wojewódzkich na samym początku swojego urzędowania. Dlatego na wszelki wypadek trzeba było zacząć układać się z tymi, którzy wkrótce mogą decydować. Jego przyjaciel raczej nie miał szans na przetrwanie, ale przecież on, Seweryn Barszczak, mógł jeszcze zrobić karierę. Byleby tylko się na nim poznali. To właśnie dlatego przyszedł na to dzisiejsze spotkanie, bo powiedziano mu, że to sprawa istotna dla jego przyszłości. Doradził mu to znajomy poseł.

– Nieważne, drogi panie. – Bielecki nie lubił matołów, ale jako człowiek, który w swoim życiu załatwił niejednen interes, wiedział, że półgłówków lepiej nie lekceważyć. Najpierw trzeba takiego wyczuć, potem mu schlebić i w końcu obiecać coś, co może się spełnić w przyszłości, i już uzyskiwało się pełny dostęp do nieskomplikowanej psychiki cymbała.

– Wiele się o panu mówi ostatnio, drogi inspektorze.

– Chyba dobrego! He, he, he.

– Same dobre rzeczy. Aż dziw bierze, że taki utalentowany człowiek jak pan odstawiony jest na boczny tor.

– Że jak?

– Że nie jest pan przynajmniej zastępcą komendanta wojewódzkiego. Marnuje się pan. A generalskie gwiazdki o wiele lepiej wyglądają na zdjęciach niż te pułkownikowskie.

– Ja nie narzekam – mruknął Barszczak, a po tonie od razu można było poznać, że wcale nie jest mu dobrze ze stopniem inspektora.

– Ale los, jak widzę, się odwraca, bo już pan wskoczył na stanowisko szefa wojewódzkiej dochodzeniówki.

– No tak. Marcinkowski okazał się niegodny tej funkcji.

– Znałem go z dawnych czasów. Dobry oficer śledczy.

– Ale to nie wystarcza – rzucił Barszczak, a oczy zapłonęły mu inkwizytorskim płomieniem. – Liczy się jeszcze to, co człowiek ma w sercu. Liczy się, no, ta, moralność. I te... wartości, miłość do ojczyzny, honor i Bóg, a nie kosmopolityzm.

– Święte słowa, panie inspektorze, święte słowa. Ale jak pan wie, idzie nowe i po wyborach będą potrzebni ludzie, dla których prócz fachowości istotna jest kwestia zasad i moralności. Imponderabilia przede wszystkim!

– Właśnie impon...

– Imponujące... jak z niektórymi ludźmi łatwo się porozumieć. No właśnie, o czym to mówiłem? A już wiem, o tym, że ważne, żeby żadne zasługi nie były

pomijane. Więc mój bank ufundował stypendium dla policyjnych wdów i sierot po funkcjonariuszach, którzy oddali życie dla kraju na służbie. Pan najlepiej wie, jak te skromne środki zagospodarować. To zaledwie sto tysięcy złotych, ale to dopiero początek.

– Na te wdowy to każdy grosz się przyda, he, he, he!

Skinął głową na Galasia, a ten wydobył z kieszeni marynarki grubą kopertę, podał policjantowi, który bez zbędnych ceregieli schował ją do kieszeni.

– A co się tyczy materiałów...

– Materiały na maila, panie szanowny. Tylko na maila! Wtedy będziemy na bieżąco.

Zakochany młody mężczyzna właśnie robił kolejną serię zdjęć. Tym razem narzeczonej pochylonej nad talerzem z jakimś zielskiem.

– To na co ma pan ochotę, panie, mam nadzieję, już wkrótce generale. Polecam policzki wołowe. Doskonałe danie – zaproponował Bielecki z odrobiną nadziei, że ten wieprz nie odmówi i tymi cholernymi policzkami będzie mu się odbijało jeszcze przez kilka najbliższych godzin.

Barszczak pokiwał głową. Na samą myśl o policzkach robiło mu się niedobrze. No ale cóż miał zrobić? Człowiek musi się niekiedy poświęcić dla spraw wyższych. Dziś, gdyby było trzeba, za te sto tysięcy zżarłby te policzki razem z talerzem i popił wodą z akwarium.

Rozdział VIII

Środa
16 września 2015
Godzina 9.10

– No to mów, jak wygląda sytuacja?

– Generalnie to jesteśmy teraz na etapie poszukiwań jednego typu. Wszyscy pozostali nie żyją. To znaczy się, czterej bandyci nie żyją, a jeden gdzieś zniknął. Rozpłynął się, nie ma po nim śladu.

– A dziewczyny? – zapytał Mariusz Blaszkowski, trochę zniecierpliwionym tonem. Nie żeby był zły na Anetę. Chciał się dowiedzieć, co się wydarzyło pod Szamotułami, ale akurat teraz miał inne sprawy na głowie. Od czasu tej strzelaniny na Górczynie w policji rozpętało się prawdziwe piekło. Komendant chciał natychmiastowych wyników, a wyników nie było, bo ich zwyczajnie być nie mogło. Nie dało się nic zrobić w kilkanaście godzin, ale Mariusz był pewien, że złapanie faceta, który strzelał do policjantów, to tylko kwestia czasu. Mieli go przecież na zdjęciach, tych wykonanych w hurtowni i tych z parkingu na Wichrowym Wzgórzu. Chciał jeszcze przejrzeć zdjęcia i pogadać z dwoma sierżantami, Pytlem i Jaworskim, którzy chcieli mu

przekazać coś ważnego, ale pierwsza do pokoju weszła Aneta i zaczęła mu zawracać głowę swoim śledztwem. Więc jeśli wpadłaby teraz na pomysł, by go o coś poprosić, zgodziłby się na wszystko, żeby tylko dała mu spokój.

– No właśnie w tej sprawie przysłałam. Dwie uratowaliśmy w lesie. Jedna leży w szpitalu, a sześć pozostałych zostało sprzedanych do różnych burdeli.

– Jak sprzedanych?

– Normalnie, jak na targu niewolników. Gdy tym facetom zaczął się palić grunt pod nogami, wpadli w panikę i zorganizowali coś w rodzaju targu. Dziewczyny zostały sprzedane i zabrane do burdeli. Mam nadzieję, że do okolicznych. Więc trzeba by w tych burdelach poszukać...

– Dziewczyno, jak ty sobie to wyobrażasz? Będziemy chodzić od jednego domu rozpusty do drugiego i pytać, czy ktoś nie kupił ostatnio jakiejś dziewczyny ze Wschodu.

– Choćbym miała przejść wszystkie, to znajdę je i wyciągnę z tego bagna – powiedziała ostro i Mariusz natychmiast zrozumiał, że nic jej nie stanie na przeszkodzie. Znał ją dobrze i wiedział, że jeśli sobie coś wbije do głowy, to koniec. Nawet jak się jej wynajdzie inną robotę, to po godzinach będzie łązić po burdelach, aż dopnie swego. Trzeba będzie więc jej pomóc, bo inaczej narobi sobie dziewczyna kłopotu.

– Wiesz chociaż, kogo szukać? Imiona, nazwiska, rysopisy...

Uśmiechnęła się pod nosem, bo dostrzegła kapitulację w oczach szefa. Otworzyła szarą teczkę, którą położyła na stole przed sobą, i wyciągnęła ze środka sześć paszportów. Mariusz zdumiony wziął pierwszy z brzegu do ręki i otworzył na stronie ze zdjęciem.

– Skąd to masz, diablico?

Wyprostowała się na krześle, z trudem kryjąc radość.

– Znalazłam w tym baraku, w którym je przetrzymywali. W sumie znaleźliśmy dwanaście paszportów dziewczyn. Sześć należy do tych sprzedanych. Potwierdziły to dwie, które uratowaliśmy.

– A gdzie one są?

– Bezpieczne.

– Zaraz, Aneta, co ty mi tu gadasz? Pytam, gdzie są, a ty mi opowiadasz, że...

– Nie zamknęłam ich w więzieniu, nie wysłałam do sanatorium ani nie wsadziłam do pociągu. Mówię, że są bezpieczne, bo się nimi zaopiekowałam we własnym zakresie.

– Niby jak?

– A jak sobie wyobrażasz, że powinnam zrobić? Miałam dzwonić do ciebie i pytać, czy czasami nie znalazłbyś jakiegoś lokum dla dwóch dziewczyn? A może do tego ćwoka Barszczaka miałam zadzwonić? On na pewno by pomógł. Kazałby je aresztować i po sprawie. Miałam zamknąć dziewczyny z taką traumą, żeby jeszcze pomyślały, że prowadzimy przeciwko nim śledztwo... Dość już strasznych rzeczy przeżyły...

– Zaraz, zaraz, Anetka, spokojnie. Nie miałem nic złego na myśli. Normalnie zapytałem przecież.

– No przecież nic nie mówię. – Zrobiła tę swoją minę niewiniątka. W zasadzie mogła mu powiedzieć, gdzie są dziewczyny, tylko po co? Ta informacja nie była mu do niczego potrzebna. Ale on to doskonale rozumiał i nie naciskał. Wiedział, że dziewczyna lubi mieć swoje tajemnice.

Gdy w poniedziałek wieczorem pod jej dom podjechał samochód, natychmiast do płotu podbiegł Pies. Turek zatrzymał auto i wysiadł, żeby zapalić. Normalnie palił w swoim fordzie eskorcie i dlatego w środku śmierdziało jak w popielniczce. Gdy pół godziny wcześniej wsiadał do auta, od razu włożył w usta papierosa, ale Aneta go powstrzymała.

– Chyba nie zamierza pan tu palić? – zapytała takim tonem, jakby właśnie chciał się wysikać na rabatkę z kwiatkami jej babci. Oczywiście, że chciał zapalić, ale wolał nie ryzykować awantury z dziewczyną. Zresztą wcale nie było wiadomo, czy te dwie Rosjanki nie naskoczą na niego tak jak Aneta.

Nie naskoczyły i wcale nie miały zamiaru. Gdy tylko samochód ruszył, natychmiast zasnęły, przytuliwszy się do siebie. Tylko Aneta czuwała, na wszelki wypadek, by w razie czego wskazać mu drogę. Z Szamotuł do Dusznik nie było daleko. Jakieś pół godziny spokojnej jazdy. Turek nie prowadził szybko, bo po całym dniu pełnym emocji wolał nie szarżować. Doskwierało mu tylko to przymusowe niepalenie, ale w sumie jakoś się z tym pogodził. Przewoził w końcu wrażliwy towar, który był

już dostatecznie poturbowany przez los, więc nie było co jeszcze go dodatkowo truć papierosowym dymem, wytłumaczył to sam sobie i, o dziwo, odechciało mu się palić. Nie na długo jednak. Gdy tylko stanęli pod furtką prowadzącą do niewielkiego ogródka i dalej na ganek domu, policjant wyskoczył z auta i od razu sięgnął po papierosa.

Pies warknął na niego groźnie, ale gdy zobaczył, a może wyczuł Anetę, natychmiast zmienił swoje nastawienie do przybysza. Zaczął merdać ogonem i popiskiwać radośnie.

– A czemu on ma trzy nogi? – zapytał Turek, spoglądając ze zdziwieniem na psa kalekę.

– Stracił na wojnie – wyjaśniła właścicielka. – No dalej, dziewczyny, wysiadka – popędziła budzące się na tylnej kanapie pasażerki.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Olga, wychodząc z auta.

– W bezpiecznym miejscu. Szybciej, dziewczyny, nie ma czasu na gadanie. Chodźcie za mną. A panu bardzo dziękuję. Gdyby nie pan – poklepała dach auta – chyba byśmy musiały iść pieszo.

Turek skinął głową.

– Jak na wojnie, to mu się należy renta inwalidzka – stwierdził poważnie.

Roześmiała się i podała mu rękę. Niby był z niego zręczliwy i często skłonny do kłótni człowiek, który na dodatek nie zawsze czuł się doceniony, ale kiedy trzeba było pomóc w trudnej sytuacji, nie zastanawiał się nawet chwili, tylko działał. Machnął do niej jeszcze zza szyby

samochodu i odjechał. Ona poprowadziła Olgę i Swietlanę do domu. Gdy tylko otworzyła drzwi, pies wskoczył pierwszy do środka i od razu pobiegł do kuchni. Zdziwiła się, bo mogłaby przysiąc, że przed chwilą w całym domu było ciemno, a teraz w kuchni paliło się światło. Weszła pierwsza. Ojciec stał przy piecu i właśnie podpalał gaz pod czajnikiem.

– Cześć, tato, mam gości, znaczy mamy.

– No przecież widzę. Dlatego wstałem. – Odwrócił się do córki i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem dwie dziewczyny ubrane w dresy i sportowe buty. Nie miały ze sobą żadnych bagaży, nawet zwykłych reklamówek z ubraniami. Całym ich majątkiem było to, co miały na sobie.

– To jest Olga i Swieta, a to mój tata.

– Nowak jestem. – Skłoniwszy się, wskazał drewniany narożnik kuchenny, na którym leżało kilka miękkich poduszek. – Siadajcie, panie, zaraz zrobię herbaty. A może coś zjecie? Jest chleb, kielbasa i chyba jeszcze kawałek sera... A nie, kielbasy już nie ma. Pies zżarł resztkę. Ale jutro rano pójdę do rzeźnika...

Wypiły herbatę, ale jeść im się już nie chciało. Za bardzo były zmęczone. Rozłożyła im tapczan w gościnnym pokoju. Umyły się i natychmiast poszły spać. Aneta chciała z nimi trochę pogadać, ale się nie dało.

Było jeszcze dość wcześnie, ale już zrobiło się gorąco. Prognozy pogody zapowiadały powrót upałów dochodzących nawet do trzydziestu stopni. Po wczorajszej

burzy skończyły się deszcze i chłodny front odsunął się gdzieś na wschód.

Mariusz Blaszkowski wstał zza biurka, które kiedyś zajmował Fred Marcinkowski, w czasach, gdy ich szefem był stary, porządny gliniarz, pułkownik Żyto. Podszedł do okna i otworzył je szeroko. Fala gorącego powietrza wdarła się do środka. Wtedy dopiero zrozumiał, że popełnił błąd. Względny chłód pokoju zastąpiło powietrze ogrzane w piekarniku.

– I ktoś niech mi powie, że efekt cieplarniany to wymysł lewaków.

– Efekt cieplarniany to kłopot konserwatystów, którzy nie mogą o niego oskarżyć lewaków, zielonych, cyklistów, wegetarian, lesbijki i gejów, bo według nich nie istnieje – stwierdziła Aneta, ocierając chusteczką wilgotne czoło.

– Spotkasz się z Teofilem Olkiewiczem. – Mariusz wrócił na swoje miejsce.

– A po co mi Olkiewicz? – zdziwiła się. Wiele o nim słyszała, ale jakoś nigdy nie miała okazji go poznać, mimo że ten facet był żywą legendą jej wydziału.

– Chcesz znaleźć dziewczyny?

– No chcę. Pewnie, że chcę. Jak możesz w ogóle pytać?

– No to posłuchaj uważnie. Teoś Olkiewicz jest właścicielem knajpy na Półwiejskiej, która nazywa się Świat wódek. Spotkasz się z nim i powiesz, co się stało z dziewczynami. Powiesz, że zostały sprzedane do jakichś burdeli. Jeśli ktoś ma ci w tej sprawie pomóc, to tylko on.

– Jak to?

– Bo ten facet zna większość poznańskich właścicieli tych przybytków.

– Przecież mówiłeś, że ma knajpę. Co to ma wspólnego z domami publicznymi?

– Bo... Zresztą co ja ci będę dużo gadał. Zaraz zadzwonię do Teosia.

Sięgnął po telefon komórkowy i szybko wybrał numer. Przez kilka sekund wsłuchiwał się w sygnał, ale nie doczekał się połączenia. Po chwili usłyszał znany mu doskonale głos Olkiewicza, nagrany na automatyczną sekretarkę, przebijający się przez wyraźnie słyszalny w tle gwar knajpy:

– Halo... Teofil Olkiewicz mówi, ale z magnetofonu, to znaczy, że nie mogę teraz gadać, gdyż bardzo jestem zajęty, w związku z tym nie da się teraz ze mną pogadać i muszą państwo jeszcze raz zadzwonić, bo teraz mnie nie ma... dobrze?

Zaśmiał się w duchu, bo ten sygnał Olkiewicz nagrywał w swoim barze, a osobą nagrywającą był właśnie Mariusz. Teofil chciał mieć własny głos nagrany na sekretarce telefonu, więc poprosił go, by w wolnej chwili wpadł i zrobił mu takie nagranie. Mariusz zaproponował, by Teoś przemyślał treść wypowiedzi, może nawet zapisał sobie na kartce to, co miałby do powiedzenia, ale gdy Olkiewicz usłyszał pierwsze nagranie swojego głosu, tak mu się ono spodobało, że nie było już mowy o robieniu dubli.

Chciał jeszcze raz wybrać numer Teofila, ale dzwonek jego telefonu zabrzmiał melodią z filmu *Stawka większa niż życie*. Teofil oddzwaniał.

– Czołem, Teoś, Blacha mówi. Mam prośbę w delikatnej sprawie. Spotkaj się z moją podwładną, Anetą Nowak, i pomóż jej. – ... – Tak, ładna. Dobra, przekażę.

Zakończył rozmowę i popatrzył na Anetę.

– Jutro około dziesiątej możesz wpaść do niego na Półwiejską.

– O kim mówiłeś „tak, ładna”? – zapytała, marszcząc groźnie brwi.

– O pogodzie oczywiście – rzucił Mariusz i otworzył teczkę z jakimiś nieistotnymi aktami, dając jej do zrozumienia, że nie widzi powodu, dla którego mieliby kontynuować rozmowę.

Wstała z krzesła i spoglądając przez okno na bezchmurne niebo, powiedziała sama do siebie:

– Pieprzeni seksiści.

Mariusz uśmiechnął się pod nosem. Bardzo lubił tę pyską dziewczynę.

Godzina 9.30

Teofil Olkiewicz przeciągnął się w łóżku i spojrzał w kierunku okna. Słońce świeciło w najlepsze, bynajmniej nie jesienią. Niebo było całkowicie czyste i nie widać na nim było ani jednej chmurki. Dojrzał za to samolot, który z każdą sekundą się powiększał, by po chwili wielki i majestatyczny przelecieć nad głową Teofila z potężnym rykiem silników. To właśnie tutaj, nad willą, w której

obudził się przed chwilą Teoś, samoloty siadające na poznańskiej Ławicy miały swoją ścieżkę lądowania. Lubił patrzeć na te ogromne maszyny, jednak za nic w świecie do żadnej by nie wsiadł. Bał się latania, uważając je za sprzeczne z ludzką naturą. Zresztą i tak nie miałby dokąd latać. Nie wybierał się na wczasy zagraniczne, bo i co niby miałby za tą granicą robić? Nie przepadał specjalnie za pływaniami w morzu, nigdy się nie opalał, jadł zawsze w pośpiechu i byle co, a jedyną atrakcją, jaką mogły mu dać wakacje all inclusive, pełny barek w cenie, miał zawsze pod ręką na miejscu. Nie było więc najmniejszego powodu do latania, choć musiał przyznać, że te fruwające nad głową maszyny robiły na nim ogromne wrażenie.

Odłożył na nocny stolik telefon i spojrzał na leżącą obok młodą dziewczynę, a właściwie na jędrny tyłek, który wypinała zachęcająco w jego kierunku. Co z tego, że zachęcająco, jak nie zawsze wystarczało mu sił na skorzystanie z tego dobra. Bo Teofil od pewnego czasu, dokładnie od dwóch lat, mógł korzystać z wdzięków pięknych pań zupełnie za darmo i w nieograniczonej ilości. Ale jak sam mówił, te możliwości przysły do niego przynajmniej o dziesięć lat za późno.

– No, Sandrusia, pobudka. – Klepnął ją delikatnie w pupę i na wszelki wypadek przytrzymał przez chwilę dłoń na gładkiej skórze. Niestety jego organizm nie zareagował, choć mógłby przysiąc, że miałby ochotę na poranne igraszki.

– Która godzina? – zapytała dziewczyna, nie otwierając nawet oczu.

– Jakoś tak wpół do dziesiątej.

– Zwariowałeś, Teoś, o świcie mnie budzisz. Przecież ja o piątej poszłam spać.

– A co mam nie budzić, jak ja się już wyspałem.

– Jakbyś pracował do piątej, tobyś teraz spał i nie rozrabiał.

– Trochę bym se porozrabiał, no ale wiesz...

– Wiem, ale za chwilę, bo zasypiam...

Jakoś tak na początku dwa tysiące dwunastego roku do Teosia zgłosił się stary kumpel, dawny milicjant i współpracownik z dochodzeniówki, Grzechu Kowal. Po osiemdziesiątym dziewiątym chorąży Kowal odszedł z milicji, a właściwie już z policji. Nie dlatego żeby miał jakieś kłopoty z weryfikacją. Nigdy w czasie swojej służby nie zajmował się niczym, co splamiłoby jego mundur. Był kierowcą i woził swoich kolegów, a jednocześnie sam uczestniczył w wielu milicyjnych akcjach. Jednak od zawsze jego pasją były samochody i to te największe, do przewozu towarów na duże odległości.

Odchodząc z policji, miał już opracowany biznesplan. Postanowił kupić w Niemczech przechodzone tiry i założyć firmę przewozową. Problem polegał na tym, że brakowało mu pieniędzy. Pomógł mu Brodziak. Załatwił w banku należącym do Grubego Rycha kredyt na zakup dwóch ciężarówek i upadającej bazy samochodowej należącej do PKS-u w Kórniku pod Poznaniem.

Pomysł na transport samochodowy okazał się strzałem w dziesiątkę. Trzy lata później samochody z napisem „TRANS-KOWAL” jeździły już po całej Europie.

Wszystko funkcjonowało w firmie Kowala jak w zegarku, bo w tworzeniu jej zastosował system, jaki znał doskonale ze swojej pracy w milicji. On był naczelnym dowódcą, dwaj jego zastępcy generałami, dyspozytorzy i kierownicy to oficerowie, a kierowcy byli podoficerami. Najniżej w hierarchii byli ładowacze i stróże. Jednak, co zawsze podkreślał właściciel, każdy mógł zostać generałem.

W dwa tysiące dwunastym roku Grzechu Kowal okazji kupił w Baranowie pod Poznaniem knajpę z hotelem, w którym działała agencja towarzyska. Nie miał jednak ani czasu, ani serca do takiego interesu, więc zaproponował Olkiewiczowi, by ten został współdziałowcem i opiekunem biznesu. Teoś nie zastanawiał się długo. Nie miał co prawda dwudziestu tysięcy euro na wejście w biznes, ale od czego są starzy kumple. Jemu też Brodziak od ręki załatwił kolejny kredyt i w ten oto sposób Olkiewicz stał się współwłaścicielem burdelu.

– Sandrusia, pobudka, bo ja zaraz muszę iść do roboty.

– Yhmmm! – jęknęła dziewczyna i potarła zaspane oczy.

– Weź, no, się szybko spraw, bo nie mam już za dużo czasu. Muszę jeszcze pojechać do mojej pijalni... O tak, bardzo dobrze – jęknął zadowolony, gdy poczuł, jak ręka dziewczyny zaczyna go głaskać po podbrzuszu. To w końcu okazało się wrażliwe na kobiece wdzięki, bo po chwili Teofil zauważył, że znów wracają mu męskie siły. Sandrusia tymczasem przesunęła swoją blond głowę niżej, a Teofil poczuł na sobie najpierw język, a po chwili usta,

które przyssały się delikatnie do jego przyrodzenia. Zdążył jeszcze jęknąć dwa czy trzy razy i już było po wszystkim. Dziewczyna uniosła głowę, oblizwała wilgotne wargi i uśmiechnęła się do Teofila.

– Szybki jesteś – stwierdziła z nutką uznania w głosie.

– Nie mam czasu na ksiuty. Robota czeka.

Dziewczyna wróciła na poduszkę, a on tymczasem usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ubrania. Wczoraj wypił trochę w barze i nie bardzo pamiętał, jak się znalazł na górze. Pewnie pomógł mu któryś z ochroniarzy. Jednak fakt, że leżał w łóżku nago, świadczył, że musiał sam się rozebrać w oczekiwaniu na damskie towarzystwo. Zazwyczaj było tak, że gdy nocował w Baranowie, szedł do służbowej sypialni, a szefowa interesu przysyłała mu którąś z dziewczyn spośród tych, które skończyły już pracę. Żadna z nich nigdy nie narzekała na nadmiar roboty z Olkiewiczem. W jego łóżku przynajmniej można się było spokojnie wyspać.

Majtki znalazł na podłodze. Koszula leżała obok, ale była pomięta i przepocona. Na szczęście w szafie miał jeszcze kilka innych. Od pewnego czasu sam kupował koszule, bieliznę i wszystko to, co było mu potrzebne na co dzień. Odkąd jego żona Jadwiga przeniosła się do lepszego ze światów, Teofil musiał zadbać o siebie. Dbał więc, jak umiał. Koszule i bieliznę nabywał w ilościach hurtowych i zostawiał po kilka sztuk w miejscach, w których sypiał, czyli w domu, gdzie pojawiał się coraz rzadziej, na zapleczu knajpy na Półwiejskiej i w końcu tu, w Baranowie. Musiał wyglądać porządnie, przecież był

teraz prawdziwym biznesmenem.

Wziął majtki w rękę i stwierdziwszy, że nie są zbyt zużyte, ruszył z nimi do łazienki, żeby wziąć prysznic i ogolić się. Stanąwszy przed lustrem, przyjrzał się swojej twarzy. Gdyby nie wory pod oczyma i powiększająca się łysina, wyglądałby ledwie na sześćdziesiąt lat. Tymczasem w tym roku kończył osiemdziesiąt i musiał przyznać, że jak na swój wiek, całkiem dobrze się trzymał. Wódka dobrze konserwuje, powtarzał zawsze i to w jego przypadku okazało się świętą prawdą.

Puścił wodę i zaczął myć twarz. Naraz usłyszał pukanie do drzwi.

– Czego tam? – warknął, bo nie lubił, jak mu się od rana przeszkadza. W końcu człowiek cywilizowany powinien mieć poranki całkowicie dla siebie, a nie żeby ktoś mu łąził po chacie. – Sandrusia, podnieś dupsko i zobacz, co za cholera tam czego chce, i powiedz, że mnie nie ma.

– Co? – Sandra podniosła głowę i omiotła pokój niezbyt byстрыm, sennym spojrzeniem.

– Ktoś puka. Zobacz, kto tam.

Wstała i podeszła do drzwi. Otworzyła je szeroko, stając nago bez odrobiny zażenowania przed dwójką facetów. Ten wyższy, starannie i krótko ostrzyżony brunet, potężnie zbudowany, z wielkim brzuchem i wyraźnie zarysowanym podbródkiem, przekrzywił nieco głowę i zmrużywszy oczy, próbował z należyтым respektem ocenić wdzięki dziewczyny. Nie miał jednak okularów i niezbyt mu się to udało. Za to ten drugi, niższy o pół

głowy piegowaty rudzielec, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– My do Teosia – powiedział nie do niej, ale do jej jędrnych cycków.

– Nie ma go – odpowiedziała, używając do tego ust, a nie piersi, jak mógłby spodziewać się gość. Już chciała zamknąć drzwi, jednak rudy był szybszy. Włożył nogę w szparę i zablokował je, po czym delikatnie popchnął.

– Jak ci na imię, kochanie? – zapytał ten większy i grubszy.

– Sandra.

– To, Sandra, powiedz Teofilowi, że koledzy przyszli w odwiedziny.

Nie czekając na reakcję dziewczyny, wladowali się do pokoju i natychmiast rozsiedli się w fotelach stojących pod oknem, które rozdzielał niewielki okrągły stolik. Stało na nim kilka butelek wódki i jedna whisky z czarną naklejką. Rudy nie miał zamiaru czekać, aż ktoś mu cokolwiek zaproponuje. Otworzył szkocką i rozlał alkohol do dwóch szklanek.

– Powodzi się – stwierdził ten większy, upijając mały łyk.

– Kiedyś pił tylko białą wódę – powiedział rudy. – I chyba mu tak zostało. – Wskazał na butelki z różnymi czystymi wódkami. – A łykacza to ma pewnie dla gości.

– To się dobrze składa, że ma czym nas napoić. Choć trzeba by mu powiedzieć, że my pijemy single malty, a nie blendziaki.

– Ty myślisz, że Teofil się zna na takich niuansach?

– Pewnie masz rację. Jak się dotąd nie nauczył, to już na stare lata nie da rady.

– Teofil, jacyś faceci przyszli do ciebie. – Sandrusia zapukała w drzwi.

– Jacy faceci? Powiedz, że jestem zajęty.

– Flip i Flap, oni tu już weszli i piją łyskacza.

– Jak piją?

– Normalnie, nalali se – wyjaśniła dziewczyna i zaraz wróciła do łóżka. Przecież jakieś odwiedziny nie mogły jej przeszkodzić w odespaniu pracowitej nocy.

Teofil nieco zdziwiony niezapowiedzianą wizytą obcych gości uczesał szybko resztki włosów, natarł twarz wodą po goleniu i założywszy szlafrok, wyszedł z łazienki. Miał zamiar od razu przejść do ataku i opieprzyć intruzów, ale na ich widok natychmiast się rozpogodził. Uśmiechnął się radośnie i rozłożył ręce w powitalnym geście Chrystusa ze Świebodzina. Jednak zaraz je złożył, bo szlafrok mu się rozsunał, a nie zdążył założyć gaci.

– Sandrusia, ale ty głupia jesteś. Nie widzisz, co to za goście do mnie przyszli?

– A skąd ja mogę wiedzieć, co za goście? – mruknęła z nadąsaną miną.

– To jest Sandrusia. Mówię wam, złotousta dziewczyna. A to są moi bardzo dobrzy koledzy z... – przez chwilę zbierał myśli – koledzy z wojska.

– Byli z tobą na wojnie?

– Sandrusia, ty ale durna jesteś. No dobra, dość tego, uciekaj już. Idź se gdzie indziej poleżeć.

Dziewczyna wstała, a obaj goście odprowadzili ją spojrzzeniami. Z daleka Rychu Grubiński widział znacznie lepiej, więc natychmiast docenił smukłą sylwetkę i okrągłą pupę niezwykle zgrabnej Sandry. Olkiewicz ściągnął z łóżka prześcieradło, okrył nim jej gołe ciało i na pożegnanie klepnął ją jeszcze, ale nie zareagowała. Wyszła obrażona, trzaskając drzwiami.

– Nieźle ci się wiedzie, Teoś. – Brodziak z uznaniem pokiwał głową.

– Na stare lata przynajmniej nie śpię w zimnym łóżku.

– Prawda, że takie przyjemne kształty muszą dobrze grzać – stwierdził Rychu, który nigdy nie sypiał sam. Od dziewięćdziesiątego roku spędzał noce z tą samą kobietą o sympatycznym imieniu Magda. To ona była sprawczynią zmian, jakie zaszły w uczuciowym życiu Rycha, który wcześniej zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Ale gdy spotkał Magdę, ustatkował się. Była właścicielka sklepu odzieżowego na Łazarzu szturmem wdarła się w jego życie, wywróciła je do góry nogami i tak poukładała, że Rychu nie miał innego wyjścia – musiał wszystko zaakceptować, bo zakochał się po uszy.

– A tak w ogóle to chciałem przy okazji powiedzieć, że niedługo już spłacę wszystko co do grosza... – Teofil podszedł do stolika z alkoholem i nalał sobie do szklanki trochę wódki, a potem zgodnie z zaleceniami lekarza rozcieńczył odrobiną wody. – Jakoś nie było okazji dotąd spłacać. Wiecie, jak to jest... – próbował wybrnąć z sytuacji, choć wiedział, że sprawa jest beznadziejna. Przez cały ten czas, odkąd wziął pieniądze od Rycha, nie oddał ani złotówki. Po cichu liczył, że może

w międzyczasie umrze i mu się upiecze. Ale teraz okazało się, że wierzyciel przypomniał sobie o nim, zanim zdążył zejść z tego świata. Nie wiedział jednak, że bankier Grubiński udzielił mu pożyczek z kieszeni Brodziaka. Miras wyłożył te pieniądze i wcale się nie spodziewał, że Teoś zwróci cokolwiek. Wiele razy dawał mu jakieś niewielkie sumy na wódkę czy piwo i nigdy nie dostał ani grosza z powrotem.

– My do ciebie wpadliśmy z prośbą, a nie po pieniądze – przerwał mu Grubiński.

– Prośbą? – Teofil, zdziwiony, natychmiast nadstawił ucha.

– Opowiesz przed kamerą telewizyjną, że Marcinkowski na nikogo nie donosił i że raporty pisałeś ty? – zapytał Rychu.

– Dasz radę, Teoś! – Miras podniósł kciuk do góry, jakby był pewien, że Olkiewicz to urodzony aktor. Teofil mało nie podskoczył z radości, ale wcale nie dlatego, że lubił występy telewizyjne. Od czasu, gdy w gazecie obsmarowali Marcinkowskiego, a potem on jeszcze dołożył parę durnych zdań, zapisanych przez tego gnojka, który był u niego w knajpie, myślał o tym, żeby to wszystko odkręcić.

– No nie wiem, czy ja tak umiem w tej telewizji wystąpić. Czy ja jaki aktor jestem, żeby gębę przed kamerę pchać? Jak raz wystąpiłem w Gnieźnie w osiemdziesiątym szóstym w „Dzienniku Telewizyjnym”, to była katastrofa na całą Polskę... No, ale jak trzeba, to dla Freda mogę to wszystko zde... montować...

Godzina 10.15

Brama budynku gospodarczego była szeroko otwarta. Przed nią stał jeep. Andrzej wyciągał z bagażnika zielone skrzynki i przenosił do karetki.

Stała w oknie i patrzyła, co dzieje się na podwórku, i niczego nie mogła zrozumieć. Przecież zwykły człowiek nie mógł jeździć ot tak sobie karetką, bo to jest wóz specjalnego przeznaczenia. A skoro tak, to jakim cudem ten samochód znalazł się tutaj, w tym opuszczonym gospodarstwie?

Wszystko było jakieś dziwne i tajemnicze, a najbardziej tajemniczy był sam gospodarz. Tam, przy drzwiach garażu, chwycił ją mocno i zaniósł do domu. Nie, nie zemdląła. Poczula się bardzo słabo, chyba ze strachu. Gdy przyłapał ją na zaglądaniu do środka, myślała, że serce jej wyskoczy z piersi. Ale on nie wyglądał wcale na zagniewanego. Położył ją na łóżku i przysiadł koło jej nóg. Naraz poczuła, że gładzi ją lekko po stopie. Początkowo przestraszyła się tego dotyku, ale po chwili zrozumiała, że nie ma w nim niczego złego. On zaś uśmiechnął się ciepło, choć jego oczy wydawały jej się nadal zimne.

– Nie powinnaś wychodzić z domu. Jeszcze jesteś za słaba na piesze wycieczki.

– Pies chciał, żebym wyszła.

– Powiedział ci o tym?

Pokręciła głową.

– Ale jak otworzyłam drzwi na podwórko, stał na ganku i czekał na mnie.

– Taki z niego obrońca. Miał pilnować domu, a tu proszę, zabrał się za oprowadzanie po obejściu obcej osoby.

– Widać dla niego nie jestem obca. Polubił mnie.

– I to ma być groźny pies?

– Dla obcych jest groźny.

– Dla mnie też nie jesteś obca...

– Nie?

– Widać pies to zrozumiał pierwszy.

– Co zrozumiał?

– Że należysz do tego miejsca.

– Nie rozumiem.

– Że nie znalazłaś się tu przypadkiem. Że to wszystko ma jakiś głębszy sens. Że tylko nam się wydaje, że kierujemy własnym losem, a tak naprawdę jesteśmy tylko częścią planu, który realizuje się niezależnie od nas. Że ten plan nadzoruje ktoś z góry, a my, nieważne, co byśmy zrobili, i tak w końcu musimy odegrać swoje role, które wyznaczył nam ten, kto to wszystko zaplanował.

– Myślisz o Bogu?

– Nie wiem, czy Bóg istnieje, ale wiem, że gdyby nie było jakiejś siły sprawczej, to nasze życie nie miałyby sensu.

– Kieruje naszymi uczynkami?

– Raczej prowadzi nas ścieżką do pewnych celów.

– Nas? W jaki sposób?

– Tego nie wiem, ale widzę w tym pewną logikę.

– Jaką?

– Spotkaliśmy się tutaj. To nie może być przypadek.

– Mogłam przecież pójść w zupełnie inną stronę i nigdy na ciebie nie trafić.

– Mogłem nie strzelać w Afganistanie i nie zostać wyrzutkiem.

– A co to ma ze sobą wspólnego? – Ta jego logika wydawała się jej zbyt pokrętna. Przez chwilę milczał, spoglądając w okno. Niebo było całkowicie czyste, kompletnie pozbawione nawet najmniejszych obłoków. Słońce wypełniało przestrzeń podwórka jaskrawym blaskiem, a nagrzane powietrze unosiło się w górę, lekko falując w przestrzeniach ponad dachem stodoły.

– Wiesz, moja mama była Rosjanką – powiedział, jakby chciał zmienić temat.

– Wiedziałam, że nie mogłeś się nauczyć tak mówić po rosyjsku w szkole. Musiałeś słuchać tego języka od dziecka.

– Mama mówiła po rosyjsku, a tata po polsku.

– Więc mówisz po polsku jak Polak, a po rosyjsku jak Rosjanin. A kim się czujesz?

Przerwał na chwilę głaskanie jej stopy i położył dłoń na prześcieradle. Dostrzegła, że chwycił jego fragment i mocno ścisnął.

– Zawsze tak było, że wśród Polaków myślałem po polsku, a wśród Rosjan po rosyjsku, ale czułem się Polakiem. Tu się wychowałem, chodziłem do szkoły, wszyscy moi koledzy to Polacy. I dlatego poszedłem do polskiej armii, żeby służyć mojemu krajowi. A mój kraj w chwili, gdy go najbardziej potrzebowałem, połknął mnie i wysrał. Wyrzucili mnie na śmietnik. Nie byłem im do niczego potrzebny.

I wtedy po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach błysk, którego nie widać było wcześniej. Naraz pojęła, że to, co brała za chłód, było zasłoną, która cały czas skrywała prawdę o nim. Ludzie mówią, że oczy są zwierciadłem duszy i można w nich dostrzec prawdziwą naturę człowieka. I ona widziała małego chłopca, który został głęboko skrzywdzony i nie potrafi sobie z tym poradzić, bo nie ma pojęcia, jak powinien się zachować i co zrobić, żeby zasłużyć na uczucie.

Nie zastanawiała się, co robić. Usiadła na łóżku, chwyciła tę jego dłoń ściskającą prześcieradło i uniósłszy w górę, pocałowała. Spojrzał na nią zdziwiony, ale zaraz przekonał się, że nie ma w tym gościu żadnej litości. Uniósł drugą dłoń i dotknął jej policzka. Poczuł wilgoć pod palcami. Nachylił się do niej i pocałował w usta. Odpowiedziała na ten pocałunek, namiętnie przylegając do niego wargami. Pociągnęła go ku sobie, kładąc się na plecy. Zdjęła z siebie bluzę dresową, a on bardzo ostrożnie ściągnął z niej te zbyt obszerne spodnie, uważając, żeby nie urazić jej stopy. Sam rozebrał się szybko i przywarł do niej ustami, by zaraz zabrać się za badanie językiem wszystkich wypukłości i zagłębień jej brzucha, piersi

i łona.

Poddawała się tym pieszczotom jak nastolatka, którą pierwszy raz dotyka ukochany. Nie było w niej niczego z tej dziewczyny, która gwałcona po wielokroć oddaje się mężczyznom, starając się myślami uciec jak najdalej od miejsca, w którym jest w tej chwili. Tu każdy jego dotyk sprawiał, że drżała z podniecenia i radości. A gdy wreszcie wszedł w nią, ostrożnie i niezwykle delikatnie, od razu wpadła w miłosną ekstazę i w ciągu paru sekund eksplodowała jak wulkan. On jednak nie przestawał i napierał lekko, rozważnie, to znów mocniej i bardziej zdecydowanie, cały czas obserwując jej reakcję, jakby się bał, że może zrobić jej krzywdę.

Zapomniała o wszystkim, o koszmarze, który przeżyła, o dziewczynach, które gdzieś tam czekały na pomoc, o domu i rodzicach, zapomniała o wszystkim. Była tu i teraz z nim w centrum wszechświata, który wirował wokół i którego częścią byli oboje, każde z osobna, ale połączeni w jedno. I nim po raz kolejny jej ciało przeszył dreszcz, dając ujście rozkoszy, zrozumiała, że nic już nie jest takie, jakie było, że nic już się dla niej nie liczy, że teraz najważniejszy na świecie jest on, a ona żyje tylko dla niego.

Leżeli na łóżku nadzy, przytuleni do siebie. Pod sufitem wokół starej lampy latała, brzęcząc głośno, wielka mucha. Powietrze było gorące i lepkie od wilgoci parującego lasu.

– Wiesz, że jak zobaczyłem cię wtedy w bramie, to wszystko zrozumiałem.

– Co rozumiałeś, kochany?

– Że musiałaś do mnie przyjść.

– Jak to musiałam?

– No czego nie rozumiesz, Wieroczka? Przecież to proste jak słońce. Mieszkam na odludziu, na skraju wielkiej puszczy. Prawie nie widuję ludzi, bo sam ich nie szukam, a i nikt tu specjalnie nie przychodzi. I naraz otwieram drzwi, a tu stoi przede mną piękna dziewczyna. I to jeszcze można by zrozumieć. Ale ta dziewczyna odzywa się do mnie po rosyjsku. Rozumiesz to?

– Chyba tak. Byłam tak zmęczona i wystraszona, że nawet nie pomyślałam, żeby mówić po polsku. Potrzebowałam pomocy, więc odezwałam się po swojemu. I wiesz, że ja nawet nie zauważałam, że odpowiadasz mi po rosyjsku? Dopiero po jakimś czasie to do mnie dotarło.

– Wtedy, jak cię ujrzałem, zrozumiałem, na czym polegał ten wielki plan, w którym jestem tylko pionkiem.

– Ty pionkiem?

– Tak, robię to, co mi każe przeznaczenie.

– A co ci każe przeznaczenie?

– Muszę zrobić coś ważnego, ale w zamian dostanę nagrodę.

– Jaką nagrodę?

– Ty jesteś moją nagrodą. A znalazłaś się tutaj, żeby mnie upewnić w tym, że to, co robię, jest słuszne. Że nie mogę się wahać. Bo jeśli się poddam, to wszystko, co dostałem od losu, przepadnie.

– Andriusza, o czym ty mówisz?

– Mama mówiła do mnie Andriusza.

– Co przypadnie?

– Ty, Szarik, ten dom jak z bajki.

– Nie przypadnę. Nigdy cię nie zostawię. Ja już to rozumiałam.

– Co rozumiałaś?

– Że przez całe życie właśnie ciebie szukałam i znalazłam teraz. Więc jak bym miała cię zostawić?

– No widzisz, wreszcie rozumiałaś, jak to działa.

Uniósł się na łokciu i oparł głowę na dłoni.

– Co działa?

– Ludzki los, który splata się z innym losem. Musiałem przeżyć swój koszmar na wojnie, a ty swój tutaj w tym cholernym obozie. Ale bez tych koszmarów nie trafilibyśmy nigdy na siebie. Nigdy byśmy się nie spotkali, rozumiesz, kochana?

– Czyli, żeby spotkać prawdziwą miłość, trzeba najpierw zapłacić losowi wysoką cenę?

– Właśnie to ci chciałem powiedzieć. Dopłynęliśmy wreszcie razem do jednego portu i jeśli wszystko się uda, nic już nas nigdy nie rozdzieli. Będziemy zawsze razem.

– Co ma nas rozdzielić, głuptasie? – Poglądziła go delikatnie po głowie. – Ja cię nigdy nie opuszczę. Jestem cała twoja. Zawsze będę.

– Ale żeby nam się wszystko udało, muszę jeszcze coś zrobić... Myślałem, że robię to z zemsty, że chce im wszystkim odpłacić za to, jak mnie potraktowali, ale teraz wreszcie wiem, że to cena za nasze szczęście.

– Andriusza, kochany mój, o czym ty mówisz?

– Chodź, pokażę ci wszystko.

Usiadła na łóżku, a on powoli i bardzo ostrożnie ubrał ją, tak jak się ubiera małe dziecko. Potem sam założył dżinsy, które leżały na podłodze, i w końcu podał jej kule.

Gdy otworzył drzwi na zewnątrz, Szarik stał na ganku, tak jakby na nich czekał. Zapiszczał na ich widok, dał się pogłaskać po głowie swojemu panu, a gdy ten przeszedł obok niego, poczekał, aż wyjdzie nowa pani. Dopiero gdy i ona poczochnęła go po łbie, pobiegł w kierunku samochodu zaparkowanego przed garażem, tak jakby chciał się pochwalić tymi wszystkimi nowościami, których teraz musi pilnować.

Gdy wreszcie doszła do otwartych drzwi garażu, spojrzała najpierw na niego, a potem na to, co było wewnątrz karetki.

– Co to za skrzynki? – zapytała.

Uśmiechnął się, a potem chwycił w dłonie metalowy pręt i podważył wieko jednej z nich. Wewnątrz poukładane równo i zawinięte w jakiś papier leżały kostki czegoś, co na pierwszy rzut oka przypominało mydło. Wziął jedną do ręki. Na wierzchu było coś napisane, ale ona nie czytała po polsku.

– Trotyl prasowany, 200 gramów.

– Czy to jest... ładunek wybuchowy?

– Tak.

– A po co...?

– To właśnie to przeznaczenie, które musi się wypełnić.

– Jesteś szalony...

– Tak, oszalałem z miłości do ciebie.

Godzina 14.10

Mariusz Blaszkowski spojrział na dwóch policjantów siedzących na przednich siedzeniach służbowego radiowozu i aż otworzył usta ze zdumienia. Wiele już w swoim zawodowym życiu doświadczył, spotkał się z całą masą dziwnych, a nawet idiotycznych zachowań funkcjonariuszy, ale to, o czym usłyszał przed chwilą, było tak nieprawdopodobnie głupie, że chyba musiało być prawdziwe.

Pytel i Jaworski siedzieli nieruchomo wpatrzeni w uliczny krajobraz przed sobą. Nic interesującego się jednak tam nie działo, jeśli nie liczyć dość zgrabnej mamy pchającej przed sobą wózek spacerówkę z pulchnym bobasem, którego od słońca ochraniała biała parasolka w niebieskie grochy. Maluch spał w najlepsze, a odstrzelona w minispódniczkę mama na wysokich obcasach szła się polansować w kierunku Dąbrowskiego, gdzie było znacznie ciekawiej niż tu, na policyjnej ulicy Kochanowskiego. Minęła obojętnie radiowóz, nie zaszczycając spojrzeniem dwóch szkiełówsiedzących w aucie, nieświadoma tego, jaki policyjny dramat rozgrywa się tam w środku.

– Czy wyście ochujeli? – Blaszkowski z niedowierzaniem kręcił głową. Jednak ci dwaj nic nie odpowiedzieli, więc zrozumiał, że to prawda. Naprawdę

ochujeli.

– Gdzie on jest?

– Tu, z tyłu. Znaczy się w bagażniku.

– O ja pierdołę!

– Widzisz, mówiłem ci, że to głupi pomysł. – Pytel spojrział z wyrzutem na Jaworskiego. To on właśnie uparł się, żeby faceta zabrać ze sobą.

– Miałeś lepszy?

– Można było zasadniczo...

– I co zamierzacie teraz z nim zrobić?

Żaden z podoficerów nie odpowiedział. Mariusz też zamilkł. Musiał przez chwilę się zastanowić. Sytuacja była z tych nierozwiązywalnych, z których nie ma dobrego wyjścia. Bo jakkolwiek by postąpić, i tak efekt będzie podobny. Policjanci torturujący zatrzymanego faceta w celu wymuszenia zeznań to nie wyglądało najlepiej. Mogli go gdzieś wyrzucić w lesie i niechby udowodnił, że to oni, ale ci dwaj zachowali się jak kompletni kretyni. I jeszcze przywieźli gościa pod komendę wojewódzką. Najlepiej by było, żeby od razu zaprowadzili go do pokoju tego ćwoka, pełniącego obowiązki naczelnika wydziału, Barszczaka. Na pewno by się ucieszył z takiego prezentu. Jak się człowiek nie obróci, dupa i tak z tyłu.

– Mówiliście o waszym pomysle komukolwiek?

– No nie, bo najpierw chcieliśmy mieć jakiś efekt.

– I jaki efekt macie?

– No facet nam wszystko powiedział.

– Co powiedział?

– Powiedział, kto to wszystko zorganizował. Znaczą się, kto przywiózł te skrzynki do hurtowni i w ogóle...

– Czyli kto przywiózł?

– Jego znamy, znaczą się facet, co jest zawodowym żołnierzem. Jego nazwisko to... – Jaworski spojrział do swojego notesu – Ciepela. Ten Ciepela to jest ten gość, co miał kałacha i został zabity przy hurtowni. A ten drugi, ten kierowca, co uciekł, to on nazwiska nie zna, ale to był znajomy Ciepeli z wojska, i on ma na imię Andrzej. I powiedział też, że hurtownią opiekował się jego dawny przełożony z SB, co się nazywa Galaś, a właścicielem hurtowni jest... – znów spojrział na zapisaną w notesie kartkę.

– Stanisław Bielecki – wszedł mu w słowo Błaszowski. Znał Bieleckiego od dawna. Nie udało mu się co prawda poznać go osobiście, ale doskonale wiedział, co to za człowiek. Nieraz w śledztwach prowadzonych przez jego wydział, gdy jeszcze pracował w milicji, trafiali na ślad działań Bieleckiego. On i jego ludzie z SB niejednokrotnie wtrącali się w pracę dochodzeniówki. Ale teraz po latach, gdy minęło już sporo czasu od upadku komunizmu, Mariuszowi wydawało się, że takie upiory z przeszłości odeszły dawno do lamusa historii i straszą jeszcze tylko między zakurzonymi półkami w archiwach. A tu nagle okazuje się, że wyłazą jak pająki zza ram starego obrazu.

– Zna pan tego Bieleckiego? – zdziwił się Pytel.

– Ze słyszenia.

– Bo on nam powiedział, znaczą się ten stróż, co my

jego mamy tam z tyłu, że ta cała hurtownia to przez jakiegoś Ruska kupiona, ale tak właściwie to Galaś wszystkim tam rządził, znaczy się tak jakby SB. I oni kupili tę hurtownię, bo mieli tam przechowywać różne lewe towary. I dlatego tam było pełno różnego sprzętu elektronicznego. Wszystko to trefny towar, co go skupował Galaś. Komputery i telewizory, wszystko kradzione. No i jeszcze te skrzynie, które mieli gdzieś z wojska podpieprzone.

– Czyli te gnoje z безпеکی znalazły sobie nowy biznes.

– No właśnie to mówię – zgodził się z Mariuszem Jaworski, a i Pytel też pewnie by się zgodził, gdyby dokładnie wiedział, o co z tym SB chodzi. Ale nie bardzo miał pojęcie, bo był za młody, żeby pamiętać, a na historii się nie znał, bo nigdy nie lubił uczyć się dat, więc w szkole zawsze miał z tego przedmiotu naciąganą tróję. Tymczasem Blaszkowski, analizując sytuację, starał się wybrnąć z niej tak, żeby odnieść jak najmniejsze straty. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że wszystko skończy się kompletną katastrofą, jednak gdy usłyszał o Galasiu i Bieleckim, dostrzegł naraz światełko w tunelu. Sięgnął po telefon i szybko wybrał numer ze spisu kontaktów. Brodziak odebrał już po drugim sygnale.

– Cześć, Blacha, co tam słychać?

– Problem.

– Poważny, jak się domyślam, bo inaczej byś nie zadzwonił.

– To mało powiedziane.

– Czego potrzebujesz?

– Muszę gdzieś schować jednego gościa, który jest ważnym świadkiem w sprawie dotyczącej pewnego naszego starego znajomego.

– Blacha, gadajże jaśniej.

– Pamiętasz faceta z resortu, który jest teraz bankierem?

– Nasz stary kumpel – odpowiedział Brodziak z wyraźną nutą sarkazmu w głosie.

– Trafiony.

– Co z tym gnojem?

– Wypłynął w pięknym stylu. Takim charakterystycznym dla siebie.

– A to ciekawe, bo w sprawie Freda też się pojawił... Chwila, Blacha. – Mirek przerwał na moment. Blaszkowski czekał cierpliwie, bo wiedział, że Brodziak albo musi się zastanowić, jakie rozwiązanie wybrać, albo też przekazywał informacje swojemu kumplowi z banku. – Za ile możesz być na Junikowie? – zapytał w końcu.

– Jestem pod komendą wojewódzką w samochodzie, czyli o tej porze jakieś dwadzieścia minut, bo na sygnale nie chciałbym jechać.

Przez chwilę słuchał uważnie tego, co miał do powiedzenia Brodziak. Wreszcie, nie pożegnawszy się, zakończył rozmowę. Obaj siedzący z przodu podoficerowie przyglądali mu się w napięciu, ale po minie oficera doszli do przekonania, że chyba znalazł sposób na uratowanie im dupy.

– Jedź na Junikowo – polecił Pytłowi, a ten natychmiast włączył silnik. Auto ruszyło, powoli włączając się do

ruchu, by wjechać w szeroką i jak zwykle zatłoczoną ulicę Dąbrowskiego. Mimo to udało im się w miarę sprawnie dojechać do Grunwaldzkiej, która prowadziła wprost do junikowskiego cmentarza. Nie na cmentarz jednak się wybierali. Tu, mniej więcej naprzeciw nekropolii, trzeba było odbić w lewo. Przy jednej z cichych i spokojnych uliczek starego, wyrosłego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku osiedla znajdowała się posesja należąca do Rycha Grubińskiego. Mariusz był tu tylko raz, za to jego pobyt zakończył się tak efektownie, że do dzisiaj pamiętał niemal wszystkie szczegóły. Wtedy to warsztat samochodowy, którego właścicielem był Grubiński, a także należąca do niego willa spłonęły wysadzone w powietrze przez ludzi związanych z SB. Co ciekawe, operację bezpieki, podczas której doszło do tego pożaru, nadzorował osobiście pułkownik Bielecki, a jego prawą ręką i wykonawcą poleceń był nie kto inny jak Fabian Galaś¹⁹.

Radiowóz skręcił w niewielką jednokierunkową uliczkę, ale mimo że poruszał się powoli, Mariusz nie znalazł posesji, której szukał. Musieli więc objechać jeszcze raz cały teren, żeby znów dostać się na tę jednokierunkową drogę. Dopiero teraz zrozumiał, w czym rzecz. Kiedyś na obszerne podwórko prowadziła wielka dwuskrzydłowa, metalowa brama, a cały teren otaczał betonowy płot. Teraz też był płot, tyle że bramy nie było widać. Kazał więc zatrzymać wóz w miejscu, w którym mogłaby być, i wtedy ku zdziwieniu wszystkich trzech policjantów ogrodzenie rozsunęło się w prawo i w lewo,

ukazując szeroki wybrukowany wjazd. Nie dostrzegł tej bramy, bo nie różniła się swoim wyglądem od płotu. Ten, kto chciał wjechać do środka, musiał wiedzieć, gdzie stanąć. Policyjny radiowóz wtoczył się na dziedziniec. Kiedyś na wprost były tu warsztaty, bo Rychu był właścicielem firmy zajmującej się naprawą aut i ściąganiem wozów z Zachodu. Najczęściej były to samochody po wypadkach albo nowe sprowadzane bez zgody właściciela. Ale w osiemdziesiątym dziewiątym roku, gdy zakład się spalił, Rychu skończył z działalnością samochodową a zajął się legalnym już wtedy handlem walutami. Jego kantory wkrótce przekształciły się w bank, a Grubiński z cinkciarza i złodzieja zamienił się w szanowanego bankiera i biznesmena.

Teraz zamiast warsztatów stał tu rząd pięciu garaży z podnoszonymi bramami. Dwie były otwarte. Wewnątrz Mariusz dostrzegł jakiś wóz terenowy o wielkich kołach, ale jego marki nie był w stanie rozpoznać. Za to to drugie, stojące w kolejnym boksie, czerwone auto rozpoznałoby nawet dziecko. Porsche 911 prezentowało się okazale.

– Ciekawe, czy się skurczybyk nauczył jeździć? – powiedział, uśmiechając się pod nosem.

– Że niby kto się nauczył? – zapytał Pytel.

– O właściciela się rozchodzi. – Mariusz wskazał głową na auta w garażu. – Kiedyś nie miał prawa jazdy, ale teraz...

– Jak się ma takie fury, to prawko niepotrzebne. Drogówka takich gości, co jeżdżą porszakiem za bańkę, w ogóle nie zatrzymuje, bo się boją, że to ktoś z mafii. Nie chcą mieć kłopotów.

– I mają rację – stwierdził Mariusz, otwierając drzwi radiowozu. Wyskoczył na zewnątrz i ruszył w kierunku domu. Tamten dawny dom jednorodzinny, nazywany nie wiedzieć czemu willą, po której nie został żaden ślad, był paskudnym wytworem myśli architektonicznej późnego PRL-u, czyli wyglądał jak sześcienny blok w miniaturce. Ten, który stanął na jego miejscu, przypominał zbudowany ze szkła i betonu modernistyczny bungalow. Z pewnością doskonale wkomponowałyby się w bauhausowski Tel Awiw, ale na poznańskim Junikowie wyglądał jak statek kosmiczny w polu buraków.

Budynek, podobnie jak ten stary, miał tylne drzwi w przyziemi wychodzące na dawny roboczy dziedziniec, który teraz stał się częścią garażową posesji. Otworzył je facet w ciemnym garniturze wyglądający jak ubrany do kościoła instruktor z siłowni. Ukłonił się Blaszkowskiemu, wskazując schody prowadzące na pierwszą kondygnację.

– A te szkieły to co? – zapytał rezolutnie.

– To nic – odparł Mariusz. – To moja obstawa.

Wszedł na górę do obszernego holu i stanął, rozglądając się wokół. Zupełnie nie wiedział, dokąd teraz iść, bo miał do wyboru czworo przeszklonych drzwi. Nie musiał jednak bawić się w poszukiwania gospodarza. Z drzwi po prawej wyszedł Brodziak.

– No co, Blacha, zgubiłeś się w muzeum? – zapytał, podając rękę koledze.

– Jak byłem tu ostatnio, było zdecydowanie bardziej gorąco.

– A teraz też może być gorąco, jak już pozbieramy

wszystko do kupy. Chodź do dużego pokoju. – Nie lubił tych wszystkich zagranicznych nazw. Zatrzymał się na etapie dużych pokoi w blokach i nie miał zamiaru zapraszać kogokolwiek do living roomu czy tym bardziej do salonu, bo ten kojarzył mu się z drzwiczkami na zawiasach z amerykańskich westernów.

– Musimy się streszczać, zanim Rychu nie odpłynie.

– A co z nim?

– Wpadł w ciąg.

– Ma jakiś problem?

– Problem? Nie, pije z tęsknoty. Jak jego Magda wyjeżdża na wakacje do ich domu w Portugalii, to pije nieco więcej niż zazwyczaj.

Brodziak ruszył przodem i zatrzymał się zaraz po przekroczeniu progu. Wiedział, co robi, bo większość ludzi wchodzących tu po raz pierwszy stawała w osłupieniu. Duży pokój był wielki i zajmował dwie kondygnacje. Ściana naprzeciwko drzwi była cała przeszklona, a za nią rozciągał się ogród. Nie kończyła się jednak sufitem, lecz szkło płynnie przechodziło w dach, który był również cały ze szklanych wielkich tafli. Duży pokój robił więc wrażenie szklanej oranżerii albo palmiarni, tyle że wewnątrz nie było żadnej rośliny. Wszystkie rosły tak, jak być powinno – nie w domu, ale na zewnątrz.

Ściany z prawej i lewej strony ozdobione były obrazami. Przedstawiały jakieś bohomy idealnie wpasowujące się w to nowoczesne wnętrze. Na środku pomieszczenia stała wielka kanapa obita czarną skórą,

a obok niej cztery głębokie fotele. Na jednym z nich siedział Rychu Grubiński. Na niewielkim stoliku przed nim stało kilka butelek whisky. Dostrzegłszy Blaszkowskiego, uniósł szklanę w górę.

– Dobrze cię widzieć, Blacha – zawołał.

Mariusz podszedł do niego, uścisnął mu dłoń i usiadł na kanapie. Brodziak tymczasem nalał do szklanki łyskacza. Nie wrzucił lodu. Tu podawało się czystą whisky.

– Wiesz, co to za obrazy? – zapytał gospodarz.

– Nie mam pojęcia – odparł Mariusz zgodnie z prawdą.
– Jakaś abstrakcja chyba.

– Kilku młodych polskich malarzy kupiłem, żeby mi pasowało do ścian i szyb, ale najważniejszy jest ten mały.
– Wskazał na niewielki w porównaniu do innych obraz, mniej więcej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów. Przedstawiał siatkę pól wyznaczoną przez przecinające się czarne linie, które wypełniały jaskrawe kolory. – To Strzemiński. Lubię na niego patrzeć. Mówi mi, że życie jest kruche i zawsze może być tak, że któregoś dnia nie będę patrzył na tę kratę, ale przez. I to w zupełnie innym miejscu. Rozumiesz, Blacha?

Blacha rozumiał. Gdyby podsumować i osądzić wszystkie przestępstwa, które popełnił Gruby Rychu, to musiałby siedzieć w pomieszczeniu z zakratowanym oknem jakieś trzysta lat.

– Ja właśnie w tej sprawie. Mam w aucie gościa, którego trochę za mocno przesłuchali moi ludzie i trzeba by go schować na trochę w jakimś zamkniętym pomieszczeniu.

– Da się zrobić, a o co tak w ogóle się rozchodzi?

– To jest gość, którego kumple zastrzelili dwóch policjantów. Moi ludzie trochę z nim pogadali i facet pękł. Wiemy, kto za tym wszystkim stał.

– Nasz stary kolega Bielecki – domyślił się Rychu.

– On i Galaś.

– No to dobrze, że przyjechałeś, bo ja z Bieleckim mam jeszcze rachunki nieopłacone. – Rychu zadowolony zatarł ręce. – Jeśli ten facet mówi prawdę, to umoczymy gnoja raz na zawsze...

– Pod warunkiem że zgodzi się mówić oficjalnie – Blaszkowski był ostrożny, ale Rychu już wiedział swoje.

– Jeszcze się taki nie zdarzył, co by u mnie w piwnicy nie chciał mówić. A ten już zaczął przecież sypać, no więc teraz chodzi tylko o to, żeby wszystko to powtórzył pięknie przed kamerą. Powie, co i jak, i po sprawie. A twoje szkielec niczego się nie muszą bać. Facet przyzna się, że mówi z dobrej i nieprzymuszonej woli, bo nie może żyć z ciężarem przestępstwa na sumieniu.

Godzina 14.20

Podkomisarz Kacper Piechowiak otarł chusteczką czoło, a potem rozejrzał się, szukając jakiegoś kosza. Nie było jednak śmietnika w zasięgu wzroku.

– Gdzie tu jest kosz na śmieci? – zapytał podoficera dyżurnego, który siedział za okienkiem oddzielającym

poczekalnię od pomieszczenia dla personelu jednostki. Plutonowy niewiele miał do roboty, więc żeby zabić nudę, rozwiązywał krzyżówkę, ale najwyraźniej mu nie szło, bo od kilku minut, odkąd Piechowiak wszedł na wartownię, nie wpisał ani jednego hasła. Wpatrzony w rzędy kratek marszczył czoło i co chwila liczył pionowe i poziome pola, ale ciągle mu coś nie pasowało.

– Co? – Pytanie policjanta wyrwało go z głębin procesu myślowego.

– Gdzie jest śmietnik?

– Jaki śmietnik?

– Do wyrzucania śmieci.

– Aha. Kibel z popielniczką jest na zewnątrz. Tam jak czołg stoi. – Wskazał wyjście. Piechowiak ruszył ku przeszklonym drzwiom. Pomyślał, że równie dobrze może czekać na zewnątrz na tego żandarma Podlewskiego i pewnie tam będzie znacznie przyjemniej niż w tym dusznym akwarium.

Pchnął drzwi, ale i tu uderzyła w niego fala gorącego powietrza, która, jak wyjaśniali meteorolodzy w wiadomościach, napływała wprost znad Afryki Północnej i Sahary. Byli też tacy, którzy za ten upał jesienią obarczali winą uchodźców masowo przedzierających się do Europy. Piechowiak nikogo nie oskarżał, ale gdyby mógł, natychmiast wystrzelałby po mordzie winnych zaniedbań w tej cholernej wojskowej jednostce. Gdyby wszystko odbyło się tak, jak powinno, już dawno morderca siedziałby pod kluczem, ale na razie przez tych wojskowych dyletantów sprawa rozłaziła się

w szwach. I być może rozeszłaby się tak bardzo, że w końcu i wojewódzka dałaby sobie spokój z tym śledztwem i do prokuratury poszedłby wniosek o umorzenie z powodu niezalezienia sprawcy. Jednak chyba coś wreszcie w sprawie drgnęło, bo pół godziny temu zadzwonił do niego kapitan Podlewski. Żandarm miał dość dziwny głos, mówił cicho, jakby się bał, że ktoś go usłyszy, a do tego jeszcze niczego nie chciał powiedzieć wprost.

– Musimy się spotkać w wiadomej sprawie – rzucił do słuchawki konfidencjonalnym tonem.

– A coś nowego wynikło? – zapytał Piechowiak trochę opryskliwie, bo wcale nie miał zamiaru tracić czasu na pogaduchy z żołnierzem, który już raz swoją nieudolnością zrobił, co mógł, żeby zatuszować sprawę śmierci podoficera Matejuka. Ale sposób, w jaki mówił żandarm, zaintrygował go.

– Wynikło tyle, że nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku.

– To nie takie proste. Nie wiadomo, gdzie jest początek, a gdzie koniec. I w ogóle nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi, ale z tego, co widzę, to jest w tym drugie albo i nawet trzecie dno.

– W czym są te dna?

– W całej sprawie.

– Nie może pan mówić trochę jaśniej?

– Mogę, ale to nie rozmowa na telefon. Musi pan

przyjechać tu do nas. Znaczy do centrum. Aha, i najlepiej, jakby pan był bez munduru, tylko w cywilkach, żeby nie rzucać się w oczy, bo w mundurze to zaraz będą pytania, że niby co policja tu węszy, a tak wprowadzimy pana jako gościa cywilnego.

– Wprowadzimy? Czyli kto?

– Zobacz pan. Nie będę teraz mówił o tym. Kiedy pan może do nas przyjechać?

– Za pół godziny – rzucił Piechowiak. No trudno, odłoży sprawę zastrzelonych policjantów na jakieś dwie godziny. Na pewno przez ten czas nie wydarzy się nic takiego, co wymagałoby jego koniecznej obecności. Zdecydował więc, że zaraz wsiada do auta i jedzie. Nie musiał nawet tracić czasu na przebieranki. Dziś akurat był w pracy w cywilnym ubraniu.

Czekał przed biurem przepustek, spoglądając na czołg ustawiony przed wejściem do jednostki. Przez całe dzieciństwo jak każdy chłopak w Poznaniu uwielbiał się wspinać na T-34, który był tu od zawsze i o którym wiedzieli wszyscy, że to on wygrał drugą wojnę światową z czterema pancernymi i psem na pokładzie. Stalowy kolos dla niego i dla wielu poznaniaków był jednym z ważnych symboli miasta.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i już chciał zapalić, gdy naraz usłyszał głos za swoimi plecami.

– Czy pan Piechowiak może?

Odwrócił się. Tuż za nim stał dorównujący mu wzrostem, a może i nieco przewyższający go, bo mierzący pewnie z metr dziewięćdziesiąt, dobrze zbudowany brunet

w mundurze polowym z dystynkcjami plutonowego na ramionach. Żołnierz mógł mieć około trzydziestu lat, więc sądząc po randze, jak dotąd nie zrobił oszałamiającej kariery w wojsku.

– Podkomisarz Piechowiak – poprawił go policjant.

– Plutonowy Olaf Stasiak – zameldował, stukając obcasami i przykładając dwa palce do czarnego beretu. – Tak jest, panie podkomisarzu, ale kapitan Podlewski kazał, żeby było bez stopni, znaczy się incognito.

Piechowiak uśmiechnął się pod nosem. Zabawna była ta wojskowa konspiracja, ale chyba spiskowcy musieli mieć w tym jakiś cel. Postanowił więc, że zagra w tym przedstawieniu na ich zasadach, skoro bali się własnego cienia.

– To co, panie plutonowy, stoimy czy idziemy?

– Zapraszam.

– A jeszcze tylko taka kwestia. – Spojrzał na czołg i postanowił zasięgnąć języka u fachowca. Przez całe dzieciństwo intrygowała go pewna zagadka, której nie potrafił rozwiązać żaden z jego kolegów. – Ten czołg to brał udział w drugiej wojnie czy nie, bo ludzie różnie mówią?

Podoficer spojrzał zdziwiony na policjanta, a potem na czołg.

– A cholera go wie, panie podkomisarzu. Ja na wojnie nie byłem, to nie wiem.

– No tak, jak człowiek sam nie przeżył czegoś, to wiedzy mieć nie może.

– On tu jest od zawsze, to mógł być na wojnie. Ale już się nastał i niedługo go mają zdjąć.

– Że co?

– No zdejmą go z pomnika i zastąpią innym.

– A dlaczego?

– Jak dlaczego? No przecież dlatego, że to jest ruski czołg.

– No i co, że ruski?

– No jak ruski, to w Polsce nie może stać.

– I czym mają go zastąpić.

– Chyba wstawimy tu T-72.

– A T-72 to niby nie ruski?

– No nie, bo w naszej armii jeździł.

– Ja widziałem takie nawet w akcji. Znaczą na zdjęciach w centrum Poznania.

– Tak, a gdzie?

– Na placu przed uniwersytetem.

– Jak to? Czołg nie może wjechać do miasta.

– Wtedy ich sporo wjechało. Stały pod krzyżami i na Kaponierze. Trzynastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku to było, jak wprowadzali stan wojenny.

– A to ja nie widziałem. Ja jestem osiemdziesiąty trzeci rocznik.

– No tak. Nie mógł pan widzieć tych czołgów w mieście. Ale to znaczą, że zamiast czołgu, co zdobywał Berlin, będziemy mieć pomnik tego, co zdobył Poznań. Zajęliście.

Piechowiak ruszył przodem, a za nim podążył podoficer Stasiak. Poprowadził go w kierunku jakichś warsztatów czy magazynów. Policjant był tu kilkakrotnie, ale tylko w głównych budynkach i w muzeum broni pancernej. Tym razem nikt nie proponował mu oglądania eksponatów. Weszli do parterowego budynku, który mógł być socjalno-biurowym zapleczem hali napraw. Tu w jednym z pomieszczeń czekało na niego dwóch żołnierzy. Zza biurka poderwał się chorąży w polowym mundurze. Na krześle obok siedział znany mu oficer żandarmerii kapitan Podlewski. On również podniósł się na widok policjanta.

– Cieszę się, że pan przyjechał, panie podkomisarzu – powitał go kapitan z dość poważną miną. Ten drugi pancerniak też nie wyglądał na specjalnie radosnego. – To jest chorąży Kalinowski, który zarządza warsztatem, a plutonowego Stasiaka już pan zdążył poznać.

Piechowiak uściśnął obu żołnierzom dłonie, a potem usiadł przy podłużnym stole na krześle, które wskazał mu gospodarz. Błat zavalony był papierami, teczkami z dokumentami i planami z rysunkami technicznymi jakichś detali.

– Jakby jakiś szpieg wam to ukradł, to mógłby sobie zrobić na podstawie tych planówczołg – zażartował policjant.

– Jakby to ukradł szpieg, to najpierw by umarł ze śmiechu – stwierdził chorąży. – My tu nie mamy niczego nowego, ale stary szmelc, który rozsypuje nam się w rękach, więc łątamy wszystko za pomocą drutu, sznurka i blachy.

– Czyli w razie wojny spokojnie sobie poradzimy.

– W razie wojny to nasze czołgi poradzą sobie doskonale z atakiem konnicy. Tylko że z tego, co wiemy, nikt nie chce nas najechać konno. – Plutonowy Stasiak najwyraźniej nie był przekonany do skuteczności naszych sił uderzeniowych.

– A ty, Olaf, to nie zdradzaj policji tajemnic wojskowych.

– Tajemnice? A może to celowa dezinformacja? – rzucił Stasiak.

– Tak jak w przypadku Matejuka? – Natychmiast wykorzystał okazję Piechowiak. Żołnierze spowaźnieli.

– To właśnie w tej sprawie chcieliśmy się z panem spotkać. – Kapitan Podlewski sięgnął do kieszeni swojej mundurowej bluzy i wydobył z niej notes. Otworzył go na stronie zaznaczonej gumką recepturką, spojrział na kartę i podniósł wzrok na policjanta. – Chorąży Kalinowski, plutonowy Stasiak, tu obecni, sierżant Matejuk – to ten pierwszy zabity, ranny kapral Stępień i w końcu zabity sierżant Borys Wituś. To wszystko, znaczy te nazwiska, to ludzie, którzy...

– Którzy tego feralnego dnia pili ze sobą wódkę w koszarach – domyślił się policjant. Wojskowi spojrzeli na niego zdumieni, tak jakby potrafił przepowiadać przyszłość z fusów od kawy.

– No właśnie, panie podkomisarzu. Wszyscy byli tego dnia w jednostce – potwierdził kapitan. – O wódcę to ja nic nie wiem.

– Mniejsza o to – wszedł mu w słowo Piechowiak. – Ważniejsze jest jednak to nazwisko, którego pan nie

wymienił. I jak się domyślam, dlatego tu jestem.

– Skąd pan...

– Umiejętność logicznego myślenia przydaje się w policji. Więc był jeszcze jeden człowiek, który pił tego wieczoru wódkę. Był i zniknął, a panowie nie wiecie, co macie teraz robić – popatrzył na dwóch podoficerów. –

I dlatego postanowiliście poinformować o tym kapitana Podlewskiego.

Wielkie oczy, jakie zrobili dwaj podoficerowie, świadczyły dobitnie o tym, że policjant swoim frontalnym atakiem rozbił obronę pancerniaków w drobny mak. Trzeba było jeszcze tylko wziąć ich wszystkich do niewoli.

– Nie wiemy, co o tym myśleć – rzucił chorąży Kalinowski.

– Bo jeśli Ciepela, znaczy się sierżant Ciepela, też został zabity – Stasiak zdjął z głowy beret i bezwiednie zaczął ugniatać go w dłoniach – jeśli jego też zabili, to znaczy się...

– To znaczy, że spośród wszystkich imprezowiczów żyjecie tylko wy dwaj – stwierdził policjant.

– Na to wygląda – zgodził się z nim chorąży.

– Kiedy ostatni raz widzieliście tego...

– Sierżanta sztabowego Łukasza Ciepelę. – Kapitan odczytał nazwisko ze swoich notatek.

– Ja go widziałem w poniedziałek – przypomniał sobie natychmiast plutonowy Stasiak. – Spotkałem go rano w jednostce i nawet się zdziwiłem, bo wiedziałem, że brał wolne. Mówił, że ma coś pilnego do załatwienia.

– Dzwoniliście do niego?

Chorąży pokiwał głową.

– Nie odbiera. Nie ma z nim żadnego kontaktu, jakby się zapadł pod ziemię. I dlatego się o niego boimy.

– I o siebie też chyba trochę – rzucił ze złośliwą satysfakcją Piechowiak, spoglądając z ukosa na kapitana żandarmerii, który miał swój poważny udział w rzucaniu kłód pod nogi policji. – Musimy przede wszystkim sprawdzić wszystkie miejsca, w których mógłby się zatrzymać ten wasz Ciepela, to po pierwsze. Mam nadzieję, że znajdziemy go żywego. Ale ważniejsze w tym wszystkim jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, co sprawiło, że dwaj żołnierze nie żyją, a jeden jest ranny i kto wie, co dzieje się z jeszcze jednym.

Podoficerowie nagle spuścili wzrok, wpatrując się w plamy na brudnym linoleum pokrywającym podłogę. Kapitan Podlewski znów zajrzał do swoich notatek.

– Jest coś. To, co ich wszystkich łączy, panie podkomisarzu, to jest...

– Co takiego.

– Skrzynki trotylu, a dokładnie...

– Dziesięć skrzynek trotylu – powiedział Piechowiak i wtedy zobaczył, że żandarm robi wielkie oczy. Jak kot srający w sieczkę, pomyślał policjant i mimo całej grozy sytuacji zachciało mu się śmiać. Ale trzem żołnierzom wcale nie było do śmiechu. Wyglądali na spokojnych, ale opanowanie to przecież ich zawodowa maska. Musieli umieć ją zakładać w każdej sytuacji.

– Aha, jeszcze jedno – przypomniał sobie Piechowiak.

Oczy wszystkich żołnierzy skierowały się na niego.

– Jakim samochodem jeździ Ciepiela?

Stasiak podrapał się po głowie, jakby się zastanawiał, czy odpowiedź na to pytanie może w ogóle w jakiś sposób pomóc, a może tylko zaszkodzić. Kalinowski był jednak szybszy.

– Łukasz, znaczy się sierżant Ciepiela, to jeździ taką terenową beemką...

– X5 – podpowiedział plutonowy Stasiak, który lepiej znał się na cywilnych samochodach od chorążego, dla którego najważniejsze były czołgi.

Godzina 16.45

Fiodor był w doskonałym humorze. Jechał do swoich kumpli, trochę spóźniony, bo zabalował chwilę w Poznaniu, ale wierzył, że mu wybaczą, tym bardziej że wracał z kieszenią pełną forsy. Zainkasował po dwa tysiące euro za każdą z dziewczyn i teraz wszyscy trzej byli naprawdę bogaci. Gdyby musieli tą kasą podzielić się w pięciu, byłoby trochę gorzej, ale na szczęście dwóch z nich już nie potrzebowało pieniędzy. To, że Wienia został zarżnięty jak świnia, wcale mu nie sprawiło przykrości. Ten facet był kompletnym pojebem i w sumie mu się należało. Gdyby inaczej podchodził do tych szmat, które sobie brał do łóżka, toby tak źle nie skończył. A tak, doigrał się. Zastrzelił Larysę i zaraz mu się zachciało następnej dupy, a ta cholerna Kalina poderżnęła mu gardło

i uciekła. To przez nią i przez niego zaczęły się wszystkie kłopoty. Bo gdyby ją dopadli, nie byłoby problemów i nie musieliby zwijać interesu. No ale się wszystko pochrzaśniło, bo Nikołka zamiast w tym szpitalu zadusić ją po cichu, dał się odstrzelić jak dzik podczas polowania.

A wszystko było przecież podane na tacy. Dostali cynk od znajomych policjantów z Wroniek, że ich dziwka została zawieziona do szpitala w Poznaniu i Nikołka natychmiast tam pojechał. Tyle że spartaczył robotę i jeszcze na dodatek dał się zabić. Jego mu było szkoda najbardziej, bo to porządny chłop był i zawsze na niego można było liczyć. Znali się od dziesięciu lat, jeszcze z czasów wspólnej służby w armii, a po zakończeniu wojska zaczęli ze sobą współpracować. Przed wszystkim zajmowali się sprowadzaniem aut z Polski. Biznes dobrze się kręcił, ale pieniądze, choć stałe, nie były zbyt duże. No i wtedy wpadli na pomysł przywożenia do Polski dziewczyn. Zobaczyli takie stojące na drodze gdzieś koło Lublina, zabrali jedną i wypytali o wszystko bardzo dokładnie. Opowiedziała im, jak trafiła do Polski, bo myślała, że chcą jej pomóc. Ale oni nie mieli na to najmniejszej ochoty. Usłyszeli to, co było im potrzebne, potem ją jeszcze dla rozrywki przelecieli i w końcu wyrzucili z auta. I tak ją dobrze potraktowali, bo przecież mogli jej ukreść łeb.

Dzięki dziewczynie mieli już gotowy plan. Ukradli w Polsce busa, wyrobili mu w Doniecku fałszywe papiery, bo tam to łatwa sprawa, trzeba tylko władzom odpowiednio zapłacić, i auto stało się natychmiast legalne. Potem wrzucili do sieci ogłoszenie o pracy w Polsce dla

młodych dziewczyn. Miały zostać kelnerkami, a oni za pomoc w znalezieniu roboty i transport do Polski brali od każdej niewiele, bo zaledwie po pięćset euro.

W ciągu kilku dni przyszło ponad dwieście zgłoszeń. Zaznaczyli, że przyjmują tylko cv ze zdjęciami, żeby czasami nie zgłosiła się jakaś brzydka laska. Szybko wybrali dwanaście najładniejszych. Mogli wybrać więcej, ale tylko tyle mieli miejsc w busie. Tymczasem ich trzej koledzy z wojska, którzy już byli w Polsce, wynajęli barak w lesie na odludziu i można było działać. Pierwszy transport przyjechał pół roku temu. Dziewczyny szybko zostały przyuczone do zawodu i zaczęły zarabiać na drodze. Pracowały trzy miesiące, a potem wszystkie zostały sprzedane do burdeli w Poznaniu. Były już przemęczone, więc trzeba się było ich pozbyć i sprowadzić nowe. No i miesiąc temu przywieźli kolejny transport, licząc jak poprzednio na szybki, łatwy i bezpieczny zarobek. Tym bardziej że od poprzedniego razu mieli poważnych sprzymierzeńców. Dwaj policjanci z Wroniek zażądali od nich miesięcznej pensji za ochronę i możliwość swobodnego prowadzenia biznesu. Nie było wyjścia. Musieli im płacić. Ale dzięki temu zawsze wiedzieli, kiedy policja będzie prowadzić jakieś kontrole przy drogach, na których stały ich dziewczyny. To od nich też dowiedzieli się, że ich uciekinierka trafiła do szpitala w Poznaniu.

Czarne bmw 318 skręciło w lewo na skrzyżowaniu, które kończyło drogę przechodzącą przez wieś Piotrowo i w prawo wiodło w kierunku Czarnkowa, a w lewo na Wronki. Fiedia wybrał Wronki, mimo że do ich leśnej

bazy trzeba było jechać w prawo. Musiał jeszcze rozliczyć się z zaprzyjaźnionymi policjantami. Oni czekali teraz przy drodze na swoją dolę.

Kilka minut później był już na rondzie, z którego można było zjechać na most prowadzący ponad rzeką do Wroniek. Skręcił jednak w przeciwnym kierunku. Nie miał pojęcia, dokąd ta droga prowadzi i wcale go to nie obchodziło. Kilkadziesiąt metrów dalej, po lewej stronie, miał czekać radiowóz z jego policyjnymi kolegami. To tu zazwyczaj umawiali się na spotkanie w interesach.

Stojący przy drodze policjant z radarem w dłoni skierował go w stronę nadjeżdżającej beemki i zaraz wydobył zza paska biało-czerwony lizak. Machnął nim kilka razy, wskazując kierowcy miejsce na poboczu. Prowadzący auto zatrzymał samochód, wyłączył silnik i nie wysiadając, spuścił w dół szybę.

– Dzień dobry, panie kierowco, starszy sierżant Dudek Marcin. Proszę przygotować dokumenty do kontroli. Poproszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Kierowca skinął głową i sięgnął po papiery. Wydobył dowód rejestracyjny w plastikowej owijce i podał go policjantowi. Ten rzucił tylko okiem na dokument i skinął na Fiedę.

– Pan pozwoli ze mną do radiowozu.

Wyszedł z auta, zamknął drzwi i poszedł za policjantem. Ten otworzył mu tylne drzwi policyjnego opla astry i wskazał miejsce. Sam usiadł z przodu na fotelu pasażera. Gdy tylko Fieda znalazł się w środku, kierowca odwrócił się do niego.

– Masz kasę?

– A co ty, nawet dzień dobry nie powiesz? – zdziwił się.

– Nie czas, kurwa, na głupoty. Dawaj kasę i spierdalaj. Nigdy ześmy się nie widzieli i się nie znamy.

– Zaraz, zaraz, o co ci chodzi?

– Chodzi o to, że narobiliście takiego gnoju, że policja w całym województwie jest postawiona na nogi – wyjaśnił policjant Dudek

– Jak, kurwa? O co chodzi?

– Widzisz, Krzychu, ten ćwok jeszcze nic nie wie... – Starszy sierżant, uśmiechając się krzywo, spojrzął na swojego kolegę siedzącego za kierownicą. – Zrobili rozpierduchę, a on nic nie wie.

– Gadajcie, do cholery, co się dzieje?

– Dzieje się tyle – Krzychu znów się odwrócił do niego – że jest syf, rozumiesz? Syf na kółkach się zrobił... Na wasz burdel wjechała policja wojewódzka. Odbili dwie dziwki, które pewnie opowiedzą całą swoją historię...

– Chłopaków aresztowali? – domyślił się Fiodor.

– Aresztowali? Ha, ha, ha... – Dudek zaśmiał się nerwowo. – Nie aresztowali, kurwa, nikogo. Zabili ich na miejscu. Była strzelanina i już po twoich kumplach. Obaj gryzą ziemię.

– Głupie skurwysyny – mruknął pod nosem bandzior.

– Chuj z nimi – stwierdził rzeczowo Krzychu. – W każdym razie, jeśli te pizdy powiedzą, jak wyglądasz, a pewnie powiedzą, to niedługo będzie cię szukać policja

w całej Polsce. Więc lepiej żebyś spierdalał na tę swoją Ukrainę. Ale zanim spierdolisz, masz tu adres.

Podał mu niewielką karteczkę z zapisaną nazwą miejscowości, ulicą i numerem domu.

– Co to jest?

– To adres jednej policjantki. Mieszka w Dusznikach. Całkiem niedaleko stąd. U niej w domu są te twoje dwie dziwki. Musisz sobie z nimi pogadać.

Fiedia spojrział na kartkę, potem złożył ją starannie na pół i wsunął do kieszeni swojej dżinsowej kurtki.

– One znają ciebie i nas – rzucił Dudek wpatrzony w leśną drogę przed siebie. – Rozumiesz, że nie mogą nic powiedzieć.

– Jasne. – Fiedia pokiwał głową. – Jasne. Trzeba to załatwić szybko. Zrobię, co należy, ale najpierw musimy zakończyć nasze rachunki. Mam dla was kasę. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni...

Niewielki, przez niektórych uważany za damski, bo doskonale mieszczący się w torebce, lśniący srebrnym blaskiem walther naraz pojawił się w jego dłoni zamiast oczekiwanej koperty z pieniędzmi. Nim policjanci zdążyli zorientować się, co się dzieje, Fiodor przyłożył pistolet do głowy kierowcy i pociągnął za spust. Plama krwi, odłamki czaszki i fragmenty mózgu zbryzgały przednią szybę. Policjant Dudek próbował wydobyć z kabury swój pistolet, ale nie miał najmniejszej szansy, by zdążyć. Podjął złą decyzję. Gdyby otworzył drzwi auta i skoczył na pobocze, mógłby jeszcze podjąć walkę. A tak Fiedia przyłożył mu lufę walthera do policzka, uśmiechnął się jeszcze,

odslaniając swoje nierówne, pożółkłe od tytoniu zęby, i spokojnie pociągnął za spust. Podbitkę i boczną szybę auta momentalnie ozdobił krwawy ornament.

Rosjanin włożył pistolet do wewnętrznej kieszeni kurtki i wysiadł z auta. Spokojnym krokiem wrócił do beemki, odpalił silnik i zawrócił w kierunku Wroniek. Po chwili na rondzie wybrał drogę prowadzącą na Szamotuły. Miał szczęście. Od momentu, w którym wysiadł z radiowozu, do chwili, gdy dojechał do ronda, nie napotkał ani jednego auta. Nikt go nie widział.

Teraz musiał podjąć decyzję, co powinien zrobić. Mógł jechać do tej miejscowości, w której jakaś policjantka przechowywała w swoim domu dwie dziewczyny. Gdyby tam pojechał, musiałby obie zabić i do tego jeszcze pewnie tę policjantkę. Nie żeby miał jakieś skrupuły. Tych wyzbył się już bardzo dawno temu, walcząc o samego siebie, o swoje życie. Inni nie obchodzili go w najmniejszym stopniu i jeśli ktokolwiek stawał mu na drodze i mógł zagrozić jego sprawom, likwidował go. Tak jak tych dwóch durnych policjantów, którzy przestali być już potrzebni i mogli się stać zbędnym ciężarem.

Podobnie było z tymi dwoma dziwkami. Musiały zginąć, bo były jedynymi świadkami i to na dodatek świadkami w rękach policji. Były co prawda jeszcze inne dziewczyny. Ale o nie mógł być spokojny. Żadna z nich nie wyjdzie z burdelu i nie będzie przeciw niemu zeznawać. Do nich policja nigdy nie dotrze. Trzeba więc było rozwiązać problem tych dwóch ukrytych przez policjantkę w jedyny możliwy sposób. Zostanie jeszcze

tylko ta Kalina. Pojedzie więc do tego szpitala... Trochę go niepokoił fakt, że zniknęła ta głupia cipa Wiera, ta, którą upatrzył sobie na samym początku i przeleciał już pierwszego wieczoru. Nawet mu się podobała ta laska, więc robił to jeszcze wiele razy. Ale nie był tak głupi jak ten dureń Wienia, żeby brać ją do siebie na noc i traktować jak własną dziewczynę. Jednak skoro zniknęła, to znaczy, że albo nie żyje, albo zasyła się gdzieś i jeszcze długo nie wystawi nosa ze swojej kryjówki.

Zadzwoił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił ten, który organizował aukcje z dziewczynami. Facet, który załatwiał im wszystkie ważne sprawy w Polsce. Mieli się dziś spotkać w obozie, żeby obgadać szczegóły kolejnego transportu.

Auto zwolniło, by po chwili zjechać na pobocze.

– Co się dzieje? – zapytał.

– A niby co ma się dziać?

– Byłem w obozie. Nikogo tam nie ma. Wygląda, jakby przeszedł tamtędy huragan.

– Była policja. Z Poznania przyjechali. Dwóch naszych rozwalili na miejscu i zabrali dziwki.

– Kurwa! Widziały mnie... One mogą gadać!

– Wiem, gdzie są. Jedna policjantka ma je u siebie w domu. Tu niedaleko, w Dusznikach.

– Masz adres?

– Mam.

– Wyślij mi.

– Pojedziesz tam?

– Ktoś musi posprzątać w tym burdelu. Odezwę się, jak będzie po sprawie.

Rozmówca się rozłączył.

Zadowolony Fiedia schował telefon. Wiedział bowiem, że ten kłopot ma zdjęty z głowy. Jego znajomy zajmie się uciekinierkami. A on mógł już spokojnie pojechać do leśnej kryjówki. Skoro doszło do strzelaniny i chłopcy zostali zabici, to dziś nie ma tam już psa z kulawą nogą. Mógł więc bezpiecznie zabrać swoje rzeczy. Był przekonany, że policja nie znalazła ich skrytki, w której trzymali pieniądze, broń i paszporty.

Dziesięć minut później bmw zatrzymało się na leśnej drodze. Zatoczyło szerokie koło wokół obozu duktami, które na pierwszy rzut oka wydawały się niezbyt przejezdne. Ale oni już dawno, gdy znaleźli to miejsce, wyznaczyli awaryjny podjazd do bazy. Teraz ta droga mu się przydała.

Wysiadł z auta i ruszył w kierunku baraku. Po chwili miał go przed sobą jak na dłoni. Przez dobrych pięć minut stał ukryty za drzewami, uważnie obserwując cały teren. Nic, najmniejszego ruchu. Na pewno nie było tam nikogo. Na wszelki jednak wypadek odbezpieczony pistolet włożył z tyłu za pasek spodni. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Barak miał pootwierane wszystkie okna, tak jakby ktoś zafundował mu gruntowne wietrzenie. Drzwi też były otwarte na oścież. Nie miał zamiaru wchodzić. Nie spodziewał się tam niczego ciekawego. Jego celem była szopa.

Wszedł do środka i rozejrzał się na wszelki wypadek,

ale nic nie wzbudziło jego niepokoju. Chwycił stary szpadel, który stał oparty o drewnianą ścianę, i ruszył pewnym krokiem w kierunku przeciwległego narożnika. Skrytkę wykopali dość płytko, jakieś pół metra pod klepiskiem. Wsadzili tam zwyczajną drewnianą skrzynkę. Zakryli ją kilkoma deskami, przysypali niezbyt grubą warstwą ziemi, którą starannie udeptali i przykryli resztkami starej słomy. Podszedł w to miejsce. Było nienaruszone.

Wbił szpadel w ziemię i kilkoma zdecydowanymi ruchami odrzucił ziemię. Gdy ukazały się deski, uklękł na skraju wykopu. W skrzynce było kilka foliowych reklamówek. W jednej przechowywali pieniądze, w innej dokumenty, a w kolejnych pistolety i amunicję. Był też worek z białym proszkiem. Nie używał narkotyków, ale prochy zawsze się mogły przydać. Zaczął po kolei wszystko wyciągać. Gdy pochylił się, by wydobyć ostatni worek, usłyszał, a może raczej wyczuł za sobą jakiś ruch. Nie dał jednak niczego poznać po sobie. Nadal tkwił pochylony nad otworem, błyskawicznie analizując sytuację. Spokojnie da sobie radę z glinami, nawet jakby było ich tu z pięciu...

– *Медленно вставай и поднимай руки вверх!*²⁰ – odezwał się ktoś po rosyjsku.

– *Кто ты и что хочешь?*²¹ – zapytał bardziej zdziwiony niż przestraszony.

– *Я хочу тебя*²² – odpowiedział głoś.

Rozdział IX

Czwartek
17 września 2015
Godzina 6.35

Nie było mu zimno. Mimo to jego ciałem co chwila wstrząsały dreszcze. Bolały go ramiona i nadgarstki, a do tego jeszcze coraz bardziej czuł ból idący od nóg. Gdy ocknął się, okazało się, że ktoś go przywiązał do szerokiej belki, przytwierdzając do niej rozłożone ręce grubym sznurem.

Związali mnie jak Chrystusa, pomyślał przestraszony. Na szczęście nikt nie wbił mi gwoździ w ręce.

Nogi miał związane w kostkach, ale nie przytroczono ich do żadnej belki. Nie wisiał, ale stał na własnych stopach. Nie był to więc krzyż. Na tę myśl odetchnął nieco z ulgą, bo oznaczało to, że nie dostał się w ręce jakiegoś psychopaty z amerykańskiego filmu grozy.

Poruszał głową, bo poczuł swędzenie na nosie, ale nic to nie dało. No może tyle, że zaczęła świerzbić go potylica, czyli miejsce, w które musiał oberwać. Wczoraj, gdy opróżniał schowek, był przekonany, że wszystkie sprawy związane z tym obozem są już zamknięte i nie będzie miał czym się przejmować. Przechowywane tam pieniądze

zamierzał przeznaczyć na rozwinięcie kolejnego przemysłowego interesu, ale już w innej części Polski, a może w ogóle nie tutaj, lecz w jakimś innym kraju. Słyszał, że ludzie przedsiębiorczy, którzy nie boją się ryzyka, mogą próbować swoich sił w Turcji. To wielki kraj, gdzie przyjeżdżają liczni turyści, więc branża rozrywkowa kwitnie. Potrzebne są świeże, młode dziewczyny, które można sprowadzać ze Wschodu.

Zaczęło robić się coraz jaśniej, więc wreszcie mógł się rozejrzeć. Belka, do której ktoś go przywiązał, była jednym z elementów konstrukcji drewnianej stodoły. Wielkie podpory podtrzymujące dach szły od ziemi w górę pod ostrym kątem, a poprzeczne łączyły te główne z belkami osadzonymi w ścianie. Nigdy dotąd nie widział takiej konstrukcji z bliska i pewnie nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie fakt, że jego ręce zostały przytwierdzone do pierwszej poprzecznej belki łączącej tę pochyłą i pionową. Próżno było marzyć o tym, że mimo swojej siły wyrwie tę belkę z rusztowania. Sznury, którymi został skrupowany, też były porządne, więc nie miał co liczyć, że któryś się sam rozwiąże. Wszystko to oznaczało, że jest zdany na łaskę tego, który go schwytał, walnął w łeb tak mocno, że stracił natychmiast przytomność, a teraz obudził się jako jego jeniec.

Musiał zastanowić się, kto go pojmał i dlaczego. Policję można było od razu wykluczyć. Policjanci założyliby mu kajdanki i zawieźli do aresztu. Naraz Fiodor przypomniał sobie ten wczorajszy, dość krótki i niewiele wyjaśniający dialog. Zapytał tego człowieka, kim jest i czego od niego

chce, a on mu odpowiedział po rosyjsku. Czyli ten ktoś, kto go zaatakował, był Rosjaninem. Nie miał jak dotąd żadnego zatargu ze swoimi rodakami. Nie licząc tego ze wschodniej Polski, kiedy wypożyczyli sobie dziewczynę po to, by ją wypytać o szczegóły przydrożnego interesu.

No ale przecież to było tak dawno temu, że nikt już o tym nie pamiętał. Żaden zdrowo myślący człowiek nie ścigałby drugiego za dwadzieścia euro, bo taka była tam cena za usługę. No może nawet jakby policzyli wypożyczenie tej panienki na całą noc i chcieli z pięćset euro, to przecież nie była to kwota, za jaką waliło się człowieka w łeb i wiązało na golasa do belki w stodole.

Pozostało czekać, aż ten, który go uwięził, przyjdzie i powie jak człowiek: „Słuchaj bracie, wziąłem cię przez pomyłkę. Wypuszczę i jeszcze wódki się napijemy na zgodę”. Albo powie inaczej: „Zabrałem cię tu, bo wiedziałem, że masz pieniądze. Te, co tam znalazłem, już sobie wziąłem. Masz jeszcze jakieś inne, to dawaj i po kłopotcie. Puszczę cię, jak zapłacisz, i idź sobie w diabły, bo na nic nie jesteś mi potrzebny...”.

Naraz przez głowę Fiedii przeleciała myśl, którą początkowo przegonił w cholerę. Uporczywa i natrętna jak komar, który w nocy, gdy człowiek zasypia w najlepsze, zaczyna odzywać się tuż nad uchem i za nic nie da zasnąć, dopóki nie weźmie się w rękę gazety i nie rozgniecie robaka na ścianie. No i dograłeś się, złociutki, dograłeś. Teraz się wreszcie z tobą rozprawiam, jak się należy, za to, co źeś zrobił tym dziewczynom, które źeś dręczył i zmuszał do obsługiwania klientów przy drodze.

Ale jak to? Kto by się tam za te bladzie mścił? Przecież

specjalnie wybierali takie, które pochodziły z biednych rodzin, żeby od razu wyeliminować niebezpieczeństwo, że ktoś się o nie upomni. Zresztą, co się im takiego stało, że się trochę przy drodze wystają. Nauczyły się roboty, a że nie zarobiły pieniędzy? Tak wyszło. Ludzie nieraz i po pół roku pracują w fabrykach, w których im nie płacą, i jakoś żyją. A te raptem kilka tygodni powstały, ale życia się nauczyły i twardsze będą.

Jednak Nadię żeś zastrzelił jak psa. Kto wie, może to ojciec Nadii przyjechał i on ci teraz łeb odstrzeli? Nie trzeba było jej zabijać, ale żeś jest głupi jak but, toś nie wytrzymał i musiałeś ją kropnąć.

Wypadki każdemu się zdarzają. Ale gdzie ten ojciec by go znalazł? Nie, to niemożliwe. Fiedia walczył z natrętną myślą i bliski był już wygranej, bo argumenty jej były żadne, a on na argumenty potrafił walczyć jak mało kto.

– Nie pierdol mi tu, suko jedna, bo gównu wiesz o życiu – powiedział w końcu na głos i naraz poczuł ulgę. Wyrzuty sumienia nie przestraszą takiego chłopaka jak on.

Gdzieś na zewnątrz zaczął szczekać pies. Nie szczekał agresywnie, jak to psy mają w zwyczaju, gdy poczują kogoś obcego przechodzącego przy płocie. Odzywał się radośnie, jakby wyczuł albo zobaczył nadchodzącego właściciela. I rzeczywiście ktoś był za ścianą. Fiodor usłyszał, jak zdejmuje stalowy łańcuch i upuszcza go na coś twardego, chyba betonową posadzkę. Potem słychać było szczęk jakichś narzędzi i w końcu głos.

– No co, Szarik, powiesz. No chodź, dostaniesz jeść, piesku. Chodź, Szarik, tutaj...

Wysłuchiwał się w ten głos zdumiony. Ten człowiek mówił po polsku, a tymczasem ten, który go załatwił, mówił po rosyjsku. Czy to znaczy, że było ich dwóch? A może więcej? Cała banda polsko-ruska, która może chce przejąć ich interesy na miejscu... Jego ciekawość została zaspokojona pięć minut później, gdy drzwi od stodoły się otworzyły i do środka wpadł ostry snop słonecznego światła. Wraz z tą poświatą wszedł szczupły, ale żylasty i dobrze zbudowany mężczyzna w zielonej koszulce wojskowego typu i w wojskowych spodniach moro. Tylko buty miał zwyczajne. Białe trampki adidasa pasowały jednak do każdego stroju.

Podszedł do swojego jeńca, zachowując na wszelki wypadek bezpieczny dystans trzech metrów, ujął się pod boki i zaczął mu się pilnie przypatrywać.

– Czego się gapisz? – warknął Fiodor po rosyjsku.

– Patrzę, jak wygląda żywy trup – odpowiedział facet płynnym rosyjskim i dzięki temu sprytnie Fiedia dowiedział się, że facet umie mówić w dwóch językach, w odróżnieniu od niego, który polskiego za cholerę nie mógł się dobrze nauczyć.

– Jeszcze żyję.

– Już niewiele ci zostało.

– O co ci chodzi, człowieku? O pieniądze? No przecież musiałeś wszystko sobie zabrać z tej skrytki. Masz całą naszą kasę. Ale jak chcesz więcej, musisz mnie rozwiązać. Pokażę ci jeszcze jedną skrytkę, ale jeśli mnie wypuścisz. Tam jest pięćdziesiąt tysięcy euro i dziesięć tysięcy dolarów. – Kłamał jak z nut, licząc, że te zawrotne kwoty

oszołomią faceta i połakomi się na pieniądze. A jak już to zrobi, to on mu pokaże, jak się załatwia takich pętaków. Na żywca wyrwie mu serce i zje na jego oczach. I jeszcze tego jego skomlącego psa też załatwi...

– Twoje pieniądze możesz sobie zabrać ze sobą do grobu. Nie potrzebuję ich. Może zresztą ktoś inny będzie ich potrzebował. Ty już na pewno nie. Nic ci już nie będzie potrzebne.

– Czyś ty zwariował, człowieku? O co ci chodzi. Przecież nawet się nie znamy. Nie mam nic do ciebie. Puść mnie i się rozejdźmy w pokoju. Pójdę sobie i nigdy tu nie wrócę. Zresztą po co miałbym wracać? Tylko mnie wypuść.

Mężczyzna pokręcił głową, jakby usłyszał właśnie jakąś niewiarygodną bzdurę.

– No dobrze, muszę ci wszystko wyjaśnić.

– Nareszcie, bo już się niecierpliwiłem.

– Niepotrzebnie, to nie potrwa długo. Tylko kilka godzin i będzie po sprawie.

– Jakiej sprawie?

– Po tobie.

– Ale dlaczego?

– Ano dlatego, że jesteś łajdak i zwyczajna swołocz. Takie szmaty jak ty powinno się zabijać zaraz po urodzeniu, bo każdy twój oddech to obraza dla porządnych ludzi.

– Mów jaśniej. – Fiedia nie lubił takich zawiłości.

– Ty jesteś, Fiodor, jeden z pięciu gnoi, którzy

przywozili do Polski dziewczyny z Rosji, Ukrainy i Mołdawii, proponując im tu zarobek, a potem zawoziliście je do obozu w lesie, gwałciliście i zmuszaliście do pracy przy drodze.

– No to już przynajmniej coś wiem – ucieszył się Fiodor. – Jesteś gliną, co próbuje wymusić na mnie w nielegalny sposób zeznania. Nic z tego, gościu. Pierdol się.

– Jesteś pewny siebie, Fiedia, co? Ale zaraz ci tę pewność z mordy zdejmujemy.

Sięgnął za pasek spodni i wyciągnął z kabury duży bojowy nóż. Fiodor spojrzał na niego i poczuł, że robi mu się zimno. Znał ten typ noża, którym z łatwością można było poderznąć gardło wrogowi. Posługiwali się nimi żołnierze z jednostek specjalnych. On też był takim żołnierzem.

– Co chcesz zrobić? – zapytał, patrząc na nóż.

Uzbrojony mężczyzna zatrzymał się. Spojrzał na idealnie wyostrzony metal, a potem podniósł spojrzenie w górę.

– Nie będę cię trzymał w niepewności, choć ty na pewno nie powiedziałbyś nikomu, co zamierzasz. I tym się różnimy. Ja jestem normalnym człowiekiem, a ty pojebem, który na dodatek jest sadystą i zbrodniarzem. No więc powiem ci, że zamierzam cię zabić. Ale zanim to zrobię, chcę, żebyś poczuł, że umierasz. Tak jak te dziewczyny, które gwałciłeś, czuły to, co im robisz.

– Co te pizdy czuły? Tylko przyjemność, jak się je ruchało.

– Jesteś jednak głupim bydlakiem, Fiodor...

– Co chcesz zrobić, gnoju?! – krzyknął więzień i naraz zrozumiał, o co chodzi temu szczupłemu facetowi z nożem. Fiedia znał ten numer stosowany wobec jeńców. Tych, którzy byli niepotrzebni, rozstrzeliwało się na miejscu, ale ci, którzy coś wiedzieli, czyli oficerowie, byli załatwiani w inny sposób. Nie było potrzeby pilnowania takich ludzi, bo nie mieli najmniejszej szansy uciec.

Naraz Fiodor spojrzął przed siebie. W drzwiach od stodoły stała Wiera. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczyma, ale nie widać w nich było ani odrobiny litości.

– Wiera, Wieroczka, powiedz mu, żeby mnie wypuścił. Powiedz mu, że pozwoliłem ci uciec. Przecież nie pobiegłem za tobą tam w lesie. To dzięki mnie uciekłaś... Auu! – zawył jak ranione zwierzę, gdy poczuł pierwsze cięcie. Drugie nastąpiło zaraz po pierwszym, więc nawet nie zdążył przerwać tego krzyku. Nogi się pod nim ugięły i całe ciało zawisło na powiązanych rękach. Dwa szybkie cięcia ostrym jak brzytwa nożem wystarczyły, by przeciąć mu ścięgna w obu nogach. Krew wolnym strumieniem zaczęła spływać po łydkach, a Fiedia zrozumiał, że nigdy już nie zobaczy słońca ani nie napije się wódki. A wszystko to przez tę cholerną sukę, która stała na wprost niego i patrzyła bez najmniejszych emocji. Tak jak się patrzy na muchę, która zaplątała się w pajęczynę i brzęczy.

Godzina 8.30

– Jak tam się czuje Marcinkowski? – zapytał pełniący obowiązki naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego inspektor Barszczak.

– Normalnie, jak każdy, kogo by niesłusznie posądzono o coś paskudnego, czego nigdy by nie zrobił, bo brzydzi się czymś takim – odparł Blaszkowski, obrzucając swojego nowego przełożonego niechętnym spojrzeniem. Gruby Barszczak ledwie mieścił się w fotelu Freda. Dawne biurko, za którym siedział jeszcze za czasów milicyjnych pułkownik Żyto, też wyglądało przy tym grubasie jak mebel z pokoju dzieciennego.

– No, ja nie wiem...

– Czego pan nie wie?

– Jak coś napisali w gazetach, to chyba coś tam prawdy musi być, nie?

Blaszkowski spojrzał na Barszczaka z politowaniem. Nie dość, że wredny, to jeszcze głupi szef im się trafił w wydziale, pomyślał.

– Właśnie po to piszą takie artykuły. Obrzucają błotem, którego już nigdy się nie da zmyć, bo są niestety ludzie łatwowierni, którzy uwierzą we wszystko, co jest napisane w gazetach.

– No nie, we wszystko to ja nie wierzę. – Barszczak zrozumiał, że Blaszkowski uderza w niego. – Ale tu w gazecie dzisiaj nawet cytują raport, w którym informator donosi do SB o tym, co dzieje się w wydziale. Znaczy się, działo się za czasów milicji.

– Ja wiem, co się działo w wydziale w tamtych czasach.

– Tak, a skąd niby? – Naczelnik natychmiast się zainteresował.

– Stąd, że tu wtedy pracowałem. Od osiemdziesiątego piątego roku byłem w wydziale.

– Coś takiego. – Barszczak uśmiechnął się zadowolony i zatarł dłonie z radości. Nie lada gratka mu się trafiła. Może ten pupilek Marcinkowskiego też donosił na ludzi? Inspektor znał dobrze system wzajemnych donosów z tamtych czasów. Sam w końcu przyszedł do milicji w osiemdziesiątym roku. Co prawda pracował przez wiele lat na posterunku kolejowym w Skierniewicach i nie miał nigdy wiedzy o tym, jakie stosunki panowały w dochodzeniówce, ale mógł sobie to spokojnie wyobrazić. Do tego wydziału trafiali albo najlepsi milicjanci, albo tacy, którzy byli tam wpychani przez SB. Może więc Marcinkowski został skierowany przez bezpieczeństwo? A jeśli Marcinkowski, to Blaszkowski pewnie też.

– W osiemdziesiątym piątym, a pan rocznikowo to niby który rocznik jest?

– Sześćdziesiąty czwarty – rzucił Mariusz.

– To znaczy się, że do wydziału pan trafił w wieku dwudziestu jeden lat. To dość wcześnie, że tak powiem.

– Wcześnie, bo powinienem być na Taborowej, ale mnie wzięli do wydziału. Dokładnie, kapitan Brodziak mnie wziął.

– Brodziak, Brodziak... Nie słyszałem. Pracuje jeszcze u nas?

– Już nie. Jest teraz współwłaścicielem banku.

– Banku? Kapitan milicji? Ciekawe, jak się milicjant dorobił, żeby mieć własny bank.

– Nie dorobił się. Do spółki wziął go jego kumpel z podwórka, Ryszard Grubiński. Były szef poznańskich cinkciarzy.

– No proszę, proszę, co tu się wyrabiało kiedyś. Milicja współpracująca z cinkciarzami i zarabiająca w bankowości, a szef wydziału oskarżony o...

– Nie jest oskarżony – przerwał mu zniecierpliwiony Mariusz. – Nasz kolega w haniebnym sposobie został oczerniony, a pan mówi o oskarżeniach?

– No, że tak powiem, trzeba by na tę sprawę spojrzeć szerzej. No i ją dogłębnie wyjaśnić. Marcinkowski musi udowodnić, że nie był informatorem, bo ktoś taki nie może stać na czele tak ważnego wydziału. Tu są potrzebne dobre kwalifikacje i nieposzlakowana opinia.

Barszczak był przekonany, że jest chodzącym ideałem. Był jednak człowiekiem mocno zaangażowanym. Uczestniczył we wszystkich uroczystościach, w których potrzebny był udział policji, takich jak otwarcie szkoły, poświęcenie drogi czy msza patriotyczna za ojczyznę. Msze lubił szczególnie, bo tam, w odróżnieniu od tych wszystkich przecięt wstęgi, można było w spokoju posiedzieć przez godzinę i do tego jeszcze pośpiewać. A śpiew lubił tak bardzo, że myślał nawet o tym, czy by się nie zapisać do chóru, który działa w komendzie. Ale jego kumpel i przełożony zabronił mu kategorycznie, twierdząc, że wyżsi oficerowie mają się zajmować robotą, a nie występami na scenie. A jeśli chce być artystą, to niech się w domu zajmie robieniem na drutach albo

wyszywaniem makatek, a nie śpiewaniem w chórze z policjantkami.

Inspektor wierzył też, że ma odpowiednie kwalifikacje do bycia naczelnikiem wydziału. Lata spędzone w komisariacie kolejowym były według niego doskonałą szkołą życia dla funkcjonariusza, który na dworcu miał do czynienia z najróżniejszymi przestępstwami, takimi jak pobicia, kradzieże, palenie tytoniu i picie alkoholu w miejscach publicznych czy w końcu dworcowa prostytutka. Miał doświadczenie i przede wszystkim intuicję, która pozwalała mu błyskawicznie oceniać ludzi. Jak choćby teraz tego Blaszkowskiego. Niby taki elegancki przystojniaczek z grzywką zaczesaną na bok jak prymus w szkole podstawowej, nawet ma wyniki. Ale czy tak naprawdę to on jest ojcem przypisywanych mu sukcesów? Kilka spraw rozwiązanych niby ma na koncie, jak choćby ta nagłośniona przez media w całej Polsce, kiedy bandyci porwali syna biznesmena i przetrzymywali go w podziemnym bunkrze²³. On nadzorował to śledztwo i dostał nawet nagrodę pieniężną od ówczesnego komendanta. Ale przecież prawda była taka, że to ta mała ruda Aneta Nowak znalazła chłopaka. Dali jej awans i nagrodę finansową, ale to Blaszkowski referował później wynik śledztwa. I co? To jego sukces czy jej? Jakoś ten Blaszkowski nie przypadł mu do gustu. Może to jest zwyczajny karierowicz, który jedzie na plecach młodszych i zdolniejszych policjantów, do tego jeszcze z poparciem swojego dotychczasowego szefa Marcinkowskiego?

– Marcinkowski ma doskonałe kwalifikacje, doświadczenie i dotąd miał świetną opinię. Tyle że ktoś

postanowił mu ją zszargać.

– Zszargać? – zdziwił się Barszczak. – Pana zdaniem ktoś stał za tym artykułem? Bardzo ciekawe. Niby kto?

– *Is fecit, cui prodest*²⁴ – rzucił szybko Mariusz i naraz uświadomił sobie, że jednak chyba przeholował. Jediną osobą, która odniosła niewątpliwą korzyść, był ten siedzący za biurkiem facet przypominający potwora Jabbę. Grubas spojrział na Blaszkowskiego, mrużąc przy tym oczy i marszcząc brwi, jakby właśnie zachodził w jego głowie intensywny proces myślowy.

– No tak, oczywiście – przytaknął, całkowicie zgadzając się ze swoim rozmówcą. Nie miał pojęcia, co znaczy to zdanie w obcym języku wypowiedziane przez Blaszkowskiego, ale przecież nie mógł pokazać, że nie rozumie po angielsku, a może to po francusku? Skąd mógł niby wiedzieć, skoro w szkole uczył się tylko rosyjskiego, i to z mizernym skutkiem.

– To w takim razie, co w sprawie tych policjantów zabitych wiadomo już na pewno? – Na wszelki wypadek postanowił szybko przejść na bardziej bezpieczny dla siebie obszar. – Bo to dla nas w chwili obecnej, że tak powiem, ten, no, piorytet.

– Dlatego właśnie chciałem się z panem zobaczyć, bo sprawa nie wygląda dobrze. Mamy dwóch zabitych funkcjonariuszy i jednego martwego przestępcę. Drugi uciekł furgonetką, którą następnego dnia znaleźliśmy na parkingu osiedlowym na Wichrowym Wzgórzu.

– He, he, Wichrowe Wzgórze, tak jak w tym filmie, co dawali w telewizji. To tam go kręcili?

– Nie sędę. Mamy zdjęcia faceta, który przeładowuje skrzynki z furgonetki do jeepa. I chyba wiemy, co było w tych skrzynkach.

– To te zdjęcia natychmiast mi prześlijcie mailem. Muszę się temu wszystkiemu przyjrzeć. Niby tym skrzynkom i temu facetowi... A w tych skrzynkach to niby co było?

– Najprawdopodobniej trotyl. Trotyl, który zniknął z wojskowych zapasów na poligonie w Biedrusku.

– Jak trotyl im zginął?

– Żołnierze nie mogą się doliczyć dziesięciu skrzynek. Wyparowały. Ale to jeszcze nie koniec tej wojskowej historii. Dwóch podoficerów, którzy z tym trotylem mieli do czynienia, zostało zabitych, a jeden zaginął. Wygląda to naprawdę poważnie. Aż boję się o tym mówić głośno.

– Czyli że co? – Barszczak jeszcze nie dostrzegł powagi sytuacji.

– Nie wiem, ale może ktoś przygotowuje jakiś zamach? Naczelnik zrobił wielkie oczy.

– Jaki zamach?

– Terrorystyczny. No bo po co komu tyle trotylu?

– I gdzie niby ten ktoś miałby to zdetonować?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– No to trzeba się dowiedzieć. Dziesięć skrzynek to by można wysadzić Pałac Kultury w Warszawie.

– Może i tak. Nie znam się na ładunkach wybuchowych i nie wiem, co by można wysadzić.

– Uchodźcy! – Barszczak uderzył pięścią w blat biurka.
– To robota uchodźców, tych, co idą przez Węgry do nas i zalewają całą Europę. Mają mapki z naszym krajem. I chcą tu narobić zamieszania. A jak będzie zamieszanie, to ich jeszcze więcej tu przyjdzie. A oni roznoszą różne choroby i pasożyty mają. To ich robota. Trzeba szukać wśród uchodźców.

– Ale u nas nie ma uchodźców. Jeszcze żeśmy nikogo nie przyjęli.

– Nielegalnie mogli przyjść...

– Ale gdzie mam znaleźć uchodźców?

Barszczak naraz zamilkł. Zastanawiał się, jak rozwiązać tę niezwykle trudną kwestię i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Dworce kolejowe! Trzeba szukać na dworcach. Uchodźcy mogą tu przyjeżdżać pociągami. Może pan w tej sprawie brać wszystko, co jest potrzebne. Wszelkie siły i środki. To musi być najpierwszy piorytet. Żeby później nie było, że jak coś wybuchnie, to że my żeśmy przespali sprawę. Bo my nic nie prześpimy, nawet nie zasypimy gruszek w popiole. Ale najlepiej to żeby znaleźć tego faceta ze zdjęć i zabrać mu ten trotyl. Jak się jego odbierze, to nie będzie kłopotu, bo bez trotylu żadnego zamachu nie będzie.

Blaszkowski pokiwał głową. Nie było w zasadzie o czym rozmawiać. Musiał tylko jeszcze załatwić jedną kwestię, bo w tej Barszczak dawał mu najwyraźniej wolną rękę.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– No. – Naczelnik pokiwał głową ze zrozumieniem. Teraz, gdy już wyłożył swoje stanowisko, poczuł, że jest mu lepiej, i w związku z tym może temu Blaszkowskiemu pozwolić na jeszcze jakieś pytania, które jak się domyślał, mają uszczegółwić jego polecenia.

– Aneta Nowak jest oddelegowana od nas do śledztwa w sprawie zabójstwa prostytutki przy drodze z Wronek do Szamotuł, koło miejscowości Nowy Kraków.

– O, to ja wiem gdzie, bo ja tam na grzyby nieraz jeżdżę z małżonką. Znaczący, jak mam czas, a teraz to z tym gorzej będzie niestety. No ale my tu gadu-gadu, a ja zaraz mam spotkanie z księdzem kapelanem. Ważne sprawy musimy omówić. – Spojrzał na zegarek, dając Blaszkowskiemu do zrozumienia, że powinien już sobie iść. Sprawa jakiejś prostytutki niewiele go interesowała. Nie miała nic wspólnego z dworcami kolejowymi. No chyba że to prostytutka dworcowa.

– Aneta dostała informację od uwolnionych przez nią kobiet, które były więzione w okolicach Puszczy Noteckiej...

– No właśnie, tam w puszczy to najlepsze grzyby. Jak dobrze popada i jest ciepło, to można kosą zbierać.

– Dostała informację, że sześć kobiet zostało sprzedanych do domów publicznych w Poznaniu.

– I co w związku z tym?

– Aneta sprawdzi informacje o tych domach publicznych i jeśli się potwierdzą, trzeba by było tam wejść.

– Dobrze, dobrze, niech sprawdzi wszystko i wchodzi,

tylko w porozumieniu z prokuratorem. Nic na pałę. Żeby się potem nikt nie czepiał. Najpierw prokurator, a potem niech wchodzą. Jasne?

Mariusz podniósł się z krzesła i już chciał ruszyć do drzwi, ale Barszczak przywołał go jeszcze, kiwając ręką.

– Dworce, niech pan pamięta, dworce! Na dworcach jest prawdziwe życie.

Godzina 9.40

Teofil Olkiewicz wszedł do swojej pijalni i od razu ruszył w kierunku baru. Dziś dyżur miała tu studentka prawa Eliza. W knajpie Olkiewicza pracowała kilka razy w miesiącu, najczęściej przed południem. Wieczory poświęcała na naukę i sport. A i w ciągu dnia, jak tylko było w knajpie trochę luźniej, od razu brała się za książki. Olkiewicz nie mógł zrozumieć, po co ta dziewczyna tyle czyta. Przecież nie musiała zmieścić w głowie wszystkich kodeksów. On znał wielu prawników, przede wszystkim prokuratorów, i nigdy nie widział, żeby któryś z nich cokolwiek czytał prócz gazety. Przecież te kodeksy są po to, żeby znaleźć odpowiedni paragraf, a nie uczyć się ich na pamięć.

– Ale żeby znaleźć, trzeba najpierw wiedzieć, gdzie szukać, panie Teofilu – odpowiadała Eliza, próbując rozwiązać wątpliwości Olkiewicza. Nie rozwiązała. Teofil w ogóle nie lubił czytać czegokolwiek, a już uczenie się

przekraczało całkowicie jego wyobrażenie o ludzkich zdolnościach. W szkole prześlizgiwał się z klasy do klasy tylko dlatego, że był sprytny i potrafił perfekcyjnie ściągać podczas sprawdzianów i zrzynać zadania domowe. Za to w szkole milicyjnej w Pile nie musiał już się niczego uczyć. Wykuł tylko cztery cytaty z pism zebranych Włodzimierza Iljicza Lenina i sprytnie wykorzystywał je podczas egzaminów. Szczególnie dwa były jak wytrychy otwierające serca wszystkich wykładowców. Gdy dostał pytanie dotyczące stosowania w pracy funkcjonariusza przymusu bezpośredniego, odpowiadał, że te kwestie rozwinął już wódz rewolucji bolszewickiej, twierdząc, że: „Nasz kodeks moralny jest absolutnie nowy. Nam wszystko wolno, ponieważ jako pierwsi na świecie wyciągamy miecz nie w celu zniewolenia, lecz w imię wolności i wyzwolenia spod ucisku”. Ale ten drugi cytat był jeszcze lepszy, bo stanowił doskonałą wymówkę w każdej sytuacji, szczególnie w przypadku braku jakiegokolwiek wiedzy. „Tylko ten nie popełnia błędów, kto nic nie robi”, mówił Teofil i wykładowca stawał się wówczas kompletnie bezradny. Przecież nie mógł polemizować z samym Leninem.

Gdyby to były inne czasy, powiedziała by tej Elizie, jak się zdaje egzaminy. Ale niestety dzisiaj nikt już nie uważał Lenina za autorytet. Choć to powiedzenie o błędach i nicnierobieniu było ciągle w użyciu. Teoś słyszał je nieraz w telewizji z ust polityków i to nawet takich, którzy na samo wspomnienie wodza rewolucji wpadali w antykomunistyczny amok.

– A co tam, pani Elizko, dzisiaj? – zagadnął, podchodząc do barmanki, która popijała poranną kawę. Naprzeciwko niej przy bufecie usiadła ruda dziewczyna ubrana w strój motocyklowy. Teoś bał się motocykli i za nic w świecie nie wsiadłby na takiego ryczącego potwora, więc na tę drobną kobietę spojrzął z prawdziwym szacunkiem.

– To moja koleżanka. Też studiuje prawo. – Wskazała na Anetę.

– Jak w sprawie pracy, to nic z tego. Mam komplet. No chyba że się co zwolni, ale moi studenci jakoś nie chcą odchodzić.

– Jak kto dobrze płaci, to po co szukać gdzie indziej? – Eliza pracowała tu już pół roku i była bardzo zadowolona, bo zarobki były niezłe, a do tego jeszcze grafik układali sobie sami. Olkiewicz w to się nie wtrącał, bo jak mówił, więcej by w tym grafiku narobił bałaganu niż porządku. Niech sobie młodzi sami układają, jak chcą, byleby tylko zawsze ktoś był w robocie. No i jakoś się kręcił ten wódczany biznes, a jego właściciel zajmował się tym, co lubił najbardziej, czyli popijaniem wódeczki w ograniczonych ilościach.

– Ale Aneta nie w sprawie pracy.

– Na pogaduchy też można, czemu nie. Se może siedzieć i cały dzień, jak jej się chce. My frontem do klienta zawsze, a do klientek w szczególności.

Ruda dziewczyna spojrzała na Olkiewicza i uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy równych białych zębów.

– Słyszałam, panie Teofilu, dużo o panu. Same ciekawe rzeczy.

– Że niby jak? – Popatrzył na nią lekko zaniepokojony. Po rozmowie z tym młodym dziennikarzyną postanowił być ostrożniejszy w kontaktach z ludźmi. Bo jak się okazuje, nic nie jest takie proste, jakby się mogło zdawać, a dziennikarz, który powinien szukać prawdy, może się okazać zwykłą gnidą.

– A pani to niby z gazety jakiej czy jak?

– Nie z gazety. Z firmy.

– Z firmy? – Teraz dopiero zaczął jej się uważnie przyglądać

– Tej, Aneta, z jakiej ty firmy jesteś? – zapytała trochę zdziwiona Eliza. Owszem znały się ze studiów, ale nie były bliskimi koleżankami. Rozmawiały kilka razy i zawsze w większej grupie osób, więc niewiele o sobie wiedziały. Dlatego Eliza najpierw zdziwiła się na widok koleżanki. Na szczęście pamiętała jej imię, ale nie miała pojęcia, gdzie pracuje. Przez chwilę więc mogły ze sobą poplotkować, ale wspólnych tematów nie było za wiele. Ile można obgadywać wykładowców?

Więc gdy skończyły się wspólne wątki, Aneta zapytała o właściciela knajpy. Eliza opowiedziała jej o starym Olkiewiczu, który pilnował interesów, załatwiał zaopatrzenie, codziennie skrupulatnie rozliczał kasę i przez cały dzień sączył wódkę zmieszaną z wodą.

– W sumie fajny gość z niego, bo się nie czepia pracowników i daje zarobić, a w napiwki w ogóle się nie wtrąca – mówiła o nim, bo była przekonana, że Aneta

szuka jakiejś roboty, a ona pomyślała, że fajnie by było mieć koleżankę w pracy. Ale Aneta wyjaśniła, że musi się spotkać z szefem w sprawach firmowych i on będzie wiedział, o co chodzi. No skoro firmowych, to barmanka zrozumiała, w czym rzecz. Aneta była dystrybutorką jakiegoś alkoholu i pewnie przyszła sprzedać mu kilkadziesiąt litrów wódki albo może łyśkacza. Tyle że teraz, gdy usłyszała o firmie, doszła do wniosku, że chodzi o coś innego. O coś, co zainteresowało natychmiast pana Teofila.

– Z pokoju 114 – sprecyzowała Aneta. Olkiewicz usłyszawszy to, uśmiechnął się uradowany, ale Eliza kompletnie nic nie rozumiała.

– A z którego biurka? – zapytał Teoś.

– Po prawej, zaraz przy wejściu.

– To moje. A to pod oknem?

– A taki nowy tam siedzi.

– A trzecie?

– Puste.

– O czym wy w ogóle gadacie? To jakiś szyfr?

– No, Elizka, nie widzisz, że koleżanka z firmy przyszła w odwiedziny? Już wszystko se przypomniałem. Pani jest ta Aneta. – Pamiętał, że mówił mu o niej Blaszkowski. A wczoraj w jej sprawie zadzwonił do niego i poprosił, żeby jej wysłuchał i pomógł. Kompletnie wyleciało mu to z głowy. Aneta chciała z nim pogadać o jakiejś ważnej sprawie i potrzebowała jego pomocy. A wiadomo, że nic tak nie cieszy starego szkieła, jak szansa, którą daje mu los, by choć przez chwilę mógł znowu poczuć się jak

gliniarz.

Aneta pokiwała głową. Widać Blaszkowski wszystko już Olkiewiczowi wytłumaczył. Teraz trzeba było tylko przejść do szczegółów.

– To niech pani idzie ze mną na zaplecze... – Wskazał drzwi za barem. – A ty, Elizka, zrób nam coś do picia.

– Dla pana herbatka czy coś na wzmocnienie? – zapytała jak co dzień. Najczęściej rano prosił o herbatę, ale dziś potrzebował czegoś mocniejszego.

– Z wodą pół na pół, a dla mojej koleżanki z firmy co będzie?

– Ja jeszcze mam kawę. – Wskazała na filiżankę stojącą na blacie baru.

– No to daj pani soku czy coś tam i podaj do mnie do biura. No to zapraszam do siebie.

Ruszył przodem, żeby wskazać drogę. Do biura szło się niedługim korytarzykiem, z którego dostać się można było też do magazynu z alkoholami. Ten był zamknięty na klucz i otwierany tylko wtedy, gdy osoba stojąca za barem złożyła szefowi odpowiednie zapotrzebowanie. Ale teraz nikt jeszcze nie opróżniał butelek, bo pora była za wczesna. Pierwszą wódkę barmanka naląła dziś dla szefa. Przygotowując rozwodnionego drinka, cały czas zastanawiała się, o co może chodzić z tą firmą i pokojem 114, i jakoś nic nie przychodziło jej do głowy.

– Więc trafiła pani do mojego pokoju. – Zadowolony Teofil rozsiadł się w wygodnym fotelu. Drugi zajęła Aneta.

– Blaszkowski mi przydzielił miejsce.

– Dobry z niego chłopak wyrósł. – Teofil momentalnie przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, chyba w osiemdziesiątym piątym... – Jak przyszedł do nas, to był jeszcze zupełnie zielony. Nic nie wiedział o robocie. Alem go wziął pod swoje skrzydła i się chłopak wyuczył – stwierdził z dumą. – A panią teraz on uczy?

– Przynajmniej się stara, ale nie zawsze mu się udaje mnie przekonać.

– No tak, prawda, że kobiety mają trudniej w tej robocie. Ale niech się pani nie zraża. Blacha, jakby co, to zawsze pomoże. O właśnie, w kwestii tej pomocy to on do mnie dzwonił i powiadał, że przyjdzie pani i mam pomóc, bo niby się tam na czymś znam. No to na czym ja się niby znam tak dobrze, bo mi nie powiedział?

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Anety.

– Chodzi o domy publiczne.

– Że jak?

– Blacha, znaczy się Blaszkowski, mówił, że pan na ten temat wie wszystko, bo pan sam w takim interesie... ma znajomości. Więc ja potrzebuję informacji.

– Jakich informacji? Bo nie wszystko, co się tam wyrabia, do informacji się nadaje.

– Sześć dziewczyn sprzedano do któregoś z poznańskich burdeli. Sprzedano jak niewolnice na targu. Przyjechały do Polski ze Wschodu, żeby szukać pracy i lepszego życia, ale dostały się w łapska bandytów i oni najpierw zmusili je do prostytucji przy drodze, a jak zaczęły się problemy, postanowili zwinąć interes, a dziewczyny sprzedać. Muszę je odnaleźć.

Olkiewicz sięgnął po szklankę ze swoim leczniczym koktajlem, który przed chwilą postawiła przed nim Eliza.

– No musiałbym się popytać...

– Nie ma czasu na pytania. Trzeba jak najszybciej im pomóc. No chyba że ma pan je u siebie – rzuciła, ale zaraz pożałowała tych słów, widząc, jak zmienia się mina jej rozmówcy, a twarz staje się czerwona.

– Jak pani nie wie, to niech głupot nie gada. Ja mam taki dom-hotel, prawda, ale nie ma u mnie żadnej dziewczyny, co by pracowała pod przymusem. Ja mam spółdzielnię pracy, daję pomieszczenie i ochronę z trunkami do picia, a panie, co u mnie robią, pracują na swój rachunek i tylko mi odpalają działkę. I nie jest to żaden burdel, tylko hotel z dodatkowymi wygodami.

– Przepraszam, panie Teofilu. – Naprawdę było jej głupio. Ten facet nie wyglądał na bandziora.

– Wykonam parę telefonów i zbiorę te informacje.

– Dziękuję.

– Co mi pani dziękuje. Ja to robię, bo lubię czyste zasady. Nikt nikogo nie może do niczego przymuszać, bo to jest niegodziwe. U mnie nawet dziewczyny w barze pracują tak, jak chcą, i same se robią grafiki. Widzi pani tę Elizkę? Dziewczyna studiuje prawo, ćwiczy karate z dziećmiakami i nawet ma ten, no jak mu tam, jakiś tam czarny pasek do porów. A tu se przychodzi dorobić. Tak samo jest z tamtymi dziewczynami u mnie w hotelu. Taką se robotę wybrały i idzie o to, żeby nikt im krzywdy nie robił i były bezpieczne. No to są bezpieczne i nikt ich nigdzie nie sprzeda. A jak ktoś kupuje czy sprzedaje ludzi,

to nie człowiek, tylko świnia, za przeproszeniem świń.

Dopił wódkę do końca i wstał z fotela, dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. Aneta podała mu kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Będę czekała na informacje.

– Jak się uda, zadzwonię.

Ucisnęła mu rękę i wyszła z biura. Po drodze przystanąła przy barze. W knajpie było pusto, więc Eliza nie miała nic do roboty. Czytała książkę.

– Postępowanie karne – zauważyła Aneta.

– No, mam trochę do nadrobienia.

– Da się zdać. – Ona już dawno była po egzaminie, więc wiedziała, że przedmiot jest do przejścia. – Pytałaś o firmę.

– No. Co to za firma? Jakies ubezpieczenia czy co?

– Firma to policja. Pracuję w policji, a twój szef też tam pracował przez lata.

– Pan Teoś? Powaga?

– I dlatego warto z nim od czasu do czasu pogadać.

– To muszę to wykorzystać. Kiedyś myślałam, żeby pójść do policji.

– I czemu nie poszłaś?

– Nie wiem, jakoś się nie poskładało. Ale musimy pogadać przy okazji. Powiesz mi, co i jak z tą policją?

– Pewnie. Prawniczki z czarnym pasem są u nas w cenie. Trzymaj się, Elizka.

Aneta chwyciła kask, który położyła wcześniej na

stoliku, i wyszła z knajpy odprowadzana czujnym okiem barmanki. Jak takie małe laski przyjmują do policji, to mnie by przyjęli bez gadania, pomyślała mistrzyni karate i zaraz wróciła do lektury nudnego jak flaki z olejem *Kodeksu Postępowania Karnego*.

Godzina 11.10

Narada odbywała się w kuchni Marcinkowskiego. Fred rozłożył na stole kilkadziesiąt zdjęć, na których główne role odgrywało dwoje młodych ludzi. Chłopak i dziewczyna świętowali jakąś uroczystość w knajpie. Jednak to nie oni byli tu najważniejsi. O wiele ciekawsze zdawało się to, co widać było za ich plecami.

– A to skurwysyn pierdolony – rzucił Brodziak, wpatrując się w fotografie.

– Że niby kto, Bielecki? – Rychu Grubiński wzruszył ramionami. Od dawna wiedział, że to krętacz i kanalia i że najlepiej od tego człowieka trzymać się z daleka. Dlatego naprawdę odetchnął pełną piersią, gdy ich drogi biznesowe się rozeszły. W dziewięćdziesiątym drugim roku Rychu odkrył, że z jego banku wychodzą tajemnicze przelewy. Trop prowadził do Bieleckiego, który był wówczas wiceprezesem. Rychu musiał go przyjąć do spółki w osiemdziesiątym dziewiątym roku, bo to był warunek esbeka. Inaczej nawet nie miał co marzyć o otrzymaniu koncesji na działalność. Owszem, mógł już legalnie handlować walutami, bo właśnie weszło w życie prawo

zezwalające na dotychczas zakazany obrót dolarami i markami. Dlatego Rychu natychmiast otworzył w Poznaniu i na granicy polsko-niemieckiej sieć kantorów. Jednak jako człowiek działający z rozmachem nie zamierzał poprzestać na skupowaniu i sprzedawaniu dolców, tak jak to robił przez ostatnich dwadzieścia lat. On chciał stać się prawdziwym bankierem. Ale do tego potrzebne mu były układy. Te zapewnił mu Bielecki. Esbek szukał właśnie dla siebie miejsca, w którym mógłby bezpiecznie wylądować po latach pracy w resorcie. Do tego nadawał się idealnie bank Grubińskiego. Obaj musieli więc utworzyć spółkę, w której Rychu jako człowiek wnoszący w interes pieniądze był głównym udziałowcem. Udziały miała jeszcze pewna znajoma Grubińskiego Magda, która wkrótce uzyskała też poważne udziały w Rychu łóżku i domu, a szybko przejęła na całkowitą własność jego serce. Do spółki wszedł także Brodziak, który początkowo nawet nie wiedział, że stał się posiadaczem pokaźnej części bankowego majątku. Rychu musiał przyznać, że esbek potrafił poruszać się po ministerialnych korytarzach i w perfekcyjny sposób wykorzystywać swoje znajomości albo uzyskiwać pożądaną efekt, posługując się groźbą i szantażem. W ten oto sposób jeden z pierwszych banków prywatnych w odradzającej się Polsce stworzył były cinkciarz do spółki z byłym esbekiem.

Jednak mimo początkowych sukcesów współpraca zaczęła dość szybko szwankować. Rychu chciał zarabiać pieniądze, a Bielecki wolał je wydawać. I można by to jeszcze zrozumieć, gdyby wydawał je, inwestując w firmy czy nieruchomości. On jednak jak prawdziwy esbek, który

musi cały czas robić różne machlojki, wolał po cichu wyprowadzać fundusze na szemrane cele.

Początkowo Rychu to akceptował, bo Bielecki wyjaśnił mu, że muszą płacić pewnym ludziom za przychyłość i opiekę, by bank mógł spokojnie działać. Jednak szybko okazało się, że przelewów autoryzowanych przez Bieleckiego wychodzi coraz więcej.

Wreszcie mleko się rozlało, gdy w ręce Grubińskiego wpadł przelew na kilkaset milionów złotych przeznaczony dla Związku Odrodzonych Patriotów Polskich, o którym zupełnie przypadkowo Rychu wiedział, że to jakaś kanapowa partyjka kompletnych oszołomów. Przedstawiciel tej partii przyszedł kiedyś do Rycha z prośbą o pożyczkę. Zapytany, co zamierza przeznaczyć pod zastaw, stwierdził, że może mu zaoferować potężne latyfundia ziemskie na Krymie, które natychmiast bank będzie mógł przejąć, jak tylko polskie wojska odbiją półwysep.

– Co to, kurwa, jest? – Grubiński wpadł do gabinetu swojego wspólnika z przelewem w ręce. Rzucił mu papier na biurko, sapiąc ciężko ze zdenerwowania.

– To jest przelew – stwierdził ze spokojem Bielecki, uśmiechając się pod nosem.

– Tyle to ja wiem. Tylko czemu masz zamiar wysłać taką kasę tym pojebom, co chcą odbić Krym?

– Bo oni są prawdziwymi patriotami, którzy nam się przydadzą.

– Niby jak?

– Ano tak, że takie oszołomstwo jest zdolne

aktywizować innych oszołomów. A ci wszyscy, którym płacimy, będą saczyć oszołomski jad w głowy innych idiotów. A nasze zadanie to w odpowiednim momencie dać takim ludziom prawdziwego wodza.

– Który powiedzie ich na Wschód?

– Nie, takiego, który powiedzie nas do parlamentu. Bo władza leży na ulicy i trzeba się tylko po nią schylić. Ale to proces trwający całe lata. Należy być konsekwentnym, podsycać płomień nienawiści i spokojnie czekać, aż ludzie dojrzeją do tego, by wreszcie mieć prawdziwego przywódcę.

– Nie po to obalali komunę, żeby im był potrzebny towarzysz sekretarz.

– Ty, Rychu, w ogóle nie znasz się na ludziach. Oni potrzebują silnych rządów, żeby im ktoś mówił, co mają robić, bo inaczej czują się zagubieni i osamotnieni. Na razie zachłystują się tą wolnością, ale jeszcze trochę i im przejdzie. Jak się zmęczą już tymi wszystkimi kłótniami polityków, wtedy damy im silnego człowieka, Nikodema Dyzmę naszych czasów.

Rychu wiedział, kim jest Dyzma, bo oglądał serial z Romanem Wilhelmim w roli głównej. Nie sądził jednak, by ktoś taki jak ten Dyzma mógł się dorwać dziś do władzy. Nie ta epoka.

Wiedział natomiast jedno. W tych politycznych kombinacjach Bieleckiego nie miał zamiaru uczestniczyć. Pół roku później zmusił esbeka do rezygnacji ze stanowiska w zarządzie spółki. Spłacił go bardzo hojnie, wierząc, że lepiej, gdy ten zabierze ze sobą pełną kieszeń

pieniędzy i wyjdzie z banku zadowolony, niż miałby knuć przeciwko Rychowi, mszcząc się za swoją krzywdę. Bielecki widać nauczył się myślenia bankowego, bo szybko założył swój SKOT, czyli Spółdzielczą Kasę Oszczędnościowo-Transferową.

Grubiński chwycił fotografię i przysunął ją bliżej oczu. Znow nie miał ze sobą okularów, więc chwilę musiał wpatrywać się w zdjęcie, nim spojrzał pytająco na Marcinkowskiego.

– A ten to co za jeden?

– No jak, co za jeden? Nie znasz tego przydupasa Bieleckiego, Galasia? Mówiło się o nim, że to młody, dobrze zapowiadający się czekista.

Rychu pokręcił głową.

– Galasia znam. Też pracował w moim banku razem z Bieleckim. Był jego sekretarzem czy jakoś tak. Nic nie robił i brał grube pieniądze, pierdolony. Rozchodzi mi się o tego tu. – Wskazał na grubego gościa siedzącego przy restauracyjnym stole naprzeciw Bieleckiego.

– To jest facet, który nazywa się Barszczak. Jest policjantem. A teraz jest nawet pełniącym obowiązki szefa dochodzeniówki.

– Czyli gość, który wskoczył na twoje miejsce. – Brodziak uważnie patrzył na twarz policjanta w cywilu i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że skądś go zna. – I ten, który zastąpił ciebie po tym, jak zostałeś umoczony w to esbeckie gówno, ma kontakty z oberesbkiem Bieleckim. Czyżby to był przypadek?

Marcinkowski uśmiechnął się krzywo, tak jak się śmieją ludzie, gdy wcale im niewesoło.

– Nie ma przypadków. Patrzcie na te zdjęcia.

Wydobył z białej koperty następne fotografie i położył je na stół.

Blazkowski, który właśnie wrócił z toalety, bo swoim zwyczajem, gdy wchodził do domu, zawsze musiał starannie umyć dłonie, spojrzał na zdjęcie, wpychając głowę między Brodziaka a Grubińskiego.

– Ten Barszczak wygląda jak Jabba, nie sądzicie? – stwierdził Mariusz.

– No to już wiem, skąd znam tego typu – ucieszył się Mirek. – Z *Gwiezdnych wojen* go znam.

– Z jakich wojen? – zdziwił się Rychu, który nie chodził do kina od czasu, gdy za młodych lat jakiś facet chciał mu tam zrobić krzywdę. Rychu uciekł, a potem poczekał aż z Wildy, bo tam odbywał się seans, będą wychodzić ludzie. Ten, który dobierał się do niego, wychodził jako jeden z ostatnich. Rozpoznał go natychmiast po białej marynarce w czarne prążki.

Zawołał gościa, a ten na widok chłopaka natychmiast przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł za nim w bramę. I to był jego błąd. Tam od razu dostał deską w łeb, a jak już padał na bruk, otrzymał jeszcze kilka silnych ciosów. W ramach powetowania strat moralnych Rychu zabrał mu portfel i marynarkę, która szczęśliwie niezbyt mocno poplamiona była krwią. Grubiński wyszedł więc z tej opresji zwycięsko, ale do kina przestał chodzić. Nie mógł zatem wiedzieć, kim był Jabba w *Gwiezdnych wojnach*. Za

to doskonale zdawał sobie sprawę, co można podawać sobie w restauracji w zaklejonej kopercie.

– Bielecki mu odpala działkę. Na sto procent w tej kopercie jest kasa – stwierdził ekspert od pieniędzy.

– Ciekawe, za co mu płaci? – Zaintrygowany Blaszkowski pochylił się nad fotografią, by uważnie przyjrzeć się wszystkim szczegółom. – Za małe, żeby stwierdzić definitywnie – powiedział policjant.

– A z nagraniami nie będzie lepiej? – Fred Marcinkowski podszedł do szuflady w kuchni i wydobyl z niej niewielkie przezroczyste pudełeczko, w którym była karta pamięci. Wyjął ją i włożył do laptopa, który stał na kuchennym stole. Oczy wszystkich skierowały się na ekran, jakby spodziewali się, że zaraz zobaczą jakiś interesujący film. Zobaczyli interface programu do obróbki dźwięku i zapis nagrania przypominający ostre poszarpane góry i doliny.

– O zaraz, to będzie gdzieś od ósmej minuty. – Fred chwycił myszkę i przesunął strzałkę kursora, a potem kliknął. Z głośników popłynął nadzwyczaj czysty dźwięk: *Święte słowa, panie inspektorze.*

– To ten jebaniec Bielecki – rozpoznał głos Rychu.

– ...*pan wie, idzie nowe i po wyborach będą potrzebni ludzie, dla których prócz fachowości istotna jest kwestia zasad i wartości. Imponderabilia przede wszystkim!*

– Co to są te impondera... – Bankier nie znał tego słowa. Zresztą podobnie jak rozmówca Bieleckiego.

– Imponderabilia to są... – Blaszkowski chciał wytłumaczyć Rychowi, ale uciszył go Fred.

– Teraz słuchajcie. To jest dobre.

– *Imponujące... jak z niektórymi ludźmi łatwo się porozumieć. Ważne, żeby żadne zasługi nie były pomijane. Więc mój bank ufundował stypendium dla policyjnych wdów i sierot po funkcjonariuszach, którzy oddali życie dla kraju na służbie. Pan najlepiej wie, jak te skromne środki zagospodarować. To zaledwie sto tysięcy złotych, ale to dopiero początek.*

– *Na te, no, wdowy każdy grosz się przyda, he, he, he!*

– To jest Jabba – Od razu rozpoznał głos Barszczaka Blaszkowski.

– *A co się tyczy materiałów... Materiały na maila, panie szanowny. Tylko na maila!*

– Skurwysyn wziął sto tysięcy łapówki. – Nie mógł uwierzyć Mirek Brodziak. – To jest normalny samobójca w policyjnym mundurze. Ciekawe, co za materiały mu wysyła?

– Widać czuje się pewnie – stwierdził Fred, wyłączając nagranie. – Jakie, to jeszcze nie wiemy, ale to tylko kwestia czasu. Wygląda to tak, jakby Barszczak był jego informatorem w policji. Taką esbecką wtyką. Nie miał porządnej wtyki u nas w wydziale w latach osiemdziesiątych, no to teraz ma samego szefa.

– Pełniącego obowiązki szefa, szefie – stwierdził Mariusz.

– A czy w tym lokalu jest coś do picia? – zapytał Rychu, siadając wreszcie do stołu.

– No właśnie, w gardle mi zaschło od tych emocji – stwierdził Brodziak.

Marcinkowski podszedł do kuchennej szafy i wyciągnął z niej butelkę whisky i cztery szklanki. Podszedł do stołu, nalał alkohol i poprzesuwał szklanki w kierunku trzech mężczyzn. Usiadł na taborecie i nie wznosząc żadnego toastu, upił odrobinę.

– Nikt z was nie zapytał, skąd mam te fotki i nagrania.

– Nikt tu nie jest głupi. – Brodziak chwycił swoją szklankę. – Generał ma własne sposoby i tyle.

– Słusznie. – Fred skinął głową. Z tymi ludźmi rozumiał się w pół słowa i nie trzeba było tracić czasu na zbędne wyjaśnienia. – No to podsumujmy, z czym mamy do czynienia. Zacznijmy od początku, czyli afery w policji. Redaktor Kociak dostaje od kogoś autentyczne raporty do SB. My wiemy, że ich autorem był Teoś Olkiewicz, ale gazeta przypisuje to mnie. Dzięki Mirkowi i Rychowi dowiadujemy się, że redaktor pisał paszkwile na zlecenie Bieleckiego. Mamy więc pierwszą sprawę sterowaną przez byłego esbeka. Teraz druga, która rozgrywa się w tym samym czasie. W wojsku ginie trotyl, zabity zostaje facet, który odpowiada za ładunki, a po jakimś czasie drugi gość, który był jego najbliższym współpracownikiem, też dostaje kulę w głowę. Wojsko robi wszystko, by sprawę rozvodnić, żeby nikt nie zarzucił im, że mają burdel u siebie. To pierwszy wątek związany z trotylem... Teraz drugi dotyczy cynku, który dostali policjanci z miejskiej o podejrzanych ruchach w hurtowni na Górczynie. Obserwacja przynosi niespodziewany efekt: podejrzane skrzynki ładowane do furgonetki, dwaj zabici policjanci i jeden nieżywy bandzior. Pusta furgonetka znajduje się na drugi dzień. Natomiast dwaj policjanci, kumple zabitych,

mają w swoich rękach ciecia z hurtowni...

W korytarzu prowadzącym do drzwi wejściowych rozległy się jakieś dźwięki. Ktoś wchodził do mieszkania. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Piechowiak, który przyjechał tu z Blaszkowskim, został na dole, żeby pogadać przez telefon. Teraz dołączył do zebranych. Skinął głową, stając w drzwiach, a Marcinkowski machnął na niego ręką, wskazując butelkę i szklankę. Nie trzeba było go specjalnie zachęcać. Podszedł do stołu i nalał sobie whisky. Fred tymczasem wrócił do podsumowania.

– Gościa z hurtowni zgarnęli dwaj policjanci, jak oni się nazywają?

– Jaworski i Pytel – odpowiedział Blaszkowski.

– No właśnie. Zgarnęli go, żeby wyciągnąć informacje. Potwierdzają to Mirek i Rychu, którzy zaopiekowali się tym poturbowanym gościem. Mam nadzieję, że jeszcze żyje... – Marcinkowski spojrzał na Rycha, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– A co, mieliśmy go sprzątnąć? Żyje i odpoczywa w luksusowych warunkach jak prawdziwa gwiazda filmowa po wyczerpującym nagraniu. Trzy godziny występował przed kamerą i pięknie mówił o Galasiu i o życiu.

Fred pokiwał głową, wyobraziwszy sobie luksusy panujące w piwnicy Rycha. Zaraz wrócił jednak do przerwane wątku.

– Zeznania tego człowieka kierują nas wprost do gościa z naszych fotografii i taśmy, czyli pana Bieleckiego. Jeśli więc założymy, że zielone skrzynki, które pakowano

w hurtowni do furgonetki, to te same skrzynie, które zginęły żołnierzom, to możemy pokusić się o twierdzenie, że za wszystkim stoi Bielecki.

– Tylko jaki on miałby w tym wszystkim cel? – zapytał Mariusz. – Po cholere mu te skrzynie, ten cały trotyl?

– Trotyl służy do wysadzania w powietrze różnych rzeczy – stwierdził Rychu, nalewając sobie kolejną szklankę.

– Ten stróż, którego przesłuchiwali nasi nadgorliwi policjanci, mówił, że ten facet, który odbierał towar, miał na imię Andrzej, ale nazwiska nie znał. Znał go ten drugi, znaczy się Ciepela. Więc ten Andrzej miał zabrać tylko jedną skrzynkę, ale uparł się, że zabierze cały towar – przypomniał sobie Blaszkowski. – I mówił jeszcze, że ten ochroniarz Ciepela nawet nie chciał mu wydać całego towaru i dzwonił w tej sprawie do Galasia, ale ten nie odbierał, i dlatego Ciepela wsiadł z nim do furgonetki...

– Jaki, kurwa, Ciepela? – naraz wszedł mu w słowo Piechowiak.

– Ciepela to ten zabity ochroniarz z kałasznikowem, co zastrzelił naszych. Ten stróż powiedział przesłuchującym go chłopakom od Blachy, jak on się nazywał...

– To przecież ten zaginiony żołnierz od pancerniaków! Ale ze mnie kretyn – przyznał szczerze Piechowiak.

– No to już się odnalazł – stwierdził Rychu, dopijając resztkę whisky ze swojej szklanki. – Jak tak słucham tego wszystkiego, to wydaje mi się, że pierdolony Bielecki chce coś wysadzić w powietrze. A tak w ogóle Fred, to chyba łycha się skończyła – stwierdził, wskazując na pustą

butelkę.

– A po co miałby coś wysadzać? – powiedział Mariusz Blaszkowski, spoglądając na twarze kolegów.

– Ja bym raczej się zapytał – odezwał się znów Grubiński – znaczy się, Bielecki, jak go znam, to by się zapytał: „Co ja z tego wszystkiego będę mieć?”.

Godzina 12.30

– To niby jak to ma być?

– No normalnie, ja będę zadawała pytania, a pan odpowiada.

– Aha, a niby co mam odpowiadać.

– No jak się zapytam, to wtedy pan od razu będzie wiedział, co ma odpowiadać.

– Aha, no a czemu nie teraz? Bo ja to wolę wiedzieć, co mam mówić, żebym głupot nie naopowiadał.

– No jakich głupot. Przecież pan tylko prawdę będzie mówił.

– No ma się rozumieć, że prawdę. Tyle że prawda jest taka, jaką się chce ją widzieć. Ja, na ten przykład, wiem swoje, a ci, co te artykuły napisali, też wiedzą swoje. A ten młody gnojek, co to do mnie przylazł i jeszcze się pytał o milicję, to potem napisał taki artykuł, że niby myśmy w milicji bili wszystkich dookoła i nic innego nie robili, tylko wszystkich lali. To co to za prawda, jak on nawet nie wiedział, co to jest KW? A pani wie niby, co to jest KW

i KW? – spytał uważnie, wpatrując się w twarz drobnej brunetki trzymającej w ręce mikrofon. Ten mikrofon wydawał się większy od niej. I jak taka mała dziewczynka może w ogóle utrzymać taki tłuczek podczas nagrywania tych wywiadów? – zastanawiał się, patrząc na nią w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Komenda wojewódzka i komitet wojewódzki. MO i PZPR. W Poznaniu komenda przy Kochanowskiego, a komitet przy Kościuszki.

Olkiewicz zrobił wielkie oczy. Dziewczyna, choć młoda, rzeczywiście coś niecoś wiedziała o sprawach, które dotyczyły go osobiście.

– A tak w ogóle to gdzie to nagranie mamy robić? – Rozejrzał się, ale nie znalazł w zasięgu wzroku niczego, co mogłoby się nadawać na dekorację do programu telewizyjnego. Jakieś drzewa, krzaki, alejka parkowa i dwie ławeczki. Na prawo od nich płot ogradzający park, tak nowoczesny, że wykonawca wbił w ziemię tylko pionowe sztachety, a zapomniał dołożyć jakichś poprzeczek albo choćby siatki metalowej, takiej jak się grodzi ogródki działkowe. Teofil nieraz dziwił się, patrząc na ten wytwór oryginalnej myśli ludzkiej. Zwykły człowiek, taki jak Olkiewicz, wiedział dobrze, że jeśli się coś ogradza, to po to, żeby ktoś przez to ogrodzenie za łatwo nie przelazł, a jeśli każdy może przejść swobodnie, to płot jest do bani. Tutaj tymczasem psy z całej okolicy przełaziły między słupkami i srały w najlepsze na trawnik. A z drugiej strony widać było solidne budynki Starego Browaru. Tam Teofil nie chciałby niczego nagrywać, bo za dużo wokół ludzi, a on nie wyobrażał sobie, żeby

nagrywano go z publicznością w tle. Najchętniej to w ogóle by się nie dał nagrać, no ale obiecał już to Mirasowi i Rychowi. Zresztą był to winien Fredowi Marcinkowskiemu, który od początku wiedział, że Teoś przyszedł do wydziału dochodzeniowo-śledczego z SB pod pewnymi warunkami.

Dziewczyna rozejrzała się.

– Może na którejś z tych ławek? – Wskazała za siebie.

– A jak ktoś na ten przykład się dosiadzie, jak będziemy już gadać?

– A czemu by się ktoś miał dosiadać?

– Bo ludzie się na ławkach w parku dosiadają.

– No niby tak, ale jak widzą kamerę i że się nagrywa, to raczej omijają to miejsce szerokim łukiem.

Teoś nie miał wyjścia, musiał dać się nagrać. Nawet jakby się przysiadło z pięciu facetów. W końcu nic złego nie zrobił, więc przyznanie się przed kamerą, że się pracowało w SB, jeszcze nikomu ujmy nie przyniosło i nikt z tego powodu w demokratycznym kraju nie będzie mu chyba odbierał emerytury. Co tam, można gadać, byle szybciej.

– No to niech będzie ta ławka.

– No to może pan usiądzie i poczeka chwilkę, a ja pójde po operatora, żeby się rozstawił z kamerą.

Teofil wzruszył ramionami. Niech robią, co chcą. Poczuł, że strasznie mu się chce pić, ale na szczęście przewidział taką możliwość. W trudnych sytuacjach często musiał nawilżać gardło.

Podszedł do ławeczki, usiadł na niej, najpierw dokładnie sprawdziwszy, czy ptaki jej zanadto nie osrały, i rozsiadłszy się wygodnie, sięgnął po butelkę coli. Nie był to jednak zwykły słodki napój, ale specjalnie spreparowana cola zmieszana pół na pół z czystą wódką. A, zaszalał trochę dzisiaj. Zawsze pił rozrabianą z wodą, a dzisiaj rozrobił z tym słodkim paskudztwem. Nie żeby ten napój dla dzieci jakoś szczególnie go pociągał. Pomieszał wódkę z tym brązowym ulepkiem, żeby nikt nie zorientował się, że popija alkohol. Trochę mu głupio było tak zwyczajnie pić przy ludziach, więc się postanowił zamaskować.

Odkręcił korek, pociągnął solidny łyk i schował flaszkę do kieszeni marynarki. Od razu poczuł się lepiej. Spojrzał przed siebie. Dziennikarka zgrabnie prześlizgnęła się przez płot ze sztachetami bez poprzeczek i podeszła do niebieskiego auta telewizji. Zapukała w szybę i zaraz ze środka wyszedł kierowca. Przez chwilę pogadali, a ona wskazała na ławkę, na której siedział Teofil. Nie, nie tylko Teofil. Jeszcze ktoś na niej siedział. Olkiewicz dopiero po chwili zorientował się, że nie jest sam. Po lewej, na skraju, przysiadł jakiś znacznie młodszy facet. Olkiewicz spojrzał na niego i naraz poczuł dreszcze przebiegające mu po plecach. To wcale nie był jakiś miejscowy troll, który szukał towarzystwa do wypicia jabola. Ten facet chyba nigdy nie wypił słodkiego owocowego wina. Teofil nie był pewny, czy ten tu siedzący obok szczupły szatyn w ogóle wypił cokolwiek w swoim życiu. Tacy jak on goście, których natychmiast można by odziać w mundur i posłać na zbiórkę esesmanów, nie pili alkoholu i nie palili papierosów. Oni upajali się dręczeniem innych ludzi. Ten

akurat dręczył go regularnie co kilka lat. Ostatnim razem dość dawno, bo w dziewięćdziesiątym ósmym chciał mu sprzedać jakiś lewy alkohol w ilości, której bar Teofila nie byłby w stanie przerobić przez najbliższe dwieście lat. Po transakcji została tylko próbna beczka, której Olkiewicz nawet nie otworzył, bojąc się, że może jeszcze przypadkiem wybuchnąć albo, nie daj Boże, pozbawić wzroku wszystkich jego klientów.

– Czego chcesz? Nie mam teraz czasu – rzucił Teofil niechętnym tonem.

– Tak to witasz kolegę po latach?

– Nie mam czasu na ksiuty ani ty nie masz ochoty na przepierzenie bez sensu. Masz interes, to gadaj.

Były kapitan Galaś uśmiechnął się niewyraźnie, a potem sięgnął do kieszeni swojej lekkiej lnianej marynarki.

– Masz, przeczytaj to. – Podał mu grubą kopertę.

Teofil wziął ją do ręki i położył obok siebie na ławce.

– Dlaczego nie czytasz? – zapytał były esbek.

– Bo bez okularów to se mogę co najwyżej w nosie podłubać. Nic nie przeczytam, bo nic nie widzę.

Galaś zabrał kopertę i wydobył z niej poźółkłą kartkę papieru kancelaryjnego w linie, na którym ktoś napisał coś równym i starannym pismem.

– Przeczytam ci początek... O, tu jest... „W chwili obecnej porucznik Alfred Marcinkowski (ur. w Poznaniu 1 października 1955 roku) sprawuje funkcję zastępcy kierownika wydziału dochodzeniowo-śledczego WUSW

w Poznaniu. Porucznik Marcinkowski należy do tych funkcjonariuszy, którzy sprawdzili się w chwilach największej próby i czynnie poparli wprowadzenie stanu wojennego, a także nieczynnie, ale głośno i wyraźnie niejednokrotnie opowiadali się za przywróceniem porządku i ładu i szybką rozprawą ze środowiskami eksternistycznymi i innymi opłacanymi przez imperialistycznych podżegaczy wojennych i innych. Sam byłem świadkiem, jak dnia 16 kwietnia bieżącego roku w pokoju, w którym jest jego biurko i porucznika Brodziaka, porucznik Marcinkowski powiedział Brodziakowi Mirosławowi, że wreszcie on sam skończy z tym burdelem, idąc za przykładem generała Jaruzelskiego. I po tym chociażby, co wtedy powiedział, to widać, że on jest za generałem Jaruzelskim i porządkami w kraju ustanowionymi przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Na co podporucznik Brodziak jemu odpowiedział, że on ma całkowitą rację, z burdelem trzeba skończyć i on mu w tym może całkowicie dopomóc, bo też jest za tym, żeby był porządek. Porucznik Alfred Marcinkowski jest funkcjonariuszem zdyscyplinowanym i gorliwie wypełniającym rozkazy przełożonych i sumiennie podchodzącym do obowiązków służbowych. Może być przykładem dla młodszych kolegów, którzy powinni się na nim wzorować, bo on sobie nic nie lekceważy i wszystkie szczegóły każe sprawdzać po dziesięć razy, tak że nawet niektórzy podwładni mówią, że jest za bardzo sumienny, ale w końcu to i tak wychodzi na jego, bo w tych szczegółach nieraz daje się coś znaleźć, więc nie ma o czym gadać. Alkoholu nie pije nigdy w pracy, a po pracy tylko nieraz, jak na przykład na balu

sylwestrowym, i jest nieprawdą, że się tam upił i trzeba go było wyprowadzać, bo to on wyprowadzał kolegę Brodziaka, który zasłabnął z przemęczenia i przepracowania...”

Galaś, przeczytawszy fragment raportu, włożył go na powrót do koperty.

– Poznajesz to? – zapytał.

– Co niby mam poznawać? – mruknął pod nosem Teofil.

– Jak to co? To przecież twój raport i bardzo piękna charakterystyka Marcinkowskiego.

– Moja? – Olkiewicz udał zdziwienie, choć doskonale pamiętał akurat tę notatkę. Pisał ją razem z Fredem. To znaczy, on napisał, a Marcinkowski wziął ją do domu, żeby poprawić i podpisywać. Następnego dnia przyniósł mu gotowy tekst. Teofil miał tylko go przepisać na maszynie i przekazać swojemu prowadzącemu oficerowi. Ale Teoś nie lubił za bardzo pisać czymkolwiek i na czymkolwiek. Jedną kartkę tekstu wystukiwał mniej więcej w godzinę. No i dlatego machnął ręką na to przepisywanie. Wsadził pismo do koperty i zaniósł do odpowiedniej przegródki w sekretariacie.

– Twoja, ale zdaje się, że ktoś ci pomagał. To znaczy, że ten tekst pisany jest ręką Marcinkowskiego. Tak nam wychodzi z ekspertyzy grafologicznej. Tam w kopercie znajdziesz jeszcze próbki współczesnego pisma Marcinkowskiego, no i tę analizę grafologiczną. Ciekawa lektura.

– Skurwysyny.

– Co mówiłeś?

– Tak tylko gadam se do siebie.

– No to jakbyś przypadkiem gadał z Marcinkowskim, to kłaniaj mu się od pułkownika Bieleckiego. I powiedz mu jeszcze, żeby nic nie kombinował, bo to, co jest w tej kopercie, to wszystko oczywiście są kopie, bo oryginały zabezpieczyliśmy, to wszystko trafi do prasy. A wtedy wielki śledczy Marcinkowski będzie mógł sobie osobiście wykopać grób i położyć się do środka...

– Spierdalaj stąd, Galaś – warknął cicho Olkiewicz. Operator kamery właśnie przyczepiał ją do statywu. Dziennikarka ponaglała go, bo, jak wiadomo, ludziom z telewizji zawsze się śpieszy. Widać Galasiowi też musiało się śpieszyć, bo nawet się nie pożegnał. Wstał i ruszył w kierunku Starego Browaru.

Teofil spojrział na ekipę telewizyjną. W zasadzie, czy to teraz nagra, czy nie nagra, nie miało większego znaczenia. Znaczenie miało tylko jedno. Trzeba było ten papier dostarczyć Fredowi i zastanowić się, co zrobić dalej. Bo nawet, jeśli wystąpi w telewizji i wszystko weźmie na siebie, to ci gnoje i tak wrzucą tę charakterystykę do gazet, i znów będzie wielki szum. I co on miał w tej sytuacji zrobić?

Wyciągnął flaszkę i znów pociągnął łyk coli z wódką. Od razu poczuł się lepiej, a myśli zaczęły raźniej krążyć po głowie. Ekipa telewizyjna ruszyła w jego kierunku. Schował kopertę do kieszeni, spojrział jeszcze raz w stronę nadchodzącej dziennikarki i naraz szybko wskoczył w pobliskie krzaki.

Po chwili dziewczyna z mikrofonem stanęła przy ławce i zaczęła się nerwowo rozglądać. Operator tymczasem ustawił kamerę na statywie. W zasadzie było mu wszystko jedno, czy będzie nagrywał, czy nie. I tak płacili mu za dyżur, a nie za wykonaną robotę. Ale reporterka miała problem. Ona dostawała honorarium za gotową sztukę. Tyle że ta sztuka właśnie jej gdzieś zniknęła.

Godzina 14.30

Podjechała pod szpital, zeskoczyła z motocykla i postawiła go na stopce. Zdjęła kask i z nim pod pachą ruszyła do głównego wyjścia. Gdy weszła do środka, pokonała zaledwie kilka metrów i od razu go zobaczyła. Jej znajomy doktor stał przy windach i rozmawiał z jakąś pielęgniarką. Całkiem ładną pielęgniarką, zauważyła i nie wiedzieć czemu zagryzła wargę. A co ją w zasadzie obchodził ten doktor? W zasadzie to nawet go nie знаła. Trochę rozmawiali w szpitalu, potem on jeszcze zadzwonił do niej dwa, a może trzy razy, no i jeszcze pogadali na fejsie. I to było wszystko, więc nie mogła być zazdrosna o jakąś pigułę.

Dostrzegł ją i natychmiast pomachał. Pielęgniarka musiała się chyba zdziwić, bo popatrzyła na niego, a potem odwróciła się, by zobaczyć, kogo tak wita. A gdy dostrzegła Anetę, wzruszyła ramionami i sobie poszła. Ciesielczyk nawet tego nie zauważył. Zapomniał o swojej rozmówczyni i od razu ruszył w jej kierunku.

– Miło cię widzieć. – Wyciągnął rękę. Chciała ją uściskać, ale dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że nie zdjęła jeszcze rękawiczek. Trochę trwało, zanim się ich pozbyła. Miał zdecydowany męski uścisk. Ona też. Z zasady nie lubiła facetów, którzy podawali miękka dłoń bez energii i odrobiny siły.

– Na motocyklu przez miasto da się jechać o tej porze. Wszędzie korki. – Stwierdziła nie wiadomo po co.

– Ile jedziesz z Dusznik do Poznania? – zapytał swobodnym tonem.

Przez chwilę zastanawiała się, co powinna powiedzieć.

– Zasadniczo... to jeżdżę zgodnie z przepisami. Nie mam zagiętych blach.

– Rozumiem. Policjantce nie wypada, bo jakby się dała złapać, toby była poruta.

– Jakby się dała złapać. – Uśmiechnęła się lekko, a on natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. Lubiała od czasu do czasu trochę przycisnąć, ale tylko przy dobrej pogodzie, gdy warunki były sprzyjające, no i droga musiała być odpowiednia. Na tych wszystkich wojewódzkich nawet nie pomyślałaby, żeby jechać szybciej niż setką.

– Ja też jeżdżę przepisowo. Tylko niekiedy trochę podkręcę śrubę.

Popatrzyła na niego nieco łaskawszym wzrokiem. Ale z tym podkręcaniem śruby to przesadził. Powiedział jej, że ma motocykl podczas ostatniej rozmowy przez netowy komunikator. Sprawdziła galerię jego zdjęć i okazało się, że rzeczywiście ma kilka fotek na swojej maszynie. Ale nie jeździł ścigaczem, a najprawdziwszym harleyem.

Dobre i to, pomyślała. Lepiej, że rozumie, co to znaczy jazda na motocyklu, niżby miał poruszać się jakąś dacia albo skodą. Gdy już weszła na tę jego stronę, zaczęła przeglądać od razu pozostałe zdjęcia. Nie było ich dużo. Może ze dwadzieścia. Kilka z jakiegoś grilla, na którym wszyscy uczestnicy robili głupie miny i każdy miał w rękę piwo, potem były te z harleyem, to chyba podczas jakiegoś zlotu motocyklowego, bo wokół niego było sporo innych motorowych dinozaurów z brodami i łysinami. No i były jeszcze zdjęcia na wsi z koniem. I to wszystko. Facet jakby dopiero zaczął życie w necie. Nie było wcale fotografii w mundurze, z misji, a przecież mówił, że był w Afganistanie. To niespotykane, bo żołnierze zazwyczaj wrzucali na swoje strony całą masę fotek. U niego było czysto. I jeszcze jedna dziwna rzecz. Nie było zdjęć z żadną dziewczyną. Nie miał dotąd ani jednej? Niemożliwe. Wytłumaczenie było tylko takie, że usunął wszystkie. Przejrzała jeszcze raz fotki z imprez i nic nie znalazła. Żadnej laski obok niego. Wyciągnęła więc wniosek na podstawie dostępnych danych. Jej śledztwo wykazało, że musiał całkiem niedawno rozstać się ze swoją dziewczyną czy narzeczoną. I ta jego dziewczyna musiała być z nim razem na misji. Dlatego wywalił wszystko, co było przed wyjazdem do Afganistanu, i zaczął fejsowe życie dopiero od zjazdu motocyklowych trolli i imprezy grillowej. No i od konia jeszcze. Nie, ta fotka z koniem była wcześniejsza. Na pewno sprzed kilku lat. Jest tu wyraźnie młodszy. Natychmiast odezwał się w niej instynkt policyjny. Otworzyła zdjęcie i spojrzała na prawą stronę, tam gdzie są komentarze. Sprawdziła daty. Wszystkie sprzed siedmiu, ośmiu lat. Kilku znajomych

docenia urodę konia, ktoś tam pyta, czy to jego nowa dziewczyna. I naraz jest. Bingo! Jakaś Monika odpowiada temu gościowi, że nie jest zazdrosna o tę nową łaskę i nawet ją lubi.

Przyjrzała się dokładnie zdjęciu Moniki. Ładna blondynka o szerokim uśmiechu. Na pierwszy rzut oka sympatyczna dziewczyna. Już chciała kliknąć jej profil, ale coś ją powstrzymało. Uświadomiła sobie, że nie powinna wchodzić w jego przeszłość. Nie powinna w ogóle się wygłupiać i sprawdzać czegokolwiek. To było nie w porządku, jak podglądanie człowieka przebierającego się w toalecie. Poczula się nieswojo. Przecież to nie był jej facet. To zupełnie obcy człowiek, z którym pogadała tylko kilka razy...

– Masz wszystko? – Wskazał na jej plecak, gdy weszli do windy. Pokiwała głową. Była przygotowana, tak jak się umówili, a w zasadzie tak, jak ona umówiła się z nim, przedstawiając mu, co zamierza zrobić.

– Muszę ją zabrać ze szpitala – oświadczyła przez telefon dziś rano.

– Dlaczego musisz?

– Bo... – nie odpowiedziała od razu, zastanawiając się, ile może mu zdradzić. Doszła jednak do wniosku, że jeśli ma jej pomóc, musi być z nim szczerą. Dziś krótko po rozmowie z Olkiewiczem zadzwonił do niej Biernat i powiedział, że ktoś zastrzelił dwóch chłopaków z wronieckiej drogówki. Strzały z bliska, prawie z przyłożenia w głowę. Dwa trupy na miejscu. Nie mieli żadnych szans. Od razu się domyśliła, co to może znaczyć. Ostatni z bandziorów zaciera ślady. A ślady zostały

jeszcze trzy. Dwie dziewczyny u niej, całkowicie bezpieczne, bo o tym adresie nikt nie wiedział, i wystawiona na strzał Kalina leżąca w szpitalu. Musiała szybko coś zrobić. Blacha nie odbierał telefonu, Marcinkowski nie mógł jej w żaden sposób pomóc, a z Barszczakiem nie miała zamiaru w ogóle gadać.

– Ktoś zabił pod Wronkami dwóch policjantów.

– O kurcze. Kiepsko. Boisz się o nią?

Nieźle, od razu pojął, w czym rzecz, pomyślała z uznaniem. Niczego nie musiała mu tłumaczyć.

– Kiedy chcesz ją zabrać?

– Od razu.

– Przynieś dla niej jakieś rzeczy. Od majtek po sweter. I buty jeszcze...

Pojechała do Martyny. Miała zapasowy klucz, więc nie było problemu z dostaniem się do mieszkania. Przez telefon wytłumaczyła przyjaciółce, o co chodzi. Ta powiedziała tylko: „Jasne. Bierz, co potrzebujesz” i przerwała rozmowę. I jak jej nie kochać. Już dawno to zauważyła, że z Martyną rozumiały się bez słów... Cholera, jak z tym lekarzem?

– Mam spodnie, T-shirt, trampki, no i oczywiście bieliznę.

– Chcesz ją zabrać na motocyklu?

– No raczej... – rzuciła i zaraz zrozumiała, o co pytał. Nie miała żadnej kurtki i oczywiście kasku też nie miała. W ogóle o tym nie pomyślała.

– Poczekaj chwilę – powiedział, gdy wyszli z windy.

Nie zdążyła zareagować, bo natychmiast ją zostawił i dokądś sobie poszedł. Wrócił trzy minuty później. W ręce miał kask i przewieszoną przez ramię skórzaną kurtkę.

– A ty jak wrócisz do domu? – zapytała, patrząc na te rzeczy.

– Zostawię Pierdka na parkingu i pojadę autobusem.

– Kogo zostawisz?

– Pierdek to moja maszyna. Tak się nazywa.

Nieprawdopodobne. Jak można tak nazwać porządny motocykl? Nie powiedziała tego na głos, bo może zrobiliby mu się przykro.

– Wiem, że to głupie, ale tak jakoś wyszło i został Pierdkiem – próbował wytłumaczyć, ale jedyne, co osiągnął to, że się przestraszyła. On czyta w moich myślach, przyszło jej do głowy, ale nie miała już czasu na analizowanie tej kwestii. Wprowadził ją do izolatki. Ochrony policyjnej już nie było. Ktoś zapewne doszedł do wniosku, że nie jest potrzebna, skoro ten, który chciał zabić Kalinę, nie żyje. Niby logiczne. Gdyby tylko wiedzieli, że to ona poderznęła gardło Wienera. Poza Biernatem i Turkiem nikt nie wiedział, a ona nie miała zamiaru mówić o tym nikomu. Doskonale rozumiała, dlaczego Kalina to zrobiła, i była po jej stronie. Dlatego tak długo, jak to będzie możliwe, zamierzała ją chronić przed prokuratorem i zarzutami.

Na widok Anety Kalina się uśmiechnęła. Leżała na łóżku w koszmarnej szpitalnej koszuli i w skarpetkach stopkach. Na kolanach trzymała książkę. Aneta musiała przyznać, że wyglądała znacznie lepiej niż wtedy, gdy

widziały się po raz ostatni.

– Cześć, jak się masz?

– Super, dziękuję.

– Co czytasz?

Spojrzała na Ciesielczyka.

– Doktor mi przyniósł Dostojewskiego.

– Mam w domu po rosyjsku tylko *Zbrodnię i karę* – wyjaśnił.

– Superlektura w tych okolicznościach.

– Nie, no całkiem fajna. Ja już ją dawno temu czytałam. Teraz tylko tak, żeby na czymś oko zawiesić. Muszę się czymś tu zająć, bo zwariuję.

– No to koniec wariowania. Zabieram cię stąd! – Aneta rzuciła plecak na łóżko. – Ubieraj się, a pana doktora poprosimy, żeby wyszedł.

Ciesielczyk wzruszył ramionami, położył kask i kurtkę na krześle i zniknął, zamykając za sobą drzwi. Kalina otworzyła plecak i wysypała z niego wszystkie ciuchy. Chwyciła dzinsy...

– Ale gdzie, jak mam iść?

– Nie martw się. Zabieram cię w jedno miejsce.

– Do więzienia?

– Zwariowałaś? Nikt nie wie o tym, co zrobiłaś.

– Nie powiedziałaś o Wieni?

– O jakim Wieni?

– O tym, co to ci mówiłam, że... O Boże, kochana jesteś.

– Ubieraj się, nie mamy czasu na pogaduchy – ponagliła ją. Kalina szybko zdjęła koszulę. Przez chwilę Aneta widziała jej gołe plecy, pupę i uda. Wszędzie widać było siniaki.

– Bili cię.

– Do wesela się zagoi – rzuciła lekkim tonem dziewczyna. – Nie pocięli, to najważniejsze, bo nie chcieli niszczyć towaru, a że któryś trzepnął, to przejdzie.

– Nie pocięli... – powtórzyła bezwiednie Aneta.

– Ale duszę rozerwali na kawałki, skurwysyny. Nie wiem, czy się kiedyś zagoi? Chyba dopiero, jak ich wszystkich ktoś ukatrupi – mówiła, ubierając się powoli. Widać było, że robi to ostrożnie, bo sporo miejsc na ciele miała obolałych.

– Został tylko jeden.

– Co ty mówisz? – odwróciła się do Anety i spojrzała na nią uważnie, jakby chciała sprawdzić, czy nie mówi czasami jakichś głupot. – Jak jeden?

– Jednemu, temu Matrosowi, odebrałam kałasznikowa, ale stanął na linii ognia i zabił go Wasyl. No i wtedy pociągnęłam do niego i tyle.

– Załatwiłaś obu? – Kalina zrobiła wielkie oczy. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że ta drobna dziewczyna umiała sobie poradzić z takimi wielkimi goryłami. Ale Aneta nie miała zamiaru roztrząsać tej sprawy.

– Fiodor jest na wolności. Może cię szukać, dlatego stąd spadamy. No dalej, nie stój jak kołek. Załóż jeszcze tę kurtkę. – Podała jej czarną skórę, którą z powodzeniem mogła się okryć jak kołdrą.

– Za duża. – Włożyła ją na siebie, ale wyglądała jak strach na wróble.

– Podciągnij rękawy i zapnij zamek. Nie idziesz na randkę, tylko na motocykl. A kurtka jest po to, żeby cię nie przewiało.

Zrobiła, co jej kazano. Aneta zlustrowała ją uważnie i stwierdziła, że prezentuje się całkiem nieźle.

– I jak?

– Jak kangurzyca ze zwisającym brzuchem.

– Bardzo śmieszne.

Odwróciła się i spojrzała na łóżko. Nie miała tu nic swojego, więc nie było co zabierać. Chwyliła książkę.

– Dostojewskiego nie zostawię. Może się przydać.

– Pewnie, że się przyda. Może Olga i Swietłana nie czytały tego?

– Nie wiem, a co z nimi?

– Niedługo się przekonasz. Wszystko w porządku. Są u mnie. Odbiliśmy je.

– U ciebie? Odbiliście...

– Tak, u mnie w domu.

Kalina podeszła do niej i wzięła ją w ramiona.

– Ty jesteś chyba aniołem – powiedziała dziwnym głosem, bo naraz coś zatkało jej gardło. Tak jak to się działo niekiedy, gdy oglądała jakiś wzruszający film i nie wiedzieć skąd, nagle zaczynały same z siebie płynąć łzy. Teraz też popłynęły.

Wyszły na korytarz. Lekarz stał naprzeciwko z rękoma

złożonymi na piersi.

– Wszystko w porządku? – zapytał, patrząc na policjantkę.

– Spoko. Damy radę.

– A co z moimi rzeczami? – zapytał doktor. Aneta popatrzyła na swoją wielką kurtkę wiszącą na Kalinie jak worek i wzruszyła ramionami.

– Może podrzucę jakoś wieczorem – stwierdziła niepewnie.

– Dobrze. Wieczorem, o dwudziestej na Starym Rynku w Brovarii. Może być?

– No dobra. O dwudziestej jestem.

– Zarezerwuję stolik.

Pokiwała głową i pchnęła lekko Kalinę przed siebie. Ruszyły korytarzem odprowadzane spojrzeniem doktora Ciesielczyka, które w całości skupiało się na tyłku Anety. A ona właśnie w tej chwili uświadomiła sobie, że jeszcze nikt nigdy nie zamawiał dla niej stolika w restauracji.

Rozdział X

Godzina 16.30

Ryk silnika motocyklowego wdarł się w leśną ciszę, płosząc stado wron, które z głośnym krakaniem sfrunęły z gałęzi starej rosochatej sosny i złorzecząc, wzbiły się w niebo. Ptasia ciekawość jednak wzięła górę, bo zatoczywszy koło, sfrunęły na sąsiednie drzewo, by spojrzeć w dół i poznać przyczynę hałasu. Przyzwyczajone do leśnych ciężarówek i ciągników wywożących ścięte pniaki sosen ze zdziwieniem patrzyły na ten niewielki pojazd, który był równie głośny, a zajmował znacznie mniej miejsca. Gdyby nie jego biały kolor, można by go wcale nie zauważyć, podobnie jak tej niewielkiej postaci, która sprawnie prowadziła go po wyboistej drodze.

Wcale nie miała zamiaru jechać do tego lasu, ale cały czas chodziła jej po głowie pewna myśl, która nie dawała jej spokoju. Co stało się z tą dziewczyną o imieniu Wiera? Wiedziała tylko tyle, że ta zniknęła, rozplynęła się i nie zostawiła po sobie żadnego śladu.

– Wiera sobie da radę – stwierdziła Kalina, spoglądając to na psa, to na Anetę. Dziewczyna stała na chodniku przecinającym kwiatowy ogródek przed jej domem

i zdejmowała swój motocyklowy plecak. Pies o trzech nogach podszedł do niej, uniósł się na dwóch tylnych łapach, a tę jedyną przednią oparł o jej udo. Ona tymczasem wydobyła z plecaka papierowe zawiniątko i wyciągnęła z niego kanapki. Zwierzak doskonale wiedział, po co przyszedł do swojej pani. Otworzył pysk i chwycił chleb. Opadł zaraz na ziemię i pokuśtykał w krzaki, gdzie nikt nie mógł mu przeszkodzić w jedzeniu.

– Tata mi zrobił kanapki do pracy – wyjaśniła, wskazując na miejsce, w którym zniknął pies. – Nie może zobaczyć, że nie zjadłam – wyjaśniła. – Byłoby mu przykro. A tak zwierzak się naje.

– Jak ma na imię?

– Pies.

– Jak?

– Pies Pies.

– A dlaczego tak dziwnie?

– Nie wiedziałam, jak go nazywał jego poprzedni właściciel. Taki miejscowy pijak, z którym codziennie łązili po okolicy. No i jak ten facet się w końcu zapił na śmierć, to tę głodną sierotę zaczęłam karmić i tak został na stałe. Ale imienia jakoś się nie wymyśliło. Został Pies.

– Przygarniasz wszystkich poranionych przez los? Ty chyba powinnaś być siostrą miłosierdzia.

– Kto wie. Może jestem.

– Mniszką nie zostaniesz. Już on o to zadba.

– Kto, Pies?

– Nie, lekarz. Widziałam, jak na ciebie patrzy.

Zakochany po uszy.

– Co ty gadasz?

– Nie uciekniesz od miłości. Tobie on też nie jest obojętny.

– Pies, chodź tu! – zawołała zwierzaka, żeby przerwać niewygodny temat. Przybiegł zaraz i znów powtórzył się rytuał z podawaniem kanapki do pyska.

– Mówiłaś mi o Wierze. Co się mogło z nią stać?

– Nie wiem, ale na pewno żyje.

– Skąd ta pewność?

– Słyszałam jak ten wieprz, Fiodor, mówił chłopakom, znaczy swoim kumplom, że ta bladź mu gdzieś uciekła. Mówił, że strzelał za nią, ale zwiąła, a on nie mógł iść jej szukać, bo ludzie się jacyś kręcili po lesie, więc nawiał. Potem jeszcze jeździli po okolicy, ale jak kamień w wodę przepadła.

– Nie poszła na policję. Powinna zawiadomić kogoś o tym, co się tam w tym obozie działo.

– Może się bała. Nie wiem, dlaczego. Może się gdzieś ukrywa?

Drzwi od domu otworzyły się i na zewnątrz wybiegły dwie dziewczyny ubrane w dresy Anety. Musiały pewnie dostrzec Anetę i Kalinę przez okno i nie mogąc się doczekać, aż wejdą do środka, wybiegły zniecierpliwione. Na widok Kaliny zaczęły piszczeć, śmiać się i płakać jednocześnie. Wyczuwały ją jak najbliższą siostrę, której nie widziały przez lata. Aneta obserwowała je ze zdziwieniem, bo jeszcze niedawno słyszała od Kaliny,

która teraz trzymała obie dziewczyny w objęciach i szlochała jak mała dziewczynka, że nawet nie zdążyły się zaprzyjaźnić. A tu tymczasem powitanie tak wzruszające, że jej samej łza zakręciła się w oku. Pies też musiał wyczuć emocje wirujące w powietrzu, bo oparł się bokiem o nogę swojej pani i przekrzywiwszy rudy łeb, patrzył uważnie, co się przed nim wyrabia. Nie tylko on obserwował z zaciekawieniem tę scenę. Mężczyzna siedzący w zaparkowanym jakieś sto metrów dalej range roverze uważnie oglądał wszystko przez niezwykle małą i poręczną, ale jednocześnie doskonale przybliżającą lornetkę.

Nieraz już musiał sprzątać po kimś, kto zawałił robotę. Załatwiał to sprawnie i czysto, nie pozostawiając żadnych śladów. Tu sprawa wydawała się banalna. Podejdzie do furtki, zadzwoni i wtedy drzwi otworzy mu zapewne gospodyni, czyli ta ruda policjantka. Ona jedna mogła być niebezpieczna. Kto wie, może nawet miała przy sobie broń? No ale kto otwiera drzwi elegancko ubranemu facetowi, który wygląda jak biznesmen, z bronią w ręku? No więc, jeśli mu otworzy, poprosi o pomoc we wskazaniu jakiegoś miejsca. Może urzędu gminy. Powie, że nawigacja wysiadła w aucie i nie wie, dokąd ma jechać. Ona otworzy furtkę, a on wejdzie do środka i od razu ją zastrzeli. Być może trzeba będzie jeszcze zabić tego kalekiego kundla. Psa było mu naprawdę szkoda, w odróżnieniu od ludzi. Ale nie miał wyjścia. Jeśli zacznie ujadać, trzeba go będzie kropnąć. Potem wejdzie szybko do domu i tam znajdzie te dziwki. One na pewno nie będą stawiać oporu. Trzy kule i po sprawie. A potem trzeba będzie sprzątnąć tego durnia Fiedię i sprawa tanich dziwek

ze Wschodu definitywnie się zakończy. Nikt go nigdy z tą historią nie połączy. Nikogo nikt nie połączy, bo wszyscy świadkowie będą mogli zeznawać jedynie przed sądem ostatecznym.

Był zły na siebie, że w ogóle wziął się za interesy z takimi szmaciarzami jak ten Fiedia i Wienia. To byli zwyczajni durnie, którzy nie mieli pojęcia o biznesie, a jedynie o chlaniu i dupczeniu. Widać z takimi ludźmi nie wolno mieć żadnych układów, bo pieniądze niewielkie, a problemów po same uszy.

Otworzył schowek w desce rozdzielczej auta i wyjął z niego pistolet maszynowy EBB H&K MP7, a zaraz potem długi cylindryczny tłumik. Lubił tę broń, bo była zabójczo skuteczna, a przy tym naprawdę cicha. Poza tym miała jeszcze jeden atut. Pistolet zawieszany na podłużnym cienkim pasku świetnie dawał się ukryć pod połą płaszcza. W odpowiednim momencie wystarczył tylko jeden ruch, by broń znalazła się w rękach strzelca. Dokręcił szybko tłumik, pasek przełożył przez ramię i włożył na siebie lekki jesienny prochowiec.

Odezwał się telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Inne połączenia mógłby w zasadzie zignorować, ale od tego człowieka musiał odebrać.

– Dzień dobry, panie prezesie.

– A ja nie wiem, czy dobry. Galaś, gdzie ty, do cholery, jesteś?

– W Dusznikach.

– Gdzie? Co ty robisz w jakichś zaszranych Dusznikach?

– Muszę posprzątać bałagan.

– Pierdolony Fiodor? – domyślił się rozmówca.

– Tak jest.

– No dobra. Rób swoje i jak skończysz, melduj natychmiast.

– Tak jest.

– A dużo czasu ci to zajmie?

– Jeszcze jakiś kwadrans.

– A, to znaczy, że wszystko masz już poukładane?

– Tak jest.

– No to dobrze.

– Załatw wszystko, bo jest robota. Już chyba wiem, jak to było z tym trotylem. Dostałem zdjęcia od naszego przyjaciela z policji. To ten pierdolony Andrzej.

– Kto?

– Ten kutas zabrał wszystko. I jeszcze twój kolega Ciepiela pomagał mu to załadować. Ten Andrzej to jakiś pojeb.

– On może mieć nasrane w głowie. To prawda, że coś mu się stało po tym Nangar Khel. Tak mówił Ciepiela. I dlatego go nam polecił do roboty, że niby to gość, który niczego się nie boi i można mu zlecić takie delikatne zadanie.

– Przecież on, kurwa, może wysadzić pół miasta! Facet miał narobić zamieszania i napędzić strachu, a tymczasem...

– A tymczasem sprzątnął nam spod nosa cały towar, który Ciepiela kupił od swoich wojskowych kumpli.

– Obawiam się, że niczego nie kupił.

– Co? Jak nie kupił?

– Prócz zdjęć dostałem też informację o śledztwie prowadzonym przez policję i wojsko. Okazuje się, że ci dwaj, którzy zajmowali się ładunkami wybuchowymi i których prokuratura wojskowa podejrzewała o zagubienie dziesięciu skrzynek trotylu, zostali zabici.

– Ja pierdolę – jęknął Galaś, który nie znosił ludzi fuszerujących robotę. – To znaczy, że ten wysrui ich sprzątnął, żeby im nie zapłacić?

– No tak to wygląda. Kończ, co masz zrobić, i szukaj tego psychola.

– Zrobi się, szefie.

– No dobra, w takim razie nie przeszkadzam. Melduj się u mnie po robocie.

– Tak jest.

Wyszedł z samochodu i ruszył w kierunku jednorodzinnego domu z czerwonym dachem. Naraz przystanął i sięgnął do kieszeni po paczkę cameli. Wydobył papierosa i odpalił go srebrną zapalniczką Zippo bez żadnych grawerunków. Takie proste i oszczędne w formie lubił najbardziej. Zaciągnął się dymem i wpatrując się w dom po drugiej stronie drogi, zaczął przeprowadzać szybką i ostateczną, poprzedzającą akcję, analizę sytuacji. Cztery młode dziewczyny w domu. Jedna najprawdopodobniej uzbrojona pójdzie na pierwszy ogień, pozostałe zginą jakieś pół minuty później. Psa też trzeba jednak odstrzelić. Szkoda. Wystawił łeb przez otwór w kratownicy furtki zespawanej ze zbrojeniowych prętów.

Patrzył na mężczyznę i bacznie obserwował każdy ruch, gotowy obszczeć intruza, gdy ten znajdzie się zbyt blisko. Ruszył powoli w kierunku domu, cały czas obserwowany przez czujnego psa. Naraz zza zakrętu, jakieś sto metrów w głębi ulicy, wyjechał policyjny ford escort.

Mężczyzna nie przystanął. Na wszelki wypadek szedł dalej, kątem oka przypatrując się policyjnemu wozowi. Miał nadzieję, że ten znalazł się tu przypadkiem i za chwilę odjedzie. Ale stało się to, czego nie wziął pod uwagę w swoich planach. Samochód zatrzymał się dokładnie na wprost furtki, której pilnował pies. Kierowca wyłączył silnik i ze środka wyszło dwóch policjantów.

Może przyjechali tylko na chwilę coś sprawdzić? W końcu ta dziewczyna była też z policji. Koledzy na patrolu wpadli się z nią zobaczyć i za moment pojedą, a wtedy będzie można bez żadnych przeszkód zrealizować plan.

Policjanci weszli do domu. Pies na nich nie szczekał, a więc musieli to być dobrzy znajomi, którzy bywali tu często. Nie zatrzymując się, minął dom, idąc cały czas chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Pokonał jakieś sto metrów do pierwszej przecznicy, a potem zawrócił i zupełnie obojętnie poszedł w kierunku swojego auta. Wsiadł do terenówki i wcisnął cylindryczny przycisk radia. Szybko wyłączył jakieś radiowe gadanie i przestawił urządzenie na odtwarzanie płyt. Po chwili wewnątrz auta wypełniły pierwsze dźwięki *Wariacji Goldbergowskich* Bacha w transkrypcji na skrzypce, altówkę i wiolonczelę.

Jeśli nie wyjdą w ciągu kwadransa, będę musiał jechać,

pomyślał.

Nie wyszli. Włączył silnik i auto ruszyło. Przecież mu nie uciekną. Wróci tu jutro.

– To czego ode mnie chcesz? – zapytał Wójcik, przyglądając się jej z zaciekawieniem. Aneta wskazała mu fotel przy biurku w jej pokoju. Zabrała go do siebie, żeby spokojnie pogadać. Usiadł, opierając łokieć na blacie biurka i odsuwając nieco równy stos książek. Same kryminały, zauważył. Aneta nie czytała nic innego, tylko te powieści, w których inteligentni policjanci rozwiązywali trudne zagadki kryminalne.

Wójcik był kilka lat starszy od niej i jeszcze jakiś czas temu był jej szefem na posterunku w Dusznikach. To właśnie siedząc z nim przy biurku, zaczynała swoją policyjną karierę od parzenia kawy i biegania po ciastka do cukierni. Starszy sierżant sztabowy Robert Wójcik nawet się nie zdziwił, gdy od razu przeszła do rzeczy. Przez dwa lata wspólnej pracy zdążył ją poznać lepiej niż ktokolwiek inny i właściwie traktował ją jak swoją młodszą siostrę.

– Są trzy dziewczyny ze Wschodu. Potrzebuję dla nich pracy i mieszkania. Mogą sprzątać, prac, gotować i co tam jeszcze można sobie wymyślić. Knajpa, sklep. Wiesz, o co chodzi.

– Wiem – odpowiedział i zaraz zaczął szybką analizę możliwości. – Pani Jadzia Mazurczak jest w szpitalu. Ma jakąś operację na udo, chyba wszczepiają jej tą, no, endoprotezę czy jakoś tak. Od miesiąca szukamy kobiety do sprzątnięcia posterunku...

– To akurat wiedziałam. Ale pozostałe dwie też muszą jeść.

– Widziałem u Pietrasa ogłoszenie na sklepie, że przyjmie do pracy sprzedawczynię. Też nie ma chętnych. Mogę go zapytać.

Wójcik przyjechał do Anety z posterunkowym Szymkiem Szczepankiem, nowym narybkiem, który dopiero od trzech miesięcy pracował na posterunku w Dusznikach. Jak mówił Wójcik, na razie młody ćwiczy swoje umiejętności w bezkolizyjnej jeździe samochodem. Dlatego, by młodego dobrze przeszkolić, zabierał go wszędzie ze sobą i kazał się wozić radiowozem. Ponoć chłopak robił szybkie postępy.

Teraz usiadł grzecznie na krześle w kuchni i zabrał się za chrupanie ciastek, które postawiła przed nim Aneta. Dostał też kubek kawy z mlekiem i zadowolony spoglądał w okno, choć wolałby patrzeć na tę ładną blondynkę o niebieskich oczach, która miała taki piękny uśmiech, ale nie był na tyle śmiały, żeby to zrobić. Dlatego gapił się na psa, który stał przy furtce i uważnie obserwował ulicę.

– Nie wiem, co z mieszkaniem, ale coś się pomyśli. – Wójcik układał już konkretny plan pomocy. – Mogą u kogoś wynająć. Słyszałem, że w blokach jest dwupokojowe po zmarłej Tomczakowej. Jej syn mieszka w Poznaniu i mieszkanie od pół roku stoi puste.

– Jeszcze jedna dziewczyna jest do zagospodarowania – przypomniała mu Aneta. Co do dwóch już się dogadali. Swietłana zgodziła się pracować na posterunku policji, a Olga była zainteresowana sklepem. Pozostawała jeszcze Kalina. Mówiła, że u siebie była kelnerką w restauracji,

więc w Polsce takiej właśnie pracy chciała poszukać.

– Pojadę do Andruszkiewicza. Może mu się przyda dziewczyna z doświadczeniem – zaoferował Wójcik.

No i pojechał, ale w domu zostawił posterunkowego, tak na wszelki wypadek, bo Aneta też miała do załatwienia ważną sprawę. Nie powiedziała nikomu, dokąd się wybiera. Przede wszystkim nie wspomniała o celu wyprawy swoim lokatorom, żeby nie budzić w nich niepotrzebnych nadziei. Wsiadła na motor i pojechała do lasu pod Wronkami. Chciała się tylko rozejrzeć, bo w zasadzie nie spodziewała się, że natrafi na jakiś ślad zaginionej Wiery.

Zostawiła motocykl i zaczęła wędrówkę leśnym duktem, rozglądając się uważnie na boki. Nie chciała jechać dalej, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu. Szła więc powoli, wypatrując wszystkiego, co mogło być jakimś śladem po dziewczynie. Ale tak naprawdę uświadomiła sobie, że wcale nie liczy na znalezienie skrawka materiału czy porzuconego podczas ucieczki buta. Ona szukała ciała dziewczyny. Dlatego właśnie zeszła z motocykla, by dokładnie wypatrywać miejsc, w których mogłaby ją odnaleźć.

Mówi się, że jeśli gdzieś leży trup, zaraz znajdą się koło niego żałobne ptaki. Wrony tymczasem krakały, ale przy wjeździe do lasu. Tu w głębi było cicho i spokojnie, a jedyne ptasie odgłosy, które było słyhać, to uporczywe stukanie o pień dzięcioła wydłubującego spod kory smakowite robale.

Szła, zataczając coraz szersze łuki i oddalając się od pozostawionego pod drzewem motocykla, jednak

doskonale wiedziała, gdzie powinien się znajdować. Miała świetną orientację w terenie, także tym leśnym, w którym gubią się nawet wytrawni grzybiarze. Ona, wchodząc w leśny gąszcz, zawsze sprawdzała położenie słońca i godzinę. Dzięki temu wiedziała dokładnie, w jakim kierunku idzie i gdzie został jej pojazd. W linii prostej będzie to już ponad tysiąc metrów, oszacowała odległość na oko. Najważniejsze, by wiedzieć, dokąd ma wrócić, bo nie zamierzała spędzić nocy w leśnych ostępach. Tym bardziej że czekała jeszcze dziś na ważny telefon.

Wydobyła aparat z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz. Nie było ani jednej kreski zasięgu. Będzie mogła pogadać z Olkiewiczem dopiero wtedy, gdy zbliży się do drogi. Teofil już raz dziś do niej dzwonił, zanim wyjechała z Dusznik.

– Tu Olkiewicz mówi – przedstawił się dość opryskliwym tonem. Widać nie mógł jej jeszcze przebaczyć tej gafy z ich ostatniej rozmowy. Jednak okazało się, że pomimo urazy stanął na wysokości zadania. – Chciałem pani ino powiedzieć, że Blacha..., znaczy się młody..., to jest Blaszkowski, już wszystko wie.

– Co takiego?

– Gdzie jest tych sześć dziewczuch. Znaczy się, dwie są w jednym miejscu, a cztery w drugim. Wszystko mu przekazałem, znaczy się, poinformowałem operacyjnie o właściwych namiarach.

– Genialnie. Jestem mega wdzięczna!

– Ja nie dla pani to zrobiłem, ino dla tych dziewczyn.

Nikt nikogo nie może do niczego zmuszać, jak ktoś czegoś nie chce, to nie chce, i tyle.

– Przepraszam za to, co powiedziałam wtedy u pana.

– A co pani powiedziała, bo nie pamiętam?

– No że pan...

– Ja tam już stary jestem i z pamięcią to u mnie różnie, ale nieraz to ja w ogóle nie pamiętam nic.

– Dziękuję, panie Teofilu.

– Blacha gadał, że w takim razie zleca sprawę swojemu kumplowi, temu, co to z nim był na studiach. Jak on się, do cholery, nazywa, taki chudy dryblas z miejskiej komendy...?

– Wiciu Zalewski – podrzuciła Aneta.

– No właśnie. No to ten Zalewski zrobi w tych burdelach kipisz.

– Kiedy? – zapytała zupełnie bez sensu, bo przecież Olkiewicz nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia.

– Jak kiedy? Nie ma na co czekać. Od razu. Blacha już wydał polecenie. – A jednak stary piernik wiedział więcej, niżby się mogło wydawać.

– Mega super!

– Jak wszystko pójdzie dobrze, to jeszcze dziś będziesz mieć te swoje dziewczyny w komplecie – stwierdził Teofil, zapominając, że jeszcze nie wypił z nią bruderszaftu.

Do kompletu brakuje jednak jeszcze jednej, pomyślała, rozglądając się wokół siebie. Ale jak dotąd nie natrafiła na najmniejszy ślad zaginionej dziewczyny. Dojrzała za to

prześwit w spójnej i ciemnej ścianie lasu. Być może to jakaś polana? Jeśli Wiera szła tędy, to być może dostrzegła to jaśniejsze miejsce i poszła w tamtym kierunku, przeleciało jej przez głowę. Uchwyciła się tej myśli. Sprawdzi to, zobaczy, co tam jest, i tyle. I dalej już nie pójdzie. Robiło się późno, a słońce schodziło coraz niżej. Rozejrzy się i wraca. Tylko jeszcze rzut oka na to miejsce.

Dach pokryty czerwoną dachówką i obok drugi ciemniejszy, z gontu. Dom z czerwonej cegły, taki, jakich pełno tu w okolicznych wsiach, pobudowanych na początku dwudziestego wieku. Może to jakaś leśniczówka?

Doszła do skraju drzew i przystanęła. Gospodarstwo w środku lasu, na niewielkiej polanie. Mogło tu być kiedyś nieduże poletko, na którym uprawiano warzywa i ziemniaki. Teraz jednak las upomniał się o swoje i dawną własność odbierał metr po metrze, pokrywając pole małymi chojakami, które rozsiewały się samodzielnie bez ludzkiej ingerencji. Właściciel nie miał zdecydowanie serca do uprawy ziemi. Jednak był na pewno obecny. Świadczyła o tym cienka strużka dymu snująca się z komina.

Skoro już tu doszłam, to w zasadzie mogę chyba zapytać, czy ci ludzie z tego domu czegoś nie widzieli? Nie lubiła zostawiać za sobą jakichś niewyjaśnionych kwestii. Gdyby nie spróbowała, mogłaby mieć do siebie później pretensje.

Telefon wydał jakiś krótki, pierdzący dźwięk. Uśmiechnęła się do siebie. Tak odzywał się do niej lokalizator miejsca pobytu. Jej znajomy lekarz

przypominał o sobie. Od jakiegoś czasu wysyłał do niej esemesy z załączoną opcją powiadamiania o miejscu pobytu.

*Ja już po robocie. 😊 Jadę do domu
się doprowadzić do stanu
używalności. Cieszę się 😊 że mi
oddasz mój kask.*

Lokalizator pokazywał, że jest gdzieś w okolicach Winograd. Mieszkał na osiedlu Batorego, więc nie miał daleko do domu.

*Jeszcze mam coś do załatwienia.
Ale zaraz wsiadam na motor i
jadę do Poznania. Kasku nie oddam.
Zostawiłam w domu. Zapomniałam.
Przepraszam 😊*

Nawet nie pomyślała, że i ona podała mu w ten sposób swoją lokalizację.

*Super. Będziesz się musiała znowu
ze mną spotkać 😊 Nie masz wyjścia.
Jesteśmy na siebie skazani.
Uśmiechnęła się. Był naprawdę fajny.
Muszę kończyć. Mam robotę.*

Do zobaczenia niedługo 😊

Wyłączyła dźwięk, żeby jej nie kusilo, gdyby jeszcze do niej pisał. Później do niego odpisze. Ale teraz pójdzie wypytać gospodarzy.

Ruszyła w kierunku domu. Miała do przejścia zaledwie jakieś sto metrów. Nie zamierzała się kryć i skradać. Nie było takiej potrzeby. Nie przychodziła tu w złych zamiarach, a i mieszkańców tej samotnej zagrody nie podejrzewała o jakieś nieczne uczynki.

Po chwili stanęła przy bramie. Powitało ją szczekanie psa. Wielki owczarek niemiecki ozdobiony długimi włosami w kolorze czarno-żółtym podbiegł do ogrodzenia. Zatrzymał się pół metra przed nią, ale ujrawszy Anetę z bliska, uspokoił się. Patrzył na nią uważnie, zapewne analizując poziom zagrożenia. Widać nie wydała mu się osobnikiem zagrażającym jego podwórkowej dominacji, bo naraz przechylił łeb w bok.

– No chodź tu, malutki – zawołała do niego.

Pies posłusznie podszedł i dał się pogłaskać.

– Szarik! – Usłyszała kobiecy głos dochodzący od strony domu. Pies odwrócił się i pognął do swojej właścicielki.

– Dzień dobry! Można z panią pogadać chwilkę?

Kobieta ruszyła w jej kierunku. Poruszała się o kulach, bo jedną nogę miała usztywnioną przez ortezę. Po chwili podeszła bliżej i przystanęła przed furtką.

– Ja nie mówię zbyt dobrze po polsku – odezwała się po

rosyjsku.

– Ale ja mówię w Pani języku – odpowiedziała Aneta i uśmiechnęła się. – Cieszę się, że żyjesz, Wiera. Miałam nadzieję, że cię znajdę.

– Skąd wiesz... jak mam na imię...?

– Mam na imię Aneta. Jestem policjantką.

Piątek

18 września 2015

Godzina 7.50

– Pani Martyno! – Odwróciła się w prawo tam, gdzie stały ławki dla interesantów, którzy przychodzili do komendy wojewódzkiej wezwani w sprawie albo niewezwani, ale ze sprawą. Siedział tam tylko jeden mężczyzna. Najwyraźniej na nią czekał. Poderwał się natychmiast na jej widok i szybko podszedł bliżej. Wchodziła właśnie do firmy i nie miała zbyt wiele czasu. O ósmej miała meldować się u Barszczaka, który chciał zorganizować jakąś konferencję prasową na temat wykrywalności przestępstw. Ona musiała przygotować mu dane, których ten chciał się nauczyć na pamięć i opowiedzieć o nich przed kamerami. Miała na to zaledwie kilka minut, na szczęście pliki przechowywała w swoim komputerze i była to tylko kwestia wydrukowania. Ale żeby to zrobić, trzeba było najpierw dotrzeć do biura. A tu jakiś facet...

– Nie poznaje mnie pani?

– Jak to nie? – skłamała na poczekaniu, próbując sobie przypomnieć, skąd zna tego przystojniaka w wymiętej koszuli i z nieogoloną twarzą. – Oczywiście, że pamiętam, ale mam zaraz spotkanie z szefem...

– Aneta zniknęła – rzucił szybko, żeby ją zatrzymać.

– Co? Jak? – Teraz dopiero wpadła na to, co to za gość. To był ten lekarz ze szpitala na MSW. Ale co on ma wspólnego z Anetą? Zaraz, czyżby oni... Nic jej nie powiedziała ta małpa. Ani słóweczka, że coś tam się zaczęło między nią a tym facetem. No to dostanie za swoje, jak tylko wpadnie w jej ręce. – Zaraz, jak zniknęła?

– Umówiliśmy się wczoraj na dwudziestą w Brovarii.

– I co, nie przyszła?

– Nie, nie było jej i co ważniejsze, nie odbiera też telefonu. Nic, głucha cisza.

– No to niech pan sobie tu spokojnie poczeka. Do ósmej zostało jeszcze kilka minut. Przyjdzie. Zawsze przychodzi i nigdy się nie spóźnia. – Martyna zaczęła tracić cierpliwość. Zawracał jej głowę pierdołami, a zaraz Barszczak zacznie jej szukać. Nie miała czasu na rozwiązywanie sercowych problemów Anety Nowak, która najwyraźniej stchórzyła przed randką i wyłączyła telefon. Zaraz przyjedzie do pracy, to sobie wyjaśnią wszystkie kwestie.

– Niech pan poczeka. Zaraz przyjedzie.

– Nie przyjedzie. Coś jej się stało – powiedział z pełnym przekonaniem. – Niech pani zobaczy to. – Podał jej swój telefon. Dla świętego spokoju wzięła go do ręki

i rzuciła okiem na wyświetlacz.

Muszę kończyć. Mam robotę.

Do zobaczenia niedługo @

Przeczytała ostatnią wiadomość od Anety i wzruszyła ramionami.

– To o niczym jeszcze nie świadczy.

– Niech pani spojrzy niżej.

– No i co?

– Wysłała jeszcze wiadomość audio.

– Nagrała się i powiedziała, że nie przyjedzie?

– Nie, nagrała się jej rozmowa z jakąś kobietą. Rozmowa po rosyjsku. Albo wysłała ją sama, albo wysłała się przypadkowo do ostatniego kontaktu esemesowego, czyli do mnie.

– Kto mówił po rosyjsku, ta kobieta?

– Ta Rosjanka i Aneta też.

– To ona zna rosyjski? – zdziwiła się, bo jej przyjaciółka nigdy nie pochwaliła się tą niezwykłą umiejętnością.

– O ile potrafię ocenić, to zna i to doskonale. Ale to nie jest ważne, ważniejsze jest to, o czym mówią.

– A o czym mówią?

– O tym, że przyjechała po nią i że ma jechać z nią do Poznania, a Wiera odpowiada, że nie może, bo mieszka tu ze swoim przyjacielem, i jakieś krzyki słysząc, a Aneta

pyta ją o jakąś karetkę pogotowia, co stoi w stodole, i wtedy wtrąca się jakiś głos męski, który każe jej podnieść ręce do góry i położyć się na ziemię...

– O ja pierdołę! W co ona się wpakowała?

– Boję się, że coś jej się stało. Nagranie zaraz się urywa, tak jakby ktoś zabrał jej telefon i wyłączył. A może to właśnie ten ktoś wysłał tę wiadomość przez przypadek.

– Nagranie, zaraz, przecież Aneta zawsze wszystko nagrywa jak Biernat. To nie przypadek.

– Jaki Biernat?

– Idziemy do Blachy. Szybko! – Pociągnęła go za rękaw, a on dał się posłusznie poprowadzić.

– Jeszcze raz wrzuc tę końcówkę – polecił Mariusz.

Martyna wzięła do ręki telefon i przesunęła kursor odtwarzacza w lewo, mniej więcej na połowę nagrania.

– *Ja nie chcę nigdzie jechać. To znaczy, że zostanę tutaj.*

– *Ale twoje koleżanki są u mnie. Czekają na ciebie.*

– *To nie są moje koleżanki. Ja z nimi nie chcę mieć nic wspólnego. Tamto moje życie się już skończyło. Chcę o nim zapomnieć. Po co do tego wracać. Ja nie zrobiłam nic złego, więc nie możesz mnie zatrzymać.*

– *Nie, nie mogę, to prawda, i wcale nie chcę. Przyjechałam tu, bo się o ciebie martwiłam. Chciałam ci pomóc.*

– *Niepotrzebna mi pomoc. Dajcie mi wszyscy spokój.*

Cisza. Przez chwilę nic się nie dzieje. W końcu odzywa się Aneta:

– Ładny pies. Jak się wabi?

– Szarik. Jak ten z Czterech pancernych.

– Oglądałaś ten film?

– Pewnie. U nas każde dziecko zna Janka Kosa i Marusię Ogoniok. Uważaj, bo może ugryźć.

– Mnie psy nie gryzą. No chodź, Szarik. Dobry pies. A łapę podasz? No świetnie.

– Chyba cię lubi. Poznaje się na ludziach.

– Też mam psa. No dobra, to nie będę cię namawiać. Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Ale jak sobie tu radzisz? Czyj to dom?

– Mojego przyjaciela.

– No, to znaczy, że ci się udało uciec i jeszcze trafiłaś na dobrego człowieka. Świetnie.

– Na bardzo dobrego.

– Co to było?

– Co?

– Ktoś krzyczał.

– Niemożliwe.

– Znowu. Ktoś tam woła ratunku!

– Stój. Dokąd biegniesz? Tam nie wolno wchodzić!

Na nagraniu słychać szybkie kroki i przyspieszony oddech Anety.

– Nie otwieraj!

Skrzypiące drzwi.

– *Co to jest? Co tu robi ta karetka? O matko! Te skrzynie to jest...*

– *Niepotrzebnie otwierałaś tę bramę.*

– *Co jest w tych skrzyniach?*

– *Podnieś ręce do góry!* – Słychać męski głos i zdanie wypowiedziane po polsku.

– *Zwariowałaś?*

– *Ręce do góry! No już! Dobrze, a teraz na kolana, o tak, dobrze, i kładź się na glebę. Wiera, kto to jest?*

– *Policjantka. Szukała mnie.*

– *No trudno. Nie możemy jej wypuścić.*

– *Andriusza, proszę, nie zabijaj jej. Ona jest dobrym człowiekiem. Szarik na nią nie czekał.*

– *Nie możemy sobie pozwolić na...*

– *Andriusza! Proszę cię.*

– *Gdzie masz telefon?*

– *Robisz poważny błąd, Andrzej!* – mówi Aneta.

– *Zamknij się.*

– *Wiera, przynieś sznur. Masz ten telefon i wyłącz go.*

– *Jak? Nie wiem jak, Andriusza.*

– *Wyjmij baterię i dawaj ten sznurek.*

– *Co jest w tych skrzyniach, Andrzej?*

Cisza. Koniec nagrania.

Błaszowski spojrział na Martynę, a potem na Piechowiaka.

– Zrozumiałeś, o czym mówili?

– No, po polsku zrozumiałem.

– A po rusku?

– Tyle o ile.

– Trzeba się było uczyć w szkole.

– Nie miałem ruskiego, tylko niemiecki.

– Ten facet, Andriusza, chciał ją zastrzelić – rzucił Mariusz. – Ale zdaje się, że Wiera mu nie pozwoliła.

– Skurwysyn. No i słyszałeś o tych skrzyniach? Mam wrażenie, że Aneta specjalnie pytała go o nie, tak jakby chciała zwrócić naszą uwagę na ten szczegół.

– Skąd niby miała wiedzieć, że będziemy tego słuchać – odezwała się Martyna.

– Jest sprytniejsza od was wszystkich razem wziętych – rzucił Blaszkowski. – Tylko nie wiem, dlaczego wysłała to do pana – powiedziawszy to, spojrzął na lekarza.

– Może przez przypadek?

– Trzeba było dać nam znać wcześniej.

– Wcześniej to nie było możliwe, bo przekaz przyszedł o czwartej rano.

– Andriusza, Andrzej, nic ci to nie mówi? – Blaszkowski spojrzął na Piechowiaka.

Ten zmarszczył brwi, próbując w ten sposób zwiększyć moce analityczne swoich zwojów mózgowych i chyba mu się to udało, bo naraz skojarzył fakty.

– Andrzej, znajomy Ciepeli!

– Teraz już nam się wszystko powoli zaczyna układać –

stwierdził Blaszkowski. – Wyślij natychmiast zdjęcia z tym Andrzejem do twoich znajomych z wojska. Niech go zidentyfikują. Musimy wiedzieć o nim wszystko, gdzie mieszka, co robi, i w ogóle, nawet numer buta...

Piechowiak natychmiast chwycił telefon i zaczął zaznaczać zdjęcia do wysłania. Blaszkowski dalej wydawał polecenia:

– Martyna, dzwoń do naszych komputerowców i podaj im numer Anety. Niech sprawdzą ostatnie miejsce logowania do sieci. Musimy wiedzieć, dokąd pojechała.

– Wiemy – odezwał się lekarz. Oczy wszystkich zwróciły się w jego kierunku. On tymczasem sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył z niej telefon.

– Już kilka dni gadamy ze sobą przez esemesy – zaczął wyjaśniać. – No i razem z wiadomościami wysyłamy sobie swoje położenie. No i wczoraj ja jej wysłałem swoje z tramwaju, a ona mi swoje...

Wstał z fotela i podszedł do Mariusza z telefonem w dłoni.

– Tu jest mapa, a ta dziewczynka z grafiki to Aneta.

– Gdzie to jest? – Mariusz widział przed sobą tylko uśmiechniętą buźkę i wokół niej połąć zieleni.

– Trzeba powiększyć. – Lekarz przejechał palcami po ekranie i mapa stała się doskonale czytelna. Widać było teraz buźkę wśród całej zielonej połąci przeciętej przez pasek drogi koło Nowego Krakowa.

– O, są nawet współrzędne satelitarne – zauważył Mariusz. – Dobra, zbieramy się i jedziemy na miejsce. Dam znać jeszcze do Szamotuł do Biernata. Oni będą tam

szybciej. Niech się rozejrzą z daleka...

– Miałam się meldować u Barszczaka – przypomniała sobie naraz Martyna.

– Pieprzyć go – warknął Blaszkowski. – Za kwadrans wszyscy na dole. Zamawiam czarnych na już, a ty – wskazał ręką na Martynę – jeszcze załatw zdjęcia satelitarne terenu. Doktor poda ci współrzędne wysłane przez Anetę.

Mariusz wstał zza swojego biurka.

– Znajdziemy gnoja. Tylko po cholere mu ta karetka?

Godzina 8.15

Ręce i nogi miała związane sznurkiem. Takim zwykłym jak od snopowiązałki. Gdyby zawiązał jej ręce z przodu, to może jakoś dałaby radę się uwolnić. Ale facet wiedział, co robi, i skrępował dłonie z tyłu. A potem wrzucił ją do stodoły na stertę starej słomy.

– Siedź tu grzecznie, to ci się nic nie stanie – powiedział, stojąc nad nią. – Nie będziesz się nudzić, bo masz tu miłe towarzystwo. Ten facet, który tam wisi przywiązany do belki, to jest niejaki Fiodor albo Fiedia, jak kto woli. To jest jeden z tej bandy, która przywiozła dziewczyny do Polski i gwałciła je, torturowała i potem kazała im stać przy drodze.

Aneta spojrzała na prawo. Dopiero teraz dostrzegła nagą postać, przypominającą Jezusa na krzyżu. Mężczyzna

miał szeroko rozłożone ręce, głowa opadła mu na pierś, a nogi były wygięte pod dziwnym kątem. Całe łydki miał czerwone od krwi, a kolana przewiązane jakimiś szmatami.

– Co mu jest?

– Nic. – Andrzej uśmiechnął się do niej. – Zdycha, skurwysyn. Podciąłem mu ścięgna. Na wszelki wypadek, żeby wiedział, że nigdy się już stąd nie wydostanie. Ale ma zabandażowane rany, żeby nie zdechł za szybko z wykrwawienia...

– Ty jebany chuju! – wycharczał z trudem Fiodor.

– Krzycz, bydlaku, krzycz, ale już nie masz sił. Nadchodzi twój koniec. Myślałem, że wcześniej zdechniesz, ale ty się kurczowo trzymasz życia. Zupełnie niepotrzebnie. Czujesz, że brakuje ci oddechu i musisz walczyć o każdy łyk powietrza. To znaczy, że płuca powoli przestają pracować. Ukrzyżowanie to cholernie skuteczna metoda załatwiania takich parszywców jak ty. Takich bydlaków, którzy mogą sobie jeszcze na koniec przemyśleć całe swoje zasrane życie, zanim pójdą do piekła.

– Ty... też pójdziesz do piekła – powiedział z trudem Fiodor.

– Pójdę. Ale na pewno po tobie.

– Poczekam tam na ciebie, gnoju.

– No widzisz, jaki sympatyczny gość – odwrócił się do Anety, która przysłuchiwała się tej rozmowie z wyraźnym niedowierzaniem. To, co tu zobaczyła, było najczystsza kwintesencją sadyzmu. Ten facet napawał się cierpieniem.

Prawda, umierający Fiodor był kanalią i draniem, ale nikt nie zasługuje na takie męczarnie.

– Ty jesteś chory, Andrzej.

– Być może, ale to nie twój interes.

– Nie mój? A po co ci te skrzynie z trotylem w karetce?

– Przekonasz się już niedługo. Wszyscy się przekonają. Będzie to wyglądać pięknie, a pokazywać będą wszystkie telewizje na świecie.

– Jesteś chory.

– Wiesz, dlaczego jeszcze żyjesz?

– Dlaczego?

– Dlatego, że Szarik na ciebie nie czekał.

Odwrócił się i wyszedł ze stodoły. Nawet nie zamknął furki. Musiał być pewien, że nikt mu stąd nie ucieknie. Nie zrobił jej krzywdy, nie załatwił tak jak tego głupca Fiodora, a to znaczyło, że nie zamierza jej zabić, pocieszała samą siebie. Ale fakt, że tu siedzi bezradna, podczas gdy ten pomyleniec szykuje jakieś niewyobrażalne łajdactwo, sprawiał, że czuła się strasznie. Powinna działać, coś robić, przeszkodzić mu, a tymczasem siedziała jak pan Zagłoba uwięziony w chlewiku.

– Ty... jesteś... policja? – odezwał się chrapliwym głosem Fiedia, z trudem dobierając polskie słowa.

– Możesz mówić po rosyjsku. Wszystko rozumiem – odpowiedziała w jego języku. Nie okazał zdziwienia. Nie miał już czasu na takie odruchy i chyba zdawał sobie z tego sprawę.

– Ten Andriusza to swołocz.

– Co on chce zrobić?

– Coś wysadzić. Nie wiem. Nie mówił. Podśledzałem...

– Co podśledzałeś?

– Że dziś jedzie do Poznania tą karetką.

– Ale gdzie?

– Nie wiem. Mówił tej swojej dziwce: Takiej *miaczy* nikt jeszcze nie widział.

– *Miacz*?

– Po waszemu piłka.

– Wiem, co to *miacz* – powiedziała głośno i zaraz zaczęła się zastanawiać, o co mogło chodzić temu Andrzejowi. Co on chciał wysadzić? Nikt nie widział takiej piłki? Piłka jest okrągła. Okrągła w Poznaniu. Co jest okrągłe w Poznaniu? Okrągły jest Okrągłak i okrągła jest Arena. Oba budynki to symbole miasta. Ale jeśli wysadzi Okrągłak, to zniknie budynek i może uszkodzić kilka okolicznych kamienic, jednak jak wysadzi Arenę... Czy w Arenie odbywa się dzisiaj jakiś koncert? Wysadzona podczas koncertu Arena to dziesiątki zabitych i setki rannych. O Boże, pomóż, bo ktoś musi go powstrzymać.

– Zabijesz go? – Usłyszała wcale nie boski głos. Fiodor z trudem podniósł głowę. Jego szkliste oczy wpatrywały się w nią z nadzieją.

– Jeśli go dopadnę, to być może.

– Zabiłaś już kogoś?

– Tak.

– Kogo?

– Twoich kumpli, Matrosa i Wasyla.

– Ty... Ty ich zabiłaś?

– Ja.

– Ha, ha – spróbował się zaśmiać, ale niezbyt dobrze mu to wyszło i śmiech przerodził się w kaszel, który wstrząsnął całym jego ciałem. – Zuch-dziewczyna. Zabij go.

– Jak? Musiałabym się stąd...

– Za tobą jest wbity gwóźdź. Taki wielki...

– Jak w *Czterech pancernych*...

– Grigorij Saakaszwili i Lidka.

Odwróciła się. Nie od razu go dostrzegła, ale po chwili rzeczywiście zobaczyła wielki łeb gwoźdźcia budowlanego używanego przez dekarzy podczas wznoszenia konstrukcji dachu. Był wbity mniej więcej na wysokości jej talii. Tyle że nie bardzo wiedziała, jak z niego skorzystać.

– Gwóźdź musi mieć ostre krawędzie główki. Wstań i przesuń się do ściany. Oprzyj się o nią, zaprzyj się nogami i zacznij się podnosić – instruował ją, jakby był jej trenerem. Zrobiła, co powiedział, i rzeczywiście okazało się to dość proste. Po chwili stała już przy drewnianej ścianie stodoły. Podskakując, zaczęła przesuwać się w kierunku gwoźdźcia. W kilka sekund była przy nim. Bez trudu udało jej się wymacać go palcami. A potem wsunęła go między skrępowane nadgarstki i zaczęła trzeć sznurkiem o jego główkę. Nie spodziewała się, że pójdzie tak łatwo. Pięć minut później jej ręce były wolne.

– Skąd go znasz? – zapytała Fiodora, męcząc się ze

sznurem krępującym jej nogi. Z tym już nie było tak prosto. Węzeł był bardzo ciasno związany.

– Wcale nie znam gnoja... On za to mnie zna... Skurwysyn jeden...

– Cholerny sznurek!

– Ktoś idzie! – ostrzegł ją w samą porę. Położyła się na plecach, tak by nie było widać, że ma wolne ręce. Ale nikt nie wszedł do stodoły. Za to za ścianą w garażu, gdzie stała karetka, zaczęło się coś dziać.

– A co potem? – zapytała Wiera.

– Nic się nie martw. Tylko to zostawimy i wyjeżdżamy stąd. Nikt nas nie znajdzie – próbował ją uspokoić Andrzej.

– Kiedy wrócisz?

– Wieczorem już będzie po sprawie.

– Boję się, Andriusza.

– Nie masz czego. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wracaj, kochany, szybko.

Drzwi od samochodu zatrzasnęły się i zaraz rozległ się ryk uruchamianego silnika. Zaskoczył za pierwszym razem. Przez chwilę auto chodziło na jałowym biegu, ale w końcu kierowca wrzucił jedynekę i odjechał. Aneta ze zdwojoną energią zabrała się do rozsupływania węzła krępującego nogi.

Stalowe zawiasy drzwi od stodoły jęknęły. Do środka wsunęła się drobna postać wspierająca się na kulach. Powoli podeszła do policjantki, która znów położyła się na plecach. Uniosła nieco głowę, by uważnie przyjrzeć się

dziewczynie. Wiera była blada i wymizerowana, jednak w jej spojrzeniu widać było siłę i chęć życia. Ale nie to było najważniejsze. To, co zobaczyła za jej paskiem od spodni, sprawiło, że Aneta poczuła się nieswojo. Tkwił tam jej własny pistolet glock.

– Jak się czujesz?

– Chce mi się sikać – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– To już nie potrwa długo. Andriusza wróci wieczorem i wyjedziemy, a ty sobie pójdiesz...

– Co on chce zrobić?

– Nie wiem. Coś wielkiego. Chce odpłacić wszystkim za jego krzywdy. Za to, że kraj, dla którego się poświęcał, wyrzucił go jak stare buty na śmietnik.

– On się poświęcał?

– Tak. Był żołnierzem i walczył w Afganistanie. A potem postawili go przed sądem, bo podobno ostrzelali nie tych, co trzeba.

– Nangar Khel...

– Słyszałaś o tym?

– Wszyscy słyszeli. On chce zrobić coś strasznego.

– Wiem, ale tak trzeba – stwierdziła Wiera. – Chodź, pomogę ci się wysikać. Zdejmę ci spodnie i majtki, i przytrzymam cię. Bo rozwiązywać nie mogę. Andriusza zabronił.

– Mam to robić przy nim? – Wskazała na bandytę.

– A co cię on obchodzi. Jego już nie ma. Zdechnie za chwilę.

Pochyliła się nad Anetą, chwyciła ją pod ramiona i pociągnęła ku górze. Jednak nie miała pojęcia, że pójdzie to tak łatwo. Aneta odbiła się wolnymi rękoma od podłoga i błyskawicznie stanęła na dwóch związanych jeszcze nogach. Nim zdziwiona, a właściwie przerażona Wiera zdążyła zareagować, policjantka uderzyła ją kantem prawej dłoni w szyję. Precyzyjny cios sprawił, że dziewczyna natychmiast straciła przytomność i padła na klepisko. Ona tymczasem usiadła i wróciła do rozwiązywania nóg. Tym razem w końcu się udało.

– Niezła jesteś – pochwalił ją Fiedia. – Odwiąż mnie, proszę.

– Jesteś drań i kawał bydlaka, Fiodor, ale nikt nie zasługuje na taką śmierć. Zaczekaj.

Zabrała swojego glocka i szybko wyszła ze stodoły. Ruszyła do garażu. Szarik na jej widok wesoło zamerdał ogonem, jednak nie ruszył się z ganku, na którym grzał swoje kości. Widać, nie była dla niego żadnym zagrożeniem. W garażu natychmiast znalazła to, czego szukała. Zwykły kuchenny nóż z oderwanym czubkiem, taki jakie po zakończeniu służby kuchennej trafiają zazwyczaj do przydomowych warsztatów. Chwyciła go i pobiegła do stodoły. Szybko uporowała się z krępującymi ręce i ramiona Fiodora więzami. Nie zdołała go podtrzymać. Mężczyzna opadł na ziemię całym ciężarem ciała.

– Masz szczęście, że trafiłeś na mnie. Będiesz żyć, Fiodor, chociaż w więzieniu, ale przeżyjesz.

– Jak ci na imię? – zapytał słabym głosem.

- Aneta. Aneta Nowak.
- Aneta z... Dusznik?
- Tak. Wiesz, skąd jestem...?
- U ciebie w domu... są dziewczyny? Ty je ukryłaś... u siebie?
- Ja.
- On tam miał jechać... do ciebie. Podałem mu... twój adres...
- Kto?
- Miał... posprzątać.
- Co? O czym ty, do cholery, gadasz?
- O dziewczynach... – powiedziawszy to, zapadł się w ciemność.

Godzina 9.30

Posterunkowy Szczepanek lubił swoją robotę. Szczególnie, kiedy do wykonania miał tak atrakcyjne zadanie jak to dzisiejsze. Miał znowu pójść do domu Anety Nowak, tej policjantki, która pracowała kiedyś na jego posterunku, a potem awansowała do Poznania, i przekazać Kalinie, że znalazła się dla niej praca w knajpie. Zadzwoił do niego w tej sprawie jego szef Wójcik. Gdy wymienił imię Kalina, serce posterunkowego zaczęło szybciej bić. Wczoraj siedział w tej kuchni ponad dwie godziny i rozmawiał z nią właśnie, i to po rosyjsku.

To znaczy, ona mówiła w swoim języku, uśmiechała się do niego, pokazując dwa równe rzędy pięknych białych zębów, a on rozumiał tylko niektóre słowa. Patrzył na nią i chłonał każde zdanie, przekonany, że jeszcze nigdy w życiu nikt tak pięknie do niego nie mówił o jakichś mrożonkach, które ona bardzo lubi. Nie wiedział, czy takie można dostać w Biedronce albo w Lidlu. Musiał to sprawdzić. Ale dopóki nie znajdzie tych mrozonek, to może chociaż spróbuje miejscowych lodów. Szymek bardzo lubił lody, szczególnie pistacjowe, ale nie wiedział, jak to powiedzieć, więc pokazał. Wyprostował wskazujący palec i polizał go. Dziewczyna pokiwała głową i roześmiała się głośno.

– Co, młody chce, żebyś mu zrobiła loda? – zapytała Olga, która akurat weszła do kuchni. Policjant nie zrozumiał pytania, ale na wszelki wypadek pokiwał głową, a Kalina ruszyła na nią.

– Głupia jak but jesteś. O lodach rozmawiamy. O normalnym życiu.

– Wybacz, Kalinko kochana. Głupia jestem. Oj, jaka ja jestem głupia. – Pochyliła się nad nią i mocno przytuliła. A potem, spojrzawszy na policjanta, uśmiechnęła się i powiedziała po polsku: – Zabierz ją na lody, a później pocałuj, a będzie cię kochać tak jak nikt inny przez całe twoje życie. Tak jak tylko Rosjanka potrafi kochać całą duszą.

– Co ty gadasz o całowaniu? – Kalina nie wszystko zrozumiała. Nie zdążyła się jeszcze nauczyć mówić po polsku i dotąd poznała zaledwie kilka słów, które w żaden sposób nie nadawały się do rozmowy z tym młodym

przystojniakiem. Zresztą, pomyślała, on też pewnie nic nie zrozumiał z tego, co mu opowiadała, ale patrzył na nią jak w obrazek. A to już jej wystarczyło. Musiała wreszcie z kimś pogadać o czymkolwiek, o takich zwyczajnych drobiazgach jak szkoła czy dom. A on chciał słuchać.

– Mówię mu, żeby cię zabrał na lody i pocałował, jak to się robi na randce.

– No coś ty, zwariowałaś?

– Ja zwariowałam? Rzuciłaś na niego chyba jakiś urok, kochana. Chłopak jest tu od godziny i już zdążył się utopić w twoich oczach.

Szymek był na tyle przytomny, by wykorzystać nadarzącą się okazję i poprosić Olgę o pomoc.

– Zapytaj Kalinę, czy jutro pójdzie ze mną na lody.

Olga klasnęła w ręce.

– Nie mówiłam? On pyta, czy wybierzesz się z nim na lody. Jutro chce cię zaprosić.

– Pójdę z tobą – powiedziała, patrząc na Szymka, a ten poczuł, że właśnie dołączył do grona zwycięzców teleturnieju „Koło Fortuny”.

Dzisiaj, gdy tylko wszedł do domu, od razu pojawiła się Kalina i przywitała go jak dobrego przyjaciela, całując w oba policzki. Zaraz zabrała go do kuchni i nim się obejrzał, postawiła przed nim kubek z herbatą.

– Sierżant Wójcik powiedział, że ma dla ciebie robotę. Zaczy się, jest robota w knajpie, w restauracji.

– Co ty mówisz?

– Masz pracę w knajpie – przetłumaczyła Olga.

– Pięknie. Bardzo się cieszę.

– A o szóstej przyjdę po ciebie i pójdziemy na lody, dobrze?

– Jasne. – To zdołała zrozumieć. Od wczoraj już wiedziała, że lody po polsku to określenie niekoniecznie kojarzące się z seksem.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Spojrzał przez okno. Przy furtce stał jakiś elegancko ubrany facet.

– Pójdę otworzyć – stwierdziła Olga. Nie było w domu rodziców Anety, więc musiały odgrywać rolę gospodyń. Ale Szymek wstał z krzesła. Ten gość wyglądał jak świadek Jehowy i na pewno nie był niebezpieczny, jednak policjant postanowił zrobić wrażenie na Kalinie. No i na Oldze też. Niech wiedzą, że jest profesjonalistą.

Gestem, jakiego nauczył się podczas kursu kierowania ruchem drogowym, powstrzymał idącą do drzwi dziewczynę.

– Stój. To może być niebezpieczne. Ja pójdę.

Olga zrobiła głupią minę, ale nie sprzeciwiła się. Zwłaszcza że zobaczyła, co Szymek robi. A on wydobył z kabury swój pistolet P-99, odbezpieczył go i uzbrojony ruszył przed siebie. Doszedłszy do drzwi, otworzył je lewą ręką, bo prawą miał schowaną za plecami.

Mężczyzna zdziwił się, gdy zobaczył policjanta, ale zdziwienie natychmiast zamaskował wystudiowanym uśmiechem przedstawiciela handlowego oferującego niezwykle korzystne ubezpieczenia.

– Dzień dobry. Nie wiedziałem, że tu jest posterunek policji.

– Bo nie jest. A o co się rozchodzi?

– A można podejść bliżej, bo mam ważną sprawę.

Pies podbiegł do furtki z obnażonymi zębami. Widać nie bardzo podobał mu się gość. Szczepanek to zauważył.

– Nic nie kupujemy.

– Nie to nie. Ale mam doskonały towar.

Sięgnął pod połę płaszcza i wy dobył spod niej pistolet maszynowy. Posterunkowy pamiętał doskonale, co trzeba zrobić w takim wypadku. Przerabiali to na szkoleniu. Dokładnie ten wariant. Napastnik sięga po PM-a wiszącego pod płaszczem, a policjant ma mniej więcej półtorej sekundy na reakcję. Musi wyciągnąć pistolet z kabury, odbezpieczyć go i oddać trzy celne strzały. Pole celowania to pierś i głowa.

– I żeby żaden z was, ćwoki, nie próbował kozaczyć i strzelać w rękę albo w nogę. – Uczył młodych policjantów instruktor strzelectwa aspirant Kowalewski. –

Macie przeciwnika wyeliminować, a nie zranić. Ranny skurwiol może cię zabić. A my nie po to was szkolimy, żebyście się dali ukatrupić jakiemuś złamanemu chujowi. Widzisz broń w łapie gościa, strzelasz, a potem się zastanawiasz, czy dobrze zrobiłeś. I żadnego „rzuć broń, ręce do góry, policja!”. Nie ma na to czasu. Przed tobą facet z giwerą, ty napierdalasz!

Szymek był pojętnym uczniem. Nie musiał tracić czasu na wyjmowanie pistoletu z kabury. Nim facet przy furtce zdążył chwycić pistolet w dłonie, on zgodnie z instrukcją pociągnął za spust. Dwie pierwsze kule trafiły w pierś, a ta

trzecia, posłana dla absolutnej pewności nieco powyżej nosa. Przeszła mu przez głowę jeszcze myśl, że powinien strzelić kolejny raz, ale już nie było do kogo. Gość leżał na chodniku, nie dając żadnych oznak życia. Pies usiadł na tylnych łapach najwyraźniej uspokojony. Policjant podszedł bliżej, by sprawdzić efekty swojego strzelania. Trzy kule w celu, tak jakby był na policyjnej strzelnicy. Facet został skutecznie wyeliminowany. Odwrócił się i popatrzył na ganek. Dziewczyny spoglądały na niego jak na szeryfa z *Miasta bezprawia*. Włożył pistolet do kabury i wtedy podbiegła do niego Kalina. Chwyciła jego policzki w dłonie i pocałowała tak, jak jeszcze nigdy nikt w życiu go nie pocałował.

– *Мой любимый*²⁵ – powiedziała, a on zrozumiał, że chyba go lubi.

Godzina 10.15

Gdy wreszcie dotarł do niej cały sens tego, co powiedział Fiodor, poczuła, że robi się jej słabo. Ktoś miał zabić dziewczyny. Ale w domu mogą być też rodzice. Ten, kto tam pójdzie z bronią w rękę, niewiele się będzie zastanawiał. Zabije wszystkich. Nie oddzieli dziewczyn od domowników, tylko zastrzeli każdego, kto będzie mógł go zidentyfikować. Boże, trzeba pędzić do domu. Nie było czasu na słabości.

Poderwała się na równe nogi i wypadła ze stodoły. Pies spojrział na nią zaciekawiony, ale nie chciało mu się

podnosić. Najwyraźniej było mu za gorąco. Ona tymczasem wybiegła na zarośniętą krzakami drogę prowadzącą do gospodarstwa. Pokonała jakieś pięćdziesiąt metrów i musiała przystanąć, bo nogi w miejscu, gdzie był jeszcze przed chwilą sznur, zaczęły ją boleć tak, jakby ktoś przypalał je żywym ogniem. Przemogła się jednak i ruszyła do przodu, najpierw noga za nogą powoli, potem coraz szybciej, by wreszcie przejść w równomierny, spokojny bieg, taki jaki przez długie lata trenowała w szkole, a potem w szkole policyjnej. Nie przyśpieszała, wiedziała, że sukces osiągnie tylko wtedy, jeśli siły rozłoży na cały dystans. Dziesięć minut później była przy swoim motocyklu. Nikt go nie dotykał. Kask i rękawiczki leżały tak, jak je zostawiła wczoraj na fotelu. Szybko się ubrała, odpaliła silnik i ruszyła w kierunku drogi. Gdy tylko wyskoczyła na asfalt, dostrzegła jakieś sto metrów przed sobą czerwoną skodę. Dodała gazu. Błyskawicznie zrównała się z autem, wyprzedziła je, a potem zajechawszy drogę, zmusiła kierowcę do hamowania. Gdy skoda się zatrzymała, zeskoczyła z fotela i ustawiła swoją maszynę prostopadle do samochodu. Brodaty grubas w czerwonej koszuli w czarną kratkę już otwierał okno, by zbluzgać wariata na motorze. Ale gdy podniosła szczękę kasku z osłoną twarzy i gdy zobaczył dziewczynę, kompletnie zaniemówił. Ona nie miała czasu na uprzejmości.

– Masz komórkę?

– Mam.

– To dawaj.

Podał jej posłusznie swój telefon.

Na szczęście w jej domu był stary, wysłużony stacjonarny telefon. Numer znała na pamięć.

Po pięciu sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

– Tato, tu mówi Aneta...

– Córeczko, gdzieś ty była?

– Tato, nie mam czasu na gadanie. Bierz dziewczyny i mamę i uciekajcie z domu jak najszybciej. Grozi wam poważne niebezpieczeństwo. Jakiś człowiek może chcieć wam zrobić krzywdę...

– Leży przed furtką.

– Co?

– Ten człowiek leży na chodniku przed domem. Twój kolega, pan Wójcik, go zastrzelił po tym, jak facet chciał strzelić do policjanta, tego młodego Szczepanka. Mówię ci, jak w filmie amerykańskim... – wyjaśniał ojciec podekscytowanym głosem.

– Tato, co ty gadasz?

– Słuchaj, nic się nie martw. Facet leży sztywny. My z mamą wróciliśmy do domu, jak było już po wszystkim.

– Tato, jest tam Wójcik? Daj mi go!

– Halo, Anetka, nic ci nie jest?

– Nie, spoko. Wszystko w porządku. Co tam się stało?

– Szczepanek go zastrzelił. Nie ja. Mnie tu nie było w ogóle. Przyjechałem dopiero przed chwilą. To ten młody Szczepanek go kropnął.

– Kogo?

– Jakiegoś gościa, co chciał wejść do domu z pistoletem

maszynowym. Ale Szczepanek go rozwalił, jakby był na strzelnicy. Trzy razy dwanaście punktów.

– O ja pierdziele... Powiedz, że mu stawiam piwo, a teraz słuchaj uważnie. Dzwon do Blaszkowskiego. Niech do mnie oddzwania natychmiast. Powiedz mu, że karetka pogotowia pełna trotylu jedzie do Poznania. Facet chce wysadzić w powietrze albo Arenę, albo Okrągłak. Jeśli w Arenie jest jakaś impreza, myślę, że to Arena. Niech to sprawdzą.

– Ale na jaki numer ma oddzwonić, bo mi się nie wyświetla?

– Jaki masz numer? – spytała faceta, który siedział cicho jak trusia i bał się cokolwiek powiedzieć.

– Pięćset piętnaście...

Podyktowała numer Wójcikowi, a ten natychmiast przerwał połączenie.

– Muszę od pana pożyczyć komórkę. Bardzo przepraszam. Jestem Aneta Nowak z policji, Komenda Wojewódzka w Poznaniu. Nie mam innego wyjścia.

– Pani Anetko kochana, niech pani se w cholere weźmie tę komórkę. Pieprzyć ją, byleby pani złapała tego pojeba. I niech pani weźmie jeszcze mój zestaw słuchawkowy. O, proszę, będzie pani mogła gadać podczas jazdy na motorze.

Za skodą z tyłu stworzył się zator z kilku aut. Kierowca najbliższej stojącej toyoty zaczął trąbić, no i ten ze skody nie wytrzymał. Wszedł z auta, podszedł do faceta, który już szykował się na atrakcyjną pyskówkę, opuszczając szybę.

– Co trąbisz, kmiecie? Pani policjantka w cywilu

zatrzymała ruch, bo musi się połączyć telefonicznie z komendą w celu zatrzymania chuja, co chce wysadzić w Poznaniu Okrąglak, a ty na nią trąbisz, ćwoku?

– A to pardonsik. Jakby co, to i godzinę postoi. Szkieły mają pierwszeństwo – odpowiedział niedoszły awanturnik. Ale godziny nie musiał marnować na drodze, bo policjantka wskoczyła na motocykl, który blokował drogę, i ruszyła przed siebie w kierunku Poznania. Gdy dojechała do skrzyżowania w Piotrowie i skręciła w prawo na Szamotuły, zwolniła nieco, bo w słuchawce usłyszała dźwięk dzwonka. Odebrała połączenie.

– Aneta, co się, kurwa, dzieje? – Blaszkowski był najwyraźniej podenerwowany.

– Jadę do Poznania. Godzinę temu jakiś szaleniec pojechał tam karetką wypełnioną trotylem. Chce wysadzić...

– Gdzie ty jesteś?

– Jadę na Poznań. A co?

– Bo my właśnie weszliśmy do gospodarstwa w lesie. Znaleźliśmy jakiegoś nieprzytomnego gościa z podejrzanymi ściegnami u nóg i dziewczynę. Ona też jest nieprzytomna.

– Facet to bandzior, dziewczyna czysta.

– OK, rozumiem.

– Jak żeście się tam znaleźli?

– Przyszliśmy po ciebie.

– Ale jak? Nie widziałam was, a jadę na Szamotuły.

– My jechaliśmy od drugiej strony przez Wronki.

– Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?

– Od twojego lekarza. Wysłałaś mu swoją lokalizację. Postawił całą policję na nogi, tak cię szukał. Musiałem go zabrać ze sobą, bo zagroził, że nas wszystkich zoperuje bez znieczulenia.

– Wariat.

– Jest tu, chcesz z nim rozmawiać?

– Nie, nie mam czasu. Powiedz mu, że... sama mu powiem. Później. Jadę do Poznania. Może go jeszcze dopadnę po drodze, tego bombiarza. Spróbuję zatrzymać gnoja.

– Daję znać na komendę. Wszystko, co się rusza, zaraz pojedzie do Okrąglaka i Areny. Nie da rady się precyzyjnie, jebaniec.

– W kontakcie.

Rozłączyła się i przyduśła mocniej gaz. Po chwili była już w Obrzycku. Jechała z bezpieczną prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Andrzej mógł co najwyżej jechać setką, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zresztą pewnie nie śpieszył się jakoś szczególnie. Jeśli zamierzał zdetonować ładunek koło Okrąglaka, to pora w zasadzie była obojętna. Ten budynek od dawna nie był już domem handlowym, ale zwyczajnym biurowcem. Ludzie wychodzili z niego około godziny szesnastej. Więc jeśli liczył na spektakularny sukces mierzony liczbą zabitych ludzi, musiał zdetonować ładunek do szesnastej. Co do Areny, tu wszystko wyglądało inaczej. Jeśli miał się tam odbyć koncert, to na pewno nie wcześniej niż o siedemnastej. Tam zaparkowana karetka nikogo by nie

zdziwiła. Często widziała sanitarki zabezpieczające imprezy. Jedna więcej nikogo by nie zdziwiła. Ile osób mogło wejść na koncert do hali? Diabli wiedzą, ale pewnie więcej niż tysiąc. Jeśli nawet będzie połowa tego, a karetka wyleci w powietrze przy jednym z łuków podtrzymujących konstrukcję, to cała ta buda może się złożyć jak domek z kart. Zawalona hala w Katowicach to nic w porównaniu z tym, co mogło się stać teraz w Poznaniu.

Mimowolnie dodała gaz, ale zaraz przywołała się do porządku. Zdaży na pewno. Czasu było sporo, a policja w Poznaniu już postawiona na nogi. Gdy mijiała tabliczkę z napisem „Gaj Mały”, znów dopadły ją wątpliwości. Może ten facet pojechał inną drogą? Może przed zjechaniem na most nad Wartą w Obrzycku pojechał w lewo, żeby do Poznania dostać się od strony Obornik? Tylko po co miałyby to robić? Przecież nie przypuszczał, że ktoś go będzie próbował zatrzymać. Albo tym bardziej że ktoś jedzie jego śladem.

Zadzwoił telefon. Odebrała i aż zaniemówiła, gdy rozpoznała głos. Dzwonił Barszczak.

– Pani Aneto, gdzie pani jest, bo chyba nie w pracy?

– Słucham?

– Pani sobie jakieś przejażdżki urządza i chce policję stawiać na nogi, bo ma pani jakieś urojenia. Skąd niby wiadomo, że ktoś chce coś wysadzać? Może za czasów Marcinkowskiego takie załatwianie na gębę było normalne. Ale to się zmieniło. Teraz takie sprawy trzeba będzie załatwiać, jak to w policji, drogą służbową. Są jakieś poszlaki, to proszę o nich zaraportować i wtedy się wszystko przeanalizuje...

Zatrzymała motocykl na rynku w Szamotułach, żeby ryk silnika nie zagłuszył tego, co chciała powiedzieć.

– Halo... Słuchaj mnie... Barszczak. Do Poznania jedzie facet karetką pogotowia wypełnioną trotylem. Ma zamiar wysadzić coś w powietrze. Nie wiem co. Przypuszczam, że albo Okrągłak, albo Arenę. Wiem o tym, bo byłam w pracy po godzinach i wczoraj wieczorem ten pojeb, który chce dokonać zamachu, zaatakował mnie i związaną wrzucił do stodoły. Uciekłam skurwielowi zaraz potem, jak wsiadł do karetki i pojechał do Poznania. Teraz jadę za nim swoim prywatnym motocyklem, ale go nigdzie nie widzę. Jeśli wystawicie blokady na rogatkach miasta, to go złapiecie. Jeśli nie, to będziemy mieć wybuch i kosmiczny gnój. Więc rusz dupę i zajmij się swoją robotą, bo za chwilę będziesz odpowiadał za śmierć setek ludzi. Będziesz odpowiadał, bo naszą rozmowę nagrywam i jakby co, jeśli nic nie zrobisz, wrzucę ją do neta. I jeszcze jedno, gdyby na twoim miejscu był Marcinkowski, to nie musiałabym z nim o tym wszystkim rozmawiać, bo on wiedziałby, co robić! – powiedziawszy to, rozłączyła się, wskoczyła na motocykl i odpaliła silnik. Od razu poczuła się lepiej. Ten telefon od Barszczaka odebrała w samą porę. Zadzwoił w odpowiednim momencie, w chwili, w której była napełniona emocjami jak balon powietrzem. No i gdy się odezwał z tymi idiotycznymi pretensjami, wszelkie hamulce puściły. Wylała z siebie cały kubeł pomyj prosto na głowę tego durnia. I co ważne, było jej z tym dobrze.

Jednak zaczęła się zastanawiać, co dalej. Przyjedzie do Poznania i co? Ten kretyn Barszczak jej nie daruje.

Załatwi ją jak nic. Wypieprzy ją z wydziału i skieruje na jakiś posterunek na zadupiu. Na przykład do Dusznik. Uśmiechnęła się na myśl o powrocie do swojego gniazda. Trudno. Praca w wydziale kierowanym przez tego durnia to już zupełnie inna bajka niż dotąd. Niech ją przenosi nawet do Piły. Gdyby tu był, pokazałaby mu środkowy palec.

Zadzwoił telefon. Odezwał się Blacha.

– Gdzie jesteś?

– Cerekwica.

– Jedź od razu do komendy. W Arenie dziś nic się nie dzieje. Nie ma koncertu. Więc raczej Okrągłak.

– Jak nie ma koncertu? Nic się nie dzieje w piątek w Arenie? A Okrągłak...? A co z wjazdem do miasta? Mamy jakieś blokady?

– Radiowozy na Dąbrowskiego i Bukowskiej. Nie ma szansy przejechać, ale jak dotąd nikogo nie zatrzymali.

– A jeśli wjeżdża od Obornik albo od Wągrowca?

– Kurwa.

– No właśnie.

– Anetka, jedź na komendę...

– Nie wiem, czy mnie wpuszczą.

– Co ty gadasz?

– Przed chwilą tak zjechałam Barszczaka, że pewnie mnie wywali z roboty.

– Z policji nie da się tak łatwo wylecieć.

Godzina 11.30

Ubrany po cywilnemu, w dżinsy i dżinsową kurtkę, nadkomisarz Wiciu Zalewski zapukał do drzwi hotelu. Były zamknięte, bo o tej porze nikt nie czekał na klientów. Ruch w interesie zaczynał się dopiero po dwudziestej drugiej i trwał do bladego świtu. Przed południem personel hotelowy spał w najlepsze. Mimo to jednak ktoś usłyszał natarczywe walenie w drzwi. Zaspany łysol w podkoszulku i dresowych spodniach, w kłapkach Kubota na stopach otworzył drzwi, ziewając niezachęcająco.

– No – odezwał się mrukliwie, ale nie zdążył rozwinąć tematu, bo pięść Zalewskiego trafiła go prosto w krtań. Policjant wiedział, że jest to wyjątkowo skuteczny cios, po którym uderzony człowiek będzie miał kłopoty z mową jeszcze przez kilka godzin. Przeszedł nad wijącym się ciałem ochroniarza, a za nim do środka wpadło czworo policjantów, trzy kobiety i jeden młody aspirant, który odbywał właśnie praktyki w obyczajówce. Gdy tylko weszli do obszernego holu, dziewczyny natychmiast pobiegły schodami w górę. Doskonale wiedziały, czego mają szukać. Zalewski tymczasem wszedł do obszernego living roomu i od razu skierował się do barku. Przez chwilę przypatrywał się pięknym butelkom z różnymi alkoholami, które mogłyby zaspokoić gusta najwybredniejszych koneserów, a potem sięgnął po niewielką, zaledwie półlitrową ciemną buteleczkę z nalepką, na której producent oznajmiał, że ta szkocka

whisky po trzydziestu latach leżakowania została rozlana do butelek w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

Skoro była okazja, żeby skosztować takiego trunku, nie mógł sobie odmówić. Zdjął korek z plastikowym łąbkiem i pociągnął niewielki łyk. Whisky była bardzo dobra, esencjonalna, o lekko bagienno-torfowym posmaku. Chciał spróbować jeszcze trochę, ale na górze rozległy się jakieś krzyki i piski. Zaraz potem po schodach zbiegł nagi mężczyzna ze spodniami w ręce.

– Ubierz się i siadaj – polecił mu oficer, wskazując fotel stojący tuż przy drzwiach.

– Ale ja tu jestem tylko gościem – stwierdził golas.

– Nikt cię nie zatrzymuje. Ale powiedz mi, przyjacielu, jak się nazywasz?

– Eligiusz Maćkowski.

– A czym się zajmujesz na co dzień?

– No, mam firmę własną.

– Jaką?

– Handlową. Ja tu tylko na mecz przyjechałem, z Piły przyjechałem.

– Rozumiem, i trafiłeś przed meczem do burdelu.

– No, zasadniczo tak – wyjaśniał Maćkowski, wciągając spodnie.

– No to nie masz się czego obawiać, kolego. Spiszemy cię tylko i możesz sobie iść.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Jedna z policjantek zeszła z góry i podeszła do Zalewskiego.

– Panie nadkomisarzu, mamy cztery dziewczyny, które trafiły tu z obozu, a oprócz tego jeszcze cztery inne i te też zostały tu sprzedane. Wszystkie już się pakują i zaraz możemy je zabierać.

– No to pięknie. A kogoś z obsługi czy właściciela tu mają?

– No ten tu, siedzi przed panem. To jest właśnie pan właściciel, który kupuje kobiety jak kurczaki na targu.

Oficer popatrzył na ubranego już mężczyznę i pogroził mu palcem.

– Handlowiec z Piły, tak?

– Wszystko to prawda, co powiedziałem.

– No, to znaczy, panie... że sobie jeszcze trochę będziemy musieli pogadać. Pan, zdaje się, nie wie, że handel żywym towarem jest w naszym kraju zabroniony.

– Kłamią dziwki. Nikt nimi nie handlował. Same chciały tu pracować i miały najlepsze warunki, i do tego jeszcze wysokie zarobki.

Zalewski spojrzał na niego uważniej. Miał przez chwilę wrażenie, że gdzieś widział tę okrągłą twarz ozdobioną wąsami podobnymi do tych, jakie nosił marszałek Piłsudski. No ale w końcu w swoim długim policyjnym życiu napatrzył się na tyle przestępczych ryjów, że być może i na tego delikwenta natknął się już wcześniej.

– Niech się pan nie martwi, wszystkie zeznania sobie

zaprotokołujemy, zapiszemy dokładnie, co panie mają do powiedzenia i co pan nam powie, ale na razie rączki przed siebie, a pani sierżant założy panu obrączki.

– Chcę rozmawiać z moim adwokatem.

– Oczywiście. Obiecuję, że z aresztu będzie mógł pan sobie zadzwonić do adwokata, a na razie poproszę o pańską komórkę.

– Mam w kieszeni. – Chciał ją wyciągnąć, ale policjantka była szybsza. Wydobyła telefon i zaraz sprawnie skuła właściciela domu uciech. Ani ona, ani Zalewski nie wiedzieli jeszcze, że w ten sposób Ruch Prawdziwych Patriotów poniósł właśnie niepowetowaną stratę w postaci swojego przewodniczącego, który od lat walczył o moralną odnowę kraju.

Dziesięć minut później uwolnione kobiety wchodziły do policyjnego busa. Wszystkie po spisaniu zeznań miały trafić do ośrodka dla ofiar przemocy. Właściciel hotelu wraz ze swoim ochroniarzem zostali przewiezieni radiowozem do aresztu śledczego na Młyńskiej. Nadkomisarz Zalewski był przekonany, że w ciągu najbliższych kilku godzin prokurator wyda sankcję i obaj najbliższe trzy miesiące spędzą w celi. A butelkę szkockiej zabrał ze sobą. Po co miała się zmarnować.

Godzina 12.05

Bielecki zaklął pod nosem. Jego człowiek do zadań specjalnych nie odbierał telefonu. Galaś jakby się zapadł

pod ziemię, a akurat w tej chwili był mu bardzo potrzebny. Ten durny Olkiewicz widać nie przestraszył się Galasiowych pogroźek i teraz brylował w telewizji. Co gorsze próbował w całą sprawę umoczyć Bieleckiego.

Chwycił pilota i zrobił głośniej. Olkiewicz stał na jakimś parkingu i opowiadał młodej dziennikarce historię swojego życia.

– Ja to zawsze chciałem być w normalnej milicji, ale wtedy, w sześćdziesiątych latach, to się mnie wcale nikt nie pytał i mnie do tego SB przenieśli, to musiałem tam pracować, ale jak się zdarzyła okazja, to od razu napisał o przeniesienie do wydziału dochodzeniowo-śledczego, co nim kierował podpułkownik Żyto, a Alfred Marcinkowski wtedy był jeszcze porucznikiem chyba i zastępcą Żyty. No ale jak oni się zgodzili na przeniesienie mnie z SB do dochodzeniówki, to musiałem obiecać, że będę SB informować o tym, co się w dochodzeniówce dzieje.

– Kto pana prowadził?

– Znaczą się, że jak?

– Do kogo musiał pan pisać te raporty?

– A do tego, no, Bieleckiego. Stanisława Bieleckiego, co teraz ma taki bank, co się nazywa SKOT.

– Spółdzielca Kasa Oszczędnościowo-Transferowa.

– Chyba jakoś tak. No i do niego trzeba było te raporty składać, to ja składałem, ale nic na kolegów to ja nie pisałem, bo oni wszyscy wiedzieli, że ja muszę pisać. I nawet się cieszyli...

– Z czego się cieszyli?

– No że wiedzieli, że ja raportuję do SB, bo jak ja raportowałem, to esbecja nie musiała już mieć u nas nikogo innego, co by te raporty pisał. A Marcinkowski nigdy nie donosił na kolegów, bo nie był agentem, ino ja byłem, ale takim więcej nieszkodzącym.

– A te wydrukowane w gazetach raporty to pisał pan czy Marcinkowski.

– No pewnie, że ja pisałem. Zresztą podpisane są Teoś. A Teoś to przecie ja jestem. Teofil Olkiewicz, znaczy Teoś. Tak do mnie mówili zawsze koledzy i mamusia również wołała na mnie Teoś.

Bielecki wyłączył telewizor. Trzeba będzie gnoja załatwić. Wstał zza biurka, chwycił z blatu teczkę na akta, taką starą, wysłużoną, jakich sporo przez całe lata przewinęło się przez jego ręce. Ta akurat była jedną z teczek Olkiewicza. Ale w swoim sejfie bankowym miał takich jeszcze kilkadziesiąt. Większość z nich to były akta działaczy opozycji, którzy zgodzili się donosić na swoich kolegów, a dziś zajmowali ważne stanowiska. Lubił je mieć pod ręką, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy mogły się przydać.

Wybrał na trzech pokrętkach odpowiednią kombinację cyfr i otworzył starą przedwojenną kasę pancerną. Papiery Olkiewicza położył na samym wierzchu i nim zdążył zamknąć drzwiczki, naraz poczuł, że ktoś przystawia mu coś do głowy. Od razu zrozumiał, co to może być, gdy zobaczył, kto stoi obok. Rychu Grubiński splótł ręce na brzuchu i patrzył na niego bardzo z siebie zadowolony. A skoro tu stał Grubiński, to ten za nim, który przystawiał mu do głowy pistolet, to musiał być ten rudzielec

Brodziak.

– No i tak się kończą kariery byłych esbeków – rzucił zadowolony z siebie Rychu. – Chciałeś wykończyć Marcinkowskiego, a przez przypadek sam się umoczyłeś. Piękna akcja, panie pułkowniku. Piękna akcja.

– Odpierdolcie się – mruknął bankowiec. – I radzę wam, żebyście się stąd zbierali.

– Siadaj na dupie. – Brodziak pchnął go w kierunku stołu konferencyjnego.

– O co wam chodzi?

– Nam o sprawiedliwość – stwierdził Rychu. – Dlatego na początek weźmiemy od ciebie te teczki i kwity, którymi tak ładnie się posługujesz.

– Jakie teczki? – Bielecki nie miał zamiaru zbyt łatwo się poddawać.

– Te, które masz w sejfie. Rekwirujemy je.

– Myślicie, że nie mam kopii?

– Myślę, że nie masz. Za dużo roboty z kopiowaniem. Bierzemy wszystko, a potem to spalimy.

– Kretyni.

Rychu zdjął z ramienia niebieską torbę z Ikei i zaczął pakować do niej dokumenty. Nie musiał ich przeglądać. Wiedział dobrze, jak wyglądają teczki na akta z czasów PRL-u. Nieraz miał już w rękach takie akta opisujące jego barwne życie przestępcze.

Po chwili torba była wyładowana po brzegi.

– Przyniesiecie mi to z powrotem w zębach. – Bielecki spróbował innej metody, ale ta nie zrobiła na jego gościach

najmniejszego wrażenia.

– No dobra, Miras, lecimy stąd. A jeśli liczysz na to – odwrócił się do byłego esbeka – że dopadnie nas ten twój Galaś, to mam dla ciebie smutną wiadomość. Pan Galaś zainkasował dziś trzy kulki w Dusznikach. Jedną w łeb i dwie w pierś. Galasia egzekutora już nie ma między żywymi.

Wyszli z pokoju, zostawiając Bieleckiego samego. Galaś, który wykończył więcej ludzi, niżby to ktoś był w stanie policzyć, został zastrzelony? A taki był porządny facet, zawsze chętny do pracy i niezadający niepotrzebnych pytań. Jak go teraz kimś zastąpić? Nie da się. I jest jeszcze pytanie, czy Galaś, zanim dał się zabić, zdążył załatwić tego gnoja od ładunków wybuchowych? Zaraz, co oni powiedzieli? Że zginął w Dusznikach? Odetchnął z ulgą. Galaś miał najpierw pojechać do lasu, a potem do Dusznik. Tak się umawiali. Skoro dał się zabić w Dusznikach, to znaczy, że swoją robotę w lesie wykonał, a wariat gryzł już piach...

Drzwi do gabinetu otworzyły się znowu i wtedy do środka weszli ludzie, których nigdy by się tu nie spodziewał. Szczególnie jednego. Wszyscy czterej ubrani byli po cywilnemu, ale Bielecki doskonale wiedział, jaką rangę nosi ten człowiek. Szef poznańskiego ABW Kazimierz Markowski był generałem. Na widok zdziwionej miny esbeka uśmiechnął się zadowolony.

– No, panie Bielecki, nareszcie będziemy mogli sobie dłużej pogadać.

– O czym?

– O życiu, o wywołaniu afery w poznańskiej policji fałszywymi teczkami, o łapówkach wręczanych policjantom niby na pomoc wdowom i sierotom policyjnym, no i przede wszystkim o trotylu...

Bielecki wzruszył ramionami.

– Bzdura, nic na mnie nie macie.

– To się jeszcze okaże. Myśli pan, że fatygowałbym się tu osobiście, gdybym nic nie miał na pana? Zeznania, filmy, tecki... Trochę się nazbierało, panie pułkowniku Bielecki.

– Chcę rozmawiać ze swoim adwokatem.

– Panowie, proszę zaopiekować się panem Bieleckim, a później przejrzymy sobie jego gabinet.

– Ma pan nakaz prokuratorski?

– Oczywiście, że mam.

Markowski usiadł za biurkiem byłego esbeka i od razu zabrał się za przeglądanie kalendarza. Pod dzisiejszą datą był tylko jeden zapis. Na godzinie siedemnastej drukowanymi literami ktoś napisał LECH.

Wygląda na to, że pan Bielecki nie pójdzie dziś na mecz, pomyślał i odsunął od siebie kalendarz, by zajrzeć do szuflady. Ale wiedział, że niczego interesującego już tu nie znajdzie. Najciekawsze rzeczy zabrali Brodziak i Grubiński.

Godzina 16.10

Aneta usiadła przy podłużnym stole, dostawionym do biurka, za którym rozsiadł się gruby Barszczak. Nie wiedzieć czemu był dla niej wręcz uderzająco miły. Tak jakby nic się nie wydarzyło, jakby w ogóle nie słyszał tego, co mu powiedziała przez telefon.

– No i niestety, pani Aneto, nasz bombiarz nie wpadł jak dotąd. Patrole zatrzymały kilka karetek wjeżdżających do miasta i nic. A przecież nasi funkcjonariusze nie są ślepi. Pod Areną nic się nie dzieje, bo nie ma tam akurat dziś żadnego koncertu, a pod Okrąglakiem też spokój, bo większość biur kończy pracę około szesnastej. Ale stoją tam policjanci i patrzą, i pilnują wszystkiego, a tu nic.

– Być może pomyliłam się – mruknęła pod nosem. Być może? – pomyślała. Andrzej rozplątał się. Miała nadzieję, że wpadnie w którąś z policyjnych blokad. Nie było go pod Okrąglakiem i Areną. Sprawdziła i tam, i tu, żeby się przekonać na własne oczy. Nigdzie ani śladu. No i teraz Barszczak mógł sobie tryumfować. Już po niej.

– Tak, być może, pani sierżant, że to jedna wielka pomyłka. Tu trzeba mieć doświadczenie i wiedzę nabytą przez lata, a u pani z doświadczeniem to raczej kiepsko. Dobrze trzeba wszystko przemyśleć, zanim wyda się polecenia policjantom i zanim się ich wyśle na ulicę. Sama intuicja, choć ważna, to jednak nie jest najważniejsza.

Zadzwoił telefon wewnętrzny. Barszczak podniósł słuchawkę.

– Niech wchodzi od razu – rzucił do słuchawki i zaraz przerwał połączenie. Drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wkroczył Blaszkowski. Gdy zobaczył Anetę, od razu podszedł do niej i uniósłszy ją w górę, wyściskał

serdecznie.

– Ale mi narobiłaś stracha, dziewczyno.

– Najważniejsze, że jestem cała. Tylko co z tą cholerną karetką?

– Karetek w Poznaniu jest dużo. Trzeba by zarządzić metodyczne przeszukania wszystkich ambulansów, bo przecież nie wiadomo, w którym jest ten trotyl czy coś tam. Najlepiej jakby nakazać, żeby wszystkimi tymi karetkami podjechali tu do nas... Albo nie, lepiej, żeby na jakiś duży plac, bo u nas to by się cała ulica zablokowała. Wtedy jak przyjadą, to się raz-dwa przeszuka i po sprawie.

Blacha pokiwał głową. Akurat były im teraz potrzebne rady tego nadętego idioty.

– Dlaczego sądziłaś, że te obiekty, które mogą być zagrożone, to Okrągłak i Arena? – zapytał Blaszkowski, patrząc uważnie na Anetę.

– Bo są okrągłe. Ten, którego znalazłeś nieprzytomnego w stodole z podciętymi ścięgami, Fiodor czy Fiedia, podsłuchał, jak Andrzej mówi swojej dziewczynie po rosyjsku, że takiej piłki jeszcze Poznań nie widział. Mówił *miacz*, czyli piłka. Coś okrągłego.

– Miacz, a może mecz?

– Nie, mecz po rosyjsku... to jest *футбольный матч*...

– A może powiedział do niej po polsku, że takiego meczu jeszcze Poznań nie widział. A ten Fiedia usłyszał mecz i pomyślał, że to chodzi o piłkę – zastanawiał się głośno Mariusz.

– Dziś jest mecz. Widziałam w mieście kibiców z szalikami Lecha. Boże, ale ze mnie idiotka. On mówił o meczu, a ja szukałam czegoś okrągłego...

– To jest mecz pucharowy z drużyną z Portugalii – przypomniał sobie Barszczak, który był wczoraj na odprawie przedmeczowej, takiej jakiej urządza się zawsze przed dużymi widowiskami sportowymi. – Ale nasi nie mają szans...

– Na mecz można wjechać karetką. Nikt nie zwróci na nią najmniejszej uwagi. – Aneta zignorowała naczelnika.

– Zamelduję komendantowi! – Barszczak chwycił słuchawkę telefonu. – Komendant musi wiedzieć, że jest coś na rzeczy, bo jakby co...

– O której się zaczyna ten mecz? – Aneta spojrzała na zegarek.

– Chyba o piątej – przypomniał sobie Mariusz.

– Lech Poznań gra dziś z Belenenses o siedemnastą – rzucił Barszczak, któremu nie udało połączyć się z szefem.

– No to została niecała godzina. Jadę tam. Motorem będę w dziesięć minut.

– I co zrobisz, jak go znajdziesz? Trzeba go wyeliminować i rozbroić mechanizm detonujący.

– To musi zrobić fachowiec, który się na tym zna – poparł Blaszkowskiego Barszczak. – Zaraz zarządę, żeby pojechał tam zespół pirotechniczny. Już oni sobie poradzą z każdym ładunkiem. – Znów podniósł słuchawkę telefonu. – Tyle że trzeba by, żeby komendant podpisał zgodę...

– Nie ma czasu. Trzeba wziąć kogoś, kto jest tam na miejscu. Albo blisko stadionu.

– Czyli kogo? – zainteresował się Barszczak. – Tam jest pełno policjantów z prewencji. Ale oni z ładunkiem to se nie dadzą rady. Dzwonię po pirotechników. Trudno, bez zgody komendanta. – Znow wziął słuchawkę do ręki i zaczął wykręcać numer, ale chyba nie bardzo pamiętał kolejność cyfr. – Halo! Gdzie się dodzwoniłem? A na cholere mi posterunek kolejowy...

Błaszowski wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął szukać właściwego kontaktu. Po chwili już wybierał numer. Połączył się po trzech sygnałach.

– Blacha mówi. Jesteś dziś na meczu? To świetnie. Słuchaj, powiem krótko, bo nie ma czasu na pierdoły. Wszystko wskazuje na to, że jedna z karetek pogotowia, która być może gdzieś tam stoi, jest wypełniona trotylem, tym samym, który zginął ze szkoły pancерnej. Facet, który nią przyjechał, najprawdopodobniej będzie ją chciał wysadzić. Weź, kogo tam znajdziesz pod stadionem i złapcie gnoja, wszystko jedno jak, możecie go unieszkodliwić. – Mariusz przerwał połączenie, bo jego rozmówcy nie trzeba było niczego dwa razy tłumaczyć.

– No kto tam jest na tym stadionie? – zapytała Aneta.

– Dobry gliniarz z dużym doświadczeniem – oznajmił Błaszowski. – Nazywa się Marcinkowski. Fred Marcinkowski.

– No to mamy szansę. Jadę tam. Może się przydam.

– Dobra. Bądź ostrożna – rzucił jeszcze Mariusz, zdając sobie sprawę, że to całkowicie nieprzydatna rada.

Uśmiechnęła się do niego i wyszła. On został w gabinecie Barszczaka. Ktoś musiał poinformować wszystkie służby. Spojrzał na faceta pełniącego obowiązki naczelnika wydziału i nie wiedzieć czemu, wzruszył ramionami.

– Zarządzam alarm!

Godzina 16.30

Starszy posterunkowy Dominik Jaskóła nie przepadał za piłką nożną. Nie żeby nie oglądał meczów reprezentacji, bo to robił tak jak każdy. On nie za bardzo lubił mecze naszej ekstraklasy, bo na te spotkania musiał przychodzić służbowo i nawet jeśli już był na takim meczu, to i tak nic nie mógł zobaczyć, bo policjanci zabezpieczali stadion na zewnątrz, a nie w środku. Ten dzisiejszy mecz chyba w ogóle zapowiadał się niezbyt atrakcyjnie, bo na stadionie nie było prawie wcale kibiców. Okazało się, że kibole z kotła postanowili zbojkotować dzisiejszy pojedynek, bo nie spodobało im się to, że z każdego dzisiejszego biletu władze klubu chciały przeznaczyć część pieniędzy na pomoc dla uchodźców. A jak wiadomo, polski kibic jest nastawiony patriotycznie i kocha swój kraj i innych Polaków ponad wszystko, dlatego nie będzie płacił na jakichś brudnych uchodźców, którzy chcą do nas przyjechać i skalać samym swoim wyglądem białą rasę panów. No i szalikowcy solidarnie nie przyszli, więc policja i ochroniarze mieli mniej roboty, bo nie było kogo sprawdzać. Od czasu do czasu przez

bramkę przechodził jakiś nieorientowany w kwestiach protestacyjnych kibic.

Dlatego starszy posterunkowy Jaskóła stał sobie przy wejściu ze swoim kolegą posterunkowym Kawalcem i się nudzili. I pewnie mieliby spokojne dwie godziny zbijania bąków, gdyby nie ten facet, który podszedł do nich i kazał im iść ze sobą. Ani myśleli iść gdziekolwiek, bo gościa nie znali, ale kiedy wyciągnął z kieszeni policyjną blachę, a oni stwierdzili, że chyba jest autentyczna, wówczas już nie mieli żadnej wymówki. Gdy powiedział jeszcze, że jest inspektorem, od razu stanęli na baczność.

– Którędy karetki wjeżdżają na stadion? – zapytał, a oni od razu pokazali mu bramę od strony parkingu. – Wiecie, ile karetek stoi tu na takim meczu?

Skąd by mogli wiedzieć? Żaden z nich nigdy nie wpuszczał pogotowia na stadion. To nie była ich robota.

– A o co się tak w ogóle rozchodzi, panie inspektorze?

– W karetce może być ukryty ładunek wybuchowy – wyjaśnił zwięźle. – Musimy go rozbroić.

– My? – zdziwili się dwaj posterunkowi, którzy nigdy nie rozbrajali żadnego ładunku wybuchowego.

– Nie ma czasu na szukanie kogoś innego. Musimy sobie dać radę. Macie broń?

– Melduję, że mamy.

– Jeśli w karetce rzeczywiście jest niebezpieczny ładunek, jeden pilnuje, żeby nikt do karetki się nie zbliżył, drugi idzie ze mną.

– To Dominik niech stoi na zewnątrz, bo on lepiej

strzela, panie komisarzu.

W bocznym wjeździe na stadion były zaparkowane dwie karetki. Fred podbiegł do pierwszej. Nie było w niej nikogo. W drugiej za to siedzieli lekarz, kierowca i sanitariusz. Żaden z nich raczej nie był zainteresowany meczem.

– Panowie z jakiego szpitala? – zapytał policjant, pokazując swoją blachę.

– Z Przybyszewskiego – rzucił kierowca.

– A ta druga karetka, co stoi za wami, to skąd?

Żaden nie znał odpowiedzi.

– Nawet ja jemu mówiłem, że ma nas nie zastawiać i se stanąć jakby co na parkingu – mówił sanitariusz. – Bo jak będzie jakaś kontuzja, to my musimy wyjechać. To on powiedział, że tylko na chwilę tu staje i idzie się odlać, ale nie ma go już z pół godziny.

– To w tamtej karetce był tylko jeden człowiek?

– Jeden kierowca i tyle – stwierdził lekarz. – Nawet żeśmy go pytali, jak to jest, że sam tu przyjechał, ale powiedział, że jego to nic nie obchodzi, że jak kazali, to przyjechał i tyle.

– Dajcie mi nożyczki chirurgiczne – poprosił Marcinkowski bez chwili wahania. Od razu sanitariusz sięgnął do torby i podał mu stalowe ostre nożyce.

– Sprawdź drzwi, czy są otwarte – zawołał do posterunkowego. Ten obszedł szybko karetkę, szarpiąc za klamki. Drzwi ani drgnęły.

– Rozwal boczne okno – polecił.

Chłopak wyciągnął pałkę i z całej siły uderzył w szybę. Pękła od razu. Usunął jej resztki, a potem podsadzony przez swojego kolegę, wskoczył do środka. Otworzył drzwi od wewnątrz i zaraz na siedzeniu pasażera znalazł się Marcinkowski. Natychmiast spojrzał za siebie. Cała podłoga zastawiona była charakterystycznymi zielonymi skrzyniami.

– O kurwa, miał pan rację – stwierdził posterunkowy Kawalec. – I co teraz zrobimy?

– Trzeba unieszkodliwić to gównno.

– A może by wyjechać tą karetką? – zaproponował podoficer.

– Umiesz odpalać samochód bez kluczyka? Bo ja nie.

Fred przeskoczył do tyłu i zaczął dokładnie przyglądać się ładunkowi. To, czego szukał, znajdowało się z boku. Stary telefon komórkowy przyczepiony taśmą klejącą do ściany, a do niego podłączona ładowarka. Drugi koniec kabla krył się w jednej ze skrzyń. Zapalnik był stosunkowo prosty w obsłudze. Ktoś musiał zadzwonić pod numer tego telefonu, a impuls elektryczny, idący kablem, spowodowałby detonację jednej kostki trotylu, no a za nią poszłyby wszystkie. I połowa stadionu rozpada się w mgnieniu oka.

– Czyli że jak?

– O tak.

Chwycił ładowarkę i szarpnął mocno. Nie wyszła. Musiała być wklejona w telefon. Takie sobie zabezpieczenie. Uśmiechnął się, a potem chwycił kabel ostrzem nożyczek i przeciął go. Na wszelki wypadek

musiał sprawdzić jeszcze telefon. Oderwał go od blaszanego elementu konstrukcyjnego. Nokia 3310, stary typ telefonu, który już dawno został wyparty przez nowoczesne smartfony. Szkoda ładnego aparatu, pomyślał Fred, ale nie było wyjścia. Musiał zniszczyć zabytek techniki. Wyciągnął baterię i kartę i zaraz podał wszystko młodemu policjantowi.

– Daj to swojemu kumplowi. Niech odejdzie stąd na parking i rozpieprzy tę nokię w drobny mak jakąś cegłówką. Tak żeby ślad po niej nie został. – Nie musiał powtarzać polecenia, bo posterunkowy Jaskóła, zamiast pilnować sytuacji na zewnątrz, zaciekawiony włożył głowę do środka i pilnie obserwował oficera w akcji. Chłopak podał telefon koledze, a ten zaraz pobiegł na zewnątrz dokonać dzieła zniszczenia.

Godzina 16.35

Aneta wjechała na przystadionowy parking i od razu skierowała się w stronę bramki, przy której stali dwaj policjanci i kilku ochroniarzy. Wyciągnęła swoją blachę i pokazała chłopakom z prewencji. Nie domagali się jakichś szczególnych wyjaśnień. Skoro tu podjechała i miała jeszcze swój identyfikator, to co ich to mogło obchodzić.

Spojrzała na boczny wjazd. Dostrzegła tam młodego policjanta, który zaglądał do karetki. Oznaczało to, że Marcinkowski musiał już zacząć działać.

Skierowała motocykl w tamtą stronę. Ustawiła go tuż przy surowej, betonowej ścianie stadionu. Od ambulansu odskoczył młody policjant. Niósł coś w ręce. Wbiegł na parking i zaczął się uważnie rozglądać. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na czymś konkretnym. Podbiegł tam, podniósł jakiś kamień i zaczął nim tłuc w telefon komórkowy, który przyniósł ze sobą. Aneta domyśliła się, że Marcinkowski musiał odłączyć komórkę od detonatora i teraz na wszelki wypadek kazał posterunkowemu zniszczyć urządzenie.

Naraz go dostrzegła na wyjątkowo pustym jak na dzień meczowy parkingu. Andrzej, ten sam facet, który chciał ją zastrzelić wtedy w stodole, właśnie wsiadał do auta. Poznała go po sylwetce i tych płynnych, można by nawet powiedzieć kocich ruchach.

Mężczyzna wsiadł do jeepa i odpalił silnik. Auto wyjechało z rzędu zaparkowanych samochodów, kierując się w stronę bramy. Nie mogła go wypuścić. Skoro wyjeżdżał, musiał być przekonany, że za chwilę dojdzie do eksplozji. Może więc był to ostatni moment na powstrzymanie go. Nie wiadomo przecież, jak radzi sobie Fred. Zniszczyli co prawda telefon, ale przecież mógł tam być jeszcze jakiś zdalny detonator. Musiała więc spróbować coś zrobić. Trzeba zatrzymać byłego komandosa.

Auto powoli jechało w kierunku bramy. Szybko wskoczyła na swój motocykl i ruszyła za nim. Błyskawicznie precyzyjnie się między terenówką a ścianą zaparkowanych aut, dojechała na koniec alejki, zatrzymała motocykl i ustawiła go prostopadle do nadjeżdżającego

wozu. Sama zaś wydobyła z kieszeni kurtki glocka i stanęła na drodze, trzymając pistolet w obu dłoniach.

Dostrzegł ją i zatrzymał samochód. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, oceniając swoje szanse. Wreszcie Andrzej podjął decyzję. Mocno przygazował i ruszył w jej kierunku, błyskawicznie nabierając prędkości. Powinna była uciec, zejść mu z drogi, ale nie ustąpiła.

Pociągnęła za spust, posyłając raz za razem pięć kul. Przez chwilę miała wrażenie, że jeep staje jak na zwolnionym filmie, by zaraz przyśpieszyć i wbić się w rząd samochodów z prawej strony. A potem silnik zgasł.

Z pistoletem w dłoni podeszła ostrożnie do rozbitego auta. Otworzyła drzwi. Andrzej siedział w fotelu przypięty pasami. Oczywiście miał szeroko otwarte, ale nie było w nich żadnej iskierej życia.

Godzina 16.55

Fred wstał z kolana i naraz zamarł w bezruchu. Usłyszał dźwięk, który sprawił, że serce mu zadrżało. Znów opadł na kolana i zaczął nasłuchiwać. Zdziwiony posterunkowy chciał o coś zapytać, jednak oficer powstrzymał go, unosząc dłoń.

- Słyszysz?
- No, jakby tykanie zegara.
- Zrobił skurwysyn backup.

– Co?

– Dodatkowe zabezpieczenie. Prosty mechanizm zegarowy. Gdzieś tu wsadził jakiś budzik i nastawił go na... – Spojrzał na swój ręczny zegarek. Do piątej zostało jeszcze pięć minut. – Może na piątą, na początek meczu. –

Otwieramy tę skrzynię! – Wskazał na najbliższą. Górną pokrywę łatwo dało się zdjąć. Ale w środku były tylko zawinięte w papier kostki trotylu. Otworzył następną. Znowu nic.

– Stetoskop! – zawołał Fred. – Potrzebny jest stetoskop.

– Jest stetoskop! – odpowiedział głos z zewnątrz. Słuchawka lekarska zaraz znalazła się w dłoni policjanta, który siedział na przednim siedzeniu karetki. Podał ją Fredowi. Oficer natychmiast założył słuchawki na uszy i zaczął szybko przykładać czujnik do skrzynek. Na trzeciej zatrzymał się. – Tutaj jest! Zwalamy!

Posterunkowy natychmiast przeszedł przez oparcie fotela, przyklęknął i zaraz pociągnął pierwszą ku sobie. Fred następną. Wieko trzeciej unieśli razem.

Sprężynowy zegar w blaszanej obudowie. Do zegara przytwierdzone cztery druciki idące do zapalnika, który wetknięto bezpośrednio w kostkę trotylu. Ten mechanizm też nie był zbyt skomplikowany. Składał się z budzika, kilku kabli i płaskiej baterii przyklejonej do podstawki zegara. Mała strzałka była ustawiona na piątej godzinie. A to oznaczało, że gdy duża wskazówka dojdzie do dwunastki, zamknięty zostanie obwód elektryczny, a iskra przechodząca przez kabel spowoduje detonację. Problem był tylko jeden. Odnaleźć właściwy drucik. Przecięcie jednego z trzech pozostałych mogło spowodować

natychmiastowy wybuch. Takie zabezpieczenie w sam raz dla MacGyvera, pomyślał Fred, ocierając spocone czoło.

– Trzeba przeciąć jeden drucik. – Domyślił się młody policjant. W końcu widział w swoim życiu niejednego film sensacyjny, w którym w ostatnich sekundach udawało się zapobiec wybuchowi dzięki szczęśliwemu wyborowi sapera.

– Masz rację. Który byś przeciął?

– Pewnie, że czerwony.

– Też mam ochotę na czerwony, a ten, co to wymyślił, chciał go nam wskazać. Pewnie dlatego jeden jest czerwony, a pozostałe trzy białe. I dlatego zrobimy zupełnie inaczej.

– Czyli że jak?

– Iskrę elektryczną da nam bateryjka. Więc musimy zrobić tak, żeby tej iskry nie było i żeby się nie zamknął obwód. Powiedz swojemu kumplowi, żeby dał swoją gumę do żucia.

– Ja tu jestem, panie inspektorze.

– To dawaj gumę.

– Ale ja mam tylko tę w gębie.

– To o taką mi chodzi. Dawaj ją!

Policjant wyciągnął z ust przeżutą gumę. Podał ją Marcinkowskiemu, a ten przez chwilę przyglądał się baterii i w końcu zdecydowanym ruchem wcisnął gumę między dwie blaszki. Dopiero teraz chwycił ze skrzyni nożyczki i po kolei poprzecinał cztery druty. Ładunek został rozbrojony.

Fred wyszedł z karetki, a za nim obaj policjanci. Obok w milczeniu stała cała ekipa pogotowia ratunkowego. Zdjął stetoskop z szyi i oddał lekarzowi.

– Cały czas tu byliście? – zapytał zdziwiony.

– Ktoś musiał wam kibicować – stwierdził doktor, klepiąc Freda w ramię.

– A macie co zapalić, bo łapy mi się trzęsą.

Kierowca sięgnął do kieszeni kurtki i podsunął mu paczkę cameli. Zaraz też podał ogień.

Fred wciągnął w płuca aromatyczny dym i zakrztusił się. Nie palił już ponad dwadzieścia lat, ale wiedział, że dym papierosowy to najlepsze lekarstwo na skołatane nerwy.

Aneta stała oparta o swój motocykl. Marcinkowski, zauważywszy ją, skinął głową. Położyła kask na fotelu i powoli ruszyła w jego kierunku.

– Mam go – powiedziała, gdy podeszła bliżej.

– Kogo?

– Tego od ładunków wybuchowych.

– Złapałaś go?

– No, niezupełnie. Unieszkodliwiłam.

– Dobrze zrobiłaś. Najważniejsze, że się wszystko udało.

– I co teraz będzie? – zapytała, patrząc z nadzieją na swojego szefa.

– Dobrze będzie.

– Ale co z panem?

– Ja pojedę odpocząć do Puszczy Noteckiej, do mojej chaty.

– To niesprawiedliwe.

– Anetka, a kto ci powiedział, że życie musi być sprawiedliwe. Jakoś sobie poradzę.

– Czemu jest tak cicho? – Dopiero teraz zwróciła uwagę na tę niespotykaną ciszę panującą wokół stadionu, na którym rozgrywano właśnie mecz piłkarski.

– Kibole nie przyszli. Z każdego biletu miało pójść parę groszy na pomoc dla uchodźców, więc zostali w chacie. Stadion jest prawie pusty.

– Rozumiem, Bóg, honor i ojczyzna, a wszystkich obcych krzyżem przez łeb. Fajnie. Skąd się to bierze?

– Z niewiedzy. – Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i rzucił go na asfalt.

– Myślałam, że pan nie pali, szefie. – Wskazała na niedopałek, który właśnie przydeptał czubkiem buta.

– Nie palę. Od dwudziestu lat nie zapaliłem ćmika.

Skinęła mu głową i ruszyła do swojego motocykla. Zanim na niego wsiadła, wyciągnęła komórkę i wykręciła numer niedawno zapisany w pamięci. Odebrał po jednym dzwonku.

– Cześć. Co robisz?

– Leżę na tapczanie i oglądam telewizję.

– To może pooglądamy razem?

– Jasne. Wpadaj. Czekam.

Naraz przystadionową ciszę rozdarły zawodzące

dźwięki syren alarmowych. Od ulicy Bułgarskiej nadjeżdżało kilka policyjnych radiowozów. Z drugiej strony, od Grunwaldzkiej, pewnie ze szpitala na Przybyszewskiego jechały dwie karetki. Kolejny radiowóz wjeżdżał od tyłu na parking przy ulicy Ptasiej.

Zupełnie niepotrzebnie się śpieszą, pomyślała, chowając telefon do kieszeni. Musi pamiętać, żeby jutro zostawić go na portierni, bo ten gość, któremu go zabrała, pewnie przyjedzie odzyskać swoją własność.

Wsiadła na motocykl, odpaliła i ruszyła przed siebie, odprowadzana pełnymi uznania spojrzeniami chłopaków z prewencji. Zanim przyjedzie ekipa techniczna, kazała im pilnować rozbitej terenówki i martwego właściciela. Nie żałowała tego faceta. Szkoda jej było tylko Wiery, której chłopak patrzył teraz nic niewidzącym wzrokiem prosto w jasne jeszcze o tej porze niebo. Nie było na nim ani jednej chmury.

Cerekwica, styczeń 2019

Przypisy

- 1) Więcej o tym w powieści *Jedyne wyjście*, Filia 2015. ↵
- 2) Więcej o tym w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*, Zysk i S-ka 2013. ↵
- 3) Więcej o tym w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*, Zysk i S-ka 2013. ↵
- 4) Potrzebuje pomocy. Uciekłam... (ros.). ↵
- 5) Nie bój się, wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze (ros.). ↵
- 6) Więcej o tym w powieści *Milczenie jest srebrem*, MUZA 2017. ↵
- 7) A. Fedorowicz, „Focus.pl”. ↵
- 8) Zapraszam na śniadanie (ros.). ↵
- 9) To Nikołka (ros.). ↵
- 10) Ze mną wszystko dobrze. A co z nim? (ros.). ↵
- 11) Więcej o tym w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*, Zysk i S-ka 2013. ↵
- 12) Pawka Korczagin – bohater powieści Nikołaja Ostrowskiego *Jak hartowała się stal*. ↵
- 13) Więcej o tym w powieści *Trzynasty dzień tygodnia*, MUZA 2019. ↵
- 14) Więcej o tym w powieści *Milczenie jest srebrem*, MUZA 2017. ↵
- 15) Pododdział Antyterrorystyczny Policji. ↵
- 16) Ręce do góry, ty stary draniu! (ros.). ↵
- 17) Jak długo byłeś w tym obozie? (ros.). ↵

- 18) Widziałam cię, jak stałaś w oknie (ros.). ↵
- 19) Więcej o tym w powieści *Masz to jak w banku*, MUZA 2018. ↵
- 20) Powoli wstań i podnieś ręce w górę (ros.). ↵
- 21) Ktoś ty i czego chcesz? (ros.). ↵
- 22) Chcę ciebie (ros.). ↵
- 23) Więcej o tym w powieści *Jedyne wyjście*, Filia 2015. ↵
- 24) Ten uczynił, kto odniósł korzyść (łac.). ↵
- 25) Mój kochany (ros.). ↵